

Alberto Moravia

Rzymianka

(Przełożyła Zofia Ernstowa)

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

W szesnastym roku życia byłam prawdziwą pięknoscią. Miałam idealnie zarysowany owal twarzy, zwężony ku skroniom i rozszerzający się nieco ku dołowi, oczy podłużne, ogromne, o łagodnym spojrzeniu, nos łączący się prostą linią z czołem, usta wydatne, o pięknych wargach, czerwonych i pełnych; kiedy się śmiałam, odsłaniałam równe, olśniewająco białe zęby. Matka mówiła, że wyglądam jak Madonna. Zauważyłam, że jestem podobna do jednej ze sławnych wówczas aktorek filmowych, i zaczęłam się czesać tak samo jak ona. Matka powiadała, że jeśli twarz moja jest piękna, to ciało jeszcze stokroć piękniejsze; twierdziła, że drugiego takiego ciała nie ma w całym Rzymie. Nie interesowałam się jeszcze wtedy swoim ciałem, uważałam, że aby być ładną, wystarczy mieć piękną twarz, ale dzisiaj muszę przyznać, że matka miała rację. Nogi moje były proste i mocne, biodra okrągłe, talia wąska, ramiona szerokie. Brzuch miałam zawsze silnie rozwinięty, a pępek tak wgłębiony w ciało, że prawie niewidoczny, ale matka twierdziła, że to jeszcze dodaje mi urody, bo brzuch powinien być wypukły, a nie spłaszczony, jak to jest dzisiaj w modzie. Piersi także miałam obfite, ale wysokie, jędrne, sterczące do góry, choć nie nosiłam stanika, a kiedy narzekałam, że mam za duży biust, matka zapewniała, że tak właśnie powinna wyglądać prawdziwa piękność i że piersi dzisiejszych kobiet nic nie są warte. Jak mi później mówiono, naga robiłam wrażenie wysokiej i postawnej, ale w sukience wyglądałam jak mała dziewczynka i nikomu nie przyszłoby na myśl, że jestem tak wspaniale zbudowana. Powodem tego była, jak powiedział mi malarz, któremu zaczęłam pozować, moja wyjątkowo proporcjonalna budowa.

Owego malarza wynalazła mi matka, która, zanim wyszła za mąż i została bieliżniarką, także była modelką. Pewien malarz zamówił u niej koszule, a wtedy przypomniała sobie swój dawny zawód i zaproponowała, żeby wziął mnie za modelkę. Kiedy wybrałam się po raz pierwszy do malarza, matka postanowiła mnie odprowadzić, chociaż upierałam się, że równie dobrze mogę iść sama. A wstydziałam się nie tego, że będę musiała się rozebrać w obecności mężczyzny, ale tego, co, jak przeczuwałam, będzie mówiła moja matka, żeby zachęcić malarza do zaangażowania mnie na stałe. Tak się też stało; kiedy pomogła mi się rozebrać, ściągając mi suknię przez głowę, i ustawiła mnie nagą na środku pracowni, zaczęła mówić z przejęciem:

– Niech pan popatrzy, co za piersi... co za biodra... a proszę zwrócić uwagę na nogi... Gdzie by pan znalazł takie piersi, biodra i nogi? – Mówiąc to wszystko poklepywała mnie, jakby dla zachęty kupujących poklepywała krowę na targowisku. Malarz śmiał się, ja się wstydziłam, a że była zima, przenikał mnie dotkliwy chłód. Rozumiałam jednak, że matka nie miała złych intencji i że dumna była z mojej piękności, z tego, że to ona właśnie wydała mnie na świat i że jej wyłącznie zawdzięczam urodę. Malarz zdawał się rozumieć matczyne uczucia i śmiech jego był szczery, bez cienia złośliwości, tak że zaraz poczułam się pewniej i przezwyciężając nieśmiałość, podeszłam na palcach do piecyka, aby się rozgrzać. Ów malarz mógł mieć około czterdziestki, wyglądał na pogodnego, jowialnego człowieka. Czułam, że patrzy na mnie bez pożądania, jak na przedmiot, i to mnie uspokoiło. Później, kiedy poznał mnie już lepiej, zawsze odnosił się do mnie grzecznie i z szacunkiem, już nie jak do martwego

przedmiotu, lecz jak do człowieka. Od razu poczułam dla niego wielką sympatię i może mogłabym była nawet się w nim zakochać, po prostu przez wdzięczność, za to tylko, że był dla mnie taki uprzejmy i serdeczny, ale on nie próbował zbliżyć się ze mną i traktował mnie zawsze jak malarz, nie jak mężczyzna. Przez cały czas, kiedy byłam jego modelką, stosunki nasze pozostały poprawne i oficjalne jak pierwszego dnia. Kiedy matka skończyła wreszcie hymny pochwalne na moją cześć, malarz podszedł bez słowa do stosu rycin leżących na krześle, zaczął je przeglądać i wyciągnął kolorową reprodukcję, którą pokazał matce, mówiąc cicho: – Oto twoja córka. – Odeszłam od piecyka, żeby obejrzeć reprodukcję. Przedstawiała ona nagą kobietę, leżącą na łożu przykrytym bogatymi tkaninami. Za łożem widać było aksamitną kotarę i dwa bobaski ze skrzydełkami, wyglądające na aniołki.

Ta kobieta była rzeczywiście do mnie podobna, z tą tylko różnicą, że chociaż leżała całkiem nago, od razu rzuciło się w oczy, że musiała to być jakaś królowa czy inna ważna osoba, a ja byłam tylko prostą dziewczyną. Matka nie mogła się początkowo połapać, o co idzie, i patrzyła zmieszana na ten obrazek. Potem zauważyła nagle podobieństwo i zawołała z przejęciem:

- Tak... to przecież całkiem ona... No, czy nie miałam racji?... A co to za jedna?
- To Danae – odpowiedział malarz z uśmiechem.
- Co za Danae?
- Danae... bóstwo pogańskie.

Matka, która spodziewała się usłyszeć jakieś znane jej imię, zmieszana się, a chcąc to ukryć, zaczęła pouczać mnie, że będę musiała pozować zgodnie z życzeniami malarza, na przykład ułożyć się w pozycji leżącej, jak kobieta na reprodukcji, albo stojącej czy siedzącej, i nie poruszać się przez cały czas malowania. Malarz roześmiał się i powiedział, że matka zna się na tych rzeczach lepiej niż on sam. Matce to bardzo pochlebiło, zaczęła mu opowiadać, że także była modelką, i to jedną z najpiękniejszych w Rzymie, i że zmarnowała sobie życie wychodząc za mąż i porzucając swój zawód. Tymczasem malarz kazał mi się położyć na kanapce w głębi pracowni i sam ułożył mi ręce i nogi; zrobił to łagodnie, z namysłem i z pewnym roztargnieniem, zaledwie mnie dotykając, jak gdyby z góry widział mnie już w takiej pozycji, w jakiej chciał mnie malować. Potem zaczął szkicować na białym płótnie, rozciągniętym na sztalugach, a matce usta nie zamykały się ani na chwilę. Spozstrzegła jednak po chwili, że malarz, pochłonięty pracą, wcale jej nie słucha, i zapytała:

- Ile zamierza pan płacić moje córce?

Nie odrywając oczu od sztalug, malarz wymienił jakąś sumę. Matka chwyciła z krzesła moje ubranie i rzuciła mi je w twarz wołając:

- Szybko, ubieraj się, najlepiej będzie, jak zaraz stąd pójdziemy!
- Co się stało? – zapytał zdumiony malarz przerywając pracę.
- Nic, nic – odpowiedziała matka udając, że bardzo się spieszy. – Idziemy, Adriano, mamy jeszcze mnóstwo roboty.

- Jeżeli chcesz mi zaproponować inną cenę – rzekł malarz – to powiedz... Po co te wszystkie historie?

Matka zaczęła się wtedy z nim kłócić, wykrzykując na cały głos, że chyba rozum stracił, aby proponować mi tak mało, że nie jestem jedną z tych starych modelek, których nikt już nie chce, że mam szesnaście lat i pozuję po raz pierwszy w życiu. Matka, kiedy chce coś uzyskać, zawsze podnosi głos i wygląda, jakby gniewała się naprawdę. A tymczasem wcale tak nie jest, i ja, znając ją dobrze, wiem, że w rzeczywistości spokojna jest jak oliwa. Ale

krzyczy, tak jak krzyczą przekupki na targu, kiedy klient daje im za mało. Krzyczy przede wszystkim, kiedy ma do czynienia z ludźmi z lepszej sfery, bo wie, że przez dobre wychowanie zawsze w końcu ustępują.

Tak też stało się i tym razem: malarz ustąpił. Kiedy matka krzyczała, uśmiechał się i od czasu do czasu robił ręką gest, jak gdyby prosił, żeby dopuściła go do głosu. Matka zamilkła na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu, i wówczas malarz zapytał, ile żąda. Ale matka nie odpowiedziała od razu. Całkiem niespodziewanie zawołała:

– Chciałabym wiedzieć, ile płacił swojej modelce ten malarz, którego obraz mi pan pokazywał?

Malarz zaczął się śmiać:

– A cóż to ma do rzeczy... To były inne czasy... Może dał jej butelkę wina... a może parę rękawiczek...

Matka znów się zmieszała, tak samo jak wtedy, kiedy jej powiedział, że reprodukcja przedstawia Danae. Malarz pokpiwał sobie trochę z matki, zresztą bez cienia złośliwości, ale ona nie połapała się w tym. Znowu zaczęła krzyczeć, zarzucając mu skąpstwo i wynosząc pod niebiosa moją urodę. Potem udała nagle, że się uspokoiła, i wymieniła swoją cenę. Malarz targował się jeszcze przez chwilę i na koniec zgodził się na sumę nieco niższą od tej, jaką zaproponowała. Podeszedł do stolika, otworzył szufladę i zapłacił. Matka, bardzo zadowolona, wzięła pieniądze, dała mi jeszcze kilka ostatnich wskazówek i wyszła. Malarz poszedł zamknąć drzwi, po czym wrócił do sztalug i zapytał:

– Czy twoja matka zawsze tak krzyczy?

– Matka mnie kocha – odpowiedziałam.

– Mnie się wydaje – rzekł spokojnie, biorąc się do rysowania – że kocha przede wszystkim pieniądze.

– Nie, to nieprawda – zaprotestowałam żywo – kocha przede wszystkim mnie... Martwi ją, że urodziłam się biedna, i chciałaby, żebyśmy dobrze zarabiała.

Rozpisałam się tak o tej historii z malarzem, bo w tym dniu zaczęłam pracę, którą potem co prawda porzuciłam, a także dlatego, że zachowanie mojej matki przy tej okazji daje wyobrażenie o jej charakterze i o rodzaju uczuć, jakie dla mnie żywiła.

Kiedy pozowanie się skończyło, poszłam spotkać się z matką, która umówiła się ze mną w mleczarni. Zaczęła wypytywać, jak mi poszło, i kazała sobie dokładnie powtórzyć, o czym rozmawiałam w czasie pozowania z malarzem, który zresztą prawie się nie odzywał, bo był człowiekiem raczej mało mównym. W końcu powiedziała, że muszę bardzo na siebie uważać, chociaż ten malarz nie ma zapewne żadnych złych zamiarów, ale większość artystów bierze modelki po to, żeby zrobić z nich swoje kochanki. Powinnam więc twardo odrzucać wszelkie propozycje tego rodzaju.

– Wszyscy malarze to głodomory – wyjaśniła mi – i z góry wiadomo, że niczego dobrego nie można się po nich spodziewać... Ty ze swoją urodą godna jesteś lepszego losu... o wiele lepszego losu!

Matka prowadziła ze mną po raz pierwszy tego rodzaju rozmowę. Ale wypowiedziała to wszystko z wielką pewnością siebie, jak osoba, która mówi rzeczy od dawna przemyślane.

– Co to właściwie ma znaczyć? – zapytałam zdumiona.

Odpowiedziała mi niejasno:

– Ci ludzie umieją ubrać wszystko w piękne słówka, ale nie mają złamanego szeląga... Taka piękna dziewczyna jak ty powinna zadawać się tylko z prawdziwymi panami.

– Z jakimi panami? Nie znam żadnych panów! Spojrzała na mnie i odpowiedziała jeszcze bardziej

wymijająco:

– Na razie możesz być modelką... potem zobaczymy... na wszystko przyjdzie czas... – Przestraszyłam się, bo z oczu jej wyzierała zaciętość i zachłanność. Tego dnia nie pytałam już o nic więcej.

A zresztą przestrogi matki były całkiem zbyteczne, bo w owym okresie byłam i bardzo młoda, i bardzo poważna. Po tym pierwszym malarzu znalazłam wielu innych i szybko stałam się znana w pracowniach malarskich. Muszę przyznać, że wszyscy prawie malarze odnosili się do mnie grzecznie i z szacunkiem, pewnie dlatego, że mieli na celu nie umizgi, ale rysowanie i malowanie i podczas pracy patrzyli na mnie nie jak mężczyźni, ale jak artyści, jakbym była krzesłem czy jakimś innym przedmiotem. Przywykli do widoku modelek i moje nagie ciało, chociaż jędrne i prowokujące, nie robiło na nich wrażenia, tak jak to bywa i u lekarzy. Często natomiast wprawiali mnie w zakłopotanie ich goście. Przychodzili do pracowni i wdawali się z nimi w pogawędkę. Zorientowałam się od razu, że chociaż usiłują przybrać obojętny wyraz twarzy, nie mogą oderwać wzroku od mojego ciała. Niektórzy zachowywali się po prostu bezwstydnie i kręcili się po całej pracowni tylko po to, żeby móc mi się przyjrzeć ze wszystkich stron. Ich spojrzenia i niedwuznaczne aluzje rozbudziły we mnie kokieterię, świadomość własnej urody oraz zrozumienie korzyści, jakie będę mogła z niej ciągnąć. Na koniec nie tylko przyzwyczaiłam się do tego ich natręctwa, ale nawet zmieszanie mężczyzn odwiedzających pracownię sprawiało mi przyjemność, a jeżeli któryś z nich pozostawał obojętny na mój widok, byłam rozczarowana. I tak próżność sprawiła, że bezwiednie zaczęłam myśleć tak, jak sobie tego życzyła moja matka: że gdybym tylko chciała, mogłabym dzięki mojej urodzie żyć zupełnie inaczej.

W owym czasie myślałam przede wszystkim o tym, żeby wyjść za mąż. Zmysły moje nie były jeszcze rozbudzone i mężczyźni, którzy przyglądali mi się podczas pozowania, podniecali tylko moją próżność, nie wzbudzając we mnie żadnych innych uczuć. Oddawałam matce wszystkie zarobione pieniądze, a w wolnych chwilach pomagałam jej kroić i szyć koszule, co stanowiło jedyne źródło naszego utrzymania, odkąd umarł ojciec, który był kolejarzem. Miałymy mieszkancko na drugim piętrze niskiego, długiego domu, wybudowanego dla pracowników kolejowych pięćdziesiąt lat temu przy podmiejskiej ulicy, ocienionej platanami. Po jednej stronie wyrastały budynki zupełnie podobne do naszego, wszystkie jednakowe, wszystkie dwupiętrowe o fasadach z nie otynkowanej cegły; na każdym piętrze znajdowało się po sześć okien, a pośrodku brama; po drugiej stronie ciągnęły się od wieży do wieży stare mury miejskie, na tym odcinku dobrze zachowane i porośnięte gęstą zielenią. Brama w murze znajdowała się o kilka kroków od naszego domu. Nieco dalej przylegały do murów tereny lunaparku, który w sezonie jarzył się od świateł i rozbrzmiewał muzyką. Wyglądając trochę na ukos z naszego okna, widziałam festony żarówek, dachy pawilonów ozdobione chorągiewkami i tłumy ludzi cisnących się przed wejściem pod konarami platanów. Muzyka była donośna i często nocami nie spałam marząc z otwartymi oczyma. Wydawało mi się, że dźwięki te dochodzą z jakiegoś nieosiągalnego, przynajmniej dla mnie, świata, a mój ciemny, ciasny pokój jeszcze potęgował to uczucie. Wydawało mi się, że ludność całego miasta zebrała się w lunaparku i że brakowało tam tylko mnie jednej. Miałam ochotę wstać, żeby przyłączyć się do innych, ale leżałam bez ruchu, a dźwięki muzyki, grającej nieprzerwanie przez całą noc, nasuwały mi myśli, że los wyzwał mnie ze wszystkiego, i sama nie wiedziałam, za jakie winy. Czasami płakałam słuchając tej muzyki, rozgoryczona swoją samotnością. W tym okresie mojego życia byłam bardzo uczuciowa; wystarczył byle drobiazg, błaha sprzeczka z przyjaciółką, wymówka ze strony matki, wzruszająca scena w kinie, a już łzy kręciły mi się w oczach. Może nie doznawałabym tego uczucia, że ten szczęśliwy świat jest dla mnie niedostępny, gdybym w dzieciństwie nie była tak krótko trzymana przez matkę, która nie pozwalała mi ani

na lunapark, ani na żadne inne przyjemności. Ale wdowieństwo matki, jej borykanie się z nędzą, a przede wszystkim wrogie nastawienie do wszelkiego rodzaju rozrywek, których jej los poskąpił, sprawiły, że noga moja nie powstała w lunaparku ani w ogóle nigdzie, gdzie można się było zabawić; zmieniło to się dopiero wówczas, kiedy zaczęłam dorastać i charakter mój był już ukształtowany. I to zapewne wzbudziło we mnie przekonanie, że dla mnie zamknięty jest ten świat szczęścia i wesołości, przekonanie, które nękało mnie całe życie i nie opuszczało nawet w chwilach szczęścia.

Wspomniałam już, że w owym czasie myślałam przede wszystkim o tym, żeby wyjść za mąż, i mogę nawet opisać, jak to sobie wyobrażałam. U wylotu naszej ulicy zaczynała się dzielnica trochę mniej uboga. Zamiast długich i niskich domów kolejowych, które przypominały stare, zakurzone wagony, stały tam liczne domki otoczone ogródkami. Nie były luksusowe, mieszkali w nich urzędnicy i drobni kupcy, ale w porównaniu z naszą rudera przywodziły na myśl życie beztroskie i dostatnie. Przede wszystkim każdy z nich był inny, a poza tym nie widać tam było popękanych, wyszczerbionych, szerniałych miejscami murów, jak w naszej kamienicy, której wygląd nasuwał przypuszczenie, że mieszkańcy jej od dawna zubożeli na wszystko. Ogródki otaczające domki, małe, ale gęsto zarośnięte, miały w sobie coś zaciszego, zazdrośnie strzeżonego przed gwarem i ruchem ulicznym. A tymczasem w naszym domu wszędzie było się jak na ulicy: i w obszernej sieni, która wyglądała jak magazyn towarów, i na klatce schodowej, szerokiej, pustej, niechlujnej, i nawet w pokojach, gdzie rozklekotane, zniszczone meble przypominały graty wystawiane na sprzedaż przez handlarzy starzyzny na ulicznych chodnikach.

Pewnego letniego wieczoru, spacerując z matką po tej ulicy, zobaczyłam przez okno w jednym z domków scenę rodzinną, która utkwiła mi głęboko w pamięci, bo odpowiadała dokładnie pojęciom, jakie wyrobiłam sobie o przyzwoitym, normalnym życiu. Mały, ale czyściutki pokoik, tapety w kwiaty, kredens, lampa wisząca nad nakrytym stołem. Przy stole siedziały dwie czy trzy dorosłe osoby i troje dzieci, w wieku od ośmiu do trzynastu lat. Na środku stołu dymiła waza; matka stojąc rozlewała zupę na talerze. Może się to wydawać dziwne, ale największe wrażenie zrobiła na mnie wisząca pośrodku lampa, a raczej nadzwyczaj miły, codzienny wygląd, jakiego wszystko nabierało w jej świetle. Później, myśląc o tym obrazku rodzinnym, powiedziałam sobie stanowczo, że muszę dążyć do tego, aby zamieszkać kiedyś w takim właśnie domu, mieć taką właśnie rodzinę i żyć w kręgu tego światła, które zdawało się mówić o spokojnej, trwałej miłości. Wiele osób będzie uważało, że miałam skromne aspiracje, ale trzeba pamiętać, w jakich warunkach wówczas żyłam. Na mnie, urodzonej w domu kolejarzy, domek ten robił na pewno takie samo wrażenie, jakie na jego mieszkańcach, którym tak zazdrościłam, wywierały największe i najbogatsze domy w eleganckich dzielnicach miasta. Tak więc każdy wybiera sobie raj, który jest piekłem dla innych.

Matka natomiast roiła o wielkiej przyszłości dla mnie; ale jak szybko się przekonałam, projekty jej nie miały nic wspólnego z moimi marzeniami o urządzeniu sobie życia. Jednym słowem, myślała o tym, że piękność moja pozwoli mi zdobyć wszelkiego rodzaju powodzenie, ale nie o tym, że mogę po prostu wyjść za mąż i założyć rodzinę. Żyliśmy w nędzy i jak już wspomniałam, moja uroda była jedynym bogactwem, jakim mogliśmy rozporządzać, i to nie tylko ja, ale i matka, choćby dlatego, że to ona wydała mnie na świat. Miałam rozporządzać tym bogactwem w porozumieniu z nią, nie oglądając się na dobre obyczaje, byle tylko poprawić nasze położenie. Wypływało to prawdopodobnie z jej braku wyobraźni. W sytuacji takiej jak nasza wykorzystanie mojej osoby było jedynym pomysłem, jaki przyszedł jej do głowy. I matka uczepliła się go raz na zawsze.

Wówczas nie rozumiałam jeszcze projektów matki. Ale i później, kiedy stały się już one dla mnie zupełnie

oczywiste, nie miałam nigdy odwagi jej zapytać, jak się to mogło stać, że mając takie poglądy na życie wyszła za mąż za kolejarza i znalazła się w skrajnej nędzy. Z wielu robionych przez nią aluzji wywnioskowałam, że przyczyną jej nieszczęść byłam właśnie ja, moje nieoczekiwane i niepożądane przyjscie na świat. Innymi słowy, o urodzeniu moim zdecydował przypadek; matka nie miała odwagi przerwać ciąży (co, sądząc z jej słów, powinna była zrobić), musiała więc wyjść za mojego ojca i wziąć na siebie konsekwencje tego małżeństwa. Często, gdy była o tym mowa, matka powtarzała: „Ty stałaś się moją ruiną”; początkowo zdanie to było dla mnie niejasne i sprawiało mi wielką przykrość, ale zrozumiałam je dopiero później. A miało ono znaczyć: „Gdyby nie ty, nie wyszłabym za mąż i dziś jeździłabym autem”. Łatwo pojąć, że tak osądzając swoje życie, nie chciała, żeby córka, o wiele ładniejsza od niej, popełniła te same błędy i żeby spotkał ją taki sam los. Nawet dzisiaj, kiedy patrzę na to wszystko z odległości czasu, nie mogę mieć do niej żalu. Dla matki pojęcie rodziny kojarzyło się z nędzą, niewolą i krótkimi radośniejszymi momentami, które skończyły się szybko wraz ze śmiercią ojca. Było naturalne, a nawet do pewnego stopnia słuszne, że uważała uczciwe rodzinne życie za dopust Boży i czuwała nade mną, żeby i mnie nie pociągnęły te miraże, które ją zgubiły.

Na swój sposób matka bardzo mnie kochała. Kiedy zaczęłam chodzić do pracowni malarskich, uszyła mi sukienkę i kostiumik. Powiedziawszy prawdę, ucieszyłabym się o wiele bardziej z nowej bielizny, bo ta, w której chodziłam, była ordynarna, postrzępiona i nie zawsze pierwszej czystości, tak że wstydziłam się, ilekroć musiałam się rozbierać; ale matka powiedziała, że pod spodem mogę nosić nawet łachmany, bylebym tylko dobrze prezentowała się na zewnątrz. Wybrała dwa tanie wzorzyste materiały w jaskrawych kolorach i sama skroiła sukienki. Ale ponieważ była bieliźniarką, a nie krawcową, sknociła obydwie, chociaż wysiliła wszystkie swoje umiejętności, żeby uszyć je jak najlepiej. Pamiętam, że sukienka miała głęboki dekolt w szpic, który odsłaniał mi piersi, i musiałam zawsze spinać go szpilką. Żakiet od kostiumiku był za krótki i tak ciasny, że po prostu pękał w białym i na biodrach. Spódniczka natomiast była za szeroka i fałdowała się na brzuchu. Mnie jednakże te rzeczy wydawały się bardzo eleganckie, bo do tej pory bywałam zawsze jeszcze o wiele gorzej ubrana; nosiłam krótkie spódniczki, które odsłaniały mi uda, tandetne trykotowe koszulki, stare szale. Matka kupiła mi także dwie pary jedwabnych pończoch; dotychczas chodziłam tylko w skarpetkach, z gołymi kolanami. Dary te napełniły mnie radością i dumą; nie przestawałam podziwiać ich i cieszyć się nimi; stapałam po ulicy krokiem pełnym godności, z wypiętą naprzód pierśią, jak gdybym miała na sobie nie te nędzne łaszki, ale kosztowną suknię z wytwornego domu mody.

Matka myślała stale o mojej przyszłości i wkrótce zaczęła okazywać niezadowolenie z powodu mojego zawodu modelki. Według niej zarabiałam za mało; poza tym malarze i ich znajomi byli ludźmi niezamożnymi i nie było nadziei, że w ich pracowniach mogła zawrzeć jakąś korzystną znajomość.

Matce przyszło nagle do głowy, że mogłabym zostać tancerką. Miała wciąż wielkie ambicje, podczas gdy ja, jak już wspomniałam, myślałam tylko o spokojnym życiu przy boku męża, wśród dzieci. Ten pomysł z tańcem nasunął jej się w związku z zamówieniem, jakie zrobił u niej dyrektor trupy kabaretowej, która występowała w kinie, w przerwach między seansami. Nie uważała, żeby zawód tancerki był specjalnie korzystny, ale, jak zwykła powtarzać: „Jedno wiąże się z drugim”; mogło się zdarzyć, że występując na scenie zwróciłabym na siebie uwagę jakiegoś zamożnego pana.

Pewnego dnia matka oznajmiła, że rozmawiała już z tym dyrektorem, który zgodził się, żeby mnie do niego

zaprowadziła. Wybrałyśmy się rano do hotelu, w którym mieszkał dyrektor z całą trupą. Pamiętam, że hotel ten mieścił się w ogromnym starym gmachu, tuż koło dworca. Było już prawie południe, ale na korytarzach panował mrok. Pozostały z nocy zaduch setki pokoi wisiał w powietrzu i z trudem można było oddychać. Przebiegłyśmy kilka korytarzy i na koniec znalazłyśmy się w ciemnym przedpokoju; trzy tancerki przy akompaniamencie fortepianu tańczyły w tej dziurze, jak gdyby znajdowała się na scenie. Fortepian stał w kącie obok oszklonych mlecznymi szybami drzwi ubikacji, w przeciwległym kącie leżała cała sterta brudnych prześcieradeł. Pianista, wynędzniały staruszek, grał z pamięci i zrobił na mnie wrażenie, jak gdyby myślał zupełnie o czymś innym albo po prostu drzemał. Tancerki, a wszystkie były młode, pozdejmowały bluzki i miały na sobie tylko króciutkie spódniczki. Obejmowały się w pól i kiedy pianista zaczynał grać, cała trójka ruszała w stronę sterty prześcieradeł podnosząc wysoko nogi i machając nimi najpierw w prawo, a potem w lewo, po czym odwracały się i podrygiwały prowokująco, poruszając biodrami, co dziwnie nie pasowało do tego ciemnego, niechlujnego miejsca. Przyglądałam im się i kiedy widziałam, jak tupiąc o podłogę, głośno wybijają nogami takt, czułam, że tracę całą odwagę. Wiedziałam, że chociaż moje nogi są długie i mocne, nie mam najmniejszych zdolności do tańca. Chodziłam już, razem z moimi dwiema przyjaciółkami, na lekcje do szkoły baletowej w naszej dzielnicy. Obydwie od razu złapały takt i nauczyły się poruszać nogami i podrygiwać biodrami jak zawodowe baletnice, ja natomiast ruszałam się tak niezdarnie, jak gdybym od pasa w dół odlana była z ołowiu. Wydawało mi się, że jestem zbudowana inaczej niż wszystkie dziewczęta, ciężko, masywnie, i wiedziałam, że nie rozruszam się nawet przy muzyce. Potem, kiedy tańczyłam kilkakrotnie i czułam ramię tancerza opasujące mi talię, ogarniała mnie dziwna słabość i z trudem powłóczyłam nogami. Nawet malarz powiedział mi pewnego razu; „Ty, Adriano, powinnaś się była urodzić czterysta lat temu... Wówczas podobały się obfite kształty... Dzisiaj, kiedy modne są chude kobiety, jesteś jak ryba bez wody... Za kilka lat będziesz wyglądała jak Junona”. Pomylił się w swoich przypuszczeniach, bo upłynęło już pięć lat od tej pory, a wcale nie przybyło mi na wadze; ale miał rację mówiąc, że nie jestem stworzona na dzisiejsze czasy, kiedy największe szansę mają szczupłe kobiety. Cierpiałam nad tym, chciałam schudnąć za wszelką cenę i móc tańczyć jak inne dziewczęta. Ale chociaż jadałam bardzo niewiele, zawsze byłam masywna niczym posąg i w tańcu nie umiałam uchwycić szybkiego, skoczego rytmu nowoczesnych melodii.

Powiedziałam to wszystko matce, bo wiedziałam, że wizyta u dyrektora trupy kabaretowej musi źle się skończyć, i upokarzała mnie myśl o jego odmowie. Ale matka od razu zaczęła krzyżeć, że jestem bez porównania piękniejsza od tych wszystkich wywłok produkujących się na scenie, że dyrektor powinien dziękować Bogu za możliwość zaangażowania mnie do swego zespołu, i tym podobne rzeczy. Matka nie miała pojęcia, na czym polega nowoczesna uroda, i była święcie przekonana, że kobieta tym jest piękniejsza, im obfitsze ma kształty.

Dyrektor oczekiwał nas w przyległym pokoju, skąd zapewne przez otwarte drzwi obserwował próbę. Siedział na fotelu stojącym w nogach rozgrzebanego łóżka. Na kołdrze stała taca z kawą, bo skończył właśnie jeść śniadanie. Był gruby i stary, ale wymuskany, wypomadowany i ubrany z krzyczącą elegancją, która dziwnie się nie zgadzała z rozrzuconą pościelą i stęchłym zaduchem tego ciemnego pokoju. Miał twarz kwitnącą, która zrobiła na mnie wrażenie uszmkowanej, bo poprzez różowość policzków prześwitywały nieregularne, ciemne, chorobliwe plamy. Nosił monokl i nieustannie poruszał wargami, ciężko dysząc i pokazując garnitur niezwykle białych zębów, których widok nasuwał zaraz myśl, że muszą być sztuczne. Jak już podkreśliłam, ubrany był nadzwyczaj elegancko; do dziś pamiętam jego muszkę o takim samym deseniu i kolorze jak chusteczka, wystająca z kieszonki. Siedział z

wysuniętym naprzód brzuchem i kiedy skończył jeść, wytarł sobie usta, po czym powiedział znudzonym, prawie płaczącym głosem:

– No, pokaż nogi!

– Pokaż nogi panu dyrektorowi! – ponaglała mnie matka.

Przestałam się wstydzić od czasu, kiedy zostałam modelką, zadarłam więc sukienkę i stanęłam nieruchomo, trzymając w rękach spódnice i odsłaniając gołe nogi. Mam śliczne nogi, proste i wyjątkowo długie, tyle tylko, że w udach są bujnie rozrośnięte, krągłe, masywne. Dyrektor taksował mnie wzrokiem, kiwając głową, po czym zapytał:

– Ile masz lat?

– Skończyła osiemnaście w sierpniu – skwapliwie odpowiedziała matka.

Dyrektor nie wyrzekł ani słowa i dysząc podszedł do gramofonu, który stał na stole, gdzie walały się papiery i różne części garderoby. Pokręcił korbką, z namysłem wybrał płytę, nastawił ją i powiedział:

– A teraz spróbuj zatańczyć w takt tej muzyki... spódnice trzymaj podkasaną...

– Była tylko kilka razy na lekcjach tańca – wtrąciła matka. Zdawała sobie sprawę, że będzie to decydująca próba, i znając moją niezdarność, bała się wyników egzaminu.

Ale dyrektor zrobił gest ręką, jakby chciał ją uciszyć, puścił od początku płytę i ponownym ruchem ręki zachęcił mnie do tańca. Zaczęłam więc tańczyć, unosząc w rękach spódnice. W rzeczywistości wyglądało to tak, że zaledwie poruszałam nogami to w jedną, to w drugą stronę, ciężko i ospale, a poza tym czułam, że robię to nie do taktu. Dyrektor stał przy gramofonie z łokciami opartymi o stół i z twarzą zwróconą w moją stronę. Nagle zatrzymał płytę, wrócił na fotel i wykonał ręką dość wymowny gest w stronę drzwi.

– Czy niedobrze poszło? – zapytała matka natarczywie i już agresywnie.

Odpowiedział nie patrząc na nią (szukał w kieszeni papierosnicy):

– Nie, nie poszło dobrze.

Wiedziałam, że kiedy matka przybiera pewien ton, zaraz zacznie się awantura, więc pociągnęłam ją za rękaw. Ale ona szorstko mnie odepchnęła i, wlepiając w dyrektora rozplomienione oczy, powtórzyła jeszcze głośniejsze:

– Niedobrze poszło? A czy można wiedzieć, dlaczego?!

Dyrektor wyciągnął już papierosy i szukał teraz zapalek. Był otyły i wydawało się, że męczy go najmniejsze poruszenie. Chociaż sapał, odpowiedział spokojnie:

– Nie poszło dobrze, bo ona nie ma ani zdolności do tańca, ani odpowiednich warunków fizycznych.

Nastąpiło to, czego się obawiałam; matka zaczęła wykrzykiwać to samo, co zawsze: że jestem skończoną pięknnością, że twarz mam jak Madonna, żeby popatrzeć, co za piersi, biodra, nogi! Dyrektor obojętnie zapalił papierosa i patrzył na nią, czekając, aż skończy. Wreszcie powiedział znudzonym, płaczącym głosem:

– Za kilka lat twoja córka zostanie może dobrą mamką... ale tancerką nigdy.

Dyrektor nie wiedział, do jakich występów zdolna jest moja matka; toteż po chwili był tak zdumiony, że przestał palić papierosa i siedział z otwartymi ustami. Chciał coś powiedzieć, ale matka nie dopuściła go do głosu. Była chuda i wątła i trudno było doprawdy pojąć, skąd czerpie siłę, żeby tak wrzeszczeć i tak gestykulować. Obrzuciła dyrektora stekiem wyzwick, nie oszczędzając przy tym i trzech tancerek, które widziałyśmy w przyległym pokoju. Na koniec chwyciła jedwabny materiał na koszule, który dyrektor dał jej do uszycia, i rzuciła mu go w

twarz, wołając:

– Koszule niech pan sobie szyje u kogo innego... choćby u swoich baletnic... Żeby mnie pan nawet chciał ozłocić, to ich nie wezmę! – Ta nagła decyzja była czymś zupełnie niespodziewanym dla dyrektora, który zamienił się w słup soli, spowity od stóp do głów w zwoje koszulowego jedwabiu. Ja tymczasem nie przestawałam ciągnąć matki za rękaw, prawie płacząc ze wstydu i upokorzenia. Na koniec dała się przekonać, zostawiłyśmy dyrektora odwijającego się z beli materiału i wyszłyśmy z pokoju.

Następnego dnia opowiedziałam wszystko malarzowi, który stał się do pewnego stopnia moim powiernikiem. Zaśmiewał się z powiedzenia dyrektora, że w przyszłości mogę zostać dobrą mamką, a potem rzucił:

– Moja biedna Adriano, nieraz ci już mówiłem, że popełniłaś omyłkę przychodząc na świat w dzisiejszych czasach... Trzeba ci było urodzić się czterysta lat temu: to, co teraz uważane jest za defekt, było wówczas zaletą, i odwrotnie... Ten dyrektor ma rację ze swojego punktu widzenia, wie, że publiczność chce oglądać szczupłe blondynki o płaskich piersiach, wąskich biodrach i wyzywającym, ironicznym wyrazie twarzy. Ty natomiast, chociaż nie gruba, jesteś jednak pełna, czarnowłosa, masz wydatny biust i krągłe biodra, a twarzyczkę łagodną i spokojną. Co możesz na to poradzić? Dla mnie nadajesz się doskonale... Bądź dalej modelką, potem, pewnego pięknego dnia, wyjdiesz za mąż i będziesz miała mnóstwo podobnych do ciebie dzieci, czarnych, pulchniutkich, z łagodnymi, spokojnymi buziemi.

Powiedziałam energicznie:

– Tego właśnie chcę!

– Jesteś dzielną dziewczyną – odrzekł na to malarz. – A teraz pochyl się trochę na bok... o tak.

Ten malarz lubił mnie bardzo na swój sposób; i może gdyby nie wyjechał z Rzymu i pozostał nadal moim powiernikiem, dawałby mi dobre rady i moje sprawy przybrałyby inny obrót. Ale narzekał stale na trudności ze sprzedażą obrazów i korzystając z okazji, że w Mediolanie urządzano mu wystawę, wyjechał tam na stałe. Uśluchałam jego rady i byłam w dalszym ciągu modelką. Ale inni malarze nie byli tacy mili i uprzejmi jak on i nie miałam ochoty rozmawiać z nimi o moim życiu. Było to zresztą życie istniejące wyłącznie w mojej wyobraźni, składające się ze snów, marzeń i nadziei, bo w owym okresie nie przydarzyło mi się nic nowego.

Rozdział 2

Byłam więc w dalszym ciągu modelką, chociaż matka sarkana na mnie, że za mało zarabiam. W owym czasie była stale w złym humorze i chociaż mi tego nie mówiła, wiedziałam, że główną przyczyną jej niezadowolenia jestem ja. Jak już wspominałam, wielką stawką jej życia była moja uroda i spodziewała się Bóg wie jakich sukcesów i pieniędzy; zawód modelki traktowała jako pierwszy stopień, po którym nastąpić miał dalszy ciąg, bo, według jej stałego powiedzenia, „jedno wiąże się z drugim”. Widząc, że jestem nadal skromną modelką, była rozgoryczona i miała do mnie żal, jak gdybym przez swój brak ambicji odebrała jej pewny zarobek. Naturalnie nie mówiła mi wprost tego, co myśli, ale dawała mi to do zrozumienia opryskliwym zachowaniem, aluzjami, westchnieniami, smutnymi spojrzeniami, jednym słowem, na wszystkie możliwe sposoby. Był to nieustający szantaż; zrozumiałam wówczas, dlaczego tyle dziewcząt prześladowanych stale w taki właśnie sposób przez ambitne i zawiedzione w swoich nadziejach matki ucieka nagle z domu, oddając się pierwszemu lepszemu mężczyźnie, byle tylko skończyć raz na zawsze z tym piekłem. Oczywiście matka postępowała tak dlatego, że mnie kochała; ale było to uczucie, jakie miewają gospodynie dla kur, które dobrze się niosą; a gdy kury przestaną się nieść, gospodynie zaczynają ważyć je w rękę i zastanawiają się, czy nie opłaciłoby się ich zarznąć na rosół.

Jak nieświadomym i nieskończenie cierpliwym jest się w okresie wczesnej młodości! Miałam wtedy okropne życie i wcale nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wszystkie pieniądze zarobione za długie, męczące, nudne godziny pozowania oddawałam matce; a wolne chwile, kiedy nie musiałam siedzieć nago, zmarznięta i obolała, spędzałam pochylona nad maszyną do szycia, nie odrywając oczu od igły, żeby pomóc matce w robocie. Pracowałam do późna w noc i wstawałam o świcie, bo pracownie były daleko, a pozowanie rozpoczynało się wczesnym rankiem. Zanim wyszłam do pracy, słałam łóżko i pomagałam matce sprzątać mieszkanie. Byłam doprawdy niezmordowana, uległa i cierpliwa; a przy tym zawsze pogodna, wesoła i cicha, nie znałam uczucia zawiści ani zazdrości. Przepełniała mnie wdzięczność i łagodność, cechy właściwe młodości. Nie widziałam szpetoty naszego mieszkania, nie raził mnie obszerny pusty pokój służący jako szwalnia, ze stojącym na środku dużym stołem, zawalonym resztkami materiałów, ani ciemne, obdrapane ściany, najeżone gwoździemi, na których wisiały rozmaite łachy, ani wyplatane dziurawe krzesła. W sypialni nad małżeńskim łóżkiem, w którym sypiałam z matką, rozlewała się na suficie duża plama wilgoci, z której podczas deszczu kapłała na nas woda. W małej czarnej kuchence zawsze pełno było brudnych talerzy i garnków, których matka, mało dbająca o gospodarstwo domowe, nigdy nie zmywała od razu. Nie wiedziałam, że się poświęcam, że żyję pozbawiona jakichkolwiek rozrywek, miłości, przywiązania. Kiedy pomyślę o tym, jaką dobrą, niewinną dziewczyną byłam wówczas, ogarnia mnie współczucie dla siebie samej, odczuwam taki sam smutek i bezradność, jak podczas czytania niektórych powieści, gdzie szlachetny bohater boryka się z losem i chciałoby się mu pomóc, chociaż to niemożliwe. Ale tak się już dzieje, że dobroć i niewinność jakoś nie są mężczyznom potrzebne; i czyż jedna z zagadek życia nie polega na tym, że wrodzone zalety, wychwalane przez wszystkich, stają się właśnie źródłem wielkiej niedoli w życiu.

Wtedy ludziłam się, że spełnią się moje marzenia o wyjściu za mąż i założeniu rodziny. Co rano wsiadałam do tramwaju na placu, nie opodal naszego domu, gdzie wśród innych budynków stały także długie, niskie garaże.

Widywałam tam zawsze o tej porze młodego chłopca, który czyścił swój samochód i przyglądał mi się z zainteresowaniem. Był bardzo przystojny. Miał twarz śniadą, delikatną, regularną, prosty mały nos, czarne oczy, pięknie zarysowane usta i białe zęby. Ogromnie przypominał znanego wówczas amerykańskiego aktora filmowego i dlatego zwróciłam na niego uwagę, a początkowo brałam go nawet za kogoś lepszego, bo był elegancko ubrany i zachowywał się skromnie i wytwornie. Myślałam, że jest człowiekiem zamożnym i że samochód należy do niego, słowem, że jest jednym z tych „panów”, o których tak często mówiła matka.

Bardzo mi się podobał, ale myślałam o nim tylko wtedy, kiedy go spotykałam, potem, wśród bieganiny po pracowniach malarskich, zapominałam o jego istnieniu. Nie zdawałam sobie sprawy, że uwiódł mnie samymi tylko spojrzzeniami. Pewnego ranka, kiedy jak zwykle czekałam na tramwaj, usłyszałam szept „kici, kici”, jak woła się koty; obejrzałam się i zobaczyłam go w samochodzie, zapraszającego mnie uprzejmym gestem, żebym usiadła przy nim. Nie wahałam się ani przez chwilę i z bezmyślną uległością, która mnie samą zdziwiła, podeszłam do auta. Otworzył drzwiczki; wsiadając zobaczyłam jego dłoń opartą o otwarte okno; była duża i spracowana, z połamanymi brudnymi paznokciami i wskazującym palcem pożółkłym od nikotyny, ręka mężczyzny pracującego fizycznie. Ale nie powiedziałam nic i wsiaadłam.

– Dokąd mam panią zawieźć? – zapytał zatrzaszkując drzwiczki.

Podaję mu adres jednej z pracowni. Zauważyłam, że ma miły głos, który mi się spodobał, mimo że wyczuwałam w nim jakąś nienaturalną i fałszywą nutę. Odpowiedział:

– Możemy się trochę przejechać... jest jeszcze bardzo wcześnie. A potem zawiozę panią, gdzie pani sobie życzy. – Samochód ruszył.

Wyjechaliśmy z naszej dzielnicy aleją ciągnącą się wzdłuż murów, przejechaliśmy długą ulicę zabudowaną składami towarów i maleńkimi domkami i w końcu znaleźliśmy się wśród pól. Tutaj dodał gazu i zaczął pędzić jak szalony po drodze wysadzonej dwoma rzędami platanów. Co chwila, nie patrząc na mnie, wskazywał na szybkościomierz. „Jedziemy teraz osiemdziesiąt... dziewięćdziesiąt... sto... sto dwadzieścia... sto trzydzieści...” Chciał oszołomić mnie szybkością, ale ja byłam niespokojna, bo spieszyłam się na pozowanie i bałam się, że samochód się zepsuje i staniemy wtedy w szerym polu. A tymczasem on nagle zahamował, zgasił motor i odwrócił się w moją stronę:

– Ile pani ma lat?

– Osiemnaście – odpowiedziałam.

– Osiemnaście... Myślałem, że więcej. – Miał rzeczywiście nienaturalny głos, który chwilami, dla podkreślenia jakiegoś słowa, obniżał, jak gdyby mówił sam do siebie albo zwierzał się z jakiegoś sekretu. – A jak pani na imię?

– Adriana... A panu?

– Gino.

– A czym pan jest? – zapytałam.

– Jestem handlowcem – odpowiedział bez chwili wahania.

– A ten samochód jest pana własnością?

Spojrzał z pewną wzdargą na samochód i oświadczył:

– Tak, to mój samochód.

– Nie wierzę w to – odpowiedziałam szczerze.

– Nie wierzy pani... o moja piękna – odrzekł bez cienia zmieszania i zniżając głos powtórzył zdumionym i żartobliwym tonem: – O moja piękna... a dlaczego?

– Pan jest szoferem.

Starł się podkreślić jeszcze bardziej swoje pełne ironii zdumienie:

– Niesłychane rzeczy mi pani mówi... proszę, proszę... Szofer... A co pani nasunęło tę myśl?

– Pańskie ręce.

Spojrzał na swoje ręce nie tracąc rezonu i odpowiedział:

– Nic nie da się ukryć przed panią... Ale co za oko!... No tak, jestem szoferem, to prawda... W porządku?

– Nie, nie w porządku – odpowiedziałam niechętnie. – Proszę mnie natychmiast odwieźć do miasta.

– Ale dlaczego? Gniewa się pani na mnie za to, co powiedziałem? Że jestem handlowcem?

W tej chwili rzeczywiście byłam na niego zła, sama nie wiedząc dlaczego i właściwie wbrew własnej woli.

– Nie mówmy o tym więcej... i proszę mnie odwieźć z powrotem.

– Przecież to był żart... Nie można sobie pożartować?

– Nie lubię takich żartów.

– Ach, jaka z pani złościca... Ja myślałem sobie tak: „Ta panienka to może jakaś księżniczka... Jeżeli się dowie, że jestem tylko biednym szoferem, nie będzie chciała na mnie patrzeć. Trzeba jej powiedzieć, że jestem handlowcem”.

Były to chytrze obmyślane słowa, pochlebne, wyrażające jego podziw dla mnie. Poza tym powiedział to tak miło, że podbił mnie od razu.

– Nie jestem księżniczką – odrzekłam. – Sama zarabiam na życie, jestem modelką... tak jak pan szoferem...

– Co to znaczy: modelką?

– Chodzę do pracowni malarzy, rozbieram się do naga i oni rysują mnie i malują.

– Ale czy pani ma matkę? – zapytał ze sztucznym przejęciem.

– Oczywiście, że mam... A dlaczego?

– I pani matka pozwala, żeby się pani rozbierała w obecności mężczyzn?

Nigdy nie przeszło mi przez głowę, zresztą całkiem słusznie, żeby w moim zawodzie było coś niewłaściwego, ale spodobały mi się tego rodzaju zapatrywania, dobrze świadczące o jego moralności i solidności. Jak już wspominałam, spragniona byłam tylko jednego: spokojnego życia, a on był na tyle sprytny, że wyczuł doskonale (do dzisiaj nie wiem, jak do tego doszedł), o czym ma ze mną mówić, a o czym nie. Inny, nie mogłam powstrzymać się od tej myśli, zaczęłyby żartować sobie ze mnie albo okazałyby niedyskretne podniecenie na myśl o moim nagim ciele. Tak więc niemiłe wrażenie, jakie odniosłam po jego pierwszym kłamstwie, zatarło się prawie natychmiast; pomyślałam, że musi to być poważny, uczciwy chłopak, taki właśnie, jakiego od dawna wymarzyłam sobie na męża. Odpowiedziałam po prostu:

– To właśnie mama wynalazła mi tę pracę.

– To znaczy, że pani nie kocha.

– Nie – zaprotestowałam – kocha mnie. Ale ona też była modelką jako młoda dziewczyna, a poza tym

zapewniam pana, że nie ma w tym nic złego. Wiele poważnie myślących dziewcząt w ten sposób zarabia na życie.

Potrząsnął głową przecząco; potem przykrył moją rękę swoją dłonią i rzekł:

– Cieszę się, że panią poznałem... bardzo się cieszę...

– Ja też – odpowiedziałam naiwnie.

W tym momencie poczułam przypływ uczucia dla niego i prawie czekałam na to, żeby mnie pocałował. Nie broniłabym się, gdyby to zrobił. Ale on powiedział tylko poważnym, opiekuńczym tonem:

– Gdyby to zależało ode mnie, na pewno nie byłaby pani modelką.

Nagle doznałam uczucia, że dzieje mi się krzywda, i byłam mu serdecznie wdzięczna.

– Taka dziewczyna jak pani – ciągnął dalej – powinna być w domu, a nawet i pracować... ale znaleźć jakieś uczciwe zajęcie, które nie narażałoby jej honoru. Taka dziewczyna jak pani powinna wyjść za mąż, mieć swój dom, dzieci, męża...

Tego przecież tylko pragnęłam i nie umiem opisać, jak bardzo byłam szczęśliwa, że on myśli, a przynajmniej zdaje się myśleć tak samo.

– Ma pan rację – powiedziałam – ale mimo to niech pan nie myśli źle o mojej matce... Ona mnie naprawdę kocha i właśnie dlatego chciała, żebym została modelką.

– Coś mi na to nie wygląda – powiedział twardo i pogardliwie.

– Tak, kocha mnie... tylko nie rozumie pewnych rzeczy.

Rozmawialiśmy dalej w tym samym tonie, siedząc w samochodzie. Był maj, pamiętam, ciepły dzień majowy; jak daleko sięgał wzrok, cienie platanów tańczyły na szosie. Nikt tędy nie przechodził, czasami tylko szybko przejeżdżał jakiś samochód; zielone, zalane słońcem pola także były całkiem opustoszałe. Gino spojrzął w końcu na zegarek i powiedział, że odwiezie mnie do miasta. Przez cały czas raz tylko dotknął mojej ręki. Spodziewałam się, że zechce mnie pocałować, i byłam zarazem rozczarowana i ucieszona jego skromnym zachowaniem. Rozczarowana dlatego, że mi się podobał i że nie mogłam oderwać wzroku od jego ślicznie zarysowanych ust; ucieszona, bo zachowanie to świadczyło raz jeszcze, że jest chłopcem poważnym, takim, jakim chciałam go widzieć.

Zawiózł mnie pod samą pracownię i powiedział, że zawsze, gdy zastanie mnie o umówionej godzinie na przystanku tramwajowym, będzie mógł mnie odwieźć, bo o tej porze jest wolny. Zgodziłam się chętnie na jego propozycję i tego dnia długie godziny pozowania minęły mi jak jedna chwilka. Wydawało mi się, że znalazłam cel w życiu, i byłam zadowolona, że mogę myśleć o tym chłopcu bez żalu czy wyrzutu, jak o kimś, kto podoba mi się nie tylko fizycznie, ale posiada zalety charakteru, do czego przykładałam największą wagę.

Matce nie powiedziałam ani słowa, bałam się, nie bez racji, że nie pozwoli mi związać się z człowiekiem biednym, bez większej przyszłości. Nazajutrz rano, tak jak obiecał, podjechał na przystanek i zawiózł mnie prosto do pracowni. W ciągu następnych dni, jeśli była ładna pogoda, jeździliśmy na podmiejską szosę albo na jakąś mało uczęszczaną ulicę na przedmieściu, żeby móc spokojnie porozmawiać; w dalszym ciągu zachowanie jego było pełne szacunku, prowadził ze mną poważne rozmowy, tak jak lubiłam. Byłam wówczas bardzo sentymentalna; wszystko, co dotyczyło dobroci, cnoty, moralności i uczuć rodzinnych, szczególnie mnie wzruszało, czasem nawet aż do łez, do których byłam skłonna. Stawałam się wtedy bardziej wylewna, czułam się zadowolona i pokrzepiona na duchu. I po trochu, po trochu, doszłam do tego, że zaczęłam uważać go za ideał. „Jakie on w ogóle może mieć wady?” –

myślałam sobie. Był przystojny, młody, inteligentny, uczciwy, poważny, nie można mu było nic zarzucić. Zdumiewało mnie to i trochę przerażało, bo nie zdarza się nam przecież codziennie spotykać na swojej drodze chodzącą doskonałość. „Cóż to za człowiek – zapytywałam sama siebie – w którym nie mogę dostrzec jednej ujemnej cechy, chociaż uważnie go obserwuję?” A tymczasem była to miłość; zakochałam się w nim sama nie zdając sobie z tego sprawy. Jak wiadomo, miłość to okulary, przez które nawet potwór wygląda jak wcielenie piękna.

Byłam tak zakochana, że kiedy po raz pierwszy mnie pocałował, na tej samej szosie, gdzie rozmawialiśmy w dniu naszego poznania, doznałam ulgi, jaką sprawia przejście od dojrzałych już pragnień do ich zaspokojenia. Pomimo to niepoohamowana zachłanność, z jaką zetknęły się nasze usta, nieco mnie przerażyła, bo pomyślałam, że od tej chwili nie będę już umiała nad sobą panować i stanę się całkowicie zależna od tej rozkosznej i potężnej siły, która nieubłaganie pchała mnie w jego ramiona. Ale uspokoiłam się prawie natychmiast, bo skoro tylko oderwaliśmy się od siebie, Gino oświadczył, że od tej chwili musimy się uważać za narzeczonych. I tym razem nie mogłam się powstrzymać od myśli, że odgadł moje najskrytsze pragnienia i powiedział właśnie to, co należało powiedzieć. Tak więc lęk wywołany pierwszym pocałunkiem prysnął w jednej chwili; i przez cały czas postoju na szosie, niczym już nie hamowana, całowałam go z uniesieniem i całkowitym oddaniem, traktując to jako coś dozwolonego.

Później całowałam i byłam całowana nieskończoną ilością razy, i tylko Bóg osądzi, czy robiłam to bez żadnego udziału moich uczuć i zmysłów, jak daje się i przyjmuje monetę, która przeszła przez tysiące rąk; ale na zawsze pozostanie mi w pamięci ten pierwszy pocałunek i jego natężenie prawie bolesne, w którym znalazły ujście nie tylko moja miłość do Gina, ale i całe moje dotychczasowe oczekiwanie. Pamiętam, że doznałam takiego uczucia, jak gdyby świat zaczął nagle krążyć dokoła nas i niebo znalazło się u moich stóp, a ziemia nade mną. W rzeczywistości po prostu pochyliłam się pod naporem jego ust, żeby pocałunek trwał dłużej. Coś żywego i świeżego dotykało moich zębów, a kiedy rozchyliłam usta, poczułam w nich język, ten sam, który tyle razy szeptał mi do ucha czułe słówka, a teraz odślaniał mi inne, nie znane dotąd rozkosze. Nie wiedziałam, że można się całować w taki sposób i tak długo, brakło mi tchu, byłam jak pijana i kiedy Gino mnie puścił, z zamkniętymi oczami oparłam się o poduszki samochodu; szumiało mi w głowie, jak gdybym miała zemdleć. Tak więc tego dnia zrobiłam odkrycie, że istnieją na świecie jeszcze inne radości poza spokojnym szczęściem na łonie rodziny. Ale nie przypuszczałam wtedy, że usuną one z mego życia te bardziej codzienne radości, których dotąd tak bardzo pragnęłam: odkąd Gino wspomniał o zaręczynach, byłam pewna, że w przyszłości udziałem moim stanie się jedno i drugie: dom i miłość bez grzechu, bez wyrzutów sumienia.

Byłam tak pewna, że postępowanie moje jest słuszne, że jeszcze tego samego wieczoru, może nawet ze zbyt wielkim wzruszeniem i uniesieniem, zwierzyłam się ze wszystkiego matce. Zastałam ją siedzącą przy oknie, pochyloną nad maszyną do szycia. Światło lampy, nie osłoniętej abażurem, raziło w oczy. Zaczerwieniłam się i powiedziałam:

– Mamo, zaręczyłam się.

Zobaczyłam na jej twarzy grymas, jak gdyby ktoś oblał ją kubłem zimnej wody.

– Z kim?

– Z jednym chłopcem, którego poznałam kilka dni temu.

– A czym on jest?

– Szoferem.

Chciałam dodać jeszcze kilka szczegółów, ale nie zdążyłam. Matka zatrzymała maszynę, zerwała się z krzesła i chwyciła mnie za włosy.

– Zaręczyłaś się... bez mojej wiedzy... i do tego z szoferem... O, ja nieszczęśliwa... zapędzisz mnie do grobu! – Mówiąc to, chciała uderzyć mnie w twarz. Broniałam się, jak mogłam, i w końcu udało mi się wyrwać, ale ona zaczęła mnie gonić. Biegła za mną dokoła stołu, stojącego na środku pokoju, krzycząc i zawodząc. Byłam przerażona wyrazem jej twarzy, na której malowało się cierpienie i wściekłość.

– Zamorduję cię – wrzeszczała – tym razem naprawdę cię zamorduję! – a po każdym okrzyku „Zamorduję cię!” jej furia zdawała się wzrastać i groźba stawała się coraz realniejsza. Trzymała się stołu i śledziłam każdy jej ruch, bo wiedziałam, że w takich chwilach jest nieodpowiedzialna za swoje czyny i może jeżeli nie zabić mnie, to zranić pierwszym lepszym przedmiotem, jaki wpadnie jej w rękę. Rzeczywiście w pewnej chwili chwyciła duże nożyczki krawieckie i ledwie zdążyłam uchylić głowę, nożyczki zatoczyły łuk w powietrzu i uderzyły o ścianę. Przeraziło ją to, usiadła nagle przy stole i chowając twarz w dłoniach, wybuchnęła nerwowym płaczem, w którym znalazła upust raczej jej wściekłość niż ból. Szlochając mówiła:

– A ja miałam dla ciebie takie plany... Widziałam cię bogatą... Ty, taka piękna... zaręczyłaś się z głodomorem!

– On wcale nie jest głodomorem – przerwałam nieśmiało.

– Szofer – powtórzyła wzruszając ramionami – szofer... Ty nędzniczo, zobaczysz, że skończysz tak samo jak ja. – Wypowiedziała te słowa powoli, jakby napawając się ich goryczą. Po chwili dodała: – Ożeni się z tobą, zrobi z ciebie swoją służącą, a potem będziesz musiała usługiwać dzieciom... Tak się to wszystko skończy...

– Pobierzemy się dopiero wtedy, kiedy będzie miał dosyć pieniędzy na własny samochód – powiedziałam powtarzając to, co mówił mi Gino.

– Czekaj tatka latka... Tylko żebyś mi go tutaj nie sprowadzała! – krzyknęła nagle, podnosząc zapłakaną twarz. – Nie przyprowadzaj go tutaj! Nie chcę go widzieć! Rób, co chcesz, spotykaj się z nim poza domem, ale żebyś nie ważyła się go tutaj sprowadzać!

Tego wieczoru położyłam się do łóżka bez kolacji, smutna i przygnębiona. Zdawałam sobie sprawę, że matka zachowała się tak, bo mnie kocha, i że zaręczyny z Ginem zburzyły jej wszystkie plany związane z moją osobą. Nawet później, kiedy wiedziałam już, jakie to były plany, nie umiałam potępić matki. Za swoją pracowitość i uczciwość nie zaznała w życiu nic oprócz nędzy, wyrzeczeń i upokorzeń. Czyż można się dziwić, że życzyła córce innego losu? Chciałabym jeszcze dodać, że nie były to jakieś wyraźne, dokładne plany, lecz tylko nie określone bliżej, olśniewające wizje, które mogła snuć bez najmniejszych wyrzutów sumienia, właśnie dlatego, że były po prostu jak z bajki i przekraczały granice rzeczywistości. Ale może tak mi się tylko zdawało; może matka do tego doszła w swoich myślach, że istotnie zdecydowana była pchnąć mnie pewnego dnia na tę drogę, na którą fatalnym zrządzeniem losu weszłam sama. Mówię to wszystko nie dlatego, żebym miała do niej żal, ale dlatego, że do dziś nie wiem dokładnie, co ona wówczas myślała, a przy tym doświadczenie nauczyło mnie, że można jednocześnie myśleć i odczuwać rzeczy całkiem ze sobą sprzeczne, nie zdając sobie z tego sprawy, i bezwiednie przedkładać jedno nad drugie.

Matka zaklinała się, że nie chce go widzieć, więc na pewien czas zastosowałam się do jej woli. Ale

wyglądało na to, że po naszych pierwszych pocałunkach Gino nie może się doczekać, żeby – jak mówił – uregulować nasz stosunek; domagał się codziennie, żebym przedstawiła go matce. Nie miałam odwagi wyznać mu, że matka nie chce go widzieć, bo jest tylko szoferem. Wyszukiwałam więc rozmaite wymówki, żeby odwlec owo spotkanie. Na koniec Gino zrozumiał, że coś przed nim ukrywam; i tak przycisnął mnie do muru, że musiałam powiedzieć mu całą prawdę: „Matka nie chce cię widzieć, bo mówi, że powinnam wyjść za mąż za bogatego człowieka, a nie za szofera”.

Siedzieliśmy w samochodzie, na tej samej co zazwyczaj szosie podmiejskiej. Posmutniał i spojrzał na mnie z westchnieniem. Byłam tak opętana przez niego, że nie zauważyłam, ile fałszu kryło się w jego cierpieniu.

– Takie są skutki, kiedy jest się biednym! – zawołał z udanym przejęciem. Potem milczał przez dłuższy czas.

– Czy sprawiło ci to przykrość? – zapytałam na koniec.

– Jestem oburzony – odpowiedział potrząsając głową. – Inny na moim miejscu wcale by nie prosił o to, żebyś go przedstawiła matce, nie wspominałby o zaręczynach... i bądź tu, człowieku, uczciwy...

– Nie przejmuj się tym – odrzekłam – ja cię kocham... i to ci powinno wystarczyć.

– Powinienem być – ciągnął dalej – pójść do twojej matki z workiem pieniędzy, oczywiście nie wspominając ani słowem o małżeństwie... Przyjęłaby mnie z entuzjazmem.

Nie śmiałam mu zaprzeczyć; wiedziałam, że to, co mówi, było świętą prawdą.

– Wiesz, co zrobimy? – powiedziałam po chwili. – Za kilka dni zaprowadzę cię bez uprzedzenia do mojej matki... Będzie musiała poznać się z tobą... postawimy ją przed faktem dokonanym.

W oznaczonym dniu wieczorem zrobiliśmy wszystko tak, jak było umówione; wprowadziłam Gina do pokoju. Matka właśnie skończyła pracować i robiła porządek na jednym końcu stołu, żeby na nim nakryć do kolacji. Wystąpiłam naprzód i powiedziałam:

– Mamo, to jest Gino.

Oczekiwałam jakiejś awantury i uprzedziłam nawet o tym Gina. Ale ku mojemu zdumieniu matka powiedziała sucho:

– Bardzo mi przyjemnie – taksując go wzrokiem od stóp do głów. Potem wyszła z pokoju.

– Zobaczysz, że wszystko pójdzie dobrze – powiedziałam do Gina. Podeszłam do niego i zadzierając głowę dodałam: – Pocałuj mnie.

– Nie, nie – zaprotestował cicho, odpychając mnie. – Twoja matka miałaby słuszny powód, żeby źle o mnie myśleć.

Wiedział zawsze, co ma w danej chwili powiedzieć. I w głębi ducha nie mogłam nie przyznać mu racji. Matka wróciła i nie patrząc na Gina powiedziała:

– Kolację przygotowałam tylko na dwie osoby... nie uprzedziłaś mnie... Ale zaraz wyjdę i... Gino nie dał jej dokończyć:

– Ależ nie przyszedłem tutaj na kolację... Pozwoli pani, że zaproszę ją i Adrianę.

Przemawiał z wyszukaną uprzejmością, tak jak mówią ludzie dobrze wychowani. Matka, która nie przywykła do tego, żeby ktokolwiek zwracał się do niej w ten sposób lub kiedykolwiek gdzieś ją zapraszał, nie wiedziała przez chwilę, co odpowiedzieć, i spoglądała na mnie. Po chwili oświadczyła:

- Co do mnie, jeżeli tylko Adriana ma ochotę...
- Możemy pójść tu obok, do gospody – zaproponowałam.
- Gdzie panie zechcą – odrzekł na to Gino.

Matka oznajmiła, że idzie zdjąć fartuch, i zostaliśmy sami. Przepełniała mnie dziecinna radość, bo zdawało mi się, że odniosłam zwycięstwo w decydującej bitwie, a tymczasem to wszystko było komedią, i jedyną osobą, która nie grała żadnej roli, byłam ja. Przysunęłam się do Gina i zanim zdążył mnie odepchnąć, pocałowałam go z impetem. Ten pocałunek był wyrazem ulgi, doznanej po tylu dniach niepokoju, radości, że na drodze do małżeństwa nie będzie już żadnych przeszkód, i wdzięczności dla Gina za jego uprzejme zachowanie wobec matki. Nie miałam żadnych innych pragnień, wszystkim było dla mnie to wymarzone małżeństwo, miłość do Gina, uczucie dla matki; promieniowała ze mnie szczerość, zaufanie, bezbronność, które są przywilejem osiemnastu lat, nie tkniętych jeszcze rozczarowaniem, jakie niesie ze sobą życie. Dopiero później zrozumiałam, że niewielu jest mężczyzn, którym podobają się tego rodzaju uniesienia; większość uważa je za śmieszne i gasi je z prawdziwą satysfakcją.

Poszliśmy we trójkę do gospody znajdującej się nie opodal, za murami. Przy stole Gino nie zwracał na mnie uwagi i zajął się wyłącznie matką, z wyraźną intencją, żeby ją sobie zjednać.

Uważałam, że postępuje słusznie, chcąc jej się przypodobać, i dlatego nie raziły mnie jego szyte grubymi nićmi pochlebstwa, jakimi ją zasypywał. Mówił do niej „łaskawa pani”, do czego wcale nie była przyzwyczajona, i starał się powtarzać to co chwila, na początku i w środku zdania, niby jakiś refren. Poza tym, jakby przypadkiem wtrącił: „Łaskawa pani, przy swej inteligencji, zrozumie” albo: „Łaskawa pani jest osobą tak doświadczoną, że nie trzeba nawet tłumaczyć jej pewnych rzeczy...”, albo jeszcze krócej: „Inteligencja łaskawej pani...” Uważał za stosowne powiedzieć nawet, że jako młoda dziewczyna musiała być o wiele ładniejsza ode mnie.

– Z czego to wnosisz? – zapytałam nieco urażona.

– To rzuca się w oczy... Są rzeczy, które widzi się od razu – odpowiedział tonem wymijającym, w którym kryło się pochlebstwo. Matka, biedaczka, wytrzeszczała oczy słuchając tych wszystkich uprzejmości i stroiła miny, przybierając to słodki, to nieco wystraszony wyraz twarzy. Zdarzało jej się na pewno po raz pierwszy w życiu, żeby ktoś zwracał się do niej w ten sposób; i jej wyposzczone serce zdawało się być nienasycone. Jak już wspomniałam, brałam jego obłudę za dobrą monetę; myślałam, że przez wzgląd na mnie chce okazać matce pełen serdeczności szacunek; Gino urósł więc jeszcze w moich oczach.

Przy sąsiednim stoliku usiadła tymczasem grupka młodych ludzi. Jeden z nich robił wrażenie pijanego i, przyglądając mi się natarczywie, powiedział głośno nieprzyzwoite, ale zarazem pochlebne dla mnie słowa. Gino usłyszał to, natychmiast wstał z krzesła i podszedł do młodego człowieka.

– Proszę to powtórzyć!

– Czego się mnie czepiasz? – odrzekł tamten zapijaczonym głosem.

– Ta pani i ta panienska są w moim towarzystwie – powiedział Gino podnosząc głos – i dopóki są ze mną, wszystko, co dotyczy tych pań, dotyczy także i mnie... zrozumiano?

– Nie bój się, zrozumiałem... No dobrze już, dobrze... – odpowiedział chłopak wystraszony. Jego kompani spode łba patrzyli na Gina, ale nie mieli odwagi ująć się za towarzyszem. Ten natomiast, udając jeszcze bardziej pijanego, niż był w istocie, napełnił szklanke i podał ją Ginowi. Gino zrobił odmowny gest ręką.

– Nie chcesz pić? – zawołał pijak. – Nie lubisz wina? Źle robisz, to dobre wino... no to ja wypiję... – I

wychylił szklanę jednym haustem. Gino jeszcze przez chwilę groźnie na niego spoglądał, po czym wrócił do nas.

– Ludzie bez najmniejszego wychowania – powiedział siadając i nerwowo otrzepując sobie marynarkę.

– Szkoda było fatygi – powiedziała matka, której pochlebiła jego rycerskość. – Przecież widzi pan... to chamy!

Ale Gino chciał jeszcze mocniej podkreślić swoje szarmanckie zachowanie i odpowiedział:

– Jak to: szkoda było fatygi? Gdybym tu był w byle jakim towarzystwie... łaskawa pani rozumie, co mam na myśli... nie byłoby o czym mówić... Ale kiedy jestem z panią i panienką z dobrego domu w lokalu publicznym, w restauracji... Od razu zdał sobie zresztą sprawę, że to nie przelewki, i sama pani widziała, jak ucichł...

Ten incydent podbił matkę do reszty. Poza tym Gino stale dolewał jej wina, które upajało ją nie mniej od pochlebstw. Ale jak często bywa z nietrzeźwymi ludźmi, pomimo całej sympatii, jaką wzbudził w niej Gino, nie przestawała irytować się na moje narzeczeństwo. I czekała tylko okazji, żeby dać mu do zrozumienia, że o tym nie zapomniła.

Okazją stała się rozmowa na temat mojego zawodu modelki. Sama już nie pamiętam, jak do tego doszło, że zaczęłam opowiadać o nowym malarzu, któremu tego ranka pozowałam. A wtedy Gino:

– Może jestem głupi... może jestem zacofany... Możecie sobie myśleć, co tylko chcecie... Ale nie mogę tego strawić, że Adriana rozbiera się codziennie w obecności malarzy.

– A dlaczego to? – zapytała matka zmienionym głosem, który mnie, lepiej ją znającej niż Gino, kazał przypuszczać, że za chwilę wybuchnie burza.

– Po prostu dlatego, że to jest niemoralne!

Nie powtórzę tutaj w całości odpowiedzi matki, rojącej się od słów obelżywych i nieprzyzwoitych, którymi sypała jak z rękawa, kiedy była nietrzeźwa albo zła. Ale nawet po ocenzurowaniu odpowiedź ta odda doskonale jej zapatrywania na tę sprawę.

– Proszę, niemoralne! – krzyknęła tak głośno, że wszyscy goście przy stolikach przestali jeść i odwrócili się w naszą stronę. – Proszę, niemoralne!... A co w takim razie jest moralne?! Może jest moralne harować przez cały boży dzień, zmywać garnki, szyć, gotować, prasować, zamiatać, szorować podłogi, a wieczorem czekać na męża zapracowanego na śmierć, który ledwie zdąży zjeść kolację, kładzie się do łóżka, odwraca się do ściany i już śpi?! To jest moralne, co? Poświęcać się, nie mieć nigdy chwili wytchnienia, zestarzeć się, zbrzydnąć, zdechnąć, to jest moralne, co? A wiesz, co ci powiem? Że żyje się tylko raz, a po śmierci – do widzenia... Do diabła z taką moralnością i Adriana dobrze robi, że pokazuje się nago tym, którzy jej płacą... A zrobiłaby jeszcze lepiej, żeby została... – i tu zaczęła się cała litania nieprzyzwoitych słów; wstydziłam się, bo wykrzykując je, ani o ton nie obniżyła głosu – ...i ja, gdyby zaczęła to robić, nie tylko bym jej nie przeszkadzała, ale jeszcze pomogła! Tak, pomogłabym jej... oczywiście byle jej tylko dobrze płacili – dodała jakby po namyśle.

– Jestem przekonany, że nie byłaby pani do tego zdolna! – powiedział Gino, wcale nie zmieszany.

– Nie byłabym zdolna? Co pan sobie właściwie myśli plotąc takie bzdury? Że ja jestem zadowolona z zaręczyn Adriany z takim chłystkiem jak pan, z szoferem?... I że nie wołałabym tysiąc razy, aby użyła życia? Uważa pan, że mi przyjemnie myśleć o tym, że Adriana ze swoją urodą, za którą wielu mężczyzn płaciłoby tysiącami, skazuje się na to, żeby być pańską służącą przez całe życie? Myli się pan, i to bardzo się pan myli!

Matka krzyczała, wszyscy na nas patrzyli, a ja umierałam ze wstydu. Ale Gino, jak już powiedziałam,

bynajmniej nie był zmieszany. Wybrał chwilę, kiedy mama ciężko dysząc zamilkła, bo zabrakło jej tchu, wziął butelkę, napełnił winem szklanę i zaproponował:

– Może jeszcze trochę wina?

Matka, biedaczka, rzekła „dziękuję” i wzięła szklanę, którą podawał jej Gino. Goście przy sąsiednich stolikach, widząc, że pomimo tej karczemnej kłótni dalej pijemy razem, wrócili do przerwanych rozmów. Gino powiedział:

– Adriana ze swoją urodą zasługiwałaby na to, żeby prowadzić życie takie jak moja chlebodawczyni.

– A jakież to życie? – zapytałam szybko, byle tylko odwrócić rozmowę od mojej osoby.

– Rano – zaczął mówić tonem, jak gdyby się tym chwalił i jak gdyby odbłask bogactw jego chlebodawców spadał i na niego – wstaje o jedenastej albo o dwunastej. Przynoszą jej śniadanie do łóżka na srebrnej tacy i na srebrnej zastawie. Potem się kąpie, ale jeszcze przedtem pokojówka rozpuszcza w wodzie pachnące sole. W południe wiozę ją na spacer samochodem. Wstępuje na kieliszek wermutu albo załatwia sprawunki w sklepach... Wraca do domu, je obiad, idzie spać, a potem stroi się dobre dwie godziny. Żebyś wiedziała, ile ona ma sukien... całe szafy pełne... Potem jedzie samochodem składać wizyty, je kolację, a wieczorem wybiera się do teatru albo na dansing. Często urządza przyjęcia; grają w karty, piją, puszczają płyty. Sama jej biżuteria warta jest kilka milionów...

Matka, jak dziecko, którego uwagę odwrócić można byle drobiazgami i wprawić je od razu w dobry humor, zapomniała w jednej chwili o mnie, o niesprawiedliwościach losu i z wytrzeszczonymi oczyma słuchała opowiadania o tej bajkowej egzystencji.

– Kilka milionów! – powtórzyła z chciwością. – A czy ona jest ładna?

Gino, który palił papierosa, wypluł z pogardą odrobinę tytoniu:

– Gdzie tam ładna... Całkiem brzydka i chuda, wygląda jak czarownica.

I rozmawiali dalej o bogactwach chlebodawczyni Gina, a raczej Gino chwalił się nimi, jak gdyby on był ich posiadaczem. Ale chwilowe zainteresowanie matki szybko minęło; znowu stała się ponura, zamyślona i nie otworzyła ust przez resztę wieczoru. Może wstydziła się, że nie zapanowała nad sobą i wpadła w taką furję; może, słysząc o takich bogactwach, czuła nurtującą ją zawiść i upokorzenie, że ja zaręczyłam się z biednym człowiekiem.

Następnego dnia z niepokojem zapytałam Gina, czy gniewa się na moją matkę; ale on odrzekł, że chociaż nie zgadza się z jej zapatrywaniem, doskonale rozumie jej punkt widzenia, mający swoje źródło w nędzy i życiu pełnym wyrzeczeń. Trzeba jej okazywać współczucie, powiedział, a mnie się wydawało, że mówi tak dlatego, że mnie kocha. Ja myślałam zupełnie tak samo i byłam wdzięczna Ginowi za jego wyrozumiałość, bałam się bowiem, że scena, jaką urządziła matka, zepsuje nasze stosunki. Opanowanie Gina nie tylko wzbudziło moją wdzięczność, ale utwierdziło mnie w przekonaniu, że mój narzeczony to ideał. Gdybym nie była taka zaślepiona i niedoświadczona, przyszłoby mi do głowy, że tylko perfidna obłuda może stworzyć pozory doskonałości, szczerść natomiast, obok zalet, odsłania także wiele braków i wad.

Kiedy byliśmy razem, odczuwałam swoją niższość; zdawało mi się, że nie damę mu nic w zamian za jego wielkoduszność i wyrozumiałość. I może właśnie owo przeświadczenie, że powinnam mu za to wszystko odpłacić, sprawiło, iż nie broniłam się już tak jak dawniej przed jego coraz bardziej natarczywą pożądlivością. Ale prawdą było także i to, o czym wspominałam już w związku z naszym pierwszym pocałunkiem, że pchała mnie ku niemu

jakaś siła potężna i upajająca. Byłam jak człowiek, który, mimo że chce czuwać, zapada w sen, ale nawet wówczas majaczy mu się, że nie śpi, więc poddaje się senności, przekonany, że ją przemógł.

Pamiętam doskonale wszystkie fazy zdobywania mnie przez Gina, bo każde jego zwycięstwo następowało zgodnie z moją wolą i zarazem wbrew niej; odczuwałam potem przyjemność, ale i wyrzuty sumienia. Działo się tak i dlatego, że mądrze stopniował swoje podboje, cierpliwie, bez pośpiechu, raczej jak generał zdobywający teren niż jak pełen pożądania kochanek. Nie przeszkodziło mu to później naprawdę zakochać się we mnie i miejsce wyrachowania zajęła jeżeli nie prawdziwa miłość, to w każdym razie nigdy nie nasycona namiętność.

Podczas naszych przejażdżek samochodem ograniczał się do pocałunków w usta i w szyję. Ale pewnego ranka całując mnie rozpiął mi guziki od bluzki. Potem poczułam chłód na piersi i kiedy spojrzałam przez jego ramię w lusterko na szybie, zobaczyłam swoją nagą pierś. Zawstydyłam się, ale nie miałam odwagi się zasłonić. Dopiero on sam, widząc moje zmieszanie, nerwowym ruchem naciągnął mi koszulę na ramię i zapiął dokładnie wszystkie guziki. Byłam mu za to wdzięczna. Ale potem, myśląc o tym w domu, odczuwałam niepokój i podniecenie. Następnego dnia zrobił to samo i tym razem przyjemność była silniejsza od wstydu. Od tej pory przywykłam do tego objawu jego pożądania i przypuszczam, że gdyby zmienił postępowanie, zaczęłabym się obawiać, że mnie nie kocha. Wspominał przy tym coraz częściej o wspólnym życiu, kiedy się pobierzemy. Opowiadał mi także o swojej rodzinie, mieszkającej w jednej z prowincji Włoch, i mówił, że nie są wcale tacy biedni, bo posiadają kawałek ziemi. Przypuszczam, że jak to bywa często z ludźmi, którzy kłamią, sam zaczął w końcu wierzyć w swoje łągarstwa. Miał dla mnie z pewnością dużo uczucia, które zyskując co dzień na sile, stawało się zarazem coraz bardziej szczere. To, co mówił, uspiło moje wyrzuty sumienia i odczuwałam ogrom pełnego szczęścia bez winy, jakiego nigdy już później nie zaznałam. Kochałam i byłam kochana, myślałam, że niedługo wyjdę za mąż, i wydawało mi się, że nie można pragnąć już nic więcej. Matka doskonale zdawała sobie sprawę, że nasze poranne spacerunki nie są tak całkiem niewinne, i dawała mi to do zrozumienia, na przykład w taki sposób: „Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co robicie wyjeżdżając samochodem” albo: „Już wy tam coś kombinujecie oboje z Ginem... Tym gorzej dla ciebie...” Trudno mi było nie zauważyć, że wymówki te są jakieś blade, bo matka mało się tym przejmuje. Wyglądało na to, że nie tylko godzi się z myślą, że ja i Gino jesteśmy kochankami, ale że tego właśnie chce. Dzisiaj jestem przekonana, że czyhała tylko na moment, żeby doprowadzić do zerwania naszych zaręczyn.

Rozdział 3

Pewnej niedzieli Gino powiedział mi, że jego państwo wyjechali na wieś, służba jest na urlopie, a willa została na opiece jego i ogrodnika. Czy mam ochotę ją obejrzeć? Opisywał mi ją wielokrotnie, i to z takim zachwytem, że chciałam zobaczyć to чудо i zgodziłam się natychmiast. Ale w tej samej chwili zmieszałam się: pojęłam, że moja chęć zwiedzenia willi jest pretekstem i że chcę tam pojechać z innego powodu. Pomimo to, a dzieje się tak często, kiedy pragniemy rzeczy, której zabraniamy sobie pragnąć, udawałam sama przed sobą i przed nim, że biorę wszystko za dobrą monetę.

– Wiem, że nie powinnam tam jechać – powiedziałam wsiadając do samochodu – ale przecież długo tam nie będziemy, prawda?

Czułam, że mówię te słowa tonem prowokującym i wystraszoną zarazem. Gino odpowiedział poważnie:

– Tyle czasu, ile zajmie nam obejrzenie willi... Potem pójdziemy do kina.

Willa stała przy stromej uliczce, pośród innych will, w eleganckiej, nowoczesnej dzielnicy. Dzień był pogodny i wszystkie te wille położone na wzgórzu, ich odcinające się od błękitu nieba fasady z czerwonych cegieł albo białego kamienia, o frontonach ozdobionych posągami, oszklone werandy, tarasy i balkony obrośnięte geranium, ogrody, w których między jednym domem a drugim drzewa rozpościerały gęste korony, zrobiły na mnie wrażenie jakiegoś odkrycia, zupełnej nowości, jak gdybym znalazła się nagle w świecie wolnym i o wiele piękniejszym, w którym cudownie byłoby żyć. Przypomniała mi się nagle nasza dzielnica, zobaczyłam długą ulicę biegnącą wzdłuż murów, domy kolejowe, i powiedziałam do Gina:

– Źle zrobiłam, że zgodziłam się tu przyjechać.

– Dlaczego? – odrzekł z pewną siebie miną. – Wejdzimy tu tylko na chwilę. Możesz być spokojna.

– Nie zrozumiałeś mnie – odpowiedziałam. – Źle zrobiłam, bo potem wstydzić się będę naszej dzielnicy i mojego domu.

– Ach, o to ci idzie! – zawołał z wyraźną ulgą. – Na to nie ma rady. Trzeba ci było urodzić się milionerką. Tutaj mieszkają sami milionerzy.

Otworzył furtkę i poszedł przede mną wysypaną żwirem alejką, wysadzaną z obydwu stron drzewkami przyciętymi w kształcie kuli i głów cukru. Weszliśmy do willi przez oszklone kryształowymi szybami drzwi i znaleźliśmy się w pustym białym przedpokoju, w którym posadzka, ułożona w czarno-białe marmurowe kwadraty, lśniła niczym lustro. Z przedpokoju przeszliśmy do dużego, widnego hallu, skąd wchodziło się do pokoi na parterze. W głębi hallu widać było schody, całe białe, prowadzące na pierwsze piętro. Byłam tak onieśmielona wyglądem tego hallu, że zaczęłam stąpać na palcach. Gino zauważył to i powiedział ze śmiechem, że mogę hałasować, ile mi się tylko podoba, bo w całym domu nie ma żywego ducha.

Pokazał mi salon, ogromny oszklony pokój, pełen foteli i kanap, jadalnię, nieco mniejszą, z owalnym stołem, kredensem i krzesłami z ciemnego błyszczącego drzewa, garderobą z polakierowanymi na biało szafami w ścianach. W małym pokoju był nawet bar, umieszczony we wnęcie, prawdziwy bar z uchwytami do butelek, z nikielowanym ekspresem do kawy i aluminiową ladą. Bar ten wyglądał jak kapliczka, zwłaszcza że w drzwiczkach

była tam złota krata. Zapytałam Gina, gdzie tu się gotuje, odrzekł mi na to, że kuchnia i pokoje służbowe mieszczą się w suterenie. Po raz pierwszy w życiu znalazłam się w takim domu i nie mogłam się powstrzymać, żeby nie dotykać wszystkiego po kolei, jak gdybym nie wierzyła własnym oczom. Wszystko wydawało mi się nowe, wszystko w najlepszym gatunku: szkło, drzewo, marmur, metal, tkaniny. Przez cały czas natrętnie nasuwało mi się porównanie tych ścian, tych posadzek, tych mebli z brudną podłogą, szerniałymi murami i rozklekotanymi gratami u nas i przyznawałam rację matce, która powiadała zawsze, że w życiu liczą się tylko pieniądze. Myślałam także o tym, że ludzie żyjący w tak pięknym otoczeniu muszą być dobrzy, piękni, że nie piją, nie klną, nie kłócą się ani nie biją, że – jednym słowem – nie robią tych wszystkich rzeczy, z którymi stykałam się i w naszym domu, i w innych do niego podobnych.

Gino tymczasem, chyba po raz setny, opowiadał mi o życiu, jakie prowadzi się w tym domu, z taką dumą, jak gdyby i on brał w nim bezpośredni udział:

– Jadają na porcelanowych talerzach, ale owoce i desery podaje się na srebrnych. Wszystkie nakrycia są ze srebra. Jedzą pięć dań i piją trzy rodzaje wina. Wieczorem pani przebiera się w dekolowaną suknię, a on w czarny garnitur... Po obiedzie pokojówka przynosi im na srebrnej tacy siedem gatunków papierosów, naturalnie wszystkie zagraniczne. Potem wychodzą z jadalni i na tym stoliku na kółkach podaje im się kawę i likiery... Stale mają gości, to dwie, to cztery osoby. Pani ma o, takie brylanty... A jaką kolię z pereł, siódmy cud świata!... Sama tylko jej biżuteria warta jest kilka milionów.

– Już mi to mówiłeś – przerwałam sucho. Ale on tak się rozpędził, że nie zwrócił uwagi na mój ton i ciągnął dalej:

– Pani nie schodzi nigdy do suterenu, daje rozporządzenia przez telefon. W kuchni wszystko jest zelektryfikowane. Nasza kuchnia jest czystsza niż sypialnie w wielu mieszkaniach, ale co tu mówić o kuchni, nawet oba psy mojej pani są czystsze i lepiej traktowane od wielu ludzi.

O swoich chlebodawcach wyrażał się z podziwem, o ludziach biednych z pogardą, a ja, słuchając tych opowieści i porównując ciągle to mieszkanie z naszym, poczułam się po prostu nędzarką.

Z parteru przeszliśmy na pierwsze piętro. Na schodach Gino objął mnie w pół i mocno przycisnął do siebie. I wówczas, sama nie wiem czemu, wydało mi się nagle, że to ja jestem panią tego domu i że wchodzę po schodach u boku męża, po jakimś przyjęciu czy obiedzie, żeby wypocząć z nim razem na łożu w sypialni na piętrze. On, jak gdyby odgadł moje myśli (był zawsze bardzo domyślny), powiedział:

– Teraz pójdziemy się trochę przespać, a jutro rano podadzą nam do łóżka białą kawę. – Zaczęłam się śmiać, bo nie wydało mi się to wcale czymś niemożliwym, i ogarnęło mnie pragnienie, żeby tak mogło być naprawdę.

Tego dnia, ponieważ miałam wyjść z Ginem, ubrałam się jak mogłam najładniej, włożyłam najlepsze pantofle, najlepszą bluzkę i najlepszą parę jedwabnych pończoch. Pamiętam, że sukienka była dwuczęściowa, czarny zakieciak i spódniczka w czarno-białą kratę. Materiał nie był nawet najgorszy, ale krawcowa z naszej dzielnicy, która go uszyła, miała niewiele większe kwalifikacje od mojej matki. Spódnica była za krótka i w dodatku nierówna, o wiele dłuższa z przodu, tak że zakrywała mi wprawdzie kolana, ale za to z tyłu niemal widać było uda. Żakiet był zanadto wcięty w pasie, z dużymi klapami i tak wąskimi rękawami, że uwierał mnie pod pachami. Żakiet ten pękał na mnie, biust wylewał się na zewnątrz, jak gdyby w trakcie szycia zabrakło nagle materiału. Bluzeczka była prosta,

bez żadnych haftów, różowa, z przezroczystego taniutkiego materiału, przez który prześwitywał mój najlepszy spodzik z białego nansuku. Pantofle miałam czarne, błyszczące, z dobrej skórki, ale staromodne. Nie nosiłam kapelusza, a moje włosy, kasztanowate, kręcone, rozpuszczone były na ramiona. Włożyłam po raz pierwszy tę sukienkę i bardzo się nią pyszniłam. Wydawało mi się, że jestem niezwykle elegancka i że wszyscy będą się za mną oglądali na ulicy. Ale kiedy weszłam do sypialni pani domu i zobaczyłam jej łóżko, szerokie, niskie, z miękkimi materacami, przykryte jedwabną, pikowaną kołdrą, haftowaną bielizną z cienkiego płótna i zasłony miękko spływające z sufitu, a jednocześnie ujrzałam moje trzykrotne odbicie w lustrach toalety stojącej w głębi pokoju, zdałam sobie sprawę, że ubrana jestem jak żebraczka. Zrozumiałam, jak śmieszny i godny litości był mój zachwyt nad tymi łachmanami, i pomyślałam, że dopóty nie powiem, że jestem szczęśliwa, dopóki nie będę naprawdę ładnie ubrana i nie zamieszkać w domu podobnym do tego. Chciało mi się płakać i zupełnie oszołomiona, bez słowa, usiadłam na łóżku.

– Co ci jest? – zapytał Gino siadając koło mnie i biorąc mnie za rękę.

– Nic – odpowiedziałam – tylko, widzisz, zobaczyłam dobrze znane mi dziwadło i przyglądałam mu się.

– Kogo zobaczyłaś? – zawołał zdumiony.

– O, tę osobę – powiedziałam wskazując lustro, w którym widać było mnie siedzącą na łóżku obok Gina; istotnie oboje, a zwłaszcza ja, wyglądaliśmy na parę dzikusów, którzy znaleźli się przypadkowo w cywilizowanym mieszkaniu.

Tym razem Gino zrozumiał mój nastrój, moją gorycz, zawiść i zazdrość, i powiedział obejmując mnie:

– Nie przeglądaj się w tym lustrze! – Obawiał się, że jego plan nie dojdzie do skutku, nie rozumiał, że nic nie mogłoby bardziej ułatwić mu sytuacji, jak właśnie moje upokorzenie. Pocałowaliśmy się i ten pocałunek dodał mi otuchy, bo poczułam, że pomimo wszystko kocham go i jestem kochana.

Ale po chwili, kiedy pokazał mi łazienkę wielkości dużego pokoju, białą, wyłożoną lśniącą majoliką, z wanną wpuszczoną w podłogę, z niklowanymi kranami, a przede wszystkim kiedy otworzył jedną z szaf, w której wisiała nieskończona ilość sukien, znowu wpadłam w rozpacz, uświadamiając sobie własną nędzę. Zapragnęłam nagle nie myśleć więcej o tym; i po raz pierwszy świadomie chciałam zostać kochanką Gina, częściowo dlatego, żeby znaleźć zapomnienie, a częściowo, żeby zabić w sobie owo ogarniające mnie uczucie zależności i pokazać, że mogę i potrafię robić to, co mi się podoba. Nie mogłam ubierać się elegancko ani posiadać takiego domu, ale mogłam się kochać tak samo jak ci bogacze, a może nawet lepiej od nich. Zapytałam Gina:

– Po co mi pokazujesz te sukienki? Dużo mnie one obchodzą!

– Myślałam, że cię to zainteresuje – odpowiedział niepewnie.

– Właśnie, że nie! – zaprzeczyłam. – Oczywiście, że są ładne, ale nie przyszłam tutaj po to, żeby oglądać suknie.

Zobaczyłam, że na te słowa zaświeciły mu się oczy, i dodałam bez zastanowienia:

– Pokaż mi lepiej swój pokój.

– Mój pokój jest w suterenie – powiedział żywo. – Chcesz, żebyśmy tam poszli?

Przez chwilę patrzyłam na niego w milczeniu i powiedziałam z nieoczekiwaną pewnością siebie, która mnie samą niemile zaskoczyła:

– I po co robisz z siebie głupca?

– Ależ ja... – zaczął zdziwiony i zmieszany.

– Sam wiesz najlepiej, że nie przyszliśmy tutaj po to, żeby oglądać mieszkanie i podziwiać suknie twojej pani, ale żeby pójść do twojego pokoju i kochać się... Chodźmy tam zaraz... i po co tyle gadania.

Tak więc w jednej chwili, tylko dlatego, że zobaczyłam ten dom, przestałam być niewinną, nieśmiałą dziewczyną, która przed chwilą tu przyszła; byłam zdumiona, nie poznawałam samej siebie. Wyszliśmy z pokoju i zaczęliśmy schodzić po schodach. Gino objął mnie w pól i całowaliśmy się na każdym stopniu; myślę, że nigdy nikt tak wolno nie schodził ze schodów. Na parterze Gino otworzył ukryte w ścianie drzwi i wciąż mnie całując i obejmując sprowadził kuchennymi schodami do suterenu. Był już wieczór, w suterenie panował półmrok. Nie zapalając światła przeszliśmy przez ciemny korytarz i przytuleni, z ustami przy ustach, dotarliśmy do pokoju Gina. Otworzył drzwi, weszliśmy, usłyszałam, jak przekręca klucz w zamku. Staliśmy przez dłuższy czas po ciemku, całując się. Pocałunek nie miał końca, gdy ja chciałam go przerwać, on zaczął na nowo, a kiedy on chciał przerwać, ja znowu go całowałam. Potem Gino popchnął mnie w stronę łóżka; upadłam na niego na wznak.

Gino gorączkowo szeptał mi do ucha czule słowa i przekonywające argumenty, z wyraźną intencją, żebym oszołomiona nimi nie zauważyła, że równocześnie zaczyna mnie rozbierać; zupełnie niepotrzebnie się maskował – przede wszystkim dlatego, że byłam zdecydowana mu się oddać, a poza tym czułam taką nienawiść do tych szmatek, którymi niedawno się jeszcze pyszniłam, iż nie mogłam doczekać się chwili, kiedy się od nich uwolnię. Nago, myślałam, będę równie piękna, o ile nie piękniejsza, od chlebodawczyni Gina i wszystkich bogatych kobiet całego świata. Poza tym już od miesięcy ciało moje czekało na tę chwilę i czułam, że nieświadomie drzę cała z niecierpliwości i hamowanej dotąd żądz, jak głodne, związane zwierzę, któremu na koniec, po długim poście, rozcinają postronki i dają jeść.

I dlatego ten akt miłosny wydał mi się czymś całkiem naturalnym, rozkosz fizyczna nie była pomieszana z uczuciem, że dzieje się coś niezwykłego. Wprost przeciwnie; jak bywa czasami, gdy patrząc na jakiś krajobraz mamy wrażenie, żeśmy go już kiedyś widzieli, chociaż w rzeczywistości patrzymy nań po raz pierwszy, tak samo mnie wydawało się, że przeżywałam już to wszystko, tylko nie wiedziałam, ani gdzie, ani kiedy, może w innym życiu. Nie przeszkadzało mi to jednak oddać się Ginowi ze wściekłą pasją; całowałam go, gryzłam i obejmowałam tak, jakbym go chciała udusić. Jego ogarnęła ta sama furia. Tak więc w tym pokoiku, położonym w suterenie cichego, pustego domu, długo, jak mi się wydawało, bez końca, obejmowaliśmy się gwałtownie, jak dwoje wrogów walczących na śmierć i życie, z których każdy próbuje zadać przeciwnikowi jak najdotkliwszy ból.

Kiedy zaspokoiliśmy namiętności, leżeliśmy obok siebie wyczerpani, bez ruchu; ogarnął mnie lęk, że teraz, po tym, co się stało, Gino nie będzie już chciał ożenić się ze mną. Zaczęłam więc mówić o naszym domu, w którym zamieszkamy, gdy tylko się pobierzemy.

Willa chlebodawców Gina zrobiła na mnie wielkie wrażenie i byłam teraz pewna, że szczęśliwym można być tylko w pięknym, starannie utrzymanym domu. Zdawałam sobie sprawę, że nigdy nie będziemy mieli nie tylko takiej willi, ale nawet choćby jednego z takich pokoi; pomimo to z uporem usiłowałam zapomnieć o tym i tłumaczyłam mu, że nawet biedny dom może robić wrażenie dostatniego, jeżeli wszystko tam błyszczy jak lustro. Całe mnóstwo myśli nasunęło mi się nie tyle nawet w związku z luksusem tej willi, ile z panującą tam czystością. Próbowałam przekonać Gina, że i brzydkie rzeczy mogą wyglądać ładnie, jeżeli są utrzymane w czystości; ale naprawdę zrozpaczona swoim ubóstwem, wiedziałam, że jedynym sposobem, żeby się z niego wyrwać, jest dla mnie

małżeństwo z Ginem, i chciałam przede wszystkim wmówić to sobie samej.

– Choćby się miało tylko dwa pokoiki, jeżeli utrzymuje się je w porządku i codziennie szoruje się podłogi – mówiłam – wyciera się meble z kurzu i czyści klamki, kładzie się wszystko na swoim miejscu, talerze, ścierki, buty, w domu może być ładnie... A najważniejsze jest porządnie zamieść, wymyć podłogę i codziennie ścierać kurze. Nie chciałabym, żebyś sądził po naszym mieszkaniu... Mama jest nieporządna, stale przepracowana, biedaczka, ale nasz dom, przyrzekam ci, będzie lśnił jak lustro.

– Tak, tak – odpowiedział Gino – czystość przede wszystkim... Czy wiesz, co robi pani, jeśli znajdzie odrobinę pyłu w jakimś kącie? Woła pokojówkę, każe jej przykłęknąć i wytrzeć to miejsce gołą ręką; tak jak karci się psy, kiedy zrobią nieporządek... ale ona ma rację.

– Jestem pewna – powiedziałam – że mój dom będzie jeszcze czystszy i jeszcze porządniej utrzymany niż ta willa.

– Ty przecież będziesz modelką – odrzekł przekornie – i nie będziesz się zajmowała domem.

– Nic podobnego – odpowiedziałam żywo. – Nie będę już modelką. Będę siedziała cały dzień w domu, zajmę się sprzątaniami i gotowaniem dla ciebie. Mama mówi, że każda mężatka zmienia się w służącą, ale jak się kocha, przyjemnie być i służącą.

Rozmawialiśmy tak przez dłuższy czas; czułam, że powoli niknie mój lęk i wraca dawne, szczerze i naiwne zaufanie. Dlaczego miałabym mieć jakieś wątpliwości? Gino nie tylko pochwalał moje plany, ale udoskonalał je, dorzucał wiele szczegółów od siebie. Jak, zdaje się, już wspomniałam, był teraz całkiem szczerzy; kłamał zawsze i na koniec sam zaczął wierzyć w to, co mówił.

Gawędziliśmy dobrych kilka godzin, po czym zasnąłem i przypuszczam, że Gino spał także. Obudził nas promień księżycy wpadający przez okno sutereny, który oświecił łóżko i nas obydwójce. Gino powiedział, że musi być już bardzo późno; istotnie budzik na komodzie wskazywał kilka minut po północy.

– Co na to powie matka! – zawołałam wyskakując z łóżka i zaczęłam się ubierać przy świetle księżycy.

– Dlaczego ma coś powiedzieć?

– Nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło tak późno wracać! Wieczorem nigdy nie wychodzę sama.

– Możesz jej powiedzieć – powiedział Gino, który także już się podniósł – że pojechaliśmy na daleki spacer samochodem, że samochód się popsuł i musieliśmy długo stać w polu.

– Nie uwierzy mi.

Opuściliśmy willę w pośpiechu i Gino odwiózł mnie do domu. Byłam pewna, że matka nie uwierzy w tę historię z zepsutym samochodem, ale nie wyobrażałam sobie, że tak łatwo domyśli się wszystkiego, co zaszło między mną a Ginem. Miałam ze sobą klucze i od bramy, i od drzwi mieszkania. Nie zapalając światła, szłam na palcach do drzwi sypialni, kiedy poczułam nagle gwałtowne szarpnięcie za włosy. Po ciemku matka, bo ona to była, wciągnęła mnie do drugiego pokoju, rzuciła na tapczan i, ciągle w milczeniu, zaczęła okładać pięściami. Próbowalam zasłaniać się ramieniem, mimo to udało się jej uderzyć mnie kilka razy w twarz. Na koniec zmęczyła się i poczułam, że, zadyszana, siada obok na tapczanie. Po chwili wstała, poszła zapalić wiszącą nad stołem lampę, po czym stanęła przede mną, ujęła się pod boki i zaczęła się we mnie wpatrywać. Jej spojrzenie zmieszało mnie i zawstydziło i zaczęłam obciążać i poprawiać wymiętoszoną sukienkę, a matka powiedziała spokojnie:

– Mogę się założyć, że przespałaś się z Ginem!

Chciałam jej powiedzieć, że tak, że to prawda; ale bałam się, że znowu zaczną mnie bić, i bardziej niż bólu obawiałam się celności jej uderzeń, zwłaszcza teraz, kiedy światło było zapalone. Przerazała mnie myśl, że musiałabym chodzić z podbitym okiem, że taką zobaczyłby mnie Gino. Odpowiedziałam:

- Nie, to nieprawda... Popsuł się nam samochód na wycieczce i dlatego tak się spóźniłam.
- A ja ci mówię, że zostałam jego kochanką!
- Nie, to nieprawda!
- A właśnie, że prawda, przejrzyj się w lustrze! Jesteś zielona!
- Bo jestem przemęczona... ale nie spałam z nim.
- Spałaś!
- Nie!

Najbardziej zdziwiło mnie i zaniepokoiło to, że nie wyczułam w jej głosie śladu oburzenia, tylko ciekawość. Matka wypytywała, czy oddałam się Ginowi, nie dlatego, żeby mnie ukarać czy robić mi wymówki, tylko dlatego, że miała swoje powody, aby dowiedzieć się prawdy za wszelką cenę. Ale teraz było już za późno i chociaż widziałam, że już nie zamierza mnie bić, zaprzeczałam z uporem. Wówczas matka podeszła nagle i chwyciła mnie za ramię. Odruchowo zasłoniłam się ręką, ale ona powiedziała:

– Nie bój się, nic ci nie zrobię, ale chodź, chodź ze mną! – Nie miałam pojęcia, dokąd chce mnie zaprowadzić, ale wystraszona, usłuchałam. Matka wciąż trzymała mnie za rękę; wyszliśmy z mieszkania, zeszliśmy ze schodów i znaleźliśmy się na ulicy. O tej porze ulica była całkiem opustoszała i prawie natychmiast uświadomiłam sobie, że matka ciągnie mnie w kierunku czerwonego światełka, palącego się nad drzwiami apteki, która miała nocny dyżur i w której znajdował się punkt pogotowia ratunkowego. Na progu apteki próbowałam jeszcze stawiać opór, ale pchnęła mnie tak silnie, że nagle znalazłam się wewnątrz i mało brakowało, a byłabym upadła. W aptece znajdował się tylko aptekarz i młody lekarz. Matka zwróciła się do tego ostatniego:

- To moja córka. Chcę prosić, żeby pan ją zbadał.

Lekarz kazał nam przejść do znajdującego się obok pomieszczenia, gdzie stała wąska kanapka i zapytał matki:

- Co jej jest... dlaczego mam ją badać?
- Puściła się z narzeczoną, ta dziwka, i mówi, że nie! – krzyknęła matka. – Chcę, żeby pan ją zbadał i powiedział mi całą prawdę!

Lekarz, którego zaczynało to bawić, przygryzł z uśmiechem wargę i powiedział:

- Ależ to nie byłaby diagnoza, lecz orzeczenie biegłego!
- Niech pan to sobie nazywa, jak się panu podoba – krzyczała dalej matka – ale ja chcę, żeby pan ją zbadał!

Jest pan lekarzem i musi pan badać każdego, kto do pana przychodzi!

- Spokojnie... spokojnie... Jak ci na imię? – zapytał mnie lekarz.

– Adriana – odpowiedziałam. Wstydziłam się, ale nie za bardzo. Cięty język matki i moja potulność znane były w całej dzielnicy.

– A gdyby nawet tak było – rzekł lekarz, który zdawał się rozumieć moje zmieszanie i próbował uniknąć badania – cóż w tym złego?... Pobiorą się niedługo i wszystko dobrze się skończy.

- Niech pan pilnuje swojego nosa!

– Spokojnie... spokojnie... – łagodnie powtórzył lekarz i znów mnie zagadnął: – Skoro twoja matka życzy sobie tego... rozbierz się... to potrwa chwilę i potem będziesz mogła iść do domu.

Zdobyłam się na odwagę i powiedziałam:

– Tak, to prawda... ale lepiej chodźmy do domu, mamó.

– O nie, moja droga – powiedziała rozkazująco – musisz dać się zbadać!

Zrezygnowana zdjęłam spódnice i położyłam się na kanapce. Lekarz zbadał mnie, a potem zwrócił się do matki:

– Miała pani rację... tak jest. Zadowolona pani teraz?

– Ile płacę? – zapytała matka wyjmując portmonetkę. Ja tymczasem wstałam i ubrałam się. Ale lekarz nie przyjął pieniędzy i zwrócił się do mnie:

– Kochasz swojego narzeczonego?

– No pewnie! – odpowiedziałam.

– A kiedy wychodzisz za mąż?

– Nigdy za niego nie wyjdzie! – ryknęła matka, ale ja odrzekłam spokojnie:

– Niedługo, jak tylko załatwimy formalności. – Z oczu moich musiało bić tyle dobrej wiary, że lekarz roześmiał się serdecznie, poklepał mnie po policzku, a potem popchnął mnie lekko w stronę drzwi.

Spodziewałam się, że po powrocie do domu matka obrzuci mnie stekiem wyzwisk, a nawet będzie mnie biła. A tymczasem bez słowa, pomimo że było tak późno, zapaliła gaz i zaczęła odgrzewać mi kolację. Postawiła na ogniu patelnię i, usunawszy z rogu skrawki materiałów, położyła nakrycie. Usiadłam na tapczanie, tym samym, gdzie przed chwilą matka szarpała mnie za włosy, i spoglądałam na nią w milczeniu. Byłam zupełnie oszołomiona, bo nie tylko nie robiła mi wymówek, ale na jej twarzy malowało się wyraźne zadowolenie. Kiedy skończyła nakrywać, poszła do kuchni i po chwili wróciła z patelnią: – A teraz jedz.

Powiedziawszy prawdę, byłam bardzo głodna. Wstałam machinalnie i usiadłam na krzeselku, które skwapliwie podsunęła mi matka. Na patelni zobaczyłam kawałek mięsa i dwa jajka, niecodzienna kolacja!

– To za dużo dla mnie – powiedziałam.

– Jedz... to ci dobrze zrobi... musisz dużo jeść – odpowiedziała. Jej dobry humor był czymś niezwykłym, przebijała w nim odrobina złośliwości, ale bynajmniej nie wrogiej. Po chwili dodała dobroduszenie:

– Gino nie pomyślał o tym, żeby cię czymś poczęstować, co?

– Zasnęliśmy – odrzekłam – a potem było już bardzo późno.

Nic na to nie powiedziała i stojąc przyglądała się, jak jem. Robiła tak zawsze; podawała mi jedzenie, czekała, aż skończę, a potem sama jadała w kuchni. Od dawna już nie siadała ze mną przy stole, jadała znacznie mniej i przeważnie albo resztki po mnie, albo o wiele prostsze potrawy. Traktowała mnie jak kruchy, cenny przedmiot, jedyny cenny, jaki posiadała, z którym trzeba się delikatnie obchodzić, i jej pełna podziwu usłużność już od dawna nie była dla mnie nowością. Ale tym razem jej pogoda i zadowolenie wzbudzały we mnie dziwny niepokój. Odezwałam się po chwili:

– Gniewasz się na mnie za to, co zrobiłam, ale on przyrzekł, że się ze mną ożeni. Pobierzemy się już niedługo.

Odpowiedziała natychmiast:

– Nie, nie gniewam się... Trochę byłam zła, bo czekałam przez cały wieczór i niepokoiłam się o ciebie, ale teraz nie myśl już o tym, jedz!

Jej wymijający i fałszywie uspokajający ton, jakim przemawia się do dzieci, kiedy nie chce się odpowiedzieć na ich pytania, wzbudził we mnie dalsze podejrzenia.

– Ale dlaczego? – nalegałam. – Nie wierzysz, że on się ze mną ożeni?

– Wierzę, wierzę, ale teraz jedz!

– Nie, ty w to nie wierzysz!

– Mówię ci, że wierzę... no jedz!

– Nie będę jadła – zawołałam z rozpaczą – dopóki nie powiesz mi prawdy! Dlaczego masz taką uradowaną minę?

– Wcale nie mam uradowanej miny.

Zabrała patelnię i poszła do kuchni. Zaczekałam, aż wróci, i powiedziałam znowu:

– Jesteś bardzo zadowolona.

Przez dłuższy czas patrzyła na mnie w milczeniu, po czym powiedziała z powagą, w której przebijał ton groźby:

– Tak, jestem zadowolona.

– Dlaczego?

– Bo teraz jestem pewna, że Gino cię rzuci i nie ożeni się z tobą.

– Nieprawda; powiedział, że ożeni się ze mną.

– Nie ożeni się; to, czego chciał, już dostał... nie ożeni się i porzuci cię.

– I tak się z tego cieszysz?

– Cieszę się, bo teraz już mam pewność, że się nie pobierzecie.

– A cóż by ci to szkodziło? – zawołałam z wściekłością i rozpaczą.

– Gdyby naprawdę chciał się z tobą ożenić, nie żyłby z tobą już teraz – odpowiedziała całkiem niespodziewanie. – Byłam przez dwa lata zaręczona z twoim ojcem i zaczęliśmy się całować dopiero na kilka miesięcy przed ślubem. Pobawi się z tobą, a potem cię rzuci, możesz być pewna. I ja jestem z tego zadowolona, bo to małżeństwo byłoby dla ciebie ruiną.

Musiałam przyznać w duchu, że rozumowanie matki nie pozbawione jest pewnej słuszności, i łzy napłynęły mi do oczu.

Odrzekłam:

– Już wiem, ty nie chcesz, żebym kiedykolwiek założyła rodzinę. Chcesz, żebym prowadziła takie życie jak Angelina. – Angelina była to dziewczyna z naszej dzielnicy, która miała paru narzeczonych, a potem zaczęła otwarcie uprawiać prostytutkę.

– Chcę, żeby ci było dobrze – powiedziała szorstko. Zebrała talerze i poszła pozmywać je do kuchni. Kiedy zostałam sama, zastanawiałam się długo nad słowami matki. Porównywałam je z obietnicami i zachowaniem Gina i wydawało mi się niemożliwe, żeby ona mogła mieć rację. Ale zastanawiały mnie jej spokój, pewność siebie i przenikliwość.

A tymczasem matka zmyła talerze, potem słyszałam, jak ustawia je w kredensie i przechodzi do sypialnego

pokoju. Po chwili, zmęczona i zgnębiona, zgasiłam światło i położyłam się koło niej.

Nazajutrz sama nie wiedziałam, czy mam powiedzieć Ginowi o wątpliwościach matki; po długich wahaniach zdecydowałam, że nie. Ogarnął mnie taki lęk, żeby nie sprawdziły się jej przepowiednie, żeby Gino mnie nie porzucił, iż bałam się, aby rozmowa na ten temat nie podsunęła mu podobnych myśli. Zrobiłam wówczas odkrycie, że kobieta oddając się mężczyźnie jest od tej chwili w jego rękach i nie ma już żadnych możliwości, żeby go do czegokolwiek zmusić. Ale wciąż jeszcze byłam pewna, że Gino dotrzyma obietnicy; kiedy się z nim spotkałam, zachowanie jego utwierdziło mnie jeszcze w tym przekonaniu.

Wiedziałam, że obsypie mnie czułościami i pieszczotami, ale bałam się, że nie wspomni ani słowem o małżeństwie albo będzie o tym mówił wymijająco. A tymczasem, gdy tylko stanęliśmy na naszym zwykłym miejscu na szosie, Gino oznajmił, że ustalił już datę ślubu, który odbędzie się za pięć miesięcy, ani o jeden dzień później. Moja radość była tak wielka, że przypisując sobie myśli matki, nie mogłam powstrzymać się od okrzyku:

– A wiesz, co ja myślałam?... Że po tym wszystkim, co się stało wczoraj, porzucisz mnie!

– To znaczy – powiedział z urazą – żeś mnie wzięła za skończonego łajdaka!

– Nie, ale wiem, że tak robi wielu mężczyzn.

– Wiesz co – odrzekł nie zwróciwszy uwagi na moją odpowiedź – że mógłbym się nawet obrazić za tego rodzaju przypuszczenia. Co za opinię wyrobiłaś sobie o mnie? To tak mnie kochasz?

– Kocham cię – odpowiedziałam z rozbrajającą szczerością – ale bałam się, że będziesz miał mnie dosyć.

– Czy choćby raz dałem ci to odczuć?

– Nie, ale nigdy nic nie wiadomo.

– No i widzisz – rzekł nagle – wprowadziłaś mnie w taki zły humor, że zaraz odwożę cię do twojej pracowni – i wyciągnął rękę, żeby zapuścić motor.

Przerażona, zarzuciłam mu rękę na szyję, wołając błagalnym tonem:

– Nie, daj spokój... powiedziałaś to tylko tak sobie... Zapomnij o tym!

– Mówi się rzeczy, o których się myśli, a jeżeli ktoś tak myśli, to znaczy, że nie kocha...

– Przecież ja cię kocham!

– A ja nie – odpowiedział ironicznie – ja, jak mówisz, myślałem tylko o tym, żeby się tobą zabawić, a potem cię porzucić! Dziwi mnie, że zauważyłaś to dopiero dzisiaj.

– Ach, Gino, dlaczego tak do mnie mówisz? – zawołałam wybuchając płaczem. – Co ja ci takiego zrobiłam?

– Nic! – odpowiedział zapuszczając silnik – ale teraz odwożę cię do pracowni.

Samochód jechał szybko, Gino zacięty i milczący siedział przy kierownicy. A ja szlochałam i patrzyłam na przelatujące za szybą drzewa i słupy. Niedługo poza pasmem pól ukazały się na horyzoncie pierwsze domy miasta. Pomyślałam, jak będzie triumfować matka, kiedy dowie się o naszej kłótni i o tym, że, jak przewidywała, Gino mnie porzucił, i w nagłym przypływie rozpaczy otworzyłam drzwiczki i wychylając się z samochodu zawołałam:

– Albo staniesz natychmiast, albo wyskoczę!

Spojrzał na mnie, zwolnił, skręcił w boczną drogę i zatrzymał samochód za małym pagórkiem, na którego szczycie widniały jakieś ruiny. Zgasił motor, zaciągnął hamulec, po czym spojrzał na mnie i powiedział niecierpliwie: – No więc co, mów!

Myslałam, że naprawdę chce mnie porzucić, i zaczęłam przemawiać do niego serdecznie i czule; kiedy dzisiaj wspominam te słowa, chce mi się śmiać i zarazem płakać. Mówiłam mu, jak bardzo go kocham, tak bardzo, że nawet nie zależy mi na małżeństwie i wystarczy mi, że będę jego kochanką. Słuchał mnie z ponurym wyrazem twarzy, potrząsał głową i wtrącał od czasu do czasu: „Nie, nie, nic z tego dzisiaj nie będzie... Może do jutra mi przejdzie”. Długo rozmawialiśmy tak ze sobą; był na tyle przewrotny, że jeszcze kilka razy doprowadził mnie swoimi słowami do łez i rozpacz. Potem stopniowo jego nieugięta postawa zaczęła słabnąć, po nie kończących się pocałunkach i pieszczotach namówiłam go wreszcie, byśmy się przesiedli na tylne siedzenia wozu, i wydało mi się, że odniosłam wielkie zwycięstwo. Kiedy mu się oddałam, uważałam, że trwało to za krótko, że odbyło się jakby w pośpiechu, i czułam gorycz, bo przecież tak bardzo chciałam mu się podobać. Nie rozumiałam, że postępując w ten sposób nie tylko nie odniosłam żadnego zwycięstwa, ale byłam zdana całkowicie na jego łaskę i niełaskę, bo okazałam, że gotowa jestem w każdej chwili oddać mu się nie tylko w porwywie miłości, ale i wtedy, gdy ani argumenty, ani pochlebstwa nie wystarczały, żeby mu się przypodobać i przekonać go; robią tak wszystkie zakochane kobiety, które nie mają pewności, czy są kochane z wzajemnością; a ja byłam całkiem zaślepiona jego poprawnym zachowaniem, wypływającym z obłudy. Mówił i robił zawsze to, co w danym momencie trzeba było powiedzieć lub zrobić, a ja byłam taka niedoświadczona, że nie zdawałam sobie sprawy, iż owa doskonałość pasuje raczej do wytworzonego przez moją wyobraźnię wizerunku kochanka niż do żywego człowieka z krwi i kości, który przy mnie siedział.

Ale data ślubu została ustalona i szybko zabrałam się do przygotowań. Zdecydowaliśmy z Ginem, że z początku zamieszkamy z matką. Oprócz dużego pokoju, kuchni i sypialni w mieszkaniu był jeszcze czwarty pokój, którego matka nigdy nie umeblowała z powodu braku pieniędzy. Służył on za graciarnię, a można wyobrazić sobie, jak wyglądały owe graty, skoro w naszym domu każdy mebel był stary i rozklekotany. Po wielu dyskusjach zdecydowaliśmy się na najskromniejszy program: umeblujemy ten pokój i ja kupię sobie najpotrzebniejsze rzeczy. Byliśmy bardzo biedne obydwie z matką, ale wiedziałam, że uskładała ona sobie trochę oszczędności; pieniądze te ciułała dla mnie, żeby, jak mówiła, być przygotowaną na wszelką ewentualność. Co rozumiała przez tę ewentualność, nie wiem, ale na pewno nie moje małżeństwo z biednym chłopcem bez żadnej przyszłości. Poszłam do matki i powiedziałam jej:

– Te oszczędności, które masz, uskładałaś dla mnie, prawda?

– Prawda.

– Więc jeżeli chcesz, żebym była szczęśliwa, daj mi je teraz, a będę mogła urządzić ten pokój, w którym zamieszkamy z Ginem. Jeżeli naprawdę przeznaczyłaś te pieniądze dla mnie, teraz właśnie przyszła chwila, żeby je wydać.

Oczekiwałam wymówek i ostrej wymiany zdań, zakończonej odmową. A tymczasem matka z wielkim spokojem przyjęła moją prośbę, okazując znowu tę zaprawioną złośliwością dobroduszość, która wprowadziła mnie w takie osłupienie owego wieczoru, kiedy wróciłam z willi.

– A on nic ci nie da? – zapytała.

– Oczywiście, że da – skłamałam – mówił już o tym, ale i ja muszę coś wnieść.

Szła przy oknie, ale gdyśmy zaczęły rozmawiać, przerwała robotę.

– Idź do mojego pokoju i otwórz górną szufladę w komodzie. Znajdziesz tam tekturowe pudełko. Jest w

nim moja książeczka oszczędnościowa i kilka drobiazgów ze złota... Weź książeczkę i tę biżuterię... daruję ci to.

Złotych przedmiotów było niewiele: pierścionek, kolczyki i łańcuszek. Ale już od dziecka ten ubożuchny skarb, ukryty między łachmanami i oglądany tylko przy nadzwyczajnych okazjach, pobudzał moją fantazję.

W uniesieniu rzuciłam się matce na szyję. Odepchnęła mnie bez gniewu, ale chłodno, mówiąc:

– Uważaj... mam w ręku igłę, możesz się ukłuć.

Ale nie byłam jeszcze zadowolona. Nie wystarczało mi to, że postawiłam na swoim, chciałam, żeby matka podzielała moją radość.

– Ależ, mam – zawołałam – jeżeli robisz to tylko dlatego, żeby mi sprawić przyjemność, to nie chcę nic!

– Oczywiście, że nie robię tego, żeby jemu sprawić przyjemność – odpowiedziała biorąc się znowu do szycia.

– Czy ty naprawdę nie wierzysz – zapytałam pieszczotliwie – że wyjdę za mąż za Gina?

– Nigdy w to nie wierzyłam, a dzisiaj mniej niż kiedykolwiek.

– Więc dlaczego dajesz mi pieniądze na urządzenie pokoju?

– Dlatego, że w żadnym razie nie będą to wyrzucone pieniądze... Zostaną ci meble i bielizna pościelowa.

Towar czy pieniądze... to jedno i to samo.

– I nie pójdziesz kupować ze mną do sklepów?

– Na litość boską – krzyknęła – nie chcę o niczym wiedzieć! Róbcie wszystko sami, kupujcie, wybierajcie... Ja nie chcę wiedzieć o niczym!

Kiedy szło o moje małżeństwo z Ginem, była rzeczywiście nieubłagana, nie dlatego, że nie喜欢 jej zachowanie, charakter czy skromne warunki Gina, lecz wpływało to z jej ustosunkowania się do życia. W jej zapatrywaniach nie było nic takiego, co mogłoby budzić odrazę, po prostu tylko różniły się one całkowicie od ogólnie przyjętych pojęć. Inne matki pragną nade wszystko, żeby córki ich wyszły za mąż; moja matka życzyła sobie, żebym ja za mąż nie wyszła.

Tak rozgrywał się między nami ukryty pojedynek: matka chciała, aby moje małżeństwo nie doszło do skutku i abym zrozumiała, że ona chce mojego szczęścia, a ja chciałam wyjść za mąż i przekonać ją, że słuszność jest po mojej stronie. Z tym większą pasją uczepliłam się myśli o zamążpójściu, że z rozpaczliwym uporem postawiłam całe życie na tę jedną kartę. Wyczuwałam przy tym nie bez goryczy, że matka z wrogością śledzi moje wysiłki i ma nadzieję, że pójdą na marne.

Muszę tu jeszcze raz zaznaczyć, że nawet w okresie przygotowań do ślubu przekłeta doskonałość Gina nie poniosła szwanku. Powiedziałam matce, że Gino pokryje część wydatków, ale to było kłamstwo, bo na razie nie wspomniał o tym ani słowem. Byłam zdziwiona i zadowolona zarazem, kiedy Gino, chociaż go o to nie prosiłam, wręczył mi pewnego dnia niewielką sumę. Usprawiedliwiał się, że nie może dać mi więcej, bo musi stale posyłać pieniądze rodzinie. Dzisiaj, kiedy zastanawiam się, dlaczego to zrobił, mogę to sobie wytłumaczyć tylko w ten sposób, że pragnął bez zarzutu odegrać swoją rolę aż do końca. Pewnie czuł wyrzuty sumienia, że mnie oszukał, i żał, że nie może się ze mną ożenić, czego teraz już naprawdę pragnął. Z triumfem opowiedziałam matce o tych pieniądzach. Ograniczyła się do uwagi, że jest to bardzo skromna sumka, która nie zrujnowała go, ale wystarczyła, żeby mi zamydlić oczy.

Był to bardzo szczęśliwy okres mojego życia. Spotykaliśmy się z Ginem codziennie i kochaliśmy się, gdzie

tylko się dało: w samochodzie, w ciemnym zaułku opustoszałej ulicy, na ławkach za miastem albo w willi, w pokoiku Gina. Pewnej nocy, kiedy odprowadził mnie do domu, oddałam mu się w ciemnościach na klatce schodowej przed drzwiami naszego mieszkania. Lubiłam być z nim razem w ścisku, w tramwaju czy w lokalu, bo ludzie popychali mnie, z czego korzystałam, aby tulić się do niego całym ciałem. Ciągle chciałam trzymać go za rękę, wplatać palce w jego włosy i pozwalałam sobie na te pieszczoty wszędzie, nawet między ludźmi. Wydawało mi się, że nikt tego nie widzi, jak to bywa zawsze, kiedy ulegamy nieprzeciętnej namiętności. Uważałam miłość za coś wspaniałego i może nawet podobała mi się bardziej niż sam Gino. Oddawałam mu się nie tylko powodowana uczuciem, ale i dla przyjemności. Oczywiście nie myślałam o tym, że taką samą przyjemność mógłby mi dać także inny mężczyzna. Ale zdawałam sobie sprawę, że pasja, zapamiętanie i uniesienie, towarzyszące moim pieszczotom, nie tłumaczyły się tylko naszą miłością. Było to coś niezależnego, coś na kształt powołania, które niedługo wyszłoby na jaw, nawet gdybym nie była poznała Gina.

Ale myśl o małżeństwie była we mnie najsilniejsza. Robiłam nadludzkie wysiłki, aby zarobić więcej pieniędzy, i pomagałam matce, często szyjąc całymi nocami... Za dnia, w godzinach wolnych od pozowania, chodziłam z Ginem po sklepach, żeby wybrać meble i materiały na wyprawę. Rozporządzałam bardzo niewielką sumą, a więc tym trudniej było mi zdecydować się na wybór. Kazałam pokazywać sobie nawet te rzeczy, na których kupno nie było mnie stać, oglądałam je długo, podając w wątpliwość ich gatunek i targując się, po czym wychodziłam udając niezadowolenie lub mówiłam, że przyjdę jeszcze raz. Nie uświadamiałam sobie tego, ale pełne pokus wyprawy po sklepach i oglądanie z bliska rzeczy dla mnie niedostępnych sprawiały, że wbrew własnej woli zaczynałam przyznawać rację matce: bez pieniędzy trudno być szczęśliwym. Po wizycie w willi była to druga okazja oglądania na własne oczy rajy opływającego w bogactwa, i zdając sobie sprawę, że bez mojej winy jestem z niego wygnana, odczuwałam gorycz i niepokój wewnętrzny. Próbując zapomnieć o niesprawiedliwości losu, szukałam ucieczki – tak samo jak wtedy w willi – w miłości. Ta miłość była jedynym luksusem, na jaki mogłam sobie pozwolić, i sprawiała, że nie odczuwałam już niższości wobec kobiet bogatszych i szczęśliwszych ode mnie.

Na koniec, po wielu dyskusjach i wielu wahaniach, dokonałam wyboru i zakończyłam te bardzo skromne zakupy. Wzięłam na raty, bo nie wystarczyło mi gotówki, sypialnię w nowoczesnym stylu: małżeńskie łóżko, toaletę z lustrem, dwie nocne szafki, krzeselka i szafę. Były to sprzęty pospolite, tanie i tandetnie wykonane, ale trudno opisać, jak szybko przywiązałam się do tego więcej niż skromnego umeblowania. Kazałam wybielić ściany pokoju, polakierować drzwi i okna, wywiórkować podłogę, tak że nasz pokój stał się jakby wysepką czystości w morzu niechlujstwa pozostałej części mieszkania. Dzień, w którym wniesiono meble do domu, był na pewno jednym z najpiękniejszych w moim życiu. Nie mogłam uwierzyć, że jestem właścicielką tego pokoju, czyściutkiego, porządnego, jasnego, pachnącego farbą i lakierem. Owo niedowierzanie połączone było z uczuciem nie kończącej się radości. Czasami, kiedy byłam pewna, że matka mnie nie widzi, wchodziłam do tego pokoju, siadałam na łóżku, na gołym materacu i całymi godzinami rozglądałam się dokoła. Nieruchoma jak posąg, patrzyłam na swoje meble, jak gdybym nie wierzyła, że naprawdę tam stoją, i jak gdybym się bała, że mogą w każdej chwili zniknąć zostawiając cztery nagie ściany. Albo wstawałam, pieszczotliwie ścierałam kurze i tarłam aż do połysku politurę. Myślę, że gdybym dała się ponieść uczuciom, całowałabym te meble. Okno bez firanek wychodziło na obszerne, brudne podwórko, otoczone niskimi, długimi domami, takimi samymi jak nasz. Wyglądało ono zupełnie jak dziedziniec szpitalny albo więzienny, ale obecnie nie zwracałam na to uwagi i czułam się tak szczęśliwa, jak gdyby za tym

oknem rozciągał się jakiś piękny, pełen drzew ogród. Wyobrażałam sobie, jakie będzie nasze życie w tym pokoju, moje i Gina, jak będziemy tu spali, jak będziemy się kochali. Cieszyłam się także na to, co zamierzałam jeszcze kupić, skoro tylko uskładałam znowu trochę pieniędzy: tu stanie wazon z kwiatami, tam lampa, a tutaj popielniczka czy inny drobiazg. Jedynym moim zmartwieniem było, że nie mogę urządzić sobie łazienki, jeżeli już nie takiej jak tamta, śnieżnobiałej ze lśniąca majoliką i błyszczącymi kranami, to choćby skromnej, ale czystej i nowej. Postanowiłam, że w moim pokoju będzie zawsze czyściutko i porządnie. Od czasu wizyty w willi nabrałam przekonania, że czystość i porządek to pierwszy krok do luksusu.

Rozdział 4

W tym okresie pozowałam wciąż jeszcze w pracowniach i zaprzyjaźniłam się z jedną z modelek, która miała na imię Gizela. Była to dziewczyna wysoka i pięknie zbudowana, o białej cerze, gęstych czarnych włosach, małych, głęboko osadzonych niebieskich oczach i dużych czerwonych ustach. Miała charakter całkiem odmienny od mojego: złośliwa, wyniosła, często się obrażała, a przy tym była praktyczna i interesowna; i może właśnie przez kontrast zbliżyliśmy się do siebie. Jedynym jej zajęciem było pozowanie, ale ubrana była bez porównania lepiej ode mnie i bynajmniej przede mną nie ukrywała, że dostaje prezenty i pieniądze od mężczyzny, którego przedstawiała jako swego narzeczonego. Pamiętam, że owej zimy chodziła w czarnej kurtce z karakułowymi mankietami i kołnierzem, czego bardzo jej zazdrościłam. Jej narzeczony nazywał się Riccardo; był to młody człowiek, wysoki i tęgi, lubiący dobrze zjeść, spokojny, o gładko wygolonej twarzy. Wydawał mi się wtedy nadzwyczaj przystojny. Był zawsze wyświeżony, wypomadowany i ubrany jak z igły, jego ojciec miał sklep z krawatami i bielizną męską. Był tak naiwny, że czasem robił wrażenie głupkowatego, a przy tym dobroduszny, jowialny i zapewne dobry. On i Gizela byli kochankami i nie przypuszczam, żeby między nimi była mowa o małżeństwie. Pomimo to Gizela chciała wyjść za mąż, chociaż nie miała wielkich nadziei, że się jej to uda. Nie grzeszyła mądrością, ale że była o wiele bardziej doświadczona ode mnie, wbiła sobie do głowy, że musi mnie pouczać, opiekować się mną. Mówiąc krótko, miała takie same zapatrywania na życie i szczęście, jak moja matka, z tą tylko różnicą, że u matki zaprawione one były goryczą zrodzoną z wielu wyrzeczeń i rozczarowań, a u Gizeli wypływały z głupoty i objawiały się tupetem i wielką pewnością siebie. Matka ograniczała się do wygłaszania formułek, jak gdyby większe znaczenie miało dla niej głoszenie tych zasad niż wprowadzanie ich w życie; Gizela natomiast, która zawsze myślała w ten sposób i w ogóle nie przychodziło jej do głowy, że można by myśleć inaczej, dziwiła się, że nie prowadzę takiego trybu życia jak ona. I dopiero kiedy odruchowo okazałam jej, że nie pochwalam tego rodzaju postępowania, jej zdziwienie zmieniło się w zazdrość i irytację. Spostrzegła, że nie tylko odrzucam jej rady i opiekę, ale że mogłabym także, gdybym tylko chciała, potępić ją i patrzeć na nią z góry, bo mam swoje na wskroś moralne zasady. I wówczas, może nawet nie całkiem świadomie, powzięła zamiar, żeby uprzedzić fakty i jak najprędzej zrobić ze mnie to, czym była ona sama. Na razie powtarzała mi bezustannie, że trzeba być chyba idiotką, aby tak dbać o swoją cnotę; że warunki, w jakich żyję, i moje nędzne sukienki mogą budzić litość; że gdybym tylko chciała wyzyskać swoją urodę, życie moje zmieniłoby się nie do poznania. Wreszcie wstydząc się tego, że oszukuję ją w pewnym stopniu, utrzymując ją w przekonaniu, iż nigdy nie zadawałam się z żadnym mężczyzną, wyznałam jej, jakie stosunki łączą mnie z Ginem, wspomniałam jednak przy tym o naszych zaręczynach i o mającym nastąpić wkrótce ślubie. Zapytała mnie, kim jest Gino, a kiedy dowiedziała się, że jest szoferem, zaczęła kręcić nosem. Pomimo to poprosiła, żebym go jej przedstawiła.

Gizela była moją najserdeczniejszą przyjaciółką, a Gino moim narzeczonym; dzisiaj mogę osądzić na zimno każde z nich, ale wówczas byłam zaślepiona bez reszty na ich punkcie. Gina, jak już nieraz wspominałam, uważałam za chodzącą doskonałość; co do Gizeli, może nawet zdawałam sobie sprawę z jej wad, ale widziałam w niej wielkie zalety serca i sądziłam, że ma dla mnie wiele uczucia. Jej zainteresowanie moim losem przypisywałam nie temu, że

znając moją niewinność chce mnie zepsuć, ale źle pojętej dobroci. Tak więc byłam bardzo wzruszona, poznając ich ze sobą; pragnęłam, w swojej świętej naiwności, aby zostali przyjaciółmi. Spotkanie odbyło się w mleczarni. Gizela przez cały czas zachowywała powściągliwe i wyraźnie wrogie milczenie. Początkowo wydawało mi się, że Gino chce zjednać sobie Gizelę, bo jak zwykle naprowadził rozmowę na temat willi, rozwodząc się nad bogactwami swoich chlebobawców, jak gdyby miał nadzieję, że oczaruje ją tym opowiadaniem i że wówczas ona zapomni o jego skromnej pozycji. Ale nie rozbroido to Gizeli, która w dalszym ciągu nieprzyjaźnie się do niego odnosiła. W pewnej chwili, nie pamiętam już przy jakiej okazji, powiedziała:

- Ma pan szczęście, że znalazł pan Adrianę.
- Dlaczego? – zapytał Gino zdziwiony.
- Bo szoferzy zadają się przeważnie z kucharkami.

Zobaczyłam, że Gino zbladł, ale nie należał do ludzi, których łatwo zbić z tropu.

– Tak, to prawda, to prawda... – powiedział powoli, zniżając głos, z miną człowieka zastanawiającego się po raz pierwszy nad problemem, który dotychczas uszedł jego uwagi – rzeczywiście, szofer, który służył tam przede mną, ożenił się właśnie z kucharką. To zupełnie zrozumiałe, dlaczegoż by nie? I ja powinienem być zrobić to samo. Kucharki wychodzą za mąż za szoferów, a szoferzy żenią się z kucharkami. No proszę, i jak to się mogło stać, że dotychczas o tym nie pomyślałem? Ale – dorzucił niedbałym tonem – wolałbym nawet, żeby Adriana była pomywaczką niż modelką – tu podniósł rękę, jak gdyby chciał uprzedzić protesty Gizeli. – Nie mówię już o tym, że nie mogę strawić tego rozbierania się przy mężczyznach, ale sam ten zawód stwarza tysiące okazji do zawierania pewnych znajomości... pewnych przyjaźni... – pokiwał głową i pogardliwie wykrzywił usta, po czym podsuwając jej pudełko z papierosami zapytał: – Czy pani pali?

Gizela nie wiedziała, co odpowiedzieć, i ograniczyła się do tego, że nie wzięła papierosa, popatrzyła na zegarek i oświadczyła:

– Adriano, musimy już iść, jest bardzo późno. Rzeczywiście było późno, pożegnałyśmy się z Ginem i wyszłyśmy z mleczarni. Na ulicy Gizela powiedziała:

– Jesteś na drodze do zrobienia wielkiego głupstwa... Ja za żadne skarby świata nie wyszłabym za takiego człowieka.

– Nie podobał ci się? – zapytałam z niepokojem.

– Ani trochę... Poza tym mówiłaś, że jest wysoki, a tymczasem jest odrobinę niższy od ciebie, ma fałszywe spojrzenie i nigdy nie patrzy w oczy, jest nienaturalny, wyraża się w sposób tak sztuczny, że od razu widać, że nigdy nie mówi tego, co myśli, i w dodatku te wielkopańskie maniery... u szofera!

– Ale ja go kocham.

Odpowiedziała spokojnie:

– Tak, ale on ciebie nie kocha... Zobaczysz, że pewnego pięknego dnia cię porzuci.

Uderzyło mnie to proroctwo, wypowiedziane pewnym głosem i zgodne z tym, co mówiła matka. Dzisiaj muszę przyznać, że Gizela, pomijając jej z góry nieprzychylny stosunek do Gina, lepiej poznała jego charakter przez godzinę niż ja przez parę miesięcy. Gino ze swojej strony także wydał bardzo niepoehlebny sąd o Gizeli, który przynajmniej w pewnym stopniu musiałam uznać później za słuszny. Na razie miłość, przyjaźń i moje niedoświadczenie sprawiły, że patrzyłam na każde z nich przez różowe okulary; prawie zawsze tak bywa, że kiedy

myślimy o kimś źle, jesteśmy o wiele bliżsi prawdy.

– Tę twoją Gizelę – powiedział – w moich okolicach nazwaliby „kobietką”.

Zrobiłam zdziwiony wyraz twarzy. Wyjaśnił mi:

– No, ulicznica... bo taki ma charakter i takie zachowanie. Jest zarozumiała, bo dobrze się ubiera. Ciekaw jestem, w jaki sposób zarabia na te łaszki!

– Dostaje je od narzeczonego.

– Od narzeczonego, którego zmienia się co noc... A teraz słuchaj: albo ja, albo ona!

– Co to ma znaczyć?

– Chcę powiedzieć, że rób, jak chcesz, ale jeżeli dalej będziesz się z nią widywała, musisz zrezygnować ze mnie. Albo ja, albo ona!

Próbowałam go przekonać, lecz na próżno. Obraziło go z pewnością odpychające zachowanie Gizeli; ale nawet okazując pogardliwą niechęć dla mojej przyjaciółki, nadal pozostał wierny swojej roli dobrego narzeczonego, tak samo jak wtedy, gdy pokrył część wydatków na moją wyprawę. Jak zawsze, doskonale umiał wyrazić to, czego wcale nie odczuwał: „Mojej narzeczonej nie wolno przebywać w towarzystwie kobiet podejrzanego prowadzenia” – powtarzał twardo. Na koniec, w obawie, żeby nie rozwiało się nasze małżeństwo, obiecałam mu, że nie zobaczę się już więcej z Gizelą, chociaż wiedziałam, że nie dotrzymam słowa. Było to niemożliwe choćby z tego powodu, że pozowałyśmy z Gizelą o tej samej godzinie w tej samej pracowni.

Od tego czasu widywałam się z nią w tajemnicy przed Ginem. Kiedy byliśmy razem, Gizela korzystała z każdej okazji, żeby robić ironiczne i pogardliwe aluzje na temat moich zaręczyn. Byłam na tyle naiwna, że zwierzyłam się jej w swoim czasie ze stosunków łączących mnie z Ginem, i to właśnie stało się źródłem jej docinków; malowała w najczarniejszych barwach zarówno moje obecne położenie, jak i moją przyszłość. Jej przyjaciel Riccardo nie widział żadnej różnicy między mną a nią, uważając nas obie za dziewczyny lekkiego prowadzenia, niewarte szacunku, i lubił stroić sobie ze mnie żarty razem z Gizelą, podchwytyjąc jej kpinki. Ale robił to w sposób głupkowaty i dobroduszny, bo, jak już wspomniałam, pozbawiony był inteligencji i złośliwości. Dla niego mój naręczony stanowił jedynie temat do żartobliwych rozmów dla zabicia czasu. Ale Gizela, której moja cnota była solą w oku i która za wszelką cenę chciała upodobnić mnie do siebie, abym nie miała prawa jej sądzić, po prostu stawiała na głowie, żeby za wszelką cenę pogięć mnie i upokorzyć.

Uderzała przede wszystkim w mój słaby punkt: ubranie. Mówiła: „Dzisiaj po prostu się wstydzę wyjść z tobą na ulicę”. Albo: „Riccardo nigdy by nie pozwolił, żebym chodziła w takiej sukience... prawda, Riccardo? Miłość, moja droga, objawia się i w takich drobiazgach”. Nie potrafiłam pozostać obojętna wobec tych gruboskórnych uwag: ogarniała mnie złość, broniłam Gina, broniłam, ale coraz mniej pewnie, moich sukienek, i zawsze po rozmowie z nimi byłam zgnębiona, miałam wypieki na twarzy i łzy w oczach. Pewnego dnia, wiedziony współczuciem, Riccardo powiedział:

– Dzisiaj Adriana dostanie ode mnie prezent. Chodź, Adriano, chcę ci kupić torebkę. – Ale Gizelą gwałtownie się sprzeciwiła:

– Nie, nie, żadnych prezentów! Ma swojego Gina, niech on jej kupuje prezenty! – Riccardo, który zrobił tę propozycję z dobrego serca, ale nie domyślał się nawet, jaką przyjemność by mi tym zrobił, ustąpił natychmiast, a ja, na złość, tego samego popołudnia poszłam i sama kupiłam sobie torbę. Nazajutrz przyszłam na spotkanie z nimi z

torbą pod pachą i oświadczyłam, że jest to podarunek od Gina. Było to jedyne zwycięstwo, jakie odniosłam w moich rozpaczliwych potyczkach, i drogo mnie ono kosztowało, bo torebka była naprawdę ładna i wydałam na nią mnóstwo pieniędzy.

Kiedy po nie kończących się docinkach, upokarzających uwagach i kazaniach Gizeli wydało się na koniec, że owoc dojrzał, oświadczyła, że ma dla mnie pewną propozycję.

– Ale pozwól mi powiedzieć wszystko aż do końca – dodała – i nie przerywaj, zanim nie dowiesz się, o co chodzi.

– Mów – odpowiedziałam.

– Wiesz, jak bardzo cię lubię – zaczęła – traktuję cię prawie jak siostrę. Ty, z twoją urodą, mogłabyś mieć wszystko, czego dusza zapagnie, toteż jest mi bardzo przykro, że chodzisz ubrana jak nędzarka. A teraz posłuchaj – tu przerwała i spojrzała na mnie uroczyście – znam pewnego mężczyznę, nadzwyczaj kulturalnego, dystygowanego, poważnego, który widział cię i bardzo się tobą zainteresował. Jest żonaty, ale rodzina jego mieszka na prowincji. To gruba ryba – dodała zniżając głos – z policji... Jeśli chcesz go poznać, mogę ci go przedstawić. Jak już mówiłam, to bardzo poważny i dystygowany człowiek i możesz liczyć w zupełności na jego dyskrecję, a poza tym jest bardzo zajęty, więc będziesz widywała go tylko parę razy na miesiąc. On nie ma nic przeciwko temu, żebyś zadawała się z Ginem, jeżeli masz ochotę, a nawet żebyś wyszła za męża. On postara się stworzyć ci inne warunki niż te, w których żyłaś dotychczas... Co o tym myślisz?

– Bardzo mu jestem wdzięczna – odpowiedziałam szczerze – ale nie mogę zgodzić się na to.

– Dlaczego? – zawołała ze zdumieniem.

– Dlatego, że nie... Kocham Gina i gdybym się na to zgodziła, wstydziłabym się spojrzeć mu w oczy.

– Dajże spokój... Przecież powiedziałam ci, że Gino nie będzie o niczym wiedział!

– Właśnie dlatego!

– Gdy pomyślę – zaczęła mówić jakby do siebie – co bym powiedziała, gdyby mnie ktoś zrobił taką propozycję... No, ale co mam mu odpowiedzieć? Że namyślił się jeszcze?

– Nie, nie... nie zgadzam się.

– Jesteś skończoną idiotką – powiedziała Gizela z rozczarowaniem w głosie. – To się nazywa własnymi rękami burzyć swoje szczęście. – Mówiła jeszcze wiele rzeczy w tym tonie, ja stałe odpowiadałam to samo, aż wreszcie odeszła bardzo niezadowolona.

Odrzuciłam tę propozycję bez namysłu, nie zastanawiając się, jakie dałaby mi korzyści. Potem, kiedy zostałam sama, prawie że pożałowałam tego: kto wie, może Gizela miała rację, może to był jedyny sposób, aby zdobyć wszystko, co było mi tak bardzo, bardzo potrzebne. Ale natychmiast odrzuciłam tę możliwość i tym rozpaczliwiej uczepliłam się myśli o małżeństwie i związanym z nim spokojnym życiu, choćby nawet w biedzie. Wydawało mi się, że zrobiłam wielkie poświęcenie, które zobowiązuje mnie teraz do małżeństwa bardziej niż kiedykolwiek i że plany moje muszą się ziścić za wszelką cenę.

Nie potrafiłam jednak oprzeć się pokusie i, powodowana próżnością, powiedziałam matce o propozycji Gizeli. Przypuszczałam, że sprawię jej podwójną przyjemność; wiedziałam, że jest bardzo dumna z mojej urody, a przy tym ogromnie przywiązana do swoich zapatrywań na życie, a więc oferta owa schlebiała jej próżności i zarazem potwierdzała słuszność jej poglądów. Ale nie sądziłam, że ta wiadomość wprawi ją w takie podniecenie. Z

oczu jej wycierała chciwość, dostała wypieków na twarzy.

- Ale kto to taki? – zapytała w końcu.
- Wielki pan – rzekłam. Wstydziłam się powiedzieć, że to ktoś z policji.
- I mówiła, że jest bardzo bogaty?
- Tak, podobno dużo zarabia.

Było widoczne, że nie chce się zdradzić z tym, co myśli; a mianowicie, że postąpiłam źle, odrzucając taką propozycję.

- Widział cię i zainteresował się tobą? Dlaczego nie każesz go sobie przedstawić?...
- Po co, jeżeli go nie chcę?
- Jaka szkoda, że jest żonaty.
- Nie chciałabym go nawet, gdyby był kawalerem.
- Ludzie różnie zapatrują się na życie – powiedziała matka. – To człowiek bogaty... jest w tobie zakochany... jedno wiąże się z drugim. Mógłby ci pomóc, nie żądając nic w zamian...
- Nie, nie – odpowiedziałam – tego rodzaju ludzie nic nie robią bezinteresownie.
- Nigdy nie wiadomo.
- Nie, nie – powtarzałam.
- Mniejsza o to – odrzekła matka kiwając głową. – W każdym razie ta Gizela to dobra dziewczyna. Inna byłaby o ciebie zazdrosna i nie powiedziałałaby ani słowa. Od razu widać, że jest naprawdę twoją przyjaciółką.

Po mojej odmowie Gizela nie wspominała już o dystyngowanym panu i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu przestała wydrwiwać moje narzeczeństwo. Dalej po kryjomu widywałam się z nią i Riccardem; kilkakrotnie wspominałam o niej w rozmowach z Ginem, w nadziei, że może się pogodzą, bo nie lubiłam nic ukrywać. Ale on za każdym razem mi przerywał, mówiąc o niej z nienawiścią i odgrażając się, że porzuci mnie, jeżeli tylko się dowie, że ją widuję. Na pewno nie żartował; i czasem wydawało mi się, że byłby zadowolony, gdyby to mogło posłużyć mu jako pretekst do zerwania. Powiedziałam matce o tej antypatii Gina do Gizeli, a ona odrzekła na to bez cienia złośliwości:

- Nie chce, żebyś się z nią widywała, bo się boi, że będziesz porównywała łachmany, w jakich on pozwala ci chodzić, z sukniami Gizeli, które ona dostaje od narzeczonego.
- Nie, on uważa, że Gizela jest niewiele warta.
- On sam jest nic niewart... Żeby się tak dowiedział o twoich spotkaniach z Gizelą i naprawdę zerwał te zaręczyny!
- Mamo – powiedziałam przerażona – żeby ci tylko nie przyszło do głowy powiedzieć mu o tym!
- Nie, nie – odrzekła szybko i jakby z żalem – to są wasze sprawy i ja się do tego nie mieszam.

Było to w jesieni w okresie „lata św. Marcina”, dni były pogodne i ciepłe. Pewnego ranka Gizela powiedziała mi, że ona, Riccardo i pewien jego przyjaciel postanowili wybrać się na wycieczkę samochodem. Chcieliby, żeby pojechała jeszcze jedna kobieta, dla dotrzymania towarzystwa owemu przyjacielowi, i pomyśleli o mnie. Zgodziłam się z radością, bo w szarzyźnie mojego życia dobra była każda rozrywka, która dawała mi chwilę zapomnienia. Ginowi powiedziałam, że będę miała dodatkowe godziny pozowania; wczesnym rankiem pobiegłam na umówione miejsce spotkania, za Ponte Milvio. Samochód już na mnie czekał; Gizela i Riccardo, którzy siedzieli z

przodu, nie ruszyli się nawet z miejsc, ale przyjaciel Riccarda wyskoczył z samochodu i podszedł do mnie. Był to młody mężczyzna średniego wzrostu, łysawy, o pożółkłej cerze i dużych czarnych oczach; nos miał orli, usta duże, uniesione w kącikach ku górze, tak że robił wrażenie, jak gdyby się uśmiechał. Ubrany był bardzo elegancko, ale zupełnie inaczej niż Riccardo, poważnie, w ciemnopopielatą marynarkę i nieco jaśniejsze spodnie, miał sztywny kołnierzyk i czarny krawat, w który wpięta była spinka z perłą. Głos jego był miękki i łagodny, nieco melancholijny, wzrok jakby znużony; zachowywał się bardzo wytwornie, a nawet uroczyście. Gizela przedstawiła mi go jako Stefana Astaritę i byłam pewna, że jest to ten sam pan, który przekazał mi przez nią owe korzystne propozycje. To, że go poznałam, nie sprawiło mi przykrości, bo jego oferta nie miała w sobie nic obrażającego, wprost przeciwnie, pochlebiała w pewnym sensie mojej próżności. Podniósł do ust moją rękę jak gdyby w bolesnym uniesieniu i z wielkim uczuciem. Potem wsiadłam, on zajął miejsce obok mnie i ruszyliśmy.

Gdy samochód pędził wśród pożółkłych pól, pustą, zalaną słońcem szosą, prawie nie rozmawialiśmy z sobą. Byłam uszczęśliwiona, że jadę samochodem, uszczęśliwiona z wycieczki, uszczęśliwiona, że wiatr dmucha mi przez okno prosto w twarz. Była to druga czy trzecia dłuższa wycieczka samochodowa w moich życiu i bałam się prawie, że za mało się tym cieszę. Szeroko otwierałam oczy, żeby widzieć jak najwięcej: zabudowania gospodarskie, sterty słomy, drzewa, pola, lasy – i myślałam o tym, że minie dobrych kilka miesięcy, a może i lat, zanim znowu będę miała okazję wybrać się na taką wycieczkę, muszę więc dobrze utrwalić sobie w pamięci wszystkie szczegóły, żebym długo mogła się cieszyć wspomnieniami. Ale Astarita, który siedział wyprostowany, w przyzwoitej odległości, wpatrywał się tylko we mnie. Ani na chwilę nie odrywał tych swoich smutnych oczu od mojej twarzy i postaci; czując na sobie jego wzrok, odnosiłam wrażenie, jakby ktoś nieustannie dotykał mnie palcem. Nie mogę powiedzieć, aby to zainteresowanie moją osobą było mi przykre, ale wprawiało mnie w zakłopotanie. Powoli zaczęło ogarniać mnie uczucie, że powinnam się nim zająć i zacząć rozmowę. Siedział z rękami opartymi na kolanach; na jednej ręce miał obrączkę i pierścionek z brylantem. Odezwałam się głupio:

– Jaki śliczny pierścionek!

Spuścił oczy, popatrzył na pierścionek nie poruszając ręki i odpowiedział:

– To pierścionek mojego ojca. Zdjąłem mu go z palca, kiedy umarł.

– Och! – rzekłam chcąc naprawić tę niezręczność i wskazując na obrączkę dodałam: – Pan jest żonaty?

– Oczywiście – odrzekł z ponurą satysfakcją. – Mam i żonę... i dzieci... wszystko.

– Ładna jest pańska żona? – zapytałam nieśmiało.

– Nie tak ładna jak pani – posiedział bez cienia uśmiechu, poważnie i dobitnie, jak gdyby stwierdzał jakiś ważny fakt, i ręką, na której miał pierścionek, chciał ująć moją dłoń. Zręcznie się uchyliłam i żeby cokolwiek powiedzieć, zapytałam:

– I mieszka pan z nią razem?

– Nie – odparł – żona mieszka w... – tu wymienił miasto na dalekiej prowincji. – A ja mieszkam tutaj... sam... mam nadzieję, że przyjdzie pani mnie odwiedzić.

Udałam, że nie słyszę tej propozycji, wypowiedzianej z jakimś tragicznym zapamiętaniem, i zapytałam:

– A dlaczego... nie chce pan mieszkać z żoną?

– Żyjemy w separacji – oświadczył z grymasem. – Kiedy się ożeniłem, byłem bardzo młody, małżeństwo to było dziełem mojej matki... Wiadomo, jak to bywa w takich razach... Panna z dobrej rodziny, z dużym posagiem,

rodzice układają małżeństwo, a dzieci muszą się żenić. Mieszkać razem z żoną?... A pani zamieszkałaby z taką kobietą? – Wyjął portfel z marynarki, otworzył go i pokazał mi fotografię. Zobaczyłam dwie dziewczynki wyglądające na bliźniaczki, ciemnowłose, blade, a za nimi, z rękami opartymi na ich ramionach, drobną, czarną, bladą kobietę z sowimi, blisko siebie osadzonymi oczami, o złośliwym wyrazie twarzy. Oddałam mu zdjęcie, schował je do portfela i szepnął: – Nie... ja chciałbym mieszkać z panią.

– Przecież pan mnie wcale nie zna – odpowiedziałam, zmieszana jego szaleńczym zachowaniem.

– Znam panią doskonale, już od miesiąca panią obserwuję, wiem wszystko o pani.

Mówił poważnie, siedząc w przyzwoitej odległości, ale z takim natężeniem uczucia, że aż oczy wychodziły mu z orbit.

Powiedziałam:

– Jestem zaręczona.

– Mówiła mi o tym Gizela – rzekł zduszonym głosem. – Ale nie rozmawiajmy o pani narzeczonym. Czy to w ogóle może mieć jakies znaczenie? – I zrobił ręką krótki, niezgrabny gest udanej obojętności.

– Dla mnie to ma wielkie znaczenie – odpowiedziałam.

Spojrzał na mnie i ciągnął dalej:

– Pani mi się bardzo podoba.

– Zauważyłam to.

– Pani mi się bardzo podoba – powtórzył – nawet pani sama nie wie, jak bardzo mi się pani podoba.

Mówił doprawdy jak wariat. Uspokajało mnie to, że siedzi z daleka ode mnie i że nie próbuje już ująć mojej ręki.

– Nie ma w tym nic złego, że się panu podobam.

– A ja podobam się pani?

– Nie.

– Mam pieniądze – powiedział z konwulsyjnym grymasem – mam dość pieniędzy, żeby uczynić panią szczęśliwą. Jeżeli przyjdzie mi pani odwiedzić, nie będzie pani tego żałowała.

– Nie trzeba mi pańskich pieniędzy – odpowiedziałam spokojnie, prawie uprzejmie. Udawał, że nie słyszy, i rzekł patrząc na mnie:

– Pani jest bardzo piękna.

– Dziękuję za komplement.

– Ma pani prześliczne oczy.

– Tak pan uważa?

– Tak... i usta pani są też prześliczne... Chciałbym je całować.

– Dlaczego pan mi to wszystko mówi?

– Chciałbym całować także pani ciało... całe ciało.

– Dlaczego mówi pan do mnie w taki sposób? – zaprotestowałam po raz drugi. – To nie wypada! Jestem zaręczona i wychodzę za mąż za dwa miesiące.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział – ale sprawia mi taką przyjemność mówienie pani tych rzeczy... Niech się pani zdaje, że mówię to do kogoś innego.

- Czy daleko jeszcze do Viterbo? – zapytałam, żeby zmienić temat.
- Już dojeżdżamy. W Viterbo coś zjemy. Proszę mi przyrzec, że przy stole usiądzie pani koło mnie.

Zaczęłam się śmiać, bo ostatecznie ta wielka namiętność schlebiała mojej próżności.

- Dobrze – powiedziałam.
- Będzie pani siedziała koło mnie – ciągnął dalej. – Tak jak teraz... Wystarcza mi zapach pani perfum.
- Ależ ja nie jestem uperfumowana.
- Nie? To ja pani podaruję perfumy – odrzekł na to.

Byliśmy już w Viterbo i samochód zwalniał wjeżdżając do miasta. Gizela i Riccardo, którzy siedzieli przed nami, milczeli przez całą drogę. Ale kiedy przejeżdżaliśmy powoli przez zatłoczone corso, Gizela odwróciła się i powiedziała:

- No, co u was słychać? Czy myślicie, że nic nie widziałam?

Astarita milczał, a ja zaczęłam protestować:

- Nic nie mogłaś widzieć, bośmy tylko rozmawiali.
- No, no – zadrwiła. Byłam zdumiona i nieco poirytowana zarówno zachowaniem Gizeli, jak i milczeniem Astarity.

- Jeżeli ci mówię... – zaczęłam.

- No, no – powtórzyła – ale nic się nie bój! Ginowi nie powiemy ani słóweczka.

Dojechaliśmy tymczasem na plac, wysiedliśmy z samochodu i zaczęliśmy spacerować po corso w niedzielnym tłumie; listopadowe słońce łagodnie przygrzewało. Astarita nie opuszczał mnie ani na chwilę, był poważny, a nawet ponury; szedł z podniesioną głową i jedną rękę trzymał w kieszeni, a drugą machał wahadłowo. Wyglądał raczej na pilnującego mnie detektywa niż na adoratora. Gizela natomiast śmiała się głośno i żartowała z Riccardem, tak że wiele osób oglądało się za nami. Wstąpiliśmy do kawiarni i popijaliśmy na stojąco wermut. Zauważyłam nagle, że Astarita cedzi przez zęby jakieś przekleństwa, i zapytałam go, co się stało.

- Ten bałwan, który stoi tam w drzwiach, bezczelnie się pani przygląda – odpowiedział z oburzeniem.

Obejrzałam się i zobaczyłam młodego, szczupłego blondyna, który rzeczywiście wpatrywał się we mnie, stojąc w drzwiach kawiarni.

- A cóż w tym złego! – zawołałam wesoło. – Patrzy na mnie, no i co z tego?

- Ale ja pójdę i dam mu w twarz!

– Jeżeli pan to robi, nie spojrzę więcej na pana i nie odezwę się ani słowem – powiedziałam już nieco znudzona. – A zresztą nie ma pan żadnego prawa tego zrobić... Jest pan niczym dla mnie.

Nic nie odpowiedział i poszedł do kasy zapłacić za wermut. Wyszliśmy z kawiarni i znowu zaczęliśmy spacerować po corso. Słońce, gwar, ruchliwy tłum, czerwone, tryskające zdrowiem twarze mieszkańców prowincji, wszystko to wprawiło mnie w dobry humor. Kiedy skręciliśmy w boczną ulicę i doszliśmy do małego opustoszałego placu, nagle powiedziałam:

– O proszę, gdybym miała taki ładny domeczek jak ten – i wskazałam na skromny piętrowy domek, przylegający do kościoła – i mogła zamieszkać w nim na stałe, byłabym bardzo szczęśliwa.

– Zlituj się – odrzekła Gizela – mieszkać na prowincji, i jeszcze do tego w Viterbo! Za nic, żeby mi nawet dawano złote góry!

– Szybko by ci się to sprzykrzyło, Adriano – powiedział Riccardo. – Kto przywykł do życia w wielkim mieście, nie może wytrzymać na prowincji.

– Nie macie racji – zaprzeczyłam – mieszkałabym tu chętnie... z człowiekiem, który by mnie kochał. Cztery czyściutkie pokoiki, weranda, cztery okna... nie chciałabym nic więcej. – Mówiłam szczerze, bo widziałam siebie razem z Ginem w tym domku w Viterbo. – A jakiego pan jest zdania? – dodałam zwracając się do Astarity.

– Z panią zamieszkałabym tutaj – odpowiedział półgłosem, żeby nie usłyszało go tamtych dwoje.

– Twoją największą wadą, Adriano – rzekła Gizela – jest to, że jesteś za skromna. Kto mało wymaga od życia, nie ma nic.

– Toteż ja nic nie chcę.

– Chcesz wyjść za mąż za Gina – wtrącił Riccardo. – Ach, to prawda!

Było już późno, na corso robiło się coraz puściej, weszliśmy do restauracji. Sala na parterze była przepelniona, siedzieli tam przeważnie chłopcy, którzy przyjechali do Viterbo na odpust. Gizela krzywiła się mówiąc, że trudno oddychać w tym smrodzie, i spytała właściciela, czy nie można by zjeść na pierwszym piętrze. Odpowiedział, że można, i zaprowadził nas po drewnianych schodach do długiego, wąskiego pokoju, z jednym tylko oknem, wychodzącym na ciemny zaułek. Podniósł żaluzję i zamknął okno; potem rozciągnął obrus na dużym wiejskim stole, zajmującym dużą część pokoju, który, pamiętam, obity był wyblakłą, w wielu miejscach podartą tapetą w kwiaty i ptaki. Oprócz stołu znajdował się tam jeszcze tylko oszklony kredens, zastawiony talerzami.

Gizela kręciła się po pokoju, oglądając wszystko po kolei, i popatrzyła nawet przez okno na zaułek. Na koniec otworzyła drzwi do drugiego pokoju, zajrzała tam i z udanym ożywieniem zapytała właściciela restauracji, jakie jest przeznaczenie tego pokoju.

– To jest pokój sypialny – odpowiedział – jeżeli ktoś będzie chciał odpocząć po obiedzie...

– Odpocznemy sobie, co, Gizelo? – zawołał Riccardo ze swoim głupkowatym chichotem. Ale Gizela udawała, że nie słyszy, zajrzała jeszcze raz do tego pokoju, po czym przymknęła drzwi, pozostawiając je lekko uchylone. Ta jadalnia, mała i zaciszna, wprawiła mnie w wesoły nastrój, toteż nie zwróciłam specjalnej uwagi ani na te nie domknięte drzwi, ani na spojrzenie, jakie wymienili Gizela i Astarita. Usiedliśmy przy stole, ja obok Astarity, tak jak mu przyrzekłam; ale on zdawał się wcale tego nie widzieć i był tak czymś przejęty, że w ogóle się nie odzywał. Po chwili kelner przyniósł zakąski i wino; byłam bardzo głodna i zachłannie rzuciłam się na jedzenie, co rozśmieszyło całe towarzystwo. Gizela skorzystała z okazji i zaczęła pokpiwać jak zazwyczaj z mojego małżeństwa.

– Jedz, jedz – mówiła. – Z Ginem nie będziesz miała okazji jeść ani tak dużo, ani tak smacznie.

– Dlaczego? – odpowiedziałam. – Gino będzie zarabiał.

– Tak, i będziecie codziennie jadali fasolę.

– Fasola nie jest zła – zawołał ze śmiechem Riccardo. – Zaraz każę sobie podać kopiasty talerz.

– Adriano, jesteś po prostu głupia – ciągnęła dalej Gizela – tobie potrzebny jest mężczyzna zamożny, poważny, zrównoważony, który dbałby o ciebie i przy którym nie brakłoby ci niczego, który oceniłby twoją urodę, a ty się chcesz związać z tym Ginem!

Milczałam uparcie, z pochyloną głową i zajęta byłam jedzeniem.

Riccardo śmiejąc się zrobił uwagę:

– Ja na miejscu Adriano nie rezygnowałabym z niczego, ani z Gina, skoro tak się jej podoba, ani z

poważnego mężczyzny. Wziąłbym sobie obydwu i może nawet Gino nie miałby nic przeciwko temu.

– Co to, to nie! – odpowiedziałam szybko. – Gdyby się tylko dowiedział, że wybrałam się z wami na tę wycieczkę, zerwałby nasze zaręczyny!

– A to dlaczego? – zapytała niechętnie Gizela.

– Dlatego, że nie chce, abym się z tobą widywała.

– A łajdak, chłystek, głupiec! – zawołała rozwścieczona Gizela. – Miałabym ochotę pójść do niego i wprost powiedzieć mu: „Adriana widuje się ze mną, dzisiaj spędziłyśmy razem cały dzień, a teraz zrywaj sobie te twoje zaręczyny!”

– Nie, nie – błagałam wystraszona – nie rób tego!

– Dla ciebie byłoby to prawdziwe szczęście!

– Może, ale nie rób tego – prosiłam dalej – nie rób tego, jeżeli mnie lubisz choć trochę!

Podczas całej tej rozmowy Astarita nic nie mówił i nic nie jadł. Patrzył przez cały czas w moją stronę tym swoim ciężkim, poważnym, rozpaczliwym wzrokiem, co krępowało mnie coraz bardziej. Najchętniej powiedziałabym mu, żeby nie przyglądał mi się w ten sposób, ale obawiałam się drwin Gizeli i Riccarda. Z tego samego powodu nie odważyłam się zaprotestować, kiedy Astarita wykorzystując to, że oparłam się o krzesło, chwycił mnie za rękę i począł ścisnąć w swojej dłoni tak, że musiałam jeść jedną ręką. I źle zrobiłam nie broniąc mu tego, bo po chwili Gizela zawołała wybuchając śmiechem:

– Cała wierność dla Gina to tylko słowa! A jak postępujesz?... Czy myślisz, że nie widzę, jak Astarita pod stołem ścisną cię za rękę?!

Zawstydziałam się i zaczerwieniłam, próbując uwolnić rękę. Ale Astarita trzymał mnie mocno. Riccardo powiedział:

– Zostaw ich! A cóż w tym złego? Trzymają się za ręce... zróbmy i my to samo.

– Żartowałam tylko – odrzekła Gizela – powiem więcej: jestem z tego bardzo zadowolona.

Po zjedzeniu makaronu długo czekaliśmy na drugie danie, Riccardo i Gizela przez cały ten czas śmiali się i żartowali, pili przy tym dużo i mnie też namawiali do picia. Podobał mi się ciepły i cierpki zapach wina, wcale nie czułam, że jestem pijana, i wydawało mi się, że mogę pić bez końca. Astarita, poważny i ponury, wciąż ścisnął mnie za rękę, a ja się nie broniłam, uważałam, że mogę mu pozwolić na tę drobną przyjemność. Nad drzwiami wisiał oleodruk, przedstawiający opleciony różami balkon, gdzie mężczyzna i kobieta, staromodnie ubrani, obejmowali się w sztuczny i nader skomplikowany sposób. Gizela zauważyła oleodruk i powiedziała, że nie może zrozumieć, jak oni mogą się całować w takiej pozycji.

– Spróbujmy – zaproponowała Riccardowi – czy uda się nam zrobić to samo.

Riccardo śmiejąc się wstał i przybrał pozę mężczyzny z oleodruku, a Gizela oparła się o stół w taki sam sposób, jak owa kobieta o poręcz balkonu. Z wielkim trudem udało im się złączyć usta pocałunkiem, ale prawie w tej samej chwili obydwójce stracili równowagę i o mało nie upadli na stół. Rozbawiona Gizela zawołała:

– A teraz na was kolej!

– Dlaczego – zapytałam z niepokojem – dlaczego kolej na nas?

– Tak, tak, spróbujcie!

Poczułam, że Astarita obejmuje mnie w pół, i próbowałam uwolnić się wołając:

– Ależ ja nie chcę!

– Och – krzyknęła Gizela – jaka ty jesteś nudna! Przecież to tylko zabawa!

– Ale ja nie chcę!

Riccardo zaśmiewał się i także podjudzał Astaritę, żeby mnie pocałował.

– Astarita, jeżeli jej nie pocałujesz, stracę dla ciebie cały szacunek. – Przeraziła mnie powaga Astarity, widać było, że dla niego to nie są żarty.

– Dajcie mi święty spokój – powiedziałam zwracając się do niego.

Spojrzał na mnie, potem na Gizelę, jak gdyby czekał, że doda mu odwagi.

– No, Astarita! – zawołała Gizela. Wyglądała na jeszcze bardziej przejętą od niego, co uważałam za okrutne i bezlitosne z jej strony.

Astarita objął mnie mocniej i przyciągnął do siebie; przestało to być zabawą, chciał mnie pocałować za wszelką cenę. Szarpałam się bez słowa, ale on był bardzo silny i chociaż odpychałam go obiema rękami, widziałam, że twarz jego zbliża się coraz bardziej do mojej. Prawdopodobnie jednak nie udałoby mu się mnie pocałować, gdyby nie pomoc Gizeli. Zerwała się nagle z triumfującym okrzykiem, podbiegła od tyłu i chwyciła mnie za ramiona. Nie widziałam jej, ale czułam, z jaką pasją wpija mi w ciało paznokcie, i słyszałam, jak śmiejąc się powtarza z pełną okrucieństwa satysfakcją: – Prędej Astarita, no teraz, prędej! – Astarita pochylił się nade mną, ja próbowałam jeszcze odwrócić twarz, ale on chwycił mnie ręką pod brodę i zwrócił twarzą ku sobie. Potem pocałował mnie w usta mocno i długo.

– Zrobione! – krzyknęła z triumfem Gizela i rozweselona wróciła na miejsce. Astarita puścił mnie, a ja wściekła i obolała powiedziałam:

– Nigdy już nigdzie z wami nie pojedę!

– Och, och, Adriano! – zawołał Riccardo. – Tyle krzyku o jeden pocałunek!

– Astarita jest cały umalowany pomadką – zauważyła wesoło Gizela. – Co by też powiedział Gino, gdyby się tutaj nagle zjawił!

Rzeczywiście na ustach Astarity została moja pomadką, i ta czerwona plama na jego poźółklej twarzy i mnie wydawała się śmieszna.

– No, pogódźcie się – zawołała Gizela – wytrzymaj mu usta chusteczką, bo jak tu wejdzie kelner, Bóg wie co sobie pomyśli!

Musiałam nadrabiać miną; rąbkiem poślinionej chusteczki starłam powoli róż ze smutnej, nieruchomej twarzy Astarity. Źle zrobiłam, że ustąpiłam znowu, bo gdy tylko schowałam chusteczkę, on objął mnie w pół.

– Proszę mnie puścić – powiedziałam.

– Och, Adriano!

– Czy on robi coś złego? – wtrąciła Gizela. – Jemu to sprawia przyjemność, a tobie nic nie szkodzi, a poza tym już się z nim całowałaś, więc czemu tak się bronisz?

Tak więc musiałam ustąpić jeszcze raz. I siedzieliśmy obok siebie, on obejmował mnie, a ja byłam zimna i sztywna. Wszedł kelner i przyniósł drugie danie. Kiedy zaczęłam jeść, minął mój zły humor, pomimo że Astarita wciąż mnie obejmował. Jedzenie było znakomite i sama nie wiem, kiedy wypiliśmy wszystkie wino, którego nieustannie dolewała mi Gizela. Po drugim daniu przyniesiono deser i owoce. Tak wybornego deseru nie jadłam

jeszcze nigdy w życiu, kiedy więc Astarita podsunął mi swoją porcję, nie umiałam jej sobie odmówić. Gizela, która też bardzo dużo wypijała, zaczęła wdzięczyc się na różne sposoby do Riccarda, wkładała mu do ust podzieloną na cząstki mandarynkę, całując go za każdym razem. Czułam, że jestem pijana, ale w jakiś bardzo przyjemny sposób, i uścisk Astarity przestał mnie już denerwować. Gizela, coraz bardziej ożywiona i podniecona, usiadła Riccardowi na kolanach. Musiałam się roześmiać na widok Riccarda, który krzychał udając, że Gizela zmiażdżyła go swoim ciężarem. Astarita, który dotychczas siedział spokojnie obejmując mnie w pół, zaczął nagle całować mnie w szyję, piersi i policzki. Tym razem nie broniłam się; po pierwsze, byłam zbyt pijana, żeby walczyć, po drugie, miałam wrażenie, jak gdyby całował on kogoś innego, bo absolutnie nie odwzajemniałam jego uniesienia, nieruchoma i chłodna niczym posąg. Wydawało mi się po pijanemu, że nastąpiło we mnie jakieś rozdwojenie i że stojąc w kącie pokoju z obojętnym zainteresowaniem obserwuję miłosne porywy Astarity. Ale inni wzięli tę moją obojętność za objaw uczucia i Gizela zawołała:

– Brawo, Adriano, brawo! Teraz to zupełnie co innego.

Chciałam jej odpowiedzieć, ale sama nie wiem, dlaczego zmieniłam zamiar, wzięłam do ręki pełny kieliszek, podniosłam go w górę i powiedziałam głośno i wyraźnie: – Jestem pijana! – po czym wychyliłam go do dna. Wydawało mi się, że wszyscy zaaprobowali mój gest, ale Astarita przestał mnie całować i patrząc mi w oczy powiedział cicho: – Chodźmy tam!

Poszłam za jego wzrokiem i zobaczyłam, że wskazuje drzwi przyległego pokoju. Pomyślałam sobie, że on także musi być pijany, i potrząsnęłam głową przecząco, ale bez cienia obrazy, a nawet zalotnie. Powtórzył jak lunatyk: – Chodźmy tam!

Zauważyłam, że Gizela i Riccardo przestali śmiać się i rozmawiać i że patrzą na nas. Gizela powiedziała:

– No, dalej, rusz się... Na co czekasz!?

Wydało mi się nagle, że wytrzeźwiałam. Rzeczywiście byłam pijana, ale nie do tego stopnia, żeby nie zdawać sobie sprawy z zagrażającego mi niebezpieczeństwa.

– Ale ja nie chcę – oświadczyłam i wstałam od stołu.

Astarita wstał także, uchwycił moją rękę i usiłował pociągnąć mnie w kierunku drzwi. Tamtych dwoje znowu zaczęło go zachęcać:

– Do dzieła, Astarita!

Astarita doprowadził mnie prawie do samych drzwi, pomimo że mu się wrywałam; wreszcie uwolniłam się gwałtownym szarpnięciem i pobiegłam w kierunku drzwi wychodzących na schody. Ale Gizela była szybsza ode mnie.

– O nie, złotko, nie! – Zerwała się z kolan Riccarda, dobiegła do drzwi przede mną, przekręciła klucz i wyjęła go z zamka.

– Ale ja nie chcę! – wołałam przerażonym głosem, zatrzymując się przy stole.

– Przecież nic ci się nie stanie! – krzyknął Riccardo.

– Głupia – wycedziła twardo Gizela popychając mnie w kierunku Astarity – idź, idź, po co te komedie!

Zrozumiałam, że Gizela pomimo całego okrucieństwa i sadyzmu nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi: pułapka, w jaką mnie wpędziła, musiała wydawać się jej czymś zabawnym i bardzo dowcipnie obmyślonym. Uderzyła mnie także obojętność i dobry humor Riccarda, bo wiedziałam, że jest to człowiek z gruntu dobry,

niezdolny do zrobienia czegoś, co uważałby za niewłaściwe.

– Ale ja nie chcę! – powtórzyłam raz jeszcze.

– Dajże spokój! – zawołał Riccardo. – A cóż w tym złego?

Gizela, podniecona, niecierpliwa, popychała mnie ku tym drzwiom:

– Nie myślałam, że jesteś aż taka głupia! No idźże! Na co czekasz?

Astarita do tej pory nie powiedział ani słowa, stojąc nieruchomo przy drzwiach pokoju sypialnego i wpatrując się we mnie. Potem zobaczyłam, że otwiera usta, jak gdyby chciał się odezwać. Nieśmiało i bardzo powoli wykrztusił z największym trudem:

– Chodź, a jak nie... to powiem Ginowi, że byliśmy tu razem i że zostałam moją kochanką.

Zrozumiałam natychmiast, że nie są to tylko pogrożki. Można podawać w wątpliwość treść wypowiedzianych słów, ale ton nigdy nie myli. Astarita na pewno poszedłby do Gina i zanim zdążyłabym zrobić cokolwiek, skończyłoby się dla mnie wszystko. Dzisiaj myślę, że może jednak udałoby mi się stawić opór. Gdybym zaczęła krzyczeć i użyła wszystkich sił, żeby mu się wyrwać, Astarita przekonałby się, że na nic się nie zda ani szantaż, ani groźby. Ale może i to by nie pomogło, bo namiętność jego silniejsza była niż mój wstręt. Wówczas wyczułam natychmiast, że jestem pokonana. I zaczęłam myśleć już nie o tym, jak by się uwolnić, ale o tym, aby uniknąć grożącego mi skandalu. I nieopatrznie popełniłam ten fatalny krok, mając duszę pełną planów na przyszłość, pełną pragnień, z których nie chciałam zrezygnować za żadną cenę. I to, co spadło na mnie tak brutalnie, spotyka w różnych okolicznościach na różne sposoby wszystkie ambitne dziewczyny, choćby aspiracje ich były skromne, szlachetne i niewinne jak moje właśnie. Ambicja odgrywa w życiu wielką rolę i prędzej czy później trzeba za nią drogo płacić; tylko straceńcy albo ci, którzy ze wszystkiego zrezygnowali, mogą mieć nadzieję, że los obejdzie się z nimi inaczej.

Ale w tej samej chwili, kiedy pogodziłam się z przeznaczeniem, poczułam ostry i dotkliwy ból. I doznałam nagle jasnowidzenia: droga mojego życia, dotąd ciemna i kręta, stała się nagle jasna i prosta, ukazując w jednej chwili wszystko, co przyjdzie mi utracić w zamian za milczenie Astarity. Oczy napełniły mi się łzami i kryjąc twarz w dłoniach zaczęłam płakać. Rozumiałam, że płacz mój spowodowany jest całkowitą rezygnacją, a nie buntem, i zdałam sobie sprawę, że płacząc podchodzę coraz to bliżej do Astarity. Gizela popychała mnie mówiąc: – No i czego płaczesz? Przecież to nie pierwszy raz! – Usłyszałam śmiech Riccarda i czułam na sobie wzrok Astarity, chociaż go nie widziałam, idąc powoli, z oczyma pełnymi łez. Potem poczułam, jak jego ramię obejmuje mnie w płu, i drzwi pokoju zamknęły się za mną.

Nie chciałam nic widzieć; już to, że będę czuła, wydawało mi się nie do zniesienia. Z uporem zasłaniałam oczy ręką, chociaż Astarita próbował zachować się tak, jak wszyscy kochankowie w tego rodzaju sytuacji, to znaczy powoli i stopniowo nakłonić mnie, żebym poddała się jego woli. Ale uparcie zasłaniałam sobie oczy, więc stał się bardziej brutalny, niżby sam chciał. Całe moje ciało było bezwładne, ciężkie jak z ołowiu i nigdy chyba żadne zbliżenie nie odbyło się z większą uległością i mniejszym udziałem ze strony kobiety. Przestałam płakać i kiedy on ciężko dysząc upadł mi na piersi, odsłoniłam oczy i szeroko otworzyłam je w ciemności.

Jestem pewna, że w tej chwili Astarita kochał mnie, jak tylko mężczyzna kochać może kobietę, na pewno więcej niż Gino. Pamiętam, że nie przestawał głaskać mnie dłońią po czole i policzkach, gestem rozpaczliwym i pełnym uczucia, i szeptać mi nabrzmiałych miłością słów. Ale oczy moje były suche, nienaturalnie rozszerzone;

wytrzeźwiałam już zupełnie i z przeraźliwą jasnością myśli cisnęły mi się do głowy i tak mnie pochłaniały, że obojętnie przyjmowałam pieszczoty Astarity. Widziałam swój pokój sypialny, taki jak go urządziłam, nowe meble, których nie zdążyłam jeszcze spłacić, i owładnęło mną uczucie gorzkiej satysfakcji. Teraz, mówiłam sobie, nic już nie może przeszkodzić, żebym wyszła za mąż i prowadziła takie życie, jakiego pragnęłam. Ale jednocześnie czułam, że zaszła we mnie zasadnicza zmiana i że miejsce młodzieńczej, niewinnych nadziei zajęła pewność siebie i stanowczość. Stałam się nagle bez porównania silniejsza, ale siła ta nie miała w sobie nic radosnego i nie płynęła z miłości.

Na koniec odezwałam się po raz pierwszy od chwili, kiedy weszliśmy do tego pokoju:

– Trzeba będzie wracać do tamtego pokoju. – A on odpowiedział mi bardzo cicho:

– Gniewasz się na mnie?

– Nie.

– Nienawidzisz mnie?

– Nie.

– Ja cię tak bardzo kocham! – szepnął i znowu obsypał gradem szalonych pocałunków moją twarz i szyję.

Przeczekałam, aż minie jego uniesienie, a potem powiedziałam:

– Dobrze, dobrze, ale musimy już tam iść.

– Masz rację – odrzekł. Wstał z łóżka i zaczął, jak mi się zdawało, ubierać się po ciemku. Poprawiłam sukienkę, wstałam i zapaliłam lampkę na nocnym stoliku. W jej żółtym świetle zobaczyłam ten pokój: był właśnie taki, jak go sobie wyobrażałam czując panującą w nim duchotę i lekki zapach lawendy, unoszący się ze stojących na oknie doniczek. Sufit był niski z wybielonym belkowaniem, na ścianach tapety, meble ciężkie i masywne; w kącie stała umywalnia z marmurowym blatem, na niej dwie miednice i dwa dzbanki w czerwone i zielone kwiaty, nieco wyżej lustro w złotej ramie. Podeszłam do umywalni, nalałam trochę wody do miednicy i zmoczonym rogiem ręcznika przemyłam usta, zsiniałe od pocałunków Astarity, i oczy, jeszcze czerwone od płaczu. Zobaczyłam w szerniałym i obrapanym lustrze swoją zboląłą twarz, i przez chwilę wpatrywałam się w siebie z przerażeniem i współczuciem. Potem otrząsnęłam się, przyglądałam włosy rękami, jak mogłam najlepiej, i odwróciłam się do Astarity. Czekał na mnie przy drzwiach; gdy zobaczył, że jestem gotowa, otworzył je i, unikając mojego wzroku, odwrócił się. Zgasił światło i wyszłam za nim.

Riccardo i Gizela, którzy wciąż byli w doskonałym humorze, powitali nas wesoło. Do głowy im nie przyszło, że cierpiałam naprawdę, i teraz źle tłumaczyli sobie mój spokój. Gizela zawołała:

– Ładne z ciebie niewiniątko! Nie chciałaś, nie chciałaś, ale widać szybko i łatwo pogodziłaś się z losem...

Jeżeli sprawiło ci to przyjemność, wszystko jest w porządku, ale po co było robić tyle ceregieli?

Popatrzyłam na nią; wydało mi się dziwnie niesprawiedliwe, że właśnie ona, która była sprawczynią wszystkiego, która posunęła się aż tak daleko, że trzymała mnie za rękę, żeby tylko Astarita mógł mnie pocałować, wymawia mi teraz, że jestem zadowolona. Riccardo ze swoim gruboskórnym zdrowym rozsądkiem zwrócił jej uwagę:

– Jesteś niekonsekwentna, Gizelo. Najpierw tak ją namawiałaś, a teraz masz jej za złe, że to zrobiła!

– No pewnie – odparła twardo Gizela – jeżeli nie chciała, zrobiła bardzo źle. Gdybym ja na przykład nie chciała, nie udałoby ci się zmusić mnie nawet siłą. Ale ona chciała – dorzuciła spoglądając na mnie z niechęcią i

pogardą – chciała, i to jak! Obserwowałam ich w samochodzie, w drodze do Viterbo, i dlatego powtarzam, nie powinna była robić tyle ceregieli.

Milczałam i niemal podziwiałam to jej wyrafinowane okrucieństwo, tak bezlitosne i nieświadome zarazem. Astarita zbliżył się do mnie i niezręcznie próbował ująć mnie za pękę. Ale odepchnęłam go i poszłam usiąść przy końcu stołu.

– Spójrzcie na Astaritę – zawołał Riccardo wybuchając śmiechem – ma taką minę, jakby wracał z pogrzebu!

A tymczasem Astarita ową żałobną, rozpaczliwą powagą okazał na swój sposób, że rozumie mnie lepiej od innych.

– Zawsze tylko stroicie sobie żarty – powiedział.

– A co, mamy płakać? – wykrzyknęła Gizela. – A teraz wy musicie cierpliwie poczekać, tak jak my czekaliśmy! Na nas kolej, chodźmy, Riccardo!

– Tylko bardzo was proszę... – powiedział Riccardo wstając od stołu. Było widoczne, że jest pijany i sam nie wie, o co chce prosić.

– Chodźmy, chodźmy!

Tak więc tym razem oni wyszli z pokoju i zostaliśmy we dwoje z Astaritą. Ja siedziałam przy jednym końcu stołu, on przy drugim. Promień słońca, wpadający przez okno, rzucał jasny odbłask na nieporządnie rozstawione, pełne skórek od owoców talerze, na nie dopite kieliszki i brudne sztućce. Ale Astarita, pomimo że słońce świeciło mu prosto w twarz, dalej był pochmurny i smutny. Zaspokoił swoje pożądanie, ale w jego wzroku mogłam wyczytać to samo bolesne napięcie, jakie dręczyło go od pierwszej chwili naszego poznania. Współczułam mu, pomimo krzywdy, jaką mi wyrządził. Rozumiałam, że zanim zdołał mnie pojąć, był bardzo nieszczęśliwy, ale i teraz, kiedy się to już stało, bynajmniej nie odczuwał radości. Przedtem cierpiał, bo pożył mnie, a teraz – bo nie odwzajemniałam jego uczuć. Ale litość jest największym wrogiem miłości; gdybym go nienawidziła, mógłby może mieć nadzieję, że kiedyś go pokocham. Nie czułam nienawiści, tylko współczucie, i wiedziałam, że mój stosunek do niego pozostanie już zawsze chłodny i pełen odrazy.

Długo czekaliśmy w tym pokoju, zalanym słońcem, na powrót Gizeli i Riccarda. Astarita palił bez przerwy, odpalając jednego papierosa od drugiego i poprzez nerwowo wypuszczane kłęby dymu rzucał mi wymowne spojrzenia, jak ktoś, kto ma wiele do powiedzenia, ale nie ma odwagi się odezwać. Siedziałam przy końcu stołu, założywszy nogę na nogę, i miałam jedno tylko pragnienie: odejść stąd. Nie czułam ani wstydu, ani zmęczenia; chciałam być sama tylko dlatego, żeby móc przemyśleć w spokoju to, co się stało. Cała moja uwaga skupiona była na tym oczekiwaniu, w głowie miałam zupełną pustkę i machinalnie, rozglądając się dokoła, robiłam obserwacje: Astarita ma perłę wpiętą w krawat, tapety są wzorzyste, po brzegu kieliszka spaceruje mucha, na bluzce mam plamkę z sosu pomidorowego. Byłam zła sama na siebie, że nie umiem zmusić się do myślenia o czymś mądrzejszym. Ale moje błahе spostrzeżenia przydały mi się, kiedy po długim milczeniu Astarita zapytał mnie zdławionym głosem: – O czym myślisz? – Zastanowiłam się przez chwilę i odpowiedziałam szczerze:

– Złamałam paznokcie i myślałam o tym, w jaki sposób i kiedy to się stało. – Tak było naprawdę; ale on popatrzył na mnie niedowierzająco, z żalem i zrezygnował z dalszych pytań.

Na koniec wrócili Riccardo i Gizela, nieco zasapani, ale weseli i beztroscy jak przedtem. Dziwili się, że

zastali nas tak poważnych i milczących; ale było już późno, a przy tym miłosne przeżycia sprawiły, że w przeciwieństwie do Astarity, stali się znacznie spokojniejsi. Gizela była teraz dla mnie po prostu czuła, nie przejawiając ani cienia owego okrucieństwa, którego dała dowody przed i po szantażu Astarity; przyszło mi na myśl, że może ten szantaż stał się dla niej tego dnia pikantną przyprawą w banalnym stosunku z Riccardem. Na schodach objęła mnie w pół i szepnęła:

– Dlaczego masz taką minę?... Jeżeli chodzi ci o Gina, możesz być spokojna, nie piśniemy ani słówka.

– Jestem zmęczona – skłamałam; nie umiem żywić urazy do nikogo i wystarczyło, że objęła mnie serdecznie, a rozwiązał się cały mój żal.

– Ja też jestem zmęczona – odpowiedziała. – Przez całą drogę wiatr wiał mi prosto w twarz. – Po chwili, podczas gdy obaj mężczyźni szli do samochodu, zatrzymała się w drzwiach restauracji i dodała: – Nie gniewasz się chyba na mnie za to, co zaszło?

– Skądże znowu? – odpowiedziałam. – Przecież ty nie masz z tym nic wspólnego. – Tak więc po doznaniu wszystkich przyjemności, jakie sobie obiecywała po swojej intrydze, chciała się jeszcze upewnić, że nie mam do niej pretensji. Wydawało mi się, że aż za dobrze ją rozumiem; i właśnie dlatego, w obawie, że ona połapie się, iż czytam w jej myślach, i obrazi się na mnie, postanowiłam być dla niej miła. Podeszłam i pocałowałam ją w policzek, mówiąc:

– Dlaczego miałabym gniewać się na ciebie? Zawsze mówiłaś, że powinnam rzucić Gina i związać się z Astaritą.

– No oczywiście – przytaknęła z entuzjazmem – i dalej uważam tak samo, ale boję się, że nigdy mi tego nie wybaczysz.

Wyglądała na zaniepokojoną; a ja, jak gdybym zaraziła się od niej, byłam jeszcze bardziej niespokojna, bojąc się, że ona odgadnie, co czuję.

– Widocznie jeszcze mnie nie znasz – odrzekłam spokojnie. – Wiem, że chciałabyś, żebym rzuciła Gina, bo naprawdę mnie lubisz i widzisz, że nie umiem dbać o swoje interesy. Być może – dorzuciłam ostatnie kłamstwo – że masz rację.

Rozpogodzona, ujęła mnie pod rękę i powiedziała spokojnym i już poufałym tonem:

– Musisz mnie zrozumieć. Astarita czy inny, ale w każdym razie nie Gino. Nawet nie wiesz, jaką przykrość sprawia mi myśl, że taka śliczna dziewczyna jak ty miałaby się marnować. Zapytaj Riccarda, czy codziennie mu tego nie powtarzam. – Nic już teraz nie podejrzewała, rozmawiała ze mną tak jak zawsze, a ja skwapliwie potakiwałam każdemu jej słowu. I tak doszliśmy do samochodu. Usiedliśmy na swoich dawnych miejscach i ruszyliśmy w drogę.

Przez cały czas nikt z całej czwórki nie odezwał się ani słowem. Astarita wpatrywał się we mnie, ale w spojrzeniu jego było więcej smutku niż pożądania. Tym razem jednak nie żenowało mnie to i nie miałam ochoty ani okazywać mu uprzejmości, ani z nim rozmawiać. Z przyjemnością wdychałam powiew wiatru, wpadający przez otwarte okno, i machinalnie sprawdzałam na przydrożnych słupkach ilość kilometrów dzielącą nas od Rzymu. W pewnej chwili poczułam, że Astarita musnął moją rękę i że próbuje wsunąć mi w dłoń kawałek papieru. Zdumiona, pomyślałam, że nie mając odwagi rozmówić się ze mną, chce mi w ten sposób prze kazać jakąś wiadomość. Ale kiedy spuściłam oczy, zobaczyłam, że jest to złożony na czworo banknot.

Patrzył na mnie przenikliwie i usiłował zacisnąć mi palce na banknocie; w pierwszej chwili miałam ochotę

rzucić mu w twarz te pieniądze. Ale zaraz uświadomiłam sobie, że byłby to tylko pusty gest, wywołany raczej chęcią naśladowania innych niż szczerym odruchem. Uczucie, jakiego doznałam wtedy, sprawiło mnie w zdumienie, i później, kiedy dostawałam pieniądze od mężczyzn, nie miało ono już nigdy tej siły i wyrazistości, a było to uczucie wspólnoty i więzów cielesnych, których nie potrafiła wzbudzić we mnie w pokoiku przy restauracji żadna z jego pieszczot, uczucie nieuniknionej zależności, które odkryło mi nagle nową, nie znaną dotąd cechę mojego charakteru. Wiedziałam oczywiście, że nie powinnam była przyjąć tych pieniędzy, ale jednocześnie czułam, że pragnę je wziąć. I było to podyktowane nie tyle chciwością, ile całkiem nowym, miłym podnieceniem, jakie wzbudził we mnie ofiarowany mi banknot.

Pomimo że powzięłam już decyzję, odepchnęłam jego rękę, i to także zrobiłam odruchowo, bez cienia wyrachowania.

Astarita nalegał patrząc mi w oczy i wówczas przełożyłam banknot z lewej do prawej dłoni. Byłam niesłuchanie podniecona, miałam wypieki na policzkach, mój oddech był przyśpieszony. Gdyby Astarita mógł odgadnąć, jakie były w tej chwili moje uczucia, może pomyślałby, że go kocham. A tymczasem trudno by było bardziej się mylić, bo w tej chwili pochłonięta byłam wyłącznie myślą o pieniądzach i o tym, za co i w jaki sposób zostały mi ofiarowane. Poczułam, że Astarita wziął mnie za rękę i podniósł ją do ust; pozwoliłam mu na to, po czym odsunęłam się od niego. Od tej chwili aż do końca jazdy nie spojrzeliśmy już na siebie ani razu.

W Rzymie rozstaliśmy się prawie w popłochu, jak gdyby każdy z nas zdawał sobie sprawę, że popełniliśmy przestępstwo, i jedyne, czego pragnął, to jak najszybciej gdzieś się ukryć. Istotnie, wszyscy popełniliśmy tego dnia coś bardzo podobnego do przestępstwa: Riccardo przez głupotę, Gizela przez zazdrość, Astarita przez nieokiełznaną żądzę, a ja przez nieświadomość. Gizela umówiła się ze mną na następny dzień na pozowanie, Riccardo życzył mi dobrej nocy, a Astarita zdobył się tylko na silny, konwulsyjny uścisk dłoni. Odwieźli mnie do samego domu; pomimo zmęczenia i pełnych wyrzutu wspomnień ogarnęło mnie uczucie miłej próżności, kiedy wysiadłam przed bramą z tego eleganckiego samochodu, na oczach całej rodziny kolejarza, naszego sąsiada, która wyglądała przez okno.

Poszłam zamknąć się w swoim pokoju i przede wszystkim spojrzałam na pieniądze. Zobaczyłam, że był to nie jeden, ale trzy banknoty tysiąclirowe, i przez chwilę, siedząc na krawędzi łóżka, poczułam się prawie szczęśliwa. Było ich dość nie tylko na zapłacenie ostatnich rat za meble, ale również na zakup innych rzeczy, które mi były potrzebne. Nigdy w życiu nie byłam w posiadaniu takiej sumy. Co chwila dotykałam banknotów i po prostu nie mogłam się im napatrzeć. Moje dotychczasowe ubóstwo czyniło mi ich widok jeszcze miłszym i ledwie wierzyłam własnym oczom. Musiałam długo przyglądać się tym pieniądzom, tak jak przedtem moim meblom, aby nabrać pewności, że naprawdę są moją własnością.

Rozdział 5

Spałam długo i mocno tej nocy i sen – tak mi się przynajmniej wydawało – zatarł nawet wspomnienie przygody w Viterbo. Obudziłam się spokojna, z mocnym postanowieniem, że nadal dążyć będę do tego, aby stworzyć sobie normalny rodzinny dom. Gizela, z którą spotkałam się tego samego dnia, ani słowem nie wspomniała o wycieczce – nie wiem, czy przez dyskrecję, czy też dlatego, że czuła się winna, w każdym razie byłam jej za to wdzięczna. Ale odczuwałam niepokój na myśl o spotkaniu z Ginem. Chociaż wiedziałam, że nie ponoszę winy za to, co się stało, myślałam o tym, że będę musiała kłamać, i obawiam się, czy potrafię, bo nie zdarzyło mi się to jeszcze nigdy dotąd; wobec Gina zawsze byłam szczerą. Ukrywałam wprawdzie przed nim, że widuję się z Gizelą, ale motywy zatajenia owego faktu były tak niewinne, że w ogóle nie uważałam tego za kłamstwo, co najwyżej za wykręt, do którego zmuszała mnie jego nieuzasadniona antypatia do Gizeli.

Kiedy spotkaliśmy się, jeszcze tego samego dnia, byłam tak przejęta, że z trudem powstrzymałam się od płaczu oraz wyznania mu wszystkiego i prośby o przebaczenie. Wycieczka do Viterbo ciążyła mi jak kamień i pragnęłam znaleźć ulgę wypowiadając to, co leżało mi na sercu. Gdyby Gino był inny, nie taki zazdrosny, na pewno powiedziałabym mu wszystko, i myślę, że potem kochalibyśmy się jeszcze bardziej, a ja czułabym się związana z nim ściślej niż kiedykolwiek. Jak zwykle zatrzymaliśmy samochód na podmiejskiej szosie. Zauważył moje zmieszanie i zapytał:

– Co ci jest?

Pomyślałam: „Teraz powiem mu wszystko, choćby mnie miał wyrzucić z samochodu, choćbym musiała wracać piechotą do Rzymu”. Ale zabrakło mi odwagi i z kolei ja zapytałam:

– Kochasz mnie?

– Jak możesz pytać o to? – odpowiedział.

– I zawsze mnie będziesz kochał? – mówiłam dalej z oczyma pełnymi łez.

– Zawsze.

– I prędko się pobierzemy?

Był wyraźnie znieczepiony moim naleganiem:

– Daję ci słowo honoru, mam takie wrażenie, jakbyś straciła do mnie zaufanie – powiedział. – Czy nie zdecydowaliśmy już, że ślub odbędzie się na Wielkanoc?

– Tak, to prawda.

– Czy nie dałem ci pieniędzy na urządzenie mieszkania?

– Tak.

– No więc... Jestem czy nie jestem człowiekiem honoru? Kiedy coś mówię, dotrzymuję słowa. Mógłbym się założyć, że to twoja matka podburza cię przeciwko mnie...

– Nie, nie, matka nie ma z tym nic wspólnego – odpowiedziałam niespokojnie – ale powiedz, będziemy zawsze razem?

– Oczywiście.

– I będziemy szczęśliwi?

– To będzie zależało tylko od nas.

– I zawsze będziemy razem? – zapytałam po raz drugi, nie umiając wydobyć się z kręgu dręczących mnie wątpliwości.

– Ufff, pytałaś już o to, i już ci odpowiedziałem!

– Nie gniewaj się na mnie – rzekłam – ale czasami wydaje mi się to niemożliwe. – I nie mogąc dłużej panować nad sobą, wybuchnęłam płaczem. Gino był zaskoczony i przejęty moimi łzami, wyczuwałam przy tym, że jest zmieszany, ale z jakiego powodu, zrozumiałam dopiero o wiele później.

– No już, już – powiedział. – I po co tak płakać?

A ja płakałam z rozpaczy, że nie mogę mu opowiedzieć o tym, co się stało, i uwolnić się od gnębiących mnie wyrzutów sumienia. Płakałam też z upokorzenia, bo czułam się niegodna jego, który był uosobieniem doskonałości i dobroci.

– Masz rację – wyjąkałam na koniec – jestem głupia.

– Tego nie powiedziałem, tylko nie widzę powodu do płaczu.

Ale w dalszym ciągu było mi ciężko na sercu. I kiedy rozstaliśmy się, poszłam jeszcze tego samego popołudnia do kościoła, żeby się wypowiadać. Nie byłam u spowiedzi już prawie od roku, ale wiedziałam, że mogę to zrobić w każdej chwili, i wystarczała mi owa świadomość. Przestałam się spowiadać od chwili, kiedy po raz pierwszy pocałowałam się z Ginem. Zdawałam sobie sprawę, że z punktu widzenia religii nasz stosunek jest grzechem, ale ponieważ myślałam, że mamy się pobrać, nie odczuwałam wyrzutów sumienia i liczyłam na to, że przed ślubem dostanę rozgrzeszenie.

Poszłam do małego kościoła w centrum miasta, stojącego między kinem i sklepem z pończochami. Panował tam mrok, oświetlony był tylko główny ołtarz i boczna kaplica Matki Boskiej. Kościół był brudny i odrapany, rozstawione tu i ówdzie wyplatane słomą krzeselka, pozostawione w nieładzie przez wiernych, przywodziły na myśl nie tyle mszę, ile jakieś nudne zebranie, z którego wychodzi się z uczuciem ulgi.

W słabym świetle, padającym przez okienka kopuły, widać było zakurzoną podłogę i białe odpryski na żółtych popękanych kolumnach, mających imitować marmur. Niezliczona ilość srebrnych wotów w kształcie gorejących serc, gęsto porozwieszanych na ścianach, robiła smętne wrażenie straganu ze świecidełkami. Ale pokrzepił mnie na duchu unoszący się w powietrzu zapach kadzidła. Często jako dziecko wdychałam ten zapach i przywodził mi on na myśl miłe i niewinne wspomnienia. Tak więc, chociaż po raz pierwszy znalazłam się w tym kościele, od razu przestałam czuć się w nim obco.

Ale jeszcze przed spowiedzią chciałam zajść do bocznej kaplicy, w której widziałam figurkę Matki Boskiej. Od urodzenia byłam poświęcona Madonnie i matka mówiła, że jestem nawet do Niej podobna, bo mam regularne rysy i łagodne spojrzenie. Zawsze kochałam Madonnę, bo trzyma na ręku Dzieciątka i Dzieciątka to, kiedy dorosło, zostało ukrzyżowane; ona wydała je na świat i kochała tak, jak kocha się syna, i bardzo cierpiała, widząc Go na krzyżu. Myślałam, że Madonna, która tyle przecierpiała, potrafi się wczuć w moje troski, i od dzieciństwa modliłam się tylko do niej, jako do tej jedynej, która zdoła mnie zrozumieć. Madonną zachwycałam się także dlatego, że była taka inna od mojej matki: pogodna, spokojna, przystrojona w bogate szaty; jej oczy patrzyły na mnie z czułością i wydawało mi się, że ona jest moją prawdziwą matką, a nie mama, stale rozkrzyczana, zagoniona, niechlujna.

Uklękałam więc i kryjąc twarz w dłoniach, z pochyloną głową, odmówiłam długą modlitwę do Madonny, prosząc o przebaczenie za to, co zrobiłam, i błagając o opiekę nade mną, matką i Ginem. Potem przypomniałam sobie, że nie powinnam żywić urazy do nikogo, i prosiłam Madonnę o opiekę także i nad Gizelą, która skrzywdziła mnie przez zazdrość, nad Riccardem i na koniec także nad Astaritą. Za Astaritę modliłam się dłużej niż za innych, właśnie dlatego, że miałam do niego żal, który chciałam w sobie zagłuszyć i kochać go, jak kochałam innych, przebaczyć mu i zapomnieć zło, jakie mi wyrządził. W końcu tak się wzruszyłam, że łzy nabiegły mi do oczu. Podniosłam zamglony łzami wzrok na figurę Madonny; umieszczona u szczytu ołtarza, majączyła mi niewyraźnie, jakby pod wodą, a świece płonące dokoła migotały niezliczonymi złotymi plamkami, miłymi dla oka, ale zarazem przepętniającymi goryczą, jak to bywa z gwiazdami, których chciałoby się dotknąć, ale nie można, bo są za daleko. Długo wpatrywałam się w Madonnę, prawie jej nie widząc; potem łzy spłynęły mi z oczu i toczyły się po policzkach, łaskocząc je delikatnie, i zobaczyłam Madonnę z Dzieciątkiem na ręku; patrzyła na mnie, z twarzą oświetloną płomykami świec. Wydawało mi się, że spogląda na mnie ze współczuciem i sympatią, więc dziękowałam jej z głębi serca, a kiedy wstałam z klęczek, było mi lekko na duszy i poszłam się wypowiadać.

Wszystkie konfesjonały były puste, ale rozglądając się dokoła w poszukiwaniu jakiegoś księdza, zobaczyłam, że ktoś wychodzi przez drzwiczki obok głównego ołtarza, przykłęka i przechodzi na drugą stronę. Był to zakonnik, nie wiedziałam tylko, z jakiego zgromadzenia; zdobywając się na odwagę, zawołałam go po cichu. Obejrzał się i od razu skierował się w moją stronę. Kiedy był już blisko, zobaczyłam, że jest to człowiek jeszcze młody, bardzo wysoki i postawny, o twarzy czerstwej, różowej i męskiej, otoczonej rzadką rudawą brodą, o niebieskich oczach i wysokim białym czole. Pomyślałam bezwiednie, że jest to niezwykle przystojny mężczyzna, jakiego niełatwo spotkać nie tylko w kościele, ale i na ulicy; i byłam zadowolona, że będę się u niego spowiadać. Powiedziałam szeptem, o co mi idzie, a on, zaprosiwszy mnie lekkim gestem ręki, podszedł do jednego z konfesjonałów.

Wszedł do środka, a ja uklękałam przy kratkach. Na małej emaliowanej tabliczce przybitej do konfesjonału widniał napis: Ojciec Elias; spodobało mi się to imię i wzbudziło we mnie zaufanie. Ksiądz modlił się przez chwilę, po czym zapytał:

- Od jak dawna nie byłeś u spowiedzi?
- Od roku – odpowiedziałam.
- O, to długo... za długo. A dlaczego?

Zauważyłam, że nie mówi poprawnie po włosku i wymawia r jak Francuzi; po kilku błędach, jakie zrobił przekręcając wyrazy cudzoziemskie na język włoski, domyśliłam się, że jest właśnie Francuzem. Byłam zadowolona i z tego, że to cudzoziemiec, ale sama nie wiedziałam, dlaczego. Może dlatego, że kiedy robi się coś, do czego przywiązuje się dużą wagę, to każda niezwykła okoliczność wydaje się dobrym znakiem.

Zapewniłam go, że zrozumie, dlaczego dawno nie byłam u spowiedzi, kiedy mu wszystko opowiem. Po chwili milczenia zapytał mnie, co mam do wyznania. Wówczas gwałtownie i z ufnością opowiedziałam mu, co łączy mnie z Ginem, o mojej przyjaźni z Gizelą, o wycieczce do Viterbo, o szantażu Astarity. Mówiąc to wszystko nie mogłam powstrzymać się od myśli, jakie wrażenie robią na nim moje słowa. Nie był takim księdzem jak inni i to, że wyglądał na człowieka świeckiego, budziło moją ciekawość; zastanawiałam się, z jakiej przyczyny został księdzem. Wyda się to dziwne, że po wielkim wzruszeniu, jakie ogarnęło mnie podczas modlitwy do Madonny, rozproszyłam

się do tego stopnia, iż zainteresowałam się moim spowiednikiem, ale ja uważam, że nie było żadnej sprzeczności między tym zaciekawieniem a tamtym wzruszeniem, i jedno, i drugie wypływało z mojej natury, w której pobożność i kokieteria, wrażliwość i zmysłowość nierozzerwalnie były ze sobą splątane.

Pomimo że myślałam o nim w taki sposób, spowiadając się odczuwałam błogą ulgę i zachłanne pragnienie, żeby mówić dalej, żeby powiedzieć wszystko. Wydawało mi się, że staję się coraz lżejsza i uwalniam się od przytłaczającej zmory, która gnębiła mnie od tamtej chwili, tak jak odżywa kwiat więdnący podczas suszy, gdy spadną nań pierwsze krople deszczu. Początkowo mówiłam urywanie, z wahaniem, potem coraz płynniej, na koniec ze szczerością pełną nadziei i uniesienia. Nie opuściłam nic, nawet szczegółu o pieniądzech, które dał mi Astarita, wyznając, jakie wrażenie zrobiły na mnie i jak zamierzałam je zużytkować. Słuchał mnie, nie robiąc żadnych uwag, a kiedy skończyłam, powiedział:

– Aby uniknąć tego, co wydawało ci się nieszczęściem, czyli zerwania zaręczyn, uczyniłaś sama sobie krzywdę tysiąckrotnie większą.

– Tak, to prawda – odpowiedziałam drżąc cała.

– W rzeczywistości – ciągnął dalej, mówiąc jakby do siebie – twoje narzeczeństwo nie ma z tym nic wspólnego. Ulegając temu mężczyźnie dałaś się porwać odruchowi chciwości.

– Tak, tak!

– A więc lepiej by się stało, gdyby raczej twoje małżeństwo nie doszło do skutku, niż żebyś popełniła ten grzech.

– Tak, ja też tak myślę...

– Nie wystarczy myśleć... Teraz wyjdiesz za mąż, to prawda, ale za jaką cenę? Nigdy już nie będziesz mogła być dobrą żoną.

Zraniły mnie te twarde, bezlitosne słowa; zawołałam z rozpaczą:

– Och, nie, nie... Tamto nie pozostawiło we mnie żadnego śladu! Jestem pewna, że będę dobrą żoną.

Szczerość mojej odpowiedzi musiała mu się spodobać. Milczał przez dłuższą chwilę, po czym zaczął mówić łagodniej:

– Czy szczerze tego żałujesz?

– O tak! – odrzekłam z uniesieniem. Przyszło mi nagle do głowy, że ksiądz każe mi zwrócić pieniądze Astaricie; i chociaż już z góry na samą myśl o tym zrobiło mi się nieprzyjemnie, czułam, że usłucham go z radością, że cieszy i zobowiązuje mnie to przede wszystkim dlatego, że on właśnie każe mi to zrobić. Ale ksiądz, nie wspominając nic o pieniądzech, mówił dalej chłodnym i dalekim głosem, któremu cudzoziemski akcent nadawał dziwnie serdeczne brzmienie.

– Powinnaś teraz jak najprędzej wyjść za mąż! Musisz uporządkować swoje życie, musisz jasno postawić sprawę wobec twego narzeczonego; stosunki wasze nie mogą układać się nadal w ten sposób.

– Już mu to powiedziałam.

– A on jak na to zareagował?

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu na myśl, że to on, taki przystojny, jasnowłosy, zadaje mi to pytanie z cienia konfesjonału. Odpowiedziałam z wysiłkiem:

– Powiedział, że pobierzemy się na Wielkanoc.

– Byłoby lepiej – odrzekł po chwili zastanowienia, i tym razem wydawało mi się, że nie mówi jak ksiądz, ale jak człowiek świecki, uprzejmy i zarazem trochę znudzony tym, że musi zajmować się moimi sprawami – abyś wyszła natychmiast za mąż, do Wielkanocy daleko...

– Wcześniej nie możemy, chcę przygotować sobie wyprawę, a on musi pojechać w swoje strony, żeby rozmówić się z rodzicami.

– W każdym razie – ciągnął dalej – musisz jak najprędzej wziąć ślub, a do tego czasu przerwać stosunki cielesne z twoim narzeczonym. To ciężki grzech, rozumiesz?

– Tak, zrobię to.

– Zrobisz? – zapytał tonem pełnym wątpliwości. – A w każdym razie umacniaj się modlitwą przeciwko pokusom, staraj się modlić.

– Tak... będę się modliła.

– A co do tamtego mężczyzny – mówił dalej – nie powinnaś się z nim spotykać pod żadnym pozorem i nie powinno ci to sprawiać trudności, bo przecież go nie kochasz. Gdyby nalegał, nachodził cię, odpraw go.

Odpowiedziałam, że zrobię tak, a on udzielił mi jeszcze kilku rad głosem chłodnym i powściągliwym, którego akcent cudzoziemski i przebijająca z każdego słowa wytworność nadawały barwę tak miłą dla ucha, po czym wymienił modlitwy, jakie odmawiać mam jako pokutę; wreszcie dał mi rozgrzeszenie. Ale zanim mnie odprawił, chciał, żebym zmówiła z nim razem „Ojcze nasz”. Podchwyciłam to z radością, bo żal mi było odchodzić, nie nasłuchiwałam się jeszcze do syta jego głosu. Zaczął mówić:

– Ojcze nasz, który jesteś w niebie...

A ja powtórzyłam:

– Ojcze nas, który jesteś w niebie...

– Święć się imię Twoje...

– Święć się imię Twoje...

– Przyjdź królestwo Twoje...

– Przyjdź królestwo Twoje...

– Bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi...

– Bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi...

– Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...

– Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...

– Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

– Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

– I nie wódź nas na pokuszenie, ale zbaw nas ode złego...

– I nie wódź nas na pokuszenie, ale zbaw nas ode złego...

– Amen.

– Amen.

Przytoczyłam w całości modlitwę, żeby odtworzyć to, co odczuwałam odmawiając ją z nim razem, jak gdybym była małym dzieckiem i on prowadził mnie od zdania do zdania. Ale równocześnie myślałam o pieniądzach, które dał mi Astarita, i byłam prawie rozczarowana, że ksiądz nie kazał mi ich zwrócić. Rzeczywiście chciałam

otrzymać od niego takie polecenie, bo pragnęłam dać mu konkretny dowód mojej dobrej woli, mojego posłuszeństwa, mojej skruchy i zrobić dla niego coś, co wymagałoby ode mnie prawdziwego poświęcenia. Po odmówieniu modlitwy wstałam, on także wyszedł z konfesjonału i zaczął oddalać się nie patrząc na mnie, skinąwszy tylko lekko głową na pożegnanie. Wówczas ja, prawie bezwiednie i bez namysłu, pociągnęłam go za rękaw. Przystanął i spojrzał na mnie tymi jasnymi, chłodnymi i pogodnymi oczyma.

Wydał mi się jeszcze piękniejszy niż dotąd i tysiące szaleńczych myśli przebiegło mi przez głowę. Pomyślałam, że mogłabym go pokochać, i o tym, jak by dać mu do zrozumienia, że on mi się podoba. A równocześnie głos sumienia upominał mnie, że jestem w kościele, że stoję przed księdzem, przed moim spowiednikiem. Te myśli i twory wyobraźni po prostu mnie osaczyły i wprawiły w takie zakłopotanie, że przez chwilę nie mogłam wydobyć z siebie głosu. On spokojnie przeczekał czas jakiś, a potem zapytał:

– Czy chcesz mi jeszcze coś powiedzieć?

– Chciałam się dowiedzieć – odpowiedziałam – czy mam oddać pieniądze temu mężczyźnie?

Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, które było tak przenikliwe i badawcze, iż wydało mi się, że sięga do głębi mojej duszy, potem zapytał krótko:

– Czy bardzo ich potrzebujesz?

– Tak.

– A więc możesz ich nie oddawać... ale pamiętaj, postępuj zawsze zgodnie ze swoim sumieniem.

Wypowiedział te słowa szczególnym tonem, jak gdyby dla podkreślenia, że nasze spotkanie jest skończone; wybełkotałam „dziękuję” bez uśmiechu, patrząc mu prosto w oczy. W tej chwili doprawdy zupełnie straciłam głowę i miałam nadzieję, że w jakiś sposób, znakiem czy słowem, on da mi do poznania, iż nie jestem mu obojętna. Ksiądz zrozumiał zapewne, co wyrażało moje spojrzenie, i na twarzy jego ukazał się lekki przebłysk zdziwienia. Skinął ręką na pożegnanie, odwrócił się i odszedł zostawiając mnie zmieszaną i zakłopotaną przy konfesjonale.

Matce nie wspomniałam ani słowem, że byłam u spowiedzi, jak zresztą nie powiedziałam jej nic o wycieczce do Viterbo. Wiedziała, że ma ona swój własny, jasno sprecyzowany sąd o księżach i religii: mówiła, że są to wszystko bardzo piękne rzeczy, ale równocześnie bogacze nadal są bogaci, a biedacy biedni. „Widać bogaci umieją się modlić lepiej od nas” – powiadała. Myślała o religii w taki sam sposób jak o rodzinie i małżeństwie; dawniej była religijna, praktykująca i mimo to wszystko układało jej się zawsze jak najgorzej, toteż przestała wierzyć. Pewnego razu, gdy powiedziałam jej, że nagroda czeka nas na tamym świecie, wybuchnęła gniewem i oświadczyła, że nagrodę chce otrzymać teraz, natychmiast, na tym świecie, a jeżeli jej nie dostaje, znaczy to, że wszystko jest kłamstwem. Jednakże, jak już wspomniałam, dała mi wychowanie religijne, ponieważ sama była niegdyś wierząca. Dopiero w ostatnich latach przeciwności losu rozgoryczyły ją i spowodowały zmianę przekonań.

Następnego ranka, kiedy wsiałam z Ginem do samochodu, oznajmił mi, że jego państwo wyjeżdżają, wobec czego przez kilka dni będziemy mogli spotykać się w willi. Moim pierwszym odruchem była radość, bo jak już, zdaje się, dałam do zrozumienia, podobała mi się miłość i lubiałam się kochać z Ginem.

Ale natychmiast przypomniałam sobie przyrzeczenie dane spowiednikowi i powiedziałam:

– Nie, to niemożliwe.

– Dlaczego niemożliwe?

– No, bo niemożliwe.

– No dobrze – odpowiedział niechętnym westchnieniem – więc jutro.

– Nie... jutro też nie... nigdy.

– Ach, nigdy – powtórzył z udanym zdziwieniem, zniżając głos – więc to tak?... Nigdy... może przynajmniej powiesz mi, dlaczego.

Twarz jego wyrażała podejrzliwość i zazdrość.

– Gino – powiedziałam szybko – ja ciebie kocham, co więcej, nigdy, nigdy nie kochałam cię tak jak teraz... ale właśnie dlatego, że cię kocham, postanowiłam, że dopóki się nie pobierzemy, lepiej, żeby nic nie było między nami... Mówię „nic” w tym znaczeniu, że nie powinniśmy żyć z sobą.

– Aha, teraz wszystko staje się jasne – odrzekł złośliwie – boisz się, że nie będę chciał ożenić się z tobą, co?

– Nie... jestem pewna, że ożenisz się ze mną. Gdybym miała jakieś obawy, nie robiłabym tych wszystkich przygotowań i nie wydawałabym pieniędzy matki, która pracowała całe życie, żeby je odłożyć.

– Ach, jakaś ty nudna z tymi pieniędzmi twojej matki – powiedział. Stał się po prostu grubiański, nie poznawałam go prawie. – No więc dlaczego?

– Byłam u spowiedzi i mój spowiednik zakazał mi żyć z tobą, dopóki się nie pobierzemy.

On machnął ręką ze złością i wyrwało mu się z ust jakieś przekleństwo.

– Jakim prawem ten klecha wtyka nos w nasze sprawy?

Wolałam nie odpowiadać. On nalegał:

– Powiedz, dlaczego nic nie mówisz?

– Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Musiałam wyglądać na stanowczą, bo zmienił nagle ton i rzekł:

– No dobrze... niech i tak będzie. Czy mam cię odwieźć do miasta?

– Jak chcesz.

Muszę przyznać, że był to jedyny wypadek, kiedy Gino okazał się szorstki w stosunku do mnie. Już następnego dnia wyglądało na to, że się z tym pogodził, i był taki jak zawsze: czuły, troskliwy, uprzejmy. W dalszym ciągu widywaliśmy się codziennie, tak jak przedtem, tyle tylko że o stosunkach miłosnych nie było już mowy, ograniczaliśmy się do rozmów. Od czasu do czasu całowaliśmy się, chociaż on wziął sobie za punkt honoru, żeby nigdy mnie o to nie prosić. Uważałam, że pocałunek z nim nie jest grzechem, byliśmy przecież zaręczeni i wkrótce mieliśmy się pobrać. Dzisiaj, wracając do tych dni, myślę, że Gino przystosował się tak szybko do swej roli pełnego umiaru narzeczonego w nadziei, że w ten sposób stosunki nasze ochłodzą się stopniowo i prawie niewidocznie, po trochu zaczniemy oddalać się od siebie. Zdarza się często, że dziewczęta po przeciągających się w nieskończoność, nużących okresach narzeczeństwa niepostrzeżenie stają się wolne, nie ponosząc przy tym żadnej straty prócz tej, że minęły najlepsze lata ich młodości. Mówiąc o zakazie spowiednika, sama mimo woli podsunęłam mu pretekst, którego szukał może, aby rozluźnić nasze stosunki. Sam z pewnością nie byłby się na to zdobył, będąc egoistą i człowiekiem słabego charakteru, a przyjemność, jaką sprawiało mu obcowanie ze mną, była silniejsza niż chęć zerwania. Interwencja spowiednika umożliwiła mu przybranie owej pełnej hipokryzji, a na pozór bezinteresownej postawy.

Po pewnym czasie zaczął rzadziej spotykać się ze mną, już nie codziennie, ale co drugi dzień. Zauważyłam też, że nasze wycieczki samochodem stają się coraz krótsze i że Gino z coraz większym roztargnieniem słucha

moich słów na temat małżeństwa. Ale chociaż niejasno zdawałam sobie sprawę z tych zmian w jego zachowaniu, nie nasuwały mi one żadnych podejrzeń; między innymi dlatego, że szło o rzeczy błahe, a poza tym był on dla mnie wciąż jeszcze serdeczny i czuły. Wreszcie pewnego dnia oświadczył mi z zatroskanym wyrazem twarzy, że ślub musimy odłożyć z przyczyn rodzinnych aż do jesieni.

– Czy bardzo się tym zmartwisz? – dodał widząc, że ani słowem nie zareagowałam na tę wiadomość i tylko patrzałam przed siebie zasępią i rozgoryczona.

– Nie, nie – odpowiedziałam otrząsając się z zamyślenia – to nie ma znaczenia, trzeba uzbroić się w cierpliwość... A poza tym będę miała więcej czasu na szycie wyprawy.

– To nieprawda... Jesteś tym bardzo zmartwiona. – Dziwne było, że tak bardzo zależało mu na tym, żebym była zmartwiona z powodu tej zwłoki.

– Mówię ci, że nie.

– Jeżeli nie zmartwiło cię to, to znaczy, że nie kochasz mnie naprawdę i może w głębi duszy byłabyś nawet zadowolona, gdybyśmy się w ogóle nie pobrali.

– Nie mów tak – zawołałam przerażona – byłoby to dla mnie straszne... Nie chcę nawet o tym myśleć.

Miał dziwny wyraz twarzy; nie rozumiałam, o co mu chodzi. A tymczasem on chciał wypróbować moje uczucia i ku swemu niezadowoleniu przekonał się, że są one nadal bardzo silne.

Ale owo odłożenie daty ślubu, jeżeli nawet nie było wystarczające dla obudzenia moich podejrzeń, potwierdzało jednak to, co od dawna mówiły matka i Gizela. Matka nie robiła początkowo żadnych komentarzy, co było dość dziwne, bo nie zgadzała się z jej impulsywnym i gwałtownym usposobieniem. Ale pewnego wieczoru, kiedy jak zazwyczaj podawała mi kolację, w milczeniu, gotowa na moje rozkazy, na jakąś moją wzmiankę o małżeństwie powiedziała:

– Czy wiesz, co za moich czasów mówiło się o dziewczynie takiej jak ty, która czeka na męża i nigdy nie wychodzi za mąż?

Zbladłam i serce stanęło mi w gardle:

– Co mówiono?

– Że została na lodzie – rzekła spokojnie matka – on trzyma cię na lodzie, jak mięso, które chowa się na zapas... Czasami mięso za długo przetrzymywane na lodzie psuje się i wtedy się je wyrzuca...

Zawołałam z gniewem:

– To nieprawda! Przecież dopiero po raz pierwszy odkładamy datę ślubu i tylko na kilka miesięcy... Mówisz to wszystko dlatego, bo masz pretensję do Gina, że nie jest wielkim panem, tylko szoferem.

– Nie mam pretensji do nikogo.

– Tak, masz... I to dlatego, że musiałś wyłożyć pieniądze na nasz pokój, ale nie bój się!...

– Moje dziecko... miłość ogłupiła cię do reszty.

– Nie bój się, on zapłaci wszystkie pozostałe raty i oddamy ci to, co wyłożyłaś! Popatrz! – W uniesieniu otworzyłam torebkę i pokazałam jej banknoty, które dał mi Astarita. – To są jego pieniądze – ciągnęłam dalej i byłam tak podniecona, że sama prawie zaczęłam wierzyć w te wszystkie kłamstwa – to on mi je dał... i da mi więcej.

Rzuciła okiem na pieniądze i na twarzy jej odbiło się rozczarowanie i troska, co wzbudziło we mnie wyrzuty sumienia. Po raz pierwszy od bardzo dawna zachowałam się tak zuchwale wobec niej; a zarazem

uświadomiłam sobie, że skłamałam, bo przecież pieniędzy tych nie dostałam od Gina. Matka bez słowa zebrała wszystko ze stołu, wzięła talerze i wyszła. Zirytowana, biłam się jeszcze przez chwilę z myślami, po czym wstałam i poszłam za nią. Zobaczyłam ją, jak odwrócona stała przy zlewie, zajęta zmywaniem talerzy, które kładła jeden po drugim na marmurowym blacie; głowę i ramiona miała lekko pochylone; zrobiło mi się jej serdecznie żal. Z impetem zarzuciłam jej ręce na szyję i powiedziałam:

– Wybacz mi te słowa... wcale tak nie myślę... Ale kiedy zaczynasz mówić o Ginie, tracę głowę.

– No, już dobrze, dobrze, zostaw mnie – odrzekła udając, że chce się wywinąć z mojego uścisku.

– Ależ musisz mnie zrozumieć! – dodałam gwałtownie. – Jeżeli Gino nie ożeni się ze mną, to się zabiję albo pójdę na ulicę!

Gizela przyjęła wiadomość o przełożeniu daty ślubu w sposób całkiem odmienny. Siedziałyśmy w jej wynajętym wraz z meblami pokoju, ja na brzegu łóżka, ona, w koszuli, czesała się przed toaletką. Pozwoliła opowiedzieć mi wszystko, aż do końca, nie robiąc żadnych komentarzy, a potem spokojnie i triumfująco oświadczyła:

– A widzisz, że miałam rację?

– Dlaczego?

– On nie chce się z tobą ożenić i nie ożeni się nigdy. Teraz mówi już nie o Wielkanocy, ale o Wszystkich Świętych, a na Wszystkich Świętych będzie mówił o Bożym Narodzeniu, aż pewnego pięknego dnia sprzykrzy ci się to wszystko i sama z nim zerwiesz.

Słowa jej drażniły mnie i sprawiały mi przykrość. Ale ulżyłam już sobie do pewnego stopnia w rozmowie z matką, poza tym wiedziałam, że gdybym zaczęła mówić to, co myślę, musiałabym zerwać z Gizelą, a nie chciałam tego, bo była ona przecież moją jedyną przyjaciółką. Powinnam była powiedzieć jej to, co rzeczywiście myślałam: ona nie chce, żebym wyszła za męża, bo wie, iż Riccardo nigdy się z nią nie ożeni. Tak wyglądała prawda, ale wypominanie sobie takich rzeczy byłoby zbyt przykre i nie miałam powodu obrażać Gizeli tylko dlatego, że ona mówiąc o Ginie, może nawet mimo woli, dawała się porwać odruchom zawiści i zazdrości. Ograniczyłam się do krótkiej odpowiedzi.

– Nie mówmy o tym więcej, dobrze? Ciebie przecież w gruncie rzeczy nic nie obchodzi, czy wyjdę za męża, a mnie nieprzyjemnie jest o tym mówić.

Gizela wstała nagle, odeszła od toaletki i usiadła przy mnie na łóżku.

– Jak to nic mnie nie obchodzi? – zaprotestowała żywo. Potem objęła mnie wół: – Wprost przeciwnie, bardzo mi się nie podoba, że on tak cię wodzi za nos.

– To nieprawda – odpowiedziałam cicho.

– I chciałabym widzieć cię szczęśliwą – ciągnęła dalej. Milczała przez chwilę, po czym rzekła jakby mimochodem: – A propos, Astarita stale mnie zamęcza, bo chciałby znowu zobaczyć się z tobą. Mówi, że nie może żyć bez ciebie. Jest naprawdę zakochany. Czy chcesz się z nim umówić?

– Nie wspominaj mi więcej o Astaricie! – odrzekłam.

– On doskonale zdaje sobie sprawę, że źle się zachował tego dnia w Viterbo – mówiła dalej – ale zrobił tak właśnie dlatego, że cię kocha... Jest gotów wszystko naprawić.

– Jedynym sposobem naprawienia tego – powiedziałam – jest, żeby mi się więcej nie pokazywał na oczy.

– Daj spokój, przecież to poważny człowiek i kocha cię naprawdę, chce za wszelką cenę spotkać się z tobą, porozmawiać... Dlaczego nie miałybyś zobaczyć się z nim na przykład w jakiejś kawiarni, razem ze mną?

– Nie – odrzekłam stanowczo – nie chcę go widzieć!

– Będziesz tego żałowała.

– To sama się umów z Astaritą!

– Umówiłabym się natychmiast, moja droga, to hojny człowiek, nie dba o pieniądze, ale on chce tylko ciebie, to po prostu jakieś opętanie!

– Być może, ale ja go nie chcę!

Nalegała jeszcze długo, wstawiając się za Astaritą, ale ja nie dałam się przekonać. Moje rozpaczliwe pragnienie, by wyjść za mąż i założyć rodzinę, było wówczas u szczytu i postanowiłam twardo nie dać się skusić ani argumentami, ani pieniędzmi. Zapomniałam nawet o owym dreszczu rozkoszy, jaki udało się Astaricie obudzić we mnie, kiedy siłą wsunął mi do ręki pieniądze w drodze powrotnej z Viterbo. Jak to często bywa, właśnie dlatego, że obawiałam się, iż matka i Gizela mogą mieć rację, z tym większą nadzieją i zawziętością uczepiłam się myśli o małżeństwie.

Rozdział 6

Zapłaciłam tymczasem wszystkie raty za meble i pracowałam bez wytchnienia, żeby zebrać resztę pieniędzy potrzebnych na wyprawę. Rano pozowałam w pracowniach, po południu zamykałam się z matką w pokoju i szłam do późna w noc. Matka pracowała przy oknie, pochylona nad maszyną do szycia, a ja, siedząc nie opodal przy stole, wykańczałam w ręku koszule. Matka nauczyła mnie szyć bieliznę, a ja okazałam się bardzo pojętna i szybka w robocie. Było zawsze mnóstwo dziurek do dziergania, a poza tym na każdej koszuli haftowałam monogramy, co robiłam po mistrzowsku; każda litera była tak twarda i wypukła, jakby miała wyskoczyć z materiału. Bielizna męska była naszą specjalnością, jednakże czasami szyłyśmy także koszule, halki i reformy damskie, ale proste i niewyszukane, bo matka nie znała się na wykwintnej robocie, a poza tym nie miała wśród swojej klienteli dam, które zamawiałyby eleganckie rzeczy. Szyjąc rozmyślałam o Ginie, o małżeństwie, o wycieczce do Viterbo, o matce, o moim życiu, jednym słowem, czas szybko mijał. O czym myślała matka, nie wiedziałam; ale z pewnością myśli jej były też czymś zajęte, bo kiedy szła na maszynie, miała zawsze rozwścieczony wyraz twarzy, a ilekroć zaczynałam z nią rozmawiać, prawie zawsze odpowiadała mi opryskliwie. Pod wieczór, gdy tylko zaczynało się ściemniać, wstawałam, strzepywałam z siebie nitki, przebierałam się w to, co miałam najlepszego i wychodziłam na spotkanie z Gizelą albo z Ginem, jeżeli był wolny. Dzisiaj zadaję sobie pytanie, czy byłam wówczas szczęśliwa. W pewnym sensie tak, bo miałam cel w życiu, i ten cel wydawał mi się już bliski, możliwy do zrealizowania. Potem zrozumiałam, że prawdziwie nieszczęśliwym jest się wtedy, kiedy nie ma już żadnych nadziei; bo na to nie ma rady, choćby nawet życie upływało w dostatku, bez żadnych wyrzeczeń.

W owym okresie często zdarzało się, że na ulicy szedł za mną Astarita. Bywało to przeważnie wczesnym rankiem, kiedy biegłam do pracowni. Astarita, stojąc w zagłębieniu muru na przeciwnym chodniku, czekał zwykle, aż pokażę się w bramie. Nie przechodził nigdy przez ulicę i podczas gdy ja szłam szybko w kierunku placu, on posuwał się nieco wolniej wzdłuż muru po drugiej stronie. Obserwował mnie, i to zdawało się mu wystarczać. Zachowywał się jak człowiek zakochany do szaleństwa. Kiedy dochodziłam do placu, szedł na przystanek tramwajowy naprzeciwko przystanku, na którym ja stawałam. Obserwował mnie bez przerwy, ale jedno moje spojrzenie zbijało go z tropu i udawał wtedy, że wypatruje tramwaju u wylotu ulicy. Żadna kobieta nie może pozostać obojętna wobec takiej miłości; i chociaż byłam stanowczo zdecydowana, że nigdy nie zamienię z nim ani słowa, odczuwałam chwilami dla niego coś w rodzaju pełnego wyrozumiałości współczucia. Potem zajeżdżał wóz Gina albo tramwaj i zależnie od dnia wsiadałam do samochodu lub do tramwaju, Astarita zaś zostawał na przystanku patrząc, jak się oddalam i znikam mu z oczu.

Pewnego wieczoru, kiedy wróciłam do domu na kolację, wchodząc do jadalni zastałam tam Astaritę. Stał oparty o stół, trzymając kapelusz w ręku, i rozmawiał z mamą. Kiedy go zobaczyłam u siebie w domu i pomyślałam, co mógł powiedzieć matce, żeby przekabacić ją na swoją stronę, zapomniałam o wszelkim współczuciu, ogarnęła mnie wściekłość.

– Co pan tu robi? – zapytałam go.

Popatrzył na mnie i twarz jego zaczęła drgać konwulsyjnie jak wówczas w drodze do Viterbo, kiedy

powiedział, że mu się podobam. Ale tym razem nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

– Ten pan mówi, że cię zna – zaczęła mama poufnym tonem – chciał się zobaczyć z tobą.

Z tonu domyśliłam się od razu, że Astarita rozmawiał z nią tak właśnie, jak przypuszczałam, i kto wie, może nawet dał jej pieniądze.

– Proszę cię, wyjdź – zwróciłam się do matki.

Przestraszyła się mojego głosu, który zabrzmiał prawie groźnie, i bez słowa wyszła do kuchni. – Co pan tu robi?... Proszę wyjść stąd – powiedziałam po raz drugi. Popatrzał na mnie, wydawało się, że porusza wargami, ale nic nie powiedział. Powieki miał opuszczone, a spod nich widać było białka oczu; przyszło mi do głowy, że może zemdleć. – Proszę stąd wyjść! – powtórzyłam ostro i donośnie, tupiąc nogą o podłogę – albo zawołam sąsiadów... zawołam znajomego, który mieszka pod nami!

Potem często zadawałam sobie pytanie, dlaczego wówczas Astarita nie uciekł się po raz drugi do szantażu i nie zagroził mi, że jeśli nie ustąpię, opowie Ginowi, co zaszło w Viterbo. Szantażując mnie teraz, miałby o wiele większe szansę niż za pierwszym razem, bo rzeczywiście do niego należałam; byli na to świadkowie, więc nie mogłabym się wyprzeć. Doszłam do wniosku, że wtedy pożądał mnie tylko, a teraz kochał. Miłość pragnie być odwzajemniona i Astarita kochając mnie musiał odczuwać, że nie wystarczy posiadać mnie tylko milcząco i bezwładną, jak gdyby nieżywą. Ale ja tym razem byłam zdecydowana wyjawić prawdę; Gino kochał mnie przecież, powinien więc zrozumieć i wybaczyć. Moja pełna zdecydowania postawa przekonała zapewne Astaritę, że szantaż się nie uda.

Na groźbę, że zawołam sąsiadów, nic nie odpowiedział. Wziął kapelusz i ruszył w kierunku drzwi. Ale kiedy doszedł do końca stołu, zatrzymał się, spuścił głowę i wyglądał, jakby zastanawiał się przez chwilę, co ma powiedzieć. Skoro jednak podniósł wzrok i poruszył wargami, zdawało się, że znowu opuściła go odwaga, i tylko wpatrywał się we mnie w milczeniu. Miałam wrażenie, że trwa to bardzo długo. Na koniec skłonił lekko głowę na pożegnanie i wyszedł zamykając za sobą drzwi.

Poszłam natychmiast do matki, która była w kuchni, i zapytałam z gniewem:

– Coś mu powiedziała?

– Nic – odrzekła wystraszona. – Pytał mnie, co przyjmujemy do roboty. Mówił, że chciałby oddać do szycia koszule.

– Jeżeli zgodzisz się na to, zabiję cię! – krzyknęłam.

Popatrzyła na mnie wylękniona i odpowiedziała:

– A po co miałabym to robić?... Może sobie gdzie indziej szyc swoje koszule.

– A nie rozmawiał z tobą o mnie?

– Pytał, kiedy wychodzisz za mąż.

– I co mu odpowiedziałaś?

– Że ślub będzie w październiku.

– Czy może dał ci jakieś pieniądze?

– Nie, a dlaczego? – popatrzyła na mnie z udanym zdziwieniem. – A miał mi dać?

Ton głosu, jakim to powiedziała, upewnił mnie, że Astarita dał jej pieniądze. Rzuciłam się ku niej i gwałtownie chwyciłam ją za ramię:

– Mów prawdę... dał ci pieniądze!

– Nie... nic mi nie dał.

Trzymała rękę w kieszeni fartucha. Z całej siły szarpnęłam jej dłoń i z kieszeni wypadł złożony na dwoje banknot. Chociaż trzymałam ją w dalszym ciągu, schyliła się i podniosła go z taką chciwością i taką zachłannością, że cała złość nagle mnie opuściła. Przypomniałam sobie zmieszanie i radość, jakie wzbudziły we mnie pieniądze Astarity w dniu wycieczki do Viterbo, i poczułam, że nie mam prawa potępiać matki za to, że reaguje tak samo i ulega tym samym pokusom. Lepiej było o nic jej nie pytać, nie widzieć tego banknotu. Powiedziałam więc już normalnym głosem: – Widzisz, a jednak ci dał. – i wyszłam z kuchni nie czekając na żadne wyjaśnienia. Podczas kolacji zrozumiałam z kilku aluzji matki, że chciałyby pomówić o Astaricie i pieniądzech, ale zmieniłam temat, a ona nie nalegała.

Następnego dnia Gizela przysła bez Riccarda do kawiarenki, w której zawsze spotykałyśmy się razem z nim. Zaledwie usiadła, powiedziała mi bez żadnych wstępów:

– Muszę z tobą dzisiaj pomówić o pewnej bardzo ważnej sprawie.

Przeszyło mnie coś w rodzaju przecucia, cała krew odpłynęła mi z twarzy. Zapytałam zgaszonym głosem:

– Jeżeli to jakaś zła wiadomość, to proszę cię, nie mów mi nic!

– Nie jest ani zła, ani dobra – odpowiedziała żywo – po prostu wiadomość, to wszystko... Mówiłam ci już, kim jest Astarita.

– Nie chcę nic słyszeć o Astaricie.

– Posłuchajże, nie bądź dzieckiem! A więc Astarita jest ważną osobistością na wysokim stanowisku. To gruba ryba z tajnej policji.

Poczułam się nieco pewniej, nie zajmowałam się przecież polityką. Powiedziałam z wysiłkiem:

– Nie obchodzi mnie, kim on jest, choćby nawet był ministrem.

– Och, jaka ty jesteś... – fuknęła Gizela. – Słuchaj, zamiast mi przerywać! Astarita powiedział mi, żebyś koniecznie przysła do niego do ministerstwa... Musi z tobą pomówić, ale nie o miłości – dodała szybko, widząc, że już próbuję protestować – ma powiedzieć ci coś bardzo ważnego, coś, co ciebie dotyczy.

– Coś, co mnie dotyczy?

– Tak... dla twojego dobra... tak mi przynajmniej powiedział.

Dlaczego pomimo wrogiego stosunku do Astarity postanowiłam tym razem zobaczyć się z nim? Nie wiem sama. Czułam, że opuszczają mnie siły; odpowiedziałam:

– Dobrze, pójdę do niego.

Moja uległość skonsternowała nieco Gizelę. I teraz dopiero zauważyła, jaka jestem blada i przerażona.

– Co ci jest? – zapytała. – Czy dlatego, że on jest w policji?... Ależ on nie ma nic przeciwko tobie. Czego się boisz? Przecież cię nie zaaresztuje.

Wstałam, chociaż ledwie trzymałam się na nogach.

– Dobrze – powiedziałam – pójdę tam! Jakie to ministerstwo?

– Spraw Wewnętrznych, naprzeciwko „Supercinema”... Ale posłuchaj...

– O której godzinie?

– Jest tam przed południem... ale posłuchaj...

– Do widzenia!

Nie spałam prawie tej nocy. Nie pojmowałam, czego poza miłością może chcieć ode mnie Astarita; ale przecucie, które wydawało mi się nieomyłne, mówiło, że nie będzie to nic pomyślnego. Miejsce, dokąd mnie wzywał, kazało mi przypuszczać, że sprawa związana jest w jakiś sposób z policją. A wiedziałam o tym, o czym wiedzą wszyscy biedacy, że jeżeli policja w coś się wdaje, skutki zawsze bywają opłakane. Po skrupulatnym zastanowieniu się nad moim postępowaniem doszłam do wniosku, że Astarita planuje jeszcze jeden szantaż, wykorzystując jakieś informacje o Ginie. Nie znałam życia Gina i istniała możliwość, że jest on skorumpowany politycznie. Nigdy nie zajmowałam się polityką, ale nie byłam aż taką ignorantką, aby nie wiedzieć, że wielu było takich, którym nie podobał się rząd faszystowski, i że właśnie tacy ludzie jak Astarita mieli za zadanie wyłapywać tych wrogów ustroju. Wyobraźnia malowała mi w żywych kolorach dylemat, przed jakim postawi mnie Astarita; albo mu ulegnę, albo Gino znajdzie się w więzieniu. Byłam w rozterce, bo nie chciałam spełnić żądania Astarity, a jednocześnie nie mogłam dopuścić, żeby zaaresztowano Gina. Myśląc o tym nie odczuwałam już współczucia dla Astarity, tylko nienawiść. Wydawał mi się człowiekiem niegodnym, małostkowym, podłym, który powinien zostać jak najsurowiej ukarany. Szukałam jakiegoś wyjścia z tej sytuacji i różne myśli plątały mi się po głowie, między innymi i ta, żeby zamordować Astaritę; ale było to nie tyle rozwiązanie sprawy, ile raczej niezdrowe fantazjowanie podczas bezsennej nocy, wytwory bujnej wyobraźni, niezdolne przekształcić się w obiektywną i stanowczą decyzję; pomysł ten prześladował mnie aż do białego rana. Widziałam siebie, jak wkładam do torebki cienki, ostry sprężynowy nóż, którego matka używała do obierania kartofli, idę do Astarity, słyszę od niego to, czego się właśnie obawiałam, i jak potem całą siłą mojej muskularnej ręki wymierzam mu cios w szyję, między uchem a wykrochmalonym kołnierzykiem. Widziałam siebie, jak siląc się na największe opanowanie, wychodzę z jego pokoju, po czym biegnę, żeby ukryć się u Gizeli albo u kogoś innego ze znajomych. Ale snując te krwawe marzenia, przez cały czas zdawałam sobie sprawę, że nigdy w życiu nie zdobyłabym się na coś podobnego; boję się krwi i mam wrodzony lęk przed wyrządzeniem komuś krzywdy; skłonna jestem raczej cierpieć sama niż innym zadawać cierpienie.

O świcie zdrzemnęłam się trochę, a kiedy przyszedł ranek, wstałam i jak zwykle poszłam na spotkanie z Ginem. Skoro tylko znaleźliśmy się na podmiejskiej szosie, po kilku wstępnych zdaniach zapytałam go, starając się nadać mojemu głosowi naturalne brzmienie:

– Powiedz mi... czy tyś się kiedy zajmował polityką?

– Polityką? Co to ma znaczyć?

– No, w tym sensie, że brałeś udział w antyrządowych wystąpieniach.

Spojrzał na mnie z pewną wyższością, po czym zapytał:

– A ty powiedz mi, czy ja wyglądam na głupca?

– Ależ słuchaj...

– Odpowiedz mi najpierw, czy wyglądam na głupca?

– Nie – odrzekłam – skądże znowu... ale...

– A więc – zakończył – po co miałbym zajmować się polityką?

– Nie wiem... czasami...

– Nie... a temu, co podsunął ci tę myśl, powiedz, że Gino Molinari nie jest taki głupi.

Okolo jedenastej – przedtem krążyłam przeszło godzinę koło ministerstwa, nie mogąc zdecydować się, żeby wejść do środka – zameldowałam się u portiera i zapytałam o Astaritę. Szłam najpierw po ogromnych marmurowych schodach, potem po nieco węższych, ale również dość obszernych, na koniec kilkoma szerokimi korytarzami i wreszcie wprowadzono mnie do poczekalni, w której znajdowało się troje drzwi. Słowo „policja” kojarzyło mi się zawsze z ciasnymi, niechlujnymi lokalami komisariatów rejonowych, toteż byłam zupełnie zaskoczona luksusem biura, w którym pracował Astarita. Poczekalnia wyglądała jak prawdziwy salon, mozaikowa posadzka, antyczne obrazy, jakie widuje się w kościołach; pod ścianami stały skórzane fotele, na środku masywny stół. Onieśmiona tym komfortem, nie mogłam powstrzymać się od myśli, że Gizela miała rację: Astarita musi być rzeczywiście ważną osobistością; owo wrażenie zostało nagle potwierdzone w nieoczekiwany sposób. Zaledwie zdążyłam usiąść, otworzyły się jedne drzwi i wyszła z nich kobieta bardzo wysoka i piękna, choć już nie najmłodsza, elegancka, czarno ubrana, z woalką na twarzy; za nią ukazał się Astarita. Wstałam, przypuszczając, że teraz kolej na mnie. Ale Astarita dał mi znak ręką, jak gdyby chciał powiedzieć, iż widzi mnie, ale muszę jeszcze poczekać, i w dalszym ciągu rozmawiał na progu z ową panią. Wreszcie odprowadził ją do środka salonu i na pożegnanie pocałował w rękę z głębokim ukłonem, po czym gestem dłoni zaprosił do gabinetu pana siedzącego ze mną w poczekalni; był to staruszek w okularach, z siwą bródką, w czarnym garniturze, wyglądający na profesora. Zerwał się natychmiast na znak Astarity i podbiegł do niego uniżony i zadyszany. Znikli obydwaj w gabinecie i znowu zostałam sama.

Co uderzyło mnie najbardziej podczas krótkiego pojawienia się Astarity, to jego zachowanie: był całkiem inny niż podczas wycieczki do Viterbo. Wtedy był zmieszany, podniecony, milczący, przejęty; teraz zrobił na mnie wrażenie człowieka opanowanego, o swobodnych, ale przy tym powściągliwych manierach, bił od niego jakiś pełen dyskrekcji autorytet. Zmienił się także jego głos: podczas wycieczki mówił do mnie niskim, gorącym, zdławionym tonem; ale kiedy rozmawiał z zawołaną panią, głos jego miał brzmienie czyste, chłodne, umiarkowane, spokojne. Ubrany był jak zawsze w ciemnoszary garnitur, biały wysoki kołnierzyk usztywniał jakby jego szyję; ale i ubranie, i kołnierzyk, na które w czasie wycieczki nie zwróciłam specjalnej uwagi, wydały mi się teraz doskonale dopasowane do tego otoczenia, do surowych, masywnych mebli, do wielkiego salonu, do ciszy i porządku, jakie tu panowały, po prostu jak gdyby były czymś w rodzaju munduru. Gizela miała rację, pomyślałam znowu, że Astarita musi być osobistością o wielkim znaczeniu i tylko miłością tłumaczyć było można jego zmieszanie i poczucie niższości, jakie stale okazywał w stosunku do mnie.

Obserwacje te rozproszyły nieco mój niepokój, tak że kiedy po kilku minutach drzwi się otworzyły i wyszedł z nich starszy pan, czułam, że odzyskałam już zupełnie panowanie nad sobą. Tym razem jednak Astarita nie pokazał się na progu, żeby mnie zawołać. Zadzwoił dzwonek i do gabinetu wszedł woźny, zamykając drzwi za sobą, po czym wrócił, zbliżył się do mnie, zapytał szeptem o moje nazwisko i powiedział, że mogę wejść.

Gabinet Astarity, niewiele mniejszy od poczekalni, był prawie całkiem pusty, tylko w jednym kącie stała kanapa i dwa pokryte skórą fotele, a w drugim duże biurko, za którym siedział Astarita. Przez dwa duże okna, spoza białych firanek, wpadało do pokoju światło pochmurnego chłodnego dnia, spokojne i smutne, które przypomniało mi głos Astarity, gdy rozmawiał z zawołaną panią. Na podłodze leżał duży, puszysty dywan, na ścianach wisiało kilka obrazów. Pamiętam jeden z nich: przedstawiał zielone łąki, przecięte na horyzoncie pasmem skalistych gór.

Astarita, jak już wspominałam, siedział za swoim dużym biurkiem i kiedy weszłam, nawet nie podniósł oczu znad papierów, które czytał czy też udawał, że czyta. Mówię „udawał”, bo od razu byłam pewna, że odgrywa

komedię, aby mnie onieśmielić i pokazać, jaki z niego dygnitarz. Istotnie, kiedy podeszłam do biurka, zobaczyłam, że na arkuszu papieru, w który wczytywał się z taką uwagą, widniało tylko kilka linijek i podpis z zakrętasem. Poza tym ręka, którą podpierał czoło i w której między dwoma palcami trzymał papierosa, drżała silnie, zdradzając jego zdenerwowanie. Na skutek owego drgania nieco popiołu spadło na świstek, który Astarita badał z tak nienaturalnym i pełnym napięcia skupieniem. Oparłam ręce na krawędzi biurka i powiedziałam:

– Przyszłam.

Na to słowo, jak gdyby na umówiony sygnał, przestał czytać, pospiesznie zerwał się z miejsca i podszedł, aby przywitać się ze mną, ujmując mnie za obydwie ręce. Zrobił to wszystko w milczeniu, co dziwnie kontrastowało z jego swobodnym i pełnym wyższości sposobem bycia, który usiłował zrazu zachować także w stosunku do mnie. Ale zorientowałam się natychmiast, że już na sam dźwięk mojego głosu zapomniał o przygotowanej roli; znowu ogarnęło go zmieszanie. Pocałował mnie kolejno w obie ręce, patrzył na mnie pożądliwie i melancholijnie zarazem, chciał coś powiedzieć, ale wargi mu drżały i milczał przez chwilę.

– Przyszłaś – rzekł na koniec głosem niskim i zdławionym, który tak dobrze znałam.

Obecnie, może przez kontrast z jego zachowaniem, wróciła mi cała pewność siebie.

– Tak, przyszłam – odpowiedziałam. – Chociaż nie powinnam była przyjść... Co mi pan ma do powiedzenia?

– Chodź, usiądź tutaj – szepnął. Nie puścił mojej dłoni, którą mocno ścisnął, i zaprowadził mnie za rękę aż do kanapy. Usiadłam; on ukląkł nagle przede mną obejmując mi nogi ramionami i oparł czoło o moje kolano. Odbyło się to wszystko w milczeniu, drżał całym ciałem. Przyciskał czoło z taką siłą, że aż mnie to bolało; trwał tak w bezruchu i dopiero po dłuższej chwili poruszył łysiejącą głową, jak gdyby chciał ukryć twarz na moim łonie. Wtedy poruszyłam się chcąc wstać i powiedziałam:

– Miał mi pan powiedzieć coś ważnego... a więc proszę mówić... a jak nie, to już idę.

Na te słowa podniósł się jakby z trudnością, usiadł przy mnie, wziął mnie za rękę i szepnął:

– Nie... po prostu chciałem cię zobaczyć. – Chciałam wstać po raz drugi, ale on przytrzymując mnie dorzucił: – Tak... i chciałem ci powiedzieć, że my dwoje musimy dojść do porozumienia.

– Jak to?

– Ja ciebie kocham – powiedział szybko – kocham cię ponad wszystko... Zamieszkać ze mną, w moim domu, będę cię traktował tak, jak gdybyś była moją żoną... Kupię ci suknie, biżuterię, wszystko, co będziesz chciała...

Stracił całkowicie panowanie nad sobą, słowa z trudem przechodziły mu przez nieruchome, zaciśnięte usta.

– Chyba nie po to – zapytałam zimno – wezwał mnie pan tutaj?

– Nie chcesz?

– Nawet nie ma o czym mówić!

Zdziwiło mnie, że nic na to nie odpowiedział. Podniósł tylko rękę i prawie hipnotyzując mnie swoim przenikliwym wzrokiem, pogłaskał mnie po całej twarzy, jak gdyby pragnął utrwalić sobie w pamięci moje rysy. Palce jego były delikatne i czułam ich drżenie, kiedy przesuwiał je od skroni do policzka i od policzka do brody, od brody do policzka, od policzka do skroni. Była to pieszczota mężczyzny zakochanego, a wymowa miłości jest tak silna, nawet wtedy kiedy nie jest odwzajemniona, że przez chwilę, wiedzioną odruchem litości, chciałam powiedzieć

mu jakieś cieplejsze słowo. Ale nie miałam już na to czasu, bo on wstał nagle, mówiąc dziwnym tonem, pełnym przejęcia, a zarazem rzeczowym, w którym przebijała i namiętność, i zarazem jakaś całkiem nowa nuta:

– Poczekaj... rzeczywiście... mam przecież powiedzieć ci coś ważnego. – Podeszedł do biurka i wziął do ręki jakiś czerwony papier.

Teraz z kolei ja się zmieszałam, kiedy podeszedł do mnie z tym papierem. Zapytałam słabym głosem:

– Co to jest?

– To... to... – było dziwaczne, jak jego pełen autorytetu, oficjalny głos drżał pod wpływem wzruszenia – to pewna informacja dotycząca twojego narzeczonego.

– Ach... – zawołałam i śmiertelnie przerażona zamknęłam na chwilę oczy. Astarita zauważył to i zaczął przerzucać jakieś kartki, gniotąc je w podnieceniu.

– Gino Molinari, czy tak?

– Tak.

– I masz wyjść za niego w październiku, zgadza się?

– Tak.

– Ale okazuje się, że Gino Molinari już jest żonaty – ciągnął dalej – i powiem ci nawet, z kim. Z Antonietta Partini, córką Emila i Diomiry z domu Lavagna, od czterech lat, mają córeczkę, której na imię Maria... Żona jego mieszka obecnie w Orvieto przy matce...

Nie powiedziałam nic, wstałam z kanapy i skierowałam się ku drzwiom. Astarita stał na środku pokoju z papierami w ręku. Otworzyłam drzwi i wyszłam.

Pamiętam, że kiedy znalazłam się na ulicy w tłumie ludzi i owiało mnie ciepłe powietrze pochmurnego, łagodnego dnia zimowego, doznałam nagle uczucia gorzkiej pewności, że życie moje, po krótkiej przerwie, którą spowodowały moje plany małżeńskie i związane z tym przygotowania, wraca znowu do starego koryta, jak rzeka, której sztucznie nadano na niedługi okres czasu inny bieg. Nie spodziewałam się już żadnych nowości, żadnych zmian. Może owo uczucie zrodziło się we mnie dlatego, że jak odurzona rozglądałam się dokoła wzrokiem pozbawionym dawnej śmiałości, i po raz pierwszy od wielu miesięcy w bezlitosnym świetle normalnej codzienności zobaczyłam ludzi, sklepy, pojazdy takie, jakie były, ani ładne, ani brzydkie, ani ciekawe, ani nieciekawe, takie jakie muszą wydawać się pijakowi, kiedy alkohol przestaje działać. A może, co jest jeszcze bardziej prawdopodobne, sprawiło to stwierdzenie faktu, że normalne życie to nie są moje marzenia o szczęściu, ale coś wręcz odwrotnego, coś, co przeciwstawia się wszelkim projektom i planom, co jest nieprzewidziane, przypadkowe i przynosi rozczarowanie i ból. I niewątpliwie, jeżeli to było prawdą – a ja wierzyłam, że to prawda – owego ranka, po kilkumiesięcznym zamroczeniu, zaczęłam znowu żyć na jawie.

Była to jedyna myśl, jaką nasunęło mi odkrycie podwójnej gry Gina. Ale nie zamierzałam go potępiać ani też nie miałam do niego prawdziwego żalu. Jeżeli nawet zostałam oszukana, to nie obyło się to bez mego współdziałania; i zbyt bliskie było wspomnienie radosnych chwil przeżytych w ramionach Gina, żeby nie znalazła jeżeli już nie usprawiedliwienia, to przynajmniej wytłumaczenia dla jego kłamstw... Myślałam, że, oślepiiony namiętnością, był raczej słaby niż zły i że w gruncie rzeczy zawiniła, jeśli można tu było mówić o winie, moja uroda, dla której mężczyźni tracili głowę i która kazała im zapominać o wszelkich skrupułach i obowiązkach. Jednym słowem, Gino nie był bardziej winny niż Astarita, tyle tylko że uciekł się do oszustwa, a Astarita do szantażu. Poza

tym obydwaj kochali mnie po swojemu i z pewnością każdy z nich, gdyby tylko mógł, usiłowałby zdobyć mnie w przyzwoity sposób i zapewniłby mi owo skromne szczęście, które przedkładałam ponad wszystko. Tymczasem zły los sprawił, że ja, przy całej mojej urodzie, trafiłam na takich mężczyzn, którzy mi tego szczęścia dać nie mogli. I można się było zastanawiać, czy w ogóle ktoś tutaj zawinił, ale to, że ja padłam ofiarą, nie ulegało wątpliwości.

Może się komuś wyda, że zbyt słabo zareagowałam na zdradę, jaka spotkała mnie ze strony Gina. Ale ja zawsze, ilekroć mnie ktoś skrzywdził, a zdarzało się to często, bo byłam biedna, łatwowierna i samotna, pragnęłam znaleźć dla niego usprawiedliwienie i jak najszybciej zapomnieć urazę. Jeżeli doznane zło wywoływało we mnie jakieś zmiany, nie odbijały się one na moim zachowaniu czy wyglądzie, lecz znajdowały wyraz dużo głębiej; zamykałam się w sobie, jak zdrowe ciało, które stara się jak najprędzej zasklepić krwawiącą ranę. Ale pozostają blizny, i te prawie nieuchwytnie zmiany, zachodzące w duszy, są nieodwracalne.

I tym razem, w sprawie z Ginem, stało się podobnie. Nie miałam do niego żalu ani przez chwilę; ale czułam, że we mnie wiele rzeczy rozprysnęło się raz na zawsze: mój szacunek dla niego, moje nadzieje, że stworzę sobie rodzinę, mój upór, żeby nie dać za wygraną matce i Gizeli, moja wiara, a przynajmniej tego rodzaju wiara, jaką miałam dotychczas. Wydałam się sobie podobna do lalki z moich lat dziecińczych, którą ciągałam po podłodze i tarmosiłam przez cały dzień, a chociaż jej wygląd zewnętrzny nie ucierpiał na tym i dalej była różowa i uśmiechnięta, słyszałam, jak wewnątrz kołaczę jej coś i zgrzyta. Odkręciłam głowę i przez otwór wypadły skorupki porcelany, sznurki, sprężyny, metalowe płytki; były to szczątki mechanizmu, który poruszał oczami lalki i sprawiał, że mówiła. Były tam też jakieś tajemnicze kawałeczki drzewa i materiału, ale nigdy nie mogłam dojść, do czego miały służyć.

Zupełnie ogłuszona, ale spokojna, poszłam do domu i po południu zabrałam się do zwykłych zajęć, nie mówiąc matce, co się stało, ani też nie wyjawiając jej, jakie z tego wyciągnęłam wnioski. Ale nie potrafiłam dokazać tego, żeby dla utrzymania pozorów szyć dalej wyprawę; zebrałam wszystkie rzeczy – i to, co było gotowe, i to, co pozostało jeszcze do wykończenia – i zamknęłam je na klucz w szafie w moim pokoju. Matka zauważyła mój smutek, co było u mnie rzeczą niecodzienną, bo usposobienie miałam wesołe i beztrudne; ale powiedziałam jej, że jestem zmęczona, co zresztą zgadzało się z prawdą. Pod wieczór, gdy matka szła na maszynę, przerwałam robotę, poszłam do siebie i położyłam się na łóżku. Zauważyłam, że patrzę na meble – zapłacone już i naprawdę moje dzięki pieniądzom Astarity – innym okiem niż dotychczas, bez przyjemności i bez złudzeń na przyszłość. Wydawało mi się, że nie odczuwam bólu, tylko zmęczenie i zobojętnienie, jak po wielkim wysiłku, który okazał się daremny. Zresztą także fizycznie byłam zmęczona, wszystkie moje członki były jak połamane, ogarnęło mnie silne pragnienie wypoczynku. Leżąc w ubraniu na łóżku, myślałam jeszcze chaotycznie o moich meblach i o tym, że nigdy już nie zrobię z nich tego użytku, o jakim marzyłam, po czym prawie natychmiast zasnęłam. Spałam może cztery godziny, zachłannie, snem, który wydał mi się smutny i ponury; obudziłam się późnym wieczorem i w otaczających mnie ciemnościach zawołałam głośno matkę. Przybiegła szybko i powiedziała, że nie chciała mnie budzić, widząc, iż śpię tak spokojnie i smacznie.

– Kolacja jest gotowa już od godziny – dodała stojąc i patrząc na mnie. – No co... nie przyjdiesz zjeść?

– Nie chce mi się wstawać – odpowiedziałam zasłaniając ramieniem osłepione światłem oczy. – Czy nie mogłabyś przynieść mi tutaj jedzenia?

Wyszła i wróciła za chwilę, niosąc na tacy moją zwykłą porcję. Postawiła mi tacę na brzegu łóżka, a ja

uniosłam się nieco i, oparta na łokciu, zabrałam się do jedzenia, ale bez apetytu. Matka stała obok i przyglądała mi się. Po kilku kęsach przestałam jeść i znowu się położyłam.

– Co to? Nie jesz? – zapytała matka.

– Nie jestem głodna.

– Źle się czujesz?

– Czuję się doskonale.

– No to daj tacę – mruknęła. Zabrała tacę z łóżka i postawiła ją na stole pod oknem.

– Nie budź mnie jutro rano – powiedziałam po chwili.

– Dlaczego?

– Bo postanowiłam, że nie będę już modelką, to ciężka praca i marny zarobek.

– No i co będzie? – zapytała niespokojnie. – Przecież ja nie mogę cię utrzymywać... nie jesteś już dzieckiem, dużo kosztujesz, a przy tym jest tyle wydatków... wyprawa... – już zaczynała narzekać i utyskiwać; nie odejmując ręki od twarzy, powiedziałam powoli i z wysiłkiem:

– Teraz mnie nie nudź i bądź spokojna, pieniędzy nie zabraknie...

Nastąpiło długie milczenie.

– Czy nic ci nie trzeba? – zapytała w końcu usłużnie i z pokorą, jak służąca, skarcona za zbytnią poufałość, która prosi o wybaczenie.

– Tak... Proszę cię, pomóż mi się rozebrać, jestem taka zmęczona i bardzo mi się chce spać.

Usłuchała, usiadła na łóżku i zdjęła mi najpierw pantofle i pończochy, które ułożyła porządkie na krześle w głowach łóżka. Potem ściągnęła ze mnie sukienkę, halkę i pomogła mi włożyć koszulę. Leżałam przez cały czas z zamkniętymi oczyma, a kiedy znalazłam się pod kołdrą, skuliłam się zakrywając głowę prześcieradłem. Słyszałam, jak matka gasi światło i życzy mi od progu dobrej nocy, ale jej nie odpowiedziałam. Zasnęłam od razu i spałam twardo przez całą noc aż do białego dnia.

Rano powinnam była iść jak zazwyczaj na spotkanie z Ginem, ale gdy tylko ocknąłam się ze snu, od razu zdałam sobie sprawę, że nie chcę go widzieć tak długo, dopóki nie minie mój ból i dopóki nie będę mogła osądzić jego zdrady spokojnie i z pewnej odległości czasu, tak jakby to wszystko nie dotyczyło mnie. Już wtedy, jak zresztą i zawsze potem, bałam się robić i mówić cokolwiek pod wpływem pierwszego odruchu, zwłaszcza jeżeli w grę wchodziły rzeczy przykre, jak właśnie w tym wypadku. Oczywiście nie kochałam już Gina, niemniej jednak nie chciałam go nienawidzić, bo uważałam, że gdybym dała się opanować złym, niegodnym mnie uczuciom, sama wyrządziłabym sobie krzywdę o wiele większą od tej, jaka spotkała mnie z jego strony.

A poza tym tego ranka czułam się wyjątkowo rozleniwiona, leżenie sprawiało mi prawie zmysłową rozkosz i nie byłam już taka smutna jak poprzedniego wieczora. Matka dawno wyszła z domu i wiedziałam, że wróci dopiero koło południa. Wylegiwałam się więc pod kołdrą i była to pierwsza przyjemność, jakiej doznałam na początku nowego okresu w moim życiu, a chciałam, żeby odtąd dostarczało mi ono samych tylko miłych chwil. Dla mnie, która, odkąd sięgnę pamięcią, musiałam wstawać o świcie, owo próżniaczenie w łóżku bez troski o to, że marnotrawię cenny czas, było doprawdy luksusem. Ale odmawiałam sobie tego tak długo, że postanowiłam teraz pozwalać sobie na ten zbytek, ilekroć przyjdzie mi na to ochota, i decyzja ta dotyczyła także wszystkich innych spraw, których moje ubóstwo i moje marzenia o normalnym, rodzinnym życiu kazały mi się dotąd wyrzekać.

Myślałam o tym, że lubię miłość, lubię pieniądze i lubię to, co można mieć za pieniądze; powiedziałam sobie, że od dzisiaj, gdy tylko nadarzy się okazja, nie odtrącę już ani miłości, ani pieniędzy, ani tego, co dają pieniądze. Nie należy jednak sądzić, że myśli te dyktowała złość, rozżalenie czy chęć zemsty. Nie, po prostu upajałam się nimi i z góry już cieszyłam się na wszystko. Każda sytuacja, choćby i najprzykrzejsza ma swoje dobre strony. Straciłam, przynajmniej na razie, okazję wyjścia za mąż i wszelkie wiążące się z tym nadzieje, ale za to odzyskałam wolność. Co prawda, moje główne dążenia na razie się nie zmieniły, ale łatwe życie bardzo mnie pociągało i błyskotliwe pozory tych nowych możliwości tak mnie omamiły, że nie uświadamiałam sobie, ile smutku i rezygnacji kryło się w tych nowych postanowieniach. Słowa matki i Gizeli zaczynały teraz wydawać owoce. Przez cały ten czas, chociaż prowadziłam się cnotliwie, wiedziałam, że gdybym tylko chciała, uroda moja mogłaby dać mi wszystko, czego bym zapragnęła, i po raz pierwszy tego ranka zaczęłam uważać moje ciało za bardzo dogodny środek do zdobycia tego, czego praca i poważny stosunek do życia nie pozwoliły mi osiągnąć.

Dzięki owym myślom, a raczej marzeniom, przedpołudnie minęło mi jak jedna chwila i byłam zdumiona słysząc nagle, że zegar na pobliskim kościele wybił godzinę dwunastą, i widząc promień słońca wpadający przez okna na moje łóżko. To bicie zegara i ten promień słońca, zarówno jak poranna sješta, wydały mi się czymś niezwykle, cennym i luksusowym. W taki sam sposób, w tej samej chwili, leżąc i snując marzenia, słuchały owego bicia zegara i patrzyły na smugę słoneczną bogate damy, mieszkające w takich willach jak chlebobawczyni Gina. I mając ciągle uczucie, że nie jestem już ową biedną i wiecznie zabieganą Adrianą, wstałam i zdjęłam koszulę przed lustrem. Patrzałam na moje nagie odbicie i po raz pierwszy zrozumiałam matkę, mówiącą z dumą malarzowi: „Proszę tylko spojrzeć, co za piersi... co za nogi... co za biodra!” Pomyślałam o Astaricie, który tak pożądał tych piersi, nóg i bioder, że stawał się inny, że zmieniał się jego sposób bycia, a nawet głos, i powiedziałam sobie, że znajdę na pewno wielu innych mężczyzn, którzy chcąc posiąść moje ciało dadzą mi tyle samo, a może i więcej pieniędzy.

Zgodnie z nowymi postanowieniami leniwie zaczęłam się ubierać, wypiałam kawę i wyszłam. Z sąsiedniego baru zatelefonowałam do willi Gina. Dał mi ten numer, ale zaznaczył przy tym ze służalczą ostrożnością, żeby nie telefonować za często, bo jego państwo nie lubią, kiedy służba korzysta z telefonu. Rozmawiałam z jakąś kobietą, zapewne pokojówką, i zaraz potem podszedł Gino. Zapytał szybko, czy czasem nie jestem chora; nie mogłam powstrzymać się od śmiechu, bo poprzez tę troskliwość przebijały owe wzorowe maniery, które były przyczyną, że dałam się oszukać.

– Mam się doskonale – odrzekłam – jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak dobrze.

– A kiedy się spotkamy?

– Kiedy zechcesz – odpowiedziałam – ale chciałabym, żebyśmy zobaczyli się tak jak dawniej, to znaczy w willi, kiedy twoi państwo wyjadą.

Zrozumiał od razu, co mam na myśli, i odrzekł skwapliwie:

– Wyjadą za dziesięć dni, na święta Bożego Narodzenia... ale nie wcześniej.

– Wobec tego – powiedziałam obojętnie – spotkamy się za dziesięć dni.

– Dlaczego? – zapytał zdumiony. – Dlaczego nie możemy zobaczyć się przedtem?

– Bo jestem zajęta.

– Co ci się stało? – dopytywał się podejrzliwym głosem. – Gniewasz się na mnie?

– Nie – odpowiedziałam – gdybym się na ciebie gniewała, nie proponowałabym ci spotkania w willi. – Przyszło mi do głowy, że może jest zazdrosny, a wtedy nie da mi spokoju. – Nie bój się – dodałam – kocham cię jak dawniej, tylko muszę pomóc matce w wykańczeniu dodatkowego zamówienia... z okazji świąt, i mogłabym wyjść z domu dopiero późnym wieczorem, a wtedy ty jesteś zawsze zajęty; wolę poczekać, aż twój państwo wyjadą.

– No, ale rano?

– Rano śpię – odpowiedziałam. – I wiesz co?... Nie jestem już modelką.

– Dlaczego?

– Znudziło mi się... no co, zadowolony jesteś z tego?... Więc zobaczymy się za dziesięć dni, zadzwonię do ciebie.

– Dobrze.

Owo „dobrze” wypowiedział bez przekonania, ale zdążyłam go już poznać i byłam pewna, że pomimo swoich podejrzeń nie pokaże się u mnie przed upływem wyznaczonych dziesięciu dni. Nie należał do najodważniejszych i sama myśl o tym, że mogłam odkryć jego grę, musiała zaniepokoić go i napełnić przerażeniem. Kiedy już odłożyłam słuchawkę, uprzytomniłam sobie, że rozmawiałam z Ginem głosem spokojnym, dobrodusznym i serdecznym, i byłam z siebie zadowolona. Niedługo już także moje uczucie dla niego będzie spokojne, serdeczne i pełne dobroduszości i będę mogła spotkać się z nim bez obawy, że wokół nas i naszych stosunków wytworzy się atmosfera fałszu i nienawiści.

Rozdział 7

Tego samego dnia po południu poszłam odwiedzić Gizelę w odnajmowanym przez nią pokoju. Zazwyczaj o tej porze dopiero wstawała z łóżka i ubierała się przed wyjściem na spotkanie z Riccardem. Usiadłam na nie posłanym łóżku i podczas gdy ona kręciła się po pokoju pogrążonym w półmroku i pełnym porozrzucanych wszędzie fatałaszków, ja opowiadałam jej spokojnie, jak poszłam do Astarity i jak Astarita oznajmił mi, że Gino ma żonę i dziecko. Na tę wiadomość Gizela wydała okrzyk – nie mogłam się połapać, czy radości, czy zdziwienia – i położyła mi obydwie ręce na ramionach, szeroko otwierając oczy:

– Nie... trudno mi uwierzyć... żonę i dziecko... naprawdę?

– Córka ma na imię Maria.

Było oczywiste, że miała wielką ochotę roztrząsać i jak najobszerniej komentować tę nowinę i że moje pogodne zachowanie szczerze ją rozczarowało.

– Żona i córka... i córka ma na imię Maria. Maria, i mówisz to w ten sposób...

– A jak mam mówić?

– I nie martwisz się z tego powodu?

– Owszem, martwię się.

– Ale jak on ci to powiedział? Po prostu: Gino Molinari ma żonę i córkę, tak?

– Tak.

– A ty coś na to odpowiedziała?

– Nic... co miałam odpowiedzieć?

– Ale co czułaś?... Czy nie płakałaś?... Przecież ostatecznie to katastrofa dla ciebie.

– Nie, nie płakałam.

– Nie będziesz już mogła wyjść za mąż za Gina – mówiła z zamyśloną i rozradowaną miną – ale co za historia, co za historia!... Jak on miał sumienie!... I ty, biedaczko, która, można powiedzieć, żyłaś tylko dla niego... Wszyscy mężczyźni to łajdacy...

– Gino – oświadczyłam – nic jeszcze nie wie, że ja wiem o tym.

– Ja na twoim miejscu, moja droga – ciągnęła dalej, podniecona – wygarnęłabym mu wszystko! Zasłużył sobie na to, żeby dostać po mordzie...

– Umówiłam się z nim za dziesięć dni – odpowiedziałam – myślę, że dalej będę z nim żyła.

Cofnęła się i spojrzała na mnie, wytrzeszczając oczy.

– Ale dlaczego? Czy on wciąż ci się podoba? Po tym wszystkim, co cię od niego spotkało?

– Nie – odpowiedziałam i mimo woli ściszyłam głos ze wzruszenia – nie podoba mi się już tak jak dawniej, ale... – zawahałam się i kłamstwo z trudem przeszło mi przez usta: – krzyki i bicie nie zawsze są najlepszym sposobem zemsty...

Wpatrywała się we mnie przez chwilę, mrużąc oczy i cofając się powoli, zupełnie jak malarz przyglądający się swojemu obrazowi. Po czym wykrzyknęła:

– Masz rację, nie pomyślałam o tym, ale wiesz, co ja zrobiłabym na twoim miejscu?... Utrzymałabym go dalej w przeświadczeniu, że nic się nie zmieniło, niechby sobie był spokojny, a potem pewnego pięknego dnia rzuciłabym go.

Nic nie odpowiedziałam. Ona mówiła jeszcze przez chwilę głosem już nie tak podnieconym, ale ożywionym i śpiewnym:

– Nie mogę jeszcze w to uwierzyć... żona i córka, a w stosunku do ciebie na wszystko kręcił nosem i pozwolił ci kupić meble, robić wyprawę... Co za historia, co za historia!

Milczałam w dalszym ciągu.

– Ale ja – zawołała triumfalnie – od razu go przejrzałam! To mi musisz przyznać! Co ci mówiłam? „Ten człowiek nie jest szczery, biedna Adriano”. – Zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie. Pozwoliłam się pocałować, po czym powiedziałam:

– Tak, a co najgorsze, że przez niego wydałam oszczędności matki.

– A twoja matka wie o tym?

– Jeszcze nie.

– O pieniądze możesz się nie martwić – zawołała. – Astarita jest zakochany w tobie do szaleństwa... Wystarczy, żebyś zechciała, a da ci tyle pieniędzy, ile tylko ci będzie potrzeba.

– Nie chcę więcej widzieć Astarity – odpowiedziałam – każdy inny, byle nie Astarita.

Muszę przyznać, że Gizela nie była głupia. Zrozumiała natychmiast, że przynajmniej na razie lepiej nie wspominać o Astaricie, i zrozumiała także, co oznaczały słowa: „Każdy inny”. Udawała przez chwilę, że się nad czymś zastanawia, a potem powiedziała:

– W gruncie rzeczy masz rację, rozumiem cię, ja także, po tym, co się stało, nie miałabym ochoty zadawać się z Astaritą... On chce wszystko robić siłą. Powiedział ci o Ginie, żeby się zemścić. – Zamilkła znowu na moment i dorzuciła uroczystym tonem: – Pozwól, że ja się tym zajmę... Czy chcesz poznać kogoś, kto gotów byłby ci dopomóc?

– Tak.

– Pozwól, że ja się tym zajmę.

– Ale – dodałam – nie chcę już wiązać się z nikim... Chcę być wolna.

– Pozwól, że ja się tym zajmę – powtórzyła po raz trzeci.

– Teraz – powiedziałam – chcę przede wszystkim zwrócić matce pieniądze, kupić sobie trochę rzeczy i chcę – zakończyłam – żeby matka już nie pracowała.

Gizela tymczasem wstała z łóżka i usiadła przed toaletką.

– Ty – rzekła pudrując się w pośpiechu – byłaś zawsze za dobra, Adriano, a widzisz, co się dzieje, kiedy ktoś jest za dobry.

– Czy wiesz, że dzisiaj rano nie poszłam pozować? Postanowiłam, że nie będę już modelką.

– Bardzo słusznie – odpowiedziała – ja także zresztą pozuję już tylko dla... – tu wymieniła nazwisko pewnego malarza – po prostu dlatego, żeby mu zrobić przyjemność... ale potem koniec!

Ogarnęła mnie fala ciepłych uczuć dla Gizeli, bo podniosła mnie na duchu. Pokrzepiająco brzmiało mi w uszach owo „Pozwól, że ja się tym zajmę” i jej serdeczne zapewnienia, że pomoże mi wybrnąć z kłopotów

pieniężnych. Jasno zdawałam sobie sprawę, że jej życzliwy stosunek nie wpływał z przywiązania do mnie, ale – tak samo jak na wycieczce z Astaritą – z chęci, może podświadomej, żebym jak najszybciej stoczyła się do jej poziomu; ale nikt nie robi nic bezinteresownie, a ponieważ w tym wypadku zazdrość Gizeli wychodziła mi na dobre, więc nie widziałam powodu, żeby odrzucać jej pomoc tylko dlatego, że była interesowna.

Gizela bardzo się śpieszyła, bo już była spóźniona na spotkanie z narzeczonym. Wyszliśmy z pokoju i zaczęliśmy schodzić w ciemności po wąskich i stromych schodach tej starej rudery. I tam właśnie, czy dlatego, że się rozgadała, czy też chcąc osłodzić mi gorycz rozczarowania i okazać, że nie jestem osamotniona w nieszczęściu, powiedziała:

– A zresztą wiesz co? Zaczynam podejrzewać, że Riccardo chce mi zrobić taki sam kawał, jaki zrobił ci Gino.

– On też jest żonaty? – zapytałam naiwnie.

– Co to, to nie, ale robi mi różne historie... Mam wrażenie, że chce mnie wykiwać, ale ja mu powiedziałam: „Mój drogi, wcale mi nie jesteś do szczęścia potrzebny, chcesz, to zostań, nie chcesz, to idź sobie gdzie pieprz rośnie”.

Nic nie odpowiedziałam, ale pomyślałam sobie, że jest wielka różnica między mną a nią i między jej stosunkiem do Riccarda a moim do Gina. Gizela nigdy przecież nie miała złudzeń co do poważnych zamiarów Riccarda ani też żadnych skrupułów – o czym wiedziałam – gdy zdradzała go od czasu do czasu. Ja natomiast, przy moim niedoświadczeniu, miałam pewność, że zostanę żoną Gina, i zawsze byłam mu wierna; bo nie można było nazwać zdradą tego ustępstwa, które szantażem wymusił na mnie w Viterbo Astarita. Ale przyszło mi do głowy, że ona mogłaby się obrazić, gdybym jej to wszystko powiedziała, i dlatego milczałam. Przed bramą Gizela wyznaczyła mi spotkanie na jutrzejszy wieczór w cukierni, prosząc, żebym była punktualna, bo prawdopodobnie nie będzie sama, po czym odeszła.

Czułam, że powinnam opowiedzieć matce o wszystkim, co się stało, ale nie miałam odwagi. Matka naprawdę mnie kochała; i w przeciwieństwie do Gizeli, która wiadomość o zdradzie Gina przyjęła z triumfem, widząc w niej potwierdzenie swoich przewidywań, i nawet nie pomyślała o tym, by zamaskować swoją pełną okrucieństwa satysfakcję, matka doznałaby na pewno więcej cierpienia niż radości, widząc, że jej prorocтва się spełniły. W gruncie rzeczy pragnęła tylko mego szczęścia i mało ją obchodziło, w jaki sposób je zdobędę, ale pewna była, że nie da mi go Gino. Po długich wahaniach zdecydowałam, że nic jej nie powiem. Wiedziałam, że nazajutrz wieczorem fakty, a nie słowa, otworzą jej oczy; i chociaż zdawałam sobie sprawę, że będzie to brutalny sposób zawiadomienia jej o wielkiej zmianie, jaka zaszła w moim życiu, jednakże dogadzało mi to, bo wiedziałam, że dzięki temu oszczędzone mi będą wyjaśnienia, uwagi i komentarze, a w każdym razie tego rodzaju wyjaśnienia, uwagi i komentarze, jakimi sypała jak z rękawa Gizela, kiedy wyjawiałam jej podwójną grę Gina. Odczuwałam dziwną niechęć na wspomnienie moich planów małżeńskich i nie chciałam mówić na ten temat ani też dopuścić, żeby mówili o tym inni.

Następnego dnia, aby uniknąć nagabywań matki, która zaczynała już coś podejrzewać, udawałam, że idę na spotkanie z Ginem, i całe popołudnie spędziłam poza domem. Dałam sobie uszyć z okazji ślubu nowy szary kostium, w który miałam się przebrać zaraz po ceremonii kościelnej. Był to mój najelegantszy strój i zawahałam się, zanim go włożyłam. Ale pomyślałam sobie, że przecież kiedyś muszę go zacząć nosić i że ten dzień stanowił właśnie

doskonałą ku temu okazję; a poza tym mężczyźni oceniają kobiety po wyglądzie zewnętrznym i warto było przedstawić się z jak najlepszej strony, żeby zarobić więcej pieniędzy, odłożyłam więc na bok wszelkie skrupuły. Ubrałam się, nie bez pewnego żalu, w mój piękny kostium, który dzisiaj, kiedy go sobie przypomnę, wydaje mi się bardzo brzydki i bardzo skromny, jak zresztą wszystkie moje ówczesne stroje, uczesałam się starannie i umalowałam, ale nie bardziej niż zazwyczaj. Chcę tu dodać, że nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego prawie wszystkie kobiety uprawiające tę co ja profesję szminkują się tak wyzywająco, że wyglądają na ulicy niczym maski karnawałowe. Może dlatego, że przy tym trybie życia, jaki prowadzą, bez warstwy szminki wyglądałyby bardzo mizernie, a może z obawy, że przy mniej krzyzącym makijażu nie zwracałyby uwagi mężczyzn i w nie wystarczający sposób dawałyby im do zrozumienia, że tylko czekają na ich skinienie. Ja natomiast, nawet najbardziej zmęczona i zmordowana, wyglądałam zawsze świeżo z moją smagłą, rumianą cerą i bez przechwałek mogę powiedzieć, że wcale nie muszę uciekać się do pomocy kosmetyków, bo i tak mężczyźni tracą głowę na mój widok, kiedy przechodzę ulicą. Nie wabię ich różem, tuszem czy też sztucznie rozjaśnionymi platynowymi włosami, ale majestatyczną postawą (tak przynajmniej mówiło mi wielu z nich), wyrazem łagodności i pogody, odsłoniętymi w uśmiechu pięknymi zębami i młodzieńczą czupryną gęstych, ciemnych włosów. Kobiety, które farbują sobie włosy i malują twarz, może nie zdają sobie sprawy, że mężczyźni, którzy na pierwszy rzut oka poznają, kim one są, z góry doznają już rozczarowania. Jeśli o mnie idzie, dzięki mojej naturalności i umiarowi, nigdy nie byli pewni, kim naprawdę jestem, i dawałam im w ten sposób złudzenie, że przeżywają romantyczną przygodę, co dogadza im w gruncie rzeczy o wiele bardziej niż samo tylko zaspokojenie zmysłów.

Tak więc ubrana i wyelegantowana poszłam do kina, gdzie przesiedziałam na dwóch seansach. Kiedy stamtąd wyszłam, było już ciemno, pobiegłam więc natychmiast do cukierni, w której Gizela wyznaczyła mi spotkanie. Nie była to jedna z tych skromnych kawiarenek, gdzie widywałyśmy się zazwyczaj z Riccardem, ale wytworny lokal, do którego wchodziłam po raz pierwszy w życiu. Zrozumiałam od razu, że wybrała ona to miejsce w tym celu, aby przydać wartości mojej osobie i podnieść cenę moich usług. Zręczne posunięcia tego rodzaju i inne, które później przytoczę, mogą zapewnić kobiecie mojego pokroju, a przy tym młodej i ładnej (byle tylko umiała inteligentnie to wykorzystać), stały dobrobyt, czyli właśnie osiągnięcie tego celu, do którego wszystkie dążymy. Ale potrafią to tylko niektóre i ja nigdy do nich nie należałam. Pochodziłam z biednej rodziny i owe luksusowe lokale budziły we mnie nieufność; czułam się zawsze nieswojo w tych bogatych restauracjach, cukierniach i barach; onieśmielona oślepiającymi światłami, wstydziłam się robić oko do mężczyzn i uśmiechać się do nich, w obawie, żeby nie zrobić z siebie pośmiewiska. Natomiast zawsze pociągały mnie i wzbudzały mój podziw ulice mego miasta z ich kamienicami, kościołami, pomnikami, sklepami, bramami, które są o tyle piękniejsze i o tyle bardziej zaciszne niż każda sala restauracyjna czy kawiarnia. Lubiłam wychodzić na ulicę o tej porze, kiedy i inni wychodzą na spacer, około zachodu słońca, i przechadzają się powoli wzdłuż oświetlonych wystaw sklepowych patrzeć, jak zmierzch z wolna zasnuwa niebo, tam w górze pomiędzy dachami; lubiłam krążyć w tłumie i nie oglądając się wysłuchiwać miłosnych propozycji, najbardziej nieoczekiwanych, które przechodzący mężczyźni odważają się szepnąć w nagłym porywie zmysłowym; lubiłam chodzić aż do syta tam i z powrotem po jednej ulicy, a choćbym była nawet śmiertelnie zmęczona, wciąż chciwie chłonełam wrażenia, jak na jarmarku, gdzie niespodziankom nie ma końca. Moim salonem, moją restauracją, moją kawiarnią była zawsze ulica; pochodziło to stąd, że urodziłam się biedna, a jak wiadomo, biedacy szukają tanich rozrywek i umilają sobie życie oglądając wystawy sklepów, w których nie

mogą robić zakupów, i pałace, w których nie mogą mieszkać. Z tego samego powodu podobały mi się też kościoły, tak liczne w Rzymie, otwarte dla wszystkich, pełne bogactw dostępnych dla wszystkich, w których między marmurami, złoceniami i wspinałymi ornamentami unosi się odwieczny, stęchły zaduch biedoty, silniejszy czasami od woni kadzideł. Ale bogacze oczywiście nie spacerują po ulicy ani nie chodzą po kościołach, co najwyżej przejeżdżają przez miasto rozparci na poduszkach samochodów, czytając gazetę; i ja, przekładając ulicę nad każde inne miejsce, uniemożliwiłam sobie od razu zawieranie tego rodzaju znajomości, których, zdaniem Gizeli, powinnam była szukać, poświęcając to, co sprawiało mi największą przyjemność. Nigdy nie chciałam wyrzec się tego i dopóki trwała nasza spółka z Gizelą, moje upodobania były tematem ostrej wymiany zdań między nami. Gizela nie lubiła ulicy; piękno kościołów nie przemawiało do niej, a tłum napełniał ją tylko wstrętem i pogardą. Przedkładała ponad wszystko eleganckie restauracje, w których nadskakujący kelnerzy usłużnie uprzedzają każde żądanie gościa, modne dansingi z orkiestrą w liberii i danserami we frakach, najelegantsze kawiarnie, domy gry. W tego rodzaju lokalach stawała się inna, zmieniał się jej sposób bycia, ruchy, a nawet ton głosu. Słowem, starała się zachowywać jak prawdziwa dama, co zresztą stawiała sobie zawsze za punkt honoru i co później, jak się okaże, zdołała w pewnym stopniu osiągnąć. Ale najciekawsze w owym szczęśliwym zrzędzeniu losu było to, że człowieka, który miał zaspokoić te jej ambicje, nie spotkała w żadnym z wytwornych lokali, ale dzięki mnie, właśnie na tej ulicy, której nie mogła ścierpieć.

W cukierni zastałam Gizelę w towarzystwie mężczyzny w średnim wieku; przedstawiła mi go; był handlowcem, nazywał się Giacinti. Kiedy siedział, wyglądał na człowieka normalnego wzrostu, choćby dlatego, że był szeroki w ramionach, i dopiero kiedy wstał, okazało się, że jest to prawie karzeł: muskularne barki sprawiały, że wyglądał na jeszcze niższego, niż był w istocie. Włosy miał siwe, gęste i połyskliwe jak srebro, ostrzyżone na jeża, może dlatego, żeby przydawały mu wzrostu, twarz czerstwą, tryskającą zdrowiem, rysy regularne, i szlachetne, prawie posągowe: piękne, pogodne czoło, duże czarne oczy, prosty nos, usta ładnie wykrojone. Ale antypatyczny, pyszałkowaty wyraz pewności siebie i obłudnej dobroduszości czynił tę twarz, pociągającą i majestatyczną na pierwszy rzut oka, wręcz odpychającą.

Czułam się nieco zdenerwowana, więc przywitałam się i usiadłam bez słowa. Giacinti, jak gdyby moje zjawienie się było czymś zupełnie przypadkowym, a nie gwoździem wieczoru, ciągnął dalej przerwana na chwilę rozmowę z Gizelą.

– Ty, Gizelo, nie możesz na mnie narzekać – i położył rękę na jej kolanie. – Ile to czasu trwał ten nasz... no, powiedzmy, sojusz? Pół roku? No i powiedz z czystym sumieniem, czyś choćby raz w ciągu tych sześciu miesięcy była ze mnie niezadowolona? – Mówił głośno, wyraźnie, powoli, akcentując sylaby, ale było oczywiste, że robi to nie dlatego, żeby go dobrze rozumiano, ale żeby wsłuchiwać się w swój głos i rozkoszować się każdym słowem.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedziała Gizela ze znudzoną miną, spuszczać głowę.

– Niech ci Gizela to wszystko opowie, Adriano – ciągnął dalej Giacinti skandując donośnie każdy wyraz – nie tylko, że nie żałowałam pieniędzy za, nazwijmy to, usługi zawodowe, ale za każdym powrotem z Mediolanu przywoziłam jej jakiś prezent... Czy pamiętasz, jak przywoziłam ci raz flakon francuskich perfum? A innym razem tę kombinezkę z gazy i koronki? Kobiety utrzymują, że mężczyźni nie znają się na damskich fatałaszkach, ale ja jestem wyjątkiem, he, he! – Roześmiał się dyskretnie, pokazując nieskazitelny garnitur zębów, które były tak białe,

że wyglądały na sztuczne.

– Daj mi papierosa – powiedziała dość sucho Gizela.

– Zaraz – odrzekł z pełną ironii galanterią i zapalając zapałkę, mówił dalej: – A pamiętasz tę torebkę, którą ci przywożem ostatnim razem... tą dużą, z wytłaczanej skóry? Wyjątkowo ładna rzecz... Nie nosisz jej już?

– Przecież to jest torebka na rano – odrzekła Gizela.

– Lubię dawać prezenty – mówił zwrócony w swoją stronę – ale nie z pobudek uczuciowych oczywiście – potrząsnął głową, wydmuchując nosem dym – lecz z trzech zrozumiałych powodów: po pierwsze, lubię, żeby mi dziękowano; po drugie, nie ma jak prezent, żeby być dobrze obsłużonym, bo kto raz dostał prezent, zawsze spodziewa się dalszych; po trzecie dlatego, że kobiety zawsze chcą mieć złudzenia, a podarunki dają złudzenia uczucia, nawet wtedy kiedy ono nie istnieje.

– Spryciarz z ciebie – powiedziała obojętnie Gizela, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

Potrząsnął głową ukazując wszystkie zęby w uśmiechu.

– Nie, nie jestem spryciarzem, jestem po prostu mężczyzną, który zna życie i którego doświadczenie coś niecoś nauczyło. Wiem, że z kobietami należy tak i tak postępować, inaczej z klientami, jeszcze inaczej z podwładnymi, i tak dalej. Mój umysł przypomina utrzymane w idealnym porządku biurko. Na przykład: mam na oku kobietę, wyciągam zapiski, sprawdzam, jakie chwytły osiągnęły pożądany efekt, a jakie nie, chowam księgę na miejsce i działam według tych wskazówek... to wszystko. – Zamilkł i znowu się uśmiechnął.

Gizela paliła ze znudzoną miną, ja nie powiedziałam ani słowa.

– I kobiety są mi wdzięczne – rozwodził się dalej – bo rozumieją od razu, że nie rozczarują się co do mnie, że znam ich wymagania, ich słabostki i ich kaprysy, tak samo jak ja wdzięczny jestem klientowi, który w lot mnie pojmuje i nie traci czasu na próżną gadaninę, wie, jednym słowem, czego ja chcę i czego on chce. Na moim biurku w Mediolanie stoi popielniczka z napisem: „Boże, błogosław tym, którzy nie marnują naszego czasu”. – Rzucił papierosa i odsłaniając przegub ręki spozjrzał na zegarek, po czym dodał: – Wydaje mi się, że już czas, żeby pójść coś zjeść.

– Która godzina?

– Ósma... przepraszam, zaraz wrócę. – Wstał od stolika i poszedł w głąb sali. Był naprawdę wyjątkowo niski, szeroki w ramionach, siwe włosy, gęste i proste, jeżyły mu się na głowie. Gizela zgmiotła papierosa na popielniczkę i powiedziała:

– Jest strasznie nudny, ciągle mówi o sobie.

– Zauważyłam to.

– Pozwól mu się wygadać i zawsze mu potakuj – ciągnęła dalej. – Zobaczysz, że będzie ci się ze wszystkiego zwierzał. Ma o sobie Bóg wie jakie pojęcie, ale jest hojny i prezenty naprawdę daje.

– Tak, ale potem je wymawia.

Milczała, ale potrząsnęła głową, jak gdyby chciała powiedzieć: „Na to nie ma rady”. Siedziałyśmy przez chwilę, nie odzywając się do siebie, potem wrócił Giacinti, zapłacił i wyszliśmy z cukierni.

– Gizelo – powiedział na ulicy Giacinti – ten wieczór przeznaczyłem dla Adriany, ale jeżeli chcesz zrobić nam ten zaszczyt i zjeść z nami kolację...

– Nie, nie, dziękuję – szybko odpowiedziała Gizela – mam randkę. – Pożegnała się z Giacintim, ze mną i

odeszła. Kiedy się oddaliła, powiedziałam do Giacinta:

– Gizela jest bardzo miła.

Skrzywił się i odpowiedział:

– Tak sobie... jest doskonale zbudowana.

– Nie uważa pan, że jest sympatyczna?

– Ja – odrzekł idąc obok i przyciskając mocno moje ramię, wysoko, prawie pod pachą – nigdy od nikogo nie wymagam, żeby był sympatyczny, ale żeby to, co robi, robił dobrze. Na przykład od stenotypistki nie wymagam, żeby była sympatyczna, ale żeby szybko i bezbłędnie pisała na maszynie, tak więc i od kobiety takiej jak Gizela nie wymagam, żeby była sympatyczna, ale żeby znała swój fach, czyli żeby umożliwiła mi przyjemne spędzenie tej godziny czy dwóch, które jej poświęcam, a Gizela kiepsko wywiązuje się ze swego zadania.

– Dlaczego?

– Dlatego, że zawsze myśli o pieniądzach... i zawsze się boi, że ich nie dostanie albo dostanie za mało. Jasne, że nie wymagam od niej, żeby mnie kochała, ale należy do jej profesji, żeby zachowywała się tak, jak gdyby mnie kochała, i dawała mi to złudzenie... za to jej płacę. A tymczasem Gizela zbyt wyraźnie daje do zrozumienia, że nie robi tego bezinteresownie, nie da nawet człowiekowi odsapnąć i już się targuje... Ech, do diabła!

Doszliśmy do restauracji hałaśliwego, przepelnionego lokalu, w którym wszyscy goście, tak mi się przynajmniej wydawało, musieli być z tej samej branży co Giacinti: handlowcy, agenci giełdowi, kupcy, przejezdni przemysłowcy. Giacinti wszedł pierwszy i oddając szatniarzowi płaszcz i kapelusz zapytał:

– Czy mój stolik jest wolny?

– Tak jest, panie Giacinti.

Był to stolik w niszy pod oknem. Giacinti usiadł zacierając ręce i zapytał:

– Lubisz dobrze zjeść?

– Chyba tak – odpowiedziałam zmieszana.

– Dobrze, to mi się podoba, lubię mieć kompana do jedzenia. Gizela na przykład nigdy nie chciała nic jeść. Mówiła, że boi się utyć. Co za głupota! Wszystko trzeba robić w odpowiednim czasie... przy stole się je. – Miał wielką urazę do Gizeli.

– Ale to prawda – odrzekłam nieśmiało – że nie można jeść za dużo, bo się tyje, a niektóre kobiety nie chcą utyć.

– Czy ty także do nich należysz?

– Ja nie... chociaż mówią, że jestem trochę za tęga.

– Nie wierz im: to wszystko przez zazdrość! Masz doskonałą figurę, mówię ci to ja, który znam się na tym.

– I jakby chcąc dodać mi otuchy, po ojcowsku poklepał mnie po ręce.

Podszedł kelner i Giacinti zwrócił się do niego:

– Przede wszystkim proszę zabrać te kwiaty, przeszkadzają mi... a potem to samo, co zawsze... tylko szybko. Po czym powiedział do mnie:

– Zna mnie i wie, co lubię; możesz mieć do niego zaufanie, na pewno nie będziesz narzekać.

Istotnie nie mogłam narzekać. Wszystkie podane nam potrawy nie były może wykwintne, ale znakomite i bardzo różnorodne. Giacinti miał nadzwyczajny apetyt i jadł zachłannie, ze spuszczoną głową, nie wypuszczając ani

na chwilę z ręki noża i widelca; nie patrzył na mnie, nie odzywał się ani słowem, jak gdyby znajdował się sam w restauracji. Był istotnie bez reszty pochłonięty jedzeniem i w swoim zapamiętaniu zatracił nawet pełne opanowania manieri, którymi tak się szczylił; wykonywał po kilka czynności na raz, jak gdyby się obawiał, że nie zdąży najeść się do syta. Pakował do ust kawał mięsa, zagryzał je chlebem, który łamał lewą ręką, jednocześnie prawą ręką dolewał sobie wina i wypijał je szybko, nim jeszcze zdążył połknąć to, co miał już w ustach. Mlaskał przy tym wargami, przewracał oczami i od czasu do czasu potrząsał głową, jak dławiący się kot. Ja natomiast, co rzadko mi się zdarzało, nie miałam apetytu. Po raz pierwszy w życiu zdecydowałam się na stosunek z mężczyzną, którego nie kochałam, a nawet wcale nie znałam, i przyglądałam mu się uważnie, badając własne uczucia i starając się wyobrazić sobie, jak wybrnę z tej sytuacji. Później nie zwracałam już uwagi na powierzchowność mężczyzn, z którymi się umawiałam; może dlatego, że z konieczności nauczyłam się bardzo szybko oceniać na pierwszy rzut oka, czy jest w ich wyglądzie coś miłego lub pociągającego, co by wystarczyło, żeby intymność uczynić znośną. Ale tego wieczoru owa spostrzegawczość, właściwa mojej profesji, a polegająca na tym, żeby natychmiast znaleźć w partnerze jakąś dodatnią cechę, która może uczynić sprzedajną miłość mniej odpychającą, była jeszcze dla mnie czymś nie znanym i szukałam jej instynktownie i podświadomie. Było to już bardzo wiele, bo ostatecznie, miłość jest przede wszystkim zespoleniem czysto fizycznym; ale mnie to nie wystarczało, bo nigdy nie umiałam, nie mówię już kochać, ale tolerować mężczyzny tylko za jego cielesne zalety. Kolacja dobiegła końca; Giacinti nasycił swój wilczy apetyt, po jedzeniu odbiło mu się kilka razy. Zaczął znowu ze mną rozmawiać. Stwierdziłam, że nie było w nim nic takiego, a przynajmniej ja nie umiałam znaleźć nic, co mogłoby go uczynić nieco sympatyczniejszym w moich oczach. Nie tylko, że mówił stale o sobie, o czym wspomniała mi Gizela, ale mówił to w sposób bardzo nieprzyjemny, pyszałkowaty i nudny, opowiadając przeważnie rzeczy, które bynajmniej nie przedstawiały go w dobrym świetle i potwierdzały w pełni mój pierwszy odruch wstrętu. Nie było w nim nic, nic, co by mi się mogło podobać; i wszystkie cechy, które on przedstawiał jako swoje zalety, chwalać się nimi i wynosząc je pod niebiosa, mnie wydawały się obrzydliwymi przywarami. Później także, co prawda dość rzadko, spotykałam mężczyzn bez żadnej wartości, którzy nie mieli w sobie nic, co mogłoby wzbudzić choćby cień sympatii; i zawsze zdumiewałam się, że takie typy w ogóle istnieją; zadawałam sobie pytanie, czy to czasem nie moja wina, że nie potrafię od razu odkryć w nich jakichś zalet, które przecież muszą posiadać. Z czasem oswoiłam się z takim przykrym towarzystwem; nauczyłam się udawać, że bawię się doskonale, żartować, jednym słowem, być taką, jaką kompani moi mnie chcieli widzieć i za jaką mnie uważali. Ale owego wieczoru to pierwsze odkrycie wzbudziło we mnie smutne refleksje. Giacinti dłużył wykałaczką w zębach, a ja mówiłam sobie w duchu, że zawód, który wybrałam, jest bardzo ciężki, że trudno mi będzie udawać miłosne uniesienie w stosunku do mężczyzn, którzy wzbudzają we mnie, jak właśnie Giacinti, wręcz przeciwne uczucia; myślałam o tym, że nie ma takiej sumy pieniędzy, która byłaby tego warta; że w takich wypadkach niemożliwością jest zachować się inaczej niż Gizela, że musi się myśleć tylko o pieniądzech, wcale tego nie ukrywając. Przyszło mi także do głowy, że dziś wieczór zaprowadzę tego antypatycznego Giacintiego do mego biednego pokoju, którego przeznaczenie miało być tak odmienne. Mówiłam sobie, że nie mam szczęścia i że widocznie los chciał, żebym już za pierwszym razem pozbyła się wszelkich złudzeń, bo zesłał mi Giacintiego, a nie jakiegoś młodego chłopca poszukującego przygód albo przyzwoitego bezpretensjonalnego mężczyznę, których tylu jest na świecie. Słowem, obecność Giacintiego w tym umeblowanym z takim pietyzmem pokoju przypieczętowała miała moje wyrzeczenie się marzeń o uczciwym normalnym życiu.

On mówił bez przerwy; ale nie był aż tak gruboskórny, żeby nie zauważyć mojego przygnębienia.

– No co, laleczko – zapytał nagle – smutno ci?

– Nie, nie – odpowiedziałam szybko, otrząsając się z odrętwienia i, wzruszona tym pierwszym cieplejszym słowem, poczułam prawie ochotę, żeby zacząć mu się zwierzać i opowiedzieć z kolei coś o moich sprawach, skoro pozwoliłam mu tak długo mówić o sobie.

– No, to dobrze – ciągnął dalej – bo smutków nie lubię, a jeżeli nawet jesteś smutna, nie będę się dopytywał, dlaczego; widocznie masz swoje powody, nie wdaję się w dyskusję, ale kiedy spotykasz się ze mną, zostawiaj swoje smutki w domu. Nie chcę nic wiedzieć o twoich sprawach, nie obchodzi mnie, kim jesteś ani jakie jest twoje życie, ani cała reszta. Pewne rzeczy mnie nie interesują. My oboje zawarliśmy kontrakt, chociaż nie na piśmie: ja zobowiązuje się zapłacić ci pewną sumę pieniędzy, a ty w zamian zobowiązujesz się uprzyjemnić mi wieczór; reszta nie ma znaczenia.

Odpowiedziałam mu, nie ujawniając w najmniejszym stopniu tego, co działo się we mnie:

– Ale ja naprawdę nie jestem smutna, tylko tutaj jest tyle dymu i taki hałas! Jestem trochę oszołomiona.

– Pójdziemy już? – zapytał skwapliwie. Przynaknęłam, zawołał więc zaraz kelnera, zapłacił i wyszliśmy.

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, spytał mnie:

– Idziemy do hotelu?

– Nie, nie – zaprotestowałam gorączkowo. Przeraziła mnie perspektywa pokazywania dokumentów, a zresztą zdecydowałam już inaczej – Pójdziemy do mnie.

Wsiedliśmy do taksówki, podałam szoferowi adres. Zaledwie taksówka ruszyła, Giacinti rzucił się na mnie, obmacując mnie i raz po raz całując szyję. Po jego oddechu poznałam, że za dużo wypił i po prostu jest pijany. Powtarzał co chwila „laleczko”, jakbym była małą dziewczynką; wyraz ten w jego ustach irytował mnie, wydawał mi się śmieszny i nie na miejscu. Przez chwilę nie stawiałam oporu, po czym wskazując na szofera powiedziałam:

– Może lepiej poczekać, aż będziemy w domu?

Nic nie odpowiedział, tylko opadł ciężko na oparcie samochodu, purpurowy i zmieniony na twarzy, jakby dostał nagle jakiegoś ataku. Po chwili mruknął pogardliwie:

– Płacę mu za to, żeby zawiózł mnie na wskazane miejsce, a nie za to, żeby interesował się tym, co dzieje się w taksówce. – Miał po prostu manię na tym punkcie, że pieniądze muszą każdemu zamknąć usta, a zwłaszcza jego pieniądze. Nic nie odpowiedziałam i przez resztę drogi siedzieliśmy nieruchomo, w pewnej odległości od siebie. Blask latarni miejskich wpadał przez szyby, oświetlając nam przez chwilę twarze i ręce, i potem nikt; wydawało mi się dziwne, że siedzę u boku tego mężczyzny, o którego istnieniu przed godziną nic nie wiedziałam, i jadę z nim do siebie, żeby mu się oddać, jak upragnionemu kochankowi. Na tych rozmyślaniach droga minęła mi szybko. Byłam prawie zdumiona, kiedy taksówka zatrzymała się w znajomej alei przed naszą bramą.

Na schodach, po ciemku, powiedziałam do Giacintiego:

– Proszę cię, żebyś nie robił hałasu wchodząc do mieszkania, mieszkam razem z matką.

– Bądź spokojna, laleczko – odpowiedział.

Kiedy doszliśmy do drzwi, otworzyłam je kluczem; Giacinti stał za mną; wzięłam go za rękę i nie zapalając światła zaprowadziłam przez przedpokój do drzwi mojego pokoju, które znajdowały się po lewej stronie od wejścia. Przepuściłam go przodem, zapaliłam lampę przy łóżku i obrzuciłam moje meble takim spojrzeniem, jakbym się z

nimi żegnała. Giacinti, który bał się zapewne, że wprowadzę go do jakiejś niechlujnej, zastawionej gratami nory, westchnął z ulgą na widok świeżo umeblowanego, czystego pokoju i zdjął płaszcz rzucając go na krzesło. Powiedziałam mu, żeby zaczekał chwilę, i wyszłam.

Poszłam prosto do jadalni, gdzie zastałam matkę szyjącą przy stole. Na mój widok odłożyła natychmiast robotę, chcąc wstać i jak zazwyczaj podać mi kolację. Ale ja powiedziałam:

– Nie, nie wstawaj, bo ja już jadłam, a zresztą u mnie w pokoju jest ktoś... Nie wchodzi tam pod żadnym pozorem.

– Ktoś? – zapytała z ogłupiałym wyrazem twarzy.

– Tak, ktoś – odrzekłam szybko. – Ale nie Gino... pewien pan. – I wyszłam nie czekając na dalsze pytania.

Wróciłam do siebie i zamknęłam drzwi na klucz. Giacinti, zniecierpliwiony i czerwony na twarzy, podszedł do mnie i objął mnie w pół. Był znacznie niższy ode mnie i żeby dosięgnąć ustami mojej twarzy, przegiął mnie do tyłu przez poręcz łóżka.

Starałam się uniknąć pocałunków w usta i odwracając twarz, niby ze wstydu, to znów odpychając go niby w porywie namiętności, udało mi się to zrobić. Giacinti traktował miłość tak samo jak jedzenie: zachłannie, bezwzględnie, bez odrobiny delikatności, spieszenie i po omacku, jak gdyby w obawie, że mógłby czegoś nie wykorzystać, urzeczony moim ciałem, jak przedtem w restauracji jedzeniem. Kiedy mnie objął, zdawało się, że chce mnie rozebrać od razu, na stojąco. Obnażył mi ręce i ramiona, a potem oszołomiony moją nagością, znowu zaczął mnie całować. Bałam się, żeby tymi brutalnymi ruchami nie podarł mi sukienki, ale nie odepchnęłam go, tylko powiedziałam:

– No, rozbieraj się!

Puścił mnie od razu, usiadł na łóżku i zaczął się rozbierać, ja w drugim kącie pokoju zrobiłam to samo.

– Ale twoja matka wie o tym? – zapytał po chwili.

– Tak.

– I co na to mówi?

– Nic.

– I nie potępia cię za to?

Nie ulegało wątpliwości, że te informacje miały stanowić jeszcze jedną pikantną przyprawę do podniecającej przygody. Jest to rys charakteryzujący prawie wszystkich mężczyzn; i nieliczni tylko umieją oprzeć się pokusie, żeby nie łączyć przyjemności cielesnej z zainteresowaniami nie mającymi z tym nic wspólnego, czy też po prostu z litością.

– Ani mnie potępia, ani pochwała – odpowiedziałam sucho, wstając i ściągając spódnicę przez głowę – jestem niezależna i wolno mi robić, co mi się podoba. – Kiedy rozebrałam się do naga, ułożyłam porządnie rzeczy na krzeselku, po czym wyciągnęłam się na łóżku, podkładając jedną rękę pod głowę, a drugą zasłaniając łono. Sama nie wiem, czemu pomyślałam sobie, że leżę w takiej samej pozycji jak pogańska bogini na kolorowej reprodukcji, którą gruby malarz pokazywał matce i która była do mnie podobna; i poczułam nagle dotkliwy ból na myśl, jaka zmiana zaszła od tego czasu w moim życiu. Giacinti musiał być zdumiony widokiem posągowych kształtów mojego ciała, których, jak już wspominałam, trudno się było domyślić, kiedy byłam w sukience; przestał się rozbierać i zdumiony wpatrywał się we mnie z na w pół otwartymi ustami, wybałuszonymi oczyma.

– Pośpiesz się – powiedziałam – zimno mi.

Był już rozebrany i rzucił się na mnie. O jego stosunku do miłości już mówiłam; był on taki jak i on sam i wydaje mi się, że wyczerpałam już ten temat. Wystarczy, jeżeli dodam, że był to jeden z tych mężczyzn, którzy uważają, że skoro płacą, mogą wymagać, i nie wyrzekają się niczego, co im się ich zdaniem należy, bo w przeciwnym razie uważaliby, że ich oszukano. Jak już wspomniałam, był zapamiętały w miłości, ale nie do tego stopnia, żeby choć na chwilę zapomnieć o swoich pieniądzach i o tym, żeby z nich wyciągnąć jak największy zysk. Chciał on, z czego szybko zdałam sobie sprawę, możliwie jak najbardziej przedłużyć nasze spotkanie, aby mieć całą pełnię należnej mu przyjemności. W tym celu uwijał się skrzętnie wokół mego ciała niczym wokół instrumentu, który wymaga dłuższego przygotowania, zanim się na nim zagra, przy czym ode mnie żądał tego samego. Ale ja, choć byłam mu posłuszna, szybko zaczęłam odczuwać znudzenie i obserwowałam go chłodno, jak gdyby to jego rzucające się w oczy wyrachowanie oddaliło mnie na wielki dystans i jak gdybym z bardzo daleka oglądała przez szybę niechęci i wstrętu nie tylko jego, ale i siebie. Było to przeciwieństwem owego uczucia sympatii, którego szukałam instynktownie na początku wieczoru; ogarnął mnie nagle wstyd i wyrzuty sumienia, przymknęłam oczy.

Zmęczył się na koniec i leżeliśmy na łóżku obok siebie. Odezwał się chełpliwie:

– Musisz przyznać, że chociaż mam już swoje lata, kochanek ze mnie wyjątkowy.

– Tak, to prawda – odpowiedziałam obojętnie.

– Mówią mi to wszystkie kobiety – ciągnął dalej. – A czy wiesz, co ja o tym myślę? Że w małej beczce dobre wino... Te wielkie chłopiska, dwa razy takie jak ja, to wszystko nic niewarte.

Zaczynało mi być zimno, usiadłam więc i nakryłam kołdrą nas obydwój. On wziął to za objaw czułości i powiedział:

– Jak to miło z twojej strony... a teraz zdrzemnę się chwilkę. – Przysunął się do mnie i rzeczywiście zasnął.

Leżałam na wznak, bez ruchu, z jego siwą głową na moich piersiach. Kołdra okrywała nas do pasa i patrząc na jego owłosiony tors, pełen zmarszczek, zdradzających podeszły wiek, znowu poczułam, że jest to człowiek całkiem mi obcy. Ale on spał; teraz nie mówił, nie patrzył na mnie, nie gestykulował; i można powiedzieć, że we śnie z tego bardzo przykrego człowieka pozostawało to, co było w nim najlepsze; był po prostu mężczyzną, jednym z wielu, bez zawodu, bez nazwiska, bez wad i zalet; spoczywało przy mnie tylko, ciało człowieka, którego klatka piersiowa miarowo poruszała się przy oddychaniu. Wyda się to dziwne, ale gdy patrzyłam na niego, bezbronnego we śnie, ogarnęła mnie prawie tklivość; uświadomiłam sobie to, gdy zauważyłam, że usiłuję leżeć prawie nieruchomo, aby go nie zbudzić. Było to owo uczucie sympatii, jakiego na próżno szukałam do tej pory i które obudziło się we mnie dopiero na widok jego siwej głowy, spoczywającej na mojej młodej piersi. Pocieszyło mnie to nieco i wydawało mi się nawet, że nie jest mi już tak zimno. Co więcej, doznałam przez chwilę jakby miłosnego uniesienia i łzy zakreśliły mi się w oczach. Wywołał je – jak zresztą wywołuje po dziś dzień – nadmiar przepełniających mnie uczuć, szukających jakiegoś ujścia, a że nie miałam bliskiego człowieka, przelewałam je na byle kogo.

Po mniej więcej dwudziestu minutach Giacinti obudził się i zapytał:

– Czy długo spałem?

– Nie.

– Doskonale się czuję – oświadczył wstając z łóżka i zacierając ręce – ach, jak się świetnie czuję, ubyło mi co najmniej dwadzieścia lat. – Zaczął się ubierać, wciąż głośno wyrażając zadowolenie. Ja także ubierałam się, ale w

milczeniu. Kiedy był gotów, zapytał:

- Chciałbym się znowu spotkać z tobą, laleczko... Jak to urządzimy?
- Zadzwoń do Gizeli – odpowiedziałam – widuję się z nią codziennie.
- Czy zawsze jesteś wolna?
- Zawsze.
- Niech żyje wolność! A ile ci się należy? – zapytał dotykając portfela.
- Pozostawiam to do twego uznania – odrzekłam, po czym dodałam szczerze. – Jeżeli mi dobrze zapłacisz,

będzie to dobry uczynek, bo bardzo potrzebuje pieniędzy...

On odpałił z miejsca:

– Jeżeli ci dobrze zapłacę, to nie dlatego, żeby zrobić dobry uczynek... z zasady nie robię nigdy dobrych uczynków... Zrobię to dlatego, że jesteś śliczną dziewczyną i że dzięki tobie spędziłem miły wieczór.

– Jak chcesz – odpowiedziałam wzruszając ramionami.

– Wszystko ma swoją wartość i za wszystko trzeba płacić zależnie od wartości – ciągnął dalej, wyjmując pieniądze z portfela – dobre uczynki nie istnieją... Ty dostarczyłaś mi pewnych rzeczy w wyższym gatunku, niżby dostarczyła mi, przypuśćmy, Gizela, więc słuszne jest, żebyś dostała więcej od Gizeli. Dobry uczynek nie ma z tym nic wspólnego! I dam ci jeszcze jedną radę: nie mów nigdy: „do twego uznania”... tak może mówić komiwojażer. Kiedy słyszę „do pańskiego uznania”, mam zawsze ochotę zapłacić mniej. – Zrobił porozumiewawczy grymas i podał mi pieniądze.

Gizela uprzedziła mnie już, że Giacinti ma szeroki gest, istotnie otrzymana suma przewyższała moje oczekiwania. Gdy brałam te pieniądze, znowu obudziło się we mnie owo silne uczucie wspólnoty i pobudliwości zmysłowej, jakiego doznałam już podczas wycieczki do Viterbo, przyjmując pieniądze od Astarity. I pomyślałam, że to właśnie wskazywało na moje powołanie, na to, że jestem jak stworzona do tego zawodu, pomimo że całym sercem rwałam się do całkiem innego życia.

– Dziękuję – powiedziałam i w porywie wdzięczności serdecznie pocałowałam go w policzek.

– To ja tobie dziękuję – odrzekł gotów do wyjścia. Wzięłam go za rękę i poprowadziłam przez ciemny przedpokój. Zamknęłam drzwi od mego pokoju i dopóki nie otworzyłam drzwi na klatkę schodową, posuwaliśmy się naprzód w zupełnych ciemnościach. I wówczas, wiedzona dziwną intuicją, wyczułam, że matka siedzi ukryta w jakimś zakamarku przedpokoju. Musiała schować się za drzwi albo w przeciwległym kącie, między kredensem a ścianą, i teraz czekała na wyjście mojego gościa. I przypomniało mi się nagle, co zaszło owej nocy, kiedy późno wróciłam do domu, po spotkaniu z Ginem w willi jego chlebobawców. Zdenerwowałam się na myśl, że kiedy Giacinti wyjdzie, ona rzuci się na mnie tak jak wtedy, schwyci mnie za włosy, przewróci na kanapę, będzie mnie biła po twarzy. Czułam przez skórę jej obecność, wydawało mi się prawie, że ją widzę; nie mogłam oprzeć się niemiłemu wrażeniu, że już, już wyciąga rękę za moimi plecami, gotowa wpić mi się we włosy. Trzymałam za rękę Giacintiego, a w drugiej ścisłałam banknoty. Pomyślałam sobie, że skoro tylko matka mnie zaatakuje, oddam jej te pieniądze i w ten sposób, bez słowa, przypomnę jej, że właśnie ona sama pchała mnie zawsze na tę drogę; wiedziałam też, że tym gestem od razu zamknę jej usta, bo chciwość była dominującym rysem jej charakteru. Otworzyłam drzwi.

– A więc do widzenia! Zatelefonuję do Gizeli – powiedział Giacinti.

Widziałam, jak schodzi ze schodów, szeroki w ramionach, z siwymi sterczącymi na głowie włosami, i nie

ogłądając się macha ręką na pożegnanie; zatrzasnęłam drzwi. I natychmiast, tak jak przewidziałam, matka przyskoczyła do mnie w ciemnościach. Ale nie chwyciła mnie za włosy, czego się tak bałam, wprost przeciwnie, zaczęła ścisnąć mnie, ale tak niezdarnie, że początkowo nie mogłam się zorientować, o co chodzi. Zgodnie z moim planem poszukałam ręką jej ręki i wcisnęłam jej w dłoń pieniądze. Ale ona odepchnęła mnie i banknoty rozsypały się po podłodze; znalazłam je tam następnego ranka, kiedy wyszłam z mego pokoju. Wszystko to stało się w jednej chwili i żadna z nas nie przemówiła słowa.

Weszliśmy do stołowego pokoju; usiadłam przy stole, a matka naprzeciw, nie spuszczać ze mnie oka. Była wyraźnie przejęta, a ja czułam się nieswojo.

– Czy wiesz – powiedziała nagle – że kiedy byłeś tam, ja w pewnej chwili zaczęłam się bać.

– Bać? Czego? – zapytałam.

– Nie wiem – rzekła. – Przede wszystkim poczułam się bardzo samotna, zrobiło mi się zimno, a potem czułam się, jakbym przestała być sobą... Wszystko kołowało mi w oczach, jakbym się upiła, wszystko wydawało mi się jakieś dziwne, myślałam: to jest stół, a to krzesło, a to maszyna do szycia, ale wcale nie byłam przekonana, że to rzeczywiście jest stół, krzesło, maszyna do szycia... i wydawało mi się także, że ja to już nie jestem ja... Powtarzałam sobie: „Jestem starą kobietą, która zarabia szyciem, mam córkę, której na imię Adriana”, ale wcale nie byłam o tym przekonana. Żeby się upewnić, zaczęłam myśleć o sobie, kiedy byłam małą dziewczynką, kiedy byłam już w twoim wieku, kiedy wyszłam za męża, kiedy ty się urodziłeś... i złękłam się, że to wszystko minęło jak jeden dzień i nagle z tej młodej dziewczyny zrobiła się stara kobieta, a ja wcale tego nie zauważyłam. I kiedy umrę – dokończyła z wysiłkiem – to będzie tak, jak gdyby w ogóle nigdy nie było mnie na świecie.

– Dlaczego myślisz o takich rzeczach? – powiedziałam powoli. – Jesteś jeszcze młoda, co tu myśleć o śmierci!

Wydawało się, że wcale mnie nie słyszy; mówiła dalej z uniesieniem, które sprawiało mi przykrość i wyglądało na nieszczerze.

– Mówię ci, że się bałam; i pomyślałam tak: „A jeżeli ktoś nie ma już ochoty do życia, czy musi mimo to żyć dalej, na siłę?”... Nie, nie mówię o samobójstwie, do samobójstwa potrzeba odwagi, ale nie chcę żyć dalej, tak jak nie chce się jeść czy chodzić... A więc przysięgam ci na duszę twojego ojca, chciałabym już nie żyć!

Miała oczy pełne łez, drżały jej usta. Rozpłakałam się i ja, chociaż sama nie wiedziałam dlaczego, wstałam, objęłam ją i poszliśmy obydwie usiąść na kanapie, w głębi pokoju. Siedziałyśmy tam przez chwilę, płacząc i tuląc się do siebie. Byłam jak odurzona ze zmęczenia, a mętne, nieskładne wypowiedzi matki oszołomiły mnie do reszty. Ale opanowałam się pierwsza, bo ostatecznie płakałam tylko przez współczucie dla niej. Nad sobą dawno przestałam wylewać łzy.

– No już, już – zaczęłam mówić, klepiąc ją po ramieniu.

– Mówię ci, Adriano, że chciałabym już nie żyć – powtórzyła z płaczem. Klepałam ją po ramieniu i, nie odzywając się ani słowem, pozwoliłam jej wypłakać się do woli. A przez ten czas myślałam, że to, co powiedziała, było wyrazem wyrzutów sumienia. Stale prawiła mi kazania, że powinnam iść za przykładem Gizeli i sprzedawać się za możliwie najwyższą cenę, to wszystko prawda. Ale między tym, co się mówi, a tym, co się robi, jest wielka różnica. To, że widziała na własne oczy, jak przyprowadziłam do domu mężczyznę, i dotknęła tych pieniędzy, które usiłowałam wcisnąć jej do ręki, musiało być dla niej po prostu ciosem. Zobaczyła owoce swoich nauk i nie mogła się

oprzeć uczuciu zgrozy. Ale zarazem było w niej coś takiego, co nie pozwalało jej przyznać się, że nie miała racji, a może czuła nawet gorzką satysfakcję, że na wyznanie winy w tej chwili jest już za późno. Tak więc zamiast powiedzieć mi po prostu: „Postąpiłaś źle... nie rób tego więcej” – wołała mówić o sprawach nie mających ze mną nic wspólnego, o swoim życiu i o tym, że pragnęłyby umrzeć. Zaobserwowałam już od dawna, że kiedy ludzie zaczynają postępować niezgodnie ze swoim sumieniem, usiłują wybielić się i podnieść na duchu, rozprawiając na tematy najbardziej wzniosłe, przedstawiając się innym i sobie samym jako szlachetni i bezinteresowni, dalecy o setki mil od tego, co robią, lub, jak w wypadku matki, od tego, co pozwalają robić. Tyle tylko, że większość ich czyni to z całkowitą świadomością, natomiast matka, biedactwo, zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy, działała pod wpływem instynktu i okoliczności.

Ale jej słowa o zupełnym braku chęci do życia wydawały mi się słuszne. Myślałam o tym, że i mnie zabrakło chęci do życia, kiedy dowiedziałam się o zdradzie Gina. Żyło tylko moje ciało, zupełnie niezależnie od mojej woli. Żyły te piersi, nogi, biodra, wzbudzające taki zachwyt u mężczyzn; żyły moje zmysły, pożądając miłości fizycznej, chociaż ja wcale już jej nie pragnęłam. Niewiele pomóc mogło, że kładąc się wieczorem do łóżka zdecydowana byłam nie obudzić się już więcej; kiedy spałam, ciało moje dalej żyło, krew krążyła mi w żyłach, żołądek i kiszki pracowały, rosły wygolone pod pachami włosy, rosły paznokcie, skóra wilgotniała od potu, organizm pokrzepiał się snem; a rano, bez udziału mojej woli, podnosiły się moje powieki i, wbrew chęci, oczy znowu patrzeć musiały na tę rzeczywistość, która stała się nienawistna; tak więc stwierdzałam, że pomimo pragnienia śmierci żyję i muszę żyć dalej. Zrozumiałam, że trzeba przystosować się do tego życia i nie myśleć o tamtych sprawach.

Ale matce nie pisałam na ten temat ani słowa, bo zdawałam sobie sprawę, że były to myśli nie mniej tragiczne od jej własnych i nie mogły jej pocieszyć. Toteż kiedy wydało mi się, że przestała już płakać, odsunęłam się nieco od niej i powiedziałam: – Zachciało mi się jeść. – Rzeczywiście tak było, bo w restauracji, przy moim zdenerwowaniu, prawie nie tknęłam jedzenia.

– Zostawiłam ci twoją kolację – odrzekła matka, bardzo zadowolona, że może mi usłużyć i zrobić to, co robiła każdego wieczora – pójdę ci ją odgrzać. – Wyszła, zostałam sama.

Usiadłam przy stole, na moim zwykłym miejscu, czekając, aż matka wróci. Czułam teraz zupełną pustkę w głowie i z tego wszystkiego, co się stało, pozostał mi tylko słodkawy zapach miłości na palcach i słony ślad łez na policzkach. Siedziałam bez ruchu i obserwowałam cienie, jakie rzucała lampa na podłużne, nagie ściany pokoju. Potem weszła matka niosąc na talerzu mięso z jarzynami.

– Nie przyniosłam ci zupy, bo nie jest bardzo dobra... zresztą zostało jej niewiele.

– Nie szkodzi, to mi wystarczy.

Napełniła mi kieliszek po brzegi winem i jak zwykle, gdy jadłam, stała przy mnie nieruchomo, czekając na rozkazy.

– Czy dobry befsztyk? – troskliwie zapytała po chwili.

– Tak, dobry.

– Specjalnie prosiłam rzeźnika, żeby mi wybrał miękki kawałek. – Przyszła już całkiem do siebie i wszystko odbywało się tak jak każdego wieczora. Jadłam powoli i kiedy skończyłam, ziewnęłam i przeciągnęłam się prostując ramiona. Nagle poczułam się dobrze, gest ten sprawił mi przyjemność, bo uświadomiłam sobie, że ciało

moje jest młode, silne, pełne życia.

– Strasznie mi się chce spać – powiedziałam.

– Poczekaj chwileczkę, pójde ci pościła łóżko – powiedziała usłużnie matka i chciała wyjść z pokoju. Ale ja zatrzymałam ją:

– Nie... nie... sama sobie pościelę.

Wstałam od stołu, a matka zabrała pusty talerz.

– Daj mi się wyspać jutro – powiedziałam – nie budź mnie.

Matka skwapliwie przytaknęła, pocałowała mnie na dobranoc i poszła do swego pokoju. Łóżko było rozgrzebane, tak jak zostawiliśmy je z Giacintim. Strzepnęłam tylko poduszkę i podciągnęłam wyżej kołdrę, rozebrałam się i położyłam. Leżałam przez chwilę po ciemku z otwartymi szeroko oczyma, nie myśląc o niczym. – Jestem dziwką uliczną – powiedziałam w końcu na głos, żeby przekonać się, jakie to na mnie zrobi wrażenie. Wydało mi się, że przeszło bez wrażenia, zamknęłam oczy i zasnęłam prawie natychmiast.

Rozdział 8

W ciągu następnych dni co wieczór spotykałam się z Giacintim. Zatelefonował on do Gizeli nazajutrz i Gizela po południu przekazała mi tę wiadomość. Giacinti miał wyjechać do Mediolanu w przeddzień mojego spotkania z Ginem i dlatego zgodziłam się widywać z nim codziennie. W przeciwnym razie byłabym odmówiła, bo poprzysięgłam sobie, że nie nawiążę już stałego stosunku z żadnym mężczyzną. Uważałam, że skoro raz zdecydowałam się na tę profesję, lepiej uprawiać ją otwarcie, stale zmieniając kochanków, niż oszukiwać samą siebie, że tak nie jest, idąc na utrzymanie do jednego mężczyzny. Poza tym wtedy istniałaby także obawa, że mogę przywiązać się do niego albo on do mnie, i utraciłabym nie tylko wolność dysponowania sobą, ale i wolność uczuć. Jak dotąd zresztą moje poglądy na normalne życie małżeńskie nic się nie zmieniły; myślałam, że gdybym miała wyjść za mąż, to nie za kochanka, który by mnie utrzymywał i zdecydował się na koniec prawnie, nie moralnie, zalegalizować nasz związek, ale za chłopca, który by mnie kochał i którego ja bym kochała, z mojej sfery, z moimi poglądami, z moimi upodobaniami. Chciałam, jednym słowem, żeby obrany przeze mnie zawód pozostał całkowicie oderwany od moich pragnień, bez żadnych powiązań czy kompromisów, bo uważałam, że mogę być zarówno dobrą żoną, jak dobrą kurtyzaną. Ale w żadnym razie nie potrafiłabym wybrać drogi pośredniej, pełnej zakłamania i hipokryzji, tak jak zrobiła Gizela. A poza tym, w ogólnym obrachunku, więcej można było uzyskać mając do czynienia z wieloma mężczyznami, choćby liczącymi się z każdym groszem, niż z jednym hojnym.

Giacinti zapraszał mnie codziennie do tej samej restauracji, po czym przychodził ze mną do domu, gdzie zostawał do późna w noc. Matka nie napomykała już ani słowem na temat owych wieczorów; kiedy wchodziła około południa do mojego pokoju, niosąc na tacy kawę, ograniczała się do zapytania, czy dobrze spałam. Dawniej wypijałam tę kawę naprędce, stojąc przy piecyku w kuchni, z twarzą i rękami przemarzniętymi jeszcze po myciu w zimnej wodzie. Obecnie matka przynosiła mi kawę do pokoju i jadłam śniadanie w łóżku, a tymczasem ona podnosiła żaluzje i krzątała się po pokoju, robiąc porządki. Nie poruszałam z nią żadnych nowych tematów, rozmawialiśmy o tym co i dawniej, ale ona sama rozumiała, że w naszym życiu zmieniło się wszystko, i swoim zachowaniem okazywała, że pojmuje, jaka to jest zmiana. Postępowała tak, jak gdyby między mną a nią istniało milczące porozumienie, i wyglądało na to, że okazując mi te wszystkie względy naprasza się nieśmiało, abym pozwoliła jej być użyteczna i usługiwać mi także i w tym nowym życiu. Ale muszę powiedzieć, że to przyzwyczajenie podawania mi kawy do łóżka musiało w pewien sposób dodawać jej pewności siebie, bo niektórzy ludzie – a do nich należała i moja matka – uważają swoje przyzwyczajenia za jakąś wartość pozytywną, choćby, jak w tym wypadku, nie była ona pozytywna. Z równym naciskiem wprowadziła inne małe zmiany w naszym codziennym życiu: na przykład, kiedy tylko wstawałam, nastawiała mi duży kociołek wody do mycia, wkładała kwiaty do wazonu w moim pokoju i tak dalej.

Giacinti dawał mi zawsze tę samą sumę i ja, nie mówiąc nic o tym matce, chowałam te pieniądze do pudełka w szufladzie, w której do tej pory ona przechowywała swoje oszczędności. Dla siebie zatrzymywałam tylko trochę drobnych. Prawdopodobnie matka musiała zauważyć, że nasze zasoby codziennie się powiększają, ale nigdy nie zamieniłyśmy ani słowa na ten temat. Później już zaobserwowałam, że nawet ci ludzie, których zarobki pochodzą

ze źródeł najzupełniej legalnych, nie lubią o nich mówić nie tylko z obcymi, ale nawet i z najbliższym otoczeniem. Widocznie z pieniędzmi wiąże się uczucie wstydu, a w każdym razie pewnego skrępowania, które wykreśla je z liczby ogólnie poruszanych tematów i włącza do spraw intymnych, o których się nie mówi, jak gdyby pieniądz był zawsze nieuczciwie zarobiony, bez względu na jego pochodzenie. A może prawda leży w tym, że nikt nie chce się zdradzić, jakie uczucia budzą w nim pieniądze: uczucia silne, związane prawie zawsze z jakimś cieniem winy.

Jednego z owych wieczorów Giacinti wyraził chęć, żeby u mnie przenocować; odmówiłam mu pod pretekstem, że sąsiedzi mogliby zobaczyć go rano, wychodzącego z naszego mieszkania. Ale prawdziwy powód był inny: wciąż jeszcze był on dla mnie równie obcy jak pierwszego wieczoru, i to bynajmniej nie z mojej winy. Od pierwszego wieczoru aż do dnia wyjazdu nie zmienił ani na jotę swojego zachowania. Był to człowiek pozbawiony wszelkich wartości, przynajmniej w dziedzinie uczuć; toteż nigdy nie mogłam wykrzesać z siebie nic prócz tej odrobiny sympatii, jaka obudziła się we mnie podczas naszego pierwszego spotkania, gdy patrzyłam na niego pogrążonego we śnie, a była to sympatia jakby oderwana, zapewne nie mająca z nim nic wspólnego. Sama myśl, że ten człowiek miałby spędzić u mnie całą noc, była odpychająca; poza tym obawiałam się nudy, bo byłam pewna, że nie pozwoli mi zasnąć i będzie się zwierzał, i opowiadał o sobie do białego rana. On jednak nie zauważył ani mojej niechęci, ani znudzenia i był święcie przekonany, że w ciągu tych kilku dni zyskał sobie całkowicie moją sympatię.

Nadszedł dzień umówionego spotkania z Ginem. Tyle rzeczy zaszło przez te dziesięć dni, że wydawało mi się, iż ze sto lat upłynęło od czasu, kiedy widywałam się z nim przed porannym pozowaniem i pracowałam, żeby zebrać pieniądze na wyprawę, uważając się za narzeczoną w przede dniu ślubu. Zjawił się punktualnie o oznaczonej godzinie i kiedy wsiadałam do samochodu, wydał mi się bardzo bładny i zmieniony. Nikt nie lubi być przyłapany na oszustwie, nawet najbardziej zatwardziały przestępca, a Gino musiał pewnie wiele rozmyślać w ciągu naszej dziesięciodniowej rozłąki i zaczynał coś podejrzewać. Ale w moim zachowaniu nie przebiegał ani cień wyrzutu i muszę powiedzieć, że nie musiałam wcale udawać, bo byłam zupełnie spokojna, co więcej, po pierwszym cierpkim rozczarowaniu poczułam dla niego pobłażliwą i sceptyczną sympatię. Pomimo wszystko Gino mi się jeszcze podobał – zdałam sobie z tego sprawę od pierwszej chwili – a było to już bardzo wiele.

Jechaliśmy w stronę willi i on zapytał po krótkim milczeniu:

– Czyżby twój spowiednik zmienił zdanie?

Powiedział to szyderczym, ale zarazem niepewnym tonem.

– Nie... to ja zmieniłam zdanie – odrzekłam spokojnie.

– A ta robota, w której pomagałaś matce, już skończona?

– Na razie tak.

– To dziwne.

Sam nie bardzo wiedział, co mówi, ale było jasne, że docina mi chcąc wybadać, czy jego podejrzenia są słuszne.

– Dlaczego dziwne?

– Powiedziałem to ot tak sobie!

– Nie wierzysz, że byłam zajęta... Uważasz, że powiedziałam nieprawdę?

– Nic nie uważam.

Postanowiłam go zdemaskować, ale po swojemu, bawiąc się z nim przez chwilę jak kot z myszą, nie

uciekając się do gwałtownych scen, co doradzała mi Gizela, ale co nie zgadzało się zupełnie z moim usposobieniem.

Zapytałam go zalotnie:

– Czyżbyś był zazdrosny?

– Ja, zazdrosny... ani mi to w głowie!

– Tak, jesteś zazdrosny... i gdybyś był szczery, przyznałbyś się do tego.

On połknął haczyk i powiedział:

– Każdy inny na moim miejscu byłby zazdrosny.

– Dlaczego?

– Dajże spokój... kto by ci uwierzył?... Taka pilna robota, że nie mogłaś znaleźć nawet pięciu minut, żeby się ze mną zobaczyć!

– A jednak to prawda... miałam bardzo dużo pracy. – I tak było naprawdę, bo czymże jeżeli nie pracą, i to bardzo ciężką, były te wszystkie wieczory spędzane z Giacintim? – I zarobiłam tyle, że wystarczy mi i na zapłacenie wszystkich rat, i na wyprawę – dorzuciłam kpiąc sama z siebie – tak więc będziemy się mogli pobrać nie robiąc żadnych długów.

Nic nie odpowiedział, najwyraźniej zaczynał mi wierzyć, jego podejrzenia rozwiały się; wtedy – jak to zawsze robiłam dawniej – objęłam go i pocałowałam w szyję koło ucha, szepcząc:

– Dlaczego jesteś zazdrosny?... Przecież wiesz, że w moim życiu nie ma nikogo prócz ciebie...

Dojechaliśmy do willi. Gino zaparkował auto w ogrodzie, zamknął bramę i poszliśmy ku drzwiom prowadzącym do pokoi służbowych. Był już zmierzch i w oknach sąsiednich domów zapalały się pierwsze światła, czerwone w błękitnej mgłę zimowego wieczoru. W korytarzu sutereny panował mrok, było tam duszno i zalatywało wilgocią. Zatrzymałam się i powiedziałam:

– Ale nie pójde dzisiaj do twojego pokoju.

– Dlaczego?

– Chcę, żebyśmy się kochali w sypialni twojej pani.

– Oszalałaś chyba! – zawołał z oburzeniem. Przesiadaliśmy często w willi na pierwszym piętrze, ale potem schodziliśmy zawsze do sutereny, do jego pokoju.

– Taką mam zachciankę – odpowiedziałam. – Co ci to szkodzi?

– Szkodzi mi, i to bardzo... Nie daj, Boże, jeszcze zrobimy jakąś szkodę, nigdy nie wiadomo: wszystko się wyda i co wtedy będzie?

– Wielkie rzeczy – zawołałam lekceważąco – najwyżej cię wyrzucą!

– I ty to tak mówisz!

– A jak mam mówić?... Gdybyś mnie naprawdę kochał, nie zastanawiałbyś się nad tym ani przez chwilę.

– Kocham cię przecież, ale co to, to nie, nie mówmy nawet o tym... Nie chcę wpaść w tarapaty.

Byłam bardzo spokojna i z zimną krwią prowadząc swoją grę zawołałam:

– Będziemy uważali... nie połapią się.

– Nie, nie!

– Proszę cię o to ja, twoja narzeczona, a ty ze strachu, żebym nie położyła się tam, gdzie kładzie się twoja pani, i żebym czasem nie oparła głowy o jej poduszkę, odmawiasz mi... Co ty sobie właściwie myślisz? Że ta twoja

pani to coś lepszego ode mnie?!

– Nie, ale...

– Tysiące takich jak ona mogą się schować przy mnie – ciągnęłam dalej. – Tym gorzej dla ciebie... Popieść się z prześcieradłami i poduszkami twojej pani... ja się wynoszę!

Jak już od dawna zauważyłam, stosunek Gina do jego chlebodawców był wiernopoddańczy i pełen pokory; był z nich dumny i w swojej tępotcie uważał, że ich bogactwa należą w pewnym sensie i do niego; ale kiedy usłyszał moje słowa i zobaczył, że wychodzę, zaskoczyła go moja zdecydowana postawa, będąca dla niego czymś zupełnie nowym; wybiegł za mną wołając:

– Poczekaj... dokąd idziesz?... Nie mówiłem tego na serio... No chodźmy, jeśli ci ma to sprawić przyjemność!

Dałam się prosić jeszcze przez chwilę, udając, że jestem obrażona; na koniec zgodziłam się i, przytuleni do siebie, zatrzymując się na każdym stopniu schodów, całowaliśmy się tak jak za pierwszym razem, tylko – przynajmniej co do mnie – w zupełnie odmiennym nastroju. Weszliśmy na pierwsze piętro. W sypialni od razu podeszłam do łóżka i odwinęłam kołdrę. On, znowu zdjęty lękiem, zaprotestował:

– Przecież chyba nie położysz się pod kołdrą?

– A dlaczego by nie? – odpowiedziałam spokojnie. – Nie mam ochoty się zaziębić.

Zamilkł z wyraźnym niezadowoleniem; posłałam łóżko i przeszłam do łazienki; zapaliłam piecyk gazowy, puściłam gorącą wodę, ale wąskim strumieniem, tak żeby wanna powoli się napełniała. Gino patrzył na mnie z niechęcią i niepokojem i znowu zaczął protestować:

– Co, jeszcze i kąpiel?

– Oni chyba także najpierw się kochają, a potem się kąpią?

– A skądże ja mogą wiedzieć, co oni robią – odpowiedział wzruszając ramionami. Ale widziałam wyraźnie, że podoba mu się w gruncie rzeczy moja śmiałość, tylko trudno mu się z tym pogodzić. Był raczej tchórzliwy i lubił zawsze być w porządku. Ale odstępstwo od tej reguły tym więcej go nęciło, im bardziej było niezwykle. – Właściwie to masz rację – rzekł po chwili z uśmiechem nieco żalonym i wymuszonym, dotykając ręką materaca – tu jest przecież o wiele wygodniej... wygodniej niż w moim pokoju.

– A nie mówiłam ci?

Usiedliśmy obydwój na krawędzi łóżka.

– Gino – powiedziałam zarzucając mu ręce na szyję – pomyśl, jak to będzie cudownie, kiedy będziemy mieli nasz własny dom... nie będzie taki jak ten... ale za to nasz.

Sama nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Zapewne dlatego, że teraz wiedziałam z całą pewnością, iż jest to niemożliwe, i z przyjemnością rozdrapywałam najboleśniej rany.

– Tak... tak... – powiedział i pocałował mnie.

– O, jak dobrze wiem, czego chcę od życia – ciągnęłam dalej z okrutnym pragnieniem mówienia o rzeczach straconych na zawsze – nie potrzebuję takiego pięknego domu jak ten... Wystarczą mi dwa pokoiki z kuchnią czyściutką jak lustro... I żyć sobie tam w spokoju, w niedzielę chodzić na spacer, jeść razem, spać razem... Pomyśl, Gino, jak to będzie przyjemnie!

Nic nie odpowiedział. Właściwie, mówiąc to wszystko, bynajmniej nie byłam wzruszona. Wydawało mi

się, że po prostu gram rolę, jak aktorka na scenie. Ale tym większe ogarnęło mnie rozgoryczenie, że to, co wypowiadałam teraz tak chłodno i obojętnie, co nie potrąca żadnej struny w mojej duszy, nie dalej jak dziesięć dni temu było całym moim życiem. Podczas gdy mówiłam, Gino z niecierpliwością zaczął mnie rozbierać i stwierdziłam znowu, tak jak w chwili kiedy wsiadałam do samochodu, że on bardzo mi się podoba. I z pewnym smutkiem i pogardą pomyślałam, że może to nie moje serce, dalekie już od Gina, ale moje ciało, zawsze pożądające rozkoszy, było przyczyną, że byłam tak łagodna i skora do przebaczenia. Gino całował mnie i pieścił, jego pocałunki i pieszczoty mąciły mi myśli i zmysły brały górę nad wszelkimi postanowieniami. – Umrę w twoich ramionach – westchnęłam już szczerze i upadłam na łóżko.

Później wsunęłam się pod luksusową pikowaną kołdrę, to samo zrobił i on i leżeliśmy oboje, przykryci aż po brodę. Nad naszymi głowami wznosił się baldachim, z którego spływała dookoła biała, przejrzysta jak mgła tiulowa zasłona. Biały był cały pokój i lekkie, długie firanki na oknach, piękne meble, stojące pod ścianami, rżnięte zwierciadła, błyszczące przedmioty ze szkła, marmuru i metalu. Cienkie, wykwintne prześcieradła pieściły moje ciało, materac miękko ugiął się przy każdym ruchu, wzbudzając we mnie nieprzeparte pragnienie snu i wypoczynku. Poprzez otwarte drzwi dochodził z łazienki żaloszny, monotony odgłos spływającej do wanny wody. Ogarnęło mnie uczucie błogości i nie miałam już najmniejszego żalu do Gina. Wydało mi się, że przyszedł właściwy moment, aby mu powiedzieć, że wiem wszystko, ponieważ byłam pewna, iż powiem mu to spokojnie, bez cienia wyrzutu.

– A więc, Gino – rzekłam po długim milczeniu, z ciepłą nutą w głosie – twoja żona nazywa się Antonietta Partini.

On widocznie drzemał, bo rzucił się na łóżku, jak gdyby ktoś nagle szarpnął go za ramię.

– Coś ty powiedziała?!

– A twoja córka ma na imię Maria... Czy tak?

Chciał zaprzeczyć, ale popatrzył mi w oczy i zrozumiał, że na nic by się to nie zdało. Leżeliśmy na jednej poduszce, policzek przy policzku, i mówiłam prawie z ustami na jego ustach.

– Mój biedny Gino – ciągnęłam dalej – dlaczego naopowiadałeś mi tyle kłamstw?

Odrzekł gwałtownie:

– Bo cię kochałem.

– Jeżeli naprawdę mnie kochałeś, powinieneś być pomyśleć o tym, że kiedy dowiem się prawdy, będę bardzo cierpieć... ale ty o tym nie pomyślałeś, co, Gino?

– Kochałem cię – powiedział. – Straciłem głowę... i...

– Nie mów nic więcej – przerwałam mu – z początku było mi bardzo ciężko... nie mogłam uwierzyć, że byłbyś zdolny... Ale teraz wszystko skończone... nie mówmy już o tym... a teraz idę się wykapać. – Odrzuciłam kołdrę, wstałam i poszłam do łazienki. Gino nie poruszył się.

Wanna pełna była gorącej wody, ślicznej, niebieskawej, wśród białych, lśniących kafelków i błyszczących kranów. Stałam w wannie i powoli, powoli zaczęłam się zanurzać. Kiedy już leżałam na dnie, przyknełam oczy. W sąsiednim pokoju panowała zupełna cisza, Gino z pewnością przeżuwał moje odkrycie, robiąc na gwałt jakieś plany, żeby mnie nie utracić. Uśmiechnęłam się na myśl, że leży w ogromnym, małżeńskim łożu z tą wiadomością, która spadła na niego jak policzek. Ale uśmiechnęłam się bez złośliwości, po prostu tak, jak gdybym zobaczyła coś

zabawnego, bo, jak wspomniałam, nie czułam już do niego najmniejszego żalu, co więcej, teraz, kiedy całkowicie go już przejrzałam, prawie go lubiłam. Potem usłyszałam, że chodzi po pokoju, prawdopodobnie się ubierał. Po chwili ukazał się w drzwiach łazienki i patrzył na mnie jak zbity pies, jak gdyby nie miał odwagi przestąpić progu.

– A więc nie zobaczymy się więcej – powiedział po dłuższym milczeniu pokornym głosem.

Zrozumiałam, że mnie naprawdę kochał, chociaż na swój sposób i nie na tyle, żeby oszczędzić mi kłamstw i zdrady. Przypomniałam sobie Astaritę i pomyślałam, że on także kochał mnie na swój sposób. Namydlając sobie ramię, powiedziałam:

– Dlaczego mielibyśmy nie zobaczyć się więcej? Gdybym nie chciała widzieć się z tobą, nie przyszedłabym na dzisiejsze spotkanie... Będziemy się widywali, ale nie tak często jak dawniej.

Wyglądało na to, że słowa te dodały mu otuchy; wszedł do łazienki.

– Czy chcesz, żebym cię namydlił? – zapytał.

Mimo woli pomyślałam o matce; ona także, w miarę jak słabł jej rodzicielski autorytet, stawiała się coraz bardziej usługująca i nadskakująca. Odpowiedziałam sucho: – Jeżeli chcesz... plecy, tam gdzie nie mogę dosięgnąć. – Gino wziął mydło i gąbkę, ja wstałam, odwróciłam się, a on namydlił mnie całą. Przeglądałam się w podłużnym lustrze, wiszącym na wprost wanny, i wydawało mi się, że jestem ową panią, do której należą te wszystkie wspaniałości. Ona na pewno także stawiała wyprostowana w wannie, a pokojówka, jakaś nieszczęsna istota podobna do mnie, musiała pochyłać się, żeby namydlić ją i umyć, uważając przy tym, żeby nie zadrasnąć jej skóry. Pomyślałam sobie, że to zapewne bardzo przyjemne mieć stale kogoś pod ręką, kto służy, i nie być zmuszonym robić wszystkiego własnymi rękami: stać sobie sztywno, bez ruchu i patrzeć, jak ktoś drugi krząta się, gotów na każde skinienie. Znowu powróciła myśl, która w mojej prostocie ducha przyszła mi do głowy, kiedy po raz pierwszy znalazłam się w tej willi: naga, bez moich łachmanów, byłam warta tyle samo, co chlebodawczyni Gina. A tymczasem los mój był całkiem odmienny. Zirytowana powiedziałam do Gina:

– Dostyc, dostyc!

Wziął prześcieradło kąpielowe i, kiedy wyszłam z wanny, zarzucił mi je na ramiona, a ja szczerze się w nie owinęłam. Objął mnie, może dlatego, żeby zobaczyć, czy go nie odepchnę; stałam wyprostowana, otulona białym prześcieradłem i pozwoliłam się pocałować w szyję. Potem, w milczeniu, zaczął mnie wycierać, zaczynając od stóp, a potem coraz wyżej aż do piersi, tak zręcznie i starannie, jak gdyby nic innego nie robił przez całe życie. Przymknęłam oczy i wyobrażałam sobie, że jestem panią, a on pokojówką. Gino uznał moją bierność za przyzwolenie i poczułam nagle, że nie wyciera mnie już, ale pieści. Odepchnęłam go, rzuciłam na ziemię prześcieradło i stąpając na palcach przeszłam do sypialni. Gino został w łazience i wypuszczał wodę z wanny.

Ubrałam się szybko, a potem przeszłam się po pokoju, oglądając różne ładne drobiazgi. Zatrzymałam się przed konsolką, na której leżały przybory toaletowe z szylkretu i ze złota. W rogu, między szczotkami i flakonami perfum, zauważyłam złotą puderniczkę. Wzięłam ją do ręki i przyjrzałam się jej dokładnie. Wydała mi się bardzo ciężka, musiała być zrobiona z kutego złota. Miała kształt kwadratowy, cała była w paseczki, a w zameczek wprawiony był duży rubin. I nagle przyszła mi nie tyle pokusa, ile olśnienie: teraz mogę już robić wszystko, nawet kraść. Otworzyłam torebkę i włożyłam do niej puderniczkę, która spadła na dno między drobne monety i klucze do mieszkania. Biorąc ją poczułam podniecenie zmysłowe, bardzo zbliżone do tego, jakie budziły we mnie pieniądze otrzymywane od moich kochanków. Powiedziawszy prawdę, sama nie wiedziałam, co zrobię z tak kosztowną

puderniczką, nie pasującą ani do mego ubrania, ani do życia, jakie prowadziłam, i byłam pewna, że nie będę jej używała. Ale ta kradzież wydała mi się logicznym potwierdzeniem tego, czym stało się moje życie. Wmawiałam sobie, że jak powiedziało się A, to trzeba powiedzieć B.

Gino wszedł do pokoju i ze służalczą gorliwością wziął się do siania łóżka i przesuwania wszystkich przedmiotów, które, jak mu się wydawało, nie stały na swoim miejscu.

– Dostyc już, wystarczy – powiedziałam pogardliwie, widząc, jak rozgląda się po pokoju, pełen niepewności, czy nie należałoby jeszcze czegoś przestawić. – Dostyc... twoja pani nic nie zauważy... jeszcze tym razem nie pokażą ci drzwi. – Gino zmienił się na twarzy, więc pożałowałam tych słów, bo były złośliwe i nieszczerze.

Nie rozmawialiśmy ani na schodach, ani w ogrodzie wsiadając do samochodu. Była już późna godzina i gdy tylko wjechaliśmy w kręte ulice eleganckiej dzielnicy – jak gdybym tylko na to czekała – zaczęłam cicho płakać. Sama nie wiedziałam, dlaczego płaczę, ale przepełniała mnie gorycz. Odgrywanie roli osoby złej i rozgoryczonej nie leżało zupełnie w moim usposobieniu, a jednak przez całe popołudnie, pomimo że wysilałam się, jak mogłam, żeby wyglądać pogodnie, prawie wszystko, co mówiłam i robiłam, podyktowane było złością i rozczarowaniem. I płacząc poczułam po raz pierwszy prawdziwy żal do Gina, że przez swoją zdradę obudził we mnie uczucia, których się brzydziłam i które były mi obce. Pomyślałam, że byłam zawsze dobra i łagodna i że może od tej pory nie będę już taka, i to wprawiło mnie w rozpacz. Miałam ochotę ze smutkiem zapytać Gina: „Dlaczego to wszystko zrobił? Jakże ja będę mogła zapomnieć, nie myśleć o tym więcej?” Ale milczałam powstrzymując łkanie i od czasu do czasu potrząsając głową, żeby łzy spłynęły mi z oczu, tak jak potrząsa się gałęzią, żeby spadły z niej dojrzałe owoce. Wcale nie zauważyłam, że przez ten czas zdążyliśmy już przejechać prawie całe miasto. Potem samochód zatrzymał się, wysiadłam i wyciągnęłam rękę do Gina, mówiąc: – Zadzwoń do ciebie. – Spojrzał na mnie pełen nadziei, która zmieniła się w zdumienie, kiedy zobaczył moją twarz skapaną we łzach. Ale nie miał czasu powiedzieć ani słowa, bo szybko, z wymuszonym uśmiechem odeszłam machając ręką na pożegnanie.

Rozdział 9

Tak więc życie moje zaczęło kręcić się w kółko, wciąż w jednym kierunku, ukazując mi wciąż te same twarze, niczym karuzela w lunaparku, którą jako dziecko oglądałam z okien naszego domu i której roziskrzona światełka tak mnie radowały.

Na karuzelach widzi się wciąż to samo. Przy dźwiękach płaczliwie rozdzwonionej, piskliwej muzyki przesuwają się przed oczami: łabędź, kot, samochód, koń, tron, smok, jajko i znowu od początku łabędź, kot, samochód, koń, tron, smok i jajko, i tak dalej przez całą noc. Tak samo i wokół mnie zaczęły kręcić się w kółko figury moich kochanków, i dawniejszych, i świeżo poznanych, ale wszyscy byli do siebie podobni. Wrócił z Mediolanu Giacinti, przywożąc mi w prezencie jedwabne pończochy, i przez kilka dni widywałam się z nim co wieczór. Potem Giacinti wyjechał i zaczęłam spotykać się z Ginem raz lub dwa razy w tygodniu. Pozostałe wieczory spędziłam z innymi mężczyznami, spotykanymi na ulicy lub przedstawionymi mi przez Gizelę. Byli między nimi i młodzi, i nie bardzo już młodzi, i starzy; niektórzy z nich, sympatyczni, traktowali mnie grzecznie, inni, odpychający, patrzyli na mnie jak na towar; ale ponieważ zdecydowałam, że nie chcę wiązać się już z nikim, więc w gruncie rzeczy jeden wieczór podobny był do drugiego jak dwie krople wody. Spotkanie na ulicy lub w kawiarni, czasem kolacja w restauracji, potem jazda do mieszkania. Tam zamykaliśmy się w pokoju i szliśmy do łóżka; potem rozmawialiśmy przez chwilę, gość płacił i wychodził, a ja szłam do stołowego pokoju, gdzie czekała na mnie matka. Jeśli byłam głodna, jadłam kolację, po czym kładłam się spać. Zdarzało się, jeżeli było jeszcze wcześniej, że znowu wychodziłam na miasto w poszukiwaniu następnego klienta. Ale bywało i tak, że mijał dzień za dniem, a nie widywałam nikogo i siedziałam w domu. Stałam się bardzo leniwa i w tej smutnej, tępej beczynności zdawałam się wyładowywać głód wypoczynku i spokoju, nie tylko mój własny, ale i matki, i wszystkich ludzi mojego pokroju, zawsze zagonionych, zawsze żyjących w niedostatku. Czasem tylko widok pustego pudełka, w którym przechowywałyśmy odłożone pieniądze, wyganiał mnie na ulice śródmieścia w poszukiwaniu towarzysza; ale czasami moje lenistwo było silniejsze i wołałam pożyczyć pieniądze od Gizeli albo kazać matce zrobić zakupy na kredyt.

Nie mogę jednak powiedzieć, aby tego rodzaju życie zupełnie mi nie odpowiadało. Bardzo szybko uświadomiłam sobie, że moja sympatia do Gina nie była niczym szczególnym ani wyjątkowym i że w gruncie rzeczy podobał mi się prawie każdy mężczyzna, z tego czy z innego powodu. Nie wiem, czy tak dzieje się ze wszystkimi kobietami uprawiającymi moją profesję, czy też raczej byłoby to dowodem mojego powołania w tym kierunku; wiem tylko, że za każdym razem odczuwałam dreszcz ciekawości i niecierpliwego oczekiwania i że rzadko kiedy przychodziło rozczarowanie. U młodych lubiłam ich wysmukłe, szczupłe ciała, jeszcze chłopiące, niezręczne ruchy, nieśmiałość, pieszczołliwość spojrzenia, świeżość warg, miękkość włosów; u tych w średnim wieku podobały mi się muskularne ramiona, rozrośnięte klatki piersiowe, znamionujące ową masywność, którą dojrzałość nadaje budowie ramion, brzucha i nóg mężczyzny; podobali mi się na koniec i starzy, bo mężczyzna, w przeciwieństwie do kobiety, niewiele traci z wiekiem i nawet na starość zachowuje wdzięk młodości albo nabiera nowego, w zupełnie innym rodzaju. Fakt, że codziennie zmieniałam kochanków, pozwalał mi odróżniać na pierwszy rzut oka ich wady i zalety z

tą dokładnością i przenikliwością, jakich nabiera się tylko przez doświadczenie. Poza tym ciało ludzkie było dla mnie niewyczerpanym źródłem tajemnej, nigdy nie zaspokojonej rozkoszy; często łąpałam się na tym, że błędę wzrokiem lub wodzę palcami po ciele tych moich towarzyszy jednej nocy, jak gdybym chciała się przekonać, co i dlaczego – poza łączącym nas przypadkowym spotkaniem – tak mnie w nich pociąga. Starłam się jednak ukrywać, że robią na mnie wrażenie, bo mężczyźni przy swojej zarozumiałości braliby to za objaw uczucia i każdy z nich od razu byłby przekonany, że jestem w nim zakochana. A tymczasem miłość – przynajmniej w tym sensie, w jakim oni ją rozumieli – nie miała z tym nic wspólnego.

Ale moje zarobki były mniejsze, niżby można przypuszczać. Przede wszystkim nie potrafiłam być nigdy tak chciwa i wyrachowana jak Gizela. Oczywiście, uważałam, że muszą mi płacić, bo nie szukałam ich towarzystwa dla przyjemności, ale taką już mam naturę, że kiedy im się oddawałam, kierował mną raczej bujny temperament niż chęć zysku. O pieniądzach myślałam dopiero wówczas, kiedy przychodziło do płacenia, czyli za późno. Zawsze miałam niejasne przekonanie, że dostarczam mężczyznom towaru, który nic nie kosztuje i za który na ogół się nie płaci, i że otrzymywane pieniądze są raczej podarunkiem niż wynagrodzeniem. Wydawało mi się, że nie istnieje w ogóle zapłata za miłość, a w każdym razie nie ma tak wielkiej sumy, która byłaby wystarczająca; i przekonanie to oraz wrodzona skromność uniemożliwiały mi wyznaczenie ceny, którą uważałabym za wygórowaną. Tak więc, jeśli dostawałam dużo, dziękowałam z nadmierną wdzięcznością, jeśli dostawałam mało, nie miałam uczucia, żebym była wyzyskiwana, i nie protestowałam. Dopiero później, nauczona gorzkim doświadczeniem, zdecydowałam się pójść za przykładem Gizeli, która omawiała warunki z góry. Ale z początku wstydziłam się to robić, poza tym nie umiałam wymienić ceny inaczej jak półgłosem, tak że często nie rozumiano mnie i musiałam powtarzać jeszcze raz to samo.

Zarobki moje nie były wystarczające także i z innego powodu; mianowicie zaczęłam o wiele mniej liczyć się z wydatkami; kupiłam kilka nowych sukien, perfumy, przybory toaletowe i różne inne rzeczy potrzebne w moim zawodzie, tak że pieniądze otrzymywane od moich kochanków nigdy mi nie wystarczały, tak jak niegdyś nie wystarczały mi pieniądze zarobione pozowaniem i szyciem. Miałam więc wrażenie, że żyję w nie mniejszym niedostatku niż dawniej, pomimo że poświęciłam swój honor. Jak dawniej, a nawet i częściej, zdarzało się, że w domu nie było ani grosza. Jak dawniej, a nawet jeszcze silniej, ograniał mnie lęk, że nie mam zapewnionego jutra. Jestem raczej płocha i flegmatyczna z natury i troska ta nigdy nie zamieniała się w manię, jak to bywa u kobiet bardziej interesownych i nie tak lekkomyślnych. Ale kwitła ona gdzieś w głębi duszy niczym robak toczący stary mebel, przypominając mi nieustannie, że wyzuta jestem ze wszystkiego, że nie mogę ani zapomnieć o tym, ani wypocząć, ani też radykalnie poprawić sobie warunków bytu poprzez zawód, jaki obrałam.

Kto natomiast nie odczuwał żadnego niepokoju – tak przynajmniej na pozór wyglądało – to matka. Zapowiedziałam jej od razu, że nie ma potrzeby, aby nadal psuła sobie wzrok ślęcząc nad igłą od rana do nocy. Ona, jak gdyby czekała przez całe życie na takie oświadczenie z mojej strony, odrzuciła natychmiast większą część roboty, ograniczając się do przyjmowania drobnych zamówień, które wykonywała niechętnie i raczej dla zabicia czasu niż dla zarobku. Wyglądało to tak, jakby wysiłek wszystkich lat życia, mający swój początek jeszcze w dzieciństwie, kiedy chodziła na służbę do urzędniczej rodziny, nagle podciął ją ostatecznie i nieodwołalnie, jakby była jedną z tych starych walących się ruder, po których pozostaje w końcu tylko garstka gruzów. Dla osoby takiej jak matka posiadanie pieniędzy oznaczało przede wszystkim jeść do syta i wypoczywać do woli. Jadła teraz o wiele więcej i pozwalała sobie na wygody, które w jej pojęciu odróżniały ludzi bogatych od biednych: wstawała późno,

sypiała po obiedzie, czasami wychodziła na spacer. Muszę powiedzieć, że efekt tych „nowości” stanowił może najprzykrzejszą część mego obecnego życia. Prawdopodobnie człowiek przyzwyczajony do nieustannej pracy nie powinien nigdy jej porzucać; próżniactwo i dobrobyt, choćby i zasłużone, wywierają na niego ujemny wpływ. Gdy tylko poprawiły się nasze warunki materialne, matka roztyła się, a raczej – biorąc pod uwagę szybkość, z jaką straciła swoją ruchliwą, zwinną i szczupłą sylwetkę – chorobliwie napuchła. Jej biodra, dawniej kościste, zaokrągliły się, chude ramiona wypełniły, wklęsłe policzki wyduły. Ale najsmutniejszym objawem tej tuszy była zmiana w oczach, niegdyś szeroko otwartych, dużych, o bystrym i sprytnym spojrzeniu; zmałyły one teraz i nabrały jakiegoś dziwnie fałszywego, dwuznacznego wyrazu. Matka utyla, ale ani nie odmłodziła, ani nie stała się ładniejsza. Wydawało mi się, że nie na mnie, ale właśnie na jej twarzy i figurze odbiła się zmiana, jaka zaszła w naszym życiu; i nic nie mogłam poradzić, że ilekroć spoglądałam na nią, odczuwałam jakiś wyrzut, współczucie i zarazem niechęć. Przy tym zachowaniu swoim pogłębiała jeszcze we mnie owo niemiłe uczucie, bo z każdego jej gestu biło błogie zadowolenie zaspokojonej zachłanności; była to typowa reakcja osoby, która przez całe życie nigdy nie wypoczywała ani nie jadła do syta.

Oczywiście nie zdradzałam się z tym, co się we mnie działo, bo nie chciałam jej upokarzać, a poza tym zdawałam sobie sprawę, że zanim powiem jej pewne rzeczy, powinnam przedtem powiedzieć je samej sobie. Ale czasami nie potrafiłam opanować odruchów zniecierpliwienia; i wydawało mi się, że teraz, kiedy jest taka gruba, nadęta i chodzi kołysząc się w biodrach, kocham ją mniej niż dawniej, kiedy biegała, krzyczała i narzekała od rana do wieczora, chuda i rozczochrana. Często zadawałam sobie pytanie: „Gdyby moje warunki materialne poprawiły się, przypuśćmy, przez małżeństwo z zamożnym człowiekiem, czy matka roztyłaby się w taki sam sposób?” Dzisiaj przypuszczam, że tak; a ten rys wulgarności, jakiego dopatrywałam się w jej tuszy, przypisuję temu, że – może bezwiednie – nie umiałam patrzeć na nią inaczej jak z wyrzutem.

Niedługo ukrywałam przed Ginem zmianę, jaka zaszła w moim życiu. Musiałam powiedzieć mu wszystko w bardzo krótkim czasie, bo już w dziesięć dni po naszym spotkaniu w willi. Pewnego ranka matka przyszła mnie obudzić i pokornym, znaczącym tonem powiedziała:

– Czy wiesz, kto przyszedł i chce zobaczyć się z tobą? Gino.

– Poproś go tutaj – odpowiedziałam krótko.

Była wyraźnie rozczarowana, że nie powiedziałam nic więcej, otworzyła okno i wyszła z pokoju. Za chwilę zjawił się Gino i zauważyłam od razu, że jest zdenerwowany i bardzo czymś przejęty. Nie przywitał się ze mną, podszedł do łóżka i stanął obok mnie; leżałam jeszcze zaspana i patrzyłam na niego.

– Posłuchaj – powiedział – czyś nie wzięła wtedy przez pomyłkę jakiegoś przedmiotu z toaletki pani?

„Więc o to idzie” – pomyślałam. Zdałam sobie sprawę, że nie odczuwam najmniejszej skruchy, natomiast przykre wrażenie zrobił na mnie służalczy przestach Gina. Zapytałam:

– A dlaczego?

– Zginęła puderniczka ogromnej wartości... złota z rubinem... Pani zrobiła piekło w domu; zostawili willę na mojej opiece i choć tego nie mówi, wiem, że podejrzewa mnie... Na szczęście zauważyła to dopiero wczoraj, w tydzień po powrocie, więc biorą pod uwagę także inną możliwość, że ukradła ją któraś z pokojówek; w przeciwnym razie już by mnie wyrzucili, zadenuncjowali, aresztowali i Bóg wie co jeszcze.

Złękłam się, żeby z mojej winy ktoś niewinny nie znalazł się w opałach, i spytałam:

– Ale pokojówkom nic nie zrobili?

– Nie – odpowiedział bardzo podniecony – ale przyszedł komisarz policji i przesłuchiwał je, trudno opisać, co się u nas dzieje od tych dwóch dni.

Wahałam się przez chwilę, po czym powiedziałam:

– Ja wzięłam puderniczkę.

Wybałuszył oczy i brzydki grymas pojawił się na jego twarzy.

– Ty wzięłaś... i mówisz mi to w ten sposób?!

– A jak mam mówić?

– Ależ to jest kradzież!

– No pewnie!

Popatrzył na mnie i nagle wpadł we wściekłość: może obawiał się konsekwencji mojego czynu, a może niejasno zdawał sobie sprawę, że ostatecznie na niego zrzucam odpowiedzialność za tę kradzież.

– Wytlumacz mi, co cię napadło?... Aha, więc to dlatego chciałaś iść do sypialni pani... teraz rozumiem... ale ja, moja droga, nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Jeżeli chcesz kraść, to rób to sobie, gdzie ci się podoba, ale nie tam, gdzie pracuję... Złodziejka... Ładnie bym wyglądał, gdybym się był z tobą ożenił, wziąłbym za żonę złodziejkę!

Pozwoliłam mu się wygadać, uważnie go obserwując. Byłam zdumiona, że mogłam uważać go przez tak długi czas za chodzącą doskonałość. Wszystko tylko nie to! Na koniec, kiedy zdawało mi się, że wyczerpał już wszystkie wyzwiska, powiedziałam:

Dlaczego się tak złościysz, Gino? Przecież nie oskarżają ciebie o tę kradzież... Jeszcze przez parę dni będą o tym mówić, a potem zapomną i tyle. Twoja pani ma na pewno całe mnóstwo puderniczek.

– Ale dlaczego ją ukradłaś? – Było oczywiste, że chce usłyszeć to, z czego – jak już powiedziałam – niejasno zdawał sobie sprawę. Odpowiedziałam:

– Tak sobie.

– Tak sobie, to nie jest odpowiedź!

– A więc jeżeli chcesz wiedzieć – odrzekłam spokojnie – nie ukradłam jej dlatego, żebym miała na to ochotę albo potrzebowała pieniędzy, ale dlatego, że teraz mogę już i kraść!

– Co to ma znaczyć? – zaczął mówić, ale nie pozwoliłam mu dokończyć:

– Teraz co wieczór wychodzę na ulicę, szukam sobie mężczyzny, przyprowadzam go tutaj, a potem on mi płaci... Jeżeli robię to, mogę także i kraść, czy nie?

Zrozumiał i reakcja jego była bardzo charakterystyczna:

– A więc i to robisz... doskonale... Ładnie bym wyglądał, gdybym się był z tobą ożenił!

– Nigdy tego nie robiłam – odpowiedziałam – robię to od czasu, kiedy dowiedziałam się, że masz żonę i dziecko. On widocznie tylko czekał na te słowa, bo z miejsca odpał:

– O nie, moja droga, nie zrzucaj teraz na mnie całej winy... Dziwką i złodziejką zostać można tylko z własnej woli!

– Widocznie byłam nią, sama o tym nie wiedząc – odrzekłam – a ty stworzyłeś mi doskonałą okazję, żeby zrobić początek. – Widząc mój spokój, zrozumiał, że niewiele wskóra. Zmienił więc taktykę:

– Czym jesteś i co robisz, nie obchodzi mnie... ale musisz mi oddać puderniczkę, bo w przeciwnym razie, wcześniej czy później, stracę miejsce... Ty mi ją oddasz, a ja udam, że znalazłem ją, no, na przykład w ogrodzie.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi tego od razu?... Jeśli idzie o to, żebyś nie stracił posady, to weź ją... leży tam, w pierwszej szufladzie w szafie.

Natychmiast, z pośpiechem, w którym widać było ulgę, podszedł do szafy, otworzył szufladę, wyjął puderniczkę i wsunął ją do kieszeni. Potem popatrzył na mnie już zupełnie innym wzrokiem, w którym widać było i żal, i chęć zawarcia zgody. Ale nie chciał postawić się w kłopotliwej sytuacji i zabrakło mu widać odwagi do wypowiedzenia tego, co wзираło mu z oczu. Zapytałam:

– Czy samochód jest na dole?

– Tak.

– Jest już bardzo późno, więc nie ma sensu, żebyś tu dłużej siedział. Porozmawiamy o tym wszystkim przy następnym spotkaniu.

– Gniewasz się na mnie?

– Nie, nie gniewam się.

– A właśnie, że się gniewasz.

– Mówię ci, że nie!

Westchnął, pochylił się nad łóżkiem i pozwolił mi się pocałować.

– Ale zadzwonisz do mnie? – upewnił się jeszcze przy drzwiach.

– Bądź spokojny.

W taki sposób Gino dowiedział się, jakie prowadzę teraz życie. Ale w dniu, kiedyśmy się potem spotkali, nie rozmawialiśmy już ani o puderniczkę, ani o mojej profesji, jak gdyby były to rzeczy już uzgodnione i nieciekawe, mające znaczenie tylko o tyle, że były pewną nowością. Jednym słowem, Gino zachował się mniej więcej tak samo jak matka; tyle tylko, że ani przez chwilę nie okazywał tego przerażenia, które ją ogarnęło, kiedy przyprowadziłam do domu Giacintego, i które, jak wydawało mi się, dostrzegłam i teraz pod maską zadowolenia. Natomiast podstawową cechą charakteru Gina było tępe i krótkowzroczne wyrachowanie. Przypuszczam, że kiedy dowiedział się o zmianach, jakie zaszły w moim życiu od czasu, kiedy powiedziano mi o jego zdradzie, wzruszył ramionami i pomyślał sobie: „Ba, upiekłem dwie pieczenie przy jednym ogniu. I nie będzie mogła robić mi żadnych wymówek, i nadal będę jej kochankiem”. Są mężczyźni, którzy pragną zachować to, co posiadają: kobietę, pieniądze, a nawet życie, za wszelką cenę, choćby za cenę własnej godności: i Gino był właśnie jednym z nich.

Widywałam się z nim w dalszym ciągu, bo, jak już powiedziałam, nadal pomimo wszystko mi się podobał i nikt nie podobał mi się bardziej od niego. A poza tym, chociaż wiedziałam, że pomiędzy nami wszystko skończone, nie chciałam, żeby koniec ten był przykry i nieprzyjemny. Nie uznawałam ani gwałtownego przecinania jakichkolwiek więzów, ani nagłych zerwań. Uważam, że w życiu każde uczucie obumiera samo – tak jak się rodzi – z nudy, obojętności czy przyzwyczajania, które jest formą wiernej nudy, i powinno zanikać stopniowo, bez niczyjej winy, wyrugowane przez inne przeżycia. A poza tym nie istnieją w życiu zmiany definitywne i zdecydowane; kto chce dokonać ich zbyt szybko, zawsze naraża się na to, że nagle, w momencie zupełnie nieoczekiwanym, powracają pełne żywotności i siły dawne nawyki, które zdawały się być wyrwane z korzeniami i raz na zawsze wypłenione. Chciałam, żeby pieszczoty Gina zobojętniały mi tak samo jak i jego słowa; bałam się, że gdybym nie pozostawiła

tego czasowi, pojawiałby się on stale w moim życiu, co zmusiłoby mnie nawet wbrew woli do zacieśniania dawnych więzów.

Kto wrócił znów do mego życia w owym okresie, to Astarita; i z nim sprawy poszły jeszcze prościej niż z Ginem. Gizela widywała go w sekrecie przede mną i przypuszczam, że on żył z nią tylko dlatego, żeby mieć okazję porozmawiać o mnie. Gizela w każdym razie wyczekiwała tylko odpowiedniego momentu, aby mi go podsunąć; i kiedy odniosła wrażenie, że dość już czasu minęło, żeby zdążyć oswoić się z nową sytuacją, wzięła mnie na bok i z zachowaniem wszelkich ostrożności oznajmiła, że spotkała Astaritę i że on pytał o mnie.

– Nie powiedział nic konkretnego – mówiła – ale widać, że nadal jest w tobie zakochany... I powiedziawszy prawdę, żal mi się go zrobiło, wygląda na bardzo nieszczęśliwego. Powtarzam ci: nic mi nie mówił, ale mimo to odgadłam, że bardzo chciałby zobaczyć się z tobą... Przecież teraz...

Przerwałam jej:

– Zupełnie niepotrzebnie mówisz to wszystko w taki sposób.

– W jaki sposób?

– No, owijasz słowa w bawełnę... Powiedz szczerze, że on cię przysłał, że chce się ze mną spotkać i ty masz mu przekazać moją odpowiedź.

– Przypuśćmy, że tak jest naprawdę – odrzekła zmieszana – no więc?

– No wiec – odpowiedziałam spokojnie – możesz mu powiedzieć, że nie mam nic przeciwko temu, aby się z nim zobaczyć, ale tak jak widuję się z innymi, bez żadnych zobowiązań i tylko od czasu do czasu.

Gizela zdumiona była moim spokojem; wyobrażała sobie, że nienawidzę Astarity i nigdy nie zgodzę się na spotkanie z nim. Nie rozumiała, że miłość i nienawiść przestały dla mnie istnieć, powzięła więc podejrzenie, że na pewno coś przed nią ukrywam.

– Słusznie robisz – powiedziała po chwili namysłu, z przebiegłym wyrazem twarzy – ja zrobiłabym to samo na twoim miejscu... W pewnych wypadkach trzeba umieć przewyciężyć niechęć... Astarita kocha cię naprawdę i byłby zdolny nawet unieważnić swoje małżeństwo i ożenić się z tobą... Ale z ciebie spryciara, a ja brałam cię za niewiniątko!

Gizela nigdy mnie nie rozumiała, ale wiedziałam z doświadczenia, że wszelkie próby przekonania jej byłyby tylko stratą czasu. Przytaknęłam więc z udaną swobodą: – Tak, masz rację – i odeszłam pozostawiając ją pełną zawiści, a zarazem podziwu, niezbyt pochlebnego dla mnie.

Powtórzyła moją odpowiedź Astaricie i spotkaliśmy się jeszcze tego samego wieczora w cukierni, w której poznałam Giacintiego. Gizela miała rację: wciąż zakochany był we mnie do szaleństwa; na mój widok zbladł jak trup, stracił pewność siebie i milczał jak zakłęty. Uczucie to musiało przerastać jego siły; i przypuszczam, że mają rację proste kobiety z ludu, jak na przykład moja matka, kiedy przytaczając różne historie miłosne powiadają, że niektórzy mężczyźni są zaczarowani przez swoje kochanki; i ja też, ani chcąc, ani o tym wiedząc, rzuciłam jakiś czar na Astaritę, a on mimo wszelkich wysiłków nie mógł się spod niego wyzwolić. Stał się raz na zawsze moim niewolnikiem i podwładnym, raz na zawsze rozbroiłam go, sparaliżowałam i uczyniłam zależnym od mojej łaski. Tłumaczył mi potem, że w samotności wprawiał się, aby zachować się wobec mnie zimno i pogardliwie, że uczył się na pamięć każdego słowa swojej roli. Ale na mój widok krew uciekała mu z twarzy, brakło mu tchu w piersi, w głowie wytwarzała się pustka, język odmawiał posłuszeństwa. Wydawało mu się, że nie wytrzyma mojego

spojrzenia, tracił głowę i ogarniała go nieprzeparła ochota, żeby rzucić się przede mną na kolana i całować moje stopy.

Istotnie nie był on taki jak inni mężczyźni; mam na myśli to, że zachowywał się jak człowiek opętany przez złego ducha. Owego wieczoru, kiedy się z nim spotkałam, zjedliśmy kolację w restauracji w grobowym i pełnym napięcia milczeniu, a skoro tylko znaleźliśmy się u mnie, błagał, żebym opowiedziała mu, nie pomijając żadnego szczegółu, wszystko, poczynając od dnia wycieczki do Viterbo aż do zerwania z Ginem.

– Dlaczego tak cię to interesuje? – zapytałam zdumiona.

– Tak sobie – odpowiedział – bez powodu... ale co ci to szkodzi?... Nie myśl o mnie, opowiadaj. – A więc drobniaczko, tak jak prosił, opowiedziałam mu, co zaszło po wycieczce: jak wyjaśniłam sprawę z Ginem, jak usłuchałam rady Gizeli, jak spotkałam się z Giacintim. Przemilczałam tylko historię z puderniczką, sama nie wiem, dlaczego, może dlatego, żeby nie wprawiać go w zakłopotanie, bo przecież pracował w policji. Wypytywał o wiele rzeczy, a przede wszystkim o spotkanie z Giacintim. Wszystkie szczegóły były dla niego za mało wyczerpujące, jak gdyby chciał nie tylko usłyszeć o tych wydarzeniach, ale widzieć je, brać w nich udział. Sama już nie pamiętam, ile razy przerywał mi pytaniami: – A ty co zrobiłaś? – Albo: – A co on zrobił? – Kiedy skończyłam, objął mnie bełkocząc: – To wszystko moja wina!

– Ależ skąd – odpowiedziałam, nieco znudzona. – To niczyja wina.

– Tak, to moja wina... to ja zrujnowałam ci życie... Gdybym nie był się tak zachował w Viterbo, wszystko byłoby inaczej.

– Tym razem mylisz się – zaprotestowałam żywo – jeżeli w ogóle ktoś zawinił, to Gino... ty nie masz z tym nic wspólnego... ty, mój drogi, w Viterbo zdobyłeś mnie siłą, a to, co zdobywa się siłą, nie liczy się. Gdyby Gino nie oszukał mnie, wyszłabym za niego, potem przyznałabym mu się do wszystkiego i byłoby tak, jak gdybym cię nigdy nie znała.

– Nie, to moja wina... Może pozornie zawinił Gino, ale w gruncie rzeczy winien jestem ja.

Wyglądało na to, że zależy mu bardzo, aby całą winę wziąć na siebie; ale moim zdaniem nie dlatego, żeby odczuwał wyrzuty sumienia, ale wprost przeciwnie; spodobała mu się myśl, że to on zdeprawował mnie i doprowadził do upadku. Spodobała mu się, co więcej, podniecała go, i może to było główną przyczyną jego namiętności dla mnie. Zrozumiałam to później, kiedy zauważyłam, że podczas naszych spotkań wciąż nalegał, abym opowiadała mu szczegółowo o moich przeżyciach z przygodnymi kochankami. W trakcie tych opowiadań twarz wydłużała mu się i był tak przejęty i zaszuchany, że ogarniało mnie zmieszanie i uczucie głębokiego wstydu. Potem od razu rzucał się na mnie i podczas aktu miłosnego powtarzał z pasją słowa ordynarne, brutalne, nieprzyzwoite, których nie chcę przytaczać i które obraziłyby nawet najbardziej zdeprawowaną kobietę. Jak mógł łączyć owo dziwne zachowanie z uwielbieniem dla mnie, tego nigdy nie mogłam pojąć; moim zdaniem, nie można kochać kobiety nie szanując jej, ale w nim zdawało się być pomieszane uczucie miłości i okrucieństwa, i jedno drugiemu przydawało własnej barwy i siły. Czasami przychodziło mi do głowy, że to osobliwe podniecenie, w jakie wprawiała go myśl, iż to on spowodował mój upadek, wynikało z jego pracy w policji politycznej. Bo polegała ona – o ile mi było wiadomo – na znalezieniu w oskarżonym słabego punktu, żeby tym łatwiej złamać go, upodlić i w ten sposób unieszkodliwić raz na zawsze. Zresztą sam Astarita wspominał mi, nie pamiętam już przy jakiej okazji, że ilekroć udało mu się wydobyć z oskarżonego zeznania czy też złamać go, odczuwał specyficzną, prawie cielesną

przyjemność, zbliżoną do rozkoszy seksualnej. „Oskarżony jest jak kobieta – tłumaczył mi – dopóki jeszcze się trzyma, nosi głowę wysoko, ale gdy raz ulegnie, zmienia się w szmatę i możesz z nim zrobić wszystko, co chcesz”. A może, i to wydaje mi się jeszcze bardziej prawdopodobne, ten sadyzm był u niego wrodzony i skłonił go do obrania sobie tego właśnie zawodu.

Astarita nie był szczęśliwy; co więcej, miałam wrażenie, że trudno spotkać człowieka bardziej nieszczęśliwego, i to nie z przyczyn zewnętrznych, ale na skutek chorej psychiki, i na to nie było rady. Kiedy nie kazał mi opowiadać o moich sprawach zawodowych, przeważnie klękał przede mną, opierając głowę na moim łonie i potrafił trwać tak w bezruchu nawet godzinę. Musiałam głaskać go tylko od czasu do czasu po głowie, jak to robią matki z małymi dziećmi. On jęczał czasami, może nawet płakał. Nigdy nie kochałam Astarity, ale w takich chwilach budził we mnie ogromne współczucie, bo rozumiałam, że cierpi i że nie ma żadnego sposobu, by ulżyć jego cierpieniu.

Mówił z najgłębszą goryczą o swojej rodzinie: o żonie, której nienawidził, o córkach, których nie kochał, o rodzicach, którzy zaniedbywali go w dzieciństwie, a zaledwie dorósł, zmusili go do fatalnego małżeństwa. O swojej pracy nie wspominał prawie nigdy, raz tylko powiedział mi ze znaczącym grymasem: „W każdym domu znajdują się przedmioty użytkowe, które są potrzebne, choć nie są czyste... ja jestem jednym z takich przedmiotów... kubłem, do którego wrzuca się śmieci”. Ale na ogół miałam uczucie, że uważał swój zawód za uczciwy, a nawet zaszczytny. Miał duże poczucie obowiązku i o ile mogłam wywnioskować z mojej wizyty w ministerstwie i z niektórych jego wypowiedzi, był wzorowym urzędnikiem, pracowitym, dyskretnym, przenikliwym, nieprzekupnym, surowym. Chociaż pracował w tajnej policji, twierdził, że nie zna się wcale na polityce. „Jestem jednym z kółek kręcących się w maszynie – powiedział mi innym razem. – Oni rozkazują, ja jestem wykonawcą”.

Astarita chciał widywać się ze mną co wieczór, ale ja, pomijając już fakt, że z nikim nie chciałam wiązać się na stałe, nudziłam się w jego towarzystwie; poza tym jego dziwactwa i ponura powaga wprawiały mnie w zakłopotanie, tak że chociaż szczerze mu współczułam, nie mogłam powstrzymać westchnienia ulgi, kiedy się z nim rozstawałam. I dlatego robiłam, co mogłam, żeby spotykać się z nim jak najrzadziej, nie częściej niż raz w tygodniu. I te rzadkie widzenia z pewnością podsycaly jeszcze jego namiętność; może gdybym się zgodziła zamieszkać u niego, co zawsze mi proponował, przywykłyby powoli do mojej stałej obecności i na koniec zobaczyłby mnie taką, jaka byłam, zobaczyłby biedną dziewczynę, jakich spotyka się tysiące. Dał mi numer swojego prywatnego telefonu w ministerstwie. Był to tajny telefon, który znał tylko naczelny komisarz, minister i jeszcze kilku wysokich urzędników.

Kiedy telefonowałam, natychmiast się zgłaszał, ale skoro tylko usłyszał, że to ja, zaczynał się jękać, jego spokojny, dźwięczny głos załamywał się. Zachowywał się w stosunku do mnie tak nieśmiało i uniżenie, jak gdyby był moim niewolnikiem. Pamiętam, jak raz pogłaskałam go z roztargnieniem po policzku, chociaż mnie o to nie prosił. Chwytał mnie za rękę i pocałował ją z uniesieniem. Potem często prosił, żebym pieściła go dobrowolnie, bez żadnej zachęty; ale nikogo nie można zmusić do pieścizot.

Jak już wspominałam, często nie chciało mi się wychodzić na ulicę i szukać klientów, więc zostawałam w domu. Nie miałam ochoty przesiadywać z matką, bo chociaż istniało między nami milczące porozumienie, że nigdy nie będziemy mówiły o moim zawodzie, każda rozmowa kończyła się aluzjami i żenującymi niedomówieniami, tak że chętniej może rozmawiałabym na ten temat otwarcie i szczerze. Wolałam więc zamykać się w swoim pokoju;

prosiłam matkę, żeby mi nie przeszkadzała, i kładłam się na łóżku. Okna pokoju wychodziły na podwórze i żaden hałas nie dobiegał z zewnątrz. Drzemałam przez chwilę, potem wstawałam i krzątałam się po pokoju, porządkując moje rzeczy lub odkurzając meble. Zajęcia te były dla mnie tylko bodźcem do wprawienia w ruch moich myśli, do stworzenia wokół siebie atmosfery skupionej, odciętej od świata intymności. Coraz głębiej pogrążałam się w rozmyśleniach, aż na koniec w ogóle przestawałam myśleć i wystarczało mi, że po prostu żyję, po tylu zmaganiach i ciężkich trudach dnia codziennego.

W tych godzinach samotności w pewnej chwili ogarniało mnie oszołomienie; wydawało mi się, że w chłodnym jasnovidzeniu staję przede mną nagle całe moje życie i że widzę sama siebie jakby ze wszystkich stron, a równocześnie w całej postaci. Wszystko, co kiedykolwiek robiłam, rozszczępiało się, tracąc swoje materialne znaczenie i zachowując tylko pozory zewnętrzne, nedorzeczne i niezrozumiałe. Mówiłam sobie: „Często przyprowadzam tutaj mężczyznę, który nie znając mnie oczekiwał tej nocy... Zwarci w uścisku, walczymy na tym łóżku jak dwoje wrogów. Potem on daje mi świstek kolorowego zadrukowanego papieru, następnego dnia ja wymieniam ten świstek na jedzenie, ubranie i tym podobne rzeczy...”

Ale potem ogarnia mnie jeszcze głębsze oszołomienie. Mówiłam to, żeby ulżyć swojemu sumieniu, które surowo osądzało moją profesję; a owe słowa przedstawiały mi ją jako sumę czynności pozbawionych głębszego sensu, mających taką samą wartość jak ruchy wykonywane w innych zawodach. Potem nagle jakiś odgłos dolatujący z ulicy albo skrzypnięcie mebla w pokoju budziło we mnie nedorzeczne, prawie obłądne poczucie własnej obecności. Mówiłam sobie: „Jestem tutaj, ale mogłabym być gdzie indziej i mogłabym istnieć tysiąc lat temu, trzy tysiące lat temu... i mogłabym być Murzynką albo staruszką, albo blondynką, albo małą dziewczynką”. Myślałam o tym, że wyłoniłam się z mrocznej nieskończoności, że niedługo powrócę w ciemność równie nieskończoną i że to moje krótkie przejście naznaczone będzie bezsensownymi, przypadkowymi poczynaniami. Rozumiałam wtedy, że mój pesymizm nie wypływał z tego, co robię, ale z nagiego faktu istnienia, które nie było ani złe, ani dobre, tylko bolesne i bezsensowne.

W owych chwilach oszołomienia czasami skóra cierpła mi ze strachu; drżałam cała, czułam, jak jeżą mi się włosy i mrówki krążą u ich korzonków; miałam wrażenie, że wałą się ściany mojego domu, miasto i cały świat, a ja zawisam w bezdennej czarnej otchłani; i wiszę tak w swojej sukience, ze swoim imieniem, wspomnieniami i profesją. Dziewczyna imieniem Adriana, zawieszona w nicości. Wydawało mi się, że owa nicość jest czymś uroczystym, niepojętym i pełnym grozy i że najsmutniejszy w tym wszystkim jest fakt, iż ja zjawiam się w tej nicości w takim samym stroju i w taki sam sposób jak w kawiarni, gdzie czeka na mnie Gizela. I bynajmniej nie pocieszało mnie to, że odruchy i czynności innych ludzi są równie błahe i nieproporcjonalne do tej otaczającej ich nicości. Zdumiewało mnie tylko, że oni nie zdają sobie z tego sprawy albo, jak to bywa, kiedy dużo ludzi odkrywa ten sam fakt, nie mówią o tym częściej i nie dzielą się swoimi obserwacjami.

W takich momentach padałam na kolana i modliłam się, powodowana raczej przyzwyczajeniem, które pozostało mi z dzieciństwa, niż świadomą wolą. Ale nie modliłam się słowami zwykłych pacierzy, które wydawały mi się zbyt skomplikowane w tym zagmatwanym stanie ducha. Rzuciałam się na kolana z takim impetem, że potem przez kilka dni bolały mnie nogi, i modliłam się po prostu: „Chryste, zmiłuj się nade mną!” I nie była to modlitwa, ale raczej magiczne zaklęcie, mające rozproszyc mój lęk i pozwolić mi odnaleźć codzienną rzeczywistość. Po tym gwałtownym okrzyku, w który wkładałam wszystkie siły, długo klęczałam nieruchomo, kryjąc twarz w dłoniach. Aż

wreszcie łapałam się na tym, że nie myślę już o niczym, że zaczynam odczuwać znudzenie, że jestem tą samą co zawsze Adrianą, że znajduję się w swoim pokoju; dotykałam swojego ciała nie dowierzając prawie, że nic się w nim nie zmieniło, po czym wstawałam i kładłam się do łóżka. Czułam się zupełnie wyczerpana i obolała, jak gdybym stoczyła się po kamienistym zboczu, i prawie natychmiast zasypiałam.

Te stany ducha jednak nie miały żadnego wpływu na moje codzienne życie. W dalszym ciągu byłam tą samą Adrianą, która za pieniądze przyprawiała do domu mężczyzn, wychodziła z Gizelą i rozmawiała o nic nie znaczących sprawach z matką oraz innymi osobami. Czasami wydawało mi się dziwne, że będąc sama, jestem zupełnie inna niż przy ludziach, a także że całkiem inaczej patrzę na siebie niż na innych ludzi. Ale nie łudziłam się, że tylko ja doznaję uczuć tak gwałtownych i tak rozpaczliwych. Myślałam o tym, że przeżywają je wszyscy, co dzień, odczuwając, że całe ich życie sprowadza się w pewnym punkcie do udreki, niepojętej i absurdałnej. Tylko że i na nich świadomość ta nie wywierała żadnego widocznego na zewnątrz wpływu. Wychodzili potem z domu tak jak ja, kręcili się po świecie odgrywając szczerze swoją nieszczerą rolę. Myśl ta utwierdzała mnie jeszcze w przekonaniu, że wszyscy ludzie bez wyjątku godni są współczucia, choćby dlatego, że żyją.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 1

Obecnie byłyśmy z Gizelą czymś więcej niż przyjaciółkami, byłyśmy współniczkami. Nigdy co prawda nie mogłyśmy uzgodnić miejsca naszych spotkań; Gizela lubiła nade wszystko luksusowe restauracje i cukiernie, ja natomiast skromne kawiarenki albo po prostu ulicę. Z powodu tej różnicy upodobań zawarłyśmy układ, że każda z nas ma co drugi dzień prawo wyboru ulubionego miejsca. Pewnego dnia, kiedy zjadłyśmy kolację w lokalu na próżno wyczekując towarzystwa i wracałyśmy już do domu, zauważyłam, że jedzie za nami powoli jakieś auto. Powiedziałam o tym Gizeli, dodając, że może uda się nam wreszcie znaleźć kompanów. Gizela była wściekła tego wieczoru, bo musiała zapłacić za kolację nic przy tym nie zyskując, a od pewnego czasu trapiły ją kłopoty finansowe. – Jedź sobie – mruknęła – jeśli chcesz... ja idę spać. – Tymczasem auto zbliżyło się do chodnika i jechało tuż obok nas. Ja szłam od strony jezdnii. Zerknęłam w bok i zobaczyłam, że w samochodzie siedzi dwóch mężczyzn. Szeptem zapytałam Gizelę:

– Więc co robimy? Jeżeli ty nie pójdziesz, nie pójdę i ja.

Teraz ona z kolei spojrzała z ukosa na samochód i wydawało się, że waha się przez chwilę, wyraźnie zirytowana, po czym powiedziała:

– Nie, ja nie idę... idź sama... Co, boisz się?

– Nie, ale bez ciebie nie pójdę.

Potrząsnęła głową, znowu rzuciła okiem na samochód, który jechał teraz wolniuteńko, i rzekła zrezygnowanym tonem:

– No dobrze... zachowuj się tak, jak gdyby nigdy nic, idźmy jeszcze kawałek... nie chcę tutaj, na Corso.

Przeszłyśmy jeszcze z pięćdziesiąt metrów – auto wolno jechało za nami – po czym Gizela skręciła w ciemną, wąską uliczkę; szłyśmy po wąskim chodniku, wzdłuż starego muru oblepionego ogłoszeniami. Usłyszałyśmy, że auto skręciło także w przecznicę, i po chwili jego latarnie zaalały nas smugą białego światła. Wydawało się nam, że ten snop światła rozbiera nas do naga, przygważdża do wilgotnego muru i wyblakłych, podartych plakatów, i zatrzymałyśmy się. Zirytowana Gizela powiedziała do mnie półgłosem:

– Cóż to za dzikie zachowanie?... Czy nie przyjrżeli nam się dostatecznie na Corso?... Mam ochotę wracać do domu.

– Nie, nie – powiedziałam szybko, proszącym tonem. Sama nie wiedziałam dlaczego, ale chciałam za wszelką cenę poznać tych dwu mężczyzn, siedzących w samochodzie. – Co ci szkodzi? Wszyscy tak robią.

Wzruszyła ramionami i w tej samej chwili światła zgasły, auto zatrzymało się przy chodniku, tuż przed nami. Kierowca, różowawy blondyn, wychylił się przez okienko i powiedział dźwięcznym głosem:

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór – odpowiedziała sucho Gizela.

– Dokąd to idziecie takie same, samiuteńkie? – ciągnął dalej tamten. – Czy możemy dotrzymać wam

towarzystwa?

Chociaż przemawiał ironicznym tonem człowieka, który uważa, że jest wyjątkowo dowcipny, były to słowa oklepane, które słyszałam już setki razy. Gizela odpowiedziała głosem pełnym rezerwy:

- To zależy. – Ona także mówiła zawsze to samo.
- No więc – nalegał mężczyzna w samochodzie – od czegoż to zależy?
- Ile nam dacie? – zapytała Gizela zbliżając się i opierając się ręką o drzwi auta.
- A ile chcecie?

Gizela wymieniła sumę.

– Drogie jesteście – zanucił tamten – bardzo jesteście drogie – ale wydawało mi się, że gotów jest się zgodzić. Jego towarzysz, którego twarzy nie widziałam, nachylił się i powiedział mu coś do ucha; blondyn wzruszył ramionami i zwracając się do nas dorzucił: – Dobrze... wsiadajcie!

Jego towarzysz otworzył drzwiczki, przesiadł się na tylne siedzenie, otworzył od wewnątrz drugie drzwi i zaprosił mnie gestem, żebym wsiadła. Gizela usadowiła się koło blondyna, który spojrzał na nią i zapytał:

- No więc dokąd jedziemy?
- Do Adriany – odpowiedziała Gizela i podała adres.

Zazwyczaj w towarzystwie mężczyzn, czy to w samochodzie, czy gdzie indziej, byłam sztywna i milcząca i czekałam, aż oni pierwsi zaczną mnie zabawiać. Wiedziałam z doświadczenia, że nie trzeba ich zachęcać, bo tylko czekają na to, aby wziąć inicjatywę w swoje ręce. Także tego wieczoru siedziałam obojętna, nie odzywając się ani słowem, podczas gdy samochód pędził przez ulice miasta. Miejsca, które zajęliśmy w samochodzie, wskazywały, że sąsiad mój przeznaczony mi był tej nocy na kochanka; widziałam tylko jego dłonie, podłużne, białe, oparte o kolana. On także milczał i siedział bez ruchu w cieniu, z odrzuconą do tyłu głową. Pomyślałam, że musi być nieśmiały, i nagle poczułam do niego sympatię; ja także byłam nieśmiała i nieśmiałość wzruszała mnie zawsze, bo przypominała mi, jaka byłam przed poznaniem Gina. Gizela rozmawiała ze swoim sąsiadem. Lubiła, kiedy tylko nadarzała się okazja, prowadzić eleganckie i inteligentne rozmowy, jak dama w towarzystwie pełnych dla niej uszanowania mężczyzn. Usłyszałam jej zapytanie:

- Czy to pański samochód?
- Tak – odpowiedział jej towarzysz – nie zdążyłem go jeszcze zastawić... Podobają ci się, co?
- Jest bardzo wygodny – odpowiedziała niedbale Gizela – ale ja wolę Lancie... są szybsze i lepiej resorowane... Mój narzeczony ma Lancię.

Była to prawda, Riccardo miał Lancię. Tylko że nigdy nie był narzeczonym Gizeli i już od dłuższego czasu wcale się nie widywali. Blondyn zaczął się śmiać i powiedział:

– Twój narzeczony ma pewnie Lancię na dwóch kołach. Gizela była bardzo wrażliwa i obrażała się o byle co. Zapytała dotknięta:

- Może mi pan powie, za kogo nas pan bierze?
- Nie wiem... powiedzcie same, kim jesteście – odrzekł blondyn – nie chciałbym zrobić fałszywego kroku.

Gizela miała jeszcze inną manię, a mianowicie chciała uchodzić wobec swoich przygodnych kochanków za to, czym nie była: za stenotypistkę, tancerkę lub osobę z towarzystwa. Nie zdawała sobie sprawy, że te jej pretensje nie przystoją osobie, która pozwala się zaczepiać i od razu wysuwa kwestie pieniężne.

– Obydwie jesteście tancerkami z zespołu Caccini – oznajmiła z wyższością – i bynajmniej nie jest naszym zwyczajem przyjmowanie byle jakich zaproszeń. Ponieważ zespół nasz jeszcze nie występuje, wybrałyśmy się wieczorem na spacer. Ja zresztą nie chciałam się zgodzić, ale moja przyjaciółka uparła się, mówiąc, że wyglądacie na wytwornych mężczyzn... Gdyby mój narzeczony dowiedział się o tym, ładnie bym wyglądała!

Blondyn znowu się roześmiał:

– Oczywiście, że my obaj jesteśmy bardzo wytworni, ale wy jesteście dwie uliczne dziwki... i cóż w tym złego?

Mój sąsiad odezwał się po raz pierwszy i powiedział spokojnie:

– Przestań, Giancarlo.

Nie powiedziałam nic; nie podobało mi się oczywiście owo lapidarne określenie, tym bardziej że powiedziane było z wyraźnie złośliwą intencją, ale bądź co bądź była to prawda. Gizela zaprotestowała:

– Przede wszystkim to nieprawda... a poza tym jest pan ordynarny.

Blondyn nic nie odpowiedział. Ale od razu zwolnił i zatrzymał auto przy chodniku. Znajdowaliśmy się na bocznej ulicy, opustoszałej i słabo oświetlonej, między dwoma szeregami kamienic. Blondyn zwrócił się do Gizeli:

– A co by było, gdybym cię tak wyrzucił z samochodu?

– Niech pan tylko spróbuje – z miejsca odpaliła Gizela. Miała usposobienie bardzo wojownicze i niełatwo było ją zastraszyć.

Wówczas mój sąsiad pochylił się ku przedniemu siedzeniu i zobaczyłam jego twarz. Był ciemny, potargane włosy sterczały mu nad wysokim czołem, oczy miał wypukłe, duże, czarne i błyszczące, nos silnie zarysowany, wąskie usta i nieładną, cofniętą do tyłu szczękę. Był bardzo chudy i na jego szyi widać było sterczące jabłko Adama. Powiedział do blondyna: – Przystaniesz wreszcie czy nie? – ostrym, ale spokojnym głosem (tak mi się przynajmniej wydawało), jak ktoś osobiście nie zainteresowany, zabierający głos w sprawie, która go nie dotyczy i nie obchodzi. Głos jego nie był ani silny, ani męski i z pewnością łatwo wpadał w falset.

– A co ciebie to obchodzi? – odrzekł tamten odwracając się. Ale powiedział to jakimś dziwnym tonem, jak gdyby sam już żałował, że zachował się niegrzecznie, i był zadowolony z interwencji przyjaciela. Ten ostatni mówił dalej:

– Cóż to za maniery? Do diabła, zaprosiliśmy je, zaufały nam i zgodziły się pojechać z nami, a teraz obrzucamy je wyzwiskami. – Zwrócił się do Gizeli i dorzucił autorytatywnym, a zarazem uprzejmym tonem: – Niech pani nie zwraca na niego uwagi, musiał trochę za dużo wypić. Mogę panią zapewnić, że nie chciał pani obrazić. – Blondyn zaprotestował ruchem ręki, ale tamten powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu i mówiąc głosem nie znoszącym sprzeciwu: – Powtarzam, że za dużo wypijeś i nie miałeś zamiaru jej obrazić. A teraz jedziemy!

– Nie znalazłam się tutaj po to, żeby mnie obrażano – zaczęła niepewnie Gizela. Ona także zdawała się być wdzięczna brunetowi za jego interwencję. Ten natychmiast przyznał jej rację:

– Ależ oczywiście... nikt z nas nie lubi, żeby mu ubliżano... oczywiście.

Blondyn spoglądał na niego z ogłupiałą miną. Miał twarz czerwoną, nieregularnie nabrzmiałą o nierównej cerze wyglądającej jak wytlaczana skóra, niebieskie okrągłe oczy i szerokie usta, łakome i wyuzdane. Popatrzył na przyjaciela, który delikatnie poklepywał Gizelę po ramieniu, potem na Gizelę i nagle wybuchnął śmiechem.

– Słowo honoru, że nic a nic nie rozumiem! – zawołał. – Ależ o co idzie? Dlaczego właściwie się kłócimy?... Nawet nie pamiętam, o co poszło. Zamiast być w dobrym humorze, kłócimy się! Słowo honoru, że można zwariować! – Śmiał się serdecznie i, wciąż się uśmiechając, powiedział do Gizeli: – No, moja piękna, proszę o mnie źle nie myśleć. Przecież w gruncie rzeczy jesteśmy jakby dla siebie stworzeni...

Gizela próbowała się uśmiechnąć i odrzekła:

– No właśnie... mnie także tak się wydawało...

Blondyn mówił dalej dźwięcznym głosem, śmiejąc się na całe gardło:

– Jestem najlepszym człowiekiem pod słońcem, nieprawdaż, Giacomo? Łagodny niczym baranek... trzeba tylko umieć ze mną postępować, to wszystko. No co, pocałujesz mnie? – przysunął się do Gizeli i objął ją ramieniem. Ona odchyliła nieco głowę do tyłu i powiedziała: – Zaczekaj chwileczkę! – Wyjęła z torebki chusteczkę, starła nią pomadkę z warg i pocałowała go w usta. Podczas pocałunku blondyn groteskowo wymachiwał rękami, jak gdyby brakło mu tchu i nie mógł złapać równowagi. Odsunęli się od siebie prawie natychmiast i blondyn z emfazą zapuścił silnik.

– No, to rozumiem... przysięgam, że od tej chwili nie będziesz miała powodu uskarżać się na mnie, będę bardzo poważny, bardzo delikatny i bardzo dystyngowany. Możecie dać mi po łbie, jeżeli się będę nieodpowiednio zachowywał. – Samochód ruszył.

W drodze usta mu się nie zamykały, śmiał się i gestykulował, z narażeniem naszego życia odrywając ręce od kierownicy. Natomiast mój sąsiad po tej krótkiej interwencji znowu wsunął się w cień i milczał. Czułam teraz, jak wielką wzbudził we mnie sympatię i zainteresowanie; kiedy pomyślę o tym dzisiaj, z odległości czasu, wiem, że właśnie w tym momencie zakochałam się w nim, a w każdym razie zaczęłam łączyć z jego osobą to wszystko, co było mi drogie i czego brakowało mi dotychczas. Bo miłość chce być przecież czymś więcej niż tylko zwykłym zaspokojeniem zmysłów, a ja byłam stale w poszukiwaniu owej chodzącej doskonałości, której niegdyś dopatrywałam się w Ginie. Zdarzyło mi się chyba po raz pierwszy, nie tylko od czasu, kiedy zaczęłam uprawiać swoją profesję, ale w ogóle po raz pierwszy w życiu, że spotkałam człowieka o tego rodzaju manierach i o takim głosie. Co prawda gruby malarz, któremu pozowałam na początku mojej kariery modelki, przypominał go trochę, tylko że był bardziej wyniosły i pewny siebie, ale i w nim zresztą byłabym się zakochała, gdyby tylko tego chciał. Głos i zachowanie mojego sąsiada – chociaż w odmienny sposób – wzbudziły we mnie uczucia podobne do tych, które przeżywałam podczas pierwszej wizyty w willi chlebobawców Gina. Wtedy zachwycił mnie ład, luksus, czystość panujące w willi i wydawało mi się, że nie warto żyć, jeżeli nie mieszka się w takim domu; tak samo i teraz głos nieznajomego, jego zachowanie, takie miłe i pełne rozsądku, oraz domysły, jakie w związku z tym snuć było można na temat jego osoby, zupełnie mnie oczarowały. A zarazem odczuwałam bardzo silny pociąg zmysłowy i nie mogłam się wprost doczekać, kiedy nareszcie będą pieściły mnie te ręce i całowały te usta. I zdawałam sobie sprawę, choć sama nie wiedziałam, kiedy to się stało, że obudziło się we mnie owo powiązanie, silne i niepojęte, dawnych marzeń z rozkoszą przeżywanej obecnie chwili, co jest charakterystyczne dla miłości i wskazuje nieuchronnie na jej początek. Ale ogarnął mnie także i strach, żeby on nie spostrzegł moich uczuć i nie wymknął mi się. Powodowana tym lękiem, wyciągnęłam do niego rękę, żeby uściskać ją w swojej dłoni, na próżno jednak usiłowałam spleść jego palce z moimi, jego dłoń pozostała nieruchoma. Zmieszałam się bardzo, wiedząc, że powinnam wycofać moją rękę, jeżeli on nie reaguje na mój uścisk, a zarazem nie chciałam tego zrobić. Po chwili auto gwałtownie wzięło zakręt,

rzucając nas o siebie z impetem, i ja, udając, że straciłam równowagę, oparłam czoło o jego kolana. On drgnął, ale nie zmienił pozycji. Pęd auta sprawiał mi przyjemność, przymknęłam oczy i, tak jak robią psy, wcisnęłam głowę między jego dłonie i próbowałam przesunąć je sobie po policzkach, robiąc to, czego oczekiwałam od niego. Widziałam, że po prostu tracę głowę, i dziwiłam się w głębi duszy, że wystarczyło kilka uprzejmie wypowiedzianych słów, żeby spowodować owo szaleństwo. Ale on nie chciał dać mi tej pieśczoły, której domagałam się tak pokornie, i odsunął po chwili swoje ręce. Zaraz potem samochód stanął.

Blondyn wyskoczył na chodnik i z przesadną galanterią pomógł Gizeli wysiąść. Wysiedliśmy i my, otworzyłam bramę i weszliśmy do sieni. Po schodach szli przodem blondyn z Gizelą. Był on niski i krępy, ubranie zdawało się na nim pękać, chociaż nie był gruby. Gizela była wyższa od niego. W połowie schodów zatrzymał się i stojąc o stopień niżej chwycił Gizelę za spódnicę i zadarł ją do góry, odstaniając jej białe uda obcisnięte podwiązkami oraz drobne i szczupłe pośladki.

– Podnosi się kurtyna – zawołał wybuchając śmiechem. Gizela ograniczyła się tylko do obciągnięcia szybkim ruchem spódnicy. Pomyślałam, że ten trywialny żart na pewno nie spodobał się mojemu towarzyszowi i chciałam dać mu do zrozumienia, że i mnie nie przypadł do smaku.

– Pański przyjaciel jest bardzo wesoły – powiedziałam.

– Tak – odrzekł krótko mój towarzysz.

– Musi mieć lekkie życie.

Weszliśmy na palcach do mieszkania i zaprowadziłam ich wprost do mego pokoju. Zamknęłam cicho drzwi i przez chwilę zaambarasowani staliśmy wszyscy na miejscu, a że pokój był mały, wydawało się, że jest w nim po prostu tłoczno. Pierwszy odzyskał swobodę blondyn, usiadł na łóżku i bezceremonialnie zaczął się rozbierać. Śmiał się przy tym i rozprawiał bez chwili wytchnienia. Mówił o pokojach hotelowych i o pokojach prywatnych; opowiedział swoją ostatnią przygodę.

– Ona mówi: „Jestem kobietą z towarzystwa i nie chcę iść do hotelu”. A ja na to: „Hotele są pełne pań z towarzystwa”. A ona: „Nie chcę podawać swojego nazwiska”. Więc mówię jej: „Powieś, że jesteś moją żoną... dość tych ceregieli, chodźmy do hotelu”. Przedstawiam ją jako moją żonę, idziemy do pokoju, ale kiedy przychodzi co do czego, zaczynają się hece... żałuje, że w ogóle przyszła, nie chce, jest przecież kobietą z towarzystwa... ja tracę cierpliwość i próbuję przemocą. Bodajbym nie próbował, bo otwiera okno, grozi, że rzuci się na ulicę. „No dobrze – powiadam – moja wina, zem cię tutaj przyprowadził”. Siada na łóżku i zaczyna popłakiwać, opowiada jakąś nie kończącą się historię, przesmutną, przewrzaszającą, rozdzierającą serce, ale gdyby przyszło mi ją powtórzyć, nie mógłbym, bo nie pamiętam już ani słowa. Wiem tylko, że kiedy skończyła, byłem tak skruszony, że mało brakowało, a byłbym rzucił się przed nią na kolana, przepraszając za to, czym nie była... „Rozumiem – powiedziałem – nic ci nie zrobię, to znaczy położymy się do łóżka i każde z nas prześpi się na własną rękę”. Jak powiedziałem, tak i zrobiłem, zasnąłem prawie natychmiast; ale budzę się w nocy, patrzę, damy ani śladu, znikła... patrzę na moje ubranie, wszystko porozrzucone... Sięgam po portfel, znikł także... Dama z towarzystwa! – Wybuchnął niepowstrzymanym i tak zaraźliwym śmiechem, że zaśmiała się także Gizela, a i ja nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Zdjął ubranie, koszulę, buty, skarpetki i został tylko w szarym, obcisłym trykotowym kombinezonie, opinającym go od szyi do kostek. Wyglądał w nim jak linoskoczek albo baletmistrz. Te trykoty, noszone zazwyczaj tylko przez mężczyzn w starszym wieku, podkreślały jeszcze komizm jego figury. W tym

momencie zapomniałam o niemiłym incydencie w samochodzie i poczułam dla tego chłopca prawie że sympatię, bo sama byłam wesoła i zawsze miałam słabość do ludzi wesołych. On zaczął kręcić się po całym pokoju, robiąc najrozmaitsze żarciki i piruety, niski, przysadzisty, z wypiętym torsem, dumny ze swego kombinezonu niczym z munduru, potem wykonał nagły skok od rogu komody do łóżka, padając na Gizelę, która krzyknęła ze zdumienia, i przewrócił ją na wznak, jak gdyby chciał ją objąć. Ale w tej samej chwili, tknięty nagłą myślą, komicznie podniósł czerwoną cyniczną twarz i, w dalszym ciągu pochylony całym ciałem nad Gizelę, obejrzał się na nas dwoje, tak jak to robią koty, zanim zabiorą się do jedzenia, i zapytał:

– A wy na co czekacie?

Spojrzałam na mego towarzysza i zapytałam:

– Czy chcesz, żebym się rozebrała?

Stał przy mnie w płaszczu z postawionym kołnierzem; drgnął cały i odpowiedział:

– Nie, nie... po nich.

– Chcesz, żebyśmy stąd poszli?

– Tak.

– Przejdźcie się autem – zawołał blondyn, nadal zawieszony nad Gizelę – klucze zostawiłem w samochodzie. – Ale towarzysz mój udał, że nie dosłyszał tej propozycji, i wyszedł z pokoju.

Kiedy znaleźliśmy się w przedpokoju, dałam mu znak, żeby zaczekał chwilę, i weszłam do jadalni. Matka siedziała przy dużym stole zajęta stawianiem pasjansa. Skoro tylko mnie zobaczyła, natychmiast wstała i przeszła do kuchni, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Skinęłam więc od progu i zaprosiłam mego towarzysza, żeby wszedł.

Zamknęłam drzwi i usiadłam na kanapie, stojącej w kącie przy oknie. Chciałam, żeby usiadł obok i popieścił mnie: z innymi bywało tak zawsze. Ale on nie spojrzał nawet w stronę kanapy i z rękami w kieszeniach zaczął spacerować dokoła stołu. Przypuszczałam, że jest niezadowolony, bo musi czekać, więc powiedziałam:

– Bardzo mi przykro, ale mam dla siebie tylko jeden pokój.

Zatrzymał się przede mną i rzekł z ironiczną miną, ale grzecznie:

– Czy mówiłem ci coś na ten temat, że mi jest potrzebny pokój?

– Nie, ale myślałam...

Znowu zaczął przechadzać się po pokoju, ale ja nie mogłam się już opanować i wskazując na kanapę zapytałam:

– Czemu nie usiądziesz tu przy mnie?

Zaczął mi się przyglądać, po czym jakby nagle się zdecydował i usiadł obok, pytając:

– Jak ci na imię?

– Adriana.

– A mnie Giacomo – powiedział i ujął mnie za rękę. Jak na niego, było to bardzo wiele i znowu pomyślałam, że musi być nieśmiały. Pozwoliłam mu trzymać moją dłoń i żeby go zachęcić, uśmiechnęłam się. A on zapytał:

– A więc za chwilę mamy się kochać?

– No tak.

– A gdybym nie miał ochoty?

– No to nic by z tego nie było – zawołałam wesoło, bo myślałam, że żartuje.

– W porządku! – zawołał. – A więc nie mam ochoty, po prostu nie mam ochoty.

– No dobrze – odpowiedziałam, ale jego odmowa była dla mnie czymś tak niespodziewanym, że nie bardzo jeszcze rozumiałam, o co chodzi.

– Nie obraziłaś się? Kobieta nie lubi być wzgardzona.

Zrozumiałam wreszcie i nie mogąc wykrztusić ani słowa, potrząsnęłam przecząco głową. A więc nie chciał mnie! Byłam po prostu zrozpaczona, zbierało mi się na płacz.

– Wcale się nie obraziłam – wyjąkałam. – Nie chcesz, to trudno... zaczekasz na swego przyjaciela i pójdziecie.

– Sam nie wiem – odrzekł – stracisz przeze mnie ten wieczór, ktoś inny dałby ci zarobić.

Pomyślałam, że może ma ochotę, ale go na to nie stać i powiedziałam pełna nadziei:

– Jeżeli nie masz pieniędzy, to nic nie szkodzi... Zapłacisz mi następnym razem.

– Dobra z ciebie dziewczyna – odpowiedział – ale ja mam pieniądze... i wiesz, co zrobimy? Zapłacę ci i tak, żebyś nie straciła tego wieczoru. – Wsunął rękę do kieszeni marynarki, wyciągnął zwitek banknotów, które widocznie miał już przygotowane, podszedł do stołu i położył je tam ruchem niezgrabnym, ale zarazem dziwnie eleganckim i pogardliwym.

– Nie, nie – zaprotestowałam – po co... nie mówmy nawet o tym!

Ale powiedziałam to dość miękko, bo w gruncie rzeczy nie byłam niezadowolona z otrzymania tych pieniędzy: bądź co bądź stanowiły one jakąś więź między nami i zaciągając dług mogłam mieć nadzieję, że kiedyś go spłacę. On wytłumaczył sobie mój nieśmiały protest jako zgodę, i tak też było w istocie, pieniądze pozostały na stole. Wrócił i znowu usiadł przy mnie na kanapie. Z uczuciem, że postępuję niezręcznie i głupio, wzięłam go za rękę. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, po czym on ścisnął nagle mocno swoimi długimi, szczupłymi palcami mój najmniejszy palec.

– Aj – zawołałam nieco zniecierpliwiona. – Co się z tobą dzieje?

Przepraszam – powiedział i miał tak zażenowany wyraz twarzy, że natychmiast pożałowałam swojego tonu i dodałam: – Bardzo mnie to zabolalo, wiesz?

– Przepraszam – powtórzył i, wyraźnie zdenerwowany, zaczął znowu spacerować po pokoju. Po chwili stanął przede mną i powiedział: – Może wyjdziemy na chwilę?... Znudziło mi się już to czekanie.

– A dokąd chciałbyś iść?

– Sam nie wiem... Może przejedziemy się samochodem?

Staneły mi w pamięci moje wycieczki samochodowe z Ginem i odpowiedziałam szybko:

– Nie, nie, samochodem nie!

– Moglibyśmy pójść do kawiarni... Czy są tu blisko jakieś kawiarnie?

– Bardzo blisko, nie... ale zaraz za Porta jest jeden taki lokal...

– No to chodźmy tam!

Wstałam i wyszliśmy z jadalni. Poprzedniego dnia padał ulewny deszcz i na bruku rozlewały się szerokie czarne kałuże, w których odbijało się światło z rzadka rozstawionych latarni. Nad murami widniało niebo pogodne,

ale księżycyca nie było, a nieliczne gwiazdy przeświecały przez mgłę. Co chwila niewidoczne tramwaje przejeżdżały za murami, krzesając na drutach oślepiające, ginące w mgnieniu oka iskry, które oświetlały na chwilę niebo, wyszczerbione wieżyczki i obrośnięty bujną zielenią mur. Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, pomyślałam, że już od miesięcy nie byłam w okolicach lunaparku. Skręcałam zawsze w prawo i szłam na plac, gdzie czekał na mnie Gino. Nie byłam tam od czasu, kiedy jeszcze odbywałam spacer z matką, z którą chodziliśmy zawsze aleją pod murami, żeby popatrzeć na iluminację i posłuchać muzyki, ale tylko zza ogrodzenia, bo na wejście nie miałyśmy pieniędzy. Po tej stronie stała także willa z wieżyczką, przed którą zatrzymywałam się dawniej, żeby popatrzeć przez okna na rodzinę zgromadzoną przy stole; ta willa, która po raz pierwszy nasunęła mi marzenia o zamążpójściu, o rodzinnym domu, o normalnym życiu. Ogarnęło mnie nagle pragnienie, żeby opowiedzieć mojemu towarzyszowi o owych czasach, o moich dziewczęcych latach, o moich pragnieniach i muszę przyznać, że skłaniało mnie do tego nie tylko uczucie, ale i wyrachowanie. Chciałam, żeby nie sądził po pozorach, żeby zobaczył mnie w innym, lepszym świetle, które uważałam zresztą za bardziej odpowiadające prawdzie. Ludzie zapraszając znamienitych gości ubierają się odświętnie, przyjmują ich w najładniejszych pokojach; to, czym byłam i o czym marzyłam, to były właśnie moje odświętne sukienki i gościnne pokoje; i liczyłam na te wspomnienia, że choć tak skromne i naiwne, zmieniają jego nastrój i zbliżą go do mnie.

– W tej części ulicy prawie nie spotyka się przechodniów – mówiłam idąc – ale w lecie wszyscy mieszkańcy tej dzielnicy tutaj spacerują... Ja także tu spacerowałam... dawno, dawno temu i dopiero teraz, z tobą, znowu tutaj wróciłam.

Wziął mnie pod ramię, aby pomóc mi wymijać kałuże.

– Z kim chodziłaś na spacer? – zapytał.

– Z mamą.

Zaśmiał się tak szyderczo, że aż się zdziwiłam.

– Z mamą – powtórzył akcentując pierwsze m – z mamą... wszędzie z mamą... z mamą... A co powie mama? Co zrobi mama?... Mama, mama!

Pomyślałam, że widocznie z jakiegoś powodu ma żal do swojej matki, i spytałam:

– Czy twoja matka wyrządziła ci jakąś krzywdę?

– Nie wyrządziła mi żadnej krzywdy – odpowiedział – matki nigdy nie wyrządzają krzywdy... A ty kochasz swoją matkę?

– Oczywiście, dlaczego o to pytasz?

– Nic, nic – odrzekł pośpiesznie – nie zwracaj na mnie uwagi... mów dalej... A więc spacerowałaś z matką...

Powiedział to tonem nie zachęcającym i nie wzbudzającym zaufania, pomimo to, powodowana częściowo sympatią, a częściowo wyrachowaniem, ciągnęłam dalej zwierzenia.

– Tak, razem chodziliśmy na przechadzki, przede wszystkim w lecie, bo w naszym mieszkaniu latem trudno oddychać... a nawet... spójrz, widzisz tę willę?

Zatrzymał się i popatrzył. Ale wszystkie okna w willi były zamknięte, robiła wrażenie nie zamieszkaną. Wciśnięta między dwa kolejowe bloki, wydała mi się teraz mniejsza niż dawniej, brzydka i ponura.

– No i co tu było, w tej willi?

W tej chwili wstydziałam się prawie tego, co miałam powiedzieć. Ciągnęłam dalej z wysiłkiem:

– Przechodziłam co wieczór koło tej willi, wszystkie okna były pootwierane, bo jak ci już mówiłam, to było w lecie i widziałam całą rodzinę, która o tej porze zasiadała do kolacji... – Przerwałam i zamilkłam nagle, zmieszana.

– No i co?

– Ciebie te rzeczy nie interesują – odpowiedziałam i wydało mi się, że to moje zażenowanie jest zarazem i szczere, i udane.

– Dlaczego?... Wszystko mnie interesuje.

– No więc – dokończyłam pośpiesznie – wbiłam sobie do głowy, że przyjdzie dzień, kiedy i ja będę miała taką willę i będę robiła to samo co ta rodzina.

– Ach, rozumiem – odpowiedział – taki sobie domeczek... Nie miałaś wielkich wymagań!

– W porównaniu z naszym mieszkaniem... – powiedziałam – zresztą wcale nie jest taka brzydka, a poza tym wiadomo, że w tym wieku marzy się o różnych rzeczach.

Pociągnął mnie za ramię w kierunku willi.

– Choć, zobaczymy, czy mieszka tam jeszcze ta rodzina.

– Co ty robisz? – zawołałam opierając się. – Na pewno tam mieszkają.

– No to świetnie, sprawdzimy!

Byliśmy tuż koło willi. Ogród, gęsto zarośnięty i zaniedbany, był ciemny, ciemne były i okna, i wieżyczka. Podeszedł do furki i powiedział:

– Jest także skrzynka listowa. Zadzwonimy i przekonamy się, czy ktoś tam jest, ale twój domeczek wygląda na opuszczony.

– Ależ daj spokój – rzekłam śmiejąc się – zostaw, cóż to za pomysły!

– Spróbujemy. – Podniósł rękę i nacisnął dzwonek. Ogarnęła mnie chęć ucieczki, bałam się, że ktoś się pokaże. – Chodźmy, chodźmy – błagałam – zaraz ktoś nadejdzie i ładnie będziemy wyglądali!

– Co powie na to mama? – powtórzył jak refren i pozwolił odciągnąć się od furki. – Co robi mama?

– Musisz mieć jakąś urazę do swojej matki – powiedziałam idąc szybkim krokiem przed siebie.

A oto i lunapark. Pamiętałam, że będąc tutaj ostatnim razem widziałam tłumy ludzi, festony żarówek, kioski oświetlone lampami gazowymi, udekorowane pawilony, a dokoła rozbrzmiewał gwar i dźwięki muzyki. Doznałam pewnego rozczarowania, że z tego wszystkiego nie pozostało ani śladu. Płot lunaparku zdawał się ogradzać nie teren rozrywkowy, ale raczej skład materiałów budowlanych, ciemny i opustoszały. Nad palikami ogrodzenia wznosił się łuk „Diabelskiego Młyna” z zawieszonymi na nim wagonikami, przypominającymi pękate owady, nagle sparaliżowane w locie. Spiczaste dachy nie oświetlonych pawilonów robiły senne wrażenie. Wszystko zdawało się martwe, co zresztą było całkiem naturalne w zimowym sezonie. Plac przed lunaparkiem świecił pustką i widać było na nim liczne kałuże; jedyna latarnia słabo go oświetlała.

– Tu w lecie czynny jest lunapark – powiedziałam – zawsze są tłumy. Ale zimą jest zamknięty. Dokąd chcesz iść?

– Do tej kawiarni, czy nie?

– To jest raczej gospoda.

– No to idziemy do gospody!

Przeszliśmy pod bramą w murach; na wprost, w długim szeregu niewielkich domów, widniały oświetlone drzwi lokalu. Dopiero kiedy weszliśmy do środka, uświadomiłam sobie, że jest to ta sama gospoda, gdzie jedliśmy kolację razem z matką i Ginem i gdzie Gino osadził na miejscu bezczelnego pijaka. Przy stolikach siedziało tylko parę osób; wszyscy mieli rozłożone przed sobą na gazetach przyniesione z domu zapasy i zjadali je popijając winem podanym przez oberżystę. Było tu chłodniej niż na dworze, w powietrzu unosił się zapach deszczu, wina i trocin, czuło się, że piecyki są wygaszone. Usiedliśmy w kąciu i Giacomo zamówił litr wina.

– Kto wypije cały litr? – zapytałam.

– A dlaczego? Ty nie pijesz?

– Piję bardzo mało.

Napełnił swój kieliszek po brzegi i wychylił go duszkiem, ale z wysiłkiem i bez przyjemności. Potwierdziło to moje poprzednie spostrzeżenie, że robił wszystko czysto zewnątrz, kierując się wysiłkiem woli i nie biorąc w tym żadnego udziału, jak gdyby odgrywał rolę. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, on wpatrywał się we mnie tymi błyszczącymi, przenikliwymi oczyma, a ja rozglądałam się dokoła. Wspomnienie owego dalekiego wieczoru, spędzonego w tej gospodzie z Ginem i matką, ciągle wracało i sama nie wiedziałam, czy budzi ono we mnie żal, czy niechęć. Czułam się wówczas bardzo szczęśliwa, to prawda, ale były to tylko złudzenia! Stwierdziłam na koniec w głębi ducha, że wyglądało to tak, jak gdyby ktoś otworzył od dawna zamknięty kufer i zamiast pięknych rzeczy, które spodziewał się tam znaleźć, zobaczył tylko kilka zakurzonych, zjedzonych przez mole łachmanów. Wszystko było skończone; nie tylko moja miłość dla Gina, ale i moje dziewczęce lata i ich zawiedzione pragnienia. Zaczęłam mówić, co mi ślina na język przyniosła:

– Ten twój przyjaciel wydał mi się z początku antypatyczny, ale potem prawie go polubiłam... jest taki wesoły. Odpowiedział mi opryskliwie:

– Przede wszystkim on wcale nie jest moim przyjacielem, a poza tym wcale nie jest sympatyczny. Zdziwił mnie jego gwałtowny ton i powiedziałam niepewnie:

– Tak uważasz?

On wypił i mówił dalej:

– Od dowcipnisiów powinno się uciekać jak od zarazy, bo pod tą żartobliwą maską kryje się zwykle zupełna pustka... Powinnaś go zobaczyć w jego biurze... tam nie dowcipkuje.

– Jakże on ma biuro?

– Nie wiem dokładnie, jakieś biuro handlowe...

– A dobrze zarabia?

– Doskonale.

– A to szczęściarz!

Nalał mi wina, a ja zapytałam:

– Jeżeli go tak nie lubisz, to dlaczego się z nim zadajesz?

– To przyjaciel z lat dziecińczych – odrzekł z grymasem – chodziliśmy razem do szkoły... Wszyscy przyjaciele z lat dziecińczych są tacy.

Wypił jeszcze i dodał:

– Ale w pewnym sensie on jest lepszy ode mnie.

– Dlaczego?

– Do wszystkiego, co robi, bierze się poważnie, a ja chcę coś zrobić, a potem – tu nagle wyciął głosem takiego koguta, że aż podskoczyłam ze zdumienia – kiedy przychodzi właściwy moment, nic nie robię. Na przykład dzisiaj wieczorem on zadzwonił do mnie i zapytał, czy chcę, żebyśmy, jak się to mówi, poszli na dziewczynki. Zgodziłem się i kiedyśmy was spotkali, naprawdę chciałem przespać się z tobą, ale potem, kiedy już byliśmy w twoim mieszkaniu, odechciało mi się...

– Odechciało ci się – powtórzyłam patrząc na niego.

– Tak... nie byłeś już dla mnie kobietą, ale przedmiotem, sam nie wiem, jakąś rzeczą... Pamiętasz, jak ścisnąłem ci palec, że aż cię zabolalo?

– Tak.

– No widzisz... Zrobiłem to, żeby uświadomić sobie, że naprawdę istniejesz... tak... choćby nawet kosztem tego, że ci to sprawi ból.

– Tak, istniałam naprawdę – odrzekłam uśmiechając się – i bardzo mnie to zabolalo. – Uświadomiłam sobie z uczuciem ulgi, że odmowa jego nie była spowodowana niechęcią do mnie. Zresztą w niczym zachowaniu nie ma nigdy nic dziwnego. Skoro tylko spróbuje się wniknąć w czyjeś postępowanie i zrozumieć je, robi się odkrycie, że choć na pozór wydaje się ono dziwaczne, wynika jednak z istotnych powodów. – A więc nie spodobałam ci się?

Potrząsnął głową przecząco:

– Nie, nie o to chodzi... Ty czy inna... byłoby to samo.

Zapytałam po chwili wahania:

– Powiedz mi... a może ty jesteś impotentem?

– Ale skąd!

Ogarnęło mnie teraz silne pragnienie, żeby przeżyć z nim najintymniejsze chwile, obalić dystans, jaki nas dzielił, kochać go i być przez niego kochaną. Powiedziałam, że nie czuję się obrażona jego odmową, ale w rzeczywistości byłam nie tyle obrażona, ile zdruzgotana; cierpiała także moja ambicja. Wiedziałam, że jestem piękna i pociągająca, i uważałam, że nie ma żadnego powodu, żeby on nie miał mnie pożądać. Zaproponowałam po prostu:

– Słuchaj, wypijemy wino, a potem wrócimy do mnie i będziemy się kochali.

– Nie, to niemożliwe!

– Wobec tego musiałam ci się nie spodobać, i to od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłeś mnie na ulicy.

– Nie... spróbuj mnie zrozumieć.

Wiedziałam, że istnieją argumenty, którym nie oprze się żaden mężczyzna. Powtórzyłam spokojnie, z udaną goryczą: – Najwidoczniej ci się nie podobam – i w tej samej chwili wyciągnęłam rękę i ujęłam dłonią jego twarz. Mam dłoń długą, dużą i delikatną i jeżeli to prawda, że z ręki wyczytać można charakter, to mój charakter nie ma w sobie nic wulgarnego; inaczej było z Gizelą, której ręce były czerwone, szorstkie i nieforemne. Przypomniałam sobie, że Astarita w ministerstwie wykonał taki sam pieszczotliwy gest; i jeszcze raz zdałam sobie sprawę, że jestem zakochana, bo nie ulegało wątpliwości, że Astarita mnie kochał, i to była właśnie pieszczota miłosna. Giacomo początkowo nie zareagował wcale i dalej siedział nieruchomy i obojętny. Potem zaczęła mu się trząść broda, co, jak już zdążyłam zauważyć, było u niego oznaką zmieszania, i na twarzy jego odmalował się wyraz przejęcia, który

czynił tę twarz jeszcze młodszą, prawie dziecinną; ogarnęło mnie serdeczne współczucie, co ucieszyło mnie, bo stał mi się jeszcze bliższy.

– Co robisz? – szepnął zupełnie jak chłopaczek, który się wstydzi. – Jesteśmy przecież w lokalu publicznym.

– A co mnie to obchodzi! – odpowiedziałam.

Policzki miałam rozpalone pomimo chłodu panującego w gospodzie i byłam prawie zdumiona, że za każdym naszym oddechem ukazują się w powietrzu obłoczki pary.

– Daj mi rękę – powiedziałam. Przystał na to niechętnie, a ja przytuliłam jego dłoń do swojej twarzy, mówiąc: – Czy czujesz, jakie mam rozpalone policzki?

Nic nie odpowiedział, patrzył tylko na mnie i broda mu drgała. Skrzypnęły drzwi, ktoś wszedł do gospody i puściłam jego rękę. Wydał westchnienie ulgi i dolał sobie wina. Ale kiedy tylko nowo przybyły gość minął nasz stolik, znowu wyciągnęłam rękę i wsunęłam mu ją pod marynarkę; odpięłam mu guziczki od koszuli i przyłożyłam dłoń do jego piersi, w okolicy serca. – Chcę sobie rozgrzać rękę – powiedziałam – i chcę poczuć, jak ci bije serce. – Odwracałam dłoń to zewnętrzną, to wewnętrzną stroną.

– Jaką masz zimną rękę – powiedział spoglądając na mnie.

– Zaraz się rozgrzeje – odrzekłam z uśmiechem. Powoli przesuwając rękę po jego piersi i chudym boku.

Rozpierała mnie radość, że on jest tak blisko mnie i że kocham go tak bardzo, iż mogę się nawet obejść bez jego miłości. Powiedziałam grożąc mu żartobliwie:

– Czuję, że pocałuję cię lada chwila.

– Nie, nie – odrzekł próbując także żartować, ale był wyraźnie przestraszony – spróbuj się opanować.

– W takim razie chodźmy stąd.

– Możemy iść, jeśli chcesz.

Zapłacił za litr wina, którego nie zdążył wypić, i wyszedł ze mną z gospody. Był teraz na swój sposób podniecony; wprawdzie nie miłością, tak jak ja, ale najwidoczniej wydarzenia dzisiejszego wieczoru wywołały w nim jakiś ferment. Później, kiedy poznałam go lepiej, wiedziałam już, że owo podniecenie budzi się w nim zawsze, kiedy z jakiegoś powodu zdarza mu się odkryć nową, dotychczas nie znaną cechę własnego charakteru albo znaleźć jej potwierdzenie. Był bowiem – co prawda w miły sposób – wielkim egoistą i stale zajmował się sobą.

– Ze mną jest tak zawsze – zaczął mówić jak gdyby do siebie, podczas gdy ja prawie biegnąc ciągnęłam go do domu. – Ogarnia mnie wielka ochota, żeby coś zrobić, wielki entuzjazm, wszystko wydaje się na jak najlepszej drodze, jestem pewien, że zrobię to tak właśnie, jak by należało, a potem, kiedy przychodzi do rzeczy, wszystko się wali i jestem jak unicestwiony... Albo, żeby to lepiej wyrazić, istnieję, ale pozostają we mnie tylko te gorsze strony. Staję się zimny, leniwy, okrutny... tak jak wtedy, kiedy zgmiotłem ci palec.

Był pochłonięty swoim monologiem i mówił jakby z odcieniem gorzkiej satysfakcji. Ale ja nie słuchałam go, bo przepełniała mnie radość i miałam wrażenie, że frunę ponad kałużami. Odpowiedziałam wesoło:

– Mówiłeś mi już o tym, a ja nie zdążyłam ci jeszcze powiedzieć, co ja odczuwam. Odczuwam pragnienie, żeby objąć cię mocno, przytulić, czuć ciebie blisko i kazać zrobić ci to wszystko, czego ty właśnie nie chcesz... Nie dam ci spokoju, dopóki tego nie zrobisz!

Nic nie odpowiedział; moje słowa zdawały się w ogóle nie docierać do jego uszu, tak był jeszcze

pochłonięty tym, co mówił przed chwilą. Nagle objęłam go ramieniem i powiedziałam:

– Przytul mnie do siebie.

Zdawał się nie słyszeć, wtedy wzięłam go za rękę i pomogłam mu opasać nią moją kibić, tak jak pomaga się komuś włożyć palto. Poszliśmy dalej, ale było nam niewygodnie, bo obydwójce mieliśmy na sobie grube, zimowe płaszcze i ręce nasze sięgały tylko do pleców.

Kiedy znaleźliśmy się koło willi z wieżyczką, powiedziałam:

– Pocałuj mnie!

– Później.

– Pocałuj mnie!

Odwrocił się w moją stronę, a ja pocałowałam go mocno, zarzucając mu ramiona na szyję. Usta miał zaciśnięte, ale ja wepchnęłam język między jego wargi, potem między zęby, tak że rozchyliły się nieco. Sama nie wiem, czy odwzajemnił mój pocałunek, ale jak już mówiłam, nie obchodziło mnie to. Kiedy puściłam Giacomę, zobaczyłam, że dokoła ust ma rozmazaną moją pomadkę; plama ta wyglądała dziwnie i trochę komicznie na jego poważnej twarzy. Wybuchnęłam śmiechem, uszczęśliwiona.

On mruknął:

– Dlaczego się śmiejesz?

Zawahałam się, po czym zadecydowałam, że lepiej mu nic nie mówić, bo bawiło mnie, że kroczy obok pełen powagi, z tą plamą różu na twarzy, i nic o tym nie wie. Powiedziałam:

– Z niczego... bo jestem zadowolona... Nie zwracaj na mnie uwagi – i, szczęśliwa jak nigdy, jeszcze raz szybko pocałowałam go w usta.

Kiedy doszliśmy do bramy domu, nie było już tam samochodu.

– Giancarlo odjechał – powiedział z niezadowolaniem – i będę musiał iść piechotą taki kawał drogi do domu.

Nie byłam dotknięta jego niegrzecznym tonem, bo teraz już nic nie mogło mnie obrazić. Jak to bywa u zakochanych, widziałam jego wady w specjalnym świetle, które czyniło je miłymi. Odpowiedziałam wzruszając ramionami:

– Są przecież nocne tramwaje, a jeżeli chcesz, możesz przespać się u mnie.

– Nie, nie – odrzekł szybko.

Skręciliśmy do bramy i weszliśmy na schody. Kiedy znaleźliśmy się w przedpokoju, wepchnęłam go do mego pokoju i zajrzałam na chwilę do jadalni. Było tam ciemno, tylko smuga światła latarni padała na maszynę do szycia i na krzesło. Matka widocznie już spała; ciekawa byłam, czy widziała Gizelę i Giancarla i czy rozmawiała z nimi. Zamknęłam drzwi i wróciłam do swego pokoju. Zobaczyłam, że Giacomo kręci się niespokojnie między łóżkiem i komodą.

– Posłuchaj – powiedział – myślę, że będzie najlepiej, jeżeli już zaraz pójdę.

Udawałam, że nie słyszę, zdjęłam płaszcz i powiesiłam go na wieszaku. Byłam tak zadowolona, że nie mogłam powstrzymać się od krzyku spowodowanego dumą posiadania:

– Jak ci się podoba mój pokój? Prawda, że jest przytulny?

Rozejrzał się dokoła i zrobił grymas, którego znaczenia nie rozumiałam. Ujęłam go za rękę, posadziłam na

łóżku i powiedziałam:

– A teraz pozwól, że sama się wszystkim zajmę. – Patrzył na mnie, siedząc jeszcze w płaszczu z postawionym kołnierzem, trzymając ręce w kieszeniach. Delikatnie ściągnęłam z niego płaszcz i marynarkę i powiesiłam je na wieszaku. Bez pośpiechu rozwiązałam mu krawat, zdjęłam koszulę i położyłam ją na krzeselku. Potem przyklękłam, oparłam jego stopę o swój brzuch, tak jak robią szewcy, ściągnęłam mu trzewiki i skarpetki i ucałowałam jego nogi. Robiłam to wszystko powoli i systematycznie, ale w miarę jak go rozbierałam, narastał we mnie jakiś obłęd pokory i adoracji. Może było to to samo uczucie, jakiego doznawałam czasami modląc się w kościele, ale po raz pierwszy zdarzyło mi się odczuwać coś podobnego w stosunku do mężczyzny; byłam szczęśliwa, bo rozumiałam, że to jest prawdziwa miłość, daleka od zmysłowości i zepsucia. On pozwalał na wszystko i na twarzy jego malował się wyraz przestachu, który mnie wzruszył. Potem wstałam, przeszłam na drugą stronę łóżka i rozebrałam się szybko, rozrzucając rzeczy na podłodze i depcząc po nich w pośpiechu. On siedział nieruchomo na krawędzi łóżka, zziębnięty, wpatrzony w ziemię. Podeszłam do niego z tyłu i, porwana jakimś szalem radosnym i okrutnym, pchnęłam go na łóżko; upadł na wznak, głową na poduszkę. Był wysmukły, chudy, skórę miał niezwykle białą. Ciało, tak samo jak twarz, ma swój wyraz; jego ciało miało wyraz chłopięcej niewinności. Położyłam się przy nim i przez kontrast z jego chudością, kruchą budową, chłodem i białym odcieniem skóry wydawało mi się, że jestem rozpalona, śniada, rozrośnięta i silna. Gwałtownie przytuliłam się do niego, przyciskając brzuch do jego żeber, objęłam go w pół, oparłam policzek o jego twarz i pocałowałam go w ucho. Wydawało mi się, że pragnę nie tyle miłości fizycznej, ile chcę przelać w niego cały mój żar i otulić go własnym ciałem jak ciepłą kołdrą. On leżał na wznak, ale głowę miał nieco uniesioną i oczy szeroko otwarte, jak gdyby chciał obserwować wszystko, co robię. Pod jego przenikliwym spojrzeniem cierpła na mnie skóra i odczuwałam przykre zażenowanie, ale działając pod wpływem pierwszego impulsu, początkowo nie zwracałam na to uwagi. W pewnej chwili szepnęłam:

– Czy nie jest ci teraz lepiej?

– Tak – odrzekł obojętnym, dalekim tonem.

– Poczekaj – powiedziałam. Ale kiedy pod wpływem nowej fali uniesienia mocniej go przytuliłam, znowu poczułam na karku ten wzrok zimny, ostry niczym lancet, i ogarnęło mnie nagłe przerażenie i wstyd. Mój zapaleć zgasł, powoli, powoli zaczęłam odsuwać się od niego i upadłam na łóżko. Zrobiłam wielki wysiłek miłości, z rozpaczliwym zapamiętaniem, w którym przebijała nuta dawnej mojej niewinności; kiedy uświadomiłam sobie, że na nic się to nie zdało, oczy napełniły mi się łzami i zasłoniłam je ramieniem, żeby on nie widział, że płaczę. Wydawało mi się, że się pomyliłam; że nie mogę go kochać i być przez niego kochana, i pomyślałam także, że on nie ma co do mnie żadnych złudzeń, osądza mnie i widzi taką, jaka byłam w rzeczywistości. Teraz wiedziałam, że żyję jakby w obłoku mgły, którym sama się otoczyłam, żeby nie przeglądać się we własnym sumieniu. On tymczasem tym swoim spojrzeniem przeniknął ową mgłę i znowu postawił mi lustro przed oczyma. I widziałam siebie taką, jaka byłam, a raczej taką, jaką on mnie widział, bo o sobie samej nie myślałam już, przestając rozumieć cokolwiek, a chwilami nawet wierzyć we własną egzystencję. Na koniec powiedziałam:

– Idź już.

– Dlaczego? – Oparł się na łokciu i patrzył na mnie z pewnym zakłopotaniem. – Co się stało?

– Lepiej, żebyś sobie poszedł – odpowiedziałam spokojnie, wciąż zasłaniając twarz ramieniem – nie myśl, że obraziłam się na ciebie... Ale widzę, że ty nic do mnie nie czujesz, więc... – Nie dokończyłam i potrząsnęłam

głową.

Nie odpowiedział nic, ale czułam, że rusza się i wstaje: ubierał się. Przeniknął mnie wówczas ostry ból, jak gdyby ktoś zadał mi głęboką ranę i wiercił teraz ostrym żelazem w żywym ciele. Cierpiałam słysząc, jak się ubiera, cierpiałam na myśl, że za chwilę odejdzie na zawsze i nigdy go już nie zobaczę, cierpiałam, że cierpię.

Ubrał się powoli, może czekając, żebym go przywołała. Pamiętam, że przez chwilę miałam nadzieję zatrzymać go wznecając w nim pożądanie. Położyłam się na plecach, naciągając na siebie kołdrę. Z kokieterią, o której wiedziałam, że jest żalosna i rozpaczliwa, poruszyłam nogą w taki sposób, że się całkiem odkryłam. Nigdy jeszcze nie ofiarowałam się nikomu w taki sposób, i przez chwilę, kiedy leżałam tak naga, z rozłożonymi nogami i oczyma zakrytymi ramieniem, doznałam prawie fizycznego złudzenia, że on opiera ręce na moich ramionach, że czuję jego oddech na moich ustach, ale prawie natychmiast usłyszałam, jak zamykają się drzwi. Leżałam wyciągnięta na wznak, nieruchoma. I sama nie wiedziałam, kiedy ból mój rozplynał się w półśnie, półjawie i zasnęłam na dobre. Obudziłam się w środku nocy i wówczas dopiero uświadomiłam sobie, że jestem sama, bo w tej pierwszej goryczy rozstania towarzyszyło mi wrażenie jego obecności. Sama nie wiem, jak się to stało, że znowu usnęłam.

Rozdział 2

Następnego dnia było dla mnie niespodzianką, że zbudziłam się smutna, osłabiona i osowiała, jak gdyby po kilkutygodniowej chorobie. Jestem wesoła z natury i ta pogoda, wpływająca z mojej żywotności i zdrowia, zawsze bywała silniejsza niż wszelkie przeciwności losu, do tego stopnia, że czasami robiłam sobie wyrzuty, że humor dopisuje mi nawet w okolicznościach najmniej ku temu odpowiednich. Codziennie rano, zaraz po przebudzeniu, zaczynałam śpiewać i żartować z matką. Ale tego ranka nawet na to nie potrafiłam się zdobyć, byłam obolała, ponura, brakło mi chęci do przeżycia tych dwunastu godzin, jakie ofiarowywał mi dzień. Matka od razu zwróciła uwagę na to niezwykle u mnie przygnębienie, więc oświadczyłam jej, że źle spałam.

Była to prawda; tyle tylko, że jako przyczynę podałam jej to, co było wynikiem głębokiej rozterki wewnętrznej, wywołanej odejściem Giacoma. Jak już wspominałam, od dawna przestałam się martwić, że uprawiam taki zawód, ale ciągle żywiłam nadzieję, że pokocham i będę kochana; odmowę Giacoma, pomimo podanych przez niego tylu skomplikowanych powodów, przypisywałam mojej profesji, która z tej właśnie przyczyny stała się nagle dla mnie odpychająca, po prostu nie do zniesienia.

Miłość własna to bestia, która potrafi spać nawet pod najbardziej okrutnymi ciosami, ale budzi się śmiertelnie zraniona zwykłym draśnięciem. Najbardziej bolało mnie i przepełniało goryczą wspomnienie tej chwili, kiedy zapytałam go, wieszając płaszcz na wieszaku:

– Jak ci się podoba mój pokoik? Prawda, że jest przytulny?

Pamiętam, że nie odpowiedział, tylko rozejrzał się dokoła z grymasem, którego nie rozumiałam. Teraz wiedziałam już, że był to grymas obrzydzenia. Na pewno pomyślał sobie: „Pokój ulicznicy”. Najbardziej bolało mnie to, że powiedziałam te słowa z tak rozbijającą radością. Powinnam była przecież pomyśleć o tym, że człowiekowi takiemu jak on, kulturalnemu i wrażliwemu, pokój ten musiał wydać się obmierzłą dziurą, podwójnie wstrętną, i z powodu nędznego umeblowania, i użytku, jaki zeń robiłam.

Obym nie była powiedziała tego nieszczęsnego zdania, ale wymknęło mi się ono nieopatrznie i nie było na to żadnej rady. Wydawało mi się, że zdanie to jest więzieniem, z którego nie ma dla mnie wyjścia za żadną cenę. Więcej nawet, to zdanie to byłam ja sama, taka, jaką z własnej woli stałam się już na zawsze. Zapomnieć i łudzić się, że nigdy tego nie powiedziałam, oznaczałoby to samo, co zapomnieć o sobie i łudzić się, że nie istnieje.

Myśli te działały na mnie jak powolna trucizna, przenikająca po trochu do zdrowej krwi, tętniącej w moich żyłach. Zazwyczaj każdego ranka, choć przeciągałam, jak mogłam, błogie wylegiwanie się, przychodził moment, iż kołdra zaczynała mi ciążyć, i wtedy pchnięta jakimś niezależnym od mojej woli odruchem, wyskakiwałam z łóżka. Ale tego dnia było zupełnie inaczej, minęło całe przedpołudnie, przyszła pora obiadu, a ja pomimo wysiłków, żeby się przełamać, jeszcze nie zaczęłam wstawać. Wydawało mi się, że jestem jedną z tych zakotwiczonych w błotnistej zatoce zmurszałych łodzi, które pokryte są na dnie czarną, zatechłą wodą, i wystarczy, żeby ktoś stąpnął na spróchniałe deski, a załamują się one w jednej chwili i łódź, stojąca tam może od lat, tonie natychmiast. Sama nie wiem, jak długo tak przeleżałam wśród niedbale rozrzuconej pościeli, wpatrując się przed siebie z prześcieradłem podciągniętym aż po uszy. Słyszałam, jak zegar bije południe, potem godzinę pierwszą, drugą, trzecią i czwartą.

Zamknęłam drzwi na klucz, matka zaniepokojona stuknęła od czasu do czasu. Odpowiadałam, że niedługo wstanę i żeby zostawiła mnie w spokoju.

Kiedy zaczął zapadać zmierzch, zebrałam się na odwagę i z wysiłkiem, który wydał mi się nieludzki, odrzuciłam kołdrę i wstałam z łóżka.

Czułam bezwład w całym ciele; zaczęłam się myć i ubierać, raczej wlokąc się niż chodząc po pokoju. Nie myślałam o niczym, tylko uświadamiałam sobie, nie umysłem, lecz całym ciałem, że w każdym razie dzisiaj nie będę wystawać na ulicy w oczekiwaniu klientów. Kiedy się ubrałam, poszłam do matki i powiedziałam jej, że ten wieczór spędzimy razem. Wyjdziemy przejść się na miasto, a potem wypijemy w kawiarni jakiś aperitif.

Radość matki, która nie była przyzwyczajona do tego rodzaju zaproszeń, zirytowała mnie, ale sama nie wiedziałam dlaczego; po raz nie wiem który obserwowałam z niechęcią jej opuchnięte, obwisłe policzki i małe oczka, rzucające niepewne i fałszywe spojrzenia. Ale oparłam się pokusie powiedzenia czegoś niegrzecznego, bo mogło to rozwiać całą jej radość, i czekając, aż matka się ubierze, usiadłam w jadalni przy stole. Było już prawie całkiem ciemno; białe światło latarni, wpadające przez nie zasłonięte firankami szyby, połyskiwało na maszynie do szycia i długą smugą kładło się na ścianie. Schyliłam głowę, popatrzyłam na stół i zobaczyłam w półmroku kolorowe figury na rozłożonych kartach pasjansowych; matka zabijała nudę długich wieczorów stawianiem pasjansów. I nagle doznałam dziwnego uczucia; wydało mi się, że to ja jestem matką, moją własną matką, która czeka, aż jej córka Adriana wyjdzie ze swego pokoju z przygodnym kochankiem. Wrażenie owo należy zapewne przypisać temu, że usiadłam na jej krześle, przy jej stole, nad jej pasjansem. Otoczenie narzuca nam czasami takie złudzenia; na przykład niejednej osobie zwiedzającej stare lochy więzienne wydaje się, że odczuwa ten sam chłód, tę samą rozpacz, samotność, jakie przeżywał niegdyś przebywający tam więzień. Ale jadalnia nie była więzieniem, a matka nie przeżywała nigdy tak gwałtownych, działających na wyobraźnię cierpień. Po prostu żyła. W każdym razie, może właśnie dlatego, że przed chwilą byłam do niej wrogo nastawiona, sama myśl o jej życiu wywołała we mnie tę jakby reinkarnację. Ludzie dobrzy, próbując tłumaczyć czyjeś naganne postępowanie, powiadają czasami: „Wejdz w jego położenie”. I ja właśnie weszłam w położenie matki, tak dalece, że wydawało mi się, iż jestem nią.

Byłam nią, ale z pełną świadomością, że nią jestem, czego ona na pewno nie uprzytamniała sobie, bo wtedy zbuntowałaby się w jakiś sposób. Poczułam się nagle pomarszczona, zwiędła, słaba; i zrozumiałam, co to jest starość, która nie tylko zmienia powierzchowność, ale także odbiera pełnię władz fizycznych i umysłowych. Jaka była matka? Widziałam ją czasami, kiedy się rozbierała, i bezmyślnie obserwowałam jej obwisłe i ciemne piersi oraz żółty pomarszczony brzuch. Teraz te piersi, które mnie niegdyś karmiły, i ten brzuch, który wydał mnie na świat, czułam w sobie tak wyraźnie, że mogłabym ich dotknąć, i wydawało mi się, że przeżywam to samo uczucie bezradnego żalu i rozgoryczenia na widok swojego tak zmienionego ciała. Młodość i uroda czynią życie znośnym, a nawet wesołym. Ale kiedy ich zabraknie? Przeszedł mnie dreszcz przerażenia i strząsnęłam z siebie na chwilę tę zmore, ciesząc się, że w rzeczywistości jestem młodą i piękną Adrianą; że nie mam nic wspólnego z matką, która nie jest ani młoda, ani piękna i taka już będzie aż do śmierci.

Ale jednocześnie, powoli, jak mechanizm, który dopiero ma się rozkręcić, zaczęły wirować mi w głowie myśli, które musiały nawiedzać ją, kiedy czekając na mnie siedziała sama w jadalni. Nietrudno wyobrazić sobie, co myślała w takich okolicznościach osoba taka, jak moja matka, tylko że na ogół niebezpiecznie jest snuć tego rodzaju domysły i wgłębiać się w nie, bo wywołują rozgoryczenie i prowadzą do niesnasek. Ale ja kochałam matkę i

powodowana miłością starałam się wejść w jej położenie; wiedziałam, że w tych chwilach oczekiwania myśli jej nie są ani interesowne, ani lękliwe, ani bezwstydne, jednym słowem, nie mają żadnego związku z tym, czym byłam i co robiłam. Wiedziałam natomiast, że są one całkiem przypadkowe, bez znaczenia, takie, jakie plątać się mogą po głowie kobiecie tego rodzaju co moja matka, starej, biednej, nieuczzonej, która nigdy nie mogła nic przemyśleć, bo każdej jej myśli przeciwstawiły się twardo potrzeby dnia codziennego. Wielkie myśli oraz wielkie uczucia, choćby smutne i bezpłodne, wymagają czasu i pielęgnacji, tak jak delikatne rośliny, które nie od razu aklimatyzują się i długo zapuszczają korzenie. A matka zdołała wyhodować w swoim mózgu i sercu tylko nietrwale chwasty spostrzeżeń, rozczarowań i trosk dnia powszedniego. Ja mogłam, co zresztą robiłam, oddawać się w moim pokoju za pieniądze; lecz matka, siedząc w jadalni nad wiecznym pasjensem, przetrwiała bez końca zawsze te same głupstwa, jeżeli wolno mi tak nazwać to, czym żyła przez tyle, tyle lat, od dzieciństwa aż po dziś dzień: ceny żywności, sąsiedzkie ploteczki, zajęcia domowe, troska o zdrowie, robota do wykończenia i tym podobne błahostki. Co najwyżej może nadstawiała uszu, słuchając zegara bijącego na wieży pobliskiego kościoła, i myślała sobie od czasu do czasu: „Adriana jest dziś zajęta dłużej niż zwykle”, albo słysząc mnie otwierającą drzwi i rozmawiającą w przedpokoju: „Adriana już jest wolna”. I nic ponadto. Teraz, wyobrażając sobie to wszystko, stałam się matką – duszą i ciałem, i to w sposób tak wyrazisty i prawdziwy, że wydało mi się, iż kocham ją znowu i może jeszcze bardziej niż przedtem.

Skrzypnięcie otwieranych drzwi przywołało mnie do rzeczywistości. Matka zapaliła lampę pytając: – Co tu robisz po ciemku? – a ja oślepiąca wstałam od stołu i popatrzałam na nią. Natychmiast rzuciło mi się w oczy, że przebrała się od stóp do głów. Kapelusza nie włożyła, bo nie nosiła go nigdy, ale ubrała się w czarną, fantazyjnie uszytą suknię. Przez rękę przewieszoną miała torbę z czarnej skóry, z złotym metalowym zamkiem, a na szyi futerko z kota. Zwilżyła wodą szpakowate włosy i uczesała się starannie, ściągając je mocno do tyłu i upinając na czubku głowy mały, jeżący się od szpilek kok. Upudrowała nawet różowym pudrem blade, zapadnięte policzki, które wyglądały w tej chwili kwitnąco. Uśmiechnęłam się mimo woli, widząc ją tak strojną i uroczywą, podeszłam do niej i z moją zwykłą serdecznością powiedziałam: – Idziemy.

Wiedziałam, że matka lubi spacerować powolutku, w godzinach natężonego ruchu, po głównych ulicach miasta, gdzie znajdują się najelegantsze sklepy. Pojechaliśmy więc tramwajem i wysiadliśmy u wylotu Via Nazionale. Kiedy byłam mała, matka zawsze chodziła ze mną tutaj na spacer. Zaczynałyśmy iść od Piazza dell'Esedra prawą stroną, wolno, krok za krokiem, i oglądałyśmy jedną po drugiej wszystkie wystawy, dochodząc aż do Piazza Venezia. Tam przechodziłyśmy na drugą stronę ulicy i, wciąż przyglądając się sklepom, wracałyśmy, trzymając się za ręce, na Piazza dell'Esedra. Nigdy nie zdarzało się, żeby matka kupiła choćby szpilkę albo żeby wstąpiła na chwilę do jednej z licznych kawiarni; zmęczona i senna prowadziła mnie prosto do domu. Pamiętam, że nie lubiłam tych spacerów, bo w przeciwieństwie do matki, której zdawała się całkowicie wystarczać rola skrupulatnego obserwatora, ja zawsze chciałam kupić i zabrać do domu niektóre z tych pięknych rzeczy, wystawionych w jarzącym się świetle za lśniącymi szybami. Ale bardzo prędko zrozumiałam, że jesteśmy biedne, i nie zdradzałam się nigdy z tymi pragnieniami. Tylko jeden raz, sama już nie przypominam sobie dlaczego, uległam pokusie i pozwoliłam sobie na kaprysy. Przez dłuższą chwilę matka ciągnęła mnie za rękę po zatłoczonej ulicy, a ja opierałam się z całej siły, wrzeszcząc i płacząc, aż wreszcie zniecierpliwiona matka zamiast upragnionego przedmiotu dała mi kilka policzków i pod wpływem piekącego bólu zachcianki natychmiast wywietrzały mi z

głowy.

I oto znowu znalazłam się u wylotu Piazza dell'Esedra, trzymając matkę pod rękę, jak gdyby nic się nie zmieniło przez te wszystkie lata. Oto płyty chodnika, gdzie roi się od nóg obutych w pantofelki, buciska i buciki, pantofle na wysokim i niskim obcasie, buty z cholewami i sandały, że widok ten przyprawić może o zawrót głowy; oto przechodnie idący w dół i w górę ulicy, pojedynczo, parami albo grupkami: mężczyźni, kobiety i dzieci; jedni idą ospale, inni się spieszą, ale wszyscy są tacy sami, może właśnie dlatego, że każdy z nich chciałby wyglądać inaczej; te same ubiory, te same włosy, te same twarze, te same oczy, te same usta. Oto sklepy z futrami, z obuwiem, z papierem, z biżuterią, z zegarkami, z materiałami, z zabawkami, z przyborami gospodarstwa domowego, z pończochami, z rękawiczkami, magazyny mody, księgarnie, kwaciarnie, kawiarnie, kina i banki; oto oświetlone okna kamienic, w których ludzie kręcą się po mieszkaniach albo pracują siedząc za stołem; oto reklamy świetlne, zawsze te same; a na rogach kioski z gazetami, sprzedawcy pieczonych kasztanów, bezrobotni, którzy sprzedają kadzidło armeńskie i gumowe obrączki do parasoli; oto żebracy: pierwszy stoi ślepiec, z odrzuconą do tyłu, opartą o mur głową, w czarnych okularach, z czapką w rękę, nieco dalej kobieta, wyglądająca jak staruszka, z niemowlęciem przy wyschłej piersi, a jeszcze dalej idiota z żółtym, błyszczącym, podobnym do kolana kikutek w miejscu dłoni. Znalazłszy się znów na tej ulicy, w tak dobrze mi znanym otoczeniu, doznałam nagle ponurego uczucia całkowitego osamotnienia i wzdrygnęłam się cała; wydało mi się przez chwilę, że jestem naga, że ciało moje owionął lodowaty podmuch przerażenia. Przez radio w jednej z kawiarni słychać było donośny, pełen afektacji sopran. Był to okres wojny z Etiopią i artystka śpiewała „Czarną twarzyczkę”.

Matka oczywiście nie domyślała się, co odczuwam, a ja nic nie dawałam poznać po sobie. Zresztą, jak już wspomniałam, wyglądam zawsze na osobę pogodną, łagodną i flegmatyczną i nikt nie odgadłby, co mi chodzi po głowie. Ale nagle ogarnęło mnie wzruszenie (kobięcy głos śpiewał teraz sentymentalną piosenkę), wargi zaczęły mi drżeć i powiedziałam do matki:

– Czy pamiętasz, jak przyprowadziłaś mnie tutaj i jak oglądałyśmy wystawy?

– Tak – odpowiedziała. – Ale wtedy wszystko było o wiele tańsze. Na przykład ta torebka! Mogłaś ją wtedy kupić za trzydzieści lirów.

Od sklepu z torebkami przeszliśmy do sklepu jubilerskiego. Matka zatrzymała się, żeby popatrzeć na biżuterię, i mówiła jak w ekstazie:

– Popatrz na ten pierścionek... Ile też on może kosztować? A ta bransoleta, cała z kutego złota! Dla mnie pierścionki i bransoletki mogą nie istnieć, ale przepadam za naszyjnikami! Miałam niegdyś naszyjnik z koralami, ale musiałam go sprzedać.

– Kiedy?

– Och, tyle lat temu!

Sama nie wiem dlaczego, przyszło mi na myśl, że pomimo niezłych zarobków w moim zawodzie nie mogłam sobie dotychczas kupić nawet najskromniejszego pierścioneczka. Powiedziałam do matki:

– Wiesz co? Postanowiłam, że od dzisiaj nie będę już nikogo przyprowadzała do domu... Skończone. Zdarzyło się po raz pierwszy, że otwarcie mówiłam z matką o mojej profesji. Twarz jej przybrała jakiś dziwny wyraz, którego nie umiałam sobie wytłumaczyć; po chwili odrzekła:

– Mówiłam ci już tyle razy... Rób, co chcesz, bylebyś była zadowolona, to i ja będę zadowolona.

Ale nie wyglądała na zadowoloną. Ciągnęłam dalej:

– Trzeba będzie wrócić do dawnego życia... Będziesz musiała zabrać się znowu do krojenia i szycia koszul.

– Robiłam to przez tyle lat... – odpowiedziała.

– Nie będziemy już miały tyle pieniędzy co teraz – mówiłam dobitnie, z pewnym okrucieństwem. – Co do mnie, nie wiem jeszcze, co będę robiła...

– A co chciałabyś robić? – zapytała matka z nadzieją w głosie.

– Jeszcze nie wiem – odrzekłam – albo będę znowu modelką, albo będę pomagała ci w pracy.

– Ech, co ty mi możesz pomóc... – powiedziała wymijająco.

– Albo – ciągnęłam dalej – pójdę na służbę... A ty co byś chciała?

Na twarzy matki malował się teraz smutek i gorzkość, jak gdyby poczuła, że opadają z niej „tłuste lata” niczym zeschnięte liście z drzew po pierwszych jesiennych chłódach. Ale powiedziała z uporem: – Zrobisz, co zechcesz, bylebyś tylko, jak ci powiedziałam, była zadowolona.

Rozumiałam, że walczą w niej dwa przeciwne uczucia: miłość do mnie i przywiązanie do wygodnego życia. Sprawilo mi to przykrość, wołałabym, żeby umiała się zdobyć na stanowcze wyrzeczenie się albo miłości do mnie, albo korzyści osobistych. Ale rzadko kiedy spotyka się tego rodzaju zdecydowaną postawę, bo w życiu naszym cnoty i przywary odgrywają taką samą rolę i w rezultacie niwelują się wzajemnie. Odpowiedziałam jej.

– Nie byłam zadowolona przedtem... i nie będę teraz zadowolona, tylko nie mam już siły żyć tak dalej.

Potem nie odzywałyśmy się już do siebie. Twarz matki posmutniała i poszarzała, zdawało mi się, że ta zaokrąglona w ostatnich czasach twarz staje się znowu wydłużona i zapadnięta jak dawniej. Oglądała wystawy równie długo i uważnie jak przedtem, ale już bez przyjemności i zainteresowania, mechanicznie, jak gdyby myślała o czymś innym. Może wcale nie widziała tego, co miała przed oczyma, a może zamiast towarów w sklepach widziała maszynę do szycia z niezmordowanym pedałem i igłą, która wznosi się i opada jak szalona, stosy nie wykończonych koszul na stole, czarny perkal, w który zawija się gotową robotę, roznoszoną po mieście klientom. Mnie nic nie majaczyło przed oczyma. Widziałam wszystko dokładnie i myśli moje były jasne. Przebiegałam wzrokiem kolejno wszystkie przedmioty za szybą, karteczki z cenami i mówiłam sobie, że mogę nie chcieć uprawiać dalej swojej profesji – jak też było w istocie – ale że jednocześnie nie mogę robić nic innego. Obecnie, oczywiście w pewnych granicach, mogłabym pozwolić sobie na kupno wielu z tych leżących na wystawach przedmiotów, ale gdybym wróciła do zawodu modelki czy innej tego rodzaju pracy, musiałabym raz na zawsze wyrzec się tego wszystkiego. I znowu dla mnie i dla matki zaczęłoby się owo życie męczące i szare, pełne nie zaspokojonych pragnień, bezowocnych poświęceń i bezużytecznego ciułania każdego grosza. Teraz mogłam się nawet spodziewać, że znajdę kogoś, kto kupiłby mi jakiś klejnocik. Ale gdybym wróciła do dawnego życia, biżuteria byłaby dla mnie równie nieosiągalna jak gwiazdka z nieba. Ogarnął mnie wstręt do tamtych dni, przedstawiających mi się jako pasmo głupich, beznadziejnych udřeceń, a zarazem uświadamiałam sobie, że motywy tej odmiany mojego życia są wręcz absurdalne, że myślę o tym wszystkim tylko dlatego, że student, którym zawróciłam sobie głowę, nie chce mnie, a ja ubzdurałam sobie, iż on mną pogardza. Powiedziałam sobie, że wchodzi tu w grę obrażona duma i że nie wolno mi z tego tylko powodu skazywać siebie i matki na dawne nędzne warunki. Ujrzałam nagle, jak życie Giacomina, które na moment splotło się z moim, oddala się w inną stronę, a moje własne płynie wyżłobionym już korytem. „Gdybym spotkała kogoś, kto by mnie kochał i ożenił się ze mną, to inna sprawa, nawet gdyby był biedny – myślałam – ale nie

warto robić tego dla mrzonki”. Myśl ta przyniosła mi wyzwolenie, ulgę i spokój. Później doznawałam owego uczucia bardzo często, za każdym razem, kiedy nie tylko nie broniłam się przeciwko kolejom losu, jakie niosło mi życie, ale wychodziłam im naprzeciw. Byłam taka, jaka byłam, i miałam być taka, a nie inna. Mogłam być dobrą żoną, choć może się to wydać dziwne, albo kobietą, która sprzedaje się za pieniądze; ale w żadnym razie nieszczęsną istotą, która boryka się z życiem i przymiera głodem tylko dlatego, żeby zadowolić swoją miłość własną. Tak pogodziwszy się na koniec sama ze sobą, uśmiechnęłam się.

Stałyśmy przed sklepem z odzieżą damską, wełnianą i jedwabną, i matka powiedziała:

– Popatrz, jaka śliczna chustka! Właśnie taka byłaby dla mnie odpowiednia.

Spokojna i rozpozgodzona, spoglądałam na chustkę, którą pokazywała mi matka. Była to rzeczywiście prześliczna chustka, czarno-biała, w deseń z ptaków i gałązek. Drzwi od sklepu były otwarte i na wprost nich stała lada, a na niej pudło z przegródkami, w którym piętrzyły się w nieładzie różne chustki. Zapytałam:

– Podoba ci się ta chustka?

– Tak, a dlaczego?

– Zaraz ją dostaniesz, ale najpierw weź moją torbę i daj mi twoją.

Nie rozumiała, o co idzie, i patrzyła na mnie z otwartymi ustami. Bez słowa wzięłam jej dużą torbę z czarnej skóry, a jej wcisnęłam do ręki moją, o wiele mniejszą. Otworzyłam zamek przy torbie i zaciskając jej brzegi w palcach, weszłam do sklepu pewnym krokiem klienta, który zamierza coś kupić. Matka wciąż jeszcze nic nie rozumiała, ale nie śmiała pytać i weszła za mną.

– Chciałybyśmy obejrzeć jakieś chustki – powiedziałam do ekspedientki, podchodząc do pudełka z przegródkami.

– Te są z jedwabiu... te z kaszmiru... te z wełny... te z bawełny – zaczęła mówić ekspedientka rozkładając przede mną chustki. Stanęłam tuż koło lady, trzymając torebkę na wysokości brzucha, i jedną ręką zaczęłam przerzucać chustki, rozwijając je i przybliżając do światła, żeby lepiej obejrzeć kolory i desenie. Chustek czarno-białych, jednakowych, było tam co najmniej tuzin. Zarzuciłam jedną z nich na sam brzeżek pudełka, w ten sposób, że rąbek jej zwisał z lady, i powiedziałam do ekspedientki:

– Wolałabym raczej coś w żywszych kolorach.

– Mam, ale w lepszym gatunku – rzekła ekspedientka są dużo droższe.

– Proszę mi pokazać.

Ekspedientka odwróciła się, aby zdjąć pudełko z półek. Byłam w pogotowiu, odsunęłam się nieco od lady i otworzyłam torbę. Pociągnięcie za rąbek chustki i zbliżenie się znowu do lady było dziełem jednej chwili. Ekspedientka zdjęła tymczasem pudełko, postawiła je na ladzie i zaczęła pokazywać mi inne chustki, większe i jeszcze ładniejsze. Oglądałam je długo, spokojnie, robiąc uwagi o deseniach i kolorach, a także pokazując je matce z wyrazami pełnymi zachwytu. Ona, która wszystko widziała, odpowiadała mi tylko skinieniem głowy, na w pół żywa ze strachu.

– Po ile są te chustki? – zapytałam na koniec.

Ekspedientka wymieniła cenę. Odpowiedziałam rozżalonym tonem:

– Miała pani rację, są znacznie droższe... za drogie, przynajmniej dla mnie... W każdym razie bardzo dziękuję.

Wyszliśmy ze sklepu; skierowałam się szybkim krokiem w stronę pobliskiego kościoła, ponieważ obawiałam się, że ekspedientka może zauważyć kradzież i wybiec za mną na ulicę. Matka, na wpół przytomna, uczepiła się mego ramienia. Rozglądała się dokoła podejrzliwie niczym pijak, który nie jest całkiem pewny, czy to on jest pijany, czy też to wszystko, co widzi jak przez mgłę, chwije mu się przed oczyma. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu na widok jej oszołomienia. Sama nie wiem, czemu ukrađłam tę chustkę; zresztą sam fakt nie miał znaczenia, bo ukrađłam już przedtem puderniczkę w domu chlebobawczyni Gina, a w tego rodzaju sprawach liczy się pierwszy krok. Ale odczułam tę samą zmysłową przyjemność co za pierwszym razem i wydawało mi się, że rozumiem teraz, dlaczego tyle ludzi kradnie. Po krótkiej chwili znalazłyśmy się przed kościołem w bocznej ulicy i powiedziałam matce:

– Może wstąpimy na chwilę do kościoła?

– Jak chcesz – odrzekła pokornym głosem.

Weszliśmy do kościoła, który był nieduży i cały biały; miał kształt rotundy, a ustawione w krąg kolumny czyniły go podobnym do sali balowej. Kiedy podniosłam oczy do góry i zobaczyłam na kopule freski przedstawiające postacie aniołów z rozłożonymi skrzydłami, doznałam uczucia pewności, że te anioły, tak piękne i potężne, ochronią mnie i sprawią, że ekspedientka aż do wieczora nie zorientuje się w kradzieży. Po hałaśliwej, jasno oświetlonej ulicy kojąco podziałała na mnie atmosfera skupienia panującego w kościele, cisza, półmrok i zapach kadzidła. Weszłam tu szybkim krokiem, nieomal pchając przed sobą matkę, ale uspokoiłam się natychmiast i nie lękałam się już niczego. Matka zrobiła gest, jak gdyby chciała coś wyjąć z mojej torebki, którą do tej pory trzymała w ręku. Oddałam więc jej własną torbę i powiedziałam:

– Włóż chustkę.

Matka otworzyła torbę i zawiązała na głowie skradzioną chustkę. Umoczyłyśmy palce w kropielnicy z wodą święconą i poszłyśmy do pierwszego rzędu ławek, przed główny ołtarz. Ja uklękłam, a matka usiadła i założyła ręce na brzuchu; za duża chustka rzucała cień na jej twarz. Widziałam, że jest bardzo poruszona, i mimo woli porównywałam jej zdenerwowanie z moim spokojem. Byłam teraz pogodna, łagodna jak baranek i chociaż wiedziałam, że popełniłam czyn potępiany przez Kościół, nie miałam wyrzutów sumienia i czułam się teraz o wiele bliższa religii niż wtedy, kiedy nie robiłam nic złego i z zaciśniętymi zębami pracowałam na kawałek chleba. Przypominałam sobie, jak przed chwilą wzdrygnęłam się z lękiem, patrząc na rojącą się od ludzi ulicę, i poczułam ulgę na myśl, że jest Bóg, że czyta we mnie jak w otwartej księdze, że widzi wszystko i że ja, przez sam fakt, że żyję, jestem niewinna, jak zresztą wszyscy ludzie. Wiedziałam, że Bóg istnieje nie po to, żeby sądzić mnie i potępić, ale żeby mnie usprawiedliwić jako żyjącą istotę, która nie może być zła, bo jest całkowicie i bezpośrednio zależna od niego. Odmawiając machinalnie pacierze patrzałam na ołtarz, na którym poza płomykami świec widniał ciemny obraz. Wydało mi się, że jest to wizerunek Madonny, i rozumiałam, że między Madonną i mną sprawy układają się tak, iż nieważne jest, czy postępuję w taki czy inny sposób, tylko czy czuję w sobie chęć do życia, czy też nie. I wydało mi się nagle, że otucha spływa ku mnie z ciemnej postaci za świecami ołtarza i jak ciepła fala zalewa moje serce. Tak, odzyskałam chęć do życia, chociaż ani go nie rozumiałam, ani nie wiedziałam, po co mi je dano.

Matka siedziała posępna i otepiąta, w nowej chustce, która jak dziób sterczała jej nad nosem; obejrzałam się i na jej widok uśmiechnęłam się z czułością. – Pomódl się trochę... to ci dobrze zrobi – szepnęłam. Matka drgnęła, ociągała się przez chwilę, po czym jak gdyby niechętnie uklękła i złożyła ręce. Wiedziałam, że od dawna już straciła

wiarę, widząc w niej fałszywą pociechę, która trzyma ludzi w ryzach i każe im zapominać o twardym życiu. Zobaczyłam jednak, że mechanicznie porusza ustami, i jej pełna nieufności mina znowu wywołała uśmiech na mojej twarzy. Miałam ochotę uspokoić ją, powiedzieć, że się rozmyśliłam, że może się o nic nie martwić, bo nie będzie musiała wrócić do dawnej ciężkiej pracy. W złym humorze matki było coś niedojrzałego, przypominała dziecko, któremu nie dano obiecanych łakoci, i wydawało mi się, że to właśnie cechowało w pierwszym rzędzie także jej stosunek do mnie. Gdyby tak nie było, mogłabym przypuszczać, że uważa moją profesję za środek do urządzenia sobie wygodnego życia, a wiedziałam, że w gruncie rzeczy tak nie jest.

Kiedy skończyła odmawiać pacierz, przeżegnała się, ale obojętnie i oficjalnie, jak gdyby chciała podkreślić, że robi to tylko dla mnie; wstałam i dałam jej znak, że wychodzimy. Na progu kościoła zdjęła chustkę, złożyła ją starannie i wsunęła do torby. Wróciliśmy na Via Nazionale; zatrzymałam się przed kawiarnią.

– Wstąpimy teraz na wermut – powiedziałam. Matka natychmiast zaprotestowała:

– Nie, nie... po co, nie trzeba – z niepokojem, a zarazem z pewnym zadowoleniem. Zawsze była taka i starym nawykiem bała się, żebym nie wydała za dużo.

– A cóż się takiego stanie? – odpowiedziałam. – Po jednym wermucie! – Zamilkła i weszła za mną do kawiarni.

Był to lokal starego typu, z kontuarem i boazeriami z politurowanego mahoniu, i oszklonymi półkami, gdzie stały ozdobne pudełka ze słodyczami. Usiadłyśmy w kąciku, zamówiłam dwa wermuty. Matka, onieśmielona widokiem kelnera, siedziała sztywno ze spuszczonej oczyma. Kiedy podano nam wermut, wzięła kieliszek do ręki, umoczyła w nim usta i stawiając go z powrotem na stoliku popatrzyła na mnie i powiedziała z powagą:

– To bardzo dobre.

– To wermut – odrzekłam.

Kelner przyniósł metalową paterę ze szklaną pokrywą, pełną ciastek. Otworzyłam ją i powiedziałam matce:

– Weź sobie ciastko.

– Nie, nie... na litość boską...

– Ależ weź!

– Popsuję sobie apetyt.

– Jednym ciastkiem? – Zajrzałam do patery i wybrałam dla niej francuskie ciastko z kremem. – Zjedz to... jest lekkie – namawiałam ją.

Wzięła ciastko i zaczęła jeść powolutku, w skupieniu, oglądając je za każdym kąsem.

– Jest naprawdę dobre – przyznała wreszcie.

– Weź jeszcze jedno. – Tym razem nie dała się prosić i sięgnęła po następne. Po wypiciu wermutu siedziałyśmy w milczeniu, obserwując wchodzących i wychodzących. Czułam, że matka jest zadowolona, iż siedzi tu sobie w kąciku po tych dwóch ciastkach i wermucie. Interesował ją i bawił ruch w kawiarni i nie miała mi nic do powiedzenia. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu znalazła się w takim lokalu i oszołomienie wywołane tym przeżyciem nie pozwalało jej dzielić się ze mną żadnymi uwagami.

Weszła młoda pani prowadząc za rękę dziewczynkę ubraną w pelerynkę z puszystego białego futerka, króciutką sukieneczkę, białe skarpetki i rękawiczki. Powiedziałam do matki:

– Kiedy byłam mała, nie zabierałaś mnie nigdy do cukierni.

– Jakim cudem mogłabym sobie na to pozwolić? – odrzekła.

– A tymczasem teraz – dokończyłam spokojnie – ja ciebie zapraszam.

Milczała przez chwilę, po czym mruknęła z niechęcią:

– Już mi wymawiasz, że tu przyszłam, a ja przecież nie chciałam.

Położyłam rękę na jej dłoni i powiedziałam:

– Nic ci nie wymawiam, wprost przeciwnie, jestem bardzo zadowolona, że przyprowadziłam cię tutaj. Czy babcia nigdy nie zabierała cię do cukierni?

Potrząsnęła głową przecząco:

– Do osiemnastego roku życia nie ruszyłam się nigdy poza moją dzielnicę.

– No widzisz – zawołałam – zawsze ktoś w rodzinie tego czy innego dnia zaczyna robić pewne rzeczy. Ty ich nie robiłaś ani twoja matka, ani też pewnie matka twojej matki, a więc robię to ja. Nie może być przecież wiecznie tak samo!

Nic na to nie odpowiedziała i przez dobry kwadrans siedziałyśmy w milczeniu, obserwując ludzi. Potem otworzyłam torebkę, wyjęłam papierośnicę i zapaliłam papierosa. Kobiety takie jak ja często palą w lokalach publicznych, aby zwrócić na siebie uwagę mężczyzn. Ale ja daleka byłam w tej chwili od myśli o złapaniu klienta, a nawet postanowiłam już, że dziś wieczorem nie będę nic robić. Po prostu miałam ochotę na papierosa. Włożyłam go do ust, zaciągnęłam się dymem, który wypuszczałam nosem i ustami, trzymając papierosa w dwóch palcach i rozglądając się po sali.

Ale widocznie w mojej pozie musiało być coś prowokującego, bo natychmiast spostrzegłam mężczyznę stojącego przy kontuarze i podnoszącego do ust filiżankę kawy; jego ręka wraz z filiżanką zawisła nagle nieruchomo w powietrzu, oczy zaś przenikliwie wpatrywały się we mnie. Był to mężczyzna około czterdziestki, niski, o kędzierzawych włosach opadających na wąskie czoło, o wyłupiastych oczach i wydatnej dolnej szczęce. Odnosiło się wrażenie, że w ogóle nie ma szyi, tylko masywny kark. Stał nieruchomo, z filiżanką w ręku, i przypominał byka, który na widok czerwonej płachty zastyga na chwilę w bezruchu, zanim rzuci się na nią ze spuszczoneym łbem. Nie odznaczał się elegancją, ale miał na sobie porządny obcisły płaszcz, którego krój podkreślał jego szerokie bary. Spuściłam oczy i z papierosem w ustach rozważałam przez moment wszystko, co przemawiało za i przeciw temu mężczyźnie. Od razu wiedziałam – znałam tego rodzaju typy – że wystarczy, bym na niego spojrzała, a żyły wystąpią mu na szyi i twarz obleje się purpurą; lecz nie byłam pewna, czy on mi się podoba. Ale już po chwili, niby młoda roślina, w której pęcznią soki żywotne, poczułam nagle, że ogarnia mnie nieprzewyciężona chęć zwabienia go do siebie, co kazało mi porzucić pełne rezerwy zachowanie. Pomyślałam sobie, że nie ma na to rady, że jest to silniejsze ode mnie. I stało się to za ledwie w godzinę po decyzji, że raz na zawsze zrywam z moją profesją! Ale myśli moje były wesole, bowiem od chwili wyjścia z kościoła pogodziłam się z moim losem i czułam, że owa rezygnacja miała dla mnie bardziej doniosłe znaczenie niż jakiegokolwiek najszlachetniejsze wyrzeczenia. Tak więc po chwili namysłu spójrzałam na tego mężczyznę. Stał wciąż w tym samym miejscu, rozjuszony, z filiżanką w potężnej, owłosionej dłoni, i patrzył na mnie wybałuszonymi wolimi oczami. Zdecydowałam się więc i zalotnie, z uśmiechem obrzuciłam go przeciągłym, pieszczotliwym spojrzeniem. On natychmiast zrozumiał, o co chodzi, i zareagował na to tak, jak przypuszczałam; cała twarz nabiegła mu krwią. Wypił kawę, postawił filiżankę na ladzie i drobnymi kroczkami, wyprostowany, z wypiętym torsem, uwydatniającym się pod obcisłym płaszczem, podszedł do kasy i

zapłacił. Na progu obejrzał się i niedwuznacznym, energicznym gestem dał mi do zrozumienia, że będzie na mnie czekał. Odpowiedziałam mu wymownym spojrzeniem. Wyszedł, a ja zwróciłam się do matki:

– Muszę już iść, ale ty posiedź sobie tutaj jeszcze trochę, bo i tak nie mogłybyśmy wracać razem.

Matka napawała się widokiem cukierni i drgnęła zdumiona:

– Dokąd idziesz?... Dlaczego?

– Ktoś czeka na mnie na ulicy – powiedziałam wstając – masz tu pieniądze, zapłać, a potem wracaj. Ja zresztą będę w domu wcześniej... ale nie sama.

Matka popatrzała na mnie z przerażeniem i, jak mi się wydało, z pewnym wyrzutem, ale nie powiedziała nic. Pożegnałam ją ruchem ręki i wyszłam. On czekał na mnie na ulicy. Ledwie zdążyłam wyjść z kawiarni, już był przy mnie i mocno ścisnął mnie za ramię.

– Dokąd idziemy?

– Do mnie.

Tak więc po paru godzinach udręki zrezygnowałam z walki z tym, co zdawało się być moim przeznaczeniem, co więcej, przyjęłam je z otwartymi ramionami, jak przyjmuje się wroga, którego nie można pokonać. Mógłby ktoś pomyśleć, że o wiele wygodniej jest pogodzić się z haniebnym, ale przynoszącym korzyści losem, niż go odrzucić. Lecz ja często zadawałam sobie pytanie, dlaczego tyle jest goryczy i złości u ludzi podporządkowujących się zawsze pewnym zasadom i ideałom, a dlaczego ci, którzy ulegają słabostkom i których życie ma niejedną ciemną kartę, są zazwyczaj weseli i życzliwi dla innych. Zresztą w tych wypadkach każdy kieruje się nie tyle zasadami, ile własnym temperamentem, który tym sposobem staje się jakby przeznaczeniem. A moim przeznaczeniem, jak zresztą już wspomniałam, było zachować za wszelką cenę pogodę, wrodzoną łagodność i spokój; i godziłam się z moim losem.

Rozdział 3

Z Giacomą zrezygnowałam i postanowiłam nie myśleć o nim więcej. Czułam, że go kocham, że gdyby wrócił, byłabym szczęśliwa i kochałabym go jeszcze bardziej. Ale czułam także, że nie pozwoliłabym się już upokarzać. Gdyby nawet wrócił, nie zmieniałabym mego obecnego życia, w którym dobrowolnie zamknęłam się niby w niezdobytej fortecy. Zrozumiałam, że siła moja polega nie na jakichś nierealnych dążeniach i aspiracjach, ale na pogodzeniu się z rzeczywistością. Moją siłą było ubóstwo, mój zawód, matka, nędzne mieszkanie, ubogie sukienki, skromne pochodzenie, moje nieszczęścia, a sięgając jeszcze głębiej, owo uczucie, które nakazywało mi przyjmować to wszystko z pogodą i które tkwiło, ukryte we mnie, jak drogi kamień w ziemi. Byłam pewna, że nigdy już nie zobaczę Giacomą, i dlatego właśnie kochałam go w sposób całkiem dla mnie nowy, bezinteresownie i beznadziejnie, co jednak nie było pozbawione pewnego uroku. Kochałam go, jak kocha się tych, którzy umarli i nigdy już nie powrócą.

W tym okresie zerwałam ostatecznie stosunki z Ginem. Jak już mówiłam, nie uznaję gwałtownych zerwań, uważam, że wszystko, co żyje własnym życiem, powinno umierać własną śmiercią. Moje postępowanie z Ginem najlepiej świadczy o tym, że potrafiłam wprowadzić w czyn tę zasadę. Nasze stosunki skończyły się, bo po prostu wygasł ich żywot, i nie było w tym mojej winy ani też w pewnym sensie winy Gina; skończyły się, nie pozostawiając po sobie żalu czy wyrzutów sumienia.

Widywałam się z nim od czasu do czasu, dwa albo trzy razy na miesiąc. Wspominałam już, że wciąż jeszcze mi się podobał, chociaż straciłam dla niego szacunek. Pewnego dnia zatelefonowałam do willi i umówiliśmy się w mleczarni.

Mleczarnia ta znajdowała się w mojej dzielnicy. Gino czekał na mnie w małej salce za sklepem; był to pokoik bez okna, cały wyłożony kafelkami. Kiedy tam weszłam, zobaczyłam, że Gino nie jest sam. Siedział z nim jakiś mężczyzna odwrócony plecami do wejścia, w zielonym nieprzemakalnym płaszczu; włosy miał jasnobłond, ostrzyżone na jeża. Podeszłam do stolika; Gino wstał na mój widok, ale jego towarzysz nie ruszył się z miejsca.

– Przedstawiam ci mego przyjaciela Sonzogno – powiedział Gino. Wtedy tamten wstał także, a ja spojrzałam na niego i podałam mu rękę. Ale kiedy wymieniliśmy powitalny uścisk, miałam wrażenie, że moja dłoń znalazła się w kleszczach, i krzyknęłam z bólu. On natychmiast puścił moją rękę, a ja usiadłam mówiąc z uśmiechem:

– Bardzo mnie to zabolowało. Czy zawsze wita się pan w ten sposób?

Nic na to nie odpowiedział, nie uśmiechnął się nawet. Miał twarz białą jak papier, wypukłe, sklepione czoło, małe bładoniebieskie oczy, spłaszczony nos i usta wąskie jak cięcie brzytwy. Włosy miał jasne, sztywne, płowe, krótko przycięte na wklęsłych skroniach. Twarz była szeroka, szczęki wydętne i nieforemne. Miał nerwowy tik i skóra na policzkach podrygiwała mu nieustannie. Gino, który odnosił się do swego przyjaciela z pełnym szacunkiem podziwem, zawołał śmiejąc się:

– To jeszcze nic! Żebyś ty wiedziała, jaki on jest silny... On ma zakazaną pięść!

Wydawało mi się, że Sonzogno wrogo na niego spoglądał. Powiedział po chwili głuchym głosem:

– To nieprawda, że mam zakazaną pięść, ale mógłbym mieć.

Zapytałam:

– Co to znaczy zakazana pięść?

Sonzogno odpowiedział krótko:

– Jeżeli ktoś może zabić człowieka pięścią, nie wolno mu używać pięści, bo jest to równoznaczne z użyciem rewolweru.

– Zobacz tylko, jaki on jest silny! – nalegał Gino podniecony, jak gdyby chcąc przypochlebić się Sonzognowi. – No zobacz... dotknij jego ręki!

Zawahałam się, ale Gino nie ustępował i miałam wrażenie, że i jego przyjaciel tylko na to czeka. Wyciągnęłam dłoń, a on zgiął rękę, napinając mięśnie przedramienia z wielką powagą, prawie z nabożeństwem. Dotknęłam ich i ku memu zdumieniu – bo na oko znajomy Gina wyglądał jak cherlak – wyczułam pod palcami, poprzez rękaw, jakby zwój stalowych drutów. Cofnęłam rękę z okrzykiem, sama nie wiem: zdziwienia czy grozy. Sonzogno popatrzył na mnie z zadowoleniem, lekki uśmiech błąkał się po jego wargach.

– To mój stary przyjaciel – powiedział Gino. – Prawda, Primo, że znamy się ładny kawałek czasu?... Jesteśmy, można powiedzieć, jak dwaj bracia. – Oparł rękę na ramieniu Sonzogna i dodał: – Mój stary Primo!

Ale tamten poruszył ramionami, jak gdyby chciał strząsnąć z siebie dłoń Gina, i odpowiedział:

– Nie jesteśmy ani przyjaciółmi, ani braćmi. Pracowaliśmy razem w jednym garażu, to wszystko. Gino bynajmniej nie stracił tupetu:

– Ech, wiem, że ty nie chcesz być niczym przyjacielem, zawsze jesteś sam, chodzisz zawsze własnymi drogami, nie uznajesz ani kobiet, ani mężczyzn.

Sonzogno spojrział na niego. Wzrok jego był przenikliwy, niesłychanie natężony i badawczy; pod tym spojrzeniem Gino spuścił oczy. Sonzogno powiedział:

– Kto ci naopowiadał tych bzdur? Przestaję, z kim mi się podoba, i z kobietami, i z mężczyznami.

– Powiedziałem to ot, tak sobie – poprawił się Gino zbity z tropu. – Ja w każdym razie nigdy cię z nikim nie widziałem.

– Co ty tam możesz o mnie wiedzieć.

– Widywałem cię codziennie i rano, i wieczorem.

– No i co z tego, żeś mnie codziennie widywał?

– To – ciągnął dalej z uporem, wyraźnie już zmieszany, Gino – że widziałem cię zawsze samego i przypuszczałem, że nie widzisz się z nikim. Jeżeli ktoś ma kobietę czy przyjaciela, to zawsze ludzie o tym wiedzą.

Tamten odpowiedział brutalnie:

– Nie rób z siebie kretyna!

– Teraz zaczynasz mi wymyślać od kretynów – odpowiedział Gino kapryśnym tonem, udając obrażonego, ale widać było, że jest wystraszony.

Sonzogno powtórzył:

– Tak, nie rób z siebie kretyna, bo skuję ci mordę.

Zrozumiałam nagle, że nie tylko mógłby to zrobić, ale że ma ten zamiar. Schwyciłam go za rękę i powiedziałam:

– Jeżeli chcecie się bić, to, proszę was, nie róbcie tego przy mnie... Nie znoszę takich widoków.

– Przedstawiłem cię mojej przyjaciółce – rzekł z wyrzutem Gino – a ty przestraszyłeś ją swoim zachowaniem... Jeszcze sobie pomyśli, że jesteśmy śmiertelnymi wrogami!

Sonzogno odwrócił się w moją stronę i po raz pierwszy naprawdę się uśmiechnął. Uśmiechając się przymrużał oczy, marszczył czoło wyszczerzając drobne, nieładne zęby i pokazując dziąsła. Powiedział:

– Ta panienska wcale się nie przestraszyła, prawda?

Odrzekłam sucho:

– Nie przestraszyłam się, ale już powiedziałam, że nie lubię burd.

Zaległo dłuższe milczenie. Sonzogno siedział bez ruchu, trzymając ręce w kieszeniach płaszcza; policzek drgał mu nerwowo, wpatrywał się przed siebie. Gino palił ze spuszczoną głową; dym, który wypuszczał ustami, owiewał mu twarz i uszy, które pozostały jeszcze szkarłatne. Po chwili Sonzogno wstał i powiedział:

– No, pójdę już.

Gino zerwał się na równe nogi i skwapliwie podał mu rękę:

– A więc zgoda między nami, prawda, Primo?

– Zgoda – odrzekł tamten przez zaciśnięte zęby. Ucisnął mi rękę, tym razem bezboleśnie, i odszedł. Skoro tylko znikł, powiedziałam żartobliwie do Gina:

– Może i jesteście przyjaciółmi, może nawet żyjecie ze sobą jak bracia, ale co ci nagadał, to ci nagadał!

Gino, który już odzyskał pewność siebie, powiedział:

– On już jest taki, ale to nie jest zły człowiek, a poza tym zależy mi, aby być z nim w dobrych stosunkach...

Oddał mi pewną przysługę.

– Jaką?

Zauważyłam, że Gino jest bardzo podniecony i że koniecznie chce mi coś opowiedzieć. Twarz nagle mu się rozpogodziła, nadał policzki i zaczął mówić gorączkowo:

– Pamiętasz tę puderniczkę mojej pani?

– Tak... no i co?

W oczach Gina mignął wesoły chochlik; powiedział zniżając głos:

– A więc rozmyśliłem się i nie oddałem jej.

– Nie oddałeś?!

– Nie... Pomyślałem sobie, że moja pani jest tak bogata, że jedna puderniczka mniej czy więcej nie ma dla niej żadnego znaczenia... tym bardziej że było już po fakcie – dorzucił charakterystycznym dla niego, pełnym rezerwy tonem – i że nie ja ją ukradłem.

– To ja ukradłam ją – powiedziałam spokojnie.

Udał, że mnie nie słyszy, i ciągnął dalej:

– Ale potem zaczął się cały problem ze sprzedażą. Taki przedmiot rzucający się w oczy, łatwy do rozpoznania, bałem się... i dłuższy czas przeleżała u mnie w kieszeni; na koniec spotkałem Sonzogna i opowiedziałem mu o tym...

– Czy opowiedziałeś mu także o mnie? – przerwałam.

– Nie, o tobie nie. Powiedziałem, że dała mi to moja przyjaciółka, nie wymieniając nazwiska... i on... on,

pomysł, w trzy dni, sam nie wiem jak, sprzedał ją i przyniósł mi pieniądze, zatrzymując oczywiście, tak jak było umówione, swoją część. – Był uradowany i rozejrzawszy się dokoła wyciągnął z kieszeni plik banknotów.

Sama nie wiem dlaczego, ale w tej chwili poczułam do niego nieprzewycięzoną niechęć. Nie, żebym go potępiała, nie miałam ku temu żadnego prawa, ale jego radosny ton miał w sobie coś odpychającego; poza tym przeczuwałam, że nie powiedział mi wszystkiego i że to, co przemilczał, musiało być jeszcze o wiele gorsze.

– Dobrze zrobiłeś – odrzekłam cierpko.

– Masz – ciągnął dalej, rozwijając banknoty – to jest dla ciebie, już przeliczyłem.

– Nie, nie – odpowiedziałam natychmiast – nie chcę nic, nic!

– Ale dlaczego?

– Nic nie chcę!

– Chcesz mnie obrazić – powiedział. Twarz jego posmutniała i przybrała podejrzliwy wyraz, złączyłam się więc, że obraziłam go naprawdę. Położyłam dłoń na jego dłoni i wykrztusiłam z wysiłkiem:

– Gdybyś mi tego nie zaproponował, nie byłabym obrażona, ale co najmniej zdziwiona, ale teraz wszystko jest w porządku, a pieniędzy nie chcę, bo dla mnie jest to już sprawa skończona... Ale cieszę się, że ty je masz.

Nie mógł zrozumieć, o co chodzi, patrzył na mnie z niedowierzaniem, przenikliwie, jak gdyby chciał odgadnąć ukrytą przyczynę odmowy. Kiedy później nieraz o tym myślałam, uświadomiłam sobie, że on nie mógł mnie zrozumieć, bo żył w innym świecie niż ja, bo myślał i czuł inaczej. Nie wiem, czy świat ten był gorszy, czy lepszy od mojego, wiem tylko tyle, że pewne słowa miały inny sens dla niego, inny dla mnie, i że większość jego postępów, którymi on chełpił się i szczycił, ja uważałam za naganne. Na przykład wysoko cenił inteligencję, którą utożsamiał ze sprytem. I dzieląc ludzi na sprytnych i pozbawionych sprytu, usiłował za wszelką cenę należeć do tej pierwszej kategorii. Ale ja nie jestem sprytna i może brak mi inteligencji; w każdym razie nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego jakiś występny czyn ma być, nie powiem godny podziwu, ale wybaczalny tylko dlatego, że został zręcznie dokonany.

Ginowi wydało się nagle, że wszystko zrozumiał, i zawołał:

– Wiem już, nie chcesz przyjąć tych pieniędzy, bo się boisz... Boisz się, że kradzież się wyda; ale bądź spokojna, wszystko się dobrze ułożyło.

Wcale się nie bałam, ale nie chciałam mu tego wyjaśniać, bo jego ostatnie słowa wzbudziły we mnie podejrzenie.

– Co to ma znaczyć – zapytałam – że wszystko się ułożyło?

– Tak, wszystko się ułożyło – odpowiedział. – Pamiętasz, mówiłem ci, że podejrzenie padło wówczas na pokojówkę?

– Tak.

– No więc... Ja miałem na pieńku z tą pokojówką, bo obgadywała mnie za plecami. W kilka dni po kradzieży zobaczyłem, że cała sprawa przybiera dla mnie zły obrót... Komisarz policji przychodził jeszcze dwukrotnie, miałem wrażenie, że jestem obserwowany. A teraz słuchaj: do tej pory nie robiono jeszcze żadnej rewizji. I wtedy przyszedł mi do głowy pomysł: sprowokować rewizję następną kradzieżą i zrobić tak, żeby wina za dawną i nową kradzież spadła na tę kobietę.

Nic nie odpowiedziałam, a on spoglądał na mnie szeroko otwartymi, błyszczącymi oczyma, jak gdyby

chciał się przekonać, czy podziwiam jego diabelny spryt, po czym mówił dalej:

– Pani miała dolary i trzymała je w szkatułce... Wziąłem te dolary i schowałem je w starej walizce, w pokoju pokojówki. Naturalnie tym razem zrobiono rewizję, znaleziono dolary, a ją aresztowano. Oczywiście ona przysięga na wszystkie świętości, że jest niewinna, ale kto by jej uwierzył? Dolary zostały znalezione w jej pokoju.

– I co się stało z tą kobietą?

– Siedzi w więzieniu i nie chce się przyznać. Ale wiesz, co powiedział komisarz do mojej chlebobawczyni? „Może pani być zupełnie spokojna, już my zastosujemy odpowiednie metody, żeby się przyznała”. Zrozumiałaś, co? Wiesz, co oznaczają te metody? Bicie!

Patrzałam na niego i widząc jego dumę i podniecenie poczułam, że cierpnie na mnie skóra. Zapytałam niby obojętnie:

– Jak się nazywa ta kobieta?

– Luisa Fellini... to kobieta już niemłoda, a jaka harda! Słuchając jej można było pomyśleć, że przypadkiem pracowała jako pokojówka i że na całym świecie nie ma uczciwszej od niej osoby!

Zrobiłam wielki wysiłek, jak ktoś, kto wciąga głęboko oddech, i powiedziałam:

– Czy wiesz, że jesteś skończonym draniem?

– Jak to? Dlaczego? – zapytał zdziwiony.

Kiedy nazwałam go draniem, ulżyło mi i wstąpiła we mnie energia. Nozdrza rozdęły mi się ze złości i mówiłam dalej:

– I ty chciałeś, żebym wzięła te pieniądze! Ależ ja czułam od razu, że nie wolno mi ich tknąć!

– A cóż się takiego stanie – powiedział starając się opanować – nie przyzna się... i wypuszczają.

– Ale tymczasem, jak sam powiedziałeś, siedzi w więzieniu i biją ją.

– Tak sobie to powiedziałem.

– Wszystko jedno... wpakowałeś do więzienia niewinnego człowieka i w dodatku miałeś czelność przyjść tutaj i opowiadać mi o tym... Jesteś skończonym draniem!

On zbladł nagle, porwała go szewska pasja; chwycił mnie za rękę:

– Przystaniesz nazywać mnie draniem?!

– Nie! Uważam cię za skończonego drania i mówię ci to w oczy!

Gino do reszty stracił głowę; gwałtownie wykręcił mi rękę, jak gdyby chciał ją złamać, potem nagle pochylił się i ugryzł mnie z całej siły. Wyrwałam rękę mocnym szarpnięciem i wstałam:

– Czyś ty stracił zmysły? – powiedziałam. – Co cię napadło?... Gryziesz?... Trudno, nie ma rady, jesteś skończonym draniem i będziesz nim do końca życia! – Nie odpowiedział, ale obydwoma rękami złapał się za głowę, jak gdyby chciał wyrwać sobie garść włosów.

Zawołałam kelnera, zapłaciłam cały rachunek, za siebie, za niego i za Sonzogna, a potem powiedziałam:

– Idę... i żebyś wiedział, że między nami wszystko skończone... Nie szukaj mnie, nie przychodź, nie pokazuj mi się na oczy... Nie chcę cię znać!

Nie odezwał się ani nie podniósł głowy, a ja wyszłam.

Mleczarnia znajdowała się na początku alei, niedaleko naszego domu. Szłam powoli, po stronie przeciwległej muru. Była już noc, chmury przewalały się po niebie, mżył drobny deszcz, wyglądający jak pył

zawieszony w łagodnym, nieruchomym powietrzu. Mur pogrążony był w mroku, prócz kilku małych odcinków, oświetlonych z rzadka stojącymi latarniami. Po wyjściu z mleczarni natychmiast zauważyłam, że jakiś człowiek oderwał się od latarni i zaczął posuwać się wzdłuż muru takim samym krokiem i w tym samym kierunku co ja. Poznałam po nieprzemakalnym płaszczu, ściśniętym w pasie, i po krótko przystrzyżonych blond włosach, że jest to Sonzogno. Jego sylwetka pod murem wyglądała niepozornie, co chwila to niknął w cieniu, to znowu ukazywał się w kręgu światła. Chyba po raz pierwszy w życiu miałam dość mężczyzn, wszystkich mężczyzn, goniących za moją spódnicą jak psy za suką. Cała jeszcze drżałam z gniewu; i myśląc o tej kobiecie, która z winy Gina dostała się do więzienia, nie mogłam nie odczuwać wyrzutów sumienia, bo przecież to ja ukradłam puderniczkę. A może były to nie tylko wyrzuty sumienia, ile bunt i złość. Buntując się przeciwko niesprawiedliwości i czując nienawiść do Gina, wściekła byłam zarazem, że go nienawidzę i że dowiedziałam się o popełnionej niesprawiedliwości. Doprawdy nie jestem stworzona do takich rzeczy; czułam się strasznie, wydawało mi się, że przestałam być sobą. Szłam teraz szybko, pragnąc dojść do domu, zanim zaczepi mnie Sonzogno, bo podejrzewałam, że ma ten zamiar. Nagle usłyszałam za moimi plecami zadyszany głos Gina, który wołał:

– Adriano! Adriano!

Udałam, że nie słyszę, i przyspieszyłam kroku, ale on już chwycił mnie za ramię:

– Adriano... tyle czasu byliśmy razem... nie możemy się rozstać w taki sposób.

Wyrwałam mu się jednym szarpnięciem i szłam dalej. Po drugiej stronie ulicy, pod murem, znowu wyłoniła się z mroku drobna jasna sylwetka Sonzogna, który wszedł właśnie w krąg światła latarni. Gino biegł przy mnie i mówił:

– Ale ja cię kocham, Adriano!

Budził we mnie litość i nienawiść i pomieszanie tych uczuć było niewypowiedziane przykre. Próbowałam więc myśleć o czym innym. I nagle doznałam olśnienia. Przypomniałam sobie Astaritę, który zawsze ofiarowywał mi się z pomocą, i pomyślałam, że on na pewno będzie mógł wyciągnąć z więzienia tę biedaczkę. Myśl ta była błogosławiona w skutkach: poczułam, że ciężar spada mi z serca, i wydało mi się nawet, że przestałam nienawidzić Gina i że wzbudza on we mnie tylko litość. Zatrzymałam się i powiedziałam cicho:

– Gino, zostaw mnie w spokoju.

– Przecież ja cię kocham.

– Ja także cię kochałam, ale teraz wszystko skończone! Idź sobie, tak będzie lepiej i dla mnie, i dla ciebie.

Mijaliśmy ciemny odcinek ulicy, gdzie nie było ani latarni, ani sklepów. Schwycił mnie wpół i próbował pocałować. Mogłam była sama się obronić, bo jestem silna i nikomu nie uda się pocałować kobiety, jeżeli ona sama tego nie chce. Tymczasem jakieś złe licho podkusiło mnie, żeby zawołać na pomoc Sonzogno, który zatrzymał się po drugiej stronie, pod murem, i obserwował nas, trzymając ręce w kieszeniach. Prawdopodobnie zawołałam go dlatego, że teraz, kiedy już znalazłam sposób naprawienia ohydneho postępkę Gina, znowu obudziła się we mnie ciekawość i kokieteria. Zawołałam dwa razy: – Sonzogno! Sonzogno! – a on natychmiast przeszedł przez ulicę. Gino, zmieszany, puścił mnie.

– Proszę mu powiedzieć – rzekłam spokojnie, gdy się do nas zbliżył – żeby dał mi święty spokój. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego, ale on mi nie wierzy, może uwierzy panu, swojemu przyjacielowi!

Sonzogno zwrócił się do Gina:

– Słyszałeś, co powiedziała ta pani?

– Ależ ja... – zaczął mówić Gino.

Przypuszczałam, że jak to zwykle bywa, posprzecząją się przez chwilę i wreszcie Gino da za wygraną i odejdzie. Tymczasem zobaczyłam, że Sonzogno wykonał prawie niedostrzegalny gest, a Gino spojrzał na niego jak osłupiały, po czym runął na ziemię, staczając się do rynsztoka. A może widziałam tylko upadek Gina i potem dopiero odtworzyłam sobie gest Sonzogno, bo stało się to wszystko tak błyskawicznie i cicho, że wydało mi się halucynacją. Potrząsnęłam głową i rozejrzałam się dokoła: Sonzogno stał przede mną na szeroko rozstawionych nogach i oglądał swoją jeszcze zaciśniętą pięść; Gino leżał na ziemi, odwrócony do nas plecami; wracał do przytomności i, opierając się łokciem o ściek, powoli podnosił głowę. Ale nie wyglądało na to, aby zamierzał wstać, raczej zdawało się, że wpatruje się w kawałek białego papieru, leżący w zabłoconym rynsztoku. Potem Sonzogno powiedział: – Chodźmy już – i jak we śnie poszłam w stronę domu.

Szedł bez słowa, mocno trzymając mnie pod rękę. Był niższy ode mnie i dłoń jego zaciskała moje ramię niczym metalowa obręcz. Powiedziałam po chwili:

– Żle pan zrobił, że uderzył pan Gina... To było całkiem niepotrzebne, i tak by sobie poszedł.

On odpowiedział:

– Przynajmniej nie będzie więcej pani nagabywał!

– Jak pan to zrobił? – zapytałam. – Nie widziałam wcale tego uderzenia, zobaczyłam tylko, że Gino się przewrócił.

– To kwestia wprawy – powiedział.

Mówił tak, jak gdyby przed wypowiedzeniem każdego słowa najpierw je przeżuwał czy też wypróbował jego konsystencję między zębami, które stale zaciskał; wyobraziłam sobie, że jego zęby zachodzą pewnie na siebie, tak jak u zwierząt drapieżnych. Miałam teraz wielką ochotę dotknąć jego ramienia i wyczuć te jego twarde, napięte mięśnie. Budził we mnie raczej zaciekawienie niż pociąg, a przede wszystkim lęk. Ale lęk, dopóki nie wyjaśni się jego przyczyny, może także być uczuciem przyjemnym i w pewien sposób podniecającym. Powiedziałam:

– Co pan tam ma w tej ręce?... Nie mogę jeszcze w to uwierzyć.

– Przecież dotykała jej pani – odpowiedział z dumą, ale tak poważnie, że zabrzmiało to wręcz ponuro.

– Tak, ale tylko przez moment... Był z nami Gino... Chciałabym dotknąć jeszcze raz.

Staął i zgiął rękę, patrząc na mnie z ukosa, poważnie, ale zarazem jakoś naiwnie. Ale naiwność ta nie miała w sobie nic dziecinnego. Powoli wyciągnęłam rękę i obmacałam wszystkie mięśnie jego przedramienia. Miałam dziwne wrażenie, że dotykam żywej stali. Powiedziałam matowym głosem:

– Jest pan rzeczywiście bardzo silny.

– Tak, jestem silny – przyznał z tępym przekonaniem i poszliśmy dalej.

Żałowałam teraz, że go zawołałam. Nie podobał mi się, a poza tym jego powaga i zachowanie napawały mnie lękiem. W milczeniu dotarliśmy do domu. Wyjęłam klucze z torebki i powiedziałam: – Bardzo dziękuję, że odprowadził mnie pan – i wyciągnęłam rękę na pożegnanie.

On przysunął się do mnie:

– Idę na górę.

Miałam ochotę odmówić. Ale jego wzrok natężony, niewiarygodnie przenikliwy, onieśmielił mnie i

przestraszył. Odrzekłam: – Jak chcesz – i dopiero kiedy to powiedziałam, zdałam sobie sprawę, że zwróciłam się do niego per ty.

– Nic się nie bój – rzekł tłumacząc sobie po swojemu moje przerażenie – mam pieniądze! Dam ci dwa razy więcej niż inni.

– A cóż to ma do rzeczy – odpowiedziałam – wcale mi nie szło o pieniądze. – Zobaczyłam, że twarz jego dziwnie się zmieniła, jak gdyby obudziło się w nim jakieś straszne podejrzenie. Ja tymczasem otworzyłam bramę i dodałam: – Po prostu jestem trochę zmęczona.

Kiedy już znaleźliśmy się w pokoju, on zaczął się rozbierać z pedantyczną starannością. Miał na szyi szalik; zdjął go uważnie, złożył i wsunął do kieszeni płaszcza. Marynarkę powiesił na krześle, a spodnie położył tak, żeby nie pognieść kantów. Trzewiki postawił pod krzesłem, wkładając do środka skarpetki. Zauważyłam, że od stóp do głów ubrany jest w same nowe rzeczy, niewykwintne, ale porządne i w dobrym gatunku. Robił to wszystko w milczeniu, ani szybko, ani powoli, w sposób systematyczny, przemyślany, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, chociaż zdążyłam się już rozebrać i nago leżałam na łóżku. Jeśli nawet mnie pożądał, to bynajmniej tego nie okazywał, o ile nerwowe podrygiwanie mięśni na jego policzku nie było oznaką podniecenia; ale raczej nie, bo zauważyłam to już przedtem, kiedy zdawał się wcale nie zwracać na mnie uwagi. Wspomniałam już, że ogromnie lubię czystość i porządek i uważam, że świadczą one dobrze o charakterze człowieka. Ale tego wieczoru owo zamiłowanie do porządku u Sonzogna wzbudziło we mnie wręcz przeciwne uczucia, coś pomiędzy odrazą a lękiem. Nie mogłam powstrzymać się od myśli, że w ten sposób krzątają się w szpitalu chirurdzy, przygotowujący się do krwawej operacji, albo rzeźnicy, i to na oczach koziołka, którego mają zarznąć. Leżąc na łóżku, czułam się bezsilna i bezbronna, jak trup, na którego ciele ma być dokonany jakiś eksperyment. Jego milczenie i obojętność trzymały mnie w niepewności, co zrobi ze mną, kiedy skończy się rozbierać, do tego stopnia, że gdy stanął już przy mnie, całkiem nagi, i położył mi ręce na ramionach, jak gdyby chciał mnie obezwładnić, nie mogłam się opanować i zadrżałam ze strachu. On spostrzegł to i syknął przez zęby:

– Co ci jest?

– Nic... – odpowiedziałam – masz lodowate ręce.

– Nie podobam ci się, co? – mówił stojąc przy łóżku i w dalszym ciągu trzymając mnie za ramiona – wolisz takich, którzy ci płacą, co? – Wpatrywał się przy tym we mnie i jego spojrzenie było naprawdę nie do zniesienia.

– Dlaczego? – odpowiedziałam. – Jesteś takim samym mężczyzną jak każdy inny i przecież sam powiedziałeś, że zapłacisz mi podwójnie.

– A ja wiem swoje – odrzekł. – Ty i tobie podobne lubicie ludzi bogatych, eleganckich... Ja jestem taki sam jak ty... a wam, szmatom, podobają się tylko panowie!

Mówił tonem groźnym i nieugiętym, jak podczas sprzeczki z Ginem, któremu nawymyślał, korzystając z byle pretekstu; zrozumiałam, że chce wywołać awanturę. Wtedy myślałam, że ma jakieś ukryte pretensje do Gina, ale teraz uświadomiłam sobie, że główną rolę odgrywa tu jego wyczulona i stale napięta podejrzliwość i że, gdy ogarnia go ten demon, cokolwiek się powie, nigdy mu się nie dogodzi. Nieco dotknięta odpowiedziałam:

– Dlaczego mnie obrażasz? Powiedziałam ci przecież, że dla mnie wszyscy mężczyźni są jednakowi.

– Gdyby tak było, nie miałabyś takiej miny... Nie podobam ci się, co?

– Przecież ci mówię, że...

– Nie podobam ci się, co? – ciągnął dalej z uporem. – Bardzo mi przykro, ale zmuszę cię do tego, żebym ci się podobał.

– Odczep się ode mnie! – zawołałam z nagłą irytacją.

– Dopóki ci byłem potrzebny, żeby przegnać tego twojego gogusia – mówił dalej – toś mnie chciała... a potem próbowałaś mnie spławić, ale się nie dałem... Nie podobam ci się i tyle.

Teraz zaczęłam się bać naprawdę. Jego zaczepne słowa, głos spokojny i bezlitosny, nieruchome spojrzenie oczu, które z niebieskich zrobiły się czarne, to wszystko zdawało mi się groźną zapowiedzią. I zdałam sobie sprawę, niestety za późno, że wszelkie próby powstrzymania go od tego, co zamierzał zrobić, byłyby trudem równie beznadziejnym jak zatrzymanie złomu skalnego staczającego się po urwistym zboczu. Gwałtownie wstrząsnęłam ramionami; było to wszystko, co mogłam zrobić.

– Nie podobam ci się, co?... Wykrzywasz się ze wstrętem, kiedy cię dotykam, ale zaraz zrobisz inną minkę, moja milusia. – Podniósł rękę i zamierzył się na mnie. Spodziewałam się tego i zasłoniłam twarz ramieniem. Ale i tak udało mu się mnie uderzyć z wściekłym rozmachem, najpierw w jeden policzek, a potem, kiedy usiłowałam odwrócić twarz, w drugi. Spotkało to mnie po raz pierwszy w życiu, toteż przez chwilę, pomimo piekącego bólu, byłam raczej zdumiona niż przybita. Odsłoniłam twarz i powiedziałam:

– Wiesz, co ci powiem? Że jesteś nieszczęśliwym człowiekiem.

Był zaskoczony moimi słowami. Usiadł na krawędzi łóżka i trzymając się obydwoma rękami materaca, kołysał się przez chwilę. Po chwili powiedział nie patrząc na mnie:

– Każdy człowiek jest nieszczęśliwy.

Dodałam jeszcze:

– Trzeba mieć wielką odwagę, żeby uderzyć kobietę. – Nie mogłam mówić dalej, bo oczy napełniły mi się łzami, nie dlatego, że mnie uderzył, ale rozdrażniły mnie wszystkie przykre i wstrętne zdarzenia tego wieczoru. Przypomniłam sobie Gina leżącego w rynsztoku i to, że wcale się nim nie zająłam, tylko najspokojniej odeszłam z Sonzognem, myśląc tylko o jego nadzwyczajnych mięśniach. Poczułam wyrzuty sumienia, litość do Gina i obrzydzenie do siebie samej; zrozumiałam, że ponoszę karę za moją nieczułość i głupotę z tej samej ręki, która powaliła Gina. Spodobało mi się użycie przemocy i teraz ta sama przemoc zwróciła się przeciwko mnie. Popatrzałam przez łzy na Sonzogna. Siedział na krawędzi łóżka, nagi, o skórze białej i nie owłosionej, nieco przygarbiony, ze zwieszonymi rękami, nie zdradzającymi na oko jego nadludzkiej siły. Odczułam nagle pragnienie, żeby obalić dzielącą nas przepaść. Powiedziałam z wysiłkiem:

– Czy mógłbyś mi chociaż powiedzieć, dlaczego mnie uderzyłeś?

– Miałaś taki dziwny wyraz twarzy. – Drgała mu skóra na policzku, wyglądał na zamyślonego.

Zrozumiałam, że jeżeli chcę zdobyć jego zaufanie, muszę powiedzieć mu, o czym myślałam, i nic nie zatajać.

– Przypuszczałeś, że mi się nie podobasz – powiedziałam – myliłeś się.

– Być może.

– Myliłeś się... ja po prostu, sama nie wiem dlaczego, bałam się ciebie i dlatego miałam taką minę.

Na te słowa odwrócił się gwałtownie i popatrzył na mnie podejrzliwie. Ale uspokoił się natychmiast i zapytał nie bez dumy:

– Bałaś się mnie?

– Tak.

– I jeszcze teraz się boisz?

– Nie, teraz możesz mnie nawet zabić, nic mnie już nie obchodzi. – Mówiłam prawdę i w tej chwili prawie chciałam, żeby mnie zabił, bo straciłam nagle ochotę do życia. Ale on rozgniewał się i rzekł:

– Co tu w ogóle mówić o zabijaniu?... Ale dlaczego się mnie bałaś?

– Sama nie wiem... bałam się i tyle... Tego nie można wytłumaczyć.

– A czy czasami bałaś się także Gina?

– Nigdy, dlaczego miałabym się go bać?

– No to dlaczego mnie się boisz? – W tej chwili w głosie jego przebijała już nie duma, ale wściekłość.

– Bałam się ciebie – odrzekłam chcąc go ułagodzić – bo czułam, że jesteś do wszystkiego zdolny.

Nic nie odpowiedział i rozmyślał nad czymś przez chwilę, po czym odwrócił się i zapytał tonem pogróżki:

– Co to wszystko ma znaczyć? Czy chodzi ci o to, żebym się ubrał i wyniósł się stąd jak najprędzej?

Spojrzałam na niego i zrozumiałam, że znowu owładnął nim niepoohamowany gniew. Odmowa wywołałaby nową awanturę, a może i coś gorszego. Musiałam się zgodzić, nie było na to rady. Przejęła mnie zgroza na myśl, że te jego wyblakłe oczy patrzeć na mnie będą podczas stosunku. Powiedziałam niepewnie:

– Nie... skądże... zostań, jeśli masz ochotę... ale najpierw zgaś światło.

Sonzogno wstał; był drobny, szczupły, ale proporcjonalnie zbudowany, miał tylko za krótką szyję; podszedł na palcach do drzwi, żeby przekręcić kontakt. Kiedy ciemności zaległy pokój, od razu zdałam sobie sprawę, że niedobrze zrobiłam, każąc mu zgasić światło, bo znowu ogarnął mnie lęk. Czułam się tak, jak gdyby w pokoju był ze mną nie człowiek, lecz lampart czy jakieś inne drapieżne zwierzę, które może zacząć się w kącie i w każdej chwili rzucić się na mnie. Możliwe, że Sonzogno wracał tak wolno, bo szedł po omacku wśród krzesel i innych mebli, a może tylko pod wpływem strachu wydawało mi się, że tak wolno idzie. W każdym razie miałam wrażenie, że upłynęła cała wieczność, zanim wrócił do łóżka, a kiedy poczułam na sobie jego ręce, znowu wzdrygnęłam się cała. Miałam nadzieję, że tego nie zauważy, ale on miał jakiś niemal zwierzęcy instynkt, bo prawie natychmiast usłyszałam tuż obok jego głos:

– Czy jeszcze się boisz?

Musiał w tych ciemnościach stać przy mnie mój anioł stróż, bo natychmiast wyczułam po tonie głosu Sonzogna, że znowu podniósł rękę i że będzie zależało od mojej odpowiedzi, czy uderzy mnie, czy nie. Zrozumiałam, że on wie o tym, iż wzbudza lęk, że nad tym cierpi, że chciałby być kochany jak każdy inny mężczyzna. Ale chcąc to osiągnąć, uciekał się do gróźb, wzbudzając tym jeszcze większy strach. Uniosłam rękę, udając, że chcę pogłaskać go po szyi i po ramieniu, i stwierdziłam, że było tak, jak przeczuwałam: rękę miał podniesioną, gotową do uderzenia. Powiedziałam z wysiłkiem, starając się nadać memu głosowi zwykłe, łagodne i spokojne brzmienie:

– Nie... tylko mi jest zimno... okryjmy się kołdrą.

– Dobrze – odrzekł. Owo „dobrze”, w którym zadźwięczało groźne echo, mogło tylko spotęgować moje przerażenie. I podczas gdy on ścisnął mnie i całował pod kołdrą, przeżywałam straszliwą udrękę, najgorszą chyba w moim życiu. Cierpiałam ze strachu, ciało moje drżało i cofało się instynktownie przed zetknięciem z jego ciałem,

które było nadzwyczaj gładkie, śliskie i giętkie; ale zarazem wmawiałam sobie, że absurdem jest bać się go w takim momencie, i całą siłą woli starałam się opanować lęk i oddać mu się z całym spokojem, jakbym go kochała. Odczuwałam lęk nie tyle w członkach, które, choć odporne, były mi jeszcze posłuszne, ale głębiej, w łonie, które zdawało się zaciskać, rozpaczliwie broniąc się przed nim. W końcu wziął mnie i w tym przerażeniu odczułam czarną, okrutną rozkosz. Bezwiednie wyrwał mi się silny, przeciągły, żalostny krzyk w tych ciemnościach, jak gdyby ów szczytowy moment nie był uściskiem miłości, lecz śmierci, i jakby z krzykiem tym uleciało ze mnie życie, pozostawiając tylko bezduszną cielesną powłokę.

Potem leżeliśmy po ciemku, w milczeniu. Byłam tak wyczerpana, że zasnęłam prawie natychmiast. Zdawało mi się, że jakiś potworny ciężar przygniata mi klatkę piersiową, jakby przysiadł na niej Sonzogno, nagi, skurczony, obejmując kolana ramionami i opierając na nich podbródek. Siedział mi na piersiach, z twardymi nagimi pośladkami na mojej szyi, ze stopami na żołądku; spałam, a ciężar ten ciągle wzrastał, rzucałam się we śnie na wszystkie strony, żeby się od niego uwolnić albo przynajmniej przesunąć na inne miejsce. Na koniec wydało mi się, że się duszę, i chciałam krzyknąć, ale nie mogłam wydać z siebie żadnego dźwięku, głos uwiązł mi w krtani i miałam wrażenie, że trwa to nieskończenie długo. W końcu udało mi się dobyć głos i, jęcząc głośno, obudziłam się.

Lampka na nocnym stoliku była zapalona, Sonzogno opierając się na łokciu patrzył na mnie. – Czy długo spałam? – zapytałam go.

– Pół godziny – odrzekł przez zaciśnięte zęby.

Rzuciłam mu krótkie spojrzenie, w którym pozostać musiał jeszcze jakiś ślad sennego koszmaru, bo teraz on zapytał mnie z akcentem zdziwienia, jak gdyby chciał zagaić rozmowę:

– Czy teraz boisz się jeszcze?

– Nie wiem.

– Żebyś ty wiedziała, kim jestem – powiedział – bałabyś się jeszcze więcej niż przedtem.

Wszyscy mężczyźni po stosunku mają inklinację do mówienia o sobie i do robienia zwierzeń. Nie wyglądało na to, żeby Sonzogno miał być wyjątkiem od tej reguły. Ton jego był teraz inny, normalny, delikatny, prawie czuły, ale zabarwiony nutą pychy. Znowu zląkłam się strasznie i serce zaczęło mi walić, jak gdyby chciało wyskoczyć z piersi.

– Dlaczego? – spytałam. – Kim jesteś?

Popatrzył na mnie nie tyle z wahaniem, ile napawając się efektem swoich słów, po czym wycedził powoli:

– Ja jestem ten z ulicy Palestro... oto kim jestem!

Uważał, że nie potrzebuje wyjaśniać, co zaszło na ulicy Palestro, i tym razem pycha jego bynajmniej nie była przesadna. W jednym z domów przy tej ulicy popełniono w tych dniach straszliwe morderstwo, o którym pisały wszystkie gazety i które pospólstwo komentowało na wszelkie możliwe sposoby, pasjonując się tego rodzaju wydarzeniami. Także i matka, która spędzała większą część dnia na sylabizowaniu wiadomości kroniki wypadków, zwróciła mi na nie uwagę. Młody jubiler został zabity w swoim mieszkaniu, w którym mieszkał sam. Wyglądało na to, że Sonzognowi – teraz wiedziałam już, że on jest mordercą – jako broń posłużył ciężki przycisk z brązu. Policja nie znalazła żadnych śladów, które mogłyby zdemaskować zbrodniarza. Przypuszczano, że jubiler trudnił się również paserstwem, wysnuto więc wniosek (jak się później okazało, słuszny), że został on zabity zawierając jakąś nielegalną transakcję.

Zauważyłam już nieraz, że kiedy jakaś wiadomość napelnia nas zdumieniem i grozą, czujemy w głowie pustkę i uwaga nasza koncentruje się na pierwszej rzeczy, jaka wpadnie nam w oko, ale w specyficzny sposób, jak gdyby chciało się przeniknąć jej powierzchnię i dotrzeć do jakiejś tajemnicy, która kryje się wewnątrz. Tak było i ze mną tej nocy, kiedy usłyszałam ową rewelacyjną wiadomość. Wytrzeszczyłam oczy, głowa moja nagle zrobiła się pusta, jak napełnione płynem czy drobnutkiem proszkiem naczynie, które zostało przedziurawione; ale pomimo tej pustki czułam, że umysł mój gotowy jest wchłonać w siebie coś innego, i uczucie to było bolesne, bo chciałam wypełnić tę pustkę, ale nie mogłam. A tymczasem wpatrywałam się w przegub ręki Sonzogna; leżał on przy mnie wsparty na łokciu. Ramię miał białe, gładkie, bez jednego włoska, krągłe, nie zdradzające tej fenomenalnej siły. Przegub jego ręki także był krągły i biały, a na nim widniał jedyny przedmiot, jakiego nie zdjął rozbierając się, czarny paseczek ze skóry, taki jak od zegarka, ale bez zegarka. Intensywna czerń tego paska nadawała jakieś symboliczne znaczenie nie tylko jego ręce, ale i całemu ciału, białemu i nagiemu, i ja głowiłam się, co to może być za znaczenie, ale nie umiałam go sobie wyjaśnić. Był to jakiś ponury symbol, nasuwający myśl o kajdanach galernika, a jednocześnie ten prosty, czarny paseczek miał w sobie coś zarazem wdzięcznego i okrutnego, był jak ozdoba, podkreślająca gwałtowne i drapieżne okrucieństwo Sonzogna. Zastanawiałam się nad tym przez chwilę. Potem nagle zaczęły przebiegać mi przez głowę burzliwe myśli, które stawały się coraz bardziej niespokojne, jak ptaki zamknięte w ciasnej klatce. Przypomniałam sobie, jak to bałam się Sonzogna od pierwszej chwili, jak potem oddałam mu się w ciemnościach, i uświadomiłam sobie, że właśnie w tej chwili instynktem mojego ciała odgadłam wszystko, co on przede mną ukrywał, i dlatego krzyknęłam.

Na koniec zapytałam o to, co przede wszystkim nasunęło mi się na myśl:

– Dlaczego to zrobiłeś?

Odpowiedział, prawie nie poruszając wargami:

– Miałem coś cennego do sprzedania... Wiedziałem, że ten kupiec to bydlak, ale nikogo innego nie znałem. Zaproponował mi śmieszłą cenę. Nienawidziłem go, bo już przedtem raz mnie oszukał... Powiedziałem mu, że zabieram tę rzecz, i nawymyślałem mu od oszustów... Na to on powiedział mi coś takiego, że straciłem cierpliwość...

– A co ci powiedział? – Zauważyłam ze zdziwieniem, że w miarę, jak Sonzogno mówi, rozprasza się mój lęk i że wbrew własnej woli zaczynam odczuwać podniecenie, jak gdybym była współniczką zbrodni. Pytając, co powiedział jubiler, złapałam się na tym, że pragnę, aby to było coś strasznego, co pozwoli jeżeli nie usprawiedliwić, to wytłumaczyć zbrodnię. Odpowiedział krótko:

– Mówił, że jeśli mu tego nie sprzedam, to da znać policji... Wtedy pomyślałem sobie: dość tego, a ponieważ właśnie się odwrócił... – Nie dokończył i spojrzął na mnie przenikliwie.

Zapytałam: – A jak on wyglądał? – Pytanie to nasunęło mi się samo przez się i nie dostrzegłam w nim żadnej ukrytej myśli. Odpowiedział dość szczegółowo:

– Łysy... dość niski... mała twarz... miał w sobie coś z zająca. – Na te słowa, wypowiedziane ze spokojną odrazą, poczułam nienawiść do tego pasera o zajęczej twarzy. Widziałam, jak podejrzliwie i nieufnie waży przedmiot przyniesiony przez Sonzogna. Przestałam się bać, miałam wrażenie, że Sonzogno zaraził mnie swoją niechęcią do ofiary zbrodni, i nawet straciłam pewność, czy w ogóle go potępiam. Wydawało mi się, że tak dobrze rozumiem wszystko, co się stało, że zaczęłam zastanawiać się, czy i ja nie byłabym zdolna do popełnienia tego

morderstwa. Nikt lepiej ode mnie nie zrozumiałby tego zdania: „Powiedział mi coś takiego, że straciłem cierpliwość”. Stracił także cierpliwość raz z winy Gina, a drugi raz z mojej i tylko przypadek sprawił, że ja i Gino pozostaliśmy przy życiu. Przejrzałam na wskroś Sonzogno; nie wzbudzał już we mnie lęku, a nawet poczułam dla niego coś w rodzaju zabarwionej grozą sympatii. Tej sympatii, jakiej nie miałam dla niego jako dla kochanka, dopóki nie dowiedziałam się o zbrodni.

– Czy nie żałujesz, żeś to zrobił? Czy nie masz wyrzutów sumienia? – zapytałam.

– Już się stało – odpowiedział.

Patrzałam na niego z natężoną uwagą i po tej odpowiedzi, ku memu zdumieniu, bezwiednie kiwnęłam potakująco głową. I przypomniałam sobie Gina; Sonzogno uważał go za błazna, ale był to przecież człowiek, jak każdy inny, kochał mnie i ja niegdyś go kochałam. Pomyślałam, że rozumując w ten sposób mogłabym jutro uznać za słuszne zamordowanie Gina, że ten jubiler nie był pewnie ani gorszy, ani lepszy od Gina, a cała różnica polegała na tym, że tamtego nie znałam; a usprawiedliwiam zbrodnię tylko dlatego, że dowiedziałam się, iż miał twarz zająca. Poczułam wyrzuty sumienia i odrazę, ale nie do Sonzogno, który taki już się urodził i trzeba go było najpierw zrozumieć, a dopiero potem sądzić, ale do samej siebie, bo przecież byłam inna, a pomimo to pozwoliłam zaszcześcić siebie nienawiścią i żądzą krwi. Ogarnęło mnie nagłe wzburzenie, usiadłam gwałtownie na łóżku:

– O Boże! – powtarzałam. – O Boże!... dlaczegoś ty to zrobił?... I dlaczego mi o tym powiedziałeś?

– Tak się mnie bałaś – odpowiedział po prostu – i to nie wiedząc o niczym... Wydało mi się to dziwne. Na szczęście -dodał uśmiechając się do własnej myśli – inni nie są tacy jak ty... Gdyby tak było, już by mnie przyłapali.

– Ale teraz idź już lepiej i zostaw mnie samą... idź!

– Co cię znowu napadło? – zapytał.

Poznałam po jego tonie, że porywa go wściekłość, ale wyczułam też w głosie jego jakiś ból i przerażenie, że jest całkiem sam, że i ja, jego kochanka, potępiłam go. Dorzuciłam więc szybko:

– Nie myśl, że się boję! Nic a nic się nie boję, tylko muszę przywyknąć do tej myśli, muszę to przetrwać...

Będę inna, kiedy przyjdiesz do mnie znowu.

– Co chcesz przetrwać? – zapytał. – Nie zamierzasz chyba mnie wydać?

Te słowa zrobiły na mnie takie samo wrażenie, jak opowiadanie Gina o intrydze przeciwko pokojówce; uczułam, że żyję w zupełnie innym świecie. Zrobiłam wysiłek, żeby się opanować:

– Przecież ci powiedziałam, że możesz przyjść do mnie znowu. A wiesz, co powiedziałaby ci inna kobieta? „Nie chcę cię znać, nie chcę cię widzieć na oczy”... Oto co by ci powiedziała.

– Ale chcesz, żebym sobie poszedł.

– Myślałam, że i tak chcesz już iść, więc parę minut wcześniej czy później to wszystko jedno. Ale jeżeli chcesz zostać, to bardzo proszę. Chcesz tu przenocować? Możemy przespać się razem i pójdziesz jutro rano... Chcesz?

Powiedziawszy prawdę, proponowałam mu to zgaszonym, smutnym i niepewnym głosem; w oczach moich musiał być jakiś obłąkany wyraz. Ale przemogłam się na tyle, że mu to zaproponowałam, i byłam z siebie zadowolona. Popatrzał na mnie i może się myliłam, ale wydało mi się, że w jego spojrzeniu wyczytałam przeblysk wdzięczności. Potem potrząsnął głową:

– Nie, powiedziałem to tylko tak sobie... Naprawdę muszę już iść. – Wstał i podszedł do krzesła, na którym

leżało jego ubranie.

– Jak chcesz – odrzekłam – ale jeżeli masz ochotę zostać, to zostań, a jeżeli – dodałam z wysiłkiem – w najbliższych dniach nie miałbyś gdzie nocować, przyjdź tutaj.

Nic nie odpowiedział, ubierał się. Ja także wstałam i włożyłam szlafrok. Krzątając się miałam wrażenie, że ogarnia mnie szaleństwo, jakby pokój pełen był jakichś głosów, szepczących mi do ucha nieskładne, bezsensowne wyrazy. Może właśnie owo obłądne uczucie było przyczyną, że zrobiłam pewien gest, którego sama nie umiałam sobie wytłumaczyć. Kiedy snułam się po pokoju, ledwie powłócząc nogami pomimo narastającego we mnie szaleństwa, zobaczyłam, że on schyla się, żeby zasnurować trzewiki. I wówczas uklękłam przed nim, mówiąc: – Poczekaj, ja to zrobię. – On osłupiał ze zdumienia, ale nie zaprotestował. Wzięłam jego prawą nogę i, opierając ją sobie o brzuch, związałam sznurowadło na podwójny węzeł. Potem zrobiłam to samo z lewą nogą. Nie podziękował mi i nie odezwał się już ani słowem; prawdopodobnie i on nie mógł pojąć, dlaczego to zrobiłam. Włożył marynarkę. Wyjął z kieszeni portfel i zaczął wyjmować pieniądze.

– Nie, nie – zawołałam z mimowolną odrazą w głosie – nie, nic mi nie dawaj... nie trzeba.

– Dlaczego?... Czy moje pieniądze są gorsze niż pieniądze innych? – zapytał głosem nabrzmiałym gniewem.

Wydało mi się dziwne, że nie rozumie mojego wstrętu do tych pieniędzy, wyciągniętych może z ciepłej jeszcze kieszeni nieboszczyka. A może rozumiał i chciał uczynić mnie do pewnego stopnia swoją współniczką, a zarazem upewnić się co do moich uczuć względem niego? Odmówiłam po raz drugi:

– Nie... nie... wcale nie myślałam o pieniądzach, zapraszając cię tutaj... zostaw!

Wyglądało na to, że uspokoił się.

– No dobrze... ale wobec tego dam ci coś na pamiątkę. -Wyjął z kieszeni jakiś przedmiot i położył go na marmurowym blacie komody.

Spojrzałam na ten przedmiot nie biorąc go do ręki i poznałam złotą puderniczkę, którą ukradłam przed miesiącem w domu chlebobawczyni Gina.

– Co to jest? – wybełkotałam.

– Dał mi to do sprzedania Gino. Tamten dawał za to grosze, ale myślę, że ta puderniczka przedstawia pewną wartość... Jest ze złota.

Opanowałam się i powiedziałam:

– Dziękuję.

– Nie ma za co – odrzekł. Włożył płaszcz i zapinał pasek. – A więc do zobaczenia – powiedział już od progu.

Po chwili usłyszałam, jak zatrzasnęły się drzwi wejściowe.

Kiedy zostałam sama, podeszłam do komody i wzięłam do ręki puderniczkę. Byłam oszołomiona, a przy tym niesłychanie zdziwiona. Puderniczka połyskiwała na mojej dłoni i wydało mi się, że rubin przy zamku staje się coraz większy, większy, a w końcu zalewa całą złotą powierzchnię. Trzymałam na dłoni okrągłą, błyszczącą, krwawą plamę, mającą ciężar puderniczki. Potrząsnęłam głową, czerwona plama znikła i znowu zobaczyłam złotą puderniczkę z rubinowym zamkiem. Położyłam ją na komodzie, wyciągnęłam się w szlafroku na łóżku, zgasłam światło i zaczęłam rozmyślać.

Pomyślałam sobie, że gdyby ktoś opowiedział mi historię tej puderniczki, byłabym nią porwana i słuchałabym jej jak opowieści o wyjątkowych, nieprawdopodobnych wydarzeniach. Była to jedna z tych historii, które wywołują u słuchaczy okrzyki: „Co za zbieg okoliczności!”, a potem różne kobieciny w rodzaju mojej matki ciągną na to konto numery lotta, stawiając jeden numer na nieboszczyka, drugi na złoto, trzeci na mordercę. Ale tym razem to wszystko mnie się przydarzyło i uświadomiłam sobie ze zdumieniem, jaka to różnica, kiedy jest się samemu osobiście zamieszonym w jakąś sprawę. Znalazłam się w sytuacji kogoś, kto zasiał mikroskopijne ziarnko i całkiem o tym zapomniał, a po pewnym czasie odnalazł je w postaci bujnego krzewu, pokrytego liśćmi i rozkwitającymi pąkami. Tyle tylko, że jakie nasienie, taki krzew i taki owoc. Cofałam się myślą coraz bardziej wstecz i nie mogłam odnaleźć początku. Oddałam się Ginowi w nadziei, że on ożeni się ze mną, a tymczasem zostałam oszukana, więc rozżalona do całego świata ukradłam puderniczkę. Potem przyznałam się do kradzieży i oddałam Ginowi mój łup, w obawie, aby nie zwolniono go z pracy. On miał zwrócić puderniczkę swojej pani, ale tego nie zrobił, zatrzymał ją sobie. Później, bojąc się, że posądzą go o kradzież, podstępnie wpakował do więzienia pokojówkę, która była niewinna i którą bito na śledztwie. Następnie Gino dał puderniczkę do sprzedania Sonzognowi, który poszedł z nią do jubilera. Jubiler obraził go i Sonzogno w porywie gniewu zabił jubilera. Tym więc sposobem jubiler postradał życie, a Sonzogno stał się mordercą. Rozumiałam, że nie mogę brać winy na siebie, bo wtedy musiałabym uznać, że moja chęć wyjścia za mąż i stworzenia rodziny stała się przyczyną tylu nieszczęść, ale pomimo to trawił mnie niepokój i wyrzuty sumienia. W końcu przyszło mi do głowy, że w ostatecznym rozrachunku całą winę ponoszą moje piersi, moje biodra, jednym słowem, moja przeklęta uroda, z której matka była taka dumna i która sama przez się była niewinna, jak wszystko, co stworzone jest przez naturę. Myśli te dyktowało mi rozdrażnienie i rozpacz; bywa tak czasem, że niedorzecznym rozumowaniem próbuje się rozwikłać coś stokroć bardziej niedorzecznego. Wiedziałam, że w gruncie rzeczy nie zawinił tu nikt, chociaż cały ten splot wypadków budził grozę, i jeżeli ktoś koniecznie chciał się doszukać czyjejs winy, dochodził do wniosku, że wszyscy byli zarazem winni i niewinni. Powoli pograżałam się w odurzeniu, niczym w wodzie, która podczas powodzi wznosi się zalewając piętro po piętrze cały dom. Szybko straciłam zdolność logicznego myślenia, a potem moja zafascynowana wyobraźnia ukazała mi zbrodnię Sonzogna niejako coś godnego potępienia, odrażającego, ale jako fakt oderwany od rzeczywistości, jako czyn niepojęty i tym samym nie pozbawiony pewnego uroku. Wydawało mi się, że widzę Sonzogna krążącego po ulicy Palestro, z rękami w kieszeniach nieprzemakalnego płaszcza, a potem wchodzącego do jednej z kamienic i czekającego w saloniku jubilera. Wydawało mi się, że widzę, jak jubiler ściska na powitanie dłoń Sonzogna, staje za biurkiem, Sonzogno wręcza mu puderniczkę, którą tamten ogląda, podejrzliwie kiwając głową. Potem podnosi zajęczką twarz, wymienia śmiesznie niską cenę. Sonzogno przesywa go wzrokiem, w którym migają już błyskawice gniewu, i wrywa mu z ręki drogocenny przedmiot, wymyśla mu od oszustów, a tamten grozi, że go zadenuncjuje. Każe mu się wynosić i, nie wdając się w dalsze dyskusje, schyla się czy też odwraca. Sonzogno chwytając przycisk z brązu i trafia go w głowę. Jubiler usiłuje ratować się ucieczką, ale Sonzogno rzuca się na niego i wymierza cios za ciosem, dopóki nie ma pewności, że tamten nie żyje. Wtedy odsuwa trupa, przeszukuje szuflady, zabiera pieniądze i ucieka. Przeczytałam w gazecie, że zanim wyszedł, w przypiływie wściekłości kopnął obcasem w twarz leżącego na ziemi trupa.

Jak zaczarowana, roztrząsałam wszystkie szczegóły zbrodni. Prawie z czułością towarzyszyłam każdemu gestowi Sonzogna, wcielałam się w jego rękę podającą puderniczkę, chwytającą przycisk, w jego nogę, którą kopnął

zmarłego w twarz. Ale jak już wspomniałam, wyobrażenia te nie miały w sobie ani cienia grozy i nie odnosiłam się do nich ani krytycznie, ani przychylnie. Po prostu delektowałam się nimi, jak dzieci słuchające bajek opowiadanych przez matkę, w ciepłym kąciku, zgrupowane u jej kolan, śledząc zachłannie przygody baśniowych bohaterów. Tyle tylko, że moja bajka była krwawa i ponura, że jej bohaterem był Sonzogno i że mój zachwyty pomieszany był ze smutkiem i odrętwieniem. Aby dotrzeć do tajemniczego znaczenia tej bajki, od nowa przebiegałam myślą wszystkie fazy zbrodni, napawałam się tą posępną uciechą i znów stawałam w obliczu tajemnicy. Wśród tych kłębiących się obrazów – jak ktoś, kto przeskakując przepaść, nie obliczy odległości i wpada w otchłań, tak ja między jedną myślą a drugą pogrążyłam się we śnie.

Obudziłam się po paru godzinach, a raczej zaczynało się budzić moje ciało, bo umysł, ogarnięty jakąś tępotą, spał jeszcze. Zaczęłam się budzić rękami, wyciągając je przed siebie w ciemnościach jak ślepiec, nie mogąc odgadnąć, gdzie się właściwie znajduję. Zasnęłam leżąc na łóżku, a teraz stałam na ziemi, w jakimś bardzo ciasnym pomieszczeniu, między gładkimi, hermetycznie zamkniętymi, prostopadłymi ścianami. Przyszło mi do głowy, że jest to cela więzienna, co połączyło się od razu ze wspomnieniem pokojówki, zaarrestowanej z winy Gina. Ja byłam tą pokojówką i cierpiałam nad niesprawiedliwością, jaką ją spotkała. Wynikiem tego cierpienia była moja fizyczna przemiana w pokojówkę; kazało mi ono przybrać jej postać, jej wyraz twarzy, jej ruchy. Ukryłam twarz w dłoniach i myślałam o tym, że niesprawiedliwie zamknięto mnie w więziennej celi, z której nie ma wyjścia. Ale jednocześnie wiedziałam, że jestem Adriana, której nie wyrządzono krzywdy, która nie siedzi w więzieniu, i uświadamiałam sobie, że wystarczy jeden ruch, żeby się wyzwolić i nie być już pokojówką. Jaki miał to być ruch, tego nie mogłam odgadnąć, chociaż pragnienie wyrwania się z tego więzienia, stworzonego przez litość i cierpienie, sprawiało mi niewypowiedzianą mękę. Nagle, jak świece, które stają nam w oczach przy gwałtownym uderzeniu, błysnęło w mojej głowie nazwisko Astarity. „Pójdę do Astarity i on ją uwolni” – pomyślałam. Znowu wyciągnęłam ręce przed siebie i wyczułam, że ściany celi rozsunęły się tworząc wąską, podłużną szczelinę, przez którą mogłam się prześliznąć. Zrobiłam kilka kroków w ciemności, wymacałam palcami kontakt i przekręciłam go z histerycznym pośpiechem. Światło zalało pokój. Stałam przy drzwiach, bez tchu, naga, twarz i ciało pokrywał mi zimny, perlisty pot. To, co brałam za celę, było narożnikiem pokoju, między szafą a komodą. Był on istotnie bardzo ciasny i tak zastawiony meblami, że prawie niedostępny. We śnie wstałam i poszłam się tam schować.

Znowu zgasiłam światło i położyłam się. Przed zaśnięciem pomyślałam jeszcze, że nie zdołam wprawdzie wskrzesić jubilera, ale mogę, a przynajmniej spróbuję, ratować pokojówkę. Uważałam, że powinnam się tym zająć właśnie teraz, kiedy stwierdziłam, że wcale nie jestem taka dobra, jak mi się zdawało. A w każdym razie ta moja dobroć nie przeszkodziła mi zasmakować we krwi, podziwiać mordercę i napawać się zbrodnią.

Rozdział 4

Następnego ranka ubrałam się starannie, włożyłam do torebki puderniczkę i wyszłam, żeby zatelefonować do Astarity. I rzecz dziwna, było mi lekko na duszy; znikły bez śladu wszystkie zgryzoty, które dręczyły mnie wczoraj po wyznaniach Sonzogna. W późniejszym moim życiu niejednokrotnie miałam możliwość stwierdzić, że pycha jest największym wrogiem miłosierdzia i wielką przeszkodą w uznaniu własnych przewinień za niemoralne. Nie odczuwałam już teraz lęku i grozy, tylko pyszniłam się na myśl, że ja jedna w całym mieście wiem, jakie okoliczności towarzyszyły zbrodni przy ulicy Palestro i kto był jej sprawcą. Mówiłam sobie: „Wiem, kto zabił jubilera” – i wydawało mi się, że patrzę na ludzi i na wszystko dokoła innym niż wczoraj wzrokiem. A także miałam wrażenie, że zmienił się wyraz mojej twarzy, i bałam się prawie, że można z niej wyczytać tajemnicę Sonzogna. A przy tym miałam nieodpartą pokusę, żeby opowiedzieć o tym, czego się dowiedziałam. Jak woda, która występuje z brzegów mało pojemnego naczynia, przelewał się ze mnie ten sekret i miałam ochotę odstąpić go komuś innemu. I przypuszczam, że to właśnie jest główną przyczyną, że przestępcy zwierniają się kochankom czy żonom ze swoich zbrodni. One z kolei mówią o tym jakiejś serdecznej przyjaciółce, ta powtarza dalej, aż na koniec wiadomości docierają do policji, co staje się zgubą dla wszystkich. Myślę także, że przestępcy, opowiadając o swoich zbrodniach, chcą pozbyć się choćby części ciężaru, który wydaje się przerastać ich siły, i przerzucić go na innych. Postępują tak, jak gdyby wina była ładunkiem, który rozłożyć można na barkach wielu ludzi, aż w końcu stanie się on tak lekki, że prawie niewyczuwalny. Ale tego ciężaru nie można zrzucić na nikogo, nie można się nim z nikim podzielić, jego waga, choć rozdzielona na całe grono wtajemniczonych, nie zmniejsza się, lecz rośnie.

Idąc ulicą i rozglądając się za automatem telefonicznym, kupiłam po drodze kilka gazet, aby poszukać w nich wiadomości o zbrodni przy ulicy Palestro. Ale upłynęło już kilka dni od tego wydarzenia i trafiłam tylko na krótką wzmiankę pod tytułem: „Policja nie wpadła dotąd na ślad mordercy jubilera”. Pomyślałam sobie, że jeżeli Sonzogno nie popełnił jakiegoś kardynalnego błędu, to może być pewien, że nigdy nie zostanie przyłapany. Fakt, że ów jubiler trudnił się nielegalnym handlem, niesłuchanie utrudniał śledztwo. Jak donosiły dzienniki, miał on potajemne kontakty z najrozmaitszymi ludźmi, wśród których nie brakło i mętów społecznych; zbrodniarz mógł być równie dobrze człowiekiem, z którym widział się po raz pierwszy w życiu i który zabił go bez premedytacji. Ta hipoteza była najbliższa prawdy. Ale właśnie dlatego, że była słuszna, dawała do zrozumienia, że policja zrezygnowała z wykrycia przestępcy.

Znalazłam telefon w restauracji i nakreśliłam numer Astarity. Nie telefonowałam do niego co najmniej od sześciu tygodni i widocznie zaskoczyłam go, bo początkowo wcale nie poznał mego głosu i odpowiedział tonem oficjalnym, jakiego zawsze używał w biurze. Przez chwilę miałam wrażenie, że nie chce mnie już znać, i doprawdy serce ścisnęło mi się na myśl o uwięzionej pokojówce i fatalnym zrzączeniu losu, że oto Astarita przestał mnie kochać właśnie teraz, gdy jego interwencja mogła uwolnić tę nieszczęśliwą. Jednocześnie owo przerażenie sprawiło mi przyjemność, bo świadczyło, że odnalazłam w sobie utraconą dobroć, że naprawdę chcę uratować tę kobietę i że pomimo stosunków z mordercą jestem tą samą co zawsze łagodną, poczciwą Adrianą.

Wystraszona, powiedziałam swoje nazwisko i usłyszałam z ulgą, że jego głos zmienił się od razu: stał się

zająkliwy i niepewny. Muszę się przyznać, że poczułam przyływ sympatii dla niego, taka miłość bowiem, zawsze pochlebna dla kobiety, napełniała mnie wdzięcznością i dodawała pewności siebie.

Przymilnym głosem wyznaczyłam mu spotkanie, on przyrzekł, że nie zrobi zawodu, po czym wyszłam z restauracji.

Przez całą noc, podczas której dławity mnie te zmyry, lało jak z cebra; od czasu do czasu słyszałam przez sen szum deszczu, pomieszany z wyciem wiatru; dokoła domu utworzył się jak gdyby mur niepogody, potęgując jeszcze moją samotność i otaczające mnie ciemności, wśród których staczałam walkę. Ale o świcie deszcz ustał, a ostatnie podmuchy wiatru znalazły jeszcze dość siły, aby rozwiać chmury, pozostawiając czyste niebo i nieruchome powietrze. Po telefonie do Astarity szłam aleją wysadzaną platanami, w pierwszych promieniach porannego słońca. Po koszmarnym, często przerywanym śnie pozostało mi tylko lekkie oszołomienie, które zresztą na świeżym powietrzu szybko minęło. Napawałam się piękną pogodą, wszystko, na co tylko rzuciłam okiem, wydawało mi się zajmujące, przyciągało mój wzrok i napełniało mnie zachwytem. Podobały mi się wilgotne krawędzie obsychających już chodników, pnie platanów o korze pokrytej łuskami białymi, zielonymi, żółtymi, brunatnymi, które z daleka wyglądały jak złote; podobały mi się fasady domów, nasiąknięte po nocnej ulewie dużymi plamami wilgoci; podobali mi się poranni przechodnie, mężczyźni szybko idący do pracy, służące z przewieszonymi przez ramię koszykami, małe dzieci, chłopcy i dziewczynki z książkami i teczkami, prowadzone za rękę przez rodziców lub starsze rodzeństwo. Zatrzymałam się, żeby dać jałmużnę staremu żebrakowi, i szukając pieniędzy w torebce spoglądałam z czułością na jego stary wojskowy płaszcz, połatany na rękawach i kołnierzu. Były tam łaty szare, brązowe, żółte i zielone, w kolorze mniej wyblakłym niż materiał płaszcza. Z przyjemnością obserwowałam ich barwy i podziwiałam, jak starannie były przyszyte rzucającymi się w oczy, dużymi czarnymi ściegami; bezwiednie zastanawiałam się, ile musiał się ten staruszek napracować, wycinając nożyczkami przetarte części, dobierając łaty ze starych łachmanów, podkładając je pod dziury i przyszywając z namaszczeniem. Te łaty tak mnie zachwyciły, jak głodnego zachwyca widok chleba wyjmowanego z pieca, i odchodząc nie mogłam się powstrzymać, żeby nie obejrzeć się jeszcze kilka razy. I wówczas nagle nasunęła mi się myśl, jak by to było pięknie mieć życie podobne do tego poranka, takie przejrzyste, takie jasne i takie przyjemne. Życie wyprane z wszelkich brudów, życie, które pozwalałoby spoglądać z miłością na każdą rzecz, choćby najskromniejszą. Wraz z tą myślą znowu odezwało się we mnie od dawna uśpione pragnienie normalnego życia z jednym mężczyzną, w jasnym, czystym, porządnym domu. Uświadomiłam sobie, że nie podoba mi się mój zawód, chociaż dziwnym przeciwieństwem losu byłam jakby do niego stworzona. Pomyślałam sobie, że nie jest to czysty zawód; dokoła mnie, na moim ciele, na moich palcach, na moim łóżku było coś lepkiego, unosił się zapach spermy, jakaś atmosfera niezdrowego podniecenia i choć potem zawsze myłam się i sprzątałam pokój, nie było na to rady. Myślałam także o tym, że przez sam fakt rozbierania się i ubierania na oczach coraz to nowych mężczyzn nie mogę oglądać swego ciała ze wstydliwą przyjemnością, tak jak bym tego pragnęła i co robiłam jako młoda dziewczyna, obserwując się w lustrze czy też myjąc się w łazience. Przyjemnie jest spoglądać na własne ciało jako na coś nowego i nieznanego, co samo przez się rośnie, nabiera kształtu i pięknieje; ale ja dając za każdym razem owo uczucie nowości moim kochankom, odebrałam je sobie samej raz na zawsze.

W świetle tych rozmyślań zbrodnia Sonzogna, oszustwo Gina, ciężki los pokojówki i wszystkie inne powikłania, wśród których się szamotałam, ukazywały się jako konsekwencje mojego nieuregulowanego życia. Ale

były to konsekwencje pozbawione jakiegoś szczególnego znaczenia, które nie budziły we mnie poczucia winy i których można byłoby uniknąć jedynie w tym wypadku, gdyby spełniły się moje dawne marzenia o zamążpójściu i normalnym życiu. Ogarnęło mnie silne pragnienie, żeby być w porządku pod każdym względem; w porządku wobec moralności, która nie uznawała mojej profesji; w porządku wobec natury, domagającej się, żeby kobieta w moim wieku miała dzieci; w porządku wobec estetyki, która nakazywała ubierać się w ładne, gustowne suknie i żyć w pięknym otoczeniu, w jasnych, czystych, wygodnych mieszkaniach. Tylko że jedno wyłączało drugie: gdybym chciała być w porządku wobec moralności, nie mogłabym być w porządku wobec natury, a moje zamiłowania byłyby sprzeczne i z moralnością, i z naturą. Na myśl o tym ogarnęło mnie owo stale powracające w moim życiu zniechęcenie, spowodowane świadomością, że nie mogę zaspokoić codziennych potrzeb inaczej jak tylko poświęcając to, co było we mnie najlepsze. Stwierdziłam raz jeszcze, że nie pogodziłam się całkowicie z moim losem, i to dodało mi nieco otuchy, bo pomyślałam, że gdyby zdarzyła się jakaś okazja do zmiany życia, nie byłabym tym zaskoczona i wykorzystałabym ją z pełną świadomością i zdecydowaniem.

Astarita nazaczył mi spotkanie w południe, zaraz po wyjściu z biura, miałam więc jeszcze kilka godzin czasu i nie wiedząc, co robić, zdecydowałam się odwiedzić Gizelę. Nie widywałam się z nią już od dłuższego czasu i podejrzewałam, że miejsce Riccarda – coś pośredniego między kochankiem a narzeczonym – zajął już ktoś inny. Gizela, tak samo jak i ja, miała nadzieję, że jakoś ureguluje sobie życie; tą samą nadzieją żyją chyba wszystkie kobiety mego pokroju. Ale u mnie wypływało to z wrodzonych skłonności, Gizela natomiast przykładła wielką wagę do opinii publicznej i przede wszystkim chciała zostać „osobą z towarzystwa”. Pomimo iż nadawała się do tego zawodu bez porównania lepiej ode mnie, wstydziła się, że ludzie biorą ją za to, czym była. Ja nie wstydziłam się tego nigdy, chociaż czasami miałam uczucie, że w postępowaniu moim jest coś unizonego i nienaturalnego.

Doszłam do kamienicy, w której mieszkała Gizela, i chciałam wejść na schody, kiedy zatrzymał mnie głos dozorczyńni:

– Idzie pani do panny Gizeli? Już tutaj nie mieszka.

– A dokąd się wyprowadziła?

– Na ulicę Casablanca numer 7. – Ulica Casablanca znajdowała się w nowo powstałej dzielnicy. –

Przyjechał po nią samochodem jakiś blondyn, załadowali wszystkie rzeczy i odjechali.

Od razu zdałam sobie sprawę, że zjawiłam się tutaj właśnie po to, żeby usłyszeć tego rodzaju nowinę. Sama nie wiem dlaczego, nagle zrobiło mi się słabo. Nogi ugięły się pode mną i musiałam oprzeć się o drzwi, żeby nie upaść. Ale szybko przyszłam do siebie i po chwili namysłu postanowiłam odwiedzić Gizelę pod nowym adresem. Wsiadłam do taksówki i kazałam się zawieźć na ulicę Casablanca.

Taksówka jechała szybko, oddalając się coraz bardziej od centrum miasta z jego wąskimi ulicami i starymi stłoczonymi domami. Ulice stawały się coraz szersze, rozwidlały się, tworząc u wylotu place, kamienice były nowe, a między nimi prześwitywało od czasu do czasu zielone pasmo pól. Wiedziałam, że ta moja wyprawa ma swoje ukryte i to bardzo bolesne znaczenie, i stawałam się coraz smutniejsza. Przypomniłam sobie nagle, ile wysiłków włożyła Gizela, żeby odebrać mi moją niewinność i zrobić ze mnie to, czym była ona sama; nie mogłam zapanować nad sobą i z oczu moich popłynęły łzy, jak krew płynie z otwartej rany.

Kiedy dojechałam na miejsce i wysiadłam z taksówki, miałam błyszczące oczy i mokre policzki. – Nie trzeba płakać, panienko – powiedział szofer. Nic nie odpowiedziałam, potrząsnęłam tylko głową i skierowałam się

do bramy.

Była to biała, nowoczesna kamienica, świeżo wykończona, na co wskazywały beczki, rusztowania i narzędzia leżące w pustym ogródku oraz plamy wapna na sztachetach ogrodzenia. Weszłam do sieni o białych, nagich ścianach; klatka schodowa także wymalowana była na biało, przez okna o mlecznych szybach sączyło się spokojne światło. Portier, młody człowiek o rudych włosach, w robotniczym kombinezonie, niepodobny do zazwyczaj spotykanych starych, brudnych dozorców, wprowadził mnie do windy. Nacisnęłam guzik i winda ruszyła w górę. Unosił się w niej miły zapach nowego świeżo polituowanego drzewa. Nawet w odgłosie motoru wyczuwało się, że jest on nowy, świeżo zainstalowany. Winda wjeżdżała na ostatnie piętro i w miarę wznoszenia się w górę było w niej coraz jaśniej, jak gdyby nie miała sufitu i jechała wprost do nieba. Kiedy stanęła, wysiadłam i znalazłam się na bardzo widnym, olśniewająco białym podeście schodów, przed pięknymi drzwiami z jasnego drzewa, z klamkami ze lśniącego mosiądzu. Zadzwoiłam, otworzyła mi szczuplutka, ciemna pokojówka o miłej twarzy, w pikowym czepeczku i haftowanym fartuszku.

– Proszę powiedzieć panie de Santis, że przyszła Adriana – powiedziałam.

Zostawiła mnie samą i poszła w głąb przedpokoju do drzwi oszklonych mlecznymi szybami, takimi samymi jak okna na klatce schodowej. Przedpokój, jak i reszta pokoi, był nagi i biały. Mieszkanie wyglądało na niewielkie, co najwyżej czteropokojowe. Ciepło kaloryferów wzmacniało jeszcze przenikliwy zapach świeżego wapna i lakieru. Po chwili oszklone drzwi w głębi korytarza otworzyły się i ukazała się w nich pokojówka, zapraszając mnie, żebym weszła do pokoju.

Kiedy się tam znalazłam, z początku nie widziałam nic, bo przez szerokie okno, zdające się zajmować całą ścianę na wprost drzwi, wpadały oślepiającymi snopami promienie zimowego słońca. Było to najwyższe piętro i przez szyby widać było tylko szafirowe, tonące w słońcu niebo. Zapomniałam na chwilę, że przyszłam tu z wizytą, i ogarnięta uczuciem błogości, przymknęłam oczy w tym słońcu ciepłym i złocistym jak stare wino, ale głos Gizeli przywołał mnie do rzeczywistości. Siedziała przy oknie, naprzeciwko drobnej, szpakowatej kobiety, która trzymała jej palce ponad małym, zastawionym buteleczkami stolikiem; była to manikiurzystka. Gizela powiedziała z wymuszoną swobodą:

– Ach, to ty, Adriano... Usiądź... Zaczekaj chwileczkę.

Usiadłam przy drzwiach i rozejrzałam się dokoła. Pokój był długi i dość wąski. Trzeba przyznać, że mebli stało w nim bardzo niewiele, stół, kredens i kilka krzeseł z jasnego drzewa, ale wszystko zupełnie nowe, a poza tym tyle słońca! I to słońce było doprawdy luksusem; nie mogłam powstrzymać się od myśli, że tylko w bogatym domu może tak świecić słońce. Napawając się tym miłym uczuciem, świadomie zamknęłam oczy i przez chwilę o niczym nie myślałam. Po chwili poczułam, że coś ciężkiego i miękkiego spadło mi na kolana; otworzyłam oczy i zobaczyłam ogromnego kota. Nigdy nie widziałam jeszcze tej rasy: miał sierść bardzo długą i jedwabistą, koloru szarobłękitnego i szeroki pyszczek o wyrazie majestatycznym i pogardliwym, który mi się nie spodobał. Kot zaczął ocierać się o mnie, podnosząc do góry puszysty ogon i miaucząc przenikliwie, po czym zwinął się w kłębuszek na moich kolanach i mruczał zadowolony.

– Jaki śliczny kot! – powiedziałam. – Co to za rasa?

– Perski – z dumą odpowiedziała Gizela – to bardzo cenna rasa... taki kot kosztuje do tysiąca lirów.

– Nigdy jeszcze takiego nie widziałam – odrzekłam gładząc kota po grzbiecie.

– Wie pani, kto ma takiego samego kota? – wtrąciła się manikiurzystka. – Pani Radaelli. Żeby pani wiedziała, jak ona go traktuje... lepiej niż człowieka. Kiedyś go nawet uperfumowała. No wiec jak, nie robimy dzisiaj pedicure?

– Nie, Marto, dzisiaj nie – odpowiedziała Gizela. Manikiurzystka schowała buteleczki i narzędzia do małej walizki, pożegnała się i wyszła.

Kiedy zostałyśmy same, popatrzyłyśmy na siebie. Gizela wydała mi się nowa jak cały ten dom. Ubrana była w różowy sweterek z angorskiej wełny i w hawajską spódnicę, której nigdy przedtem nie widziałam. Zmieniła się także jej figura; bardzo przytyła w piersiach i w biodrach. Zauważyłam, że powieki ma nieco obrzmiałe; wyglądała na osobę, która dobrze je, dużo śpi i nie ma żadnych kłopotów. Te powieki nadawały jej twarzy jakiś nieszczerzy wyraz. Oglądała przez chwilę swoje paznokcie, po czym zapytała zdawkowo: – No i co powiesz? Jak ci się podoba moje mieszkanie? Nie ma we mnie ani cienia zawiści, ale w tej chwili po raz pierwszy w życiu poczułam kłującą zazdrość. I byłam zdumiona, że istnieją ludzie, którzy umieją trawić w sobie owo uczucie całym latami, bo wydało mi się ono w najwyższym stopniu przykre i bolesne. Twarz wydłużyła mi się, jak gdyby nagle zapadły mi się policzki, co nie pozwoliło mi ani na uśmiech, ani na powiedzenie Gizeli czegoś miłego, choć chciałam to zrobić. Ogarnęła mnie przy tym zaciekle niechęć do Gizeli. Miałam ochotę dociąć jej złośliwie, zranić ją, obrazić, poniżyć, jednym słowem, zepsuć jej całą przyjemność. „Co się ze mną dzieje? – myślałam z przerażeniem, nie przestając głaskać kota po grzbiecie – Czy to ja, czy nie ja?” Na szczęście nie trwało to długo. Cała moja wrodzona dobroć zbuntowała się i gotowała do ataku przeciwko zazdrości. Pomyślałam, że Gizela jest przecież moją przyjaciółką i że powinnam cieszyć się dla niej. Wyobraziłam ją sobie wchodzącą po raz pierwszy do nowego mieszkania i klaszczącą w ręce z radości; i od razu znikł chłodny, paraliżujący mi twarz wyraz zawiści i poczułam znowu ciepło owego dobroczyennego słońca, ale w sposób bardziej intymny, jak gdyby rozświetliło mnie ono od wewnątrz. Powiedziałam:

– Jak można pytać o to? Takie piękne mieszkanie, takie wesole... Ale jak się to wszystko stało?

Miałam wrażenie, że szczerze wypowiedziałam te słowa, i uśmiechnęłam się, ale raczej do siebie – jakby w nagrodę – niż do Gizeli. Odpowiedziała mi tonem dumnym i poufałym zarazem:

– Pamiętasz Giancarla, tego blondyna, z którym zaraz zaczęłam się kłócić tamtego wieczoru? A więc on później przyszedł mnie odwiedzić i okazało się, że bardzo zyskuje przy bliższym poznaniu. Potem znowu spotykaliśmy się kilkakrotnie; parę dni temu powiedział mi: „Wyjdziemy razem, chcę ci zrobić niespodziankę”. Ja pomyślałam sobie, że chce mi kupić jakiś prezent, torebkę, perfumy, tymczasem on wsadza mnie do auta, przywozi tutaj, wprowadza do całkiem pustego mieszkania. Myślałam, że to jego mieszkanie. Zapytał, czy mi się podoba, powiedziałam, że tak, ale nie domyślając się nic, oczywiście... a on mówi: „To mieszkanie wziąłem dla ciebie”... Możesz sobie wyobrazić, co się ze mną działo!

Uśmiechnęła się rozglądając dokoła z miną pełną godności i zadowolenia. Wstałam odruchowo, podeszłam do niej i uściskałam ją mówiąc:

– Jakże się cieszę... Jestem z tego bardzo a bardzo zadowolona!

Po tym gościu rozwiła się cała moja niechęć. Przytknęłam twarz do szyby i wyjrzałam przez okno. Dom stał na skarpie, a w dole rozciągał się rozległy widok uprawnych pól, przez które, krętym korytem, przepływała rzeka. Na tej równinie wyrastały gdzieś lasy, zabudowania gospodarskie i skaliste wzniesienia. W rogu tej panoramy widniała biała linia domów stojących na skraju podmiejskiej dzielnicy i one tylko przypominały o

bliskości miasta. Na horyzoncie pasmo niebieskawych gór rysowało się wyraźnie na tle jasnego nieba. Powiedziałam odwracając się do Gizeli:

– Wiesz, że masz prześliczny widok!

– Prawda? – odpowiedziała. Podeszła do kredensu i wyjęła dwa kieliszki oraz pękata butelkę, którą postawiła na stole. – Napij się trochę likieru? – zapytała nonszalancko. Widać było, że pełnienie obowiązków pani domu sprawia jej wielką satysfakcję.

Usiadłyśmy przy stole i w milczeniu sączyłyśmy likier. Rozumiałam doskonale, że Gizela nie czuje się w porządku wobec mnie, i postanowiłam sama poruszyć ten temat. Powiedziałam łagodnie:

– Ale ze mną nieładnie postąpiłaś... Powinnaś była mnie zawiadomić.

– Nie miałam kiedy – odpowiedziała szybko – wiesz, ile jest kłopotu z przeprowadzką. A potem miałam mnóstwo roboty z kupowaniem najpotrzebniejszych rzeczy, mebli, bielizny, naczyń i porcelany, nie miałam chwili wytchnienia. Urządzenie domu to praca nie lada. – Mówiła z zaciśniętymi wargami, jak niektóre wytworne damy.

– Rozumiem cię – powiedziałam bez cienia złośliwości czy rozgoryczenia, tak jakbym mówiła o czymś, co mnie dotyczy – teraz, kiedy masz mieszkanie i lepiej ci się powodzi, nie masz ochoty widywać się ze mną... Wstydzisz się mnie.

– Wcale się nie wstydzę – odpowiedziała z gniewem; wydało mi się, że bardziej niż słowami dotknięta jest moim opanowanym tonem – jeżeli tak myślisz, jesteś naprawdę głupia. Po prostu teraz nie będziemy mogli widywać się tak jak dawniej... to znaczy wychodzić razem i tak dalej... Gdyby on mnie nakrył, ładnie bym wyglądała.

– Bądź spokojna – odrzekłam łagodnie – więcej mnie nie zobaczysz... Dzisiaj przyszedłam tylko dlatego, żeby się dowiedzieć, co się z tobą dzieje.

Udała, że nie słyszy, potwierdzając w ten sposób moje przypuszczenia. Przez chwilę panowało milczenie, po czym Gizela zapytała z fałszywą troskliwością:

– A co u ciebie słychać?

Natychmiast przyszedł mi na myśl Giacomo, i to tak nagle, że aż mnie to przeraziło. Odpowiedziałam zdławionym głosem:

– U mnie? Nic... wszystko po staremu.

– A Astarita?

– Widziałam się z nim kilka razy.

– A Gino?

– Zerwałam z nim.

Na wspomnienie Giacoma serce mi się ścisnęło. Ale Gizela wytłumaczyła sobie po swojemu zgnębienie malujące się na mojej twarzy, przypuszczając, że przybita jestem jej szczęściem i nieuprzejmym przyjęciem. Po chwili namysłu, siląc się na serdeczność, powiedziała:

– A mnie nikt nie wybije z głowy, że gdybyś tylko chciała, to Astarita urządziłby ci mieszkanie.

– Ale ja nie chcę – odrzekłam spokojnie – ani Astarity, ani żadnego innego.

Zobaczyłam, że się zmieszala:

– Dlaczego? Nie byłoby ci przyjemnie mieć takie mieszkanie jak moje?

– To mieszkanie jest śliczne – odpowiedziałam – ale ja chcę być przede wszystkim wolna.

– Ja jestem wolna – odpowiedziała urażona – mam na pewno więcej czasu niż ty... mam cały dzień dla siebie.

– Nie o tej wolności mówię.

– W takim razie o jakiej?

Zrozumiałam, że ją obraziłam, tym choćby, że niedostatecznie podziwiałam mieszkanie, z którego była tak dumna. Gdybym jednak zaczęła jej tłumaczyć, że doceniam jej mieszkanie, ale za żadną cenę nie związałabym się z mężczyzną, którego nie kocham, obraziłabym ją znowu, i to jeszcze bardziej niż przedtem. Wolałam zmienić temat i wtrąciłam pośpiesznie:

– Wiesz co, pokaż mi swoje mieszkanie!... Ile masz pokoi?

– Co cię może obchodzić moje mieszkanie – powiedziała naiwnie kapryśnym tonem – sama powiedziałaś, że nie chciałaś mieć takiego.

– Wcale tego nie powiedziałam – odrzekłam łagodnie – twoje mieszkanie jest bardzo ładne... Nie mogę nawet marzyć o czymś podobnym.

Nic nie odpowiedziała, oczy miała spuszczone, wyraz twarzy zatroskany.

– No więc co – mówiłam dalej nieśmiało. – Nie chcesz mi go pokazać?

Podniosła oczy i zobaczyłam ze zdumieniem, że były one pełne łez.

– Myliłam się uważając cię za przyjaciółkę – zawołała nagle – ty, ty pękasz z zazdrości i naumyślnie chcesz obrzydzić mi to mieszkanie, żeby popsuć mi całą przyjemność! – Mówiła to patrząc przed siebie, z twarzą mokrą od łez. Płakała ze złości; tym razem w niej obudziła się zazdrość, zazdrość bezprzedmiotowa, która nieświadomie godziła w moją rozpaczliwą miłość do Giacoma i w całą gorycz rozłąki; ale chociaż rozumiałam Gizelę doskonale, a może właśnie dlatego, że ją rozumiałam, zrobiło mi się jej żal. Podeszłam do niej i położyłam jej rękę na ramieniu:

– Dlaczego tak mówisz! Nie jestem zazdrosna... tylko że mnie co innego sprawiałoby radość. Ale cieszę się, że ty jesteś zadowolona... No więc – zakończyłam obejmując ją – zaprowadź mnie do tamtych pokoi.

Wytarła nos i odpowiedziała z pewnym ozywieniem:

– Mam cztery pokoje... są jeszcze prawie puste.

– No, chodźmy.

Wstała, wyszła przodem do przedpokoju i otwierając jedne drzwi po drugich pokazała mi kolejno sypialnię, w której stało tylko łóżko, a przy nim fotel, drugi pokój całkiem pusty, w którym miała zamiar ustawić tapczan „gościenny”, oraz pokoik służącej, małą klitkę. Obojętnie oprowadzała mnie po mieszkaniu, otwierając drzwi i wyjaśniając krótko, bez przyjemności, przeznaczenie każdego z pokoi. Ale jej zły humor zastąpiła duma, kiedy pokazała mi łazienkę i kuchnię, całe wyłożone kafelkami, wyposażone w nowe elektryczne urządzenia i błyszczące krany. Tłumaczyła mi, jak trzeba się z nimi obchodzić, podkreślając ich wyższość nad instalacją gazową, bo są czystsze i oszczędniejsze w użyciu. Tym razem, choć bynajmniej nie miałam na to ochoty, udało mi się okazać zainteresowanie odpowiednimi wykrzyknikami podziwu i zdumienia. Gizela była tak uradowana, że kiedy obejrzałyśmy już wszystko, powiedziała:

– Teraz wracajmy! Napijemy się jeszcze po kieliszku.

– Nie... nie – odrzekłam – muszę już iść.

– Dlaczego tak ci się spieszy? Zostań jeszcze chwilkę!

– Nie mogę.

Stałyśmy w przedpokoju i Gizela powiedziała po chwili wahania:

– Ale musisz znowu do mnie przyjść... a nawet wiesz, co zrobimy?... On często wyjeżdża z Rzymu... Dam ci znać w najbliższych dniach i ty przyprowadzisz tu jakichś dwóch twoich przyjaciół, zabawimy się trochę.

– A jeżeli on się o tym dowie?

– Dlaczego miałby się dowiedzieć?

Powiedziałam: – No dobrze – i teraz ja zawahałam się przez chwilę, ale zebrałam się na odwagę: – Słuchaj, powiedz mi... czy on nigdy nie wspominał ci o swoim przyjaciołku, który był z nim tamtego wieczoru?

– O tym studencie? A dlaczego, czy on cię interesuje?

– Nie, po prostu chciałam się dowiedzieć.

– Widzieliśmy go nawet wczoraj wieczorem.

Nie potrafiłam ukryć mojego zmieszania i powiedziałam niepewnym głosem:

– Posłuchaj, gdybyś go zobaczyła, powiedz mu, żeby do mnie przyszedł, ale powiedz to tak mimochodem.

– Dobrze, powiem mu – odrzekła, ale spoglądała na mnie podejrzliwie. Jej wzrok zmieszał mnie do reszty, bo zdawało mi się, że miłość do Giacomina wypisana jest na mojej twarzy wielkimi literami. Z tonu jej odpowiedzi wyczułam, że nie powtórzy mojego polecenia. Zrozpaczona otworzyłam drzwi, pożegnałam się z nią i szybko zbiegłam ze schodów nie oglądając się. Zatrzymałam się na drugim piętrze i opierając się o ścianę spoglądałam w górę. „Po co ja jej to powiedziałam? – myślałam. – Co mnie napadło?”

Zeszłam na dół ze spuszczoną głową.

Z Astaritą umówiłam się u siebie i doszłam tam ledwie żywa; odzwyczyłam się od wychodzenia z domu w godzinach porannych i zmęczyło mnie i słońce, i biegania po mieście. Ale nie byłam smutna, wizytę u Gizeli opłakałam już z góry, w taksówce, jadąc do jej nowego mieszkania. Drzwi otworzyła mi matka, mówiąc, że już blisko godzinę ktoś na mnie czeka. Poszłam od razu do swego pokoju i usiadłam na łóżku, nie zwracając uwagi na Astaritę, który stał przy oknie i zdawał się uważnie obserwować podwórko. Przez chwilę siedziałam nieruchomo, przyciskając rękę do piersi, zadyszana szybkim wejściem po schodach. Byłam odwrócona plecami do Astarity i wpatrywałam się nieobecny wzrokiem w drzwi pokoju. Szepnęła „dzień dobry” na powitanie, ale mu nie odpowiedziałam. Potem usiadł obok, objął mnie ramieniem i zaczął wpatrywać się przenikliwie w moje oczy.

Przy tylu kłopotach zapomniałam o jego nigdy nie wygasającej, zawsze gotowej wybuchnąć szaleńczej pożądlivości, która była dla mnie w tej chwili wręcz odpychająca.

– Więc ty zawsze masz ochotę? – zaczęłam mówić powolnym i pogardliwym głosem, odsuwając się.

Nic nie odpowiedział, ujął moją rękę i podniósł ją do ust, obrzucając mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Zawsze masz ochotę? – ciągnęłam dalej. – Nawet w południe?... Po przepracowaniu całego ranka w biurze?... Na czczo?... Przed obiadem?... Wiesz, że to coś niesłychanego.

Zobaczyłam, że jego wargi drżą, a oczy nienaturalnie się rozszerzają:

– Ależ ja cię kocham!

– Tak, ale są chwile odpowiednie na miłość i odpowiednie na inne rzeczy... Umawiam się z tobą na pierwszą właśnie po to, żebyś wiedział, że wcale nie idzie o miłość, a ty... naprawdę, że to jest coś niesłychanego...

Czy ty się nie wstydzisz?

Wpatrywał się we mnie i nic nie odpowiedział. Wydało mi się nagle, że aż za dobrze go rozumiem. Był we mnie zakochany i od Bóg wie ilu dni czekał na to spotkanie. Gdy ja borykałam się z trudnościami, on nieustannie myślał tylko o moich nogach, moich piersiach, moich biodrach i moich ustach.

– A więc – dodałam, nieco udobruchana – gdybym się teraz rozebrała...

Przytaknął głową. Roześmiałam się, nie złośliwie, ale z pewną pogardą.

– I nie przyszedłoby ci do głowy, że ja mogę być smutna czy też po prostu daleka od tych rzeczy, że jestem głodna albo zmęczona, albo mam jakieś zmartwienie... To nie przyszedłoby ci do głowy, co?

Patrzył mi w oczy i nagle przytulił mnie mocno, kryjąc głowę w zagłębieniu między moją szyją a ramieniem. Nie całował mnie, przytulał tylko twarz do mego ciała, jak gdyby chciał nasycić się jego ciepłem. Oddech miał ciężki, co chwila z piersi wyrывało mu się westchnienie. Nie gniewałam się już na niego, jego gesty wzbudzały we mnie jedynie głębokie współczucie, i byłam tylko po prostu smutna. Kiedy, jak mi się zdawało, wyczerpał już wszystkie westchnienia, odsunęłam go i powiedziałam:

– Wezwałam cię tutaj w bardzo poważnej sprawie.

Spojrzał na mnie, dotknął mojej ręki i zaczął ją głaskać. Był uparty i rzeczywiście poza namiętnością do mnie nic dla niego nie istniało.

– Pracujesz w policji, prawda?

– Tak.

– A więc zaaresztuj mnie i wsadź do więzienia. – Powiedziałam to zdecydowanym głosem i w tej chwili naprawdę tego pragnęłam.

– Ale dlaczego? Co się stało?

– Stało się to, że jestem złodziejką – rzekłam stanowczo – stało się, że popełniłam kradzież, a zamiast mnie zaaresztowano niewinną osobę... Więc zaaresztuj mnie, chętnie pójdę do więzienia... Chcę tego.

Nie wydawał się zdumiony, tylko lekko znudzony. Powiedział z grymasem:

– Powoli! Co się stało? Mów jaśniej!

– Powiedziałam ci już, że jestem złodziejką. – I w kilku słowach opowiedziałam mu o kradzieży i o zaaresztowaniu pokojówki. Wspomniałam o Ginie jako o jednym ze służby, ale nie wymieniłam jego nazwiska. Miałam natomiast wielką ochotę opowiedzieć o Sonzogno i o jego zbrodni, i z trudem udało mi się to przemilczeć. Na koniec rzekłam:

– A teraz wybieraj: albo wypuścisz z więzienia tę kobietę, albo ja dzisiaj pójdę do komisariatu i oddam się w ręce policji.

– Czekaj – zaczął mówić, podnosząc rękę do góry – po co ten pośpiech! Tamta siedzi wprawdzie w więzieniu, ale jeszcze nie zapadł na nią wyrok... Poczekamy.

– Nie... nie mogę czekać... Siedzi w więzieniu i podobno ją biją! Nie mogę czekać, musisz się zdecydować natychmiast!

Poznał po tonie mojego głosu, że mówię poważnie; wstał z wyraźnym niezadowoleniem i zaczął chodzić po pokoju. Po chwili powiedział, jakby do siebie:

– Pozostaje jeszcze ta sprawa z dolarami.

– Ale ona do niczego się nie przyznała... Dolary się znalazły. Możemy powiedzieć, że zrobił to ktoś, kto chciał zemścić się na niej.

– A puderniczkę masz?

– Mam – powiedziałam wyciągając z torebki puderniczkę i podając mu ją.

Ale on nie chciał jej wziąć.

– Nie, nie... Mnie nie możesz jej oddać. – Wydawało się, że waha się przez chwilę, po czym dorzucił: – Ja nie mogę wypuścić z więzienia tej kobiety, ale trzeba, żeby policja miała w ręku dowód, że ona jest niewinna... właśnie tę puderniczkę.

– No to weź ją i oddaj właścicielce.

Roześmiał się urągliwie:

– Nie orientujesz się w tych sprawach... Gdybym wziął od ciebie puderniczkę, byłbym moralnie zobowiązany i musiałbym cię aresztować, bo w przeciwnym razie powiedziano by: „Skąd Astarita ma skradziony przedmiot? W jaki sposób? Od kogo?” itd., itd. Nie, musisz złożyć puderniczkę na policji, nie odkrywając przy tym swojego incognito.

– Mogłabym wysłać pocztą.

– Nie, pocztą nie.

Znowu przeszedł się po pokoju, po czym usiadł przy mnie i powiedział:

– Powiem ci, co masz zrobić... Czy znasz jakiegoś księdza?

Przypomniałam sobie francuskiego zakonnika, u którego spowiadałam się po powrocie z wycieczki do Viterbo, i odpowiedziałam:

– Tak, mojego spowiednika.

– Chodzisz jeszcze do spowiedzi?

– Nie, dawniej chodziłam.

– No dobrze, idź do swojego spowiednika i opowiedz mu o wszystkim, tak jak opowiedziałas mnie, i poproś go, żeby poszedł na policję i oddał tam w twoim imieniu puderniczkę. Żaden spowiednik nie odmówi ci, a nie ma obowiązku dostarczania jakichkolwiek informacji, bo związany jest tajemnicą spowiedzi. Za dwa, trzy dni zatelefonuję do ciebie, zrobię... Jednym słowem, twoja pokojówka zostanie wypuszczona na wolność.

Ogarnęła mnie niewypowiedziana radość i pod jej wpływem zarzuciłam mu ręce na szyję i serdecznie go ucałowałam. On mówił dalej, ale już drgającym i pożądliwym głosem:

– Ale tobie nie wolno robić takich rzeczy. Jeżeli potrzebujesz pieniędzy, zwróć się do mnie, a ja...

– Czy mogę już dzisiaj pójść do spowiednika?

– Oczywiście.

Przez dłuższy czas stałam nieruchomo z puderniczką w ręku, patrząc przed siebie. Doznałam tak głębokiej ulgi, jak gdybym ja była tą pokojówką; i doprawdy, zdawało mi się, że nią jestem; pomyślałam, jak wielką poczuje ona ulgę, kiedy wypuszczą ją na wolność. Nie byłam już ani zmęczona, ani smutna, ani zniechęcona. Astarita tymczasem trzymał mnie za rękę, próbując wsunąć mi palce pod mankiet. Odwróciłam się i powiedziałam pieszczotliwie, patrząc na niego wzrokiem pełnym słodyczy:

– Naprawdę tak ci na tym zależy?

Skinął głową, niezdolny do wymówienia choćby jednego słowa.

– I nie jesteś zmęczony – ciągnęłam dalej czułym i okrutnym głosem – nie uważasz, że jest już późno... i że lepiej byłoby odłożyć to na inny dzień?

Zobaczyłam, że potrząsa głową przecząco.

– Więc kochasz mnie tak bardzo? – zapytałam.

– Wiesz przecież, że cię kocham – odpowiedział cicho i chciał mnie objąć. Odsunęłam się i zawołałam:

– Poczekaj!

Uspokoił się natychmiast, bo zrozumiał, że się zgadzam. Wstałam, wolno podeszłam do drzwi i przekręciłam klucz w zamku. Następnie zamknęłam okno, opuściwszy przedtem żaluzje. On wodził za mną wzrokiem, kiedy leniwie i majestatycznie chodziłam po pokoju; czułam na sobie jego spojrzenie i domyślałam się, jaką przyjemność sprawiała mu moja niespodziewana uległość. Potem, pełna radości, zaczęłam cicho podśpiewywać i ciągle nucąc otworzyłam szafę, zdjęłam sukienkę i powiesiłam na wieszaku. Gdy przejrzałam się w lustrze, wydało mi się, że jeszcze nigdy nie byłam taka śliczna: oczy moje pełne były głębokiego, łagodnego blasku, nozdrza rozdęte, usta lekko rozchylone odsłaniały białe, regularne zęby. Uświadomiłam sobie, że wyglądam tak ładnie dlatego, bo jestem z siebie zadowolona, bo czuję, że jestem dobra, i zaczęłam śpiewać na głos, rozpinając jednocześnie stanik. Śpiewałam piosenkę bardzo głupią, modną w owym czasie: „Śpiewam sobie tę piosenkę, dudu, dudu, dudu, dudu”, i ten głupi refren wydał mi się taki właśnie jak samo życie, które nie ma sensu, ale bywa czasami przyjemne i porywające. Nagle, kiedy byłam już naga do pasa, ktoś zapukał do drzwi.

– Nie mogę otworzyć – zawołałam – za chwilę!

– To pilna sprawa – odpowiedział głos matki.

Nasunęło mi się pewne podejrzenie; podeszłam do drzwi, uchyliłam je i wyjrzałam.

Matka dała mi znak, żebym wyszła i zamknęła drzwi, po czym szepnęła w ciemnym przedpokoju:

– Przyszedł ktoś, kto chce koniecznie widzieć się z tobą.

– Kto taki?

– Nie znam go, jakiś młody brunet.

Cichutko otworzyłam drzwi i zajrzałam do jadalni. Zobaczyłam kogoś siedzącego przy stole, odwróconego do mnie plecami. Po karku poznałam od razu Giacoma i zamknęłam drzwi.

– Powiedz mu, że zaraz przyjdę... i żeby pod żadnym pozorem nie wychodził z jadalni – szepnęłam matce.

Skinęła potakująco głową, a ja wróciłam do pokoju. Astarita wciąż siedział na łóżku, tak jak go zostawiłam.

– Prędko – powiedziałam mu – prędko... bardzo mi przykro, ale musisz natychmiast wyjść.

Zmieszał się i zaczął bełkotać jakieś słowa sprzeciwu, ale ja nie pozwoliłam mu dokończyć:

– Mojej ciotce zrobiło się słabo na ulicy... musimy iść zaraz z matką do szpitala... Prędko, prędko. – Było to dość niewyszukane kłamstwo, ale w tym momencie nic innego nie przyszło mi do głowy. Patrzył na mnie jak ogłupiały, nie mogąc uwierzyć w swoje nieszczęście. Zauważyłam, że zdjął już trzewiki i opierał o podłogę stopy w kolorowych, pasiastych skarpetkach. – Wstań... Dlaczego tak na mnie patrzysz? Musisz już iść – nalegałam zrozpaczona. Odpowiedział mi:

– Dobrze... już idę. – I schylił się, żeby włożyć trzewiki. Stałam przed nim i już podawałam mu płaszcz. Ale rozumiałam, że muszę mu coś obiecać, jeśli chcę, żeby interweniował w sprawie pokojówki. Pomagając mu

włożyć płaszcz, dorzuciłam:

– Posłuchaj... jest mi strasznie przykro... ale przyjdź jutro wieczorem, po kolacji... spędzimy razem spokojnie kilka godzin. Dzisiaj i tak zaraz musiałabym cię wyprosić... Lepiej nawet, że się tak stało.

Nic na to nie odpowiedział, a ja za rękę poprowadziłam go do drzwi, jak gdyby był u mnie po raz pierwszy, bo bardzo się bałam, żeby nie wszedł do jadalni i nie zobaczył Giacomina. Na progu przypomniałam mu jeszcze: – Pamiętaj, że dzisiaj idę do spowiednika. – On kiwnął głową w odpowiedzi, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że o niczym nie zapomni. Miał zimny i niechętny wyraz twarzy. W pośpiechu nie pożegnałam się z nim nawet i zatrasnęłam mu drzwi prawie przed nosem.

Rozdział 5

Zbliżając się do drzwi jadalni i kładąc rękę na klamce uświadomiłam sobie, że jeśli nie zdarzy się jakiś cud, to mój stosunek do Giacoma stanie się równie żałosny, jak stosunek Astarity do mnie. Teraz wiedziałam już, że te uczucia niewolniczej zależności, lęku i nieustającego pożądania, jakie miał dla mnie Astarita, ja żywiłam do Giacoma; i chociaż zdawałam sobie sprawę, że jeżeli chcę być kochana, nie powinnam do tego dopuścić, nie umiałam zachowywać się wobec niego inaczej niż jak wobec budzącego trwogę zwierzchnika. Jakie były przyczyny owego poczucia niższości, nie umiałabym wytłumaczyć, zresztą, gdybym je znała, tym samym przestałyby istnieć. Wyczuwałam tylko instynktownie, że jesteśmy ulepieni z innej gliny, ja z twardszej niż Astarita, ale bardziej kruchej niż Giacomo; że istnieje coś, co nie pozwala mi kochać Astarity, tak jak Giacomowi nie pozwala kochać mnie; i że zarówno miłość Astarity dla mnie, jak i moja miłość do Giacoma zaczęła się nieszczęśliwie, a skończy się jeszcze gorzej. Serce skakało mi w piersi, brakowało mi tchu, choć jeszcze ani go nie widziałam, ani z nim nie rozmawiałam; bałam się bardzo, żeby nie zrobić jakiegoś fałszywego kroku, nie zdradzić mojego podniecenia i chęci podobańca mu się, gdyż wtedy straciłabym go znowu, i to raz na zawsze. Prawdziwym przekleństwem miłości jest, że nigdy nie jest wzajemna; kiedy się kocha, nie jest się kochanym, a kiedy jest się kochanym, samemu się nie kocha. Wiedziałam, że właśnie dlatego, iż zakochałam się w Giacomie, on nie zakocha się we mnie. I wiedziałam także, choć sama przed sobą nie przyznawałam się do tego, że cokolwiek zrobię, nie uda mi się zdobyć jego miłości. Wszystkie te myśli przelatywały mi przez głowę, kiedy jak nieprzytomna stałam za drzwiami jadalni, nie mając odwagi wejść.

Byłam zupełnie oszołomiona, gotowa popełnić każde szaleństwo, i świadomość tego drażniła mnie w najwyższym stopniu. Na koniec zebrałam się na odwagę i weszłam.

Siedział w tej samej pozycji, w jakiej zobaczyłam go przez szczelinę drzwi: oparty o stół, odwrócony plecami. Słyszając, że wchodzi, odwrócił się, spojrzał na mnie nieco krytycznie i dość obojętnie, po czym powiedział:

– Przechodziłem tędy i przyszło mi do głowy, żeby cię odwiedzić... Może źle zrobiłem. – Zauważyłam, że mówi powoli, jakby chciał przyjrzeć mi się dokładnie, zanim wypowie zdanie do końca. Zmieszałam się na myśl, że wydam mu się inna i mniej powabna od tej, jaką zachował we wspomnieniu, które kazało mu wrócić po tak długim czasie. Ale otuchy dodała mi myśl, że przed chwilą, kiedy przeglądałam się w lustrze, wydałam się sobie taka śliczna. Odpowiedziałam zadyszana:

– Ależ skąd... doskonale zrobiłeś... Miałam właśnie wyjść na obiad, możemy pójść razem coś zjeść.

– Czy poznajesz mnie? – zapytał, zapewne z ironią. – Wiesz, kto ja jestem?

– Jak mogłabym cię nie poznać? – odpowiedziałam głupio; i zanim zdążyłam się opanować, ujęłam go za rękę i podniosłam ją do ust, patrząc na niego z miłością. Zmieszał się i zrobiło mi to przyjemność. Zapytałam: – Dlaczego nie pokazałeś się więcej... ty niedobry – tkliwym i przejmującym głosem.

– Byłem bardzo zajęty – odpowiedział.

Ja zupełnie straciłam głowę. Oderwałam jego rękę od ust i położyłam ją sobie pod piersią, na sercu, mówiąc:

– Czy czujesz, jak mi serce bije? – ale w duchu nazwałam siebie idiotką, bo wiedziałam, że źle robię. Skrzywił się, zakłopotany, a ja przestraszona dorzuciłam szybko: – Pójdę włożyć płaszcz i zaraz wrócę... zaczekaj na mnie.

Byłam tak oszołomiona i tak się bałam go utracić, że w przedpokoju przekręciłam gwałtownie klucz u drzwi wejściowych i wyjęłam go z zamka, na wypadek gdyby Giacomo chciał wyjść beze mnie. W swoim pokoju stanęłam przed lustrem i startłam rąbkami chusteczki szminek z oczu i ust, wzięłam pomadkę i na nowo pomalowałam usta, ale bardzo delikatnie. Podeszłam do wieszaka po płaszcz i nie znalazłszy go tam straciłam głowę i dopiero po chwili przypomniałam sobie, iż powiesiłam go w szafie, więc wyjęłam go stamtąd i szybko zarzuciłam na siebie. Jeszcze raz przejrzałam się w lustrze i wydało mi się, że moje uczesanie jest wyzywające. W pośpiechu przeczesalam grzebieniem włosy i ułożyłam je tak, jak za czasów narzeczeństwa z Ginem. Czesząc się przysięgłam sobie, że od tej chwili będę panować nad odruchami namiętności i kontrolować surowo każde słowo i każdy gest. Na koniec byłam gotowa, wyszłam do przedpokoju i zajrzałam do stołowego, żeby zawołać Giacomą.

Kiedy wychodziliśmy, zamknięte drzwi wejściowe, które w tym zamieszaniu zapomniałam otworzyć, wyjawiały mój podstęp.

– Bałaś się, że ucieknę – mruknął, podczas gdy ja zawstydzona szukałam w torebce klucza. Wziął go ode mnie i sam przekręcił w zamku, patrząc na mnie i potrząsając głową z tą właściwą mu serdeczną surowością. Radość przepęliła mi serce, dogoniłam go na schodach, ujęłam pod ramię i zapytałam prawie bez tchu:

– Nie gniewasz się za to, prawda? – Nic nie odpowiedział.

Na ulicy szliśmy w słońcu, pod rękę, wzdłuż bram i sklepów. Byłam tak szczęśliwa, że idę przy jego boku, że zupełnie zapomniałam o niedawnej przysiędze; i kiedy przechodziliśmy koło willi z wieżyczką, wydało mi się, że ktoś chwyta moją rękę i każe mi ją zacisnąć na dłoni Giacomą; jednocześnie pochyliłam się do przodu, zajrzałam mu w twarz i powiedziałam:

– Czy wiesz, jak bardzo się cieszę, że cię widzę?

On zrobił ten sam co zawsze grymas zniecierpliwienia i odpowiedział: – Ja także się cieszę – ale wydało mi się, że ton jego wcale nie wyrażał zadowolenia.

Przygryzłam wargi do krwi i wysunęłam palce z jego dłoni. Zdawało się, że w ogóle tego nie zauważył, z roztargnieniem rozglądał się dokoła. Kiedy doszliśmy do bramy w murze, zawahał się, stanął i rzekł obojętnie:

– Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego?

– Naprawdę przypadkiem wstąpiłem do ciebie i tak się złożyło, że nie mam przy sobie ani grosza, a więc najlepiej będzie, jeżeli się pożegnamy.

W pierwszej chwili ogarnęło mnie straszliwe przerażenie. Pomyślałam: „Opuszcza mnie” i byłam tym tak zdruzgotana, że nie widziałam innej rady, jak tylko objąć go za szyję, płakać i błagać o zmiłowanie. Ale zaraz zmieniłam zamiar, bo zmyślony przez niego pretekst nasunął mi wyjście z sytuacji; przecież mogę za niego zapłacić – i spodobała mi się ta myśl, że zapłacę za niego, tak jak inni płacili za mnie. Wspominałam już o zmysłowej przyjemności, jaką odczuwałam zawsze otrzymując zapłatę. A teraz zrobiłam odkrycie, że wcale nie mniejszą przyjemnością jest dawać i że rola, jaką grają pieniądze w miłości, nie ogranicza się do wyrównania rachunków. Zawołałam z uniesieniem: – Nic się tym nie przejmuj! Ja zapłacę... Popatrz, mam pieniądze – i otworzyłam torebkę,

pokazując mu banknoty, które włożyłam tam poprzedniego wieczora.

Odpowiedział z odcieniem rozczarowania:

– Ależ to nie wypada!

– Cóż to może mieć za znaczenie?... Wróciłeś... i ja chcę uczcić twój powrót.

– Nie, nie... lepiej nie. – Zrobił ruch, jakby chciał podać mi rękę na pożegnanie i odejść, ale wzięłam go pod ramię mówiąc:

– Chodźmy i nie mówmy już o tym więcej! – i poszliśmy do gospody.

Usiedliśmy przy tym samym stoliku co za pierwszym razem i wszystko było tak, jak wówczas, tyle tylko że promień zimowego słońca wpadał przez oszklone drzwi, oświetlając ścianę i stoliki. Gospodarz podał nam kartę i ja zamówiłam potrawy pewnym siebie, protekcyjnym tonem, takim samym, jakim przemawiali w takich okolicznościach moi kochankowie. Giacomo milczał i miał spuszczone oczy. Zapomniałam o winie, bo go nie pijam; potem przypomniałam sobie, że Giacomo pił, kiedy byliśmy tu pierwszym razem, zawołałam więc gospodarza i zamówiłam litr wina.

Skoro tylko właściciel lokalu odszedł, wyjęłam z torebki stulirowy banknot, złożyłam go na czworo i, rozglądając się dokoła, podałam go pod stołem mojemu towarzyszowi. Spojrzał na mnie pytająco.

– Pieniądze – powiedziałam cicho – potem zapłacisz.

– Ach, pieniądze – odrzekł powoli. Wziął banknot, rozłożył go na stole, po czym zwinął go z powrotem, otworzył moją torebkę i wsunął go tam z ironiczną powagą.

– Chcesz, żebym ja płaciła? – zapytałam zmieszana.

– Nie, ja zapłacę – powiedział spokojnie.

– Więc dlaczego mówiłeś, że nie masz pieniędzy?

Wahał się przez chwilę i powiedział z pełną goryczy szczerością:

– To wcale nie był przypadek, że do ciebie przyszedłem... Już od miesiąca myślałem, żeby cię odwiedzić, ale kiedy cię zobaczyłem, znowu poczułem ochotę do ucieczki... i postanowiłem ci powiedzieć, że nie mam pieniędzy... mając nadzieję, że odeślesz mnie do diabła. – Uśmiechnął się i przesunął ręką po brodzie: – Ale chyba się pomyliłem.

A więc przeprowadził na mnie coś w rodzaju doświadczenia. Nie chciał o mnie słyszeć, a raczej sympatia do mnie walczyła w nim z co najmniej równie silną niechęcią. Później już stwierdziłam, że owo zgrywanie się dla eksperymentu było jedną z głównych cech jego charakteru. Ale wtedy poczułam się ogromnie zmieszana i sama nie wiedziałam, czy mam się cieszyć, czy martwić jego porażką. Zapytałam machinalnie:

– Ale dlaczego chciałeś odejść?

– Uświadomiłem sobie, że nie mam dla ciebie żadnego uczucia... a raczej pożądanego, jak na przykład mój przyjaciel dla twojej koleżanki.

– Czy wiesz – zapytałam – że oni się zeszli?

– Tak – odpowiedział pogardliwie – dobrali się w korcu maku.

– Nie masz dla mnie żadnego uczucia – mówiłam dalej – nie miałeś ochoty zobaczyć się ze mną... a jednak przyszedłeś. – W moim miłosnym rozczarowaniu, przewidzianym zresztą, przyjemnie mi było wytknąć mu brak konsekwencji.

– Tak – odpowiedział – bo ja mam, jak się to mówi, słaby charakter.

– Przyszedłeś, i to mi wystarcza – odrzekałam okrutnie.

Wyciągnęłam pod stołem rękę i oparłam ją na jego kolanach. Patrzałam na niego i zobaczyłam, że to go zakłopotало i że drży mu broda. Zrozumiałam także, że chociaż wzbudzam w nim pożądanie, do czego zresztą sam się przyznał, mówiąc, że od miesiąca wybiera się do mnie, jest w nim także coś wyraźnie wrogiego; i właśnie z tym postanowiłam walczyć. Przypomniałam sobie wzrok, jakim obrzucił mnie nagą przy pierwszym spotkaniu, i powiedziałam sobie, że źle zrobiłam dając się zmrozić tym spojrzeniem; że gdybym się wtedy zawzięła, zgasłoby owo spojrzenie, tak jak teraz ginął i rozpływał się hardy wyraz na jego twarzy.

Pochylona nad stołem, jakbym chciała mówić do niego szeptem, głąskałam go, a zarazem pogodnym spojrzeniem śledziłam efekt moich pieszczot na jego twarzy. Patrzył na mnie gniewnie i pytająco, tymi swoimi wielkimi, czarnymi, błyszczącymi oczyma; rzęsy miał zawinięte do góry i długie jak dziewczyna. Po chwili powiedział:

– Jeśli wystarcza ci, że podobaś mi się w ten sposób, to rób tak dalej.

Drgnęłam całym ciałem. Właśnie gospodarz postawił na stole nakrycia i potrawy. Zaczęliśmy jeść w milczeniu, żadne z nas nie miało apetytu. On zaczął po chwili:

– Na twoim miejscu spróbowałbym namówić mnie do picia.

– Dlaczego?

– Bo kiedy jestem pijany, łatwiej naginam się do woli innych.

Jego powiedzenie: „Jeżeli wystarcza ci, że podobaś mi się w ten sposób” – obraziło mnie, a wzmianka o winie świadczyła, że moje wysiłki są daremne. Odrzekałam zrozpaczona:

– Chcę, żebyś robił tylko to, na co masz ochotę. Jeśli chcesz iść, idź... tam są drzwi!

– Na to, żeby wyjść – odpowiedział żartobliwym tonem – musiałbym mieć pewność, że naprawdę tego chcę.

– Może chcesz, żebym ja sobie poszła?

Popatrzyliśmy na siebie. Rozpacz dodała mi odwagi i on zdawał się nie mniej zmieszany tą rezolucją niż przed chwilą moimi pieszczotami.

– Nie, zostań! – wyrzekł z wysiłkiem.

Znowu jedliśmy w milczeniu; nalał sobie pełną szklankę wina i wychylił ją jednym haustem.

– Widzisz? – powiedział. – Piję.

Jego słowa przesywały mi serce. Miałam wrażenie, że nie wytrzymam już dłużej tego cierpienia. Powiedziałam pokornie:

– Przestań, przestań znęcać się nade mną!

– Ja się nad tobą znęcam?

– Tak, stroisz sobie ze mnie żarty, a ja proszę cię tylko o jedno: nie zwracaj na mnie uwagi... Zawróciłam sobie tobą głowę... to minie, ale na razie zostaw mnie w spokoju.

Nic nie odpowiedział, tylko wypił drugą szklankę wina. Złękłam się, że go obraziłam, i zapytałam:

– Gniewasz się? Gniewasz się na mnie?

– Ja? Wprost przeciwnie!

– Jeśli masz ochotę, możesz pożartować sobie ze mnie... proszę cię bardzo, nie krępuj się... nie zwracaj uwagi na to, co przedtem powiedziałam.

– Ależ ja wcale z ciebie nie żartuję!

– I jeżeli masz ochotę mówić mi rzeczy złośliwe – mówiłam dalej z uporem, porwana jakimś pragnieniem, żeby podporządkować mu się bez reszty – to mów... ja i tak będę cię kochała, może nawet jeszcze więcej, a gdybyś mnie bił, całowałabym rękę, która mnie uderzyła.

Patrzył na mnie uważnie, wyglądał na niesłuchanie zakłopotanego, był po prostu skonfundowany moim uniesieniem. Po chwili zapytał:

– Pójdziemy już?

– Dokąd?

– Do ciebie.

Byłam tak zrozpaczona, że prawie zapomniałam, co było powodem mojej desperacji. To nieoczekiwane oświadczenie, w chwili kiedy nie zdążyliśmy jeszcze zjeść pierwszego dania ani wypić nawet połowy wina, raczej mnie zdziwiło, niż ucieszyło. Pomyślałam, nie bez słuszności, że to nie miłość, ale zakłopotanie, w jakie wprawiają go moje słowa, podsunęło mu myśl, żeby przerwać obiad. Odrzekłam:

– Nie możesz się już doczekać, żeby się mnie pozbyć... czy tak?

– Jakim sposobem domyśliłaś się tego? – zapytał; ale ta odpowiedź, zbyt okrutna, żeby była prawdziwa, uspokoiła mnie, sama nie wiem czemu. Odrzekłam spuszczać oczy:

– Pewne rzeczy rozumieją się same przez się... Najpierw skończymy obiad, potem pójdziemy.

– Jak chcesz... ale ja się upiję.

– Upij się... dla mnie.

– Ale upiję się tak, że będę chory... Wtedy zamiast kochanka będziesz miała pacjenta.

Byłam na tyle naiwna, że okazałam zaniepokojenie i sięgnęłam po butelkę, mówiąc: – A więc nie pij już. – Wybuchnął śmiechem, powtarzając: – Ale dałaś się nabrać!

– Dałam się nabrać? Dlaczego?

– Nie bój się... Nie upijam się tak łatwo.

– Chodziło mi o ciebie – odrzekłam zawstydzona.

– O mnie... cha! cha!

Dalej drwił sobie ze mnie, ale w ten jakiś właściwy sobie miły sposób, tak że nie czułam się urażona.

– Ale dlaczego właściwie ty nie pijesz? – dodał.

– Nie lubię, a poza tym wystarczy mi jeden kieliszek, żeby się upić.

– A cóż to szkodzi? Upijemy się obydwój!

– To bardzo brzydko, kiedy kobieta się upije... Nie chcę, żebyś mnie widział pijaną.

– Dlaczego?... Cóż w tym złego?

– To okropne, kiedy kobieta jest pijana: zatacza się, mówi głupstwa, robi nieprzyzwoite gesty, to naprawdę smutny widok. Czy nie dosyć, że i tak jestem istotą wykolejoną? Tak, wiem, że za taką mnie uważasz, a gdybym jeszcze w dodatku piła i upiła się w twoim towarzystwie, nie spojrzalbyś na mnie więcej.

– A gdybym ci kazał pić?

– Więc upierasz się przy tym, żeby upodlić mnie do reszty – powiedziałam z namysłem. – Jediną moją zaletą jest to, że zachowuję się przyzwoicie... ale ty chcesz mi i to odebrać!

– Tak, chcę! – powiedział pompatycznie.

– Nie rozumiem, jaką w tym znajdujesz przyjemność, ale jeżeli tak ci na tym zależy, proszę bardzo, nalej mi wina – podsunęłam mu szklanke.

Spojrzał na szklanke, potem na mnie i znowu zaśmiał się.

– Żartowałem – powiedział.

– Zawsze tylko żartujesz.

– A więc twoje zachowanie jest bez zarzutu? – ciągnął dalej po chwili, przypatrując mi się z uwagą.

– Tak mi zawsze mówiono.

– Czy sądzisz, że i ja jestem tego zdania?

– Czy ja kiedykolwiek wiem, co ty myślisz?

– Zaraz zobaczymy... Powiedz mi, co myślę o tobie i co dla ciebie czuję?

– Nie wiem – odrzekłam powoli i niepewnie – oczywiście, że nie kochasz mnie tak, jak ja ciebie Kocham.

Może ci się podobam, tak jak może się podobać mężczyźnie niebrzydka kobieta...

– A więc uważasz, że jesteś niebrzydka?

– Tak – odpowiedziałam z dumą – wiem nawet, że jestem ładna. Ale nie na wiele przydała mi się moja uroda.

– Uroda nie powinna na nic się przydawać.

Skończyliśmy tymczasem jeść i butelka wina też była prawie pusta.

– Sama widzisz – powiedział – że sporo wypilem, ale nie jestem pijany. – Jego błyszczące oczy i nerwowe ruchy rąk zdawały się przeczyć słowom. Spojrzałam na niego pełnym nadziei wzrokiem, a on dorzucił: – Chcesz, żebyśmy już szli do domu... Ramionami Wenus oplotła swą zdobycz...

– Co ty mówisz?

– Nic, nic... przetłumaczyłem okolicznościowo zwrotkę pewnego wiersza...

Zachowywał się zawsze nieco pompatycznie, ale zarazem żartobliwie. Żartobliwie też zawezwał gospodarza, zapytał, ile wynosi rachunek, i podsunął mu pod nos pieniądze, dołączając hojny napiwek: – A to dla pana. – Wypił resztę wina i wyszliśmy z gospody.

Na ulicy ogarnął mnie istny popłoch, chciałam jak najszybciej znaleźć się w domu. Wiedziałam, że wrócił do mnie bardzo niechętnie; wiedziałam, że przeklina owo uczucie, które kazało mu wrócić. Ale pokładałam wielką nadzieję w mojej urodzie i w mojej miłości dla niego i nie mogłam doczekać się chwili, żeby zwyciężyć go tą bronią. Poczułam znowu przyływ radości i nieugiętej woli i myślałam, że miłość moja będzie silniejsza od jego niechęci, że w końcu jej żar stopi ten wrogi pancerz i on pokocha mnie także.

Idąc z nim całkiem pustą o tej wczesnopopołudniowej godzinie aleją, powiedziałam:

– Ale musisz mi przyrzec, że kiedy będziemy już w domu, nie będziesz próbował uciekać.

– Przyrzekam ci.

– Jeszcze coś musisz mi przyrzec.

– Co takiego?

Odpowiedziałam po chwili wahania:

– Zeszłym razem wszystko poszłoby jak najlepiej, gdybyś nie był spojrzął na mnie tak, że nagle ogarnął mnie wstyd... Musisz mi obiecać, że nie będziesz na mnie patrzył takim wzrokiem.

– Jakim?

– Nie wiem, jak to określić... złym.

– Nad spojrzeniem się nie panuje – odrzekł po chwili – ale jeśli chcesz, w ogóle nie będę na ciebie patrzył, zamknę oczy, tak będzie najlepiej.

– Nie – odpowiedziałam z uporem.

– A jak mam na ciebie patrzeć?

– Tak jak ja na ciebie. – I nie zatrzymując się ujęłam jego twarz w dłonie, pokazując mu, jak ma patrzeć: – O tak, z czułością.

– Ach! Z czułością!

Kiedy znaleźliśmy się już na schodach, brudnych i obdrapanych, mimo woli przyszedł mi na myśl biały, czysty i lśniący dom, w którym mieszkała Gizela. I powiedziałam jakby do siebie samej:

– Gdybym nie mieszkała w tej ruderze i nie była takim nędznym stworzeniem, na pewno o wiele bardziej bym ci się podobała.

On zatrzymał się, zupełnie niespodziewanie, objął mnie i powiedział szczerze:

– Jeśli tak myślisz, to głęboko się mylisz. – Wydało mi się, że w oczach jego mignęło coś na kształt uczucia.

Nachylił się nade mną i szukał ustami moich ust. Bił od niego silny zapach wina. Nigdy nie mogłam znieść zapachu wina, ale teraz, na jego ustach, wydał mi się przyjemny, niewinny, prawie wzruszający, tak jak byłby wzruszający na ustach młodziutkiego, niedoświadczonego chłopca. A przy tym zdałam sobie sprawę, że tymi słowami trafiłam bezwiednie na jego czuły punkt. Wtedy wydawało mi się, jak już wspomniałam, że obudziłam w nim iskrę uczucia. Później rozumiałam, że był to raczej odruch miłości własnej; objął mnie nie pod wpływem miłostnego uniesienia, ale jak gdyby pod działaniem moralnego szantażu. Szantażowałam go potem w ten sposób wiele razy, robiąc mu wymówki, że mną pogardza, bo jestem biedną uliczną dziewczyną. I zawsze odnosiłam ten tak pożądany dla mnie skutek, ale z biegiem czasu, kiedy poznawałam go coraz lepiej, stawało się to dla mnie dziwnie poniżające i przykre.

Ale tego dnia nie znałam go jeszcze tak dobrze i ten pocałunek napełnił mnie taką radością, jakbym odniosła ostateczne zwycięstwo. Musnęłam lekko jego wargi, chwytając go za rękę i mówiąc: – Chodź, biegnijmy na górę! – Wbiegłam wesoło na ostatnie półpiętro, a on bez słowa pozwolił się prowadzić.

Wpadłam do mieszkania, ciągnąc go przez przedpokój jak marionetkę, gwałtownie otworzyłam drzwi od mego pokoju i pchnęłam go na łóżko. I dopiero wtedy zauważyłam, że jest on nie tylko nietrzeźwy, czego zresztą można się było spodziewać, ale pijany do tego stopnia, że zaraz się rozchoruje. Był bardzo błydy, przesuwając dłonią po czole, twarz jego miała oglupiały wyraz, oczy były mętne, rozbiegane. Szybko to sobie uświadomiłam i natychmiast uczułam paniczny lęk, że on naprawdę się rozchoruje i że po raz drugi nasze spotkanie skończy się klęską. Przez moment, kiedy rozbierając się chodziłam po pokoju, ogarnęła mnie rozpacz i robiłam sobie gorzkie wyrzuty, że nie zabroniłam mu pić. Ale muszę podkreślić, że w ogóle nie przyszło mi do głowy, abym mogła

zrezygnować z jego od tak dawna upragnionej miłości. Myślałam tylko o tym, aby jego złe samopoczucie nie przeszkodziło nam i żeby ewentualne skutki nadużycia alkoholu nastąpiły po, a nie przed zaspokojeniem mojego pożądanego. Byłam w nim naprawdę zakochana, ale tak się bałam go utracić, że moja miłość nie była w stanie przekroczyć granic egoizmu.

Udawałam więc, że nie dostrzegam, co się z nim dzieje, i kiedy skończyłam się rozbierać, usiadłam obok niego na łóżku. Był jeszcze w płaszczu; zaczęłam pomagać mu przy rozbieraniu, rozmawiając z nim przez cały czas, żeby go zagadać, bo bałam się, że zechce odejść lada chwila.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, ile masz lat? – odezwał się ściągając z niego płaszcz, a on posłusznie podniósł ręce, aby mi to ułatwić.

Odpowiedział po chwili:

– Dziewiętnaście.

– Jesteś młodszy ode mnie o dwa lata.

– Ty masz dwadzieścia jeden?

– Tak, prawie dwadzieścia dwa.

Wsunęłam palce w węzeł jego krawata, ale on odepchnął mnie jakby z wysiłkiem i sam go rozwiązał. Potem opuścił ręce; zdjęłam mu krawat.

– Ten krawat jest całkiem wypłowiały – powiedziałam – kupię ci inny... Jaki kolor lubisz?

Zaczął się śmiać; lubiłam jego śmiech, serdeczny i pełen wdzięku.

– Koniecznie chcesz wziąć mnie na utrzymanie – rzekł – najpierw zaprosiłaś mnie na obiad, a teraz chcesz mi podarować krawat.

– Głuptasku – odrzekłam z czułością – a cóż to wielkiego? Mnie będzie przyjemnie ofiarować ci krawat, a tobie nie zrobi to przykrości. – Zdjęłam już z niego tymczasem marynarkę i kamizelkę, siedział teraz na łóżku w koszuli.

– Czy wyglądam na dziewiętnaście lat? – zapytał. Lubił mówić o sobie, spostrzegłam to bardzo szybko.

– I tak, i nie – odpowiedziałam z wahaniem, które, jak wiedziałam, pochlebiali mu – widać to przede wszystkim po twoich włosach – dodałam głaszcząc go po głowie – dorosły mężczyzna nie ma takich delikatnych włosów, ale po twarzy nie!

– A ile byś mi dała lat?

– Dwadzieścia pięć.

Zamilkł i zobaczyłam, że przyryka oczy, jak gdyby nagle go zamroczyło. Złękłam się, że czuje się gorzej, i szybko ściągnęłam mu koszulę, mówiąc:

– Opowiedz mi jeszcze coś o sobie. Jesteś studentem?

– Tak.

– A co studiujesz?

– Prawo.

– Mieszkaś z rodziną?

– Nie, moja rodzina mieszka na prowincji, w S.

– Mieszkaś w pensjonacie?

– Mam wynajęty umeblowany pokój z całym utrzymaniem – odpowiedział mechanicznie, z zamkniętymi oczyma. – Przy ulicy Cola di Rienzo, numer 20, mieszkania osiem, u pewnej wdowy, Amalii Medolaghi.

Był teraz nagi do pasa. Nie mogłam się powstrzymać i przesunęłam dłoń po jego piersiach i szyi, mówiąc:

– Dlaczego tak siedzisz bez ruchu? Nie zimno ci?

Podniósł głowę i popatrzał na mnie. Potem roześmiał się i powiedział nieco ochryplym głosem:

– Czy ty myślisz, że ja nie zauważyłem?

– Czego?

– No tego, że po prostu mnie rozbierasz. Jestem pijany, ale nie aż do tego stopnia.

– No to co? – odrzekłam zmieszana. – Jeśliby nawet tak było, cóż w tym złego? Powinieneś być sam to zrobić, a ponieważ siedzisz jak kolek, pomagam ci.

Wydawało się, że mnie nie słyszy.

– Jestem pijany – ciągnął dalej, potrząsając głową – ale wiem doskonale, co robię i po co tu przyszedłem, nie potrzebuję pomocy, patrz! – Nagle gwałtownymi ruchami, które przy chudości jego rąk wyglądały jak groteskowe gesty marionetki, odpiął pasek i rzucił na podłogę spodnie i wszystko, co miał na sobie. – I wiem także, na co ty czekasz – dodał chwytając mnie obydwoma rękami za biodra. Ścisnął mnie tymi silnymi, nerwowymi dłońmi i pijacki wyraz w jego oczach zastąpiła jakaś małpia złośliwość. Później spotykałam się z tą jego złośliwością, nawet w momentach największego uniesienia, co wyraźnie wskazywało, że czyni wszystko z chłodnym rozsądkiem; po pewnym czasie zrobiłam smutne odkrycie, że to właśnie utrudnia mu prawdziwe zbliżenie i nie pozwala naprawdę kochać.

– Tego chcesz, prawda? – dorzucił ściskając mnie mocno i wbijając mi w ciało paznokcie. – I tego, i tego, i tego. – Za każdym „i tego” to całował mnie, to gryzł, to znów łaskotał mnie zniechęca. Śmiałam się, uchylając, broniłam, zbyt uszczęśliwiona tym nagłym przebudzeniem, aby zauważyć, jak wymuszone jest jego zachowanie. Sprawiał mi dotkliwy ból, jak gdyby ciało moje było dla niego obiektem nienawiści, nie miłości. W oczach jego paliła się nie żądza, lecz złość. Jego szaleństwo minęło równie nagle, jak się zaczęło. W jakiś dziwny i niewytłumaczalny sposób, może pod wpływem zamroczenia alkoholem, upadł na wznak, na łóżko, wyciągnął się na nim jak długi i zamknął oczy. Doznałam dziwnego uczucia, że on w ogóle nigdy nie poruszał się, nie mówił, że nigdy nie ścisnął mnie ani nie całował. Jak gdyby to wszystko miało dopiero nastąpić.

Przez dłuższy czas klęczałam przy nim nieruchomo na łóżku, z włosami opadającymi na oczy, patrząc na niego i od czasu do czasu muskając nieśmiało palcami jego szczupłe, piękne, niewinne ciało. Poprzez białą skórę sterczały mu kości, ramiona miał szerokie i chude, biodra wąskie, nogi długie; skóra jego była gładka, prawie nie owłosiona, poza delikatnym meszkiem na piersiach; ponieważ leżał na wznak, brzuch miał zapadnięty. Nie lubię brutalnego stosunku do miłości i może dlatego wydawało mi się, że nic jeszcze nie zaszło między nami, że wszystko dopiero się zacznie. Czekałam, żeby spłynęła na nas cisza i spokój po tym sztucznym, niezdrowym podnieceniu. I kiedy poczułam, że znowu ogarnia mnie ta sama co zawsze, pełna tkliwości namiętność, powolutku, tak jak w upalne dni wchodzi się do orzeźwiającej morskiej wody, ułożyłam się przy jego boku, opłotłam nogami jego nogi, zarzuciłam mu ręce na szyję i mocno się do niego przytuliłam. Tym razem nie odezwał się i nie poruszył. Nachylona nad jego ustami wymawiałam najczulsze wyrazy, omotywałam go siecią gorących, nie kończących się pieszczot, a on, jakby uszło z niego życie, leżał sztywny i nieruchomy. Potem wiedziałam już, że ta zupełna bierność była

szczytowym objawem miłości, do jakiej jest zdolny.

Dużo później, już pod wieczór, uniosłam się na łokciu, uważnie wpatrując się w Giacoma, i jego widok wywarł na mnie niezatarte, bolesne wrażenie. Spał oparty policzkiem o poduszkę; ów wyraz hardości, jaki zawsze i za wszelką cenę starał się utrzymać, znikł bez śladu; w jego rysach, odprężonych we śnie, malowała się przede wszystkim młodość, którą cechowały tylko niewinność i świeżość, a nie jakieś jego indywidualne właściwości. Ale ja miałam go w pamięci takim, jaki był w stosunku do mnie: złośliwy, wrogi, obojętny, okrutny, ogarnięty żądzą, i nurtował mnie gorzki niepokój i smutek, przyszło mi bowiem na myśl, że owa złośliwość, wrogość, obojętność, żądła, to wszystko, co charakteryzowało go i różniło ode mnie i innych ludzi, wypływało z jakichś głęboko ukrytych przyczyn, dotychczas mi nie znanych. Nie chciałam, aby wyjaśniał mi motywy swojego zachowania, analizując je i wyjaśniając słowo po słowie, tak jak robi się przegląd części samochodowych; chciałam przeniknąć je sama od podstaw poprzez akt miłosny, ale niestety, nie udało mi się tego dokonać. I ta odrobina, która mi się stale wymykała, to był on sam, a cała reszta, którą objęłam w posiadanie, nie miała znaczenia i nie wiedziałam, co mam z nią robić. O wiele bliżsi byli mi Gino, Astarita, a nawet Sonzogno, rozumiałam ich o wiele lepiej. Patrzałam na niego i cierpiałam, że połączyły nas tylko więzy cielesne, a nie porozumienie duchowe. Targnął mną żal za utraconą okazją. Może w chwili miłosnego zbliżenia on odsłonił całą tę tajemnicę, i ja jednym słowem, jednym gestem mogłam była ją poznać i posiadać raz na zawsze. Ale nie potrafiłam uchwycić tej chwili, a teraz było już za późno; on spał i znowu oddalił się ode mnie.

Kiedy na niego patrzyłam, otworzył oczy i nie odrywając policzka od poduszki zapytał:

– Czy ty też spałaś?

Wydało mi się, że zmienił się ton jego głosu, stał się bardziej intymny i pełen zaufania. I nagle obudziła się we mnie nadzieja, że może podczas snu, w jakiś tajemniczy sposób, powstało między nami porozumienie.

– Nie... przyglądałam ci się.

Milczał przez chwilę, po czym powiedział:

– Chciałem cię o coś poprosić... Czy mogę liczyć na ciebie?

– Nie potrzebujesz chyba pytać!

– Chcę ci dać do przechowania paczkę... na kilka dni... potem ją odbiorę i pewnie przyniosę inne.

Może w innych okolicznościach okazałabym ciekawość, co to mogą być za paczki. Ale w tej chwili obchodził mnie tylko on i nasze wzajemne współzycie. Pomyślałam, że będzie to jedna okazja więcej do częstszych spotkań; że muszę zrobić wszystko, aby mu dogodzić; że gdybym zaczęła zadawać pytania, mógłby się rozmyślić i cofnąć tę propozycję. Odpowiedziałam niedbale:

– Jeśli tylko o to chodzi...

Milczał przez dłuższy czas, jak gdyby się nad czymś zastanawiał, po czym zapytał:

– A więc zgadzasz się?

– Powiedziałam ci już, że tak.

– I nie jesteś ciekawa, co tam jest w tych paczkach?

– Jeśli mi tego nie mówisz – odrzekłam starając się mówić jak najobojętniejszym tonem – to znaczy, że masz jakieś powody... więc o nic nie pytam.

– Ale może jest tam coś takiego, co mogłoby cię narazić... Skąd możesz wiedzieć?

– A choćby nawet!

– To mogą być – ciągnął dalej i położył się na wznak, w oczach jego zamigotały wesołe błyski – rzeczy kradzione... może jestem złodziejem...

Przypomniałam sobie Sonzogna, który był nie tylko złodziejem, ale i mordercą, moje kradzieże: puderniczkę i chustkę, i dziwaczny wydał mi się ten zbieg okoliczności, że on chce uchodzić za złodzieja wobec osoby takiej jak ja, która naprawdę była złodziejką i obracała się między złodziejami. Pogłaskałam go i powiedziałam łagodnie:

– O nie, ty na pewno nie jesteś złodziejem!

On zachmurzył się nagle – był tak przewrażliwiony, że nigdy nie było wiadomo, co może dotknąć go czy obrazić.

– Dlaczego? A może właśnie jestem.

– Nie wyglądasz na to. Wszystko może się zdarzyć, ale w każdym razie na to nie wyglądasz.

– A na co wyglądam?

– Wyglądasz na to, czym jesteś: na chłopca z dobrej rodziny, studenta.

– Powiedziałem ci, że jestem studentem, ale mogę robić jeszcze i coś innego. I właśnie tak jest.

Przestałam słuchać, co do mnie mówi. Myślałam teraz o tym, że ja także nie wyglądam na złodziejkę, a jednak nią jestem, i poczułam wielką ochotę, żeby mu to powiedzieć. Pokusa ta wywołana była częściowo jego dziwnym zachowaniem. Zawsze uważałam kradzież za czyn godny potępienia, a tymczasem znalazł się ktoś, kto nie tylko tego nie potępiał, ale zdawał się pochwalać kradzież, co było dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Powiedziałam po chwili wahania:

– Masz rację... ja uważam, że nie jesteś złodziejem, bo takie jest moje wewnętrzne przekonanie, ale powierzchowność nie ma z tym nic wspólnego, nie zawsze wygląda się na to, czym się jest. Na przykład ja: czy wyglądam na złodziejkę?

– Nie – odrzekł nie patrząc na mnie.

– A tymczasem – powiedziałam spokojnie – jestem złodziejką.

– Ty?

– Tak.

– A co ukradłaś?

Wyjęłam z leżącej na komodzie torebki puderniczkę i pokazałam mu ją.

– To... w prywatnym mieszkaniu, w którym znalazłam się kiedyś przypadkiem, a potem jeszcze w sklepie, jedwabną chustkę, którą podarowałam matce.

Nie należy przypuszczać, że owe wyznania podyktowane były próżnością. Wypływały one z chęci zbliżenia, wywołania uczuciowego porozumienia: w braku czego innego nawet wyznanie zbrodni może związać dwoje ludzi i obudzić w nich wzajemną miłość. Zobaczyłam, że Giacomo spoważniał i patrzy na mnie z wielkim napięciem. Wystraszyłam się nagle, że może zraził się do mnie, że znów zechce ze mną zerwać. Dorzuciłam szybko:

– Ale nie myśl, że się tym chlubię! Wprost przeciwnie, postanowiłam zwrócić puderniczkę, dziś jeszcze ją zwrócę; chustki niestety nie mogę oddać, ale nigdy więcej tego nie zrobię.

Na te słowa oczy jego nabrały zwykłego, złośliwego wyrazu. Popatrzył na mnie i roześmiał się głośno.

Potem chwycił mnie za ramiona, przewrócił na łóżko i znowu zaczął mnie ścisnąć i łaskotać, powtarzając: – Złodziejka, złodziejka, mała złodziejka, maleńka złodziejka, złodziejka, złodziejka. – I sama nie wiedziałam, czy jego ironicznie serdeczny ton mam uważać za obrazę, czy za pochlebstwo. Ale jego gwałtowne zachowanie podniecało mnie i cieszyło. Wolałam to niż ową właściwą mu bierność. Śmiałam się więc i uchylałam się, jak mogłam, bo boję się łaskotek, a on z wyrafinowaniem łaskotał mnie pod pachami. Ale broniąc się i śmiejąc aż do łez, widziałam, że jego pochylona nade mną twarz pozostała nieprzenikniona i zacięta. Przesłał baraszkować ze mną równie niespodziewanie, jak zaczął, wyciągnął się na łóżku i powiedział:

– Nie jestem złodziejem... nie... w tych paczkach nie ma kradzionych rzeczy.

Widziałam, że ma wielką ochotę powiedzieć mi, co jest w tych paczkach, i rozumiałam, że u niego, wręcz przeciwnie niż u mnie, wypływa to z próżności. Z tej samej próżności, która pchnęła Sonzogna do wyznania mi zbrodni. Pomimo wielu różnic mężczyźni mają wiele wspólnych cech i wobec kobiety, którą kochają albo z którą łączą ich bliższe stosunki, zawsze pragną okazać swoją męskość, opowiadając o doniosłych i niebezpiecznych czynach, których dokonali czy też mają zamiar dokonać. Powiedziałam łagodnie:

– Nie możesz się już doczekać, żeby powiedzieć mi, co tam jest w tych paczkach.

Obraził się.

– Głupia jesteś... wcale mi na tym nie zależy... ale muszę cię uprzedzić, jaka jest ich zawartość, zanim zdecydujesz, czy weźmiesz je, czy nie. A więc to jest materiał propagandowy.

– Co to znaczy?

– Należę do pewnej grupy ludzi – wyjaśniał mi powoli – której nie podoba się obecny rząd... która nienawidzi faszystów i chce obalić ich możliwie najprędzej; w tych paczkach znajdują się ulotki, w których tłumaczymy ludziom, że ten rząd jest zły i w jaki sposób można go obalić.

Nigdy nie zajmowałam się polityką. Dla mnie, jak zresztą zapewne dla wielu ludzi, w ogóle nie istniały tego rodzaju zagadnienia. Ale przypominałam sobie Astaritę i jego częste aluzje polityczne. Zawołałam z przerażeniem:

– Ależ tego nie wolno robić... to bardzo niebezpieczne! Popatrzał na mnie wyraźnie zadowolony. Nareszcie powiedziałam coś, co ucieszyło go i pochlebiło jego miłości własnej. Potwierdził z naciskiem i nieco pompatycznie:

– Oczywiście, że niebezpieczne! Teraz musisz się zdecydować, czy możesz to dla mnie zrobić.

– Ależ ja nie powiedziałam tego z obawy o siebie – odpaliłam z miejsca. – Idzie mi o ciebie. Co do mnie, zgadzam się.

– Weź pod uwagę – uprzedził mnie znowu – że to nie przelewki. Jeśli znajdą to u ciebie, pójdziesz do więzienia.

Spojrzałam na niego i poczułam nagle przypływ potężnej fali uczuć, wywołanej – sama nie wiem, czy przez niego, czy też przez jakieś całkiem mi nie znane siły. Oczy napęłniły mi się łzami i wybełkotałam:

– Czy nie rozumiesz, że mnie to nic nie obchodzi? Gdybym nawet poszła do więzienia, no to co z tego? – Potrząsnęłam głową i łzy zaczęły spływać mi po policzkach. Zapytał zdumiony:

– No to dlaczego płaczesz?

– Wybacz mi – odpowiedziałam – jestem głupia, sama nie wiem, dlaczego płaczę, może dlatego, że chcę, abyś zdawał sobie sprawę, że cię kocham i że dla ciebie jestem gotowa na wszystko.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że nie powinnam mówić mu o swojej miłości. Reakcja jego była natychmiastowa (później nieraz się z nią jeszcze spotykałam): nachmurzył się i zmieształ, odwrócił ode mnie oczy i powiedział pośpiesznie:

– A więc dobrze, za dwa dni przyniosę paczkę, a teraz muszę już iść, jest bardzo późno. – Mówiąc to zerwał się i natychmiast zaczął się ubierać. Zostałam sama na łóżku, z moim wzruszeniem i moimi łzami, naga i trochę zawstydzona, ale nie wiedziałam, czy wstydzę się mojej nagości, czy tego, że płaczę.

Giacomo ubierając się podnosił kolejno porzucane na podłodze części garderoby. Potem podszedł do wieszaka, zdjął z niego płaszcz, zarzucił go na plecy i zbliżył się do mnie mówiąc z wdzięcznym i promiennym uśmiechem, który tak lubiłam:

– Dotknij tutaj!

Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że wskazuje na jedną z kieszeni płaszcza. Przynal się do łóżka, żebym mogła go bez trudu dosięgnąć ręką. Pod miękkim materiałem wyczułam jakiś twardy przedmiot. – Co to jest? – zapytałam nie domyślając się, o co chodzi.

Uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją, wsunął rękę do kieszeni i, patrząc na mnie przenikliwie, wyciągnął powoli duży, czarny rewolwer.

– Rewolwer! – zawołałam. – Po co?

– Nigdy nie wiadomo – odrzekł – zawsze się może przydać.

Poczułam się niepewnie, nie wiedziałam, co o tym myśleć, ale on nie zostawił mi czasu na domysły. Schował broń do kieszeni, pochylił się, lekko pocałował mnie w usta i powiedział: – Przyjdę za dwa dni... tak jak powiedziałem – i szybko wyszedł.

Później wiele razy myślałam o tym naszym pierwszym miłosnym spotkaniu i robiłam sobie gorzkie wyrzuty, że nie przewidziałam, na jak wielkie niebezpieczeństwo narażało go jego zaciętrzewienie polityczne. To prawda, że nigdy nie miałam na niego żadnego wpływu, ale gdybym wiedziała to wszystko, o czym dowiedziałam się później, mogłabym była coś mu doradzić, a gdyby rady nie pomogły, z pełną świadomością i decyzją stanęłabym przy jego boku. Tak, zawiniłam na pewno, a raczej zawiniła tu moja ignorancja, za którą jednak nie ponosiłam odpowiedzialności, bo wynikała ona z mojego skromnego pochodzenia. Jak już wspomniałam, nigdy nie zajmowałam się polityką, która była dla mnie tak obca i niezrozumiała, jak gdyby sprawy te rozgrywały się na innej planecie. Kiedy czytałam gazety, przeskakiwałam pierwszą stronę, poświęconą wiadomościom politycznym, nic mnie nie obchodzącym, i przeglądałam kronikę wypadków, gdzie niektóre zdarzenia i zbrodnie pobudzały moją wyobraźnię. Byłam jak te galaretowate stwory, które żyją podobno na mrocznym dnie oceanu i nic nie wiedzą, co dzieje się na powierzchni, w świetle i słońcu. Polityka, jak zresztą i wiele innych spraw, do których ludzie zdają się przywiązywać tak wielką wagę, słabo docierała do mnie z nieznanymi, wyższymi sferami tego świata i była dla mnie czymś o wiele bardziej płynnym i niepojętym niż światło dzienne dla prymitywnych żyjątek ukrytych w morskiej otchłani.

Jednakże winę przypisywać należy nie tylko mnie i mojej ignorancji, ale także i jemu, jego lekkomyślności i próżności. Gdybym umiała była dojrzeć, że jest w nim jeszcze coś poza próżnością, może postępowałabym inaczej, nie szcędząc wysiłków, żeby go zrozumieć i dowiedzieć się tych rzeczy, o których nie miałam pojęcia. I jeszcze jedna okoliczność bez wątpienia sprawiła, że zlekceważyłam te sprawy, a mianowicie zachowanie Giacomina, które

wyglądało raczej na grę i dziecinadę niż na poważną działalność. Wydawało mi się, że powoli tworzy on sam z siebie wyidealizowanego bohatera – w którego zresztą wierzył tylko do pewnych granic – i że stale usiłuje przystosować każdy swój czyn do owej wymaginowanej postaci. Ta nieustająca komedia robiła wrażenie zabawy, którą zresztą na swój sposób prowadził po mistrzowsku. Ale jak to bywa z zabawą, odbierał całą powagę temu, co robił, zachowując przy tym zupełnie bezpodstawną pewność, że wszystko musi mu się udać, a w wypadku ewentualnej klęski jego przeciwnik w tej grze daruje mu przegraną, wyciągając do niego rękę. A może rzeczywiście bawił się tylko jak dziecko, któremu instynkt każe żartować ze wszystkiego; ale jak przyszłość okaże, nieprzyjaciel traktował go serio. I kiedy partia została rozegrana, on, samotny i bezbronny, znalazł się w szponach śmierci.

Myślałam o tym i o rzeczach jeszcze smutniejszych i nie mniej poważnych już później, rozważając to, co się stało. Ale w owym czasie, jak zaznaczyłam, nawet nie przyszło mi do głowy, żeby sprawa tych paczek mogła w jakikolwiek sposób zaważyć na naszych stosunkach. Byłam szczęśliwa, że do mnie wrócił, szczęśliwa, że mogę mu wyświadczyć przysługę, a zarazem mieć pewność, że zobaczę go znowu, i nie obchodziło mnie nic poza tym. Pamiętam, że gdy przypominałam sobie o jego dziwacznej prośbie, mimo woli pokiwałam głową, jak gdybym chciała powiedzieć: „Dziecinada” – i zaczęłam myśleć o czym innym. A zresztą przepełniała mnie taka radość, że gdybym nawet chciała, nie potrafiłabym skupić uwagi i zastanowić się nad jakimkolwiek poważnym zagadnieniem.

Rozdział 6

Mogło się zdawać, że wszystko idzie ku lepszemu: Giacomo wrócił, a także udało mi się znaleźć sposób, aby wypuszczono z więzienia niewinnie oskarżoną pokojówkę, nie narażając się przy tym na zajęcie jej miejsca w areszcie. Tego dnia, po wyjściu Giacomina, dobre dwie godziny cieszyłam się moim szczęściem jak klejnotem, z którym nie zdołałam się jeszcze oswoić, to znaczy ze zdumieniem i niedowierzaniem, sprawiającym jednak głęboką radość. Dzwony nieszporne wyrwały mnie z tej rozkosznej zadumy. Przypomniałam sobie radę Astarity i to, że nie wolno mi zwlekać, że jak najprędzej muszę przyjść z pomocą tej nieszczęsnej uwięzionej kobiecie. Ubrałam się i szybkim krokiem wyszłam z domu.

Jaka przyjemna jest zima, kiedy dni są krótkie i kiedy, po przesiedzeniu w domu całego ranka i wczesnego popołudnia sam na sam ze swymi myślami, wychodzi się na ulice śródmieścia, gdzie największy jest ruch na jezdni, najgęściejszy tłum przechodniów i najjaśniej oświetlone sklepy. Powietrze jest czyste i orzeźwiające; wśród tego zamętu, gwaru i blasku rozjaśniają się myśli, ogarnia nas miłe podniecenie, beztroska, jak gdyby nagle przestały istnieć wszelkie kłopoty i jakbyśmy nie mieli nic pilniejszego do zrobienia niż bezmyślnie włóczyć się w tłumie, napawając się kolejno różnymi widokami, których w próżniaczej wędrówce dostarcza nam ulica. I wówczas przez krótką chwilę wierzymy, że naprawdę, jak głoszą słowa pacierza, wszystkie grzechy będą nam odpuszczone bez naszego udziału czy zasługi, ale za sprawą tajemnej, obejmującej całą ludzkość łaski. Oczywiście, aby poddać się temu urokowi, trzeba być w wesołym albo co najmniej pogodnym nastroju, w przeciwnym razie życie miasta wyda nam się niepotrzebnym, absurdalnym chaosem. Ale ja, jak już wspomniałam, byłam szczęśliwa tego dnia i odczułam to przede wszystkim w chwili, kiedy dochodząc do śródmieścia wmieszałam się w tłum przechodniów.

Wiedziałam, że mam iść do kościoła i wyznać to, co zrobiłam. Ale może właśnie dlatego, że powzięłam to postanowienie i byłam z niego zadowolona, nie spieszyło mi się i nawet już o tym nie myślałam. Szłam powoli, z ulicy na ulicę, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby obejrzeć wystawy. Gdyby zobaczył mnie ktoś ze znajomych, pomyślałby z pewnością, że wyszłam na poszukiwanie klientów. A tymczasem byłam jak najdalsza od tej myśli. Może i pozwoliłabym nawet się zaczepić jakiemuś mężczyźnie, gdyby mi się podobał, ale tylko dlatego, że było mi wesoło i życie aż kipiało we mnie. Ale ci nieliczni, którzy, widząc mnie stojącą przed wystawami, podchodzili do mnie i w oklepanych słowach wypowiadali zwykłe propozycje, nie przypadali mi do gustu. Tak więc nie zwracając na nich uwagi i nie odpowiadając ani słowem, jak gdyby w ogóle nie istnieli, szłam dalej ulicą leniwym i majestatycznym krokiem.

W tym beztroskim i radosnym nastroju zaskoczył mnie widok kościoła, w którym spowiadałam się po wycieczce do Viterbo. Między plakatami kina i wystawą z pończochami, jarzącymi się od świateł, zobaczyłam wciśniętą w zagłębieniu ulicy, pogrążoną w mroku, barokową fasadę, z jej wysokim frontonem ozdobionym dwoma grającymi na trąbach aniołami, połyskującym fioletowymi odbłaskami reklamy świetlnej, padającymi od sąsiedniego domu. Wydała mi się ona podobna do ciemnej, pomarszczonej twarzy staruszki, która otulona starym szalem, kontrastującym z jasno oświetlonym otoczeniem, wzywa mnie poufałym gestem ręki. Przypomniałam sobie pięknego spowiednika, ojca Eliasza, i zainteresowanie, jakie wzbudził we mnie. Wydało mi się, że właśnie on,

człowiek światowy, młody, inteligentny, zupełnie inny niż wszyscy księża, nadaje się jak mało kto do wypełnienia tej misji. Poza tym ojciec Eliazs znał mnie już do pewnego stopnia, co mogło mi ułatwić wyznanie szkaradnych i wstydliwych rzeczy, ciężących mi na sercu.

Weszłam na schody, odsunęłam leżący przed drzwiami wałek i weszłam do kościoła, zakrywając głowę chusteczką. Kiedy umoczyłam palce w święconej wodzie, wzrok mój przykuła płaskorzeźba na kropielnicy. Przedstawiała nagą kobietę z rozwianymi włosami i podniesionymi rękami, uciekającą przed monstrualnym smokiem, który miał papuzi dziób i stał jak człowiek na tylnych nogach. Przywidziało mi się nagle, że ta kobieta to ja i że ja także uciekam przed tym smokiem; i musiałam biegać ciągle w koło, jak owa kobieta, tak że chwilami nie uciekałam, lecz goniłam wesoło i ochoczo tego straszliwego smoka. Odeszłam od kropielnicy robiąc znak krzyża i rozejrzałam się po kościele. Wydał mi się równie brudny, ciemny i nędzny jak za pierwszym razem. Jak wówczas, cały pograżony był w mroku, poza głównym ołtarzem, gdzie wokół krucyfiksu gęsto jarzyły się świece; odbłask ich połyskiwał na brązowych kandelabrach i srebrnych naczyniach. Kaplica poświęcona Madonnie, gdzie tak gorąco i bezskutecznie się modliłam, także była oświetlona; dwóch stojących na drabinie zakrystianów wieszało na architrawie czerwoną draperię, lamowaną złotymi frędzlami. Zobaczyłam, że konfesjonał ojca Eliasza jest zajęty, i poszłam uklęknąć przed głównym ołtarzem, przy jednym z licznych, nieporządnie porozstawianych, wyplatanych krzesel. Nie odczułam najmniejszego wzruszenia, tylko niecierpliwość, aby jak najszybciej załatwić tę sprawę. Była to jakaś dziwna niecierpliwość, pogodna, gwałtowna, miła, zabarwiona dumą, jaką czuje się spełniając od dawna projektowany i wypieszczony w myśli dobry uczynek. Nieraz miałam sposobność zauważyć, że owa niecierpliwość płynąca z serca, która nie radzi się rozumu, może czasem unicestwić dobre intencje i wyrządzić więcej szkody niż postępowanie kierowane rozsądkiem. Skoro tylko zobaczyłam, że penitentka wstała z kłeczek i odeszła, zbliżyłam się do konfesjonału i nie czekając, aż spowiednik zwróci się do mnie, powiedziałam szybko:

– Ojcie Eliazsu, nie przyszłam tu do spowiedzi w zwykłym znaczeniu tego słowa, przyszłam wyznać ojcu coś bardzo poważnego i prosić o pomoc, której, jestem pewna, ojciec mi nie odmówi.

Z drugiej strony kraty spowiednik cichym głosem zachęcił mnie, abym mówiła. Byłam pewna, że jest to ojciec Eliazs, i wydawało mi się niemal, że widzę jego pogodną twarz przyciśniętą do drewnianej kraty. I po raz pierwszy od chwili, kiedy weszłam do kościoła, poczułam pobożne, pełne wiary wzruszenie, jak gdyby mój duch odłączył się od ciała i uklęknął w jasnej poświacie na stopniach konfesjonału. Naprawdę wydawało mi się przez chwilę, że jestem tylko duszą uwolnioną z więzów ciała, że jestem już tylko powietrzem i światłem. Wydawało mi się także, że i dusza ojca Eliasza, jeszcze stokroć jaśniejsza od mojej, wyzwoliła się z cielesnej powłoki, sprawiła, że znikły kraty, ściany i mrok konfesjonału i stanęła przede mną w oślepiającym blasku, niosąc pocieszenie. Może przystępując do spowiedzi zawsze powinno się doznawać takiego właśnie uczucia, ale mnie nigdy jeszcze nie zdarzyło się nic podobnego.

Zaczęłam mówić z zamkniętymi oczyma, z czołem opartym o kratę. Opowiedziałam wszystko, i o mojej profesji, i o Ginie, i o Astaricie, i o Sonzogno. Powiedziałam, gdzie mieszkam, gdzie ukradłam puderniczkę, gdzie popełniono morderstwo. Opisałam nawet wygląd wmieszanych w te sprawy osób. Sama nie wiem, co pchnęło mnie do tego. Może ten sam odruch, który każe gospodyni zrobić porządki w od dawna nie sprzątanym domu i nie pozwala jej spocząć, dopóki nie wymiecie ostatniego pyłku kurzu spod wszystkich mebli i ze wszystkich kątów. I rzeczywiście w miarę drobiazgowego opowiadania każdego szczegółu ciężar po trosze spadał mi z duszy i czułam

się coraz lżejsza i coraz czystsza.

Przez cały czas mówiłam spokojnie i rozsądnie. Spowiednik słuchał bez słowa, nie przerywając mi aż do końca. Kiedy zamilkłam, przez chwilę panowała cisza, po czym usłyszałam ohydny głos, bezbarwny, skrzeczący, cedzący powoli słowa:

– To, co opowiedziałś mi, moja córko, jest potworne, przerażające... umysł ludzki z trudem może w to uwierzyć... ale to dobrze, żeś przysłała się wypowiadać... Zrobię dla ciebie wszystko, co tylko jest w mojej mocy.

Minęło wiele miesięcy od czasu, kiedy po raz pierwszy i jedyny spowiadałam się w tym kościele, i w nawale myśli, chełpiąc się swoją dobrocią, zapomniałam o pewnym miłym i charakterystycznym szczególe: o francuskim akcencie ojca Eliasza. Ksiądz, który do mnie mówił, nie miał żadnego obcego akcentu i bez wątpienia był rodowitym Włochem, o bezbarwnym głosie, jaki często spotyka się u duchownych. Zrozumiałam moją pomyłkę i krew zakrzepła mi w żyłach, jak człowiekowi, który wyciąga ochoczo rękę, żeby zerwać piękny kwiat, a tymczasem czuje, że palce jego dotykają zimnej oślizłej skóry węża. Byłam zaskoczona znalazłszy się wobec innego spowiednika, a jego ponury głos potęgował jeszcze moje wzburzenie. Znalazłam jednak jeszcze tyle siły, żeby wyjąkać:

– Czy... ksiądz jest naprawdę ojcem Eliaszem?

– Tak, we własnej osobie – odrzekł nieznajomy ksiądz. – A dlaczego pytasz? Czy byłaś tu już kiedyś?

– Tylko jeden raz.

Ksiądz zamilkł na chwilę, po czym dodał:

– To wszystko, co mi powiedziałaś, wymagałoby głębszego rozważenia, punkt po punkcie; jest to cały splot wypadków, niektóre z nich dotyczą ciebie, niektóre innych osób. Jeśli idzie o ciebie, czy zdajesz sobie sprawę, że popełniłaś bardzo ciężkie grzechy?

– Tak, wiem o tym – szepnęłam.

– Czy odczuwasz skruchę?

– Myślę, że tak.

– Jeżeli żal twój jest szczerzy – mówił dalej serdecznym, ojcowskim tonem – możesz mieć nadzieję, że grzechy twoje zostaną ci odpuszczone... Niestety jednak wchodzi tu w grę nie tylko twoja osoba, są jeszcze inni, ich winy i zbrodnie. Znasz szczegóły potwornego morderstwa... człowiek został zabity w bestialski sposób... Czy twoje sumienie nic ci nie mówi? Czy nie każe ci wydać sprawcy zbrodni, aby przykładowo został ukarany?

A więc podsuwał mi myśl, żeby zadenuncjować Sonzogna. Może ze swego stanowiska miał nawet rację. Ale słowa te, wypowiedziane w taki sposób, takim głosem i w takich okolicznościach, obudziły we mnie podejrzenia i powiększyły jeszcze mój lęk.

– Jeśli powiem, kto to zrobił – wybełkotałam – to i ja znajdę się w więzieniu.

– Zarówno ludzie jak i Bóg – odpowiedział natychmiast – będą umieli ocenić twoje poświęcenie i twoją skruchę. Prawo obok kary zna także przebaczenie, a tym niewielkim cierpieniem, jakże lekkim w porównaniu z agonią ofiary, przyczynisz się do triumfu prawdy i sprawiedliwości. Och, czy nie słyszysz głosu ofiary, jak błaga o litość swojego oprawcę? – Nie przestawał mnie zaklinać, dobierając starannie i z wyraźnym upodobaniem górnolotne frazesy, chętnie używane przez księży. Ale ja w tej chwili prawie histerycznie pragnęłam tylko jednego: jak najprędzej odejść. I powiedziałam szybko:

– Co do tego donosu, to jeszcze się zastanowię. Przyjdę jutro i powiem księdzu, co postanowiłam. Czy zastanę tutaj księdza jutro?

– Oczywiście, o każdej godzinie.

– To dobrze – odrzekłam zmieszana – a na razie proszę księdza tylko o oddanie tej puderniczki. – Zamilkłam znowu, a on po krótkiej modlitwie zapytał, czy naprawdę odczuwam szczerzy żal za grzechy i czy zdecydowana jestem zmienić swoje życie. Po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi udzielił mi rozgrzeszenia. Przeżegnałam się i odeszłam od konfesjonau. Lęk, jaki wzbudził we mnie głos spowiednika, spotęgował się jeszcze na jego widok. Był niski, głowę miał dużą, pochyloną lekko na bok, jak gdyby reumatyzm wykręcił mu szyję. Nie miałam nawet czasu dobrze mu się przyjrzeć, bo wzbudził we mnie taki wstręt, że chciałam jak najprędzej uciec. Zobaczyłam twarz brunatnożółtą, z szerokim białym czołem, oczy w głębokich oczodołach, nos zadarty, o szerokich nozdrzach, usta duże, niekształtne, o fioletowych wywiniętych wargach. Nie był stary, ale nie można było określić jego wieku. Złożył ręce na piersiach i kiwając głową powiedział zbolalym tonem:

– Dlaczego, moja córko, nie zjawiłaś się tu wcześniej? Dlaczego? Iluż to straszliwych rzeczy byłabyś uniknęła!

Miałam ochotę odpowiedzieć mu to, co przyszło mi do głowy, że skoro nie przyszedłam, to widocznie taka była wola boża; ale ugryzłam się w język; wyciągnęłam z torebki puderniczkę i podając mu ją powiedziałam:

– Proszę, żeby ksiądz był łaskaw oddać to jak najszybciej... Trudno mi opisać, jak cierpię nad tym, że ta biedaczka siedzi w więzieniu z mojej winy.

– Zrobię to jeszcze dzisiaj – odpowiedział przyciskając do piersi puderniczkę ze smutną i zniechęconą miną.

Podziękowałam cichym głosem, pożegnałam go skinieniem głowy i szybkim krokiem wyszłam z kościoła. On został przy konfesjonale, przyciskając ręce do piersi i kiwając głową.

Kiedy już znalazłam się na ulicy, próbowałam spokojnie zastanowić się nad tym, co się stało. Doprowadziwszy do ładu chaotyczne myśli, doszłam do wniosku, iż boję się, że ksiądz nie dotrzyma tajemnicy spowiedzi. I usiłowałam wyjaśnić sobie samej, skąd płynie ten lęk. Wiedziałam, że spowiedź jest sakramentem, że grzechem jest ją gwałcić. Wiedziałam także, że jest niemożliwością, aby nawet najbardziej zdemoralizowany ksiądz dopuścił się czegoś podobnego. Z drugiej strony jednak jego rada, abym zadenuncjowała Sonzogna, obudziła we mnie obawę, że jeśli sama tego nie zrobię, on wyjawi policji, kto popełnił zbrodnię przy ulicy Palestro. Ale przede wszystkim przerażały mnie jego głos i jego powierzchowność, pozwalając mi spodziewać się czegoś najgorszego. Kieruję się zawsze raczej uczuciem niż rozumem i instynktownie, jak zwierzęta, wyczuwam niebezpieczeństwo, a wobec tego na niczym nie opartego przeczucia bezsilne były wszelkie próby rozsądnego rozumowania.

„To prawda, że tajemnica spowiedzi jest święta – ale trzeba by cudu, aby ksiądz nie zadenuncjował mnie i wszystkich innych”.

To, że spowiedzi mojej wysłuchał jakiś obcy ksiądz, potęgowało jeszcze moje przerażenie. Poza tym coś jeszcze zdawało się potwierdzać owo tajemne, pełne grozy przeczucie: a mianowicie zamiana spowiedników. Okazało się, że francuski spowiednik nie był ojcem Eliaszem, chociaż na konfesjonale wisiała tabliczka z tym imieniem; ale w takim razie, kim był? Żałowałam, iż nie zapytałam o niego prawdziwego ojca Eliasza. Bałam się jednak, że ten odrażający ksiądz powie, że nic o nim nie wie, potwierdzając w ten sposób to, w co coraz bardziej zaczynałam wierzyć, że młody zakonnik był tylko tworem mojej wyobraźni. Istotnie miał on w sobie coś z ducha,

niepodobny był do innych księży i w dziwny sposób zjawił się i znikł z mego życia. Zaczęłam wreszcie wątpić, czy w ogóle kiedykolwiek go widziałam, a raczej czy widziałam go jako człowieka z krwi i kości. Przyszło mi na myśl, że miałam widzenie – przede wszystkim dlatego, że zakonnik ten wydawał mi się podobny do Chrystusa ze świętych obrazów. Ale jeżeli to był naprawdę Chrystus, który ukazał się w ciężkiej dla mnie chwili i wysłuchał mojej spowiedzi, to fakt zastąpienia go przez tego wstrętnego, odpychającego księdza był najwyraźniej złą wróżbą. Oznaczało to, między innymi, że Kościół opuszcza mnie w wielkim nieszczęściu; czułam się jak człowiek, który w rozpaczliwej sytuacji otworzył kasę, gdzie ukrył niegdyś skarb, złote dukaty, i zamiast tych monet znajduje tam kurz, pajęczyny i mysie pomioty.

Wróciłam do domu z przecuciem jakiegoś nieszczęścia, które będzie następstwem mojej spowiedzi, i od razu położyłam się do łóżka, bez kolacji, przekonana, że jest to ostatnia noc, jaką spędzam w domu przed aresztowaniem. Muszę jednak zaznaczyć, że wcale się nie bałam ani też nie pragnęłam uniknąć swojego przeznaczenia. Kiedy minął pierwszy strach, wypływający, jak zresztą prawie u wszystkich kobiet, z nerwowego załamania, ogarnęło mnie coś więcej niż rezygnacja: silne postanowienie, że pogodzę się z grożącym mi ciosem. Odczuwałam nawet pewne zadowolenie, że pozwolę się zamknąć w więzieniu, co, jak sobie wyobrażałam, było ostatnim szczeblem ludzkiego nieszczęścia. Wydawało mi się, że jestem jakby pod ochroną tego nadmiaru niepowodzeń, i nie bez przyjemności myślałam, że poza śmiercią, której się zresztą nie bałam, nic mi już nie zagraża.

Ale nazajutrz na próżno czekałam na spodziewaną wizytę policji. Minął jeden dzień, minął następny i nie zdarzyło się nic takiego, co usprawiedliwiłoby moje przecucia. Przez cały ten czas nie wychodziłam z domu, a nawet nie opuszczałam swego pokoju, i szybko sprzykrzyło mi się rozważanie skutków mego nierozważnego kroku. Zaczęłam znowu myśleć o Giacomie i uświadomiłam sobie, że pragnę go zobaczyć jeszcze choćby raz, zanim spadną na mnie konsekwencje donosu księdza, który wciąż uważałam za rzecz nieuniknioną. Trzeciego dnia pod wieczór, prawie bez namysłu, wstałam z łóżka, ubrałam się i wyszłam z domu.

Znałam adres Giacomia i mniej więcej po dwudziestu minutach znalazłam się przed jego domem. Ale kiedy miałam wejść do bramy, przyszło mi na myśl, że nie uprzedziłam go o mojej wizycie, i nagle poczułam onieśmienie. Bałam się, że źle mnie przyjmie albo po prostu wyrzuci za drzwi. Zwolniłam kroku i zatrzymałam się przed sklepem, zastanawiając się, czy nie lepiej byłoby wrócić do domu i czekać na jego odwiedzin. Zdawałam sobie sprawę, że zwłaszcza w pierwszym okresie naszej znajomości muszę postępować mądrze i przebiegle, nie okazywać mu, że szaleję z miłości i żyć bez niego nie mogę. Nie chciałam jednak rezygnować między innymi i dlatego, że, nękana myślą o spowiedzi, koniecznie chciałam się z nim widzieć, żeby choć na chwilę oderwać się od tych zmartwień. Rzuciłam okiem na wystawę, przed którą stałam. Był to sklep z koszulami i krawatami; przypomniałam sobie nagle, że obiecałam mu kupić nowy krawat. Kiedy jest się zakochanym, nigdy nie rozumuje się rozsądnie; powiedziałam sobie, że ten podarunek posłuży mi jako pretekst odwiedzin. Nie zdawałam sobie sprawy, że będzie to jeden dowód więcej, iż po prostu tracę głowę i zabiegam o jego względy. Weszłam do sklepu i po długim namyśle wybrałam szary krawat w czerwone paski, najładniejszy i najdroższy ze wszystkich. Sprzedawca, z nieco niedyskretną uprzejmością, właściwą sprzedawcom, gdy chcą namówić klienta, by coś kupić, zapytał, czy pan, dla którego wybieram krawat, jest brunetem czy blondynem.

– To brunet – odpowiedziałam powoli i uświadomiłam sobie, że słowu „brunet” nadałam pieszczotliwy ton.

Zaczerwieniłam się na myśl, że sprzedawca mógł to zauważyć.

Wdowa Medolaghi mieszkała na czwartym piętrze w starej, ponurej kamienicy, której okna wychodziły na wybrzeże Tybru. Wbiegłam na schody i zadyszana zadzwoniłam do pogrążonych w mroku drzwi. Otworzyły się prawie natychmiast i na progu ukazał się Giacomo.

– Ach, to ty! – powiedział zdziwiony. Najwidoczniej oczekiwał kogoś innego.

– Czy można?

– Tak... tak... chodź tędy! – Z ciemnego przedpokoju wprowadził mnie do salonu. Tu także panował mrok, bo w oknach były małe, okrągłe, wprawione w ołów, czerwone szybki, jakie widuje się w kościołach. Zobaczyłam całe mnóstwo czarnych mebli, inkrustowanych perłową masą. Na środku stał owalny stół, a na nim staromodna karafka z niebieskiego kryształu. Na podłodze leżały dywany i bardzo wytarta biała niedźwiedzia skóra. Wszystko było stare, ale czyste, porządnie utrzymane i jakby zakonserwowane w głębokiej ciszy, jaka od niepamiętnych czasów musiała panować w tym mieszkaniu. Usiadłam na kanapie w głębi salonu i zapytałam:

– Czekasz na kogoś?

– Nie... ale dlaczego przyszłaś? – Nie brzmiało to zachęcająco, ale wydawało mi się, że był on raczej zdziwiony niż niezadowolony.

– Przyszłam się z tobą pożegnać – odpowiedziałam z uśmiechem – bo myślę, że najdalej jutro przyjdą po mnie i wsadzą mnie do więzienia.

– Do więzienia?... Co za głupstwa wygadujesz?

Głos mu się załamał, twarz zmieniła, zrozumiałam, że się boi o siebie. Pomyślał może, że go zadenuncjowałam albo skompromitowałam mówiąc komuś o jego działalności politycznej. Uśmiechnęłam się znowu i mówiłam dalej:

– Nie obawiaj się... ciebie to nie dotyczy.

– Nie, nie... – poprawił się szybko – chodzi o to, że nic nie rozumiem. Do więzienia? Za co?

– Zamknij drzwi i usiądź tutaj – powiedziałam wskazując kanapę.

Poszedł zamknąć drzwi i usiadł przy mnie. Wtedy z wielkim spokojem opowiedziałam mu całą historię puderniczki, z moją spowiedzią włącznie. Na koniec oświadczyłam:

– Jestem pewna, że ten ksiądz zrobi mi jakiś brzydki kawał... A jak ty sądzisz?

Pokiwał głową i powiedział patrząc nie na mnie, lecz przed siebie, w stronę kolorowych szybek:

– Nie powinien... i powiem ci, że ja w to nie wierzę; to, że jakiś ksiądz nie jest urodziwy, nie jest jeszcze powodem...

– Trzeba ci było go widzieć! – przerwałam żywo.

– No, dobrze, przypuśćmy, że jest szkaradny, ale nie może zrobić czegoś podobnego... Choć oczywiście wszystko może się zdarzyć.

– A więc uważasz, że nie mam się czego bać?

– Oczywiście, tym bardziej że teraz nic już na to nie możesz poradzić, to nie zależy od ciebie.

– Łatwo powiedzieć... Człowiek się boi, bo się boi, strach jest silniejszy od rozsądku.

Pogłaskał mnie nagle po szyi pieszczotliwym ruchem i ze śmiechem potrząsnął mną, mówiąc:

– Ale ty się nie boisz, prawda?

– Przecież ci mówię, że się boję.
– Nie boisz się, jesteś dzielną dziewczyną.
– Zapewniam cię, że strasznie się bałam... tak bardzo, że przez dwa dni nie wstawałam z łóżka.
– Tak... ale potem przyszedł do mnie i opowiedział mi o wszystkim z największym spokojem... Ty nie wiesz, co to jest bać się naprawdę.

– A jak mam to okazać? – zapytałam uśmiechając się mimo woli. – Nie mogę przecież krzyknąć ze strachu.
– Nie, ty się nie boisz!

Milczeliśmy przez chwilę. Potem on zapytał z jakimś szczególnym naciskiem, który wprowadził mnie w zdumienie:

– A ten twój znajomy, Sonzogno, co to za typ?

– Wygląda bardzo zwyczajnie – odpowiedziałam wymijająco. Nie przyszło mi w tej chwili do głowy nic takiego, co mogłabym powiedzieć o Sonzogno.

– Opisz mi jego wygląd.

– Czy chcesz zrobić na niego donos? – odrzekłam śmiejąc się. – Pamiętaj, że razem z nim i mnie by aresztowano. – Potem dodałam: – Blondyn... niski... szeroki w ramionach... twarz ma bladą, oczy niebieskie... jednym słowem, całkiem przeciętny... i tylko to godne jest uwagi, że odznacza się nieopisaną siłą.

– Jest rzeczywiście taki silny?

– Na oko wcale na to nie wygląda, ale dotykałam jego mięśni, są jak ze stali.

Widząc, że słucha z zainteresowaniem, opowiedziałam mu o zajściu między Sonzogno a Ginem. Nie robił żadnych komentarzy, ale kiedy skończyłam, zapytał:

– Czy myślisz, że Sonzogno popełnił tę zbrodnię z premedytacją, to znaczy, że sobie przedtem wszystko uplanował, a potem zamordował z zimną krwią?

– Nic podobnego – odrzekłam – on nigdy z góry nic nie planuje. Jednym uderzeniem pięści powalił Gina na ziemię, a na pewno chwilę przedtem ani mu to było w głowie; tak samo z jubilerem.

W takim razie, dlaczego to zrobił?

– Tak jakoś... bo to jest silniejsze od niego. On jest jak dzikie zwierzę: zachowuje się spokojnie, a potem nagle nie wiadomo dlaczego może cię rozszarpać. – Opowiedziałam mu wszystko, co zaszło pomiędzy mną a Sonzogno, o tym, jak mnie bił, co mogło skończyć się dla mnie jeszcze gorzej. Na koniec oświadczyłam: – on w ogóle nie myśli. Przychodzą chwile, kiedy jakaś siła zaczyna panować nad jego wolą, wtedy lepiej się do niego nie zbliżać. Jestem pewna, że podszedł do tego jubilera, żeby sprzedać puderniczkę, tamten go obraził, więc zamordował go.

– Jednym słowem, bestia!

– Możesz go nazwać, jak chcesz... to musi być – dodałam próbując wytłumaczyć sobie samej owo uczucie, jakie budziła we mnie krwawa furia Sonzogno – jakiś impuls, podobny do tego, który każe mi ciebie kochać. Dlaczego cię kocham, wie tylko Bóg... Dlaczego Sonzogno ogarnia czasem mania zabijania? To też wie tylko Bóg... Wydaje mi się, że tych rzeczy w ogóle nie da się wytłumaczyć.

Giacomo zastanawiał się, po czym podniósł głowę i zapytał:

– A jak myślisz, co ja czuję do ciebie? Czy przypuszczasz, że to jest miłość?

Ogarnął mnie straszliwy lęk, aby nie usłyszeć, że on mnie nie kocha. Zakryłam mu usta dłonią i powiedziałam błagalnie:

– Na litość boską, nie mów nic o tym, co do mnie czujesz!

– Dlaczego?

– Bo nie chcę! Nie wiem, co czujesz do mnie, i to mnie wcale nie obchodzi, wystarczy mi, że ja cię kocham.

Potrząsnął głową i powiedział:

– Źle robisz, że mnie kochasz... powinnaś kochać człowieka takiego jak Sonzogno.

Byłam zdumiona.

– Co ty mówisz? Zbrodniarza?

– A niech sobie będzie nawet i zbrodniarz, ale on odczuwa te impulsy, o których mówiłaś. Prawdopodobnie taki impuls czasem pcha go do zbrodni, a czasem do miłości, ot tak, po prostu, w nieskomplikowany sposób, ja natomiast... Nie pozwoliłam mu dokończyć i zaprotestowałam: – Przecież ty nie możesz porównywać się z Sonzognem, to kryminalista, potwór... i wcale nieprawda, że mógłby mieć jakieś uczuciowe impulsy! Taki człowiek nie potrafi kochać, dla niego istnieje tylko zaspokojenie zmysłów, ja czy inna, wszystko mu jedno.

Nie wydawał się przekonany, ale nic nie odpowiedział. Wykorzystałam tę chwilę i dotknęłam przegubu jego ręki, próbując wsunąć palec pod mankiet.

– Mino – powiedziałam.

Wzdrygnął się:

– Dlaczego nazywasz mnie Mino?

– To zdrobnienie od Giacomo... Giacomino... nie można?

– Nie... nie... możesz... tylko że tak nazywają mnie w domu.

– Twoja matka tak cię nazywa? – zapytałam puszcżając jego rękę; włożyłam mu dłoń pod krawat, rozsuwając palcami koszulę na piersi.

– Tak – odrzekł niecierpliwie. Po chwili dorzucił tonem sarkastycznym i pogardliwym zarazem: – Nie jest to zresztą jedyna rzecz, którą mówisz tak jak moja matka... Wasze zapatrywania są bardzo podobne.

– Na przykład? – zapytałam. Byłam oszołomiona jego bliskością i prawie nie słuchałam, co mówi. Odpięłam mu koszulę i próbowałam dosięgnąć ręką jego chudego, chłপিęcego ramienia.

– Na przykład – odrzekł – kiedy powiedziałem ci, że zajmuję się polityką, od razu krzyknęłaś przerażonym głosem: „Ależ tego nie wolno robić! To bardzo niebezpieczne!”; to samo słowo w słowo i takim samym głosem powiedziałaby moja matka.

Pochlebiło mi to, że przypominam mu matkę, przede wszystkim dlatego, że to jego matka, a poza tym dlatego, że wiedziałam, iż jest to pani z towarzystwa.

– Głuptasie – powiedziałam z czułością – a cóż w tym złego? To znaczy, że twoja matka cię kocha, tak samo jak ja cię kocham. To najprawdziwsza prawda, że zajmowanie się polityką jest bardzo niebezpieczne. Znałam pewnego chłopca, którego aresztowano za to i siedzi już dwa lata, a poza tym jaka z tego korzyść? Oni są o wiele silniejsi i ani się obejrzą, jak skończysz w więzieniu. Wydaje mi się, że można doskonale żyć bez polityki.

– Cała matka, cała matka – zawołał triumfująco i ironicznie – dokładnie to samo mówi moja matka.

– Nie wiem, co mówi twoja matka – odrzekłam – ale z pewnością chodzi jej tylko o twoje dobro.

Powinieneś dać spokój tym sprawom, nie jesteś politykiem z zawodu; jesteś studentem, a studenci powinni się uczyć.

– Studiować, skończyć uniwersytet i stworzyć sobie pozycję – mruknął jakoś do siebie.

Nic nie odpowiedziałam, zbliżyłam twarz do jego twarzy i podałam mu usta. Pocałowaliśmy się, a kiedy odsunęliśmy się od siebie, Giacomo był wyraźnie niezadowolony, że mnie pocałował, oczy jego były niechętne i wrogie. Złękłam się, że obraziłam go przerywając pocałunkiem rozmowę o polityce, i dorzuciłam szybko:

– A zresztą rób, co chcesz, to nie moja sprawa. I skoro już tu przyszedł, możesz dać mi tę paczkę; przechowam ją u siebie, tak jak się umówiliśmy.

– Nie, nie – zawołał żywo – za nic, to już w ogóle nie wchodzi w grę! Znasz przecież Astaritę, a nie daj Boże, żeby on to znalazł!

– Dlaczego? Czy on jest taki groźny?

– To jeden z najgroźniejszych – odpowiedział poważnie.

Przyszła mi nagle złośliwa chęć, żeby podrażnić jego miłość własną, ale serdecznie, bez odrobiny jadu. Powiedziałam łagodnie:

– W gruncie rzeczy wcale nie miałeś zamiaru powierzyć mi tej paczki.

– Po co bym ci w takim razie o tym mówił?

– Tak sobie. Przepraszam, nie gniewaj się, ale myślę, że wspomniałeś o tym dlatego, żeby mi zaimponować, pochwalić się, że zajmujesz się niebezpiecznymi sprawami.

Rozgniewał się, co przekonało mnie, że mój strzał był celny.

– Co za idiotyzm! – zawołał. – Muszę ci powiedzieć, że jesteś po prostu głupia! – Potem uspokoił się nagle i zapytał podejrzliwie: – Dlaczego tak powiedziałaś? Co nasunęło ci to przypuszczenie?

– Nie wiem – odpowiedziałam z uśmiechem – może twoje zachowanie. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale nie robisz wrażenia, abyś brał to na serio.

Zrobił groteskowy gest, jak gdyby buntował się przeciwko sobie samemu.

– A jednak to są bardzo poważne sprawy – rzekł. Wstał i wyciągając chude ramiona wyrecytował pompatycznie, głosem wpadającym w falset: – „Broń! I na cóż mi ona? Samotny w walce, sam zginę”.

Zapytałam:

– Co to znaczy?

– Nic – odrzekł – jest taki wiersz. – Nieoczekiwanie jego podniecenie przeszło w ponure, milczące przygnębienie. Usiadł znowu i powiedział szczerze:

– Słuchaj, ja naprawdę robię to wszystko poważnie, do tego stopnia, że spodziewam się aresztowania.

Wtedy pokażę wszystkim, czy traktuję to na serio, czy nie!

Nic nie odpowiedziałam, ale głaszcząc go pieszczotliwie, ujęłam jego twarz w dłonie i szepnęłam:

– Jakie ty masz śliczne oczy! – Naprawdę miał śliczne oczy, łagodne i duże, o głębokim, niewinnym spojrzeniu. On znowu się zmieszał i broda zaczęła mu się trząść.

– Czy nie moglibyśmy pójść do twojego pokoju? – zapytałam cicho.

– Nie myśl nawet o tym! Mieszkam o ścianę z wdową, a ona przez cały dzień siedzi w swoim pokoju i trzyma otwarte drzwi, żeby widzieć, co się dzieje w przedpokoju.

– No to chodźmy do mnie!

– Już za późno, mieszkasz daleko, niedługo mają przyjść do mnie koledzy.

– No to w takim razie tutaj.

– Oszalałaś!

– Powiedz raczej, że się boisz – rzekłam z uporem. – Nie boisz się uprawiać propagandy politycznej, przynajmniej tak twierdzisz, a boisz się, żeby nie przyłapano cię w tym salonie z kobietą, która cię kocha! I cóż by się takiego stało? W najgorszym razie wdowa pokazałaby ci drzwi i musiałbyś sobie poszukać innego pokoju.

Wiedziałam, że wystarczy podrażnić jego dumę, żeby uzyskać od niego, co tylko się chce. Istotnie, wydawał się przekonany. Widocznie pragnął tego tak samo jak ja.

– Naprawdę oszalałaś – powtórzył – mogę mieć więcej kłopotów, gdyby ona mnie stąd wyrzuciła, niż gdyby mnie aresztowano, a poza tym nie ma się tu na czym położyć...

– Na podłodze – powiedziałam bardzo cicho i z wielką czułością – chodź, pokażę ci, jak się to robi. – Był tak zaskoczony, że nie mógł wymówić słowa. Wstałam z kanapy bez pośpiechu. Na podłodze leżały dywany, a na środku pokoju stał stół z karafką. Wyciągnęłam się na dywanie wsuwając się od głowy do pasa pod stół, po czym pociągnęłam wahającego się Mina, zmuszając go, żeby położył się na mnie. Odchyliłam głowę do tyłu i przymknęłam oczy; zapach kurzu, którym przesiąknięty był dywan, wydał mi się piękny i upajający, jakbym leżała wiosną na polu i wdychała zapach kwiatów i trawy, a nie zleżając wełny. Ciężar Mina przygniatał mnie do podłogi, wyczuwałam jej rozkoszną twardość i cieszyłam się, że on tego nie czuje, bo moje ciało służy mu za posłanie. Potem poczułam, że on całuje mnie w policzki i w szyję, i doznałam wielkiej radości, bo nigdy przedtem tego nie robił. Otworzyłam oczy, twarz miałam przechyloną na ramię, policzek oparty o szorstką wełnę dywanu; poza dywanem, w obrębie mojego spojrzenia, był spory kawałek mozaikowej, wyfroterowanej posadzki, a w głębi – dolna część dwuskrzydłowych drzwi. Westchnęłam głęboko i zamknęłam oczy.

Pierwszy wstał Mino, ja leżałam jeszcze dłuższą chwilę bez ruchu, tak jak mnie zostawił na wznak, z twarzą zakrytą ramieniem, z zadartą sukienką i rozrzuconymi nogami. Czułam się szczęśliwa, jak gdyby unicestwiona własnym szczęściem, i wydawało mi się, że mogłabym tak leżeć nieskończenie długo na tej twardej podłodze, wchłaniając w nozdrza zapach kurzu i wełny. Może nawet przez króciutką chwilę spałam, snem lekkim i kradzionym, i zdawało mi się we śnie, że naprawdę jestem na kwitnącej łące, rozciągnięta na trawie, i że stół nad moją głową to słoneczne niebo. Mino pomyślał najwidoczniej, że źle się czuję, bo nagle poczułam, że mną potrząsa, mówiąc po cichu:

– Co ci się stało? Co ty robisz? Wstawaj... szybko!

Z trudem oderwałam rękę od twarzy, powoli wysunęłam się spod stołu i wstałam. Czułam się szczęśliwa i uśmiechałam się. Mino, oparty plecami o kredens, pochylony, jeszcze zadyszany, patrzył na mnie w milczeniu, zły i jakby zdziwiony.

– Nie chcę cię więcej widzieć! – powiedział w końcu i wzdrygnął się cały bezwiednie, niczym nakręcany pajac, w którym pękła sprężyna.

Uśmiechnęłam się i odpowiedziałam:

– Dlaczego?... Kochamy się przecież i zobaczymy się znowu. – Podeszłam do niego i pogłaskałam go pieszczotliwie.

Odwrócił twarz, bladą i rozdygotaną, powtarzając:

– Nie chcę cię więcej widzieć.

Wiedziałam, że wrogość jego płynie stąd, że mi ustąpił. Nigdy nie poddawał się miłości bez walki i zaciętego oporu wewnętrznego, jak człowiek, który robi coś wbrew własnej woli i wie, że robi źle. Ale byłam pewna, że jego zły humor szybko minie i namiętność do mnie, chociaż tłumiona i tak mu nienawistna, okaże się silniejsza od jego dziwnego pragnienia czystości. Nie zwracałam więc uwagi na jego słowa. Przypomniałam sobie, że kupiłam dla niego krawat, i podeszłam do konsolki, na której położyłam torebkę i rękawiczki, mówiąc:

– No, nie gniewaj się już! Więcej już tutaj nie przyjdę, dobrze?

Nic nie odpowiedział. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i stara służąca wpuściła do salonu dwóch mężczyzn. Pierwszy z nich powiedział głębokim basem:

– Serwus, Giacomo!

Domyśliłam się, że są to jego współtowarzysze pracy politycznej i obrzuciłam ich zaciekawionym wzrokiem. Ten, który powitał Giacoma, był to istny kolos: dużo wyższy od Mina, szeroki w ramionach, wyglądał na zawodowego boksera. Włosy miał jasne i kręcone, oczy niebieskawe, nos spłaszczony, usta czerwone i nieregularne. Ale wyraz jego twarzy był otwarty i szczerzy, zachowanie nieśmiałe i pełne prostoty. Choć to była zima, nie miał na sobie płaszcza, tylko pod marynarką gruby sweter z golfem, co podkreślało jeszcze jego sportowy wygląd. Uderzyły mnie jego dłonie, czerwone, o grubych przegubach, wystających z rękawów swetra. Musiał być bardzo młody, mniej więcej w tym samym wieku, co Giacomo. Jego towarzysz natomiast miał co najmniej czterdziestkę i o ile pierwszy wyglądał na chłopca, ten robił wrażenie człowieka z miasta. Był niski, a w porównaniu z tamtym robił wrażenie niemal karła. Był to czarny, śniady człowieczek, którego twarz ginęła za ogromnymi rogowymi okularami. Spod okularów sterczał zadarty nos, a pod nim rozchyłały się usta, szerokie, od ucha do ucha. Policzki miał zapadnięte, zacienione kruczym zarostem, kołnierzyk wytarty: jego wychudzony korpus tkwił w zniszczonym i poplamionym ubraniu; wygląd tego człowieka cechowała rzucająca się w oczy abnegacja i pogodna nędza. Powiedziawszy prawdę, zdziwił mnie wygląd ich obu, ponieważ Mino był zawsze ubrany z niedbałą elegancją i widać było od razu, że pochodzi z innego środowiska. Gdybyrn nie widział, że serdecznie się ze sobą witają, w ogóle nie przyszłoby mi do głowy, że mogą być w przyjaźni. Ale od razu instynktownie poczułam sympatię do tego wysokiego i antypatię do niskiego. Wysoki zapytał z zakłopotanym uśmiechem:

– Może przyszliśmy trochę za wcześnie?

– Nie, nie! – odrzekł Mino otrząsając się z odrętwienia i usiłując zapanować nad sobą. – Przyszlście bardzo punktualnie.

– Punktualność jest grzecznością królów – odpowiedział mały zacierając ręce i całkiem niespodziewanie, jak gdyby owo zdanie było niestychanie komiczne, wybuchnął głośnym śmiechem. Potem, równie nieoczekiwanie, tak spoważniał, że nie chciało mi się wierzyć, iż mógł się śmiać przed chwilą.

– Adriano – powiedział z wysiłkiem Mino – przedstawiam ci dwu moich przyjaciół... Tullio – tu wskazał na małego. – I Tommaso.

Uderzyło mnie, że nie wymienił nazwisk; imiona też zapewne były zmyślone. Wyciągnęłam rękę z uśmiechem. Wysoki uściśnął ją tak mocno, aż zdrętwiały mi palce, natomiast dłoń niskiego mokra była od potu. Niski powiedział przy tym: – Niezwykle mi miło – z emfazą, która wydała mi się błazeńska, a wysoki: – Bardzo mi

przyjemnie – z prostotą, prawie po przyjacielsku. Zauważyłam, że mówił z odcieniem dialektu.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Giacomo – zapytał wysoki – może chcesz, żebyśmy przyszli innym razem? Zdaje się, że jesteś zajęty.

Moglibyśmy przyjść jutro.

Widziałam, że Mino wstrząsnął się i popatrzył na niego; rozumiałam, że wyprosi mnie, a im każe zostać. Znałam go już na tyle, aby wiedzieć, że właśnie tak postąpi. Pomyślałam o tym, że oddałam mu się przed chwilą, czułam jeszcze na szyi dotyk jego ust, które mnie całowały, i jego rąk, które mnie obejmowały. Miałam usposobienie łagodne i uступliwe z natury, ale tym razem przyszło do głosu moje ciało i zbuntowało się przeciwko postępowaniu obrażającemu jego dar i jego piękno. Wysunęłam się o krok naprzód i powiedziałam gwałtownie:

– Tak, lepiej, żebyście teraz poszli, zobaczycie się jutro! Mam jeszcze wiele spraw do omówienia z Minem.

Mino zaprotestował, moje słowa najwyraźniej sprawiły mu przykrą niespodziankę:

– Ależ ja muszę się z nimi rozmówić!

– Rozmówicie się jutro!

– No więc – rzekł dobrodusznie Tommaso – zdecydujcie się, czy chcecie, żebyśmy zostali, czy poszli.

– Dla nas to nie stanowi różnicy – dorzucił Tullio, znowu wybuchając śmiechem.

Mino wahał się jeszcze. I znowu moim ciałem targnął bezwiednie gwałtowny impuls.

– Posłuchajcie – powiedziałam podniesionym głosem – kilka minut temu ja i Giacomo kochaliśmy się, tu na podłodze, na tym dywanie. Co byście zrobili na jego miejscu? Kazalibyście mi iść precz?

Wydało mi się, że Mino zaczerwienił się i zmieszał. Odwrócił się na pięcie i podszedł do okna. Tommaso spojrział na mnie ukradkiem, po czym oświadczył poważnie:

– Rozumiem! Idziemy!... A więc Giacomo, jutro, o tej samej porze.

Natomiast na małym Tulliu moje słowa zrobiły wielkie wrażenie. Wpatrywał się we mnie z otwartymi ustami, wybałuszając oczy za silnie powiększonymi szklami okularów. Z pewnością nigdy jeszcze nie słyszał kobiety mówiącej o tych sprawach tak otwarcie i tysiące sprośnych myśli musiało zakotłować mu się w głowie. Ale wysoki zawołał odrywając go od progu: – Tullio, idziemy – a wtedy on, nie odrywając zdumionego i pożądlivego wzroku od mojej osoby, cofnął się ku drzwiom i wyszedł.

Poczekalam chwilę, aż opuszczą mieszkanie, po czym podeszłam do Mina, który stał przy oknie, odwrócony plecami do pokoju, i objęłam go ramieniem za szyję.

– Mogłabym się założyć, że teraz nie możesz ścierpieć mojego widoku.

Odwrócił się powoli i spojrział na mnie. Oczy jego były zagniewane, ale na widok mojej twarzy, która musiała mieć wyraz łagodny, pełen miłości i na swój sposób niewinny, jego wzrok złagodniał; powiedział spokojnie, prawie smutno:

– Zadowolona jesteś teraz? Postawiłaś na swoim.

– Tak, jestem zadowolona – odrzekłam tuląc go mocno.

Pozwolił się uściskać, a potem zapytał:

– Co to za ważne sprawy? O czym chciałaś ze mną mówić?

– O niczym – odpowiedziałam – po prostu chciałam spędzić z tobą ten wieczór.

– Ale ja – odrzekł – muszę za chwilę iść na kolację... Jadam tutaj, u wdowy Medolaghi.

– No to zaprosz mnie na kolację.

Spojrzał na mnie i mój tupet wywołał leciutki uśmiech na jego ustach.

– Dobrze – powiedział z rezygnacją – zaraz pójde ją uprzedzić... A jak cię mam przedstawić?

– Jak chcesz... jako swoją kuzynkę.

– Nie... przedstawię cię jako moją narzeczoną... Dobrze? Nie śmiałam mu okazać, jak ucieszył mnie ten pomysł. Odpowiedziałam siłąc się na obojętność:

– Narzeczona... nie narzeczona... wszystko mi jedno, bylebym tylko mogła być z tobą.

– Poczekaj, zaraz wrócę.

Wyszedł, a ja stanęłam w kącie salonu, uniosłam sukienkę i szybko obciągnęłam halkę, czego nie zdążyłam zrobić przedtem, zanim zjawili się przyjaciele Mina. W lustrze na przeciwległej ścianie zobaczyłam moją długą, niezwykle zgrabną nogę w jedwabnej pończosze i zrobiła ona na mnie dziwne wrażenie wśród tych starych mebli, w cichej, dusznej atmosferze tego pokoju. Przypomniałam sobie przeżycia miłosne z Ginem w willi jego chlebodawczyni oraz kradzież puderniczki i nie mogłam powstrzymać się od porównania tamtego momentu, bardzo już odległego, z tym, który teraz przeżywałam. Wówczas odczuwałam pustkę, gorzyc i pragnienie zemsty, jeśli nawet nie bezpośrednio w stosunku do Gina, to w stosunku do całego świata, który poprzez Gina skrzywdził mnie tak okrutnie. Teraz byłam szczęśliwa, wolna, lekka jak piórko. Raz jeszcze uświadomiłam sobie, że naprawdę kocham Mina i niewiele obchodzi mnie to, że on mnie nie kocha.

Wyglądziłam sukienkę, podeszłam do lustra, przyczesalam się. Drzwi otworzyły się, wszedł Mino.

Miałam nadzieję, że podejdzie, stanie za mną i obejmie mnie od tyłu. Ale on usiadł w głębi salonu na kanapie.

– Już ją uprzedziłem – rzekł zapalając papierosa – doda jedno nakrycie; za chwilę usiądziemy do stołu.

Odeszłam od lustra, usiadłam przy nim i wsuwając mu rękę pod ramię przytuliłam się do niego.

– Ci dwaj – powiedziałam na chybił trafił – to pewnie ci od polityki?

– Tak.

– Nie są chyba bogaci.

– Skąd wiesz?

– Bo tak można sądzić po ich wyglądzie.

– Tommaso to syn naszego rządcy – powiedział – a ten drugi jest nauczycielem.

– Nie podobał mi się.

– Kto?

– Ten nauczyciel; jest po prostu wstrętny, patrzył na mnie w niedwuznaczny sposób, kiedy powiedziałam, że się kochaliśmy.

– Widocznie mu się spodobałaś.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę, a potem odezwałam się:

– Wstydzisz się pewnie przedstawić mnie jako swoją narzeczoną? Może będzie lepiej, jeżeli już pójde do domu.

Wiedziałam, że jest to jedyny sposób, aby wycisnąć z niego odrobinę czułości: szantażować go, że się mnie wstydzi. Istotnie, natychmiast objął mnie wpół i powiedział:

– Przecież ja sam ci to zaproponowałem... Dlaczego miałbym się tego wstydzić?

– Nie wiem... widzę, że jesteś w złym humorze.

– Nie jestem w złym humorze, jestem oszołomiony – odrzekł mentorskim tonem – z powodu tego, co było między nami... Daj mi trochę czasu, a zaraz przyjdę do siebie.

Zauważyłam, że jest jeszcze bardzo blady i ze wstrętem pali papierosa.

– Masz rację – powiedziałam – przepraszam cię, ale ty jesteś zawsze taki zimny i obojętny, że chwilami tracę głowę. Gdybyś był inny, nie należałabym tak przed chwilą, żeby zostać.

Rzucił papierosa i odrzekł:

– To nieprawda, że jestem zimny i obojętny!

– A jednak...

– Bardzo mi się podobasz – mówił dalej, patrząc na mnie uważnie – i właśnie przed chwilą nie sprzeciwiłem ci się, choć miałem zamiar to zrobić.

Ucieszyłam się jego słowami i spuściłam oczy bez słowa.

– Ale pomimo to – dorzucił – uważam, że masz rację, że tego nie można nazwać miłością.

Serce mi się ścisnęło i szepnęłam bezwiednie:

– A co to jest miłość, według ciebie?

– Gdybym cię kochał – odpowiedział – nie chciałbym przed chwilą, żebyś poszła... i nie byłbym taki zły, że chcesz zostać.

– Byłeś zły?

– Tak... i teraz rozmawiałbym z tobą, byłbym wesoły, pogodny, ożywiony, dowcipny, mówiłbym ci komplementy, pieścił, całował, robiłbym plany na przyszłość... Czy to właśnie nie jest miłość?

– Tak – powiedziałam powoli – a w każdym razie to wypływa z miłości.

Zamilkł na dłuższą chwilę, a potem powiedział obojętnie, z oschłą skromnością:

– Wszystko robię w taki sam sposób, bez serca i bez uczucia. Traktuję wszystko rozumowo, na zimno, powierzchownie. Taki już jestem i nie zanoszę się na to, żebym się kiedykolwiek zmienił.

Przemogłam się z trudem i odrzekłam:

– Nic się tym nie przejmuj! Podobasz mi się taki, jaki jesteś – i uścisnęłam go z wielką czułością. Prawie w tej samej chwili otworzyły się drzwi i ukazała się w nich stara służąca, zapraszając nas do stołu.

Przez korytarz przeszliśmy do jadalni. Pamiętam ten pokój ze wszystkimi szczegółami, jak również osoby, które w nim zastałam, bo w tej chwili wrażliwość moja była wyczulona niczym błona fotograficzna. Wydało mi się, że sama nie wchodzi do jadali, ale że widzę siebie wchodzącą tam i rozglądającą się dokoła smutnymi, szeroko otwartymi oczyma. Może w ten sposób przejawia się bunt przeciwko rzeczywistości, która sprawia cierpienie i którą chciałoby się odmienić.

Wdowa Medolaghi wydała mi się nie wiadomo dlaczego podobna do hebanowych mebli w salonie, inkrustowanych perłową masą. Była to kobieta w dojrzałym wieku, o imponującej postawie, szeroka w biodrach, z potężnym biustem, ubrana w czarną jedwabną suknię. Jej szeroka, obwisła twarz przypominała odcieniem swojej błości właśnie te inkrustacje z perłowej masy i otoczona była kruczymi włosami, które wyglądały na farbowane. Oczy jej były sino podkrążone. Stała przy stole, przed kwiecistą wazą, i ruchem pełnym godności rozlewała zupę na

talerze. W świetle wiszącej nad stołem lampy uwydatniał się jej biust, przypominający duży, czarny, lśniący pakunek. Twarz pogrążona w półcieniu, z podkrążonymi oczami wyglądała jak w czarnej satynowej karnawałowej masce. Stół był mały i leżały na nim cztery nakrycia, po jednym z każdej strony. Córka pani Medolaghi siedziała już na swoim miejscu i nie wstała na nasz widok.

– Pani usiądzie tutaj – powiedziała wdowa Medolaghi. – Jak pani na imię?

– Adriana.

– Proszę, tak samo jak mojej córce – rzekła ze zdawkową uprzejmością – mamy więc dwie Adriany.

Mówiła to wszystko chłodno, nie patrząc na nas, moja obecność najwyraźniej jej nie dogadzała. Jak już wspomniałam, nie malowałam się prawie wcale, nie tleniłam włosów, jednym słowem, nic nie zdradzało mojej profesji. Ale od razu rzucało się w oczy, że jestem dziewczyną z ludu, prostą i niewykształconą, i bynajmniej nie miałam zamiaru tego ukrywać. „Cóż za osobę wprowadza się do mego domu! – myślała zapewne w tej chwili wdowa Medolaghi – jakąś prostytutkę!”

Usiadłam i spojrzałam na dziewczynę, która nosiła moje imię. Wszystko: i głowa, i piersi, i biodra, było u niej dosłownie o połowę mniejsze niż u mnie. Była chuda, miała rzadkie włosy, twarz pociągłą i delikatną, oczy zgaszone i jakby wylęknione. Przyglądałam się jej i zobaczyłam, że spuszcza wzrok pod moim spojrzeniem. Pomyślałam, że jest nieśmiała, i żeby przełamać pierwsze lody, powiedziałam:

– Jakie to dziwne! Nosimy to samo imię, a jesteśmy tak bardzo od siebie różne!

Powiedziałam to bezmyślnie, po prostu dla zagajenia rozmowy, i słowa moje zabrzmiały głupio, ale byłam zdziwiona, że nie otrzymuję odpowiedzi. Dziewczyna spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczyma, po czym bez słowa schyliła głowę nad talerzem i zaczęła jeść. I wtedy nagle przyszło na mnie olśnienie, zrozumiałam wszystko: dziewczyna nie była nieśmiała, tylko przerażona, a powodem jej przerażenia byłam ja. Przerażała ją moja piękność, wykwitająca w szarej atmosferze tego mieszkania niczym róża wśród pajęczyn, kipiąca we mnie żywotność, której nie można było nie zauważyć, nawet gdy siedziałam w milczeniu i bez ruchu, a przede wszystkim moje gminne pochodzenie. Niewątpliwie, bogaci nie lubią biedaków, ale bynajmniej się ich nie boją i umieją trzymać ich z daleka zimnym i pogardliwym zachowaniem. Ale biedak, który z racji pochodzenia i wychowania uważa się za przynależnego do świata bogaczy, trzęsie się po prostu ze strachu przed prawdziwym nędzarzem, jak człowiek, który ma skłonność do jakiejś choroby i czuje, że już jest nią zarażony. Panie Medolaghi z pewnością nie były bogate, skoro odnajmowały pokoje; czując swoje ubóstwo i nie przyznając się do niego, uważały moją obecność w ich domu za coś niebezpiecznego i obraźliwego zarazem. Kiedy się odezwałam, dziewczyna pomyślała zapewne: „Ta przybłąda zagaduje mnie, chce spoufalić się ze mną, a potem nie będę mogła się od niej odczepić”. Zrozumiałam to wszystko w jednej chwili i postanowiłam, że nie pisnę już ani słowa do końca kolacji.

Ale matka, bardziej obyta, a może bardziej wścibska, nie chciała zrezygnować z konwersacji.

– Nie wiedziałam, że pan jest zaręczony – zwróciła się do Mina – a od jak dawna?

Mówiła afektowanym głosem i jakby spoza olbrzymiego biustu, który chronił ją niczym wał obronny.

– Od miesiąca – odrzekł Mino. Była to prawda, poznaliśmy się miesiąc temu.

– Pańska narzeczona jest rzymianką?

– Tak, i to od siedmiu pokoleń.

– A kiedy macie państwo zamiar się pobrać?

– Niedługo, kiedy tylko zwolni się dom, w którym mamy zamieszkać.

– Ach tak! Państwo macie już nawet dom?

– Tak, willę z ogródkiem... z wieżyczką... bardzo ładniutką.

Tak więc opisywał swoim ironicznym tonem małą willę stojącą przy alei niedaleko mojego domu, którą mu niegdyś pokazałam. Powiedziałam z wysiłkiem:

– Jeśli będziemy czekali na to mieszkanie, to chyba nigdy się nie pobierzemy.

– Bajki! – zawołał wesoło Mino. Wydawało się, że całkiem już przyszedł do siebie, nawet twarz jego nie była już taka blada. – Wiesz przecież, że willa będzie wolna w umówionym terminie.

Nie lubię grać komedii, nie powiedziałam więc ani słowa. Służąca zmieniła talerze.

– Wille, panie Diodati – rzekła wdowa – mają wiele zalet, ale mają tę ujemną stronę, że wymagają dużej ilości służby.

– Dlaczego? – odpowiedział Mino. – Doskonale obejdziemy się bez tego... Adriana sama się wszystkim zajmie, będzie pokojówką, kucharką i guwernantką, prawda, Adriano?

Pani Medolaghi zmierzyła mnie chłodnym spojrzeniem i wycodziła:

– Powiedziawszy prawdę, nie do pani domu należy zajmowanie się kuchnią, zmiatanie pokoi i ścielenie łóżek, ale jeżeli panna Adriana jest do tego przyzwyczajona... – Nie dokończyła i spojrzała na półmisek, który podawała jej służąca. – Nie wiedziałyśmy, że pani będzie na kolacji, i nie zdążyliśmy przygotować dodatkowo nic oprócz jajek.

Czułam żal i do Mina, i do tej kobiety i mało brakowało, a byłabym im odpowiedziała: „Nie szkodzi, jestem przyzwyczajona... do wystawiania na rogu i deptania chodników”. Ale Mino, podochocony, ogarnięty jakąś niepowstrzymaną wesołością, nalał wina po brzegi sobie i mnie (oczy pani Medolaghi z niepokojem śledziły butelkę) i ciągnął dalej:

– Ależ Adriana nie jest żadną damą i nigdy nią nie będzie, zawsze zmiatała pokoje i słała łóżka, to prosta dziewczyna.

Pani Medolaghi spojrzała na mnie tak, jakby zobaczyła mnie po raz pierwszy w życiu, po czym potwierdziła ze zgryźliwą uprzejmością:

– No naturalnie, właśnie o tym mówiłam, skoro jest przyzwyczajona... – Jej córka pochyliła głowę nad talerzem, a Mino podchwycił:

– Tak, przyzwyczajona, i ja na pewno nie zechcę zmieniać jej tak pożytecznych nawyków. Adriana jest córką bieliźniarki... i sama także szyje bieliznę, prawda, Adriano? – Szybko sięgnął przez stół, chwycił moją rękę i przekręcił ją dłońią do góry. – Co prawda, lakieruje sobie paznokcie, ale ma rękę robotnicy: dużą, silną, prostacką; tak samo jej włosy, chociaż się kręcą, są twarde i szorstkie. – Puścił moją dłoń i mocno, boleśnie pociągnął mnie za włosy. – Jednym słowem, Adriana jest w każdym calu godną przedstawicielką naszego ludu pracującego, krzepkiego i żywotnego.

W głosie jego dźwięczało jakby sarkastyczne wyzwanie, ale nikt na to nie zareagował. Córka pani Medolaghi patrzyła na mnie tak, jakbym była powietrzem i jakby obserwowała jakiś stojący za mną przedmiot. Matka kazała służącej zmienić talerze, po czym zwróciła się do Mina i zapytała w sposób całkiem nieoczekiwany: – Panie Diodati, czy był pan w teatrze na tej nowej komedii?

Omali nie wybuchnęłam śmiechem, słysząc, jak niezdarnie wdowa zmienia temat rozmowy, ale Mino nie stracił rezonu i odpowiedział:

- Nie warto nawet o tym mówić, to rzecz zupełnie bez wartości.
- Wybieramy się na to jutro... Podobno aktorzy doskonale grają.

Mino oświadczył, że i aktorzy wcale nie grają tak dobrze, jak pisano o tym w gazetach; pani Medolaghi zdziwiła się, że gazety mogą pisać nieprawdę; Mino odrzekł na to spokojnie, że dzienniki zawsze kłamią. I od tej chwili konwersacja potoczyła się mniej więcej po tej linii. Skoro tylko wyczerpał się jeden z najbardziej oklepanych tematów, pani domu podchwytywała natychmiast następny, ze źle ukrywaną skwapliwością. Mino, którego zdawało się to bawić, podtrzymywał tę grę, odpowiadając jej z miejsca. Mówili o aktorach, potem o nocnym życiu Rzymu, o kawiarniach, o kinie, o teatrze, o hotelach i tym podobnych rzeczach. Przypominali dwóch graczy ping-ponga, którzy odbijają kolejno tę samą piłkę, pochłonięci jedyną troską, ażeby nie chybić. Ale podczas gdy Mino robił to dla zabawy, z właściwym mu poczuciem humoru, pani Medolaghi odgradzała się tym sposobem ode mnie. Oto co chciała dać do poznania za pomocą tej powierzchownej, czysto konwencjonalnej rozmowy: „Chcę wam okazać w ten sposób, że małżeństwo z dziewczyną z gminu uważam za coś wręcz nieprzyzwoitego, a za jeszcze większą nieprzyzwoitość wprowadzenie jej do domu wdowy po urzędniku państwowym Medolaghi”. Jej córka nie otwierała ust i niedwuznacznie dawała do poznania, że czeka tylko, aby skończyła się kolacja i abym jak najprędzej się wyniosła. Przez jakiś czas śledziłam słowną szermierkę między Minem a wdową, ale szybko mnie to znudziło i całkowicie poddałam się smutkowi, jaki ciążył mi na sercu. Zdawałam sobie sprawę, że Mino mnie nie kocha, i pomimo wszystko owa świadomość napępiała mnie gorczyczą. Poza tym zauważyłam, że Mino wykorzystał moje zwierzenia w tym celu, żeby odegrać komedię zaręczyn. Nie mogłam tylko zrozumieć, kogo właściwie nabiera, mnie, siebie czy te dwie kobiety. A może kpił ze wszystkich, a najbardziej z siebie samego, jakby i on marzył w głębi duszy o normalnym, spokojnym życiu i z pewnych powodów, odmiennych niż ja, nie mógł mieć nadziei, że się to kiedykolwiek urzeczywistni. Wiedziałam także, że jego elegie na cześć dziewczyny z ludu nie miały w sobie nic pochlebnego ani dla mnie, ani dla tego „ludu” i nie były niczym innym jak tylko bronią przeciw paniom Medolaghi. Nigdy jeszcze nie uświadamiałam sobie tak jasno, że miłość jest wszystkim i że wszystko zależy od miłości. A ta miłość jest albo jej nie ma. Jeśli jest, to kocha się nie tylko swojego ukochanego, ale wszystkich ludzi, wszystkie przedmioty, tak jak było w moim przypadku. Ale jeśli nie ma miłości, nie kocha się nic i nikogo, tak jak on właśnie. I brak miłości prowadzi w końcu do niedołęstwa i całkowitego zubożenia.

Sprzątnięto już ze stołu i na obrusie, gdzie pozostały okruszyny chleba, w kręgu lampy widniały cztery filiżaneczki do kawy, popielniczka z terakoty w kształcie tulipanu i duża biała dłoń, pokryta brunatnymi cętkami, ozdobiona kilkoma tandetnymi pierścieniami, trzymająca zapalonego papierosa: dłoń wdowy Medolaghi. Poczulałam nagle, że nie wytrzymam dłużej, i wstałam:

– Mino, bardzo załuję – powiedziałam, naumyślnie podkreślając jeszcze mój rzymski akcent – ale mam dużo roboty i muszę już iść.

Zgniółł papierosa o popielniczkę i także wstał od stołu. Powiedziałam „dobranoc” przeciągle i dźwięcznie jak chłopka, skłoniłam się lekko, na co pani Medolaghi odpowiedziała wyniośle, a jej córka w ogóle nie zareagowała, po czym wyszłam z jadalni. W przedpokoju powiedziałam do Mina:

- Obawiam się, że po dzisiejszym wieczorze pani Medolaghi zaproponuje ci, żebyś sobie poszukał innego

pokoju.

Wzruszył ramionami:

- Nie przypuszczam, płacę dużo i bardzo punktualnie.
- Idę już – powiedziałam – bardzo mnie zasmuciła ta kolacja.
- Dlaczego?
- Bo przekonałam się, że ty nie jesteś zdolny do miłości.

Powiedziałam te słowa ze smutkiem, nie patrząc na niego. Potem podniosłam oczy i wydało mi się, że Mino jest bardzo przygnębiony. A może po prostu cień z klatki schodowej padał na jego twarz. Pożałowałam nagle swoich słów.

– Gniewasz się? – spytałam.

– Nie – odrzekł z wysiłkiem – a zresztą to prawda. Ogarnęło mnie pełne tliwości uniesienie i objęłam go gwałtownie, mówiąc:

– Nie, nieprawda, powiedziałam tak na złość, i bardzo, bardzo cię Kocham! Popatrz... przyniosłam ci krawat.

Otworzył torebkę i pokazałam mu krawat. Obejrzał go i zapytał:

– Czy ukradłś go?

Był to tylko żart i później, po zastanowieniu, doszłam do wniosku, że w tych słowach kryło się może więcej uczucia niż w najgorętszym podziękowaniu. Ale wtedy poczułam jakby ukłucie w sercu. Oczy napełniły mi się łzami i wyjąkałam:

– Nie... kupiłam go... w tym sklepie na dole.

Zauważył moje rozżalenie i uściskał mnie mówiąc:

– Głuptasku... powiedziałem tak dla żartu... Ucieszyłbym się tak samo, gdybyś go ukradła, a może nawet więcej!

Odrzekłam nieco pocieszona:

– Czekał, zaraz ci go zawiążę.

Uniósł brodę do góry, a ja postawiłam mu kołnierzyk od koszuli, zdjęłam stary krawat i zawiązałam nowy.

– Zabieram ci ten brzydki, postrzępiony krawat – powiedziałam – żebyś go już nigdy więcej nie nosił. – Ale głównie chodziło mi o to, żeby mieć jakąś pamiątkę, jakąś rzecz, która należała do niego.

– Zobaczmy się bardzo prędko – oznajmił.

– Kiedy?

– Jutro po kolacji.

– Doskonale. – Schwyciłam jego dłoń i chciałam ją pocałować. Opuścił szybko rękę, ale i tak musnęłam ją wargami. Zbiegłam szybko ze schodów, nie oglądając się za siebie.

Rozdział 7

Po tym dniu wróciłam do dawnego życia. Kochałam Mina naprawdę i raz po raz ogarniało mnie pragnienie, żeby rzucić tę profesję, która nie szła w parze z prawdziwą miłością. Ale miłość nie przyczyniła się do zmiany moich warunków materialnych. Nie miałam pieniędzy ani możliwości zarobkowania w inny sposób. Za nic w świecie nie przyjąłabym nic od Mina, a zresztą i jego fundusze były ograniczone, bo to, co przysyłała mu rodzina, ledwie wystarczyło na utrzymanie w mieście. Co więcej, stale odczuwałam nieprzewyciężoną ochotę, żeby płacić za niego w restauracjach i kawiarniach, do których chodziliśmy razem. On nigdy nie chciał się na to zgodzić i za każdym razem jego odmowa przepełniała mnie rozczarowaniem i goryczą. Kiedy nie miał pieniędzy, zabierał mnie do parku, gdzie siadaliśmy na ławeczce gawędząc i obserwując przechodniów, tak jak to robią biedacy. Pewnego dnia powiedziałam mu:

– Co to szkodzi, że nie masz pieniędzy i tak możemy pójść do kawiarni. Co się stanie, jeżeli ja raz za ciebie zapłacę!

– Nie, nie zgadzam się.

– Ale dlaczego? Chcę iść do kawiarni i czegoś się napić!

– To idź sama.

Szło mi nie tyle o samo pójście do kawiarni, ile o to, żeby przy tej okazji za niego zapłacić. Owo pragnienie płynęło z głębi mego serca, było rozpaczliwe, zawzięte. A byłabym jeszcze bardziej szczęśliwa, gdybym mogła nie tylko za niego płacić, ale oddawać mu pieniądze, wszystkie pieniądze, jakie zarabiałam od moich przygodnych kochanków. Wydawało mi się, że tylko w ten sposób prawdziwie okazałabym mu swoją miłość, że więzy materialne, jakimi przykułabym go do siebie, okazałyby się silniejsze od względów uczuciowych. Pewnego razu powiedziałam mu:

– Chciałabym dawać ci pieniądze, nawet nie wiesz, ile by mi to sprawiło radości, i myślę, że tobie byłoby przyjemnie brać je ode mnie.

Roześmiał się i odpowiedział:

– Nasze stosunki, przynajmniej jeśli o mnie idzie, bynajmniej nie są oparte na przyjemności.

– A w takim razie na czym?

Zawahał się i odrzekł:

– Na twoim nieugiętym postanowieniu, żeby mnie kochać, i na mojej słabości wobec ciebie, ale wcale nie jest powiedziane, że ta słabość nie ma granic.

– Co to znaczy?

– To bardzo proste – odpowiedział – tłumaczyłem ci już to wiele razy: jesteśmy razem, bo ty tak chciałaś, ja natomiast nie chciałem i nadal, przynajmniej teoretycznie, nie chcę.

– Dosyć... przestań – przerwałam mu – nie mówmy o naszej miłości! Źle zrobiłam, że w ogóle powróciłam do tego tematu.

Rozmyślając nad charakterem Mina, zawsze dochodziłam do bolesnego wniosku, że on mnie nie kocha, że

jestem dla niego czymś w rodzaju królika doświadczalnego. W gruncie rzeczy zajęty był tylko sobą i na każdym kroku można było stwierdzić, jak trudny i skomplikowany ma charakter. Był on, jak już wspomniałam, chłopcem z zamożnej rodziny z prowincji, był subtelny, inteligentny, kulturalny, poważny, wykształcony. Nie lubił mówić o swoich bliskich, ale wystarczyło mi kilka krótkich wzmianek, żeby domyślić się od razu, iż jego dom rodzinny był właśnie taki, jaki wymarzyłam sobie w moich nierealnych snach o normalnym życiu i w jakim pragnęłabym się była urodzić. Rodzina z tradycjami, ojciec lekarz i właściciel ziemski, matka jeszcze młoda, żyjąca tylko dla domu, męża i dzieci, oprócz Mina trzy młodsze córki i starszy syn. W relacji Giacoma, co prawda, ojciec jego był to totumfacki cieszący się prowincjonalnym autorytetem, matka bigotka, siostry miały pstro w głowie, a starszy brat był po prostu hulaką w rodzaju Giancarla. Ale były to zwykłe ludzkie przywary, a mnie, urodzonej i żyjącej w całkiem odmiennych warunkach, w ogóle nie wydawały się przywarami. Poza tym była to kochająca się rodzina, a Mino był ulubieńcem zarówno rodziców, jak rodzeństwa.

Uważałam, że powinien być bardzo szczęśliwy, przyszedłszy na świat w takiej rodzinie. A tymczasem Mino odczuwał w stosunku do nich niechęć, antypatię, niesmak, czego nie mogłam pojąć. I taką samą niechęć, taką samą antypatię i taki sam niesmak zdawał się żywić także do siebie za to, czym był i co robił. Wydawało się, że ta nienawiść do samego siebie jest odbiciem jego nienawiści do rodziny. Słowem, nienawidził w sobie tego, co wiązało go jeszcze z rodziną, czy też przesiąknięte było wpływem środowiska rodzinnego. Powiedziałam już, że był wykształcony, kulturalny, inteligentny, delikatny, poważny. Ale pogardzał tą inteligencją, kulturą, wykształceniem, delikatnością, powagą tylko dlatego, iż podejrzewał, że zawdzięcza je swojemu otoczeniu i warunkom, w jakich się urodził i wyrósł.

– No, dobrze – powiedziałam mu pewnego razu – ale kim ty właściwie chciałbyś być? Przecież to są nadzwyczajne zalety, powinienes Bogu dziękować, że je posiadasz.

– E tam – odpowiedział półgębkiem – niewiele mi z tego przyszło! Osobiście wolałbym być taki jak Sonzogno. – Nie wiem czemu, ale opowiadanie o Sonzogno wywarło na nim wielkie wrażenie.

– Straszne! – zawołałam. – To potwór, a ty chciałbyś być podobny do tego potwora!

– Oczywiście, że nie chciałbym być we wszystkim podobny do niego – wyjaśnił ze spokojem – wymienilem Sonzogna, żeby wytłumaczyć moją myśl, bo Sonzogno nadaje się do życia na tym świecie, a ja nie.

– A czy interesuje cię – odpowiedziałam na to – czym ja bym chciała być?

– No powiedz!

– Chciałabym być – zaczęłam mówić powoli, napawając się własnymi słowami, w których zdawały się być zamknięte od dawna wypieszczone marzenia – tym, czym ty jesteś i z czego jesteś taki niezadowolony... Chciałabym urodzić się jak ty w zamożnej rodzinie, która dałaby mi wykształcenie, chciałabym żyć w ślicznym, czystym domu, takim jak twój, chciałabym mieć, tak jak ty, dobrych nauczycieli, cudzoziemki za guwernantki, chciałabym spędzać, tak jak ty, lato nad morzem albo w górach, mieć piękne suknie, bywać, przyjmować, a potem chciałabym wyjść za męża, za kogoś, kto by mnie kochał, za dzielnego człowieka, który by pracował i był zamożny, chciałabym mieć z nim dzieci i żyć u jego boku.

Rozmawialiśmy leżąc na łóżku. I Mino, jak to często robił, rzucił się nagle na mnie, tuląc mnie do siebie, miętosząc i powtarzając:

– Wiwat! Wiwat! Wiwat! Jednym słowem, chciałabyś być taka jak pani Lobianco!

– Kto to jest pani Lobianco? – zapytałam zmieszana i nieco dotknięta.

– Straszliwa megiera, która stale zaprasza mnie na przyjęcia, w nadziei, że zakocham się w jednej z jej okropnych córek i że zostanę jej zięciem. Bo ja jestem, jak to się mówi w światowym żargonie, dobrą partią.

– Ależ ja wcale nie chłabym być taka jak pani Lobianco!

– Musiałabyś być taka, gdybyś miała to wszystko, o czym mówiłaś. Pani Lobianco także pochodzi z bogatej rodziny, która dała jej jak najlepsze wykształcenie, dobrych nauczycieli, cudzoziemki za guwernantki, skończyła szkołę i, zdaje się, nawet uniwersytet, ona także wychowała się w pięknym, czystym domu, także jeździła latem w góry albo nad morze, także miała piękne suknie, bywała i przyjmowała wizyty bez końca... ona także wyszła za mąż za dzielnego człowieka, inżyniera Lobianco, który pracuje i przynosi do domu mnóstwo pieniędzy! Mąż, któremu, zdaje się, nawet była wierna, dał jej kilkoro dzieci, dla dokładności: jednego syna i trzy córki, a pomimo wszystko mówię ci, że to jest straszna megiera!

– Może i jest megiera... niezależnie od swego środowiska.

– Nie, jest taka sama jak jej przyjaciółki i przyjaciółki jej przyjaciółek.

– Możliwe – odpowiedziałam próbując wywinąć się z jego uścisku – ale każdy obdarzony jest innym charakterem; może pani Lobianco to megiera... ale jestem pewna, że ja żyjąc w takich warunkach byłabym o wiele lepsza niż teraz.

– Byłabyś nie mniej straszna od pani Lobianco!

– Ale dlaczego?

– Bo tak!

– To nie jest odpowiedź.

– Taką samą odpowiedź dałaby ci pani Lobianco, gdybyś zadawała jej pytania.

– Jakie pytania?

– Nie warto ich wymieniać – odrzekł lekceważąco – kłopotliwe pytania. Króciutkie „bo tak”, wypowiedziane z przekonaniem, zamyka usta nawet najbardziej wścibskim osobom, „bo tak”, bez żadnego powodu, „bo tak”!

– Nie rozumiem cię.

– Co to może mieć za znaczenie, że się nie rozumiemy, jeżeli i tak się kochamy? Czy nie mam racji? – zakończył obejmując mnie z miną ironiczną i naprawdę bez cienia miłości. I tak skończyła się dyskusja. Bo jak nigdy nie dał się porwać bez reszty uczuciom, zachowując rezerwę odbierającą wszelką wartość jego miłosnym porywom, tak samo nie ujawniał przede mną swoich myśli, i ilekroć wydawało mi się, że docieram do ich sedna, odpychał mnie jakimś żartem czy groteskowym gestem, wymykając mi się w ten sposób. Można powiedzieć, że wymykał mi się w każdym sensie. Traktował mnie jak coś niższego, jak obiekt służący do doświadczeń. I może właśnie dlatego kochałam go tak bardzo, miłością bezbronną i poddańczą.

Czasami zresztą wydawało mi się, że nienawidzi nie tylko własnej rodziny i swego środowiska, ale wszystkich ludzi. Raz, nie pamiętam już przy jakiej okazji, powiedział:

– Ludzie bogaci są straszni... ale biedni, choć z innych powodów, nie są lepsi od nich.

– Powiedz lepiej szczerze – odrzekłam – że nienawidzisz wszystkich ludzi bez wyjątku.

Zaczął się śmiać i odpowiedział:

– Zasadniczo nie czuję do nich nienawiści, kiedy nie stykam się z nimi... a może tylko do pewnego stopnia, tak że mogę wierzyć jeszcze w poprawę ludzkości. Gdybym w to nie wierzył, nie zajmowałbym się polityką, ale kiedy jestem między ludźmi, napawają mnie wstrętem; naprawdę – dorzucił nagle ze smutkiem – ludzie nic nie są warci.

– My także jesteśmy ludźmi – powiedziałam – i dlatego także nic nie jesteśmy warci, więc nie mamy prawa nikogo sądzić.

Znowu się roześmiał i powiedział:

– Ależ ja ich nie sądzę, ja ich czuję, a raczej węszę jak pies, który biegnie śladem kuropatwy albo zająca. Czy pies osądza? Węszę ich głupotę, egoizm, małostkowość, wulgarność, fałsz, podłość, brudy i węsząc wyczuwam to wszystko. Czy można unicestwić to, co się czuje?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, i ograniczyłam się do krótkiej uwagi:

– Ja tego nie odczuwam.

Innym razem mówił:

– Nie wiem zresztą, czy ludzie są źli, czy dobrzy, ale na pewno niepotrzebni.

– Co przez to rozumiesz?

– To, że świat doskonale obyłby się bez ludzkiego rodzaju, który nie jest niczym innym jak naroślą, pasożytem. Kula ziemską byłaby o wiele piękniejsza bez ludzi, bez ich miast, portów, urzędzeń... Pomyśl, jaki świat byłby piękny, gdyby istniało tylko niebo, morze, drzewa, ziemia, zwierzęta.

Nie mogłam się nie roześmiać i zawołałam:

– Dziwne myśli przychodzą ci do głowy!

– Ludzkość – ciągnął dalej – nie ma żadnego sensu, jest czymś zdecydowanie negatywnym, a nad historią ludzkości ziewa się z nudy. I po co to wszystko? Ja w każdym razie doskonale mógłbym się bez tego obejść.

– Ale przecież i ty – zaprzeczyłam – stanowisz część tej ludzkości... Czy mógłbyś się obyć bez siebie?

– Przede wszystkim bez siebie!

Drugą jego manią, tym dziwniejszą, że choć nie próbował wprowadzać jej w życie, psuła mu wszelką przyjemność, była czystość obyczajów. Nie przestawał wygłaszać elegii na ten temat i jakby na złość robił to przede wszystkim natychmiast po akcie miłosnym. Mówił, że miłość jest najgłupszym i najłatwiejszym sposobem wyzwolenia się od wszelkich problemów, które likwiduje ukradkiem, w sekrecie, tak jak wypuszcza się kłopotliwych gości kuchennymi schodami.

– A potem, po dokonanej operacji, spacerek ze współniczką, żoną czy kochanką, i gotowość przyjęcia z otwartymi ramionami świata takim, jaki jest, choćby to był najgorszy ze światów.

– Nie rozumiem cię – powiedziałam.

– Zdawałoby się – odrzekł – że przynajmniej to powinnaś rozumieć. Czy to nie jest twoja specjalność? Poczulałam się obrażona i oświadczyłam:

– Moją specjalnością jak mówisz, jest kochać ciebie, ale jeżeli chcesz, możemy już nie żyć ze sobą, ja i tak będę cię kochała.

Roześmiał się i spytał:

– Czy jesteś tego pewna? – Ale później często wracał do tego tematu, aż w końcu przestałam zwracać na to

uwagę, przyjmując za dobrą monetę i ten rys jego pełnego sprzeczności charakteru.

O polityce natomiast, pomijając kilka luźnych aluzji, nigdy ze mną nie rozmawiał. Do dziś dnia nie wiem, o co właściwie walczył, jakie były jego zapatrywania i do jakiej należał partii. Otaczał tajemnicą tę stronę swojego życia, a ja zupełnie nie znałam się na polityce i przez nieśmiałość oraz obojętność nie pytałam o nic, co mogłoby oświetlić mi te sprawy. Źle zrobiłam i Bóg jeden wie, jak potem tego żałowałam. Ale wówczas było mi wygodnie nie mieszać się do nie swoich rzeczy, wolałam myśleć tylko o miłości. Zachowywałam się mniej więcej tak, jak wiele innych kobiet, żon i kochanek, które często nie wiedzą nawet, w jaki sposób ich mężczyźni zarabiają pieniądze. Spotkałam jeszcze kilkakrotnie tych dwóch kolegów, z którymi on prawie codziennie się widywał. Ale oni także w mojej obecności nie mówili o polityce, żartowali albo rozmawiali o rzeczach błahych.

Pomimo to nie potrafiłam zwalczyć w sobie uczucia stałego niepokoju, bo uświadamiałam sobie, jak niebezpiecznie jest spiskować przeciwko rządowi. A bałam się przede wszystkim tego, żeby Mino nie wziął czasem udziału w jakimś zamachu, ponieważ w mojej ignorancji nie umiałam odłączyć pojęcia roboty podziemnej od użycia broni i rozlewu krwi. Przypominam sobie pewien fakt, wyraźnie wskazujący na to, że choć niejasno, ale uważałam za swój obowiązek chronić go przed niebezpieczeństwem. Wiedziałam, że istnieje zakaz posiadania broni i że przekroczenie go karane jest więzieniem. Z drugiej strony, niekiedy można stracić głowę, a wtedy użycie broni staje się zgubą ludzi, którzy w innym wypadku mogliby się uratować. To wszystko nasunęło mi myśl, że ten rewolwer, z którego Mino był taki dumny, nie tylko – wbrew temu, co mówił – nie był mu potrzebny, ale mógł stanowić poważne niebezpieczeństwo, gdyby chciał się nim posłużyć albo gdyby go po prostu przy nim znaleziono. Ale nie śmiałam powiedzieć mu tego, bo wiedziałam, iż na nic by się to nie zdało, i w końcu zdecydowałam się działać potajemnie. Mino objaśniał mi raz, jak obchodzić się z bronią. Pewnego dnia, podczas gdy spał, wyciągnęłam rewolwer z kieszeni spodni, otworzyłam magazynek i wyjęłam kule. Potem zamknęłam rewolwer i z powrotem wsunęłam do jego kieszeni. Kule schowałam w szufladzie pod bielizną. Zrobiłam to wszystko w jednej chwili, po czym położyłam się obok Mina i zasnęłam. Dwa dni później włożyłam kule do torebki i rzuciłam do Tybru.

Pewnego dnia znowu odwiedził mnie Astarita. Prawie zapomniałam o jego istnieniu, a co do sprawy pokojówki, uważałam, że spełniam swój obowiązek, i nie chciałam więcej o tym myśleć. Astarita oznajmił, że ksiądz oddał w komendzie puderniczkę, wobec czego jej właścicielka, zresztą za radą policji, cofnęła oskarżenie. Pokojówkę uniewinniono i zwolniono z więzienia. Muszę przyznać, że ta wiadomość ucieszyła mnie przede wszystkim dlatego, że rozwiązała w pewnym sensie złe przeczucia, jakie ogarnęły mnie po spowiedzi. Myślałam nie tyle o pokojówce, która była już na wolności, ile o Minie, i powiedziałam sobie, że skoro znikła obawa donosu, zatruwająca mi życie, nie mam się czego bać ani dla niego, ani dla siebie. W radosnym uniesieniu rzuciłam się Astaricie na szyję.

– Więc tak bardzo zależało ci na tym, żeby ta kobieta wyszła z więzienia? – powiedział z grymasem powątpiewania.

– Tak – skłamałam – tobie, który z lekkim sercem pakujesz co dzień do więzienia Bóg wie ilu niewinnych ludzi, może się to wydawać dziwne, ale dla mnie to była po prostu tortura.:

– Ja nikogo nie posyłam do więzienia – mruknął – spełniam tylko swój obowiązek.

– Czyś ty się widział z tym księdzem?

– Nie... nie widziałem go, zadzwoniłem do komendy i powiedziano mi tam, że puderniczkę odniósł jakiś

ksiądz, który i otrzymał ją pod tajemnicą spowiedzi. Wtedy wydałem polecenie zwolnienia.

Zrobiło mi się przykro, sama nie wiem, dlaczego. Zapytałam po chwili:

– Czy ty naprawdę mnie kochasz?

Zmieszał się od razu i tuląc mnie mocno do siebie wyjąkał:

– Dlaczego pytasz o to?... Powinnaś już od dawna wiedzieć.

Chciał mnie pocałować, ale uchyliłam się i odrzekłam:

– Pytam o to, bo chcę wiedzieć, czy pomógłbyś mi w każdym wypadku... zawsze, gdy cię o to poproszę...

tak jak teraz.

– Zawsze – odpowiedział drżąc całym ciałem i przysuwając swoją twarz do mojej dodał: – Ale będziesz dla mnie miła?

Po powrocie Mina zdecydowałam stanowczo, że nie chcę mieć nic wspólnego z Astaritą. Różnił się on całkowicie od innych moich przygodnych kochanków i chociaż go nie kochałam, a chwilami czułam do niego po prostu wstręt, wydawało mi się, że oddając mu się zdradziłabym Mina. Miałam ochotę powiedzieć mu prawdę: „Nie, nigdy już nie będę dla ciebie miła” – ale nagle zmieniłam zamiar i ugryzłam się w język. Pomyślałam o tym, że nie powinnam zniechęcać do siebie tak wpływowego człowieka, bo mogę potrzebować jego pomocy, gdyby Mino został aresztowany. Zrezygnowana, szepnęłam:

– Tak... będę dla ciebie miła.

– Powiedz – nalegał nieco ośmielony – powiedz, czy kochasz mnie choć troszkę?

– Nie, nie kocham cię – odrzekłam stanowczo – zresztą wiesz o tym, mówiłam ci to już tyle razy!

– I nigdy mnie nie pokochasz?

– Wydaje mi się, że nie.

– Ale dlaczego?

– Bez żadnego powodu.

– Kochasz innego.

– To nie twoja sprawa.

– Ale ja potrzebuję twojej miłości – zawołał z rozpaczą, wpatrując się we mnie pałającymi oczyma – dlaczego... dlaczego nie możesz mnie pokochać choćby trochę?

Tego dnia pozwoliłam mu zostać do późna w noc. Był niepokieszony, że nie mogę go pokochać. „Przecież nie jestem gorszy od innych mężczyzn – powtarzał – dlaczego zamiast innego nie miałabyś kochać mnie?” Doprawdy, budził we mnie wielkie współczucie; z takim naciskiem wypytywał o moje uczucia, szukając jakiejś nadziei dla siebie, że prawie miałam ochotę skłamać, aby dać mu owo złudzenie, na którym zależało mu tak bardzo. Zauważyłam, że tej nocy był jeszcze smutniejszy i bardziej zniechęcony do życia niż kiedykolwiek. Zdawało się, że pragnie swoim zachowaniem obudzić we mnie choćby pozory miłości, której nie było w moim sercu. Pamiętam, że w pewnej chwili zażądał, abym naga usiadła na fotelu. Klęknął przede mną, opierając głowę na moim łonie, przyciskając twarz do mego brzucha i długo trwał tak w bezruchu. Ja tymczasem musiałam przez cały czas głaskać go po włosach, lekko i pieszczotliwie. Nie po raz pierwszy zmuszał mnie do odgrywania tego rodzaju miłosnej pantomimy, ale tego dnia miała ona charakter bardziej dramatyczny niż zazwyczaj. Jęczał i wtulał tak mocno twarz w moje łono, jak gdyby chciał przeniknąć do mego ciała i udusić się. W takich chwilach robił na mnie wrażenie nie

kochanka, lecz dziecka, które szuka po ciemku ciepła matczynego łona. Myślałam sobie, że wielu mężczyzn wolałoby w ogóle się nie urodzić, i że w tym jego ruchu, może podświadomie, wyrażało się nieokreślone pragnienie ukrycia się na powrót w ciemnych wnętrznościach, z których w bólach wydany został na świat.

Tej nocy klęczał przede mną tak długo, że zachciało mi się spać i zasnęłam przechylona do tyłu, oparta o fotel, z ręką na jego głowie. Nie wiem, jak długo spałam; w pewnej chwili wydało mi się, że się budzę i widzę Astaritę, już nie klęczącego przede mną, ale siedzącego naprzeciw, w ubraniu, i spoglądającego na mnie swymi melancholijnymi i gniewnymi oczyma. Ale był to może tylko sen albo halucynacja. W każdym razie, kiedy obudziłam się naprawdę, zobaczyłam, że Astarita już poszedł zostawiwszy na moim łonie, do którego tulił twarz, tę samą co zazwyczaj sumę pieniędzy.

Następne dwa tygodnie były chyba najszczęśliwszym okresem mojego życia. Prawie codziennie widywałam się z Minem i chociaż nie zmieniły się stosunki między nami, zadowalałam się tym, że przeszły one w fazę przyzwyczajenia, w której znaleźliśmy wspólny język. Panowało między nami milczące porozumienie, że on mnie nie kocha, nigdy kochać nie będzie i że wolałby zachować czystość niż żyć ze mną. Natomiast wiadome było, że ja go kocham, że będę go zawsze kochała pomimo obojętności z jego strony i że w każdym wypadku przekładałam tę miłość niepełną i niebezpieczną nad każdą inną. W przeciwieństwie do Astarity umiałam pogodzić się z tym, że nie jestem kochana, i pomimo to miłość moja była dla mnie źródłem szczęścia. Nie mogłabym przysiąc, czy na dnie mego serca nie drzemała nadzieja, że może kiedyś uległością, cierpliwością i uczuciem rozkocham go w sobie. Jednakże nie podsycalam w sobie tych złudzeń i były one tylko gorzką przyprawą owych rzadkich chwil wywalczonego, wątpliwego szczęścia.

A tymczasem próbowałam ukradkiem wtargnąć w jego życie i nie mogąc wejść głównym wejściem, usiłowałam prześliznąć się kuchennymi schodami. Mino przy każdej okazji podkreślał, przypuszczam zresztą, że szczerze, swoją nienawiść do ludzi. A jednocześnie, przez jakiś niepojęty kontrast, było w nim coś, co kazało mu nieustannie głosić swoje własne teorie na temat szczęścia ludzkości i wprowadzać je w życie. Wprawdzie bardzo łatwo się zniechęcał, ale wciąż do tego wracał, bo było to silniejsze od niego. W owym czasie zapalił się do mojej – jak to ironicznie nazwał – edukacji. Jak już mówiłam, pragnęłam przywiązać go do siebie za wszelką cenę, więc z radością podchwyciłam ten projekt. Ale cały eksperyment skończył się fiaskiem i warto opisać, jak się to odbyło. Przez kilka dni Mino przychodził do mnie z książkami i czytał mi na głos różne urywki poprzedzając każdy z nich krótkimi wyjaśnieniami. Wybierał jednak tego rodzaju utwory, że pomimo największego napięcia uwagi nic nie mogłam zrozumieć. Szybko więc przestawałam go słuchać, napawając się z nigdy nie nasyconą przyjemnością obserwowaniem jego twarzy, której wyraz zmieniał się w miarę czytania. Oddawał się tej lekturze bez reszty, bez lęku czy ironii, jak człowiek, który wreszcie może pozwolić sobie na szczerłość, bo, odnalazł samego siebie. Uderzyło mnie to, bo przypuszczałam dotychczas, że miłość, a nie czytanie książek, najbardziej sprzyja zbliżeniu ludzkich dusz. Nigdy przedtem, nawet w krótkich momentach szczerego miłosnego porywu, nie widziałam takiego zapamiętania i takiego entuzjazmu na jego twarzy jak teraz, kiedy czytał dzieła swoich ulubionych autorów. Czytał z przejęciem, zniżając, to znowu podnosząc głos i cieniuąc każde słowo, zależnie od treści. Ginał wtedy bez śladu jego teatralny, groteskowy sposób bycia, na który silił się zawsze, nawet w najpoważniejszych sytuacjach, i który upodabniał go do aktora. Kilkakrotnie zauważyłam nawet, że oczy napełniają mu się łzami. Potem zamykał książkę i pytał sucho: „Podobało ci się?”

Na ogół odpowiadałam, że tak, nie podając uzasadnienia, bo, jak wspomniałam, gubiłam się już na samym początku i nawet nie usiłowałam zrozumieć tych niedostępnych dla mnie rzeczy. Ale pewnego dnia Mino zaczął wypytywać mnie i nalegać.

– No, powiedz, dlaczego ci się to podobało. Wytłumacz mi!

– Naprawdę – odrzekłam po chwili wahania – nie mogę ci nic wytłumaczyć, bo nic nie rozumiałam.

– Dlaczegoś mi tego nie powiedziała?

– W ogóle nic nie rozumiem albo prawie nic z tego, co czytasz.

– I nic mi o tym nie mówiłaś, pozwalałaś, żebym czytał dalej!

– Widziałam, że lubisz czytać, nie chciałam psuć ci tej przyjemności, a zresztą wcale się nie nudziłam. To bardzo interesujące obserwować ciebie, gdy czytasz.

Rozgniewał się i skoczył na równe nogi:

– Do diabła... Jesteś głupia... jesteś kretynka... i ja dla ciebie zdzieram sobie głos... idiotka! – Zrobił gest, jakby chciał uderzyć mnie książką po głowie, powstrzymał się jednak, ale jeszcze przez dłuższą chwilę nie przestawał mi wymyślać. Pozwoliłam mu się wygadać, po czym zrobiłam uwagę:

– Mówisz, że chcesz mnie kształcić... ale pierwszym stopniem mojego wykształcenia powinno być to, żebym nie musiała zarabiać na życie w taki sposób. Do zaczepiania mężczyzn niepotrzebne mi jest czytanie poezji ani sentencje o moralności. Gdybym nie umiała czytać i pisać, płaciliby mi tyle samo.

Odpowiedział sarkastycznie:

– Chciałabyś mieć piękny dom, męża, dzieci, auto, suknie, ale całe nieszczęście polega na tym, że także panie Lobianco nic nie czytają... wprawdzie z innych powodów niż ty, ale jak się zdaje, niemniej ważnych.

– Nie wiem, czego bym chciała – odrzekłam poirytowana – ale te książki nie pasują do warunków, w jakich żyję. To tak samo, jak gdybyś podarował żebracze elegancki kapelusz i wymagał, żeby go nosiła do swoich łachmanów.

– Być może – odrzekł – w każdym razie nigdy ci już nie przeczytam ani jednej linijki.

Opisałam tę scenę, bo znakomicie charakteryzuje jego zachowanie i sposób myślenia. Przypuszczam zresztą, że gdybym nawet nie przyznała mu się, że nic nie rozumiem, i tak jego aspiracje pedagogiczne szybko by się skończyły, nie tyle przez jego lenistwo, ile, powiedziałabym, przez czysto fizyczne niedołęstwo, które nie pozwalało mu podjąć na czas dłuższy żadnego większego wysiłku. Nie rozmawiałam z nim nigdy na ten temat, ale wyczuwałam często, że owo pozornie błazeńskie zachowanie było rzeczywistym odbiciem stanu jego ducha. Widziałam niejednokrotnie, jak zapalał się do jakiegoś przedsięwzięcia, uważając je za konkretne i łatwo wykonalne. Potem jego zapał nagle przygasł i Mino, przybity i zniechęcony, widział w tym, co przedtem było dla niego tak istotne, tylko czystą niedorzeczność. I wówczas albo popadał w całkowite zobojętnienie, albo pozornie robił tak, jak gdyby się nic nie zmieniło, słowem udawał. Trudno mi wytłumaczyć, na czym to polegało; prawdopodobnie następował u niego jakiś gwałtowny zanik żywotności, jakby krew odpływała mu od mózgu, pozostawiając tylko jałowość i pustkę. Następowoło to tak nagle i niespodziewanie jak przerwa w dostarczaniu prądu elektrycznego, pogrążająca w ciemnościach dom jarzący się od świateł lub unieruchamiająca tryby maszyny. Okresowe przyływy apatii objawiały się gwałtownymi zmianami usposobienia. Często obserwowałam u niego szczytowe napięcie entuzjazmu, przechodzące nagle w całkowitą obojętność. Lecz pełne potwierdzenie moich przypuszczeń znalazłam

dopiero w drobnym na pozór incydencie, do którego nie przykładałam początkowo większej uwagi i którego znacznie zrozumiałam dopiero później. Pewnego dnia zapytał mnie całkiem nieoczekiwanie:

- Czy miałabyś ochotę coś dla nas zrobić?
- Co to znaczy „dla nas”?
- Dla naszego ugrupowania... Na przykład pomóc nam w rozprowadzaniu ulotek?

Stale czyhałam na okazję, która mogłaby zbliżyć mnie do niego i silniej jeszcze związać nas z sobą.

Odpowiedziałam szczerze:

- Naturalnie, powiedz mi tylko, co.
- A nie boisz się?
- Dlaczego miałabym się bać! Jeżeli ty to robisz...
- Dobrze, ale przedtem muszę ci wytłumaczyć, o co idzie. Musisz poznać idee, dla których będziesz

narażała życie.

- No więc wytłumacz mi!
- Ale ciebie to nie interesuje.
- Dlaczego? Po pierwsze, interesuje mnie to, a po drugie, interesuje mnie wszystko, co robisz i co wiąże się

z twoją osobą.

Patrzył na mnie i nagle oczy jego zabłyśły, a twarz mu poczerwieniała.

– Dobrze – odrzekł szybko – dzisiaj już jest za późno, ale jutro wszystko ci wytłumaczę... własnymi słowami, bo książki cię nudzą, ale musisz wiedzieć, że nie są to proste sprawy; będziesz musiała wysłuchać mnie uważnie, nawet jeśli ci się chwilami wydawało, że nic nie rozumiesz.

- Spróbuję zrozumieć – odpowiedziałam.
- Powinnaś zrozumieć – powiedział jakby do siebie samego i wyszedł.

Następnego dnia czekałam na niego, ale nie przyszedł. Zjawił się po dwóch dniach i ledwie wszedł do pokoju, usiadł bez słowa na fotelu stojącym na nogach łóżka.

– No więc – powiedziałam wesoło – jestem gotowa, słucham cię!

Zauważyłam, że twarz ma mizerną i zmęczone oczy, był wyraźnie zgaszony i przygnębiony, ale postanowiłam nie zwracać na to uwagi.

- Nie będziesz słuchać – odpowiedział w końcu – bo nic nie powiem.
- Dlaczego?
- Bo tak!
- Powiedz lepiej prawdę: uważasz, że jestem za głupia i za bardzo ograniczona, żeby zrozumieć pewne

rzeczy. Dziękuję ci.

- Nie, mylisz się – odrzekł poważnie
- W takim razie dlaczego?

Sprzeczałyśmy się tak przez chwilę; ja nalegałam, żeby się wytłumaczył, a on się wzbraniał. Na koniec powiedział:

- Chcesz wiedzieć, dlaczego? Bo ja sam nie umiałbym ci dzisiaj wyjaśnić tych idei.
- To niemożliwe... przecież stale myślisz o tym.

– Tak, to prawda, ale od wczoraj te sprawy przestały być dla mnie jasne. Mało tego, przestałem cokolwiek rozumieć.

– Dajże spokój!

– Spróbuj mnie zrozumieć – powiedział – dwa dni temu, kiedy ci zaproponowałem, żebyś dla nas pracowała, mogłem być ci od razu przedstawić te idee i pewien jestem, że byłbym to zrobił tak jasno, z takim zapałem i przekonaniem, że zrozumiałabyś od razu, o co chodzi. Dzisiaj może mógłbym zdobyć się na to, żeby poruszać językiem i ustami i wypowiedzieć kilka słów, ale czysto mechanicznie, jak automat. Dzisiaj – zakończył skandując każdą sylabę – przestałem cokolwiek rozumieć.

– Nic już nie rozumiesz?

– Nie... idee, zagadnienia, fakty, wspomnienia, przekonania... z tego wszystkiego powstał w mojej głowie bigos – stuknął się palcem w czoło – w całość głowy, i czuję takie obrzydzenie, jakby to były ekskrementy.

Spoglądałam na niego niepewnie, pytającym wzrokiem. Rozgniewało go to.

– Spróbuj mnie zrozumieć – powtórzył – tu nie chodzi tylko o idee polityczne. Dzisiaj nie rozumiałbym ani słowa z tego, co bym czytał, ani jednej myśli. Wszystko wydaje mi się niedorzeczne... Na przykład, czy odmawiasz „Ojcze nasz”

– Tak.

– No to zmów!

– „Ojcze nasz – zaczęłam – który jesteś w niebie...”

– Dostyc – przerwał, – Zastanów się przez chwilę, na ile sposobów modlitwa ta odmawiana była od wieków, i jak różnorodnymi uczuciami... a do mnie nie dociera w ogóle jej sens... Równie dobrze mógłbym odmawiać ją od końca. Zamilkł na chwilę, po czym mówił dalej:

– Ale nie tylko słowa wywierają na mnie takie wrażenie. To samo dotyczy rzeczy, osób; siedzisz tu koło mnie na oparciu fotela i myślisz pewnie, że cię widzę... ale ja cię nie widzę, bo cię nie rozumiem, mogę cię dotknąć i dalej nie będę cię rozumiał, a nawet cię dotknę – mówiąc to, jakby w porywie szału szarpnął mnie za szlafrok, odstaniając mi piersi – dotykam twojej piersi, wyczuwam jej kształt, ciepło, widzę jej kolor, jej wypukłość, ale nie wiem, co to jest... Mówię sobie: oto przedmiot kulisty, ciepły, miękki, biały, z małym brunatnym wzniesieniem pośrodku, który służy do karmienia dzieci i daje rozkosz w pieszczocie, ale nic nie rozumiem; powiadam sobie, że jest piękny i powinien budzić we mnie pożądanie, ale w dalszym ciągu nic nie rozumiem... Pojmujesz teraz, o co chodzi? – powtórzył z wściekłością, szczypiąc mnie w pierś tak mocno, że nie mogłam powstrzymać okrzyku bólu. Puścił mnie natychmiast i powiedział po chwili jakby z namysłem: Prawdopodobnie to właśnie budzi u wielu ludzi odruchy okrucieństwa: próbują doszukać się powiązania z rzeczywistością zadając innym ból.

Przez chwilę panowało milczenie. Potem powiedziałam:

Jeśli to wszystko prawda, to w jaki sposób możesz się zabrać do jakiegokolwiek roboty?

– Nie wiem... Mówisz, że rozprawdzasz ulotki i że sam je piszesz. Jeśli w to nie wierzysz, jak możesz pisać je i rozdawać?

Roześmiał się głośno, ironicznie:

– Postępuję tak, jak gdybym w to wierzył.

– Przecież to niemożliwe.

– Jak to niemożliwe? Prawie wszyscy tak robią... Poza spaniem, jedzeniem i miłością prawie wszyscy postępują tak, jak gdyby wierzyli w to, co robią... Jeszcze nie zdążyłaś tego zauważyć?

Śmiał się nerwowo. Odpowiedziałam:

– Nie!

– Nie – ciągnął prawie obraźliwym tonem. – A to dlatego, że ty ograniczasz się właśnie tylko do jedzenia, spania i miłości... ilekroć masz na to ochotę. W tych sprawach, zdaje się, nie potrzeba udawać... To dużo, a zarazem bardzo niewiele. – Śmiał się i nagle mocno klepnął mnie w udo, po czym, jak to robił zazwyczaj, chwycił mnie mocno w ramiona i potrząsając mną zaczął powtarzać: – Czy nie wiesz, że na tym świecie wszystko jest „jak gdyby”? Nie wiesz, że wszyscy poczynając od króla, a kończąc na żebraku postępują tak, jak gdyby, wszystko na tym świecie dzieje się jak gdyby, jak gdyby, jak gdyby...

Nie protestowałam, bo wiedziałam, że w takich chwilach lepiej nie obrażać się, nie przeczyć, przeczeć. Ale w końcu powiedziałam stanowczo:

– Kocham cię, wiem tylko to jedno, i to mi wystarcza. – On uspokoił się nagle i odpowiedział po prostu: – Masz rację. – Nasz wspólny wieczór skończył się jak zawsze i nie wspominaliśmy już ani słowem o polityce ani o tym, że niemożliwością byłaby dla niego dyskusja na ten temat.

Kiedy zostałam sama, po dłuższym namyśle doszłam do wniosku, że może jest naprawdę tak, jak mówił, ale dużo bardziej prawdopodobne wydawało mi się, iż po prostu nie chce poruszać ze mną spraw dotyczących polityki. Sądził zapewne, że go nie zrozumie, albo bał się, żebym mimo woli nie popełniła jakiejś niezręczności. Nie podejrzewałam go o wykręty, ale wiedziałam z własnego doświadczenia, że na każdego człowieka przychodzi dzień, kiedy cały świat się wali, i wówczas – jak on to określił – przestaje rozumieć cokolwiek, nawet słowa pacierza. Ja sama, ilekroć gorzej się czułam czy byłam w złym humorze, odczuwałam coś w tym rodzaju: nudę, niesmak i zamęt w głowie. Doszłam więc do wniosku, że Mino nie chce mnie wprowadzić w swoje najtajniejsze sprawy, bo nie ma dostatecznego zaufania do mojej inteligencji albo dyskrecji. Potem, kiedy było już za późno, zrozumiałam, że się myliłam i że mimo jego młodzieńczego niedoświadczenia i słabego charakteru owe chorobliwe stany apatii były naprawdę bardzo poważne.

Ale wtedy pomyślałam, że nie ma innej rady, muszę ustąpić i przestać pytać go o cokolwiek. I tak też zrobiłam.

Rozdział 8

Sama nie wiem czemu, ale pamiętam dokładnie nawet taki szczegół, jaka w tym okresie czasu była pogoda. Skończył się luty, zimny i deszczowy, i z początkiem marca nastały cieplejsze dni. Gęsta sieć drobnych białych obłoczków przesłaniała całe niebo i oślepiała, kiedy z mrocznego domu wyszło się na ulicę. Powietrze było łagodne, ale podszyte jeszcze zimowym chłodem. Szłam przed siebie mile odurzona tym blaskiem nikłym, sennym i nużącym i co chwila musiałam zwalniać kroku i przymykać oczy. Czasem zatrzymywałam się tylko po to, żeby podziwiać najbardziej codzienne widoki: białego lub czarnego kota, liżącego łapy na progu domu, zwisającą gałązkę oleandra, złamaną wiatrem, która może jednak pomimo to zakwitnie, kępkę trawy, wyrastającą między płytami chodnika. Delikatna warstwa mchu, jaką po kilkumiesięcznych deszczach porosły kamienne stopnie domów, nappełniała mnie spokojem i zaufaniem. Myślałam o tym, że skoro nawet wśród bruku i cegieł, na cieniutkich pasemkach ziemi mógł wykiełkować ten szmaragdowy aksamit, w takim razie i moje życie, nie mające korzeni głębszych od tego mchu, musi zadowolić się skromną pożywką; było ono istotnie taką właśnie wątlą zielenią na progu domu i miało też możliwości, aby przetrwać i zakwitnąć. Byłam przekonana, że wszystkie zawikłane problemy ostatnich czasów zostały definitywnie rozwiązane, że nie zobaczę więcej Sonzogna ani nie usłyszę o jego zbrodniach i będę mogła w spokoju cieszyć się moim współżyciem z Minem. I wydawało mi się, że ta myśl pozwala mi po raz pierwszy zakosztować prawdziwego smaku życia, na które składają się miłe znużenie, oczekiwanie i nadzieja.

Zaczęłam się nawet zastanawiać nad możliwością zmiany mojego życia. Kochałam Mina, inni mężczyźni byli mi teraz obojętni, tak więc w przygodnych spotkaniach nie odczuwałam już ani ciekawości, ani pobudliwości zmysłowej. Ale jednocześnie myślałam, że każde życie jest tyle samo warte, nie opłaca się więc wkładać zbyt wiele wysiłku, aby je zmienić. Ja zmieniałabym moje życie tylko w takim wypadku, gdyby odbyło się to bez wstrząsów i wypływało z czysto zewnętrznych, niezależnych ode mnie przyczyn pociągających za sobą całkowitą odmianę zarówno pod względem materialnym, jak i uczuciowym. Innego sposobu nie widziałam, bo na razie nie miałam żadnych ambicji poprawienia sobie bytu, a także nie sądziłam, abym mogła stać się lepsza na skutek takiej zmiany.

Zwierzyłam się częściowo z tych myśli Minowi. Wysłuchał mnie uważnie i powiedział:

– Wydaje mi się, że przeczysz sama sobie. Czy nie mówisz stale, że chciałabyś być bogata, mieć piękne mieszkanie, męża i dzieci? To wszystko jest słuszne i możliwe jeszcze dla ciebie do osiągnięcia w tej chwili, ale nigdy tego nie zdobędziesz, rozumując w ten sposób.

Odpowiedziałam mu:

– Nie mówiłam, że chciałabym, ale że byłabym chciała... to znaczy, gdybym miała prawo wyboru jeszcze przed urodzeniem, z pewnością nie wybrałabym swojego losu... ale urodziłam się w takim domu, z takiej matki, w takich warunkach i jestem tym, czy jestem.

– To znaczy?

– To znaczy, że wydaje mi się absurdem chcieć być kimś innym. Chciałabym być inna tylko w tym wypadku, gdybym stając się inną, została jednak sobą i mogła naprawdę radować się tą zmianą, ale być inną tylko po to, żeby być inną, to nie warto.

– Warto – powiedział przez zaciśnięte zęby – jeśli już nie dla ciebie samej, to dla innych.

– Poza tym – ciągnęłam nie zwracając uwagi na jego słowa – liczą się fakty... Czy myślisz, że nie mogłabym sobie znaleźć bogatego kochanka, tak jak Gizela? Albo po prostu wyjść za mąż? Jeśli tego nie zrobiłam, to najlepszy dowód, że pomimo wszystko nie zależy mi na tym w gruncie rzeczy.

– Ja się z tobą ożenię – odrzekł żartobliwie, obejmując mnie – jestem bogaty, po śmierci mojej babki, która zapewne niedługo nastąpi, odziedziczę niezliczoną ilość hektarów ziemi, dom na wsi i apartament w mieście. Urządzimy sobie dom jak się patrzy, będziesz zapraszała w określone dni na herbatkę panie z sąsiedztwa, będziemy mieli kucharkę, pokojówkę, powóz albo samochód, a przy odrobinie dobrej woli może odkryjemy nawet pewnego dnia, że jesteśmy szlachtą, i każemy tytułować się markizami lub hrabiami.

– Nie można z tobą poważnie porozmawiać – zawołałam odpychając go. – Stale tylko żartujesz.

Pewnego popołudnia poszliśmy z Minem do kina. W drodze powrotnej wsiedliśmy do zatłoczonego tramwaju. Mino miał jechać ze mną do domu i chcieliśmy zjeść razem kolację w gospodzie za murami. Kupił bilety i zaczął przepychać się do przodu. Próbowałam posuwać się za nim, ale zgubiliśmy się w tym ścisku. Oparta o jedną z ławek, szukałam go wzrokiem, kiedy poczułam nagle, że ktoś dotyka mojej ręki. Obejrzałam się i zobaczyłam siedzącego tuż przy mnie Sonzogna.

Zabrakło mi tchu, poczułam, że blednę i że zmienia mi się wyraz twarzy. On, jak zwykle, wpatrywał się we mnie z natężeniem, po czym unosząc się z miejsca wycedził przez zęby:

– Może usiądziesz?

– Dziękuję – wybełkotałam – niedługo wysiadam.

– Ależ usiądź!

– Dziękuję – powtórzyłam i siadłam.

Stał obok, jak gdyby mnie pilnował, jedną rękę trzymając na poręczu za moimi plecami, a drugą na oparciu ławki po przeciwnej stronie. Nic się nie zmienił; miał na sobie ten sam ściśnięty paskiem płaszcz nieprzemakalny i policzek podrygiwał mu nerwowo tak jak dawniej. Przymknęłam powieki i usiłowałam przez chwilę skupić rozproszone myśli. Co prawda patrzył on zawsze w taki sposób, ale miałam wrażenie, że tym razem oczy jego miały jeszcze twardszy wyraz. Przypomniałam sobie moją spowiedź i pomyślałam, że jeśli ten ksiądz rzeczywiście zrobił donos, to moje życie wisi na włosku.

Ta myśl nie przestraszyła mnie. Ale jego obecność napawała mnie lękiem, a raczej fascynowała i jakby unieczwiała. Czułam, że niczego nie mogę mu odmówić, że istnieją między nami więzy, oczywiście nie miłosne, ale silniejsze od tych, jakie łączą mnie z Minem. On musiał wywęszyć to instynktownie, bo w jego zachowaniu było coś władczego. Po chwili powiedział: – Idziemy do ciebie. – A ja bez wahania i potulnie odpowiedziałam: – Jak chcesz.

Zjawił się Mino, z trudem przeciskając się przez tłum, bez słowa stanął tuż koło Sonzogna, opierając się ręką o tę samą ławkę co tamten i dotykając prawie długimi, szczupłymi palcami krótkich i grubych palców Sonzogna. Tramwaj gwałtownie zahamował rzucając ich o siebie i Mino grzecznie przeprosił Sonzogna. Widok ich obu stojących obok siebie, nic nie wiedzących jeden o drugim, sprawiał mi cierpienie i nagle powiedziałam spoglądając ostentacyjnie na Mina, żeby Sonzogno nie pomyślał, iż zwracam się do niego:

– Przypomniałam sobie, że umówiłam się z kimś na dziś wieczór. Niestety, musimy się rozstać.

– Mogę cię odprowadzić do domu.

– Nie, dziękuję, ta osoba będzie na mnie czekać na przystanku.

Nie było to żadną nowością. W dalszym ciągu sprowadzałam mężczyzn do domu i Mino o tym wiedział.

Odrzekł spokojnie:

– Jak chcesz... wobec tego spotkamy się jutro.

Mrugnęłam porozumiewawczo i Mino odszedł.

Obserwowałam go jeszcze chwilę, przepychającego się przez tłum i nagle ogarnęła mnie rozpacz! Nie wiem dlaczego, ale przemknęło mi przez myśl, że widzę go po raz ostatni.

– Żegnaj – szepnęłam sama do siebie – żegnaj, ukochany. – Miałam ochotę zatrzymać go, krzyknąć, ale głos uwiązał mi w krtań. Tramwaj stanął i wydało mi się, że widzę go, jak wysiada. Tramwaj pojechał dalej.

Przez całą drogę nie otworzyliśmy ust ani ja, ani Sonzogno. Starłam się odzyskać spokój, wmawiając sobie, że to niemożliwe, aby ksiądz nie dotrzymał tajemnicy. Poza tym stwierdziłam po namyśle, że może nawet lepiej się stało, iż spotkałam Sonzogna, w ten sposób bowiem będę mogła uwolnić się raz na zawsze od dręczących mnie po spowiedzi wątpliwości.

Wysiedliśmy na moim przystanku i przez dłuższy czas szłam patrząc wprost przed siebie. Wiedziałam, że Sonzogno idzie tuż obok mnie, wystarczyło lekko odwrócić głowę, żeby go zobaczyć. Na koniec powiedziałam:

– Czego ode mnie chcesz? Po co do mnie idziesz?

Odpowiedział z odcieniem zdziwienia:

– Sama mnie przecież zapraszałaś, żebym jeszcze kiedyś przyszedł.

Była to prawda, ale ze strachu zapomniałam o tym. Przysunął się jeszcze bliżej, ujął mnie pod ramię, przyciskając tak mocno do siebie, jak gdyby chciał mnie podtrzymać. Instynktownie zaczęłam drzeć całym ciałem.

Zapytał:

– Kto to był?

– Mój znajomy.

– A z Ginem widziałaś się od tamtej pory?

– Nie, ani razu.

Ukradkiem rozejrzał się dokoła.

– Nie wiem dlaczego, ale od jakiegoś czasu ciągle wydaje mi się, że jestem śledzony... Tylko dwie osoby mogły mnie wydać, ty albo Gino.

– Gino... dlaczego? – szepnęłam. Serce zaczęło mi walić jak młotem.

– Wiedział, że zaniósł puderniczkę do tego jubilera, powiedziałem mu jego nazwisko, nie wie, że to ja go zamordowałam, ale może się domyślać.

– To nie leży w jego interesie, żeby cię wydać, wydając ciebie, wydałby wyrok na siebie samego.

– Ja też tak myślę – wycedził przez zęby.

– A co do mnie – ciągnęłam dalej jak najspokojniejszym głosem – możesz być pewien, że nic nie powiedziałam, nie jestem taka głupia, bo i ja znalazłabym się w więzieniu.

– Mam nadzieję – odrzekł tonem pogroźki. Potem dorzucił: – Widziałem się przez chwilę z Ginem. Napomknął żartobliwie, że wie o wielu rzeczach, jestem niespokojny... To ścierwo.

– Tamtego wieczoru postąpiłeś z nim brutalnie, na pewno znenawidził cię. – Mówiąc to uświadomiłam

sobie, że niemal miałam nadzieję, iż Gino rzeczywiście go wydał.

– To był wspaniały cios – powiedział z dumą – potem przez dwa dni bolała mnie ręka.

– Gino cię nie wyda – oświadczyłam stanowczo – nie byłoby to po jego myśli... A poza tym za bardzo się ciebie boi. Rozmawialiśmy przytłumionymi głosami, idąc i nie patrząc na siebie. Był zmierzch, błękitnawa mgła przesłaniała brunatne mury, białe konary platanów, żółtawe domy, daleką perspektywę alei. Kiedy doszliśmy do bramy, odczułam po raz pierwszy z całą wyrazistością, że zdradzam Mina. Chciałam mieć złudzenie, że Sonzogno jest tylko jednym z wielu, ale wiedziałam, że to nieprawda. Weszłam do sieni, przymknęłam za sobą bramę i dopiero tu w ciemności stanęłam i zwróciłam się do Sonzogna:

– Posłuchaj, byłoby lepiej, żebyś sobie poszedł.

– Dlaczego?

Postanowiłam powiedzieć mu całą prawdę, pomimo strachu, jaki we mnie wzbudzał:

– Bo kocham innego i nie chcę go zdradzać.

– Kogo? Tego, co był z tobą w tramwaju?

Bałam się o Mina i odpowiedziałam szybko:

– Nie... innego... nie znasz go... A teraz proszę cię, zostaw mnie w spokoju... idź już!

– A gdybym nie chciał iść?

– Czy nie rozumiesz, że pewnych rzeczy nie można zdobyć siłą? – zaczęłam, ale nie dał mi dokończyć. Nie wiem, jak się to stało, bo po ciemku nie widziałam Sonzogna, tylko poczułam nagle silne uderzenie w twarz. Potem powiedział:

– Jazda na górę.

Szybko, ze schyloną głową wbiegłam na schody. On znowu schwycił mnie za ramię, podtrzymując na każdym stopniu, tak że miałam wrażenie, iż unosi mnie do góry. Policzek palił mnie i byłam jakby sparaliżowana straszliwym przecuciem. Czułam, że to uderzenie przerywa rytm szczęśliwych dni i zaczynają się dla mnie znowu koszarne chwile. Ogarnęła mnie po prostu rozpacz i postanowiłam uciec za wszelką cenę przed tym losem, który przeczułam. Postanowiłam nieodwołalnie, że wyprowadzę się z domu i zamieszkam albo u Gizeli, albo w jakimś wynajętym pokoju.

Myślałam o tym z takim natężeniem, że wcale nie zauważyłam, kiedy weszłam do mieszkania i znalazłam się w swoim pokoju. Gdy otrząsnęłam się, siedziałam na łóżku, a Sonzogno rozbierał się powoli i systematycznie, układając rzeczy na krześle z dokładnością pedanta. Złość jego minęła i powiedział spokojnie:

– Już od dawna wybierałem się do ciebie, ale nie mogłem przyjść; pomimo to stale o tobie myślałem.

– Coś myślał? – spytałam machinalnie.

– Że jesteśmy dla siebie stworzeni – stanął przede mną trzymając w ręku kamizelkę i dodał dziwnym tonem: – I przyszedłem, żeby zrobić ci pewną propozycję.

– Jaka?

– Mam pieniądze... Jedźmy razem do Mediolanu, mam tam trochę znajomości, chcę założyć garaż i potem w Mediolanie możemy się pobrać.

Ogarnęła mnie taka słabość, że przymknęłam oczy. Pierwszy mężczyzna, poza Ginem, proponował mi małżeństwo, i był nim Sonzogno! Tak bardzo pragnęłam normalnego życia, przy boku męża i dzieci, i oto zostało mi

ono zaofiarowane. Ale pod pokrywką tej najnormalniejszej w świecie oferty kryła się groza i zwyrodnienie. Odpowiedziałam drżącym głosem:

– Ale skąd ci to przyszło do głowy? Przecież prawie się nie znamy, widzieliśmy się tylko raz. Usiadł obejmując mnie w pól i powiedział:

– Nikt nie zna mnie lepiej niż ty... Wiesz o mnie wszystko.

Przeszło mi przez myśl, że jest wzruszony, i chce dać mi do zrozumienia, że mnie kocha, i że ja powinnam go kochać. Ale raczej uroiłam to sobie, bo jego zachowanie bynajmniej nie zdradzało tego rodzaju uczuć.

– Nic o tobie nie wiem – odrzekłam cicho. – Wiem tylko, że zamordowałeś tamtego człowieka.

– A poza tym – ciągnął dalej, mówiąc jakby do siebie samego – sprzykrzyła mi się samotność. Kiedy człowiek jest sam, zawsze musi w końcu zrobić jakieś głupstwo.

Powiedziałam po chwili milczenia:

– Nie mogę ci od razu odpowiedzieć tak czy nie... Musisz mi zostawić trochę czasu do namysłu. Ku memu zdumieniu odpowiedział przez zaciśnięte zęby:

– No to się namyśl... namyśl się, nie ma gwałtu. – Wstał i dalej się rozbierał.

Najbardziej uderzyło mnie jego powiedzenie: „Jesteśmy dla siebie stworzeni” – i zadawałam sobie pytanie, czy on pomimo wszystko nie ma racji. Czy obecnie mogłam spodziewać się jeszcze czegoś więcej niż oświadczyn takiego jak on człowieka? A z drugiej strony, czy nie było prawdą, do czego przyznawałam się z lękiem sama przed sobą, że łączą nas jakieś ponure więzy? Złapałam się na tym, że powtarzam w duchu: „Uciec, uciec” – i rozpaczliwie potrząsam głową. Odpowiedziałam przezornie spokojnym głosem:

– Do Mediolanu? Przecież mówiłeś, że boisz się, czy nie jesteś śledzony?

– Tak sobie tylko powiedziałem, w rzeczywistości oni w ogóle nie wiedzą o moim istnieniu.

Moje osłabienie nagle minęło, poczułam się silna i zdecydowana. Wstałam, zdjęłam płaszcz i poszłam powiesić go na wieszaku. Jak zwykle przekręciłam klucz w zamku, powoli podeszłam do okna i spuściłam żaluzje. Potem stanęłam przed lustrem i zaczęłam odpinać stanik. Nagle obejrzałam się i spojrzałam na Sonzogna. Siedział schylony na krawędzi łóżka, rozsznurowując trzewiki. Siląc się na jak najobojętniejszy ton, powiedziałam:

– Zaczekaj chwileczkę... miał ktoś do mnie przyjść, więc muszę uprzedzić matkę, żeby go nie wpuszczała.

– Nic nie odpowiedział, a zresztą nawet nie miałby na to czasu. Szybko wyszłam z pokoju, zamykając drzwi za sobą i pobiegłam do jadalni.

Matka szyla przy oknie na maszynie, ostatnio dla zabicia nudy przyjmowała drobne zamówienia. Powiedziałam szeptem:

– Zatelefonuj do mnie jutro rano, do Gizeli albo do Zelindy. – Zelinda wynajmowała pokoje w centrum miasta. Chodziłam czasem do jej mieszkania z moimi kochankami i matka znała ją.

– Dlaczego? Co się stało?

– Muszę wyjść – powiedziałam – gdyby tamten pytał o mnie, powiedz mu, że nic nie wiesz.

Matka spoglądała na mnie z otwartymi ustami, podczas gdy ściągałam z wieszaka jej wytartą futrzaną kurtkę, w której chodziłam kilka lat temu. – A przede wszystkim nie mów mu, dokąd poszłam – dodałam – mógłby mnie zamordować.

– Ale...

– Pieniądze leżą tam gdzie zawsze i pamiętaj, żebyś nie pisnęła ani słowa, zatelefonuj do mnie rano. – Wysłałam szybkim krokiem przechodząc na palcach przez przedpokój.

Kiedy znalazłam się na ulicy, zaczęłam biec. Wiedziałam, że o tej porze Mino bywa w domu, i chciałam go zastać, zanim wyjdzie po kolacji na spotkanie z przyjaciółmi. Wsiadłam na placu do taksówki, podając adres Mina. W drodze wiedziałam już, że uciekam nie tyle przed Sonzogno, ile sama przed sobą, bo czułam, że przyciąga mnie niczym magnes jego bestialskie okrucieństwo. Przypomniałam sobie mój rozdzierający krzyk grozy i rozkoszy tej nocy, kiedy po raz pierwszy i jedyny oddałam się Sonzognowi, i zrozumiałam, że zdobył on mnie wtedy raz na zawsze. Żadnemu mężczyźnie, nawet Minowi, nie udało się dotychczas wzbudzić we mnie owego uczucia zupełnej uległości i całkowitego podporządkowania. Tak, musiałam stwierdzić, że jesteśmy rzeczywiście stworzeni dla siebie, ale tak jak przepaść stworzona jest po to, żeby przyprawić człowieka o zawrót głowy, zamglić jego wzrok i wciągnąć na dno otchłani.

Wbiegłam na schody, przeskakując po dwa stopnie naraz. Stara służąca szybko otworzyła mi drzwi; zadyszczonym głosem spytałam ją o Mina.

Spojrzała na mnie z przerażeniem i uciekła bez słowa, zostawiając mnie samą na progu.

Pomyślałam, że poszła zawołać Mina, i weszłam do przedpokoju zamykając drzwi za sobą.

Usłyszałam wtedy jakieś przyciszone głosy za kotarą oddzielającą przedpokój od korytarza. Potem kotara uchyliła się i weszła wdowa Medolaghi. Widziałam ją tylko raz w życiu i w ogóle zapomniałam o jej istnieniu. Ta posągowa, żałobna postać o śmiertelnie bladej twarzy, przeciętej czarną maską oczu, wzbudziła we mnie lęk, ukazując się niespodziewanie niczym straszliwa zjawia. Zatrzymała się w przyzwoitej odległości ode mnie i zapytała szorstko:

– Pani przyszła do pana Diodati?

– Tak.

– Został aresztowany.

Nie zorientowałam się od razu i nie wiem, dlaczego przyszło mi na myśl, że to aresztowanie ma związek ze zbrodnią Sonzogna.

– Aresztowany... przecież on nie ma z tym nic wspólnego – wybełkotałam.

– Nic nie wiem – odpowiedziała wdowa – wiem tylko tyle, że przyszli tutaj, zrobili rewizję i potem go zabrali. – Wynioskowałam z jej niechętnego wyrazu twarzy, że nie dowiem się nic więcej, pomimo to nie mogłam powstrzymać się od pytania: – Ale za co?

– Już pani powiedziałam, że nic nie wiem.

– Ale dokąd go zawieźli?

– Nic nie wiem.

– Niech mi pani chociaż powie, czy on nie zostawił jakiegoś polecenia?

Tym razem w ogóle nie raczyła mi odpowiedzieć. Nieprzejednana i pełna obrażonej godności, odwróciła się do mnie plecami i zawołała: – Diomiro!

Ukazała się stara służąca z przerażoną twarzą. Pani Medolaghi wskazała drzwi, odsunęła kotarę na znak, że odchodzi, i powiedziała: – Wyprowadź tę panią – po czym znikła.

Dopiero kiedy zesłam na dół i znalazłam się na ulicy, zrozumiałam, że aresztowanie Mina i zbrodnia

Sonozgna to są dwie różne i niezależne od siebie sprawy. Jedyne, co łączyło je ze sobą, to moje przerażenie. Widziałam w tym niespodziewanym wyścigu nieszczęść przesadną szczodroliwość losu, który obdarzył mnie w jednej chwili tyloma makabrycznymi darami, tak jak żyzne lato przynosi urodzaj wszystkich owoców naraz. Doszłam do tego wniosku raczej wyczuciem niż myślą, kiedy szłam przed siebie ze zwieszoną głową, uginając się pod brzemieniem tych nieszczęść.

Oczywiście pomyślałam przede wszystkim o Astaricie. Znałam na pamięć numer jego telefonu; wstąpiłam do pierwszej napotkanej po drodze kawiarni i nakręciłam tarczę. Telefon dzwonił, ale nikt nie podchodził do aparatu. Łączyłam się bezskutecznie jeszcze kilka razy. Astarity nie było w biurze. Widocznie wyszedł na kolację, ale mógł jeszcze wrócić. Znałam jego zwyczaje i telefonując z góry wiedziałam, że go już nie ma. Ale jak to bywa w takich razach, miałam nadzieję, że może wyjątkowo go zastanę.

Spojrzałam na zegarek. Była ósma, Astarita wracał do biura dopiero o dziesiątej. Stałam nieruchomo na rogu ulicy, przede mną rozciągał się łukowaty most, z którego bez przerwy schodzili przechodnie, pojedynczo i grupkami, biegnąc wprost na mnie, ciemni i szybcy, jak zwiedłe liście pchane nieustającym wiatrem. Ale szereg domów poza mostem wywierał uspokajające wrażenie; wszystkie okna były oświetlone i widać w nich było poruszające się sylwetki. Przypomniałam sobie, że znajduję się niedaleko głównej komendy policji, dokąd na pewno zawieziono Mina, i chociaż wiedziałam, że jest to rozpaczliwy krok, postanowiłam tam iść i zasięgnąć informacji. Wiedziałam, że nic się nie dowiem, ale niewiele mnie to obchodziło, chciałam za wszelką cenę coś dla niego zrobić.

Szłam bocznymi ulicami, posuwając się szybko wzdłuż murów. Dotarłam wreszcie do komisariatu i weszłam. W portierni siedział policjant i czytał rozłożoną na krześle gazetę; nogi miał oparte o drugie krzesło, jego czapka leżała na stole; na mój widok wyjrzał przez okno i zapytał, dokąd idę.

– Do komisariatu dla cudzoziemców – odpowiedziałam. Był to jeden z działów komisariatu, Astarita wspominał mi niegdyś o tym resorcie, nie pamiętam już przy jakiej okazji.

Nie wiedziałam, dokąd iść, na chybił trafił zaczęłam wchodzić na schody, brudne i ciemne. Wpadałam co chwila na urzędników i umundurowanych policjantów, którzy szli na dół lub na górę z plikami papierów w rękach. Przemykałam się tuż pod ścianą, gdzie było stosunkowo najciemniej, ze spuszczoną głową. Na każdym piętrze napotykałam niskie korytarze pełne ludzi, niechlujne i ponure, oświetlone z rzadka porozwieszanymi lampami, otwarte drzwi i niezliczoną ilość pokoi. Główna komenda przypominała doprawdy ul, ale tutejsze pszczoły na pewno nie siadały na kwiatach, a miód ich, którego smak i zapach poczułam po raz pierwszy w życiu, był cuchnący, czarny i gorzki. Na trzecim piętrze, ogarnięta rozpaczą, weszłam na jeden z korytarzy. Nikt na mnie nie patrzył, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Po obydwu stronach widać było szeregi otwartych drzwi. Siedzieli przed nimi na wypłatanych krzeselkach umundurowani policjanci, rozmawiając i paląc papierosy. Te wszystkie pokoje niczym nie różniły się od siebie, w każdym piętrze były zawałone papierami półki, w każdym siedział za stołem policjant z piórem w ręku. Korytarz nie szedł prosto, ale łukowato zakręcał, tak że po chwili w ogóle nie wiedziałam, gdzie jestem. Co chwila napotykałam jakieś boczne przejścia i musiałam iść po kilku schodkach w dół lub w górę. To znowu natrafiałam na skrzyżowania z dalszymi korytarzami: wszystkie były identyczne, z szeregami otwartych drzwi i siedzącymi u wejścia policjantami. Zgubiłam się w tym labiryncie i w pewnej chwili wydało mi się, że znalazłam się znowu w tym samym miejscu, w którym rozpoczęłam moją wędrówkę. Zapytałam woźnego, który właśnie przechodził obok: – Do zastępcy komisarza? – Bez słowa wskazał mi palcem ciemne przejście między

drzwiami. Poszłam tam, zesłam kilka stopni niżej i znalazłam się w niziutkim, ciemnym korytarzyku. W tej samej chwili, w głębi załamującej się pod kątem prostym wnęki, otworzyły się drzwi i wyszło z nich dwóch mężczyzn. Skierowali się do wylotu korytarza. Widziałam ich z tyłu, jeden trzymał za przegub ręki drugiego. Wydało mi się nagle, że ten prowadzony za rękę to Mino. – Mino! – krzyknęłam rzucając się do przodu.

Nie zdążyłam ich dogonić, bo ktoś chwycił mnie za ramię. Był to policjant, bardzo młody, o śniadej, szczupłej twarzy, we włożonej na bakier czapce, spod której wymykały się kosmyki czarnych, gęstych, kędzierzawych włosów.

– Czego pani chce? Kogo pani szuka? – zapytał.

Na mój okrzyk tamci dwaj obejrzeni się i zobaczyłam, że się pomyliłam. Powiedziałam, z trudem łapiąc oddech:

– Zaaresztowano mojego znajomego... Chciałam się dowiedzieć, czy on jest tutaj.

– Jak się nazywa? – spytał policjant nie puszczać mnie i przybierając uroczystą minę.

– Giacomo Diodati.

– Co robi?

– Jest studentem.

– Kiedy go zaaresztowano?

Uświadomiłam sobie nagle, że on zadaje te wszystkie pytania, aby dodać sobie autorytetu, i że w gruncie rzeczy nic nie wie. Odpowiedziałam zirytowana:

– Zamiast pytać, proszę mi lepiej powiedzieć, gdzie on może być!

Byliśmy sami na korytarzu; policjant rozejrzał się dokoła, objął mnie mocno i szepnął poufałym tonem:

– Zaraz zajmujemy się tym studentem, a tymczasem daj mi buziaka.

– Proszę mnie puścić, nie mam czasu! – krzyknęłam ze złością. Odepchnęłam go i uciekłam; wpadłam na drugi korytarz i zobaczyłam przez otwarte drzwi pokój większy od innych, w którym siedział za biurkiem starszy mężczyzna. Weszłam tam i zapytałam jednym tchem:

– Chciałabym się dowiedzieć, co się stało ze studentem Diodati... aresztowano go dzisiaj po południu.

Podniósł oczy znad biurka, na którym rozłożona była gazeta, i popatrzał na mnie ze zdumieniem:

– Chciałaby się pani dowiedzieć...

– Tak, co się stało ze studentem Diodati, którego aresztowano dziś po południu?

– Ale kto pani jest, jakim prawem pozwala sobie pani tu wchodzić?

– To nie pańska rzecz! Proszę mi powiedzieć, co się z nim stało?

– Ale kto pani jest? – ryknął waląc pięścią w stół. – Jak pani śmie? Czy pani wie, z kim pani mówi?

Zrozumiałam, że nic nie wskóram, a w dodatku mogę się narazić na aresztowanie. Uniemożliwiłoby mi to zobaczenie się z Astaritą i Mino byłby zgubiony.

– Mniejsza z tym – zaczęłam mówić wycofując się – zaszła pomyłka... przepraszam.

Moje przeprosiny rozwścieczyły go jeszcze bardziej od pytań, ale ja byłam już przy drzwiach.

– Wchodzi się i wychodzi z faszystowskim pozdrowieniem! – wrzasnął wskazując na zawieszony na ścianie napis.

Kiwnęłam potakująco głową, jak gdybym przyznawała mu rację, że istotnie trzeba wchodzić i wychodzić z

faszystowskim pozdrowieniem, i wciąż się cofając wyszłam z pokoju. Przeszłam przez cały korytarz, błędziłam jeszcze przez chwilę i kiedy na koniec odnalazłam schody, szybko zbiegłam na dół. Przemknęłam chyłkiem koło portierni i znalazłam się na dworze.

Jedynym rezultatem odwiedzenia gmachu policji było to, że minęło sporo czasu. Obliczyłam, że jeśli pójde wolnym krokiem do ministerstwa Astarity, zajmie to trzy kwadranse, może godzinę. Potem wypiję kawę gdzieś w pobliżu i jeżeli zadzwonię w dwadzieścia minut potem, będę mogła go już zastać. Po drodze przyszło mi go głowy, że aresztowanie Mina mogła spowodować zemsta Astarity. Był on grubą rybą w policji śledczej, tej właśnie, która zaaresztowała Mina. Z pewnością Mino od dawna był pod obserwacją i wywiad wywęszył łączące go ze mną stosunki. Było zupełnie możliwe, że jego kartoteka przeszła przez ręce Astarity, który w porwywie zazdrości wydał nakaz aresztowania. Na tę myśl poczułam nienawiść do Astarity. Dobrze wiedziałam, że wciąż jest we mnie zakochany, i pomyślałam, że jeśli sprawdzą się moje podejrzenia, drogo mi zapłaci za swoją podłość. Ale zarazem uświadamiałam sobie, że ta sprawa może wyglądać całkiem inaczej i że ja moją słabą bronią chcę walczyć z wrogiem nie posiadającym oblicza, który ma raczej właściwości udoskonalonej maszyny niż człowieka wrażliwego i ulegającego ludzkim słabostkom. Kiedy doszłam do ministerstwa, zrezygnowałam z wstąpienia do kawiarni i od razu zatelefonowałam. Tym razem już na pierwszy sygnał ktoś podniósł słuchawkę i usłyszałam głos Astarity.

– Mówi Adriana – powiedziałam gwałtownie – chcę się z tobą zobaczyć.

– Zaraz?

– Natychmiast... to bardzo pilna sprawa... Jestem na dole, w ministerstwie.

Zapewne namyślał się przez chwilę, po czym powiedział, żebym przyszła. Po raz drugi wchodziłam na schody tego ministerstwa, ale w zupełnie innym nastroju. Za pierwszym razem bałam się szantażu Astarity, bałam się, że nie dojdzie do skutku moje małżeństwo z Ginem, bałam się czegoś niejasnego, wiszącej w powietrzu grozy, jaką środowisko policyjne wywołuje w umyśle każdego biedaka. Szłam tam ze złamanym sercem, z duszą na ramieniu. Teraz natomiast nastawiona byłam agresywnie: zdecydowana na wszystko, nawet na szantaż, byle tylko odzyskać Mina. Ale moja agresywność nie wypływała z samej tylko miłości do Mina. Wchodziła tu także w grę pogarda dla Astarity, dla jego ministerstwa, dla spraw politycznych i w zakresie, w jakim Mino wmieszany był w te sprawy – także i dla Mina. Nie rozumiałam nic z polityki, ale może właśnie dlatego wydawało mi się, że w porównaniu z moją miłością sprawy polityczne są po prostu śmieszne i bez znaczenia. Przypomniałam sobie Astaritę, który zaczynał się jąkać, kiedy tylko mnie zobaczył lub usłyszał mój głos przez telefon, i z przyjemnością myślałam o tym, że na pewno nie jąka się w rozmowach ze swymi przełożonymi, choćby nawet miał do czynienia z samym Mussolinim. Rozmyślając nad tym, szłam szybko przez szerokie korytarze ministerstwa i zauważyłam, że spoglądałam z góry na spotkanych po drodze urzędników. Miałam wielką ochotę wyrwać im z rąk te pliki czerwonych i zielonych papierów, rojących się od zakazów i donosów, i cisnąć je na ziemię. Do woźnego, który wyszedł naprzeciw mnie w poczekalni, powiedziałam rozkazującym tonem:

– Muszę mówić z doktorem Astaritą, i to szybko! Śpieszę się i nie mam czasu na czekanie! – Spojrzył na mnie zdumiony, ale nie śmiał zaprotestować, i poszedł do gabinetu.

Astarita poderwał się natychmiast na mój widok, pocałował mnie w rękę; nie wypuszczając jej zaprowadził mnie do tapczanu stojącego w głębi pokoju. Przyjął mnie w ten sposób także i za pierwszym razem i myślę, że robił to samo ze wszystkimi kobietami, jakie przychodziły do jego biura. Usiłowałam opanować kipiącą we mnie złość i

powiedziałam:

– Słuchaj, jeżeli to ty kazałeś aresztować Mina, to wypuść go natychmiast, w przeciwnym razie nie zobaczymy się więcej!

Zobaczyłam na jego twarzy zdziwienie pomieszane z przykrym rozczarowaniem i zrozumiałam, że on nie wie o niczym.

– Chwileczkę... jaki Mino? – wyjąkał.

– Myślałam, że wiesz o tym – odrzekłam. I w kilku słowach opowiedziałam mu o mojej miłości do Mina i o tym, że zaaresztowano go dziś po południu w jego mieszkaniu. Zobaczyłam, że zbladł jak płótno, kiedy oświadczyłam, że kocham Mina. Wolałam powiedzieć prawdę nie tylko dlatego, że bałam się kłamstwem zaszkodzić Minowi, ale i dlatego, że ogarnęło mnie niepowstrzymane pragnienie, aby krzyknąć na głos o mojej miłości. Teraz, kiedy przekonałam się, że Astarita nie maczał palców w aresztowaniu Mina, złość, która dodawała mi siły, minęła i czułam się znowu słaba i bezradna. Tak więc zaczęłam moje opowiadanie stanowczym i pewnym siebie tonem, a dokończyłam je niemal płaczliwie. Więcej nawet, oczy napełniły mi się łzami, kiedy powiedziałam mu, zdruzgotana:

– I co oni z nim teraz robią? Mówił, że w więzieniu biją.

Astarita przerwał mi natychmiast:

– Bądź spokojna... mogłoby to spotkać robotnika, ale nie studenta!

– Ale ja nie chcę, nie chcę, żeby on siedział! – krzyknęłam nabrzmiałym łzami głosem.

Milczeliśmy przez chwilę, ja próbowałam zapanować nad wzruszeniem, a Astarita patrzył na mnie. Po raz pierwszy nie chciał spełnić mojej prośby, zapewne dlatego, że dowiedział się, iż kocham innego. Oparłam rękę na jego dłoni i dodałam:

– Jeżeli go wypuścisz z więzienia, przyrzekam ci, że zrobię wszystko, co tylko zechcesz.

Spoglądał na mnie z wahaniem. Pochyliłam się i wbrew chęci podałam mu usta mówiąc: – No więc... czy zrobisz to dla mnie?

W jego wzroku widać było walkę: chciał mnie pocałować, ale uświadamiał sobie w całej pełni, jak upokarzająca była dla niego ta oferta, którą z oczyma pełnymi łez zrobiłam tylko dlatego, aby uzyskać to, o co prosiłam. Po chwili odepchnął mnie, zerwał się na równe nogi, kazał mi chwilę poczekać i wyszedł z gabinetu.

Teraz byłam już pewna, że Astarita uwolni Mina. I nie orientując się zupełnie w tego rodzaju sprawach, wyobrażałam sobie Astaritę telefonującego do jakiegoś płaszczącego się przed nim komisarza, któremu wydaje rozkaz, aby wypuszczono natychmiast na wolność studenta Giacoma Diodati. Niecierpliwie liczyłam minuty i kiedy Astarita wrócił, wstałam chcąc mu podziękować i iść na spotkanie Mina.

Uderzył mnie wyraz twarzy Astarity, oschły, a zarazem pełen irytacji i rozczarowania.

– Coś ty naopowiadała, że został aresztowany? – rzekł cierpko. – Strzelał do policjantów i uciekł, jeden z nich walczy ze śmiercią w szpitalu. Jeżeli go teraz złapią, a złapią go na pewno, nie będę już mógł nic dla niego zrobić!

Ze zdziwienia zabrakło mi tchu. Między innymi także i dlatego, że przecież wyjęłam kule z rewolweru Mina; widocznie potem nabił go znowu. Ogarnęła mnie wielka radość, i to z wielu przyczyn. Cieszyłam się, że Mino jest na wolności, a także że zabił policjanta, bo nie przypuszczałam, żeby był zdolny do takiego czynu; zmieniało to całkowicie mój sąd o nim. Zdumiewało mnie po prostu owo gorączkowe uniesienie, z jakim ja, wróg wszelkiej

przemocy, upajałam się desperackim postępkami Mina; w gruncie rzeczy upajało mnie to tak samo jak niegdyś roztrząsanie w wyobraźni zbrodni Sonzogna, tylko że teraz znajdowałam moralne usprawiedliwienie dla mego zachwytu. Pomyślałam, że szybko uda mi się z nim zobaczyć, że uciekniemy i razem będziemy się ukrywać, a może wyjedziemy nawet za granicę, gdzie przyjmują gościnnie uchodźców politycznych. Nadzieja przepełniała moje serce: może otwiera się przede mną nowe życie, które zawdzięczać będę Minowi i jego bohaterstwu? I ogarnęła mnie fala najgorętszych uczuć. Astarita tymczasem przechadzał się po pokoju z rozjątrzoną miną, przystając co chwila i przedstawiając jakieś przedmioty na biurku. Powiedział spokojnie:

– Widocznie wziął się na odwagę w chwili aresztowania, strzelił i uciekł.

Astarita stanął, spojrzął na mnie i twarz wykrzywiła mu się wściekłym grymasem:

– Zadowolona jesteś, co?

– Dobrze zrobił zabijając policjanta – odrzekłam szczerze – tamten chciał wpakować go do więzienia. Ty też postąpiłbyś tak samo.

– Ja się nie zajmuję polityką – odpowiedział opryskliwie – a policjant wypełniał swój obowiązek... ten policjant miał żonę i dzieci.

– Jeżeli Mino zajmuje się polityką, ma widocznie jakieś powody – odpałam z miejsca – a policjant powinien był zdawać sobie sprawę, że człowiek, któremu grozi więzienie, jest do wszystkiego zdolny... Jeśli o tym nie wiedział, tym gorzej dla niego.

Byłam spokojna, bo w myśli widziałam Mina wolnego, krążącego po ulicach miasta, i już cieszyłam się na tę chwilę, kiedy on wezwie mnie do siebie i będę mogła go zobaczyć. Mój spokój zdawał się wyprowadzać Astaritę z równowagi.

– Już my go znajdziemy! – krzyknął nagle. – Co ty sobie myślisz, że go nie znajdziemy?

– Nie wiem... Cieszę się, że udało mu się uciec!

– Znajdziemy go i możesz być pewna, że nie ujdzie mu to na sucho.

Odpowiedziałam po chwili:

– Czy wiesz, dlaczego jesteś taki wściekły?

– Wcale nie jestem wściekły.

– Bo miałeś nadzieję, że on siedzi, i chciałeś okazać się wielkoduszny wobec mnie i wobec niego, a tymczasem ta okazja przepadła i to cię doprowadza do szału.

Zobaczyłam, że z gniewem wrusza ramionami. Potem zadzwonił telefon i Astarita z ulgą człowieka, który znalazł pretekst do przerwania kłopotliwej rozmowy, podniósł słuchawkę. Zobaczyłam, że już przy pierwszych słowach jego twarz zmienia się jak niebo po burzy, kiedy pierwszy promyk słońca przedziera się przez chmury. Nie wiadomo dlaczego, wydało mi się to złą wróżbą. Rozmowa trwała dość długo, ale Astarita odpowiadał tylko „tak” i „nie”, więc nie mogłam domyślić się, o co chodzi.

– Bardzo mi przykro ze względu na ciebie – powiedział odkładając słuchawkę – ale pierwsza wiadomość o aresztowaniu tego studenta była mylna. Z komendy, dla pewności, wysłano policjantów do twego i do jego mieszkania. Liczyli na to, że tym sposobem na pewno go przyłapią. Istotnie aresztowano go w mieszkaniu wdowy, gdzie odnajmował pokój, u ciebie natomiast policja zastała niskiego blondyna, o północnym akcencie, który zamiast okazać dokumenty, natychmiast zaczął strzelać i uciekł... Początkowo myśleli, że to on, ale musiał to być ktoś inny,

kto ma też jakieś porachunki z policją.

Czułam, że tracę przytomność. A więc Mino siedział w więzieniu, a na domiar złego Sonzogno uciekł, przekonany, że to ja go zadenuncjowałam. Każdy na jego miejscu pomyślałby to samo: znikłam nagle, a zaraz potem zjawiła się policja. Byłam jak ogłuszona i powiedziałam tylko: – O ja nieszczęśliwa! – idąc w kierunku drzwi.

Musiałam być bardzo blada, bo wyraz zadowolenia z odniesionego zwycięstwa znikł z twarzy Astarity. Podszedł do mnie i powiedział pełen niepokoju:

– Siądź jeszcze na chwilę... porozmawiajmy... To wszystko da się naprawić.

Potrząsnęłam głową i położyłam rękę na klamce. Astarita zatrzymał mnie i wyjąkał:

– Posłuchaj, obiecuję ci, że zrobię wszystko, co tylko jest w mojej mocy, sam go przesłucham i jeśli to nic poważnego, uwolnię go możliwie jak najprędzej, słyszysz?

– Dobrze – odpowiedziałam martwym głosem. I dodałam z wysiłkiem: – Bądź pewien, że będę ci wdzięczna za wszystko, co będziesz mógł zrobić.

Wiedziałam, że Astarita mówi prawdę i że nie będzie szczędził wysiłków, aby uwolnić Mina. Miałam w tej chwili jedno tylko pragnienie: wyjść jak najprędzej z tego straszego ministerstwa. Ale w Astaricie zagrała żyłka policyjna i powiedział:

– Jeśli masz jakieś powody, żeby bać się człowieka, którego znaleziono w twoim mieszkaniu, powiedz mi jego nazwisko: to bardzo ułatwi ujęcie go.

– Nie znam jego nazwiska!

– W każdym razie – nalegał dalej – byłoby dobrze, żebyś sama zgłosiła się w komisariacie i opowiedziała wszystko, co o nim wiesz. Załadają tam, żebyś była w każdej chwili do ich dyspozycji, i puszczą cię, ale jeśli sama się nie zgłosisz, ta sprawa może przybrać dla ciebie zły obrót.

Odpowiedziałam mu, że zastosuję się do jego wskazówek, i pożegnałam się. Nie zamknął za mną drzwi, lecz stanął na progu i patrzył na mnie, jak przechodziłam przez poczekalnię.

Rozdział 9

Kiedy wyszłam z ministerstwa, skierowałam się ku pobliskiemu placowi tak szybko, jak gdyby mnie ktoś gonił. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że nie wiem, dokąd mam iść, i zaczęłam się zastanawiać, gdzie mogłabym się schronić. W pierwszej chwili przyszła mi na myśl Gizela, ale mieszkała daleko, a pode mną nogi ugięły się ze zmęczenia. A przy tym nie byłam pewna, czy Gizela gościnnie by mnie przyjęła. Pozostawała jeszcze Zelinda, która wynajmowała pokoje i o której mówiłam matce przed ucieczką z domu. Zelinda bardzo mnie lubiła, mieszkała blisko, postanowiłam pójść do niej.

Mieszkała w żółtej kamienicy, na placu niedaleko dworca. Dom ten odznaczał się między innymi tym, że jego klatka schodowa, nawet we dnie, pogrążona była w nieprzeniknionych ciemnościach. Nie było tam windy ani okien, wchodziło się po schodach po ciemku, co chwila wpadając na czarne uczone poręczy ludzkie cienie idące w górę i na dół. Unosiły się tam w powietrzu zatechłe opary od dawna już nieczynnej kuchni i zdawały się gnić w tym nieruchomym, wilgotnym mroku. Wchodziłam na górę ledwie powłócząc zmęczonymi nogami, z uczuciem mdłości, po tych samych schodach, po których wbiegałam tyle razy przy boku niecierpliwego kochanka. Powiedziałam Zelindzie, która otworzyła mi drzwi:

– Potrzebuję pokoju... na tę noc.

Zelinda była to kobieta korpulentna, może nawet nie stara, ale postarzała przedwcześnie z powodu nadmiernej tuszy. Cierpiała przy tym na podagrę; miała na policzkach niezdrowe czerwone plamy, oczy niebieskie, wyblakłe i zażawione, rzadkie jasne włosy, zawsze potargane, których sztywne, opadające kosmyki przypominały konopie. Pomimo to na jej twarzy pozostał jeszcze jakiś pełen serdecznego wyrazu wdzięk, przypominający ostatni promień słońca odbijający się przy zachodzie słońca w stawie.

– Mam wolny pokój – odrzekła – sama jesteś?

– Tak, sama!

Zelinda zamknęła drzwi i poszła przodem, kołysząc się w biodrach, szeroka, krótka, w starym szlafroku; kok rozpadł jej się, na karku zwisały niedbale powtykane we włosy szpilki. Mieszkanie było zimne i ciemne jak klatka schodowa, ale unoszące się tutaj zapachy z kuchni przyjemnie łechtały powonienie; od razu się wiedziało, że tu gotują się jakieś frykasy.

– Właśnie robiłam kolację – powiedziała odwracając się do mnie z miłym uśmiechem. Sama nie wiedziałam, czemu Zelinda, wynajmująca pokoje na godziny, tak mnie lubiła. Często przy okazji moich wizyt prosiła, żebym została u niej dłużej, na pogawędkę, i częstowała mnie likierem oraz słodyczami. Była niezamężna i zapewne nigdy nie miała kochanka, bo od najmłodszych lat odznaczała się nienormalną tuszą. Jej dziewictwa domyśleć się było można po nieśmiałości, niezręczności i nie ukrywanej ciekawości, z jaką wypytywała mnie o moje miłosne przeżycia. Zelinda nie miała w sobie ani zawiści, ani złości i myślę, że żałowała w skrytości, iż nigdy w życiu nie robiła tego, co uprawiano w wynajmowanych przez nią pokojach. Przypuszczam także, że wybierając to właśnie zajęcie kierowała się nie tyle chęcią zysku, ile podświadomym może pragnieniem, żeby nie być całkowicie odcięta od zakazanego rajy miłości.

Znałam na pamięć rozkład jej mieszkania. Zelinda otworzyła lewe drzwi w głębi korytarza i pierwsza weszła do pokoju. Zapaliła trójramienną lampę z mlecznymi kloszami w kształcie tulipanów i podeszła do okna, żeby zamknąć okiennice. Pokój był duży i czysty. Ale właśnie ta czystość zdawała się podkreślać bezlitośnie ubóstwo i nędzę umeblowania: wytarty dywanik przed łóżkiem, pocerowane bawełniane kapy, plamy na lustrach, odpryski na emaliowanym dzbanku i miednicy. Podeszła do mnie i spytała:

– Czy źle się czujesz?

– Nie, czuję się doskonale.

– Dlaczego nie nocujesz u siebie?

– Nie chciało mi się wracać do domu.

– Zaraz zobaczymy, czy zgadłam – powiedziała z czułością, a zarazem przebiegle. – Spotkała cię przykreść, czekałaś na kogoś i nie doczekałaś się.

– Być może.

– No, zobaczymy, czy nie mam racji! Ten ktoś, to ten śniady oficer, z którym byłaś tu ostatnim razem.

Nie po raz pierwszy Zelinda zadawała mi tego rodzaju pytania.

Odpowiedziałam machinalnie, ze ściśniętym gardłem:

– Zgadłaś... no i co z tego?

– Nic... ale widzisz, jak ja cię znam! Wystarczyło mi spojrzeć, a już wiedziałam, co się z tobą dzieje, ale nie bierz sobie tego do serca, musiał mieć jakiś ważny powód, skoro nie przyszedł. Przecież wiadomo, że wojskowi nie zawsze mogą rozporządzać swoim czasem.

Nic nie odpowiedziałam. Zelinda patrzyła na mnie chwilę, po czym dodała wahająco, przymilnie i czule:

– Czy chcesz zjeść ze mną kolację? Mam dzisiaj coś dobrego.

– Nie, dziękuję – rzekłam szybko – już jadłam.

Zerknęła z ukosa i pieszczotliwie poklepała mnie po policzku. Potem, przybierając obiecującą i tajemniczą minę ciotki zwracającej się do młodzieńczego siostrzeńca, powiedziała:

– A teraz dam ci coś, czego na pewno nie odmówisz. – Wyjęła z kieszeni pęk kluczy, podeszła do komody i, odwrócona plecami do mnie, otworzyła jedną z szuflad.

Rozpięłam płaszcz i, opierając się ręką o stół, patrzyłam na Zelindę, szperającą w szufladzie. Przyszło mi nagle na myśl, że do tego pokoju przychodziła często ze swymi kochankami Gizela, i przypominałam sobie, że Zelinda jej nie lubiła. Lubiała mnie dla mnie samej, a nie dlatego, że lubiła wszystkich. To pocieszyło mnie nieco. Ostatecznie, pomyślałam, na świecie istnieją nie tylko ministerstwa, więzienia i inne tego rodzaju rzeczy okrutne i budzące zniechęcenie do życia. Tymczasem Zelinda skończyła nareszcie grzebać w szufladzie. Zamknęła ją starannie na cztery spusty, podeszła do mnie, mówiąc z naciskiem: – Masz... na to na pewno się skusisz – i położyła coś na stole. Rzuciłam okiem i zobaczyłam pięć luksusowych papierosów, garść cukierków w jaskrawych papierkach i cztery kolorowe owoce z marcepanu.

– No co, zadowolona jesteś? – zapytała, znowu klepiąc mnie po policzku.

– Tak, bardzo ci dziękuję! – wyjąkałam zmieszana.

– Nie ma za co... i jeżeli potrzebowałabyś czegoś, to zawołaj mnie bez żadnych ceregieli.

Kiedy zostałam sama, poczułam znużenie i dotkliwie zimno. Nie chciało mi się spać i nie miałam ochoty

kłaść się do łóżka. Z drugiej strony nie mogłam zrobić nic innego w tym lodowatym pokoju, którego chłód wydawał się zakonserwowany od lat, jak w kościołach czy piwnicach. Ilekroć przychodziłam tu przedtem, w ogóle nie zwracałam na to uwagi, bo i ja, i mój towarzysz natychmiast wsuwaliśmy się pod kołdrę, rozgrzewając się wzajemnie. I chociaż ci kochankowie byli mi obojętni, pochłaniał mnie i wciągał w swoją magię sam akt miłosny. Teraz wydawało mi się nieprawdopodobne, że mogłam oddawać się miłości w tej niechlujnej pościeli i w takim zimnie. Zapewne żar zmysłów dawał mi złudzenie, że znajdujemy się w miłym, przytulnym otoczeniu, które w rzeczywistości było takie przykre i obce. Przyszło mi na myśl, że gdybym miała nie zobaczyć więcej Mina, życie moje niewiele by się różniło od tego pokoju. Patrząc obiektywnie, nie było w nim doprawdy nic pięknego ani intymnego, wprost przeciwnie, składało się ono, tak jak pokój Zelindy, z samych tylko rzeczy zużytych, brzydkich i zimnych. Wstrząsnął mną dreszcz i powoli zaczęłam się rozbierać.

Prześcieradła były lodowate i tak nasiąknięte wilgocią, że kładąc się do łóżka miałam wrażenie, że odciskam na materacu formę mego ciała, jak na mokrej glinie. Prześcieradła rozgrzewały się powoli, a ja zatonałam w rozmyślaniach. Z kolei sprawa Sonzogna przykuła moją uwagę i zaczęłam analizować motywy i konsekwencje tego ponurego wydarzenia. Oczywiście teraz Sonzogno był święcie przekonany, że to ja go wydałam, i niewątpliwie wszystkie pozory świadczyły przeciwko mnie. Ale czy tylko pozory? Przypominam sobie jego powiedzenie: „Wydaje mi się od jakiegoś czasu, że jestem śledzony” – i zadawałam sobie pytanie, czy ten ksiądz jednak nie zrobił donosu. Były to bezpodstawne podejrzenia, ale jak dotąd nie miałam również żadnego dowodu, że tak nie jest.

Myśląc o Sonzognu, próbowałam wyobrazić sobie, co zaszło w domu po mojej ucieczce. Widziałam Sonzogna, jak zniecierpliwiony oczekiwaniem zaczyna się ubierać. Widziałam, jak wchodzi dwaj policjanci, a Sonzogno chwyta rewolwer, strzela do nich i rzuca się do ucieczki. Napawałam się tymi pełnymi grozy obrazami z równą przyjemnością, jak niegdyś wyobrażałam sobie zbrodnię Sonzogna. Bujna fantazja podsuwała mi kilkakrotnie scenę strzelaniny i rozkoszowałam się każdym szczegółem. Oczywiście mając do wyboru policję lub Sonzogna, całym sercem byłam po jego stronie. Drżałam z radości na widok rannego policjanta, który upadał na ziemię. Wydałam westchnienie ulgi widząc uciekającego Sonzogna. Śledziłam z zapartym tchem, jak zbiega ze schodów, i nie miałam spokoju, dopóki nie zobaczyłam go znikającego w ciemnej alei. Na koniec zmęczyłam się tym wyświetlanym w wyobraźni filmem i zgasiałam światło.

Zauważyłam już przedtem, że wezgielnie łóżka stoi przy drzwiach prowadzących do sąsiedniego pokoju. Skoro tylko zgasiałam lampę, stwierdziłam, że nie są one szczelnie zamknięte i że wpada przez nie wąska smuga światła. Oparłam się łokciami o poduszkę, wsuwając głowę między metalowe pręty łóżka, i przyłożyłam oko do tej szpary. Początkowo nie widziałam nikogo; na wprost szczeliny stał okrągły stół, na który padało światło zwisającej z sufitu lampy. Za stołem, w półcieniu, połyskiwało lustro. Dochodziły mnie najbardziej oklepane zwroty rozmowy, której każde zdanie znałam na pamięć: skąd pochodzisz, ile masz lat, jak ci na imię. Głos kobiecy był spokojny i powściągliwy, męski zaczepny i podniecony. Rozmawiali w kącie pokoju, może leżeli już w łóżku. Od podglądania rozboleł mnie kark i właśnie chciałam cofnąć głowę, kiedy zobaczyłam nagle kobietę, która stanęła w półcieniu pod lustrem. Była odwrócona do mnie plecami, naga, ale ponieważ dzielił nas stół, widziałam ją tylko od pasa w górę. Musiała być bardzo młoda; pod gęstą czupryną włosów nieładnie wyglądały jej plecy, chude, kościste i anemicznie blade. Pomyślałam, że chyba nie ma dwudziestu lat, ale może mieć obwisłe piersi i być już matką, że jest to jedna z tych zagłodzonych dziewcząt, które krążą po skwerach koło dworca, bez kapelusza, często nawet bez płaszcza, źle

umalowane, obdarte, w za dużych, powykręcanych pantoflach. Wszystkie te myśli nasuwały mi się bez zastanowienia, same przez się, bo rozczulił mnie widok tych biednych, nagich pleców i wydało mi się, że polubiłam tę dziewczynę i że aż za dobrze rozumiem, co się z nią w tej chwili dzieje, kiedy tak stoi przed lustrem. Nagle zabrzmiał szorstko głos mężczyzny:

– Czy można wiedzieć, po co tam wystajesz? – i dziewczyna odeszła od lustra. Zobaczyłam ją na moment z profilu, przygarbioną, z obwisłą piersią, taką właśnie, jak ją sobie wyobrażałam. Potem znikła i prawie w tej samej chwili zgasło światło.

Zgasła też we mnie owa isierka ciepłego uczucia, jaką wzbudził we mnie widok dziewczyny, poczułam się samotna jak palec w tym wielkim lodowatym łóżku, w ciemnościach pełnych zimnych, rozklekotanych gratów. Pomyślałam o nich dwojgu, tam za ścianą; za chwilę zasną i ona przytuli się do pleców swego towarzysza, opierając mu brodę na ramieniu i oplatając nogami jego nogi. Ramieniem opasze go wpół, przykładając dłoń do jego pachwiny, w fałdy brzucha wczepiając palce, niczym korzenie, szukające soków żywotnych w głębi najczarniejszej gleby. Poczułam się nagle jak wyrwana z ziemi roślina, rzucona na śliską kamienną posadzkę, gdzie zwiędnie i zginie. Brakowało mi Giacoma i kiedy wyciągnęłam rękę przed siebie, wydawało mi się, że dotykam krawędzi jakiejś mroźnej, bezludnej, otaczającej mnie zewsząd przestrzeni, na której szamotałam się sama, bez niczyjej opieki. Rozpaczliwie pragnęłam przytulić się do niego, ale nie było go przy mnie. Doznałam wrażenia, że zostałam wdową, i zaczęłam płakać, trzymając ręce pod kołdrą, wyciągnięte tak, jak gdybym go obejmowała. Sama nie wiem, kiedy wreszcie zasnęłam.

Mój sen był zawsze zdrowy i pokrzepiający, jak apetyt, który zadowala się i zaspokaja każdym pożywieniem. Tak więc następnego ranka zapomniałam o wszystkim i byłam prawie zdumiona budząc się w pokoju Zelindy, w promieniach słońca padających na poduszkę i ściany poprzez szpary w żaluzjach. Jeszcze nie otrząsnęłam się ze snu, kiedy usłyszałam na korytarzu dzwonek telefonu. Zelinda przyjęła telefon, słyszałam, że wymówiła moje imię, a potem zastukała do drzwi. Wskoczyłam z łóżka i boso, w koszuli, wybiegłam na korytarz.

Nie było tam nikogo, Zelinda wróciła już do kuchni; słuchawka leżała na konsolce. Usłyszałam głos matki:

– Czy to ty, Adriano?

– Tak.

– Dlaczegoś ty wyszła? Co się tu dzieje! Mogłaś być przynajmniej mnie uprzedzić! Co ja przeżyłam!

– Wiem wszystko – odrzekłam szybko – nie musisz mi o tym mówić.

– Tak się o ciebie bałam – ciągnęła dalej – a poza tym przyszedł pan Diodati.

– Pan Diodati?

– Tak, przyszedł bardzo wcześnie, z samego rana, i koniecznie chce się z tobą zobaczyć. Powiedział, że będzie na ciebie czekał.

– Powiedz mu, że zaraz przyjdę... powiedz, że za parę minut będę.

Rzuciłam słuchawkę, pobiegłam do pokoju i ubrałam się w największym pośpiechu. Nie miałam nadziei, że Mino tak szybko zostanie wypuszczony, i czułam się mniej szczęśliwa, niż gdybym czekała kilka dni lub tydzień na jego powrót. Nie miałam zaufania do tego nagłego odzyskania wolności i nie mogłam ani opanować podświadomego uczucia przygnębienia, ani przeniknąć znaczenia tego przedwczesnego powrotu na wolność. A przy tym nie mogłam się już doczekać chwili, kiedy go zobaczę, i ta niecierpliwość była uczuciem miłym, choć lekko niepokojącym.

Skończyłam się ubierać, włożyłam do torebki cukierki, papierosy i owoce z marcepanu, żeby nie zrobić przykrości Zelindzie, i poszłam pożegnać się z nią do kuchni.

– Zadowolona jesteś teraz? – spytała. – Przeszedł ci zły humor?

– Byłam po prostu zmęczona... muszę już iść... do widzenia!

– Czekał, myślisz, że nie słyszałam, jak rozmawiałas przez telefon... pan Diodati... Czekałże, wypij choć filiżankę kawy. – Coś jeszcze mówiła, ale ja byłam już na schodach.

W taksówce przycupnęłam na krawędzi siedzenia, ściskając w obydwu rękach torebkę, żeby wyskoczyć natychmiast, gdy tylko zatrzyma się przed naszą bramą. Bałam się zastać tam gapiów, których mogła ściągnąć wczorajsza strzelanina. Zadawałam sobie pytanie, czy w ogóle powinnam wracać do domu. Sonzogno mógł zjawić się w każdej chwili, żeby dokonać zemsty. Zdałam sobie sprawę, że mało się tym przejmuję. Niechby się nawet i mścił; chciałam zobaczyć Mina, a poza tym byłam niewinna i nie miałam zamiaru dłużej się ukrywać.

Nie spotkałam nikogo ani przed domem, ani w bramie, ani na schodach. Wpadłam do jadalni i zobaczyłam, że matka siedzi pod oknem i szyje na maszynie. Słońce wpadało przez brudne szyby do pokoju, na stole siedział nasz kot i liżał sobie łapy. Matka natychmiast przerwała szycie i powiedziała:

– Nareszcie jesteś... ale mogłaś mi być chociaż powiedzieć, że idziesz wezwać policję!

– Wezwać policję? Co ty opowiadasz?

– Wyszłabym razem z tobą... Przynajmniej nie najadłabym się tyle strachu.

– Ależ ja wcale nie wyszłam po policję! – odrzekłam poirytowana. – Wyszłam i tyle!... Policja szukała kogoś innego. Widocznie i tamten miał coś na sumieniu.

– Nawet mnie nie chcesz się przyznać – powiedziała tonem matczynego wyrzutu.

– Ale do czego?

– Nikomu przecież nic nie powiem, ale nigdy w to nie uwierzę, że wyleciałaś z domu jak szalona bez powodu... i rzeczywiście po kilku minutach zjawiła się policja.

– Ależ to nieprawda!... Ja...

– Zresztą dobrze zrobiłaś... Kręcą się po świecie takie różne typy! Wiesz, co powiedział jeden z policjantów? „Ta twarz nie jest mi obca”.

Zrozumiałam, że nie ma sposobu, żeby ją przekonać: wbiła sobie do głowy, że wyszłam, aby zadenuncjować Sonzogna, i nie było na to rady.

– Dobrze już, dobrze – przerwałam – a ten ciężko ranny? Jak go stąd wyniesiono?

– Jaki ciężko ranny?

– Powiedziano mi, że jego stan jest beznadziejny.

– Źle ci powiedziano! Jednemu z policjantów kula ześlizgnęła się po ramieniu, ja sama opatrzyłam ranę i wyszedł o własnych siłach. Ale żebyś ty słyszała te strzały! Strzelali do siebie jeszcze na schodach, cały dom postawili na nogi, potem mnie przesłuchiwali! Powiedziałam, że nic nie wiem.

– Gdzie jest pan Diodati?

– Tam... w pokoju.

Rozmawiałam z matką tak długo, bo powstrzymywało mnie od spotkania z Minem przecucie, że usłyszę jakąś niedobłą nowinę. Wyszłam z jadalni i skierowałam się do swego pokoju. Było tam całkiem ciemno, ale zanim

zdażyłam przekręcić kontakt, usłyszałam głos Mina:

– Proszę cię, nie zapalaj światła!

Uderzył mnie ton jego głosu, dziwnie zgaszony i smutny. Zamknęłam za sobą drzwi, po omacku doszłam do łóżka i usiadłam na krawędzi. Wyczułam, że Mino leży na boku, zwrócony twarzą w moją stronę.

– Źle się czujesz? – spytałam.

– Czuję się doskonale.

– Jesteś pewnie zmęczony?

– Nie, nie jestem zmęczony.

Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Ale to prawda, że radość jest nieodłączna od światła. Wydawało mi się, że po ciemku oczy moje nie mogą błyszczeć ani głos dźwięczeć radością, ani ręce dotykać pieszczotliwie ukochanych rysów. Przeczekałam dłuższą chwilę, po czym pochylając się nad nim szepnęłam:

– Co chcesz teraz robić? Chcesz spać?

– Nie.

– Chcesz, żebym wyszła z pokoju?

– Nie.

– Mam zostać?

– Tak.

– Chcesz, żebym się koło ciebie położyła?

– Tak.

– Czy chcesz mnie teraz? – zapytałam machinalnie.

– Tak.

Ta odpowiedź zdziwiła mnie, bo jak już wspomniałam, on właściwie nigdy nie miał na to ochoty. Nagle ogarnęło mnie zmieszanie i dorzuciłam miękkim głosem:

– Lubisz się kochać ze mną?

– Tak.

– I od dzisiaj zawsze będziesz to lubił?

– Tak.

– I zawsze będziemy razem?

– Tak.

– Ale nie chcesz, żebym zapaliła światło?

– Nie.

– No, dobrze, mogę się rozebrać po ciemku.

Zaczęłam się rozbierać z upajającym uczuciem całkowitego zwycięstwa. Myślałam, iż podczas tej spędzonej w więzieniu nocy Mino zrobił odkrycie, że mnie kocha i że jestem mu potrzebna. Byłam w błędzie, jak okaże się później. I chociaż trafnie odgadłam, że ta jego nagła potulność ma związek z pobytem w więzieniu, nie rozumiałam, iż tego rodzaju zmiana nie miała w sobie nic, co mogłoby być dla mnie radosne czy pochlebne. Ale trudno było w tej chwili wymagać ode mnie jasnowidzenia. Moje ciało rwało się ku niemu, niczym koń, któremu zbyt długo nie popuszczano cugli, gnała mnie niecierpliwość, żeby móc nareszcie zgotować mu gorące powitanie,

któremu dotąd stały na przeszkodzie ciemności i jego apatia.

Ale kiedy podeszłam do niego i pochyliłam się, żeby się położyć, poczułam nagle, że obejmuje mnie za kolana i gryzie w lewy bok aż do krwi. Przeniknął mnie silny ból, a zarazem jaskrawe uczucie jakiejś straszliwej rozpacz, która wyrażała się w tym ugryzieniu, jak gdybyśmy byli nie dwojgiem kochanków, gotujących się do aktu miłosnego, ale skazańcami, których nienawiść, furia i smutek spychają na dno jakiegoś nowego piekła i którzy zaczynają gryźć się wzajemnie. Wydawało mi się, że trwało to bez końca, jak gdyby naprawdę chciał wyrwać mi zębami kawałek ciała. Na koniec, chociaż dotąd nie broniłam się, bo sprawiało mi to pewną przyjemność, nie mogłam już dłużej wytrzymać bólu, odepchnęłam go i powiedziałam złamanym, pokornym głosem:

– Przestań! Co robisz? Sprawiasz mi ból.

I tak rozwiła się krótkotrwałe złudzenie mego zwycięstwa. Przez cały czas miłosnego zbliżenia nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Pomimo to wyczułam niejasno prawdziwe znaczenie jego przygnębienia, które wyjaśnił mi później szczegółowo. Zrozumiałam także, że bronił się nie tyle przede mną, ile przed tą częścią swojej istoty, która mnie pożądała. Teraz natomiast, z jakiegoś jemu tylko wiadomego powodu, godził się pofolgować tej namiętności: to wszystko. Moja osoba nie miała z tym nic wspólnego: tak jak nie kochał mnie przedtem, nie kochał i teraz. Ja czy inna, było to dla niego bez znaczenia, posługiwał się mną jak środkiem do wymierzania sobie nagrody czy kary. Leżąc po ciemku przy jego boku, nie myślałam, ale wyczuwałam to wszystko ciałem i krwią, tak samo jak niegdyś wytropiłam zbrodnię Sonzogna, nie wiedząc jeszcze, że ją popełnił. Chociaż zdawałam sobie sprawę, że mam do czynienia z potworem, doznałam rozkoszy, bo moje pożądanie było silniejsze niż owa świadomość.

Zdziwiła mnie gwałtowna i niezaspokojona żądza Mina, który był zazwyczaj bardzo powściągliwy, co jak przypuszczałam wpływało u niego z obawy o zdrowie, istotnie bardzo delikatne. Toteż za trzecim razem nie mogłam się powstrzymać, żeby nie powiedzieć mu po cichu:

– Co do mnie, nie mam nic przeciwko temu... ale uważaj, żeby ci to nie zaszkodziło.

Wydało mi się, że się roześmiał, i usłyszałam tuż przy uchu jego szept:

– Teraz już nic nie może mi zaszkodzić.

Owo „teraz już” zabrzmiało po prostu żalobnie i znikła cała radość, jaką przeżywałam w jego ramionach. Czekałam niecierpliwie na moment, kiedy nareszcie będę mogła z nim porozmawiać i dowiedzieć się, co się stało. Ale Mino zaczął drzemać, a może tylko udawał. Czekałam jakiś czas, aż wreszcie, z takim wysiłkiem, że serce podeszło mi do gardła, zapytałam po cichu:

– A teraz powiesz mi, co się stało!

– Nic się nie stało!

– A jednak coś się musiało stać.

Milczał przez chwilę, po czym powiedział, mówiąc jakby do siebie:

– Uważam, że pomimo wszystko i ty powinnaś o tym wiedzieć. A więc stało się to, że od wczoraj, od godziny jedenastej wieczorem, jestem zdrajcą.

Wydało mi się, że krew krzepnie mi w żyłach, i był to efekt nie tyle jego słów, ile tonu, jakim je wypowiedział. Wyjąkałam:

– Zdrajcą? Dlaczego?

Odpowiedział tym zimnym, ponuro-żartobliwym głosem:

– Pan Mino słynął wśród swoich towarzyszy partyjnych z niezłomności przekonań i z nieprzejednanej postawy... Pan Mino typowany był przez nich na przyszłego wodza i pan Mino tak był pewien, że w każdej okoliczności stanie na wysokości zadania, że życzył sobie prawie, aby go aresztowano, bo miałby okazję poddać się próbie, no tak, pan Mino uważał, że w życiu człowieka zajmującego się polityką areszt, więzienie i inne cierpienia są czymś całkiem zwyczajnym, tak jak w życiu marynarza niebezpieczne wyprawy, huragany, awarie, a tymczasem przy pierwszej wyprawie na morze marynarz nabawił się morskiej choroby, jak wydelikaccona panienska... Pan Mino, kiedy stanął w obliczu pierwszego lepszego chłystka z policji, nie czekał na pogróżki i tortury, ale od razu wyśpiewał wszystko jak z nut, jednym słowem: zdradził... Tak więc od wczoraj pan Mino porzucił karierę polityczną i rozpoczął inną... nazwijmy ją szpiegowską.

– Bałeś się! – zawołałam. Odpowiedział od razu i bardzo spokojnie:

– Nie, może się nawet nie bałem... tylko działo się ze mną to samo, co niegdyś przy tobie, tego wieczoru, kiedy chciałaś, żebym wyjaśnił ci swoje idee. Nagle przestało mnie cokolwiek obchodzić... Ten, który mnie przesłuchiwał, wydał mi się prawie sympatyczny. Zależało mu, żeby dowiedzieć się pewnych rzeczy, a mnie nie zależało w tym momencie, żeby je ukrywać, i całkiem zwyczajnie wszystko mu powiedziałem... A raczej – dodał po chwili namysłu – nie całkiem zwyczajnie... gorliwie, z pośpiechem... powiedziałbym: prawie nadskakująco... Niewiele brakowało, a on musiałby hamować mój entuzjazm!

Pomyślałam o Astaricie i wydało mi się to dziwne, że wzbudził on taką sympatię w Minie.

– A kto cię przesłuchiwał?

– Nie wiem, jak się nazywa... Młody mężczyzna o poźółkłej twarzy, z czarnymi oczyma, łysy, doskonale ubrany... To musiał być jakiś wyższy urzędnik.

– I wydał ci się sympatyczny! – nie mogłam powstrzymać się od tego okrzyku, rozpoznając w tym opisie Astaritę. Zaczął się śmiać w tych ciemnościach, tuż przy moim uchu.

– Poczekaj! Nie on osobiście, ale jego funkcja. Kiedy się z czegoś rezygnuje albo nie umie się być tym, kim powinno się być, wychodzi na wierzch to, czym się jest... Czy nie jestem może synem bogatego właściciela ziemskiego? A ten człowiek, wypełniając swoją funkcję, nie bronił może moich interesów? Porozumieliśmy się jako ludzie tej samej kasty, służący tej samej sprawie. Cóż myślisz? Że ja poczułem sympatię osobiście dla niego?... Nie... nie, ale dla jego funkcji... Poczułem, że to ja go opłacam, jego, który staje w mojej obronie, ja stojący za nim jak szef, pomimo to że znalazłem się przed nim jako oskarżony.

Śmiał się, a raczej zachłystywał się jak kaszlem tym śmiechem, który preraźliwie zgrzytał mi w uszach. Nie rozumiałem nic, prócz jednej tylko rzeczy: że stało się coś nieskończenie smutnego i że całe moje życie jest znowu pod znakiem zapytania. Dorzucił jeszcze po chwili:

– Ale może rzucam na siebie kalumnie. Powiedziałem mu to po prostu dlatego, że nie zależało mi na tym, żeby nie powiedzieć, bo nagle to wszystko wydało mi się niedorzeczne i bez znaczenia, i nie rozumiałem już nic z tych spraw, w które powinienem był wierzyć.

– Nie rozumiałeś? – powtórzyłam machinalnie.

– Tak, a raczej rozumiałem tylko poszczególne słowa, a nie wyrażane tymi słowami fakty... Zrozum, jak można zdecydować się na cierpienie dla samych tylko słów? Słowa to dźwięki. Równie dobrze mógłbym zdecydować się na więzienie dla ryku osła czy skrzypienia kół... Słowa przestały mieć dla mnie jakiegokolwiek

znaczenie, wszystkie wydawały mi się absurdalne, jednakowe, on chciał ode mnie tylko słów i dałem mu ich tyle, ile dusza zapagnie.

– No więc – czułem się w obowiązku zaprotestować – jeśli to były tylko słowa, to dlaczego tak się przejmujesz?

– Tak, ale niestety, zaledwie zacząłem je wymawiać, przestały być tylko słowami i stały się faktami.

– Dlaczego?

– Dlatego, że zacząłem cierpieć... dlatego, że pożałowałem, iż je powiedziałem... dlatego, że zrozumiałem i poczułem, iż wypowiadając te słowa stałem się tym, co określa się mianem zdrajcy.

– Wobec tego dlaczegoś je powiedział?

Odrzekł powoli:

– Dlaczego mówi się przez sen? Może spałem i obudziłem się dopiero teraz.

Tak więc w kółko powtarzał to samo. Poczułem bolesne ukłucie w sercu i wykrztusiłem z wysiłkiem:

– Ale może się mylisz, może ci się tylko tak zdaje, że mówiłeś Bóg wie jakie rzeczy, może nic takiego nie powiedziałeś?

– Nie, nie mylę się – odrzekł krótko.

Milczałam przez chwilę, po czym spytałam:

– A twoi przyjaciele?

– Jacy przyjaciele?

– Tullio i Tommaso.

– Nic o nich nie wiem – odpowiedział z ostentacyjną obojętnością – będą aresztowani.

– Nie, nie będą aresztowani – krzyknęłam. Pomyślałam, że Astarita na pewno nie wykorzysta tej chwilowej słabości Mina. Ale dopiero teraz, na myśl o możliwości aresztowania tych dwóch ludzi, zaczęła świtać mi w głowie groza tej całej sprawy.

– Dlaczego nie mieliby ich aresztować? – powiedział. – Podałem ich nazwiska... nie widzę powodu, żeby ich nie aresztowano.

– Och, Mino – wyrwał mi się rozpaczliwy okrzyk – dlaczego to zrobiłeś?

– Sam zadaję sobie to pytanie.

– Ale jeśli ich nie zaaresztują – mówiłam dalej po chwili, czepiając się tej ostatniej nadziei – wszystko da się naprawić... Oni nie dowiedzą się nigdy, że ty...

Przerwał mi:

– Tak, ale ja będę wiedział... zawsze, zawsze będę wiedział, że nie jestem tym, kim byłem, ale kimś innym, komu w momencie, kiedy zacząłem mówić, dałem życie, ni mniej, ni więcej tylko tak, jak matka daje życie dziecku, i cała bieda w tym, że ten ktoś mi się nie podoba. Bywają mężowie, którzy zabijają żony tylko dlatego, że nie mogą dłużej z nimi wytrzymać, a teraz pomyśl, wyobraź sobie jedno ciało w dwóch osobach, z których jedna śmiertelnie nienawidzi drugiej! A co do moich przyjaciół, to nie ulega wątpliwości, że ich aresztują. Nie mogłam się powstrzymać i powiedziałam:

– Gdybyś trzymał język za zębami, także byłbyś wolny i twoim przyjaciółom nie zagrażałoby żadne niebezpieczeństwo. – Opowiedziałam mu szybko całą historię moich stosunków z Astaritą, moją interwencję w jego

sprawie i obietnicę Astarity. Wysłuchał mnie bez słowa, a potem powiedział:

– Coraz lepiej... Zawdzięczam więc wolność nie tylko mojej gorliwości szpiegowskiej, ale i twoim stosunkom miłosnym z policjantem.

– Mino, nie mów tak!

– A zresztą – dodał po chwili – zadowolony jestem z tego, że upiekło się moim towarzyszom... Przynajmniej ich nie będę miał na sumieniu.

– A widzisz! – powiedziałam z ożywieniem. – Nie ma najmniejszej różnicy między tobą a twoimi przyjaciółmi. Oni także zawdzięczają wolność mnie i temu, że Astarita jest we mnie zakochany.

– Przepraszam... jest różnica... oni się nigdy nie wygadali...

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

– W każdym razie mam nadzieję, a poza tym niewielka z tego pociecha, że się ma współników w nieszczęściu.

– Musisz zachowywać się tak, jakby w ogóle nic nie zaszło – nalegałam – i zobaczyć się z nimi, nie wspominając o niczym ani słowa. Nie przejmuj się, na każdego może przyjść chwila słabości.

– Tak, ale nie każdemu zdarza się umrzeć, a przy tym żyć dalej. Czy wiesz, co stało się ze mną, kiedy zacząłem mówić?... Umarłem... po prostu umarłem na zawsze!

Nie mogłam znieść dłużej tej zmory przytłaczającej mi serce i wybuchnęłam płaczem.

– Dlaczego płaczesz? – zapytał.

– Dlatego, że mówisz takie rzeczy – odpowiedziałam szlochając coraz głośniejsze – że umarłeś... Ja się tak boję!

– Nie masz ochoty przestawać z nieboszczykiem? – zażartował. – A poza tym to wcale nie jest takie straszne, jak by się zdawało... a nawet wcale nie jest straszne... Umarłem w całkiem specjalny sposób. Jeśli idzie o moje ciało, jest ono żywe, dotknij mnie i upewnij się, że żyję. – Chwycił mnie za rękę, zmuszając, żebym go poklepała, a potem przycisnął dłoń do pachwiny. – Jestem żywy, wszędzie, a jeśli idzie o ciebie, jak sama teraz wyczuwasz, jestem bardziej żywy niż kiedykolwiek. Nic się nie bój... przed chwilą kochaliśmy się, kiedy jeszcze żyłem, a teraz, w nagrodę, kochać się będziesz jeszcze goręcej z trupozem!

Z pogardą i złością odepchnął moją bezwładną rękę. Ukryłam twarz w dłoniach, wypłakując całą swoją rozpacz. Miałam ochotę płakać już zawsze, bez końca, bo bałam się tej chwili, kiedy zabraknie mi łez i stanę twarzą w twarz z nieszczęściem, które te łzy wywołało. Gdy ta chwila nadeszła, wytarłam twarz prześcieradłem i wlepiłam w ciemność szeroko otwarte oczy. Wtedy usłyszałam, że pyta mnie łagodnym i czułym głosem:

– A co według ciebie powinienem zrobić? Odwróciłam się gwałtownie i przytuliłam się do niego z całej siły, szepcząc mu prosto w usta:

– Nie myśl już więcej o tym... nie zastanawiaj się... Co było, to było. Oto co masz zrobić!

– A potem?

– Potem zabierzesz się do nauki, skończysz uniwersytet, po studiach wrócisz do rodzinnego miasta... Nie dbam o to, że więcej cię nie zobaczę, bylebym wiedziała, że jesteś szczęśliwy... Weź się do pracy, a kiedy przyjdzie na to czas, ożeń się z dziewczyną z twoich stron, z twojego środowiska, z taką, która naprawdę cię pokocha. Cóż cię obchodzi polityka? Ty nie jesteś stworzony do tych rzeczy, to była pomyłka, ale każdemu może się to zdarzyć...

Kocham cię ponad wszystko, Mino! Inna na moim miejscu nie wyrzekłaby się ciebie, ale jeśli tak będzie trzeba, to jedź choćby jutro... Jeśli tak trzeba, nie zobaczymy się więcej, bylebyś tylko był szczęśliwy.

– Ale ja – odrzekł czystym i niskim głosem – nigdy już nie będę szczęśliwy... jestem zdrajcą!

– To nieprawda – odpowiedziałam z rozpaczą – nie jesteś zdrajcą, a nawet gdybyś był zdrajcą, to i tak mógłbyś być szczęśliwy. Jest wielu ludzi, którzy popełnili nawet zbrodnie i pomimo to są zupełnie szczęśliwi. Weź na przykład mnie! Kiedy się mówi: dziewczyna uliczna, można wyobrazić sobie Bóg wie jakie rzeczy, a tymczasem ja jestem taką samą kobietą jak każda inna i często jestem nawet szczęśliwa... W ostatnim czasie – dodałam gorzko – taka byłam szczęśliwa!

– Byłaś szczęśliwa?

– Tak, bardzo, ale wiedziałam, że to długo nie potrwa, i tak się też stało – po tych słowach znowu zebrało mi się na płacz, ale opanowałam się i ciągnęłam dalej: – Ty wyobrażałeś sobie, że jesteś całkiem inny, niż jesteś w istocie... i stało się. Teraz pogódź się z tym, czym naprawdę jesteś. Zobaczysz, że wszystko zupełnie inaczej się ułoży. W gruncie rzeczy bolejesz nad tym, co się stało, wstydzisz się i boisz, jak osądzą twoje postępowanie inni, twoi przyjaciele. Przystaniesz się z nimi widywać, poznasz innych ludzi, świat jest taki duży... Jeśli oni nie są do ciebie przywiązani na tyle, żeby zrozumieć, że była to tylko chwila słabości, zostaniesz przy mnie, ja cię kocham, rozumiem i nie osądzam... Naprawdę – krzyknęłam głośno i stanowczo – choćbyś popełnił tysiąc razy gorszą rzecz, będziesz zawsze moim Minem!

Nic nie odpowiedział, a ja mówiłam dalej:

– Jestem biedną, głupią dziewczyną, wiem o tym, ale rozumiem pewne rzeczy lepiej od twoich przyjaciół. Ja także czułam to, co ty teraz czujesz... Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy i tyś mnie nawet nie dotknął, wbiłam sobie do głowy, że mną pogardzasz, i nagle straciłam całą ochotę do życia, czułam się strasznie nieszczęśliwa... Chciałam być czymś innym, a wiedziałam, że to niemożliwe, że będę zawsze tym, czym jestem... Odczuwałam lepki, palący wstyd, nudę, rozpacz, czułam się jak sparaliżowana, chwilami pragnęłam śmierci, a potem pewnego dnia wyszłam z matką i po drodze wstąpiłyśmy do kościoła... Kiedy się tam modliłam, zrozumiałam, że nie mam się czego wstydzić, jeśli jestem taka, to znaczy, że Bóg tak chciał, że nie powinnam buntować się przeciwko mojemu losowi, ale się z nim pogodzić, łagodnie, z ufnością, i że jeśli ty mną pogardzasz, to moja wina, a nie twoja... Myślałam o tylu rzeczach, że na koniec minęło moje przygnębienie i znowu poczułam się lekka i radosna.

Zaczął się śmiać tym śmiechem, który mrozi mi krew w żyłach, a potem powiedział:

– Jednym słowem, powinienem pogodzić się z tym, co się stało, i nie buntować się, powinienem pogodzić się z tym, czym jestem, i nie wydawać wyroku na siebie! Możliwe, że pewne rzeczy mogą się zdarzyć w kościele... ale poza kościołem...

– Idź do kościoła! – zawołałam czepiając się tej nowej nadziei.

– Nie, nie pójdę, nie jestem wierzący i nudzę się w kościele, a poza tym, cóż my prowadzimy za rozmowy!
– Znowu zaczął się śmiać, ale naraz śmiech uwiązał mu w gardle i chwytając mnie za ramiona, gwałtownie zaczął mną potrząsać, jakby nagle ogarnęła go furia:

– Czy ty nie rozumiesz, co ja zrobiłem? Nie rozumiesz? Nie rozumiesz? – Potrząsał mną z taką siłą, że się dusiłam, po czym odepchnął mnie, wyskoczył z łóżka i po ciemku zaczął się ubierać. – Nie zapalaj światła – powiedział tonem groźby – będę musiał się przyzwyczaić do widoku własnej twarzy, ale jeszcze na to za

wcześniej!... Żebyś mi się nie ważyła zapalić lampy!

Po prostu bałam się odetchnąć. Ale w końcu zapytałam:

– Odchodzisz?

– Tak, ale niedługo wrócę! – powiedział; wydawało mi się że zaśmiał się znowu. – Nic się nie bój, wrócę, a nawet mam ci do zakomunikowania dobrą wiadomość: zamieszkać u ciebie na stałe.

– U mnie?

– Tak, ale nie będę ci się narzucał, będziesz mogła prowadzić własne życie... A zresztą – dodał – możemy oboje żyć z tego, co przysyłają mi z domu. Dotąd płaciłem za pokój i utrzymanie, ale jeżeli będziemy się stołować w domu, wystarczy pieniędzy dla nas obojga.

Jego pomysł zamieszkania u mnie wydał mi się raczej dziwny niż przyjemny. Ale nie śmiałam nic powiedzieć. W milczeniu skończył się ubierać. – Wrócę wieczorem – powiedział. Usłyszałam, jak otwiera drzwi, wychodzi, zamyka drzwi. Zostałam sama, z szeroko otwartymi w ciemnościach oczyma.

Rozdział 10

Zastosowałam się do rady Astarity i jeszcze tego samego popołudnia poszłam do komisariatu rejonowego, żeby złożyć zeznania w sprawie Sonzogna. Udałam się tam bardzo niechętnie, bo po przejściach Mina wszystko, co miało związek z policją i policjantami, budziło we mnie wstręt. Jednakże zdecydowałam się na ten krok, bo wiedziałam, że przynajmniej przez jakiś czas będę miała dla kogo żyć.

– Czekamy na ciebie od rana – powiedział komisarz, kiedy wytłumaczyłam cel mojej wizyty. Był to porządny człowiek, znałam go od dawna; chociaż był ojcem rodziny i przekroczył pięćdziesiątkę, wiedziałam, że czuje dla mnie coś więcej niż sympatię. Utkwił mi w pamięci przede wszystkim jego nos, duży i mięsisty, nadający twarzy melancholijny wyraz. Włosy miał zawsze potargane, oczy w półprzymknięte, jak gdyby dopiero co wstał z łóżka. Te oczy jaskrawobłękitnego koloru spoglądały na mnie, jakby poprzez maskę, z nalanej, czerwonej, pełnej nierówności twarzy, przypominającej skórę późnych pomarańczy, które są wprawdzie ogromne, ale wewnątrz zupełnie wysuszone.

Powiedziałam, że nie mogłam przyjść wcześniej. Patrzył na mnie przez chwilę szafirowymi oczyma, osadzonymi głęboko w tej pomarańczy-twarzy, po czym zapytał porozumiewawczym tonem:

– A więc jak on się nazywa?

– A skąd ja mogę wiedzieć!

– Nie udawaj, wiesz!

– Słowo honoru – powiedziałam przykładając rękę do piersi – zaczepił mnie na Corso. Rzeczywiście, jego zachowanie wydało mi się jakieś dziwne, ale nie zwróciłam na to większej uwagi.

– A po co siedział u was w mieszkaniu, jeżeli ciebie nie było w domu?

– Miałam pilne spotkanie, zostawiłam go i wyszłam.

– A on był pewien, żeś poszła na policję, wiesz? I krzyknął, żeś go wydała.

– Tak, wiem.

– I że drogo za to zapłacisz.

– Głupstwo.

– Czy nie zdajesz sobie sprawy – powiedział patrząc na mnie – że to jest niebezpieczny człowiek i że jutro, żeby pomścić twoją domniemaną zdradę, może strzelić do ciebie, tak jak strzelał do policjantów?

– Oczywiście, że zdaję sobie z tego sprawę.

– Więc dlaczego nie chcesz powiedzieć jego nazwiska?... Zaaresztujemy go i będziesz miała spokój.

– Przecież mówię, że nie wiem, jak on się nazywa... Czy muszę znać nazwiska wszystkich mężczyzn, których przyprowadzam do domu?

– Ale my – oświadczył nagle podnosząc głos i teatralnie pochylając się do przodu – znamy jego nazwisko.

Domyślałam się, że to podstęp, i odpowiedziałam spokojnie:

– Jeżeli znacie; to po co mi zawracacie głowę? Aresztujcie go i koniec.

Spoglądał na mnie przez chwilę w milczeniu; zauważyłam, że niespokojnym wzrokiem śledzi nie tyle moją

twarz, ile figurę. Zrozumiałam, że nagle, na przekór jego woli, dawna namiętność wzięła górę nad żyłką zawodową.

– Wiemy jeszcze coś więcej – ciągnął dalej – że jeśli ostrzeliwał się i uciekł, musiał mieć swoje powody ku temu.

– Ja także jestem tego pewna.

– Ale ty znasz powody.

– Nic nie wiem... Jeżeli nie znam nawet jego nazwiska, to jak mogę wiedzieć resztę?

– A my doskonale znamy tę resztę. – Mówił teraz machinalnie, jak gdyby myślał o czym innym, i byłam pewna, że za chwilę wstanie i podejdzie do mnie. – Znamy go na wylot i złapiemy go, to kwestia dni, może godzin.

– Tym lepiej dla was.

Wstał, tak jak przewidywałam, zbliżył się i ujmując mnie pod brodę, powiedział:

– No, no... Wiesz wszystko, tylko nie chcesz powiedzieć... Czego się boisz?

– Niczego się nie boję – odpowiedziałam – nic nie wiem, a ręce niech pan trzyma przy sobie.

– No, no – powtórzył, ale wrócił na swoje miejsce i usiadł za stołem. – Masz szczęście – ciągnął dalej – bo mam do ciebie słabość i wiem, że dzielna z ciebie dziewczyna... Wiesz, co by zrobił ktoś inny na moim miejscu? Wpakowałyby cię do aresztu, żeby rozwiązać ci język... i prędko by cię nie wypuścili... A potem znalazłabyś się w San Gallicano.

Wstałam i powiedziałam:

– Mam bardzo niewiele czasu... jeżeli pan nie ma mi nic więcej do powiedzenia...

– Idź, ale bądź ostrożniejsza ze swoimi znajomościami... politycznymi i innymi.

Udałam, że nie zrozumiałam jego ostatnich słów, i wyszłam szybko z tego niechlujnego biura.

Na ulicy znowu przyszedł mi na myśl Sonzogno. Komisarz potwierdził moje przypuszczenia: Sonzogno w przekonaniu, że go zadenuncjowałam, gotował się do zemsty. Ogarnął mnie straszliwy lęk, ale bałam się nie o siebie, lecz o Mina. Sonzogno był niepoczytalny i gdyby zastał u mnie Mina, nie zawahałby się ani przez chwilę, zamordowałby nas oboje. Muszę powiedzieć, że dziwnie pociągała mnie myśl o wspólnej śmierci z Minem. Wydawało mi się, że widzę tę scenę: oto Sonzogno strzela, ja rzucam się między nich na ratunek Mina i ginę od wystrzału, który w niego był wymierzony. Ale nie bez przyjemności wyobrażałam sobie, że Mino także zostaje ranny i że umieramy oboje, a krew nasza zlewa się w jeden strumień. Ale pomyślałam przy tym, że zginąć razem w jednej chwili, z ręki jednego mordercy, nie byłoby tak pięknie, jak popełnić wspólnie samobójstwo. Odebranie sobie życia we dwoje uważałam za godne zakończenie wielkiej miłości. Było to jak zerwanie kwiatu, zanim zwiędnie, pogrążenie się w wiecznej ciszy po wysłuchaniu niebiańskiej muzyki. Często myślałam o takim samobójstwie, które zatrzymuje czas, zanim obrzydzi on i zniszczy miłość, o samobójstwie będącym następstwem nadmiaru szczęścia, a nie smutku i cierpienia. W momentach, kiedy moja miłość do Mina tak przybierała na sile, że bałam się, iż nie wytrzymam długo tego napięcia, nasuwała mi się myśl o wspólnym samobójstwie w sposób zupełnie naturalny, równie żywiołowa jak pocałunki i pieszczoty. Ale nigdy mu o tym nie wspominałam, bo do tego rodzaju wspólnej śmierci potrzebna jest wzajemna miłość, a Mino mnie nie kochał. A jeśli mnie nawet kochał, to nie na tyle, żeby pragnąć śmierci. Wracając do domu, byłam całkowicie pochłonięta tymi myślami; szłam szybko, ze spuszczoną głową. Nagle zakręciło mi się w głowie, chwyciły mnie mdłości i poczułam śmiertelną słabość w całym ciele. Ledwie zdążyłam wejść do mleczarni. Od domu dzieliło mnie zaledwie kilka kroków, ale nie czułam się na

siłach, aby tam dojść.

Usiadłam przy stoliku za szklanymi drzwiami, przymknęłam oczy, ścięta z nóg tym nagłym niedomaganiem. W dalszym ciągu mdliło mnie i kręciło mi się w głowie, a uczucie to wzmogło się jeszcze, kiedy doleciał mnie syk pary wydobywającej się z ekspresu do kawy, dziwnie odległy i przykry zarazem. Czułam na twarzy i rękach ciepło dobrze ogrzanej sali, a mimo to wydawało mi się, że przemarzłam. Właściciel mleczarni, który mnie znał, zawołał spoza lady:

– Kawa, panno Adriano? – Nie otwierając oczu, przytaknęłam skinieniem głowy.

Na koniec przyszłam do siebie i popijałam kawę, którą gospodarz postawił mi na stoliku. Co prawda, nie zdarzyło mi się to pierwszy raz; w ostatnim czasie już kilkakrotnie odczuwałam podobną słabość, ale w bez porównania mniejszym stopniu. Nie zwróciłam na to uwagi w nawale tylu niezwykłych i absorbujących wydarzeń. Ale obecnie, zastanawiając się nad tym i łącząc owo złe samopoczucie z faktem, że spóźniła mi się miesiączka, doszłam do przekonania, że podejrzenia, które wprawdzie stale odsuwałam, ale które zawsze utrzymywały się na dnie mojej świadomości, okazały się słuszne. „Nie ma wątpliwości – pomyślałam nagle – na pewno jestem w odmiennym stanie!”

Zapłaciłam za kawę i wyszłam z mleczarni. To, co wtedy odczuwałam, było bardzo skomplikowane i nawet dzisiaj, z perspektywy czasu, trudno powiedzieć mi cokolwiek na ten temat. Stwierdziłam już od dawna, że nieszczęścia zawsze chodzą w parze; to wydarzenie, które kiedy indziej i w innych warunkach sprawiłoby mi wielką radość, musiałam teraz uważać za katastrofalne. Ale moja natura każe mi zawsze spontanicznie doszukiwać się dobrych stron w najprzykrzejszych nawet sprawach. Tym razem było to łatwiejsze niż kiedykolwiek, bo w takiej chwili serce każdej kobiety napełnia nadzieja i zadowolenie. Prawda, że moje dziecko urodzić się miało w najmniej sprzyjających okolicznościach, ale było to przecież moje własne dziecko, które urodzę, wychowam i którym się będę cieszyła. Zawsze co dziecko, to dziecko, myślałam sobie. I nie ma takiej niepewności jutra, które mogłoby przeszkodzić kobiecie radować się, że wyda na świat żywą istotkę.

Te myśli uspokoiły mnie, minęło moje chwilowe przygnębienie i niepokój, odzyskałam pogodę ducha i z ufnością spoglądałam w przyszłość. Gabinet przyjęć młodego lekarza, do którego niegdyś zaprowadziła mnie matka, żeby się upewnić, czy straciłam dziewictwo, mieścił się o kilka domów za mleczarnią. Postanowiłam pójść tam i dać się zbadać. Było wcześniej i w poczekalni było pusto. Doktor, który znał mnie doskonale, przywitał się ze mną bardzo serdecznie. Zamknęłam za sobą drzwi i powiedziałam spokojnie:

– Panie doktorze, jestem prawie pewna, że zaszłam w ciążę.

Zaczął się śmiać, bo znał moją profesję, i zapytał:

– No i co? Martwisz się?

– Wcale się nie martwię, a nawet jestem zadowolona.

– Zaraz zobaczymy.

Wypytywał mnie przez chwilę, jakie miałam objawy, a potem kazał mi się położyć na obitej ceratą kanapce. Zbadawszy mnie powiedział wesoło:

– Tym razem... tak!

Przyjęłam jego lekarskie stwierdzenie z zadowoleniem, bez cienia przykrości, spokojnie. Odpowiedziałam:

– Wiedziałam o tym... przyszłam tu tylko dlatego, żeby mieć pewność.

– Nie ma żadnych wątpliwości!

Zacierał ręce z radością, jak gdyby on był ojcem, i kołysał się to na jednej nodze, to na drugiej, rozweselony, tryskający sympatią do mnie. Męczyła mnie jeszcze jedna wątpliwość i żeby ją wyjaśnić, zapytałam:

– Od jak dawna?

– No, mniej więcej dwa miesiące... A dlaczego pytasz? Chcesz wiedzieć, kto?

– Już wiem.

Skierowałam się do drzwi.

– Jeśli będziesz miała jakieś trudności, przyjdź do mnie – powiedział otwierając mi drzwi – a kiedy nadejdzie czas, urządzimy wszystko tak, żeby dziecko przyszło na świat w jak najlepszych warunkach. – Doktor, tak samo jak komisarz, miał wielką słabość do mnie, ale on, w przeciwieństwie do komisarza, podobał mi się. Opisywałam już raz jego powierzchowność: młody, przystojny, smagły, zdrowy i energiczny, miał czarne wąsiki, błyszczące oczy, białe zęby, był żywy i ruchliwy jak pies myśliwski. Często chodziłam do niego na badanie, zwykle co dwa tygodnie; ponieważ nigdy nie brał ode mnie pieniędzy, chciałam oddać mu się przez wdzięczność, na tej ceratowej kanapce, na której mnie badał. Ale on zachowywał się zawsze bardzo powściągliwie, nie robił mi nigdy żadnych propozycji, najwyżej żartował ze mną. Zawsze udzielał mi rad i myślę, że podkochiwał się we mnie na swój sposób.

Powiedziałam doktorowi, że wiem, kto jest ojcem mego dziecka, ale naprawdę były to tylko domysły, w dodatku instynktowne, niczym nie uzasadnione. Dopiero kiedy wyszłam na ulicę i zaczęłam liczyć dni oraz łączyć fakty, moje domysły zamieniły się w pewność. Przypomniałam sobie pomieszane uczucie grozy i rozkoszy, rodzierający okrzyk, jaki wyrwał mi się w ciemnościach właśnie około dwóch miesięcy temu, i doszłam do przekonania, że ojcem dziecka może być tylko Sonzogno. Straszna była owa świadomość, że noszę w łonie płód bezlitosnego, potwornego mordercy – przede wszystkim dlatego, że dziecko mogłoby być podobne do ojca, odziedziczyć jego charakter. Jednocześnie starałam się szukać jakiegoś usprawiedliwienia dla tego ojcostwa. Pośród wszystkich moich kochanków Sonzogno był jedynym, który naprawdę mnie posiadał, i pomimo że nie łączyła nas miłość, przeniknął do najintymniejszych głębi mego ciała. To, że napełniał mnie lękiem i wstrętem i że musiałam mu się oddać wbrew woli, nie tylko nie umniejszało, ale potęgowało jeszcze pełnię i ogrom tego podboju. Ani Gino, ani Astarita, ani nawet Mino, za którym szalałam, ale w całkiem inny sposób, nie wzbudzili we mnie nigdy tego uczucia legalnej, choć nienawistnej przynależności. To wszystko wydawało mi się dziwne i zarazem przerażające; ale tak już jest, że uczucia są jedyną rzeczą, jakiej nie można ani się zaprzeczyć, ani zmienić, ani w pewnym sensie analizować. Doszłam na koniec do wniosku, że czymś zupełnie innym jest miłość do mężczyzny, a czymś innym sam akt zapłodnienia; i jeśli można uważać za słuszne, że urodzę dziecko Sonzogno, to równie słuszne jest to, że go nienawidzę i że przed nim uciekam, a kocham Mina.

Weszłam powoli na schody, myśląc o tym żywym ciężarze, jaki noszę pod sercem; kiedy znalazłam się w przedpokoju, dobiegły mnie z jadalni odgłosy rozmowy. Zajrzałam tam i ku memu zdumieniu zobaczyłam przy stole Mina, najspokojniej gawędzącego z matką, która, zajęta szyciem, siedziała obok. Paliła się tylko środkowa, nisko zawieszona nad stołem lampa, i znaczna część pokoju pogrążona była w mroku.

– Dobry wieczór – powiedziałam cicho, podchodząc do nich.

– Dobry wieczór, dobry wieczór – odrzekł Mino wyniośle i wahająco. Spojrzałam na niego i kiedy

zobaczyłam jego błyszczące oczy, domyśliłam się od razu, że jest pijany. Koniec stołu przykryty był obrusem i leżały na nim dwa nakrycia. Ponieważ matka zawsze jadała sama w kuchni, domyśliłam się, że drugie nakrycie przeznaczone jest dla Mina. – Dobry wieczór – powtórzył – przyniosłem walizki, stoją u ciebie, a także zdążyłem się już zaprzyjaźnić z twoją matką... Prawda, proszę pani, że rozumiemy się doskonale?

Poczułam nagły skurcz w sercu, słysząc ten głos ironiczny, smutno-żartobliwy. Przysiadłam na krześle i na chwilę przymknęłam oczy. Usłyszałam odpowiedź matki:

– Pan mówi, że się rozumiemy! Jeżeli będzie pan źle mówił o Adrianie, nie zrozumiemy się nigdy!

– Ale cóż ja takiego powiedziałem? – zapytał Mino z udanym zdziwieniem. – Że Adriana jest jakby stworzona do tego rodzaju życia, że jest jej z tym doskonale... Cóż w tym złego?

– A właśnie, że to nieprawda – opryskliwie odpowiedziała matka. – Adriana nie nadaje się do tego życia, ze swoją urodą zasługiwała na coś o wiele, wiele lepszego... Czy pan wie, że Adriana jest jedną z najpiękniejszych dziewcząt w tej dzielnicy, a może nawet w całym Rzymie? Ile to brzydszych od niej robi karierę, a Adriana, piękna jak królowa, nie... Ale ja wiem dlaczego.

– Dlaczego?

– Bo jest za dobra, właśnie dlatego, że jest ładna i dobra. Gdyby była ładna i zła, zobaczyłby pan, że wszystko wzięłoby inny obrót.

– Dobrze już, dobrze – odezwał się poirytowana tą kłótnią, a przede wszystkim tonem Mina, który wyraźnie kpił sobie z matki. – Jestem bardzo głodna, czy nie ma jeszcze kolacji?

– Jest, zaraz przyniosę. – Matka odłożyła robotę na stół i wyszła szybkim krokiem. Wstałam i wybiegłam za nią do kuchni.

– Cóż to? Zakładamy pensjonat? – burknęła, kiedy podeszłam do niej. – Zjawił się tutaj z miną pana domu, porozstawiał walizki w twoim pokoju, a potem dał mi pieniądze na zakupy.

– No i co, zadowolona jesteś?

– Wolałam tak, jak było przedtem.

– Wiesz przecież, że jesteśmy zaręczeni; poza tym on wprowadził się do nas tylko na jakiś czas, nie będzie tu przecież stale mieszkał. – Mówiłam w tym tonie jeszcze przez chwilę, żeby ją udobruchać, i wróciłam do jadalni.

Długo będę pamiętała tę pierwszą kolację Mina u nas ze mną i matką. Jadł z wielkim apetytem i dowcipkował bez przerwy. Ale jego żarty wydawały mi się zimniejsze niż lód i kwaśniejsze niż cytryna. Było oczywiste, że prześladuje go tylko jedna myśl, głęboko tkwiąca w jego sumieniu niczym cierń w żywym ciecie, i że żarty jątrzą tylko tę ranę, potęgując ból. Myślał o tym, co powiedział Astaricie; i doprawdy nigdy nie zdarzyło mi się widzieć, żeby ktoś goręcej żałował swego czynu. Tylko w przeciwieństwie do tego, o czym pouczali mnie księża, kiedy byłam dziewczynką, że skrucza zmywa winę, jego skrucza wydawała się nie mieć ani ujścia, ani końca, ani jakiegokolwiek dobroczynnego wpływu. Rozumiałam, że straszliwie cierpi, i cierpiałam tak samo, a może i więcej, bolałam bowiem nie tylko nad nim, ale także nad własną bezradnością, nad tym, że nie mogę mu przynieść ulgi.

Pierwsze danie zjedliśmy w milczeniu. Potem matka, obsługując nas, powiedziała coś na temat ceny mięsa, a na to Mino podniósł głowę i oświadczył:

– Nie ma zmartwienia, proszę pani, od dzisiaj ja będę dawał na wszystko, mam obiecaną dobrą posadę.

Słowa te wzbudziły we mnie trochę nadziei. Matka spytała:

– A jaka to posada?

– Posada w policji – odrzekł Mino z przesadną powagą i naciskiem – daje mi ją przyjaciel Adriany... pan Astarita.

Odłożyłam nóż i widelec i przenikliwie na niego spojrzałam. Ale on mówił dalej:

– Odkryli, że posiadam wyjątkowe kwalifikacje do objęcia stanowiska w policji.

– Możliwe – odrzekła matka – ale ja nigdy nie lubiłam policjantów... Także syn tej praczki z parteru został posterunkowym i wie pan, co mu powiedzieli chłopcy, co pracują tu w magazynach z cementem? „Trzymaj się od nas z daleka, bo nie chcemy cię więcej znać...”, a poza tym tam bardzo źle płacą. – Skrzywiła się, zmieniła talerze i podała mu na tacy mięso.

– Ależ to nie to samo – odparł Mino nakładając mięso na talerz – tu wchodzi w grę wysokie stanowisko, załatwianie spraw delikatnych i ściśle tajnych. Muszą mi się chyba przydać, do diabła, moje studia... Mam prawie ukończony uniwersytet, znam języki; na posterunkowych idą dziady, a nie tacy ludzie jak ja.

– Możliwe – powtórzyła matka. – Weź to – dorzuciła zsuwając mi na talerz największy kawałek mięsa.

Mino odpowiedział:

– Możliwe?... Nie, to fakt!

Zamilkł na chwilę, a potem mówił dalej:

– Rząd doskonale zdaje sobie sprawę, że nie brak ludzi mających jak najgorsze intencje, i to zarówno wśród biednych, jak i bogatych. Do śledzenia bogatych potrzeba ludzi dobrze wychowanych, którzy wyrażają się tak samo jak oni, ubierają się tak jak oni, mają takie same maniery, jednym słowem, mogą wzbudzić ich zaufanie, i ja właśnie będę to robił... Będę miał wysoką pensję, będę się zatrzymywał w najelegantszych hotelach, podróżował wagonem sypialnym, jadał w najlepszych restauracjach, chodził na luksusowe plaże, odwiedzał modne uzdrowiska w górach, ubierał się u najlepszego krawca! Cóż, do diabła, za kogo mnie pani bierze?

Matka patrzyła teraz na niego z otwartymi ustami. Zaćmiło jej się w głowie od tych miraży.

– No, jeśli tak – powiedziała w końcu – to nie powiem już marnego słowa.

Skończyłam jeść i poczułam nagle, że nie zniosę ani chwili dłużej tej makabrycznej komedii.

– Jestem zmęczona – powiedziałam ostro – idę do siebie. – Wstałam i wyszłam z jadalni.

Usiadłam w swoim pokoju na łóżku, skuliłam się i zaczęłam cicho płakać. Zastoniłam twarz rękami i łzy przeciekały mi przez palce. Myślałam o cierpieniach Mina, o dziecku, które ma przyjść na świat, i wydawało mi się, że i ból, i dziecko rosną niezależnie ode mnie: po prostu żyją i nie ma na to rady. Po chwili wszedł Mino; wstałam natychmiast i przesłam w drugi kąt pokoju, żeby nie widział, że płakałam, i żeby obetrzeć oczy. Zapalił papierosa i wyciągnął się na łóżku. Usiadłam przy nim i powiedziałam:

– Mino, proszę cię... nie rozmawiaj już w taki sposób z matką.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ona nic nie rozumie, ale ja rozumiem i serce mi krwawi na każde twoje słowo!

Nic nie odpowiedział i dalej palił w milczeniu. Wyjęłam z szuflady koszulę, wzięłam igłę i motek jedwabiu, usiadłam na łóżku przy lampie i zaczęłam szyć w milczeniu. Nie chciałam nic mówić, bo bałam się nowej dyskusji na ten sam temat i miałam nadzieję, że milczenie sprawi Minowi pewną ulgę. Szycie wymaga wielkiej uwagi wzrokowej, ale myśl pozostaje wolna, o czym dobrze wiedzą wszystkie kobiety, trudniące się tym fachem. Podczas

szycia myśli wirowały gorączkowo w mojej głowie. Migająca mi w rękę igła z nitką, którą dziergałam dziurki w materiale, zdawała się także zeszywać jakieś pęknięcia w moim mózgu. Miałam teraz tę samą obsesję co Mino i nie mogłam nie myśleć o jego rozmowie z Astaritą i o jej ewentualnych konsekwencjach. Ale nie chciałam się nad tym zastanawiać także i dlatego, aby podświadomie nie narzucić tych myśli Minowi, czym mimo woli powiększyłabym jeszcze jego udękę. Postanowiłam więc zająć się czymś innym, czymś miłym, pogodnym i lekkim i całą siłą woli skupiłam myśl wokół dziecka, które miało się urodzić i które było jedynym jasnym promieniem pośród tych wszystkich nieszczęść. Wyobrażałam sobie, jak będzie wyglądało mając dwa, trzy lata, bo w tym wieku dzieci są najmiłsze i najładniejsze, co będzie robiło, mówiło i jak będę je wychowywała; jak się spodziewałam, rozważania te rozweseliły mnie i pozwoliły na chwilę zapomnieć o Minie. Skończyłam reperować koszulę i, biorąc inną sztukę bielizny do cerowania, pomyślałam, że długie godziny spędzane z Minem będę mogła sobie uprzyjemnić szyciem wyprawki. Szło tylko o to, żeby robić to w tajemnicy albo znaleźć jakiś pretekst. Postanowiłam mu powiedzieć, że przygotowuję wyprawkę dla mojej sąsiadki, która rzeczywiście także spodziewała się dziecka. Uważałam, że będzie to wystarczająca wymówka, tym bardziej że wspomniałam już Minowi o tej kobiecie i on litował się nad jej nędzą. Owe myśli wprawiły mnie w takie podniecenie, że prawie bezwiednie zaczęłam półgłosem śpiewać. Jestem bardzo muzykalna i choć głos mój nie jest silny, ma bardzo dźwięczne brzmienie, co można też stwierdzić, kiedy mówię. Zaczęłam nucić modną wówczas piosenkę: „Smutna willa”. Kiedy podniosłam oczy, odgryzając nitkę zębami, zauważyłam, że Mino na mnie patrzy. Pomyślałam więc, że może czuje żal do mnie, iż śpiewam w tak ciężkiej dla niego chwili, i zamilkłam.

On przyglądał mi się, po czym powiedział:

- Zaśpiewaj jeszcze!
- Przyjemnie ci słuchać, jak śpiewam?
- Tak.
- Ale ja nie umiem śpiewać.
- Nie szkodzi.

Znowu zabrałam się do szycia i zaczęłam śpiewać dla niego. Jak wszystkie dziewczęta, znałam wiele piosenek. A nawet repertuar mój był wyjątkowo bogaty, bo doskonale pamiętałam jeszcze te melodie, których nauczyłam się jako dziecko. Śpiewałam mu więc wszystko po trochu. Z początku tylko nuciłam, ale potem rozśpiewałam się pełnym głosem, wkładając w to całe serce. Piosenka biegła za piosenką i przy każdej myślałam już o następnej. Mino słuchał mnie z rozpozgodzoną twarzą, a ja byłam szczęśliwa, że oderwał się od swoich zmartwień. Lecz nagle przypomniałam sobie epizod z dawnych lat, kiedy jako małe dziecko zgubiłam jakąś ulubioną zabawkę. Nie mogąc przeboleć tej straty zanosilałam się od płaczu i matka, żeby mnie pocieszyć, usiadła przy moim łóżeczku i zaczęła mi śpiewać na pocieszenie. Znała tylko parę piosenek i głos miała chrapliwy, ale pomimo to udało jej się początkowo mnie zająć. Słuchałam jej z uwagą, ale po pewnym czasie znowu zaczęła mnie drażnić myśl o zaginionej zabawce, zakłócając chwilę zapomnienia i zatruwając mi w końcu całą przyjemność, jaką sprawiał mi śpiew matki. Na koniec, przez kontrast z moją stratą, stał się on dla mnie czymś nie do zniesienia i znowu wybuchnęłam płaczem. Zniecierpliwiona matka zgasiła światło, zostawiając mnie samą w ciemnym pokoju, żebym wypłakała się do woli. Byłam pewna, że kiedy Mino wyrwie się spod chwilowego uroku mojego śpiewu, po wysłuchaniu tych błahych, sentymentalnych piosenek, będzie cierpiał jeszcze dotkliwiej i gwałtowniej, i nie myliłam

się. Śpiewałam już blisko godzinę, gdy nagle przerwał mi opryskliwie:

– Dosyć... sprzykrzyły mi się twoje piosenki. – Potem odwrócił się do mnie plecami i skulił się, jak gdyby chciał spać.

Przewidziałam jego reakcję i nie bardzo się tym przejęłam. A zresztą nie spodziewałam się już niczego prócz samych tylko przykrości i zdziwiłabym się nawet, gdyby zachował się inaczej. Wstałam i schowałam pocerowaną bieliznę. Potem rozebrałam się bez słowa i wsunęłam się do łóżka z tej strony, gdzie było wolne miejsce. Przez długi czas leżeliśmy odwróteni do siebie plecami. Wiedziałam, że on nie śpi, że rozważa swoją sprawę. Świadomość ta, połączona z rozpaczliwym uczuciem własnej bezsilności, wywoływała przerażający zamęt w mojej głowie. Leżałam na boku i bijąc się z myślami wpatrywałam się w przeciwny kąt pokoju. Stały tam dwie walizki, które Mino przyniósł z mieszkania wdowy Medolaghi. Jedna z nich, dość zniszczona, z żółtej skóry, cała była oblepiona różnokolorowymi hotelowymi etykietami. Specjalnie wpadła mi w oko etykieta z trójkątem błękitnego morza i czerwoną skałą, z napisem „Capri”. W tym mroku, na tle nędznych, szarych mebli mojego pokoju ów skrawek błękitu wydawał mi się świetlną plamą, a nawet czymś więcej; szczeliną, przez którą mogłam dostrzec rąbek dalekiego morza. Ogarnęła mnie nagle tęsknota za morzem, wesołym, pełnym życia, w którym każdy przedmiot, choćby najbrudniejszy, najbardziej niekształtny, oczyszcza się, wygładza, szlifuje, aż staje się ładny i czysty. Zawsze lubiłam morze, nawet to swojskie i zatłoczone w Ostii; doznaję zawsze na jego widok uczucia całkowitego wyzwolenia; najbardziej zachwyca ono mój słuch, jak gdyby jego fale wystukiwały nieustannie nuty jakiejś zaczarowanej, odwiecznej muzyki. Zaczęłam myśleć z bolesnym natężeniem o morzu, o jego przejrzystych wodach, które zdają się obmywać nie tylko ciało, ale i duszę, aż staje się lekka i radosna. Zapytałam nagle Mina:

– Byłeś na Capri?

– Tak – odrzekł nie odwracając się.

– Ładnie tam jest?

– Tak... cudownie.

– Słuchaj – powiedziałam przysuwając się do niego i obejmując go ramieniem za szyję – dlaczego nie mielibyśmy pojechać na Capri albo do jakiejś innej nadmorskiej miejscowości? W Rzymie będziesz stale truć się tą przykrą sprawą, a gdybyś się znalazł gdzie indziej, odetchnął innym powietrzem, jestem pewna, że patrzyłbyś na wszystko innymi oczyma, zobaczyłbyś tyle rzeczy, których nie możesz dostrzec teraz... Jestem pewna, że to zrobiłoby ci bardzo dobrze!

Nie odpowiedział od razu, zdawał się namyślać. Po chwili zaczął:

– Nie muszę po to jechać nad morze, także i tutaj mógłbym, jak mówisz, patrzeć na wszystko innymi oczyma, wystarczyłoby pogodzić się, wedle twojej rady, z tym, co zrobiłem, i od razu zacząłbym cieszyć się niebem, ziemią, tobą, każdą rzeczą... Czy ty myślisz, że ja nie wiem, że świat jest piękny?

– No więc – powiedziałam z zapartym tchem – pogódź się z tym! Czy to tak trudno?

Zaczął się śmiać:

– Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć, zrobić tak jak ty, od razu się z tym pogodzić... Żebracy, którzy grzeją się w słońcu na stopniach kościoła, także pogodzili się ze swoim losem... Dla mnie już jest za późno.

– Ale dlaczego?

– Jedni godzą się ze wszystkim, a drudzy nie... Najwidoczniej należę do tej drugiej kategorii.

Milczałam, nie wiedząc, co powiedzieć. Mino dorzucił po chwili:

– A teraz zgaś światło, rozbiore się po ciemku... Myślę, że czas już spać.

Zrobiłam jak chciał, on rozebrał się i położył przy mnie. Przytuliłam się do niego i chciałam go objąć, lecz odepchnął mnie bez słowa i skurczył się na brzegu łóżka, odwracając się do mnie plecami. Rozgoryczyło mnie to; skuliłam się i ja i z uczuciem osamotnienia czekałam, aż przyjdzie sen. Zaczęłam znów myśleć o morzu i ogarnęło mnie silne pragnienie, żeby znaleźć śmierć w morskiej toni. Zdawało mi się, że męczyłabym się tylko przez krótką chwilę, a potem moje bezwładne ciało kołysałoby się na falach, pod pułapem nieba. Mewy wydziobałyby mi oczy, słońce spaliłoby piersi i brzuch, a ryby poszarpałyby plecy. W końcu utonąłabym, pociągnięta za głowę przez zimny, niebieski prąd, i wędrowałabym tak w morskiej otchłani przez miesiące, lata, między podwodnymi skałami, rybami, algami. Woda morską przelewałaby się nieustannie po moim czole, piersiach, brzuchu, nogach, ścierając powoli ciało i czyniąc mnie coraz to lżejszą, coraz bardziej wiotką. Aż w końcu przyszedłby dzień, kiedy fala wyrzuciłaby z impetem mój wątył, biały szkielet na jakąś plażę. Podobała mi się ta myśl, że sunęłabym ciągnięta za włosy poprzez morskie głębiny, że zatraciłabym kształty ludzkie i stałabym się garstką cienkich, białych kości rzuconych na czyste kamienie wybrzeża. I może ktoś, sam nie wiedząc o tym, przeszedłby po nich, ścierając je w proch. Wśród tych obrazów, smutnych i zarazem upajających, pogrążyłam się we śnie.

Rozdział 11

Następnego dnia, chociaż łudziłam się, że sen i wypoczynek dobroczynnie wpłyną na Mina, musiałam stwierdzić od razu, że nie zmieniło się nic, a może nawet nastąpiło pogorszenie. Tak jak i dnia poprzedniego przeskakiwał on nagle od ponurego, zaciętego milczenia do sarkastycznych, urywanych rozmów na obojętne tematy, przez które jak poprzez przezroczystą bibułkę przebijała ustawicznie ta sama myśl. Pogorszenie, o ile mogłam zaobserwować, polegało na poddaniu się bez reszty apatii, obojętności i roztargnieniu, co u niego, zazwyczaj tak ruchliwego, było czymś nieoczekiwanym i zdawało się jeszcze bardziej podkreślać całkowite oderwanie od wszystkiego, co robił dotychczas. Rozpakowałam jego walizki i schowałam do szafy ubrania i bieliznę. Co do książek, zaproponowałam mu, żeby ułożył na razie swoje podręczniki pod lustrem, na marmurowym blacie komody. Ale odpowiedział:

- Zostaw je w walizce... i tak nie będą mi już potrzebne.
- Dlaczego? – zapytałam. – Przecież masz zdawać ostatni egzamin.
- Nie będę zdawał żadnego egzaminu.
- Chcesz przerwać studia?
- Tak.

Nie starałam się go przekonywać, bojąc się, aby znowu nie zaczął mówić o tej dławiącej go zmurze, i zostawiłam książki w walizce. Zauważyłam też, że się nie umył i nie zamierza się golić, chociaż dawniej zawsze nadzwyczajnie dbał o czystość i o swój wygląd zewnętrzny. Spędził cały ten dzień w moim pokoju, pokładał się na łóżku, palił lub spacerował po pokoju z przygnębionym wyrazem twarzy, z rękami w kieszeniach. Ale przy stole, tak jak mi obiecał, nie rozmawiał już więcej z matką. Wieczorem oznajmił, że zje kolację na mieście, i wyszedł, a ja nie miałam odwagi zaproponować mu swojego towarzystwa. Nie wiedziałam, dokąd poszedł, i właśnie kładłam się do łóżka, kiedy wrócił; zorientowałam się w jednej chwili, że jest pijany. Objął mnie przesadnym, błazeńskim gestem i od razu rzucił się na mnie. Musiałam mu ulec, chociaż zdawałam sobie sprawę, że miłość jest dla niego w tej chwili tym samym co picie wina, czymś przykrym, robionym na siłę, byle się zmęczyć i utracić świadomość rzeczywistości. Powiedziałam mu:

- Równie dobrze mógłbyś przespać się z jakąś inną kobietą!

Roześmiał się i odrzekł:

– Pewnie, to byłoby to samo, ale skoro już jesteś tu pod ręką! – Te słowa obraziły mnie, ale jeszcze bardziej zmartwiły, bo nie było w nich ani odrobiny uczucia.

Potem niespodziewanie przyszło na mnie jakby olśnienie i powiedziałam odwracając się w jego stronę:

– Słuchaj, wiem, że jestem tylko biedną dziewczyną, jakich spotyka się tysiące, ale spróbuj mnie pokochać, proszę cię o to dla twego dobra. Jeżeli uda ci się mnie pokochać, przestaniesz siebie nienawidzić.

Popatrzył na mnie, a potem zawołał donośnym i drwiącym głosem: – Miłość, miłość! – i zgasił światło. Leżałam w ciemności z szeroko otwartymi oczyma, rozgoryczona, zagubiona, nie wiedząc, co myśleć.

Następne dni nie przyniosły żadnych zmian. Wydawało się, że Mino zmienił po prostu obyczaje. Przedtem

studiował, chodził na uniwersytet, widywał się w kawiarniach z przyjaciółmi, czytał. Teraz palił leżąc na łóżku, spacerował po pokoju, prowadził ze mną dziwaczne, pełne aluzji rozmowy, upijał się i używał miłości. Po upływie czterech dni naprawdę zaczęła ogarniać mnie rozpacz. Zdawałam sobie sprawę, że jego cierpienie bynajmniej nie słabnie, i wydawało mi się niemożliwością, abym miała żyć stale pod przegierzem tego cierpienia. Mój pokój, wciąż zadymiony, robił na mnie wrażenie jakiejś fabryki produkującej cierpienie bez chwili przerwy, i we dnie, i w nocy; nawet powietrze, które tam wdychałam, stało się dla mnie skondensowaną galaretą smutnych, osaczających mózg myśli. Niejeden raz przeklinałam w takich chwilach własną małość i głupotę, i to, że mam matkę jeszcze bardziej ograniczoną i jeszcze głupszą ode mnie. W ciężkich chwilach pierwszy impuls każe zwrócić się po radę do osoby starszej, rozsądnej i mającej większe doświadczenie. Ale ja nie znałam nikogo, kto posiadałby tego rodzaju przymioty, a prosić o ratunek matkę znaczyłoby tyle, co prosić o to jedno z dzieci bawiących się na podwórku. A jednocześnie nie umiałam przeniknąć do dna jego cierpienia, wiele rzeczy wymykało mi się. Powoli zaczęłam dochodzić do przekonania, że męczy go przede wszystkim myśl, że to, co powiedział Astaricie, zostało zanotowane i przekazane do archiwum, jako wieczyste świadectwo jego załamania psychicznego. Niektóre z jego powiedzeń potwierdziły jeszcze owe domysły. Tak więc pewnego popołudnia powiedziałam mu:

– Jeżeli przejmujesz się tym, że twoje zeznania zostały spisane... no, to Astarita zrobi dla mnie wszystko... Jestem pewna, że zniszczy twoje akta, jeżeli go o to poproszę.

Spojrzał na mnie i spytał jakimś szczególnym tonem:

– Co ci nasunęło podobne myśli?

– Sam wczoraj o tym mówiłeś. Radziłam ci, abys o wszystkim zapomniał, a tyś mi odpowiedział, że gdybyś nawet ty zapomniał, policja nie zapomni nigdy.

– A w jaki sposób mogłabyś go o to poprosić?

– Nie ma nic prostszego... Zatelefonuję do niego i pójde do ministerstwa. Nie odpowiedział ani tak, ani nie.

Zacząłam nalegać:

– Powiedz, czy chcesz, żebym go o to poprosiła?

– Możesz go poprosić.

Poszliśmy razem do mleczarni, żeby stamtąd zatelefonować. Astarita zgłosił się od razu; powiedziałam mu, że muszę się z nim zobaczyć, i zapytałam, czy mogę przyjść do ministerstwa. Ale on, pomimo że jąkał się jak zwykle, odpowiedział jakimś dziwnym tonem:

– U ciebie w domu albo nigdzie!

Zrozumiałam, że żąda zapłaty za przysługę, i próbowałam się wykręcić:

– Może w kawiarni?

– U ciebie w domu albo nigdzie!

– Dobrze – powiedziałam – u mnie – i poprosiłam go, żeby przyszedł jeszcze dziś, późnym popołudniem.

– Wiem, czego on chce – powiedziałam, kiedy wracaliśmy do domu. – Chce przespać się ze mną, ale nikomu jeszcze nie udało się zmusić kobiety, żeby zrobiła to wbrew woli. Raz udało mu się mnie zaszantażować, kiedy byłam jeszcze bardzo niedoświadczona, ale niechby teraz spróbował!

– Dlaczego właściwie tak się bronisz? – zapytał z roztargnieniem.

– Bo kocham ciebie.

– Ale może się tak zdarzyć – mówił dalej obojętnym tonem – że jak nie będziesz chciała mu się oddać, odmówi zniszczenia akt śledztwa... I co wtedy?

– Zniszczy je, zniszczy... Nie bój się!

– No, a gdyby zgodził się na to tylko pod tym warunkiem?

Byliśmy już na schodach, przystanąłam i powiedziałam:

– Wtedy zrobię tak, jak ty będziesz chciał.

Objął mnie i powiedział powoli:

– A ja chcę tak: gdy przyjdzie Astarita, wprowadzisz go do twojego pokoju... ja będę czekał ukryty za drzwiami i kiedy wejdzie, zabiję go jednym wystrzałem z rewolweru, potem wepchniemy go pod łóżko i przez całą noc będziemy się kochali.

Oczy mu błyszczały, po raz pierwszy od wielu dni utraciły mglistość spojrzenia. Przeraziłam się przede wszystkim dlatego, że słowa jego były bardzo logiczne; a poza tym oczekiwałam już tylko najgorszych nieszczęść i zdawało mi się, że ten mord może dojść do skutku.

– Litości! Mino – zawołałam – nie mów tak nawet żartem!

– Nawet żartem – powtórzył. – Żartowałem, oczywiście.

Wcale nie byłam taka pewna, czy żartował, ale pocieszyła mnie myśl, że rozładowałam rewolwer, którym miał zamiar się posłużyć.

– Bądź spokojny – ciągnęłam dalej – Astarita zrobi wszystko, co tylko zechcę, ale nie mów już takich rzeczy! Tak mnie przestraszyłeś!

Kiedy weszliśmy do pokoju, zauważyłam, że ogarnęło go niezwykle podniecenie. Jak zwykle, zaczął się przechadzać po pokoju z rękami w kieszeniach, ale ruchy jego nabrały energii, z twarzy znikł niechętny, apatyczny wyraz, widać było, że się nad czymś głęboko zastanawia. Przypuszczałam, że zmienił się tak, bo doznał ulgi na wiadomość, że niedługo już owe kompromitujące dokumenty zostaną zniszczone.

– Zobaczysz, że wszystko pójdzie jak najlepiej – powiedziałam pełna nadziei.

On wstrząsnął się cały, spojrzał na mnie takim wzrokiem, jak gdyby mnie nie poznał, a potem powtórzył machinalnie:

– Tak... oczywiście... wszystko pójdzie jak najlepiej.

Wysłałam matkę na miasto pod pretekstem zakupów. Ogarnęła mnie znowu fala nadziei. Może naprawdę wszystko się ułoży, i to nawet lepiej, niż się spodziewałam. Astarita spełni moją prośbę, o ile sam już tego nie zrobił. Mino z czasem przestanie odczuwać wyrzuty sumienia, nabierze chęci do życia, zacznie patrzeć z ufnością w przyszłość. Wszystkich bez wyjątku ludzi łączy jedna wspólna cecha: w ciężkich chwilach myślą tylko o tym, żeby jakoś przeżyć, ale kiedy tylko wyczują pomyślniejszy wiatr, natychmiast zaczynają snuć ambitne plany na dalszą metę. Dwa dni temu wydawało mi się, że mogłabym wyrzec się Mina, byle tylko on był szczęśliwy; lecz teraz, kiedy łudziłam się, że uda mi się go odzyskać, nie tylko nie myślałam o rozstaniu, ale zastanawiałam się, w jaki sposób mogłabym silniej związać go ze sobą. Plany te nie były wyrozumowane, ale czysto impulsywne i wpływały z mojej natury, zawsze pełnej optymizmu, nie znoszącej smutku i przygnębienia. Wydawało mi się, że w tej sytuacji mamy tylko dwa wyjścia: albo się rozstać, albo połączyć się na całe życie. Ponieważ w ogóle nie chciałam brać pod uwagę tej pierwszej możliwości, zaczęłam się zastanawiać, jak by wprowadzić w czyn drugą. Nie lubię kłamać i myślę, że

do niewielu moich zalet mogę zaliczyć prawdomówność, dochodzącą czasem aż do przesady. Jeśli wówczas powiedziałam Minowi nieprawdę, zrobiłam to tylko dlatego, że wydawała mi się ona prawdą. Prawdą prawdziwszą od samej prawdy, wypływającą nie z faktów, ale z głębi duszy. A zresztą nie myślałam prawie, działałam jakby w natchnieniu.

On spacerował po pokoju, a ja siedziałam przy stole. Powiedziałam mu nagle:

– Chodź do mnie na chwilę. Muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego?

– Od pewnego czasu niedobrze się czuję... Kilka dni temu byłam u lekarza... jestem w ciąży.

Zatrzymał się, spojrzął na mnie i powtórzył:

– Jesteś w ciąży?

– Tak... i mam całkowitą pewność, że to ty...

Mino był bardzo inteligentny i choć nie wiedział, że kłamię, zrozumiał od razu, w jakim celu to powiedziałam. Wziął krzesło, usiadł obok, pogłaskał mnie z czułością po policzku i rzekł:

– Przypuszczam, że to ma być jeszcze jeden powód więcej, a raczej najważniejszy powód, dla którego powinienem zapomnieć o tym, co zaszło, i dalej żyć... Tak?

– Co przez to rozumiesz? – zapytałam udając, że nie wiem, o co chodzi.

– Mam zostać *pater familias* – ciągnął dalej – i to, czego nie chciałem zrobić dla ciebie, powinienem zrobić teraz, jak mówicie wy, kobiety, dla tej istotki.

– Rób, co chcesz – odrzekłam wzruszając ramionami – powiedziałam ci o tym, bo tak jest... i to wszystko!

– A zresztą dziecko – mówił dalej powoli, jak gdyby myślał głośno – może być celem w życiu... Wielu ludzi nic więcej nie pragnie... Dziecko jest dobrym usprawiedliwieniem... dla dziecka można nawet kraść i mordować.

– Ale kto ci każe kraść i mordować? – przerwałam mu z oburzeniem. – Proszę cię tylko o to, żebyś się z tego cieszył... a jeżeli się nie cieszysz, no to trudno!

Popatrzał na mnie i znowu pogłaskał mnie po policzku:

– Jeśli ty się cieszysz, cieszę się i ja... No co, cieszysz się?

– Tak – odpowiedziałam stanowczo i z dumą – dlatego, że lubię dzieci, a także dlatego, że to twoje dziecko.

– Roześmiał się i powiedział:

– Spryciara z ciebie!

– Dlaczego... Czy to dowód sprytu, że jestem w ciąży?

– Nie, ale musisz sama przyznać, że właśnie w tej chwili, w tych warunkach to mistrzowski chwyt... „Jestem w ciąży, więc...”

– Więc co?

– Więc musisz pogodzić się z tym, co zrobisz! – krzyknął nagle głośno, skacząc na równe nogi i wymachując rękami. – Więc musisz żyć, żyć, żyć!

Niemożliwością byłoby określić ton jego głosu. Poczułam straszliwy ucisk w sercu i oczy napęłniły mi się łzami. Wyjąkałam:

– Rób, co chcesz... rzuć mnie, jeśli chcesz... ja... ja odejdę.

Zdawał się żałować swego wybuchu, podszedł i głaskał mnie.

– Przepraszam cię – rzekł – nie zwracaj uwagi na to, co mówię, myśl o swoim dziecku i nie przejmuj się mną!

Wzięłam go za rękę i przesunęłam ją sobie po twarzy, zraszając ją łzami i szepcząc:

– Ach, Mino, jak mogę nie przejmować się tobą?

Milczeliśmy przez długi czas. Stał przy mnie, a ja tuliłam do twarzy jego dłoń, całując ją i płacząc. Nagle usłyszeliśmy dzwonek u drzwi wejściowych.

Mino odskoczył ode mnie, wydawało mi się, że bardzo zbladł. Nie umiałam sobie tego wytłumaczyć, ale o nic nie pytałam. Zerwałam się z krzesła, mówiąc:

– Wyjdź stąd... to Astarita... prędko... wyjdź!

Wyszedł do kuchni, zostawiając przymknięte drzwi. Szybko otarłam oczy, poustawiałam krzesła na miejsce i wyszłam do przedpokoju. Czułam się już zupełnie spokojna i pewna siebie; pomyślałam nawet, że powiem Astaricie o tym, że jestem w ciąży. Wtedy zostawił mnie w spokoju i jeśli nie zechce spełnić mojej prośby z miłości, zrobi to z litości.

Otworzyłam drzwi i szybko się cofnęłam: zamiast Astarity stał w progu Sonzogno.

Trzymał ręce w kieszeniach i kiedy prawie mechanicznie chciałam zamknąć drzwi, pchnął je ramieniem i wszedł. Poszłam za nim do jadalni. Usiadł przy stole, pod oknem. Jak zwykle był bez kapelusza. Od razu poczułam na sobie jego uparte, nieruchome spojrzenie. Zamknęłam drzwi i zapytałam siląc się na obojętny ton:

– Po coś przyszedł?

– Zadenuncjowałeś mnie, co?

Wzruszyłam ramionami i usiadłam przy stole, mówiąc:

– Nie!

– Zostawiłeś mnie, a sama poszłaś po policję!

Byłam spokojna, odczuwałam tylko złość, a nie strach. Zupełnie przestałam się go bać i wzbierała we mnie wściekłość na niego i jemu podobnych, którzy stawali na drodze do mego szczęścia.

– Zostawiłam cię – odrzekłam – i wyszłam, bo kocham innego i nie chcę się z tobą zadawać, ale nie poszłam na policję, nie jestem szpiegiem. Policjanci przyszli, bo szukali kogoś innego.

Podszedł do mnie, uchwycił moją twarz w dwa palce, na wysokości policzków, i zacisnął je z taką siłą, że musiałam otworzyć usta i podnieść głowę do góry.

– Dziękuj Bogu, że jesteś kobietą – powiedział.

Wciąż trzymał mi twarz jak w kleszczach, a ja krzywiłam się, co musiało wyglądać brzydko i śmiesznie. Nagle ogarnęła mnie furia, skoczyłam na równe nogi i odepchnęłam go krzyżąc:

– Wynoś się stąd, idioto!

Włożył ręce do kieszeni, przysunął się do mnie jeszcze bliżej, i przenikliwie zajrzał mi w oczy. Znowu zaczęłam krzyżeć:

– Jesteś idiota... ty, z tymi twoimi mięśniami, z twoimi niebieskimi oczkami, z twoją ostrzyżoną głową!...

Wynoś się, przestań mi się plątać pod nogami, kretynie!

Pomyślałam, że rzeczywiście wygląda jak skończony głupiec, gdy tak stoi bez słowa, z lekkim uśmiechem

na wykrzywionych wargach, z rękami w kieszeniach. Podbiegłam do drugiego końca stołu, chwyciłam ciężkie krawieckie żelazko i wrzasnęłam:

– Wynoś się, idioto, bo jak nie, rzucę ci to w łeb! – Zawahał się i przystanął. W tej samej chwili otworzyły się drzwi jadalni i ukazał się na progu Astarita. Widocznie zastał drzwi, otwarte i wszedł do mieszkania. Odwróciłam się w jego stronę i krzyknęłam:

– Powiedz mu, żeby się wynosił!... Nie wiem, czego chce ode mnie! Każ mu się stąd wynosić!

Nie wiem czemu, ale z wielką przyjemnością zauważyłam, jak elegancko wygląda Astarita. Miał na sobie nowy dwurzędowy popielaty płaszcz, jedwabną koszulę w wąskie czerwone paseczki na białym tle. Piękny, szarosrebrny, spięty perłą krawat odcinał się miękko od klap ciemnobłękitnego ubrania. Popatrzał na mnie, trzymając wciąż w podniesionej ręce żelazko, potem na Sonzogna i powiedział spokojnie:

– Pani ci mówi, żebyś wyszedł... Na co czekasz?

– Ja i ta pani – odrzekł Sonzogno bardzo niskim głosem – mamy sobie wiele rzeczy do powiedzenia... Lepiej niech pan się stąd wynosi!

Astarita wchodząc zdjął kapelusz, czarny, filcowy, z brzegami obszytymi jedwabną wstążką. Bez pośpiechu położył go na stole i podszedł do Sonzogna. Zdumiał mnie jego wygląd. Oczy, zazwyczaj melancholijne i ciemne, rozjaśniała jakaś zaciekla iskra, szerokie usta rozszerzyły się jeszcze bardziej, unosząc się do góry w wyzywającym uśmiechu. Powiedział skandując każdą sylabę:

– Ach tak, nie chcesz wyjść... A ja ci mówię, że wyjdiesz... i to zaraz!

Tamten potrząsnął głową przecząco, ale ku memu zdumieniu cofnął się o krok. Wtedy wróciła mi pełna świadomość, kim jest Sonzogno, i zlekkałam się nie o siebie, ale o Astaritę, który nie wiedząc, z kim ma do czynienia, prowokował go tak zuchwale. Targnął mną taki sam lęk, jak niegdyś za lat dziecińczych w cyrku na widok małego pogromcy, który drażnił batem olbrzymiego ryczącego lwa. „Strzeż się! – chciałam krzyknąć – to zbrodniarz, potwór w ludzkim ciele!” – ale nie mogłam dobrać z siebie głosu. Astarita powtórzył:

– Wynosisz się czy nie?

Tamten po raz drugi potrząsnął przecząco głową i cofnął się jeszcze o krok. Stali teraz przed sobą prawie oko w oko; byli jednego wzrostu.

– Jak się nazywasz? – powiedział Astarita nie przestając ani na chwilę się uśmiechać – Twoje nazwisko... ale już!

Tamten nic nie odpowiedział.

– Nie chcesz powiedzieć, co? – rzekł Astarita prawie serdecznie, jak gdyby milczenie Sonzogna sprawiło mu przyjemność. – Nie chcesz powiedzieć, jak się nazywasz, i nie chcesz stąd wyjść... Czy tak?

Przeczekał chwilę, po czym wymierzył Sonzognowi dwa tęgę policzki. Zatkaną usta ręką i ugryzłam się z całej siły.

„Teraz go zabije” – przemknęło mi przez myśl i zacisnęłam powieki. Ale usłyszałam głos Astarity: – A teraz jazda... już cię tu nie ma! – Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Astarita trzyma za kołnierz Sonzogna i wypycha go za drzwi. Sonzogno miał policzki jeszcze czerwone od uderzenia, ale nie wyglądało na to, żeby zamierzał stawiać opór. Astarita wytaszczył go z jadalni, potem usłyszałam gwałtowne trzaśnięcie drzwiami i Astarita zjawił się na progu.

– Kto to był? – zapytał strzepując machinalnie jakiś pyłek z kłapy płaszcza i krytycznie rzucił okiem na swoje ubranie, jak gdyby się obawiał, czy ta walka nie przyniosła uszczerbku jego elegancji.

– Nie znam jego nazwiska, wiem tylko, że ma na imię Carlo – skłamałam.

– Carlo – powtórzył chichocząc i kiwając głową, a potem podszedł do mnie.

Stałam przy oknie i wyglądałam na ulicę. Astarita objął mnie i zapytał innym już głosem i z innym wyrazem twarzy:

– Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiedziałam nie patrząc na niego. Wpatrywał się we mnie, a potem w milczeniu przycisnął mocno do siebie. Odsunęłam go łagodnie i dodałam: – Byłeś dla mnie bardzo dobry... Zatelefonowałam do ciebie, żeby cię jeszcze o coś poprosić.

– Słucham – odrzekł. Przyglądał mi się, ale zdawało się, że mnie nie słucha.

– Ten młody człowiek, którego przesłuchiwałeś... – zaczęłam mówić.

– Ach tak – przerwał mi z grymasem – ciągle on... Nie okazał się bohaterem.

Ogarnęła mnie nagle ciekawość, żeby dowiedzieć się całej prawdy o przesłuchaniu Mina. Zapytałam:

– Dlaczego? Bał się?

Odpowiedział potrząsając głową:

– Nie wiem, czy się bał... Faktem jest, że na pierwsze pytanie wyśpiewał wszystko. Gdyby się wypierał, nic bym mu nie mógł zrobić, bo nie było dowodów.

Pomyślałam więc, że wszystko miało taki przebieg, jak opowiadał Mino. Była to jakaś nagła zapaść, podobna do niespodziewanej, niczym nie sprowokowanej katastrofy.

– No więc – ciągnęłam dalej – przypuszczam, że spisaliście jego zeznania... i właśnie chciałam cię prosić, żebyś zniszczył te papiery.

Zaśmiał się nieprzyjemnie:

– To on cię do mnie posłał, co?

– Nie, sama postanowiłam zwrócić się do ciebie – odpowiedziałam i złożyłam uroczystą przysięgę: – Niech padnę trupem na miejscu, jeśli to nieprawda.

– Wszyscy by chcieli, żeby akta znikły – odpowiedział. – W archiwum policji pozostaje to, co mają na sumieniu... Giną akta, Giną wyrzuty sumienia.

Zastanowiłam się i odrzekłam:

– Może tak jest, ale obawiam się, że tym razem się mylisz. – Znowu przycisnął mnie do siebie i zapytał zająkliwym głosem:

– A co mi za to dasz?

– Nic – odpowiedziałam szczerze. – Tym razem nic.

– A jeżeli ci odmówię?

– Zadałbyś mi wielki ból, bo kocham tego człowieka i wszystko, co jego dotyczy, dotyczy także mnie.

– Ale sama powiedziałaś, że będziesz dla mnie miła.

– Powiedziałam... ale teraz zmieniłam zamiar.

– Dlaczego?

– Bo tak... bez powodu...

Mocno przygarnął mnie do siebie i szepcząc mi prosto do ucha zaczął mnie zaklinać, żebym uległa mu choćby jeszcze tylko jeden raz. Trudno mi powtórzyć dokładnie, co mówił, bo przeplatał prośby wszystkimi słowami, jakie mówi się kobietom takim jak ja i które takie jak ja kobiety mówią mężczyznom. Mówił to wszystko bez zmysłowego podniecenia, jakie towarzyszy zazwyczaj tego rodzaju błaganiom. Musiało mu to sprawiać jakąś makabryczną satysfakcję, wyglądał jak opętany. Widziałam raz w domu dla umysłowo chorych wariata-mordercę, który opisywał pielęgniarcom, jakie tortury zadawałby swojej ofierze, gdyby wpadła mu jeszcze raz w ręce. Nie błaznował, wyliczał je poważnie i skrupulatnie, właśnie tak samo jak teraz Astarita, który szeptał mi do ucha nieprzyzwoite wyrazy. Mówił mi w ten sposób o swojej miłości wyuzdanej i ponurej, która innym mogłaby się wydać szczytem zepsucia. Ale ja wiedziałam, że to jest prawdziwa miłość, głęboka, krańcowa i na swój sposób równie czysta jak każda inna. I jak zawsze, budził on we mnie przede wszystkim współczucie, bo odczuwałam w jego chorobliwych uniesieniach wielką samotność i absolutną niemożność wyrwania się z jej kręgu. Czekałam cierpliwie, aż skończy, a potem powiedziałam:

– Nie chciałam ci nic mówić, ale zmuszasz mnie do tego... Zrobisz, co będziesz chciał... Ale ja nie jestem już ta sama co przedtem... jestem w ciąży.

Nie zdziwił się ani nie otrząsnął nawet na moment ze swojej opętanej pasji:

– No więc co z tego?

– To, że zaczynam nowe życie, wychodzę za mąż.

Powiedziałam to wszystko przede wszystkim dla osłodzenia mu odmowy. Ale w miarę wypowiedzania tych słów uczułam, że mówię to, co myślę, to, co płynie mi prosto z serca. Zakończyłam z westchnieniem:

– Kiedy mnie poznałeś, także chciałam wyjść za mąż, ale wtedy rozwiało się to nie z mojej winy.

Obejmował mnie wpeł, lecz uścisk jego nieco zelżał. Po ostatnich słowach odskoczył ode mnie.

– Przeklinam dzień, w którym się urodziłem – powiedział.

– Dlaczego?... Kochałeś mnie!

Splunął na podłogę i dodał:

– Przeklinam dzień, w którym cię spotkałem, i przeklinam dzień, w którym się urodziłem.

Nie podniósł głosu, nie stracił równowagi, wypowiedział to spokojnie, z przekonaniem.

– Twój przyjaciel – zakończył – nie ma się czego obawiać, żadne zeznania nie zostały spisane i żadna z jego informacji nie została wykorzystana, tyle tylko, że figuruje w kartotece jako niebezpieczny spiskowiec. Żegnaj, Adriano!

Pożegnałam się z nim i zostałam przy oknie, patrząc, jak odchodzi. Wziął kapelusz ze stołu i nie oglądając się wyszedł.

Zaraz potem otworzyły się drzwi od kuchni i wszedł Mino trzymając w ręku rewolwer. Patrzyłam na niego, zdumiona, ogłupiała, nie mówiąc ani słowa.

– Chciałem zastrzelić Astaritę – powiedział z uśmiechem. – Czyś ty naprawdę myślała, że mi zależało na zniszczeniu tych papierów?

– A dlaczego – zapytałam sennym głosem – nie zrobiłeś tego?

Potrząsnął głową:

– Tak przekonująco przeklinał dzień swego urodzenia, że pozwólmy mu przeklinać jeszcze przez kilka lat.

Byłam dziwnie niespokojna, ale nie mogłam dociec, jaka jest tego przyczyna.

– W każdym razie uzyskałam to, o co mi chodziło... Nic nie wpisali do twojej kartoteki.

– Słyszałem, słyszałem – przerwał – wszystko słyszałem, stałem za uchylonymi drzwiami, nawet widziałem... Odważny jest – dodał obojętnym tonem – ten twój Astarita... Pac, pac... wymierzył Sonzognowi dwa klasyczne policzki. Także i te rzeczy można robić na różne sposoby. Astarita wyglądał niczym pan karzący służącego, a Sonzogno podwinął ogon pod siebie i ani pisnął. – Roześmiał się, chowając do kieszeni rewolwer.

Byłam nieco skonsternowana tą elegią na cześć Astarity. Zapytałam niepewnie:

– A jak myślisz, co zrobi Sonzogno?

– Któż to może wiedzieć!

Zapał już wieczór i jadalnia pogrążona była w mroku. Mino wyciągnął rękę przez stół i zapalił wiszącą nad nim lampę, ale poza jej kręgiem w pokoju było ciemno. Na stole leżały okulary matki oraz karty od pasjansa. Mino wziął karty i zaczął rozdawać, mówiąc:

– Chodź, zagramy w karty przed kolacją.

– Co za pomysł! – zawołałam. – Chcesz teraz grać w karty?

– Tak... jedną partyjkę, w sześćdziesiąt sześć... No chodź!

Usłuchałam, usiadłam naprzeciw niego i machinalnie wzięłam do ręki karty, które mi podawał. Zaczęłam grać. Wydawało mi się, że wszystkie figury mają dziwnie szydery i obłudny wyraz twarzy: walet pikowy, czarny, ponury, z czarnym okiem i czarnym kwiatem w ręku, królowa kier – złośliwe, rozwydrzone stare babsko, król karo – otyły, zimny, obojętny, nieludzki. Wydawało mi się, że gra toczy się między nami o jakąś wielką stawkę, ale co to była za stawka, tego nie wiedziałam. Byłam śmiertelnie smutna, co chwila wzdychałam, jak gdybym chciała się upewnić, czy w dalszym ciągu ten nieznośny ciężar przytłacza mi piersi, i wciąż stwierdzałam, że nie tylko nie znika, ale się powiększa.

Mino wygrał pierwszą partię, potem drugą.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał tasując karty. – Robisz błąd za błędem.

Rzuciłam karty i powiedziałam:

– Nie męcz mnie, Mino... Nie mogę teraz grać w karty.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

Wstałam i przeszłam się po pokoju, rozpaczliwie wykręcając sobie palce, a potem zaproponowałam:

– Chodźmy do mego pokoju!

– Chodźmy!

Weszliśmy do przedpokoju i tam, po ciemku, Mino objął mnie i pocałował w szyję. I wtedy po raz pierwszy w życiu wydało mi się, że patrzę na miłość tak samo jak on, który uważał ją tylko za środek pozwalający nie myśleć i nie pamiętać o niczym, ani skuteczniejszy, ani przyjemniejszy od innych. Ujęłam jego głowę w obydwie ręce i mocno pocałowałam go w usta. Trzymając się w pół weszliśmy do mego pokoju. Było tam całkiem ciemno, ale nie zdawałam sobie z tego sprawy. Czerwona jak krew mgła przesłaniała mi oczy i każdy nasz gest zdawał się być nowym płomieniem, podsycającym pożar, jaki nas ogarnął. Bywają chwile, kiedy każdym nerwem widzi się w

ciemności, a wtedy przestaje być ona groźna i jest jak światło słoneczne. Owo wrażenie jednak dotyczy wyłącznie zbliżenia fizycznego; widziałam więc tylko nasze ciała oświetlone nocą, przypominające ciała topielców wyrzucone przez fale na kamienisty brzeg.

Kiedy oprzytomniałam, leżałam wyciągnięta na łóżku, światło lampy padało na mój nagi brzuch. Zaciskałam uda, nie wiem, czy z zimna, czy ze strachu, i zasłaniałam ręką łono. Mino przyglądał mi się, a potem powiedział:

– Teraz twój brzuch będzie rósł, będzie co miesiąc większy, aż przyjdzie dzień, kiedy ból każe ci rozsunąć nogi, które teraz tak zazdrośnie zaciskasz. Wskoczy ciemnowłosa główka dziecka i ty wypchniesz je z siebie. Odbiorą je, a potem położą w twoich ramionach i będziesz szczęśliwa; na świecie przybędzie jeden człowiek. Miejmy nadzieję, że nie powie kiedyś tego, co mówił Astarita.

– Czego?

– „Przeklinam dzień, w którym się urodziłem”.

– Astarita to bardzo nieszczęśliwy człowiek – powiedziałam – ale ja jestem pewna, że moje dziecko będzie szczęśliwe i że powiedzie mu się w życiu.

Potem otuliłam się kołdrą i zdaje się, że nawet zdrzemnęłam się na chwilę. Ale wzmianka o Astaricie znowu podsyciła mój niepokój. Nagle usłyszałam obcy głos, który krzyknął mi do ucha: „Pam! Pam!” – jak gdyby imitując wystrzał z rewolweru. Prerażona, gwałtownie usiadłam na łóżku; lampa paliła się jeszcze. Wskoczyłam z łóżka i pobiegłam do drzwi, żeby sprawdzić, czy są szczelnie zamknięte. Ale wpadłam na Mina, który, już ubrany, stał właśnie przy drzwiach i palił papierosa. Zmieszana zawróciłam i przysiadłam na krawędzi łóżka.

– Jak myślisz? – spytałam. – Co robi Sonzogno?

Spojrzał na mnie:

– A skąd ja mogę wiedzieć?

– Ja go znam – zawołałam zdając sobie nagle sprawę z przyczyny gnębiącego mnie niepokojem. – To nic nie znaczy, że pozwolił się wyrzucić z pokoju bez słowa protestu... on może go zamordować... Jak myślisz?

– Oczywiście, że tak.

– I myślisz, że go zamorduje?

– Nie zdziwiłbym się, gdyby to zrobił.

– Trzeba ostrzec Astaritę – krzyknęłam i w popłochu zaczęłam się ubierać. – Jestem pewna, że on go zabije... O Boże, dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej?

Ubierając się pośpiesznie, mówiłam o moim lęku i złych przeczuciach. Mino palił papierosa i kręcił się po pokoju. Kiedy byłam już gotowa, powiedziałam mu:

– Idę teraz do Astarity... O tej porze zastanę go w domu... Czekaj na mnie tutaj!

– Pójdę z tobą.

Nie protestowałam, w gruncie rzeczy ucieszyłam się, że pójdziemy razem; bałam się, żeby przy takim podnieceniu nie zrobiło mi się słabo. Włożyłam płaszcz mówiąc: – Pojedziemy taksówką... będzie prędej. – Mino także włożył płaszcz i wyszliśmy.

Na ulicy zaczęłam iść tak szybko, że biegłam prawie; Mino trzymał mnie pod rękę i wydłużał kroki, jak tylko mógł. Po chwili zatrzymaliśmy taksówkę, wsiadłam szybko, podając adres Astarity. Mieszkał w dzielnicy

Prati; nigdy u niego nie byłam, ale wiedziałam, że ta ulica mieści się w pobliżu Pałacu Sprawiedliwości.

Taksówka ruszyła, a ja, pochylona do przodu, jak nieprzytomna zaczęłam śledzić trasę poprzez ramię szofera. Usłyszałam w pewnej chwili za sobą głos Mina, który powiedział cicho, jakby do siebie: – Wielkie rzeczy... najwyżej jeden wąż pożre drugiego – ale nie zwróciłam na to uwagi. Kiedy znaleźliśmy się przed Pałacem Sprawiedliwości, zatrzymałam taksówkę i Mino zapłacił. Przebiegliśmy szybko wysypane żwirem alejki skwerów. Ulica, na której mieszkał Astarita, ukazała mi się nagle przed oczami, długa, prosta, oświetlona – jak daleko sięgał wzrok – dużymi mlecznymi lampami. Stały tam rzędem kamienice wysokie i masywne, ulica robiła wrażenie opustoszałej, nie było na niej widać ani przechodniów, ani sklepów. Sądząc z numeru, dom Astarity znajdował się bliżej końca. Ulica ta wyglądała tak spokojnie, że powiedziałam:

– Możliwe, że to tylko moje urojenia... w każdym razie trzeba tam iść.

Minęliśmy cztery bloki domów i tyleż przecznic, kiedy Mino powiedział spokojnym głosem:

– A jednak coś się musiało stać, popatrz! – Podniosłam oczy i zobaczyłam w pobliżu zbiegowisko ludzi przed jedną z bram. Ludzie stali na chodniku i patrzyli w górę. Byłam pewna, że stoją przed bramą Astarity, i zaczęłam biec; wydawało mi się, że Mino biegnie za mną.

– Co się stało? Co tu się stało? – zdyszana zapytałam stojących przy bramie ludzi.

– Nie wiadomo dokładnie – odpowiedział mi młody blondyn bez płaszcza i kapelusza, trzymając rower – ktoś rzucił się z klatki schodowej, a może został zepchnięty... Policja szuka teraz na dachach tego drugiego.

Przecisnęłam się przez tłum do szerokiej, jasno oświetlonej sieni, gdzie także było pełno ludzi. Białe schody z żelazną kutą poręczą szły ślimakiem w górę. Przepychając się ciągle z impetem, który zdawał się unosić mnie w górę, zobaczyłam poprzez tłum pustą przestrzeń pod schodami. Na postumencie z białego marmuru stała naga skrzydlata postać z pozłacanego brązu, trzymająca w podniesionej ręce lampę, w której za matowymi szybkami paliła się żarówka. I właśnie pod tym postumentem leżało przykryte prześcieradłem ciało. Wszyscy patrzyli w jednym kierunku; spojrzałam tam także i zobaczyłam, że patrzę na czarny trzewik widoczny spod prześcieradła. W tej chwili dało się słyszeć rozkazujące nawoływanie: – Cofnąć się... cofnąć... wychodzić... przedzej! – Pchnięta gwałtownie do tyłu, znalazłam się wraz z innymi na ulicy; brama zatrasnęła się.

Powiedziałam słabym głosem do kogoś, kto stał za mną: – Mino, do domu! – Ale zobaczyłam obcego człowieka, spoglądającego na mnie ze zdziwieniem. Ludzie, którzy przez chwilę na próżno głośno protestowali i walili pięściami w bramę, zaczęli się powoli rozchodzić, omawiając wypadek. Inni zbiegali się ze wszystkich stron, zatrzymało się nawet parę samochodów i całe mnóstwo rowerów. Z wzrastającym niepokojem zaczęłam kręcić się wśród tłumu, nie mając śmiałości się odezwać. Kilkakrotnie wydawało mi się, że widzę Mina, i gwałtownie rzucałam się przed siebie, napotykając stale obce twarze, patrzące na mnie ze zdziwieniem. Ludzie wciąż tłoczyli się przed bramą; wiedzieli już, że w klatce schodowej leży trup, i mieli jeszcze nadzieję, że uda im się go zobaczyć. Stali nieruchomo, spokojni i poważni, jakby czekali na wejście do teatru. Kręciłam się ciągle w kółko i zdałam sobie w pewnej chwili sprawę, że widziałam już wszystkich i że stale natykam się na te same twarze. Wydało mi się, że w jednej grupce wymienił ktoś nazwisko Astarity, i wtedy uświadomiłam sobie nagle, że wcale już o nim nie myślę, tylko po prostu boję się o Mina. Przekonałam się na koniec, że go tam nie ma, widocznie odszedł, kiedy przepychałam się do bramy. Sama nie wiem czemu, ale miałam wrażenie, że powinnam się była tego spodziewać, i dziwiłam się, że wcześniej nie przyszło mi to na myśl. Zebrałam wszystkie siły i dowlokłam się do placu. Tam

wsiadłam do taksówki podając swój adres. Przyszło mi do głowy, że Mino mógł stracić mnie z oczu i sam wrócić do domu, ale jednocześnie byłam prawie pewna, że tak nie jest...

Nie było go w domu, i nie wrócił ani na noc, ani następnego dnia. Zamknęłam się w swoim pokoju, tak niespokojna i zboląta, że cała drżałam. Ale nie miałam gorączki, tylko zdawało mi się, że żyję jakby poza kręgiem samej siebie, w jakiejś anormalnej, napiętej do ostateczności atmosferze, w której każdy obraz, każdy odgłos drażnił mnie i przyprawiał o mdłości. Nic nie mogło odciągnąć moich myśli od Mina, nawet roztrząsanie szczegółów nowej zbrodni Sonzogno, na temat której rozpisywały się wszystkie gazety, przynieszone mi przez matkę. Nie ulegało wątpliwości, że tę zbrodnię popełnił Sonzogno: może najpierw walczyli na podeście przed drzwiami mieszkania Astarity, potem Sonzogno przyparł Astaritę do poręczy, dźwignął go i zrzucił na dół. To okrucieństwo miało swoją wymowę; nikomu prócz Sonzogno nie przyszłoby do głowy zabić człowieka w ten sposób. Ale, jak już powiedziałam, pochłaniała mnie tylko jedna myśl i nawet nie zainteresowałam się artykułami, opisującymi, jak później, już w nocy, Sonzogno został zabity, gdy niczym kot przemykał się po dachach. Odczuwałam coś w rodzaju wstrętu do każdego zajęcia, do każdej myśli, która nie dotyczyła Mina, ale zarazem myśląc o nim męczyłam się jak potępiona. Kilkakrotnie myślałam o Astaricie, i wspominając jego miłość do mnie i jego smutne życie litowałam się nad nim całym sercem. Gdyby nie dręczył mnie tak niepokój o Mina, z pewnością oplakiwałabym go i modliła się za jego duszę, która nigdy nie zaznała szczęścia i która rozstała się z ciałem tak przedwcześnie i w sposób tak tragiczny.

Spędziłam tak cały pierwszy dzień, potem noc, następny dzień i znowu noc. Leżałam w łóżku albo siedziałam w fotelu, ścisnęłam mocno w dłoniach marynarkę Mina, którą wyjęłam z szafy, i całowałam ją z uniesieniem albo gryzłam, żeby pohamować niepokój. Nawet wówczas, kiedy matka zmuszała mnie, żebym coś zjadła, w jednej ręce trzymałam widelec, a drugą konwulsyjnie ścisnęłam marynarkę. Wieczorem matka sama położyła mnie do łóżka. Pozwalałam się rozbierać, bierna i apatyczna, ale w momencie kiedy chciała mi zabrać marynarkę Mina, krzyknęłam przeraźliwie, co matkę niesłychanie przestraszyło. Nie wiedziała o niczym, ale domyślała się, że przyczyną mojej rozpaczki jest nieobecność Mina.

Trzeciego dnia udało mi się zbudować sobie nową wersję jego zniknięcia i uczepiłam się jej z uporem, chociaż czułam, że jest zupełnie bezpodstawna: Mino, przestraszony moją ciążą, uciekł na prowincję do rodziny, żeby wykręcić się od odpowiedzialności. Było to przykre przypuszczenie, ale wolałam wyobrazić go sobie raczej jako tchórza niż brać pod uwagę inne powody jego ucieczki, bardzo smutne, bo związane z towarzyszącym im splotem ponurych wydarzeń.

Tego samego dnia około południa matka weszła do pokoju i rzuciła mi na łóżko list. Poznałam pismo Mina i radość zalała mi serce. Czekałam, aż matka wyjdzie z pokoju, starając się skupić rozproszone myśli, po czym otworzyłam kopertę. Przytaczam list w całości.

Najdroższa Adriano!

W chwili kiedy będziesz czytała ten list, mnie już nie będzie. Kiedy otworzyłem rewolwer i zobaczyłem, że nie ma w nim naboju, domyśliłem się od razu, że Ty to zrobiłaś, i pomyślałem o Tobie z wielką tkliwością. Biedna Adriano, nie znasz się na broni i nie wiedziałaś, że w lufie została jedna kula. To, że nie zauważyłaś tego, utwierdziło mnie jeszcze w moim zamiarze. A poza tym jest przecież tyle sposobów, żeby odebrać sobie życie!

Jak Ci mówiłem, nie mogę pogodzić się z tym, co zrobiłem. W ostatnich czasach zrozumiałem, że Cię

kocham, ale gdybym był logiczny, powinienem raczej Cię nienawidzić, bo to wszystko, czego nienawidzę w sobie, a co ujawniło mi się podczas przesłuchania, jest jeszcze spotęgowane właśnie w Tobie. W tamtej chwili przestał istnieć człowiek, jakim chciałem być, i zostałem tylko ja. Nie chciałem być ani tchórzem, ani zdrajcą, ale nastąpił u mnie jakiś tajemniczy zanik woli. A może nawet wcale nie taki tajemniczy... ale nie będę o tym pisał, bo za długo musiałbym się nad tym rozwodzić. Wystarczy, jeśli powiem, że popełniając samobójstwo przywracam wszystko do dawnego porządku.

Nie myśl tylko czasem, że Cię nienawidzę, wprost przeciwnie, kocham Cię, i to tak bardzo, że wystarcza mi pomyśleć o Tobie, a godzę się ze światem. Gdyby to było możliwe, ożeniłbym się z Tobą, żylibyśmy razem i, jak się to mówi, bylibyśmy ze sobą bardzo szczęśliwi. Ale nie było to możliwe.

Myslałem o dziecku, które ma przyjść na świat, i napisałem w tej sprawie dwa listy, jeden do rodziny, drugi do pewnego adwokata, mego przyjaciela. W gruncie rzeczy są to porządni ludzie i chociaż nie mogą Ci robić złudzeń co do ich uczuć dla Ciebie, jestem pewien, że spełnią swój obowiązek. W wypadku gdyby odmówili Ci pomocy, czego nie przypuszczam, nie wahaj się wystąpić do sądu o swoje prawa. Mój przyjaciel adwokat przyjdzie do Ciebie i możesz całkowicie mu zaufać. Pomyśl czasem o mnie. Ściskam Cię. Twój Mino.

PS. Podaję Ci nazwisko i adres adwokata: Francesco Lauro, ulica Cola di Rienzo 3.

Po przeczytaniu tego listu ukryłam się pod kołdrą i wybuchnęłam nieutulonym płaczem. Sama nie wiem, jak długo płakałam. Kiedy już zdawało mi się, że się uspokajam, zaczynałam szlochać jeszcze rozpaczliwiej. Chciałam krzyczeć, ale powstrzymywałam się przez wzgląd na matkę. Płakałam cicho i czułam, że płaczę ostatni raz w życiu. Opłakiwałam Mina, moją przeszłość i przyszłość.

Na koniec, ciągle płacząc, wstałam ogłuszona, ogłupiała, ze wzrokiem zamglonym łzami i szybko zaczęłam się ubierać. Przemyłam oczy zimną wodą, podmalowałam spuchniętą, czerwoną twarz i nic nie mówiąc matce wyszłam ukradkiem z domu.

Pobiegłam do komisariatu i od razu zameldowałam się u komisarza. Wysłuchał całej historii, a potem powiedział sceptycznie:

– Nic o tym nie wiemy... Zobaczysz, że się rozmyślił.

Pragnęłam całym sercem, żeby komisarz miał rację, ale zarazem, sama nie wiem czemu, zirytowałam się na niego.

– Mówi pan tak, bo go pan nie zna – odpowiedziałam szorstko. – Pan myśli, że wszyscy są tacy sami jak pan?

– Czego ty właściwie chcesz? – zapytał. – Chcesz, żeby żył czy żeby nie żył?

– Żeby żył! – krzyknęłam. – Chcę, żeby żył, ale się strasznie boję, że już za późno.

Zastanowił się chwilę i powiedział:

– Uspokój się, może w chwili, kiedy pisał list, rzeczywiście miał zamiar odebrać sobie życie, ale mógł się potem opamiętać!... To bardzo ludzkie... mogło tak być.

– Tak... ludzkie – wyjąkałam. Sama już nie wiedziałam, co mówię.

– Przyjdź w każdym razie jeszcze raz wieczorem – powiedział na zakończenie – może ci będę mógł dać

dokładne informacje.

Prosto z komisariatu poszłam do pobliskiego kościoła, w którym byłam chrzczona i przystępowałam do pierwszej komunii. Był to bardzo stary kościół, długi, pusty, z dwoma szeregami kolumn z chropowatego kamienia i zakurzoną, wykładaną szarymi płytami podłogą. Ale za kolumnami, w mroku bocznych naw, widniały bogate, Wyzłacane kaplice, przypominające głębokie, pełne skarbów groty. Jedna z nich poświęcona był Madonnie. Ukłękłam przed kratą z brązu zamykającą wejście do kaplicy i poprzez niezliczone wazonów kwiatów patrzyłam na ciemny, wiszący w głębi wizerunek Madonny. Trzymała na ręku Dzieciątka, u jej stóp klęczał rozmodlony święty w habitie zakonnym. Pochyliłam się nisko, dotykając czołem płyt posadzki. Całowałam raz po raz zakurzone kamienie, robiłam znak krzyża i wzywając imienia Madonny złożyłam w sercu uroczyste ślubowanie. Przysięgłam, że już nigdy, przez całe życie, nie będę obcować z żadnym mężczyzną, nawet z Minem. Jedyną rzeczą na świecie, do jakiej przywiązywałam wagę, była miłość, więc uważałam, że nie mogę zrobić większego poświęcenia na intencję Mina. Potem, wciąż schylona, dotykając czołem podłogi, modliłam się długo, bez myśli i słów, samym tylko porwysem serca. Ale kiedy wstałam z klęczek, doznałam jakby olśnienia. Wydało mi się, że pogrążona w mroku kaplica rozjaśnia się nagle, i wyraźnie zobaczyłam w tym blasku twarz Madonny. Patrzała na mnie z dobrocią i słodyczą, ale potrząsała głową przecząco, jak gdyby na znak, że nie przyjęła mojej ofiary. Trwało to ułamek sekundy i potem znowu znalazłam się przed kratą, zamykającą ciemny ołtarz. Ledwie żywa przeżegnałam się i wróciłam do domu.

Oczekiwałam wieczoru licząc minuty i kiedy się ściemniło, poszłam do komisariatu. Komisarz obrzucił mnie znaczącym wzrokiem. Czulałam, że ucieka ze mnie życie, i powiedziałam ledwie dosłyszalnie:

– Więc to prawda... popełnił samobójstwo!

Komisarz wziął do ręki leżącą na stole fotografię i podał mi ją, mówiąc:

– Nie zidentyfikowany dotychczas mężczyzna odebrał sobie życie w jednym z hoteli niedaleko dworca...

Zobacz, czy to on.

Spojrzałam na fotografię i poznałam go od razu. Sfotografowano go do pasa, leżącego chyba na łóżku. Od skroni spływały mu na twarz czarne smugi krwi. Ale pod tymi smugami twarz jego miała wyraz takiej pogody, jakiej nigdy nie widziałam u niego za życia.

Powiedziałam zgaszonym głosem, że to on, i wstałam. Komisarz zaczął coś mówić, może chciał mnie pocieszać, ale nie słuchałam go i wyszłam nie oglądając się za siebie.

Wróciłam do domu i tym razem rzuciłam się w ramiona matki, ale nie płakałam już. Wiedziałam, że matka jest głupia, że nic nie rozumie, ale była to przecież jedyna na świecie osoba, której mogłam się zwierzyć. Opowiedziałam jej wszystko: o samobójstwie Mina, o naszej miłości i o tym, że jestem w ciąży. Ale nie przyznałam się, że ojcem dziecka jest Sonzogno. Powiedziałam jej także o moim ślubowaniu. Oświadczyłam, że zdecydowałam się zmienić życie i że albo będę szła wraz z nią koszule, albo pójdę na służbę. Matka najpierw próbowała mnie pocieszyć, słowami wprawdzie oklepanymi, ale płynącymi z serca, a potem powiedziała, że nie wolno mi nic robić bez zastanowienia; trzeba poczekać, co postanowi jego rodzina.

– To dotyczy dziecka – odrzekłam – nie mnie.

Następnego ranka zjawili się u mnie niespodziewanie dwaj przyjaciele Mina, Tullio i Tommaso. Oni także otrzymali list, w którym Mino napisał, że odbiera sobie życie, i przestrzegał ich przed skutkami tego, co nazywał

swoją zdradą.

– Nie bójcie się – powiedziałam gorzko – możecie czuć się zupełnie bezpieczni, nic się wam nie stanie. – Opowiedziałam im o Astaricie i o tym, że on jeden wiedział wszystko, ale już nie żyje. Podkreśliłam, że zeznania nie zostały spisane, więc tym samym policja nic o nich nie wie. Wydało mi się, że Tommaso jest szczerze przejęty śmiercią Mina, ale ten drugi jeszcze nie otrząsnął się z przerażenia. Po chwili zabrał głos Tullio:

– Ale nas wpakował! Kto by tam wierzył policji?... Nigdy nic nie wiadomo... To była najprawdziwsza zdrada. – Zatarł ręce, wybuchając jak zwykle niepowstrzymanym śmiechem, jak gdyby szło o coś bardzo zabawnego.

Wstałam oburzona i powiedziałam:

– Jaka zdrada? Jaka zdrada? Odebrał sobie życie, czego więcej chcecie?... Żaden z was nie miałby tyle odwagi, żeby to zrobić... I jeszcze coś wam powiem... Wy nie macie żadnej zasługi, chociaż nie zdradziliście nikogo... Obydwaj jesteście nędzarami, obszarpańcami, biedakami... i wasze rodziny też składają się z takich jak wy nędzarzy, obszarpańców i biedaków... A jeśli sprawy dobrze się ułożą, będziecie na koniec mieli to wszystko, czegoście nigdy nie mieli, i będziecie sobie wygodnie żyli razem z waszymi rodzinami! Ale on był zamożny, pochodził z bogatej rodziny, to był prawdziwy pan, a robił to dlatego, że wierzył w sprawę, nie po to, żeby wyciągnąć jakieś korzyści dla siebie!... Nie mam nic więcej do powiedzenia... Czy nie wstyd wam przychodzić do mnie i mówić o zdradzie?

Mały Tullio otworzył wielkie usta, jak gdyby chciał coś odpowiedzieć, ale Tommaso, który mnie zrozumiał, powstrzymał go ruchem ręki i powiedział:

– Pani ma rację... i może pani być pewna, że ja zachowam tylko dobre wspomnienia o Minie. – Wyglądał na wzruszonego i poczułam do niego szczerą sympatię, bo widać było, że bardzo lubił Mina. Pożegnali się i wyszli.

Kiedy zostałam sama, doznałam prawie ulgi w moim cierpieniu na myśl, że powiedziałam im to wszystko. Zaczęłam myśleć o Minie, a potem o moim dziecku. Pomyślałam, że będzie to dziecko zbrodniarza i prostytutki, ale każdemu mężczyźnie może się zdarzyć, że zabije, a każdej kobiecie, że odda się dla pieniędzy. I tylko jedno było ważne, żeby urodziło się szczęśliwie i zdrowo rosło. Postanowiłam, że jeśli to będzie chłopczyk, dam mu na imię Giacomo na pamiątkę Mina, a jeśli dziewczynka, to nazwę ją Letizia, bo chciałam, aby w przeciwieństwie do mnie miała życie wesołe i radosne. I byłam przekonana, że będzie je miała dzięki rodzinie Mina.